

Płonący brzeg

Wilbur Smith



calibre 0.9.27

Wilbur Smith

PŁONĄCY BRZEG

Przełożył ARTUR LESZCZEWSKI

Wilbur Smith

PŁONĄCY BRZEG

Przełożył ARTUR LESZCZEWSKI

SREBRNA

SERIA

Tytuł oryginału THE BURNING SHORE

NR tNW. 48109

Copyright © 1985 by Wilbur Smith and William Heioemann Ltd.

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-601-6

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1994. Wydanie II Druk: Zakłady Wydawniczo-Poligraficzne „Concordia” w Rudzie Śląskiej

Tę książkę dedykuję Danielle Antoinette z wyrazami miłości

Mam nadzieję, że ze względu na opowiedzianą historię czytelnik wybaczy mi pewne nieścisłości w chronologii.

Pozwoliłem sobie opóźnić wprowadzenie samolotu zwiadowczego Albatros do niemieckich sił powietrznych i przyspieszyłem wybuch epidemii grypy z roku 1918 prawie o rok.

Autor

Słyszałem także na płonącym brzegu Afryki Głodnego lwa wydającego okrutne ryki.

WILLIAM BARNES RHODES

Bombastes Furioso, akt IV

Michaela obudził nierówny łoskot artylerii.

Każdego ranka w ciemnościach ostatniej godziny przed świtem miał miejsce ten sam makabryczny rytuał, w którym baterie dział obu armii składały pierwszą tego dnia ofiarę bogom wojny.

W namiocie panowała ciemność. Michael leżał przykryty sześcioma wełnianymi kocami i przyglądał się rozbłyskom dział prześwitującym przez płótno niczym niesamowita zorza polarna. Koce były zimne i wilgotne jak ciało nieboszczyka, a deszcz nad głową bębnił o dach namiotu. Przenikliwie zimno kęsało Michaela przez szorstką pościel, ale jednocześnie poczuł nieśmiały promyk nadziei. W taką pogodę nie mogli latać.

Złudna nadzieja pierzchła jednak szybko, gdy Michael uważniej wsłuchał się w łoskot dział. Po odgłosie ognia zaporowego mógł ocenić kierunek wiatru — wiał z południowego zachodu, zagłuszając swoim poświstem kakofonię salw. Michael, czując, jak przejmują go dreszcze, naciągnął koce pod samą brodę. Jakby na potwierdzenie jego podejrzeń wiatr nagle ucichł. Rytmiczny stukot deszczu o brezent najpierw zelżał, a wreszcie zupełnie ustał. W zapadłej ciszy Michael słyszał, jak jabłonie w sadzie ociekają wodą — po chwili silniejszy podmuch szarpnął gałęziami; drzewa otrząsnęły się niczym spaniel wyskakujący na brzeg i zasypały dach namiotu gradem ciężkich kropel.

Postanowił nie sięgać po złoty zegarek leżący na postawionej obok łóżka walizce, która służyła mu za stolik. I tak wiedział, że zbliża się pora lotu. Wsunął się głębiej pod koce i zaczął rozmyślać o strachu. Lęk paraliżował wszystkich, ale sztywne konwencje, według których zorganizowane było życie lotników, i które ustalały zasady pilotowania samolotów oraz umierania, zabraniały mówić o strachu — nie pozwalały wspominać o tym uczuciu nawet w najbardziej ogólnych słowach.

Jaka to byłaby ulga, pomyślał Michael, gdyby zeszłej nocy, kiedy siedzieli z Andrew przy butelce whisky i omawiali zadania czekające ich następnego dnia, mógł powiedzieć: „Andrew, mam straszego cykora przed jutrzejszą akcją”.

Uśmiechnął się w ciemnościach, wyobrażając sobie zaambarasowaną minę przyjaciela po takim oświadczeniu, ale wiedział dobrze, że Andrew boi się tak samo jak on. Można to było poznać po jego oczach i po drgającym nerwie w policzku, którego raz po raz musiał dotykać wskazującym palcem. Wszystkie stare wygi miały wypracowane jakieś nawyki broniące ich przed lękiem: Andrew uspokajał rozedrgany nerw dotknięciem palca i bez przerwy ssał pustą fiwkę od papierosów jak dziecko smoczek. Michael zgrzytał zębami przez sen tak głośno, że sam się budził w nocy od tego dźwięku, obgryzał paznokcie kciuka i co kilka minut dmuchał na palce, jakby się poparzył czymś gorącym.

Strach doprowadzał ich z wolna do lekkiego szaleństwa i skłaniał do nadmiernego picia, które stępiałoby reakcje każdego normalnego człowieka. Jednak nie byli zwyczajnymi ludźmi i alkohol zdawał się nie mieć na nich wpływu: nie pogarszał bystrości wzroku i nie opóźniał reakcji nóg kontrolujących stery samolotu. Ci przeciętni ginęli w ciągu pierwszych trzech tygodni służby, spadali na ziemię niczym objęte ogniem drzewa w czasie pożaru lasu lub rozbijali się o miękką, pooraną pociskami ziemię z siłą, która łamała im wszystkie kości.

Andrew przeżył czternaście miesięcy, a Michael jedenaście; o wiele więcej niż bogowie wojny wyznaczyli ludziom latającym w tych kruchych konstrukcjach z metalu, drewna i płótna. Tak więc wspólnie obijali się tu i tam w wolnym czasie, pili whisky oraz wszystkie inne trunki, jakie mieli pod ręką, i śmiali się krótkim, wybuchowym śmiechem, a później, nad ranem, leżeli zdrętwiali w łóżkach, nasłuchując odgłosów kroków.

Właśnie w tej chwili Michael usłyszał kroki — musiało być później, niż przypuszczał. Przed namiotem Biggs wdepnął w kałużę i zaklął ciężko, a jego buty wydały obsceniczny, chlupoczący

odgłos. Płomyk latarni z okrągłym szkiełkiem przeniósł mętnym światłem przez płótno, gdy ordynans otwierał klapę i wchodził do środka.

— Wspaniały poranek, sir. — Ton głosu Biggsa był pogodny i jednocześnie cichy, żeby nie pobudzić śpiących w sąsiednich namiotach oficerów, którzy tego ranka nie mieli wyznaczonych lotów. — Mamy południowo-zachodni wiatr i niebo ślicznie się przeciera. Nad Cambrai widać już gwiazdy.

Biggs postawił trzymaną w rękach tacę na walizce i zaczął krzątać się po namiocie, zbierając ubranie, które Michael rozrzucił wieczorem na przejściu z desek.

— Która godzina?

Michael udał, że właśnie budzi się z głębokiego snu, przeciągając się i ziewając, żeby tamten nie domyślił się jego porannego strachu i aby w ten sposób sława Michaela nie doznała uszczerbku.

— Wpół do szóstej, sir. — Biggs poskładał ubranie i podszedł do łóżka, żeby podać mu kubek gorącego kakao. — A lord Killigerran już wstał i jest w mesie.

— Cholera, ten facet jest ze stali — jęknął Michael.

Biggs podniósł z ziemi puste butelki po whisky i ustawił je na tacy.

Chłopak wypił powoli kakao, patrząc jak ordynans przygotowuje, w miseczce krem do golenia, a następnie staje przed nim z metalowym lusterkiem w jednej ręce i latarnią w drugiej, żeby Michael mógł się ogolić. Michael usiadł na łóżku z kocami zarzuconymi na ramiona i sięgnął po brzytwę.

— Jak stoją zakłady? — zapytał, ściągając nozdrza i podnosząc palcem koniuszek nosa, żeby dostać się do górnej wargi.

— Stawiają trzy do jednego, że pan i major dostaniecie dziś swoje bez rachunku dla rzeźnika.

Michael otarł brzytwę, rozważając stawkę. Prowadzący zakłady mechanik płatowcowy w randze sierżanta był przed wojną book-macherem na torach w Ascot i Aintree. Sierżant uznał, że istnieje jedna szansa na trzy, iż Andrew lub Michael — albo obydwaj — będą martwi przed południem — bez rachunku dla rzeźnika oznaczało, że nie będzie rannych.

— Nieco za wysoko mierzą, nie sądzisz, Biggs? — zapytał Michael. — Cholera, my obydwaj?

— Postawiłem na pana pół korony, sir — przyznał się Biggs.

— Dobrze zrobiłeś, Biggs, postaw za mnie piątkę.

Wskazał na skarbonkę z suverenami, która stała obok łóżka, a Biggs wyjął z niej pięć złotych krążków i schował do kieszeni. Michael zawsze stawiał na siebie samego. W tych warunkach nie można było mówić o źle ulokowanych pieniądzach: nawet jeśliby przegrał, to i tak nic nie tracił.

Biggs ogrzał spodnie od munduru nad lampą i pomógł mu się w nie wcisnąć. Michael wsunął nocną koszulę do środka, a żołnierz przystąpił do skomplikowanej procedury opatulania pilota warstwami ubrania przed lodowatym zimnem, jakie panowało w otwartym kokpicie. Na koszulę założył mu jedwabną kamizelkę, następnie grubą wełnianą kurtę, jakich używają rybacy, skórzaną kurtkę i wreszcie oficerski płaszcz z obciętymi połami, żeby nie zaplątały się w stery.

Po całej tej operacji Michael był tak wypchany ubraniami, że nie mógł się schylić, aby założyć buty. Biggs ukląkł i naciągnął mu jedwabne skarpetki na gołe stopy, potem dwie pary wełnianych myśliwskich skarpet i wreszcie wysokie buty ze skóry kudu, które Michael przywiózł z Afryki. Miękkie podeszwy butów pozwalały lepiej wyczuwać stery. Kiedy Michael wstał z łóżka, jego szczupłe, silne ciało było zupełnie bezkształtne pod kilkoma warstwami ubrania, a ramiona sterczały na boki jak u pingwina. Biggs przytrzymał dla niego połę namiotu i ruszył przodem z latarnią, oświetlając drogę po chodniku z desek prowadzącą przez ociekający wodą sad do kantyny.

Mijając ciemne namioty ustawione pod jabłoniami, Michael słyszał delikatne kasznięcia i poruszenia. Nikt już nie spał i pozostali piloci nasłuchiwali kroków, modląc się za niego, a niektórzy

pewnie cieszyli się, że to nie oni muszą lecieć tego ranka przeciwko balonom.

Gdy wyszli z sadu, Michael zatrzymał się na chwilę. Wiatr toczył ciemne chmury na północ i na niebie pojawiały się małe punkciki gwiazd, blednąc w pierwszych promieniach wstającego słońca. Po tylu miesiącach Michael nie przyzwyczał się jeszcze do północnego nieba; potrafił już rozpoznać niektóre konstelacje, ale w niczym nie przypominały mu one ukochanych gwiazd południa: Wielkiego Krzyża, Achernara, Argusa i innych. Opuścił wzrok i ruszył niemrawo za Biggsem i migoczącą latarnią.

Kantyna eskadry znajdowała się w zrujnowanej chaumiere robotników, którą żołnierze odnowili i pomalowali, a także założyli na podziurawiony słomiany dach nowy brezent. Wnętrze było przytulne i ciepłe.

Biggs zatrzymał się przy drzwiach.

— Zatrzymam dla pana te piętnaście funtów z wygranej, jak pan wróci, sir — mruknął cicho.

Biggs nigdy nie życzył mu szczęścia przed lotem, gdyż według przesądu pilotów nic bardziej nie sprowadzało pecha.

Na kominku paliła się wesoło kłoda drzewa, a major Andrew Killigerran siedział przed Ogniem z nogami opartymi o krawędź kraty. Oprócz niego był jeszcze służący, który właśnie uprzytał talerze.

— Owsianka, chłopcze — Andrew wyjął fiolkę z ust i przywitał Michaela — z masłem i z cukrem. Śledzie ugotowane w mleku...

Michael aż się wzdrygnął.

— Zjem po powrocie.

Jego zaciśnięty ze strachu żołądek zaprotestował kolejnym skurczem na zapach wędzonych tuszek śledzi. Dzięki pomocy wujka ze sztabu generalnego Andrew zaopatrywał eskadrę w najlepsze wiktuały, jakie mógł zapewnić jego majątek: szkocką wołowinę, kuropatwy, łososie, dziczyznę w sezonie, jajka, sery, konfitury i owoce, a zwłaszcza cudowną słodową whisky o trudnej do wymówienia nazwie, która pochodziła z rodzinnej gorzelni.

— Kawa dla kapitana Courteneya! — zawołał Andrew do kaprała, a kiedy ten podszedł z kubkiem kawy, sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął z niej srebrną piersiówkę z wielkim złotym kieliszkiem nałożonym na kortk i wlał sporą miarkę alkoholu do parującego napoju.

Michael zatrzymał pierwszy łyk w ustach, pozwalając, żeby ostry smak napoju rozszedł się po języku. Przełknął kawę i poczuł, jak alkohol rozgrzewa mu żołądek i rozchodzi się przyjemnym ciepłem po żyłach.

Uśmiechnął się do przyjaciela.

— Cudowne — szepnął ochryplym głosem i dmuchnął na końce palców.

— Woda życia, chłopcze.

Michael kochał tego wytwornego, niedużego mężczyznę, jak nigdy nie kochał żadnego człowieka — bardziej niż własnego ojca, bardziej nawet niż wujka Seana, który przedtem był podporą jego życia.

Na początku ich znajomości wyglądało to jednak zupełnie inaczej. Przy pierwszym spotkaniu Michael miał wątpliwości co do ekstrawaganckiej, niemal kobiecej urody tamtego, jego długich rzęs miękki pełnych ust, delikatnego ciała, zgrabnych dłoni i stóp oraz wyniosłego sposobu zachowania.

Pewnego wieczoru, niedługo po przybyciu do eskadry, Michael uczył nowych kolegów gry w bok-bok. Jedna grupa mężczyzn ustawiała się w piramidę, a druga próbowała ją obalić, rzucając się pełnym pędem na ludzką ścianę i uderzając w jej szczyt. Andrew czekał, aż zabawa zakończy się w hałaśliwym chaosie splątanych ciał, a następnie zabrał Michaela na stronę i powiedział mu:

— Rozumiem, że przybyłeś do nas gdzieś spod równika i staram się brać na to poprawkę.

Jednak...

Od tamtej pory odnosili się do siebie chłodno i na dystans, a jednocześnie obserwowali uważnie, jak ten drugi strzela i lata.

Jako chłopiec Andrew nauczył się strzelać do szkockiej kuropatwy unoszącej się na silnym wietrze centymetry nad wrzosowiskiem! Michael opanował tę samą sztuczkę, strzelając do słońek i stepówek skręcających nieoczekiwanie po afrykańskim niebie w mocnych porywach wiatru. Obaj mężczyźni szybko dopasowali swoje umiejętności do problemu strzelania z karabinu maszynowego vickers ustawionego na mało stabilnej platformie samolotu soppwith pup pędzącego wysoko nad ziemią.

Podglądali też swoje sposoby latania. Zdolność pilotowania była darem. Ci, którzy go nie mieli, ginęli w ciągu pierwszych trzech tygodni; ci, którzy go posiadli, żyli nieco dłużej. Po miesiącu Michael wciąż jeszcze żył i Andrew odezwał się do niego pierwszy raz od czasu gry w bok-bok w kantynie.

— Courteney, lecisz dzisiaj na moim skrzydle.

Miał to być rutynowy lot kontrolny wzdłuż linii frontu. Mieli przy okazji „okrzesać” dwóch nowych pilotów, którzy poprzedniego dnia dołączyli do eskadry prosto z Anglii, z czternastoma godzinami ldtu jako całym doświadczeniem. Andrew nazywał takich pilotów „pasza dla fokkerów”. Obaj młodzieńcy mieli po osiemnaście lat, różowe policzki i mnóstwo najlepszych chęci.

— Nauczyliście się nieco akrobatyki? — zapytał ich Andrew.

— Tak, sir — odparli jednym głosem. — Obaj wykonaliśmy pętle.

— Ile razy?

Lekko zawstydzeni spuścili wzrok.

— Raz — przyznali się.

— Jezu! — mruknął Andrew i wciągnął głośno powietrze przez firkę. — Spadanie?

Obaj chłopcy wyglądali na zdziwionych i Andrew złapał się nerwowo za brew i jęknął.

— Spadanie — wtrącił się Michael przyjaznym tonem — polega na tym, że błyskawicznie zmniejszacie szybkość i samolot gwałtownie opada.

Obaj pokręcili przecząco głowami i znowu odezwali się chórem:

— Nie, sir, nikt nas tego nie nauczył.

— Ci Hunowie pokochają was od pierwszego wejrzenia — mruknął Andrew i powiedział zdecydowanym tonem: — Po pierwsze, zapomnijcie o akrobatyce, zapomnijcie o pętlach i całym tym gównie, w przeciwnym razie, kiedy będziecie wisieć do góry nogami, jakiś Hun odstrzeli wam jaja przez nos, zrozumieliście?

Młodzieńcy pokiwali głowami.

— Po drugie, macie lecieć za mną, robić to, co ja, uważać na moje ręczne sygnały i natychmiast je wypełniać, jasne? — Andrew założył swój szkocki берет z pomponem na głowę i zawiązał go pod szyją zieloną szarfą, która była jego oznaką. — No to chodźcie, dzieciaki.

Z dwoma nowicjuszami ustawionymi między sobą przelecieli nad Arras na wysokości trzech tysięcy metrów, a silniki samolotowe LeRhpne grały całą mocą osiemdziesięciu koni mechanicznych. Były to najdoskonalsze myśliwce, jakie stworzył człowiek, które z łatwością zestirzeliwały z nieba maxy immelmanny i dumne fokkery eindekkery.

Tego dnia była wspaniała pogoda, w górze płynęło kilka chmur kłęblastych, zbyt wysoko, żeby ukryć niemieckie myśliwce. Powietrze byłd tak czyste, że Michael zauważył stary dwupłatowiec zwiadowczy apler z odległości piętnastu kilometrów. Samolot krążył nisko nad francuskimi liniami, kierując ogniem niemieckich baterii.

Andrew wypatrzył rumplera w chwilę po Michaelu i przesłał mu sygnał podniesioną dłonią. Zamierzał naprowadzić dwóch młodziaków na strzał. Michael nie znał żadnego innego dowódcy eskadry, który /zrezygnowałby z łatwego łupu, gdy liczba zestrzelonych samolotów była najlepszą drogą do awansu i odznaczeń. Michael skinął głową i obaj sprowadzili dwóch nowicjuszy w dół, wskazując im wolno lecącą maszynę pod nimi. Młodzi piloci nie potrafili jednak wypatrzyć wroga swoim niedoświadczonym wzrokiem i spoglądali ze zdziwieniem na dowódców.

Dwaj Niemcy w samolocie byli tak zajęci obserwowaniem rozrywających się poniżej pocisków, że nie spostrzegli morderczej formacji zbliżającej się szybko od tyłu. Nagle młodszy z pilotów bliżej Michaela uśmiechnął się z ulgą i wskazał ręką przed siebie. Wreszcie zauważył rumplera.

Andrew machnął zaciśniętą pięścią nad głową, dając kawaleryjski sygnał: „Do ataku!” i pierwszy z nowicjuszy opuścił dziób samolotu, nie zamykając przepustnicy. Sopwith runął w dół lotem nurkującym z taką siłą, że Michael skrzywił się, widząc, jak podwójne skrzydła wyginają się pod naciskiem powietrza, a materiał marszczy się na krawędziach. Drugi nowicjusz spuścił maszynę w dół równie stromym lotem. Michaelowi obaj młodzieńcy przypominali dwa podrośnięte lwiatka, które kiedyś podejrział, gdy próbowały dopaść starej zebry, wpadając na siebie w komicznym zamieszaniu, podczas gdy zebra z pogardą wymykała im się spod pazurów.

Obaj młodzieńcy otworzyli ogień z odległości prawie tysiąca metrów i niemiecki pilot obejrzał się za siebie, ostrzeżony strzałami; następnie, wyczekawszy na odpowiedni moment, zanurkował pod dziobami atakujących samolotów, gubiąc pogoń. Obaj młodzi piloci polecili z rozpędu kilometr poza cel. Michael widział, jak wykręcają głowy w kokpitach w poszukiwaniu rumplera.

Andrew pokręcił ze smutkiem głową i sprowadził Michaela w dół. Opadli gładko za ogonem rumplera i niemiecki pilot skręcił ostro maszynę, podrywając ją w górę, żeby naprowadzić siedzącego z tyłu strzelca na nowych wrogów. Michael i Andrew rozpierzchli się w przeciwnych kierunkach, ale kiedy niemiecki pilot zorientował się, że jego manewr zawiódł, i wyprostował lot, nawrócili sopwithy mocnym skrzętem na ogon rumplera.

Andrew prowadził. Posłał jedną serię z vickersa z odległości trzydziestu metrów i niemiecki strzelec, pocięty kulami kalibru trzysta trzy, poleciał do tyłu z rozrzuconymi rękami, wypuszczając karabin maszynowy spandau. Niemiecki pilot usiłował zanurkować i samofijt Andrew omal nie zawadził o górny płat skrzydła rumplera, gdy nim przelatywał.

Teraz przyszła kolej na Michaela. Oceniał skręt nurkującego rumplera, nacisnął lekko drążek steru, tak że maszyna zboczyła z kursu, jakby przesuwiał strzelbą za uciekającą słońką, i zacisnął palec wskazujący na cynglu vickersa, wypuszczając serię pocisków. Zobaczył, jak materiał kadłuba rumplera rozpada się na strzępy tuż pod kokpitem, na wysokości piersi pilota.

Niemiec był obrócony w stronę Michaela i obaj piloci patrzyli na siebie z odległości piętnastu metrów. Michael widział pod goglami jego bladoniebieskie oczy i krótki, jasny zarost na brodzie. Niemiec otworzył usta, gdy trafiły go pociski, a z ust wytrysnęła mu struga krwi z rozdartych płuc, rozplywając się w strumieniu powietrza za samolotem, Michael zaś już go mijał, wzbijając się w górę. Rumpler przetoczył się ciężko na grzbiet i z dwoma martwymi Niemcami wiszącymi na pasach poleciał w dół. Maszyna wyrznęła o ziemię na środku pola i rozpadła się na części.

Kiedy Michael wrócił na swoje miejsce na skrzydle Andrew, ten spojrział na niego, skinął głową i dał znak, żeby sprowadzić obu nowicjuszy, którzy nadal zataczali szaleńcze koła w poszukiwaniu niemieckiego samolotu. Zajęło im to więcej czasu, niż mogli przypuszczać, i kiedy wreszcie mieli już obu młodzieńców pod swoimi skrzydłami, cała formacja znajdowała się dalej na zachód, niż kiedykolwiek wcześniej się zapuszczali. Na horyzoncie było widać grubą, lśniącą wstęgę Sommy, która wiała się przez zieloną równinę wybrzeża . w kierunku morza.

Formacja zawróciła na wschód w stronę Arras, z wolna wspinając się w górę, żeby uniknąć ataku niemieckich fokkerów.

Nabierając wysokości widzieli pod sobą panoramę północnej Francji i południowej Belgii, płachty pól w kilkunastu odcieniach zieleni, przecinane brązowymi pasami ornej ziemi. Z tej wysokości trudno było rozpoznać linię frontu; wąska wstęga zoranej pociskami ziemi wiła się łatwo we wspaniałej scenerii, a cierpienie i śmierć pod nimi wydawały się tylko złudzeniem.

Obaj starsi piloci nieustannie przeszukiwali niebo nad i pod sobą. Bez przerwy wypatrywali wroga, nawet na chwilę nie zatrzymując oczu na jednym obiekcie. W przeciwieństwie do nich obaj nowicjusze wydawali się zupełnie beztroscy i zadowoleni z siebie. Za każdym razem, gdy Michael spoglądał w ich stronę, uśmiechali się i machali rękłmi. Wreszcie dał sobie spokój i przestał nakłaniać ich do podjęcia obserwacji nieba; nie rozumieli jego sygnałów.

Wyrównali lot na wysokości czterech i pół tysiąca metrów — skutecznym pułapie dla sopwithów. Michael poczuł, jak odpływa gnębiące go poczucie niepewności przy locie nad nieznanym terenem na niskiej wysokości. W dole rozciągało się Arras. Żaden fokker nie mógł kryć się w gęstych chmurach pierzastych nad nimi, gdyż samoloty niemieckie nie osiągały tego pułapu.

Rzucił kolejne badawcze spojrzenie na linię frontu. Na południe od Mons wznosiły się dwa niemieckie balony obserwacyjne, a pod nimi skrzydło sojusznicznych DH2 kierowało się w stronę Amiens, co znaczyło, że muszą być z eskadry 22.

Za dziesięć minut powinni lądować — Michael nie dokończył myśli, gdyż nieoczekiwanie, w jakiś zupełnie niesamowity sposób, niebo wokół nich zaroilo się od jaskrawo pomalowanych samolotów, a ich uszy wypełnił terkot spandauów.

Nawet kompletnie zaskoczony Michael zareagował instynktownie. Kiedy wprowadzał sopwitha w maksymalnie ostry skręt, śmignął mu tuż przed dziobem samolot o kształcie rekina pomalowany w czerwono--czarną szachownicę i z białą czaszką ozdobioną krzyżem maltańskim na kadłubie. Jeszcze ułamek sekundy i spandau wroga pociąłby go na kawałki. Michael uświadomił sobie, że Niemcy spadli na nich z góry. Mimo że nadal nie mógł w to uwierzyć, wróg znajdował się w chmurach, nad sopwithami.

Pomalowana na krwistoczerwony kolor maszyna przykleiła się do ogona Andrew, waląc z karabinów w krawędź dolnego skrzydła i przenosząc ogień ku siedzącemu w otwartym kokpicie pilotowi, którego twarz wyglądała niczym biała plama pod beretem z zieloną szarfą. Michael instynktownie ruszył na Niemca i ten, nie chcąc ryzykować zderzenia, zerwał kontakt.

— Ngi dla! — Michael wydał z siebie okrzyk bojowy Zulusów, naprowadzając maszynę na czerwony samolot i szykując się do śmiertelnego strzału.

Z niedowierzaniem zobaczył, jak wróg umyka przed nim, zanim jeszcze zdążył wycelować z vickersa. W tej samej chwili sopwith zatrząsł się od ciosów kul i jedna z linek u góry pękła z głośnym trzaskiem, gdy kolejny wróg zaatakował go od tyłu.

Michael skręcił, widząc pod sobą Killigerrana, który usiłował wspiać się wyżej, umykając przed kolejnym napastnikiem. Niemiec szybko podchodził do Andrew ustawiając się do strzału i Michael runął prosto na wroga. Czerwono-czarne skrzydła śmignęły mu nad głową — ale zaraz tego przeciwnika zastąpił inny niemiecki samolot i tym razem Michael nie mógł go strząsnąć z ogona, maszyna wroga była zbyt szybka, zbyt silna, i chłopak wiedział, że już po nim.

Nagle strumień pocisków nieprzyjaciela urwał się, a obok skrzydła Michaela przemknął samolot Andrew, odpędzając Niemca. Michael wykonał desperacki skręt i pognął za towarzyszem. Obaj utworzyli koło obronne, chroniąc brzuch i ogon samolotu drugiego, podczas gdy zewsząd otaczała ich chmara Niemców ogarniętych morderczą pasją.

Tylko część umysłu Michaela zanotowała fakt śmierci obu nowicjuszy; zginęli w pierwszych sekundach walki: jeden z nich spadał w dół lotem pionowym, z okaleczonymi skrzydłami, które szybko urwały się pod naciskiem powietrza, drugi zaś zmienił się w pochodnię, rozmazując na niebie grubą smugę czarnego dymu znaczącą jego upadek.

Niemcy zniknęli równie nieoczekiwanie, jak się pojawili — nietknięci i niezniszczalni, wrócili ku własnym liniom, zostawiając parę podartych kulami sopwithów.

Andrew wylądował przed Michaeliem i zaparkowali maszyny obok siebie na krawędzi sadu. Wygramolili się obaj z kokpitów i obeszlili wolno swoje samoloty, sprawdzając zniszczenia. Wreszcie stanęli twarzą w twarz, zdrętwiali od szoku.

Andrew sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął srebrną flaszkę. Odkręcił korek, otarł szyjkę zieloną szarfą i wręczył piersiówkę Michaelowi.

— Napij się, chłopcze — powiedział ostrożnie. — Zasłużyłeś sobie.

Tak więc tego dnia, kiedy siły alianckie utraciły przewagę nad niebem Francji, wyparte przez niemieckie myśliwskie „Albatrosy” typu D, Michael i Andrew zostali z konieczności towarzyszami broni, formując obronne koło za każdym razem, gdy z nieba spadały na nich pomalowane na jaskrawe kolory narzędzia śmierci. Z początku byli zadowoleni, kiedy udało im się umknąć wrogowi, ale później zaczęli sprawdzać możliwości nowego nieprzyjaciela, przeglądając po nocach spóźnione raporty wywiadu. Dowiedzieli się, że „Albatrosy” mają silniki mercedesa o mocy stu sześćdziesięciu koni mechanicznych, dwukrotnie silniejsze niż silniki Le Rhône sopwithów. Nowy typ niemieckich samolotów zwiadowczych był wyposażony w podwójny karabin maszynowy typu spandau 7.92 mm, z elektrycznym wyłącznikiem, strzelający do przodu przez śmigło. Sopwith miał tylko pojedynczy karabin vickers trzysta trzy, niemieckie samoloty były więc nie tylko szybsze, ale i dysponowały większą siłą ogniową. „Albatros” był także cięższy o jakieś trzysta pięćdziesiąt kilo od sopwitha i trzeba było wystrzelić o wiele więcej pocisków, żeby strącić go z nieba.

— No więc, stary, musimy się nauczyć, jak wymanewrować bydlaków — skomentował Andrew i ruszyli obaj przeciwko zmasowanym formacjom, żeby poznać słabe strony tamtych. Były tylko dwie. Sopwith potrafił wykonać obrót wokół własnej osi, a „Albatrosy” miały chłodnice usytuowane na górnym skrzydle bezpośrednio nad głową pilota. Celny strzał w zbiornik powodował wytryśnięcie strumienia gotującego się płynu chłodniczego na pilota, który ginął w okropnych męczarniach.

Wykorzystując tę wiedzę, stracili razem pierwsze „Albatrosy”. Jednocześnie sprawdzili siebie nawzajem i nie znaleźli żadnych słabych stron. Koleżeństwo szybko przekształciło się w prawdziwą przyjaźń, a następnie w miłość i szacunek większy niż rodzonych braci. Tak więc teraz siedzieli w milczeniu, popijając kawę zakrapianą whisky i czekając na lot przeciw balonom.

— Losujemy? — przerwał ciszę Michael; zbliżał się czas wylotu. Andrew rzucił suwerena w powietrze i przykrył go dłonią, gdy opadł na blat stołu.

— Reszka — powiedział Michael i Andrew podniósł dłoń.

— Ale masz fart — mruknął, gdy na stole zobaczyli brodaty profil George'a V.

— Biorę drugą pozycję — powiedział Michael i Andrew otworzył usta, żeby zaprotestować.

— Wygrałem, więc mogę wybierać. Michael wstał, żeby uciąć dyskusję.

Latanie przeciw balonom przypominało spotkanie ze śpiącą zmiją afrykańską — wielkim i nieruchawym gadem występującym na równinie afrykańskiej. Pierwszy mężczyzna budził zmiję, tak że szyja gada skręcała się w złowieszcze „S”, gotowa do ataku, a drugi otrzymywał cios zakrzywionymi zębami jadowymi w łydkę. Podczas akcji przeciwko balonom obserwacyjnym musieli lecieć w jednej linii — pierwszy pilot budził obronę naziemną, a drugi przyjmował na siebie całą wściekłość nieprzyjaciela. Michael specjalnie wybrał drugą pozycję. Gdyby to Andrew wygrał,

zrobiłby dokładnie to samo.

Zatrzymali się w drzwiach mesy, żeby naciągnąć rękawice, zapiąć płaszcze i rozejrzeć się po niebie, oceniając siłę wiatru i nasłuchując kanonady dział.

— W dolinach będzie mgła — mruknął Michael. — Wiatr jeszcze jej nie podniósł.

— Lepiej módl się o to, chłopie — odparł Andrew i skrepowani wieloma warstwami ubrań ruszyli niezdarnie po drewnianym chodniku w stronę stojących na brzegu sadu samolotów.

Dla Michaela były to kiedyś najpiękniejsze na świecie maszyny, ale od czasu, gdy zobaczył wąskie dzioby „Albatrosów”, przypominające pyski rekinów, potężne wirowe silniki sopwithów ograniczające widoczność wydawały mu się wręcz brzydkie. W porównaniu z potężnymi kadłubami tamtych angielskie samoloty wydawały się wyjątkowo delikatne.

— Jezu, kiedy wreszcie dostaniemy maszyny nadające się do latania! — narzekał głośno, ale Andrew nic nie odpowiedział. Zbyt często klęli długi czas oczekiwania na obiecane im nowe myśliwce typu SE5a — Skaut Eksperymentalny 5a — które pozwoliłyby im walczyć na równych warunkach z potęgą niemieckich samolotów.

Sopwith Killigerrana był pomalowany na jasnozielony kolor, który harmonizował z jego nieodłączną zieloną szarfą, a na kadłubie za kokpitem wymalowano czternaście białych kółek, oznaczających czternaście poświęconych strąceń. Na obudowie silnika umieszczono napis dużymi literami: „Latająca Szkocka Baranina”.

Michael wybrał jasnożółtego sopwitha z uskrzydłonym żółciem o przygnębionej minie namalowanym pod kokpitem i tekstem: „Nie pytaj o nic — ja tu tylko pracuję”. Na kadłubie miał sześć białych kółek.

Przy pomocy obsługi naziemnej wdrapali się na dolne skrzydło i wsunęli do ciasnych kokpitów. Michael położył stopy na pedałach kontrolnych i naciskając na przemian prawy i lewy, obserwował przez ramię poruszające się płyty sterów. Usatysfakcjonowany podniósł kciuk do mechanika, który poświęcił większą część nocy na naprawę kabla przestrzelonego poprzedniego dnia. Tamten uśmiechnął się i podbiegł do przodu maszyny.

— Przełączniki wyłączone? — zawołał.

— Przełączniki wyłączone! — potwierdził Michael, wychylając się z kokpitu, żeby spojrzeć ponad potężnym silnikiem.

— Zasysaj! r

— Zasysam! — powtórzył Michael i zaczął poruszać rączką ręcznej pompy paliwa.

Kiedy mechanik zakręcił śmigłem, Michael usłyszał, jak paliwo dopływa do gaźnika pod maską silnika.

— Przełączniki włączone!

— Przełączniki włączone!

Przy następnym obrocie śmigła silnik wystrzelił i zaterkotał. Z wylotów wydechowych zaczął wydobywać się niebieski dym i w powietrzu rozszedł się swąd palonego oleju rycynowego. Silnik zaskoczył, zgasł, zaraz znowu zaskoczył i przeszedł w jednostajny terkot.

Dopełniając rutynowego przeglądu przyrządów, Michael czuł, jak żołądek zaciska mu się i chwyta go kolka. Olej rycynowy służył do naoliwienia silnika i wyziewy, którymi oddychali, przyprawiwały wszystkich pilotów o łagodną biegunkę. Starzy wyjadacze wkrótce zorientowali się, jak najlepiej się zabezpieczyć: whisky wspaniale łagodziła niepożądane efekty, jeśli używali jej w odpowiedniej ilości. Młodzi piloci często zyskiwali przyjazne epitety, takie jak: „śliskie tyłki” czy „wilgotne spodenki”, gdy wracali z lotów patrolowych, roztaczając wokół siebie określony zapach i z czerwonymi twarzami.

Michael założył gogle i spojrzął na przyjaciela. Skinęli głowami, Andrew otworzył przepustnicę i ruszył wolno po miękkiej ziemi. Michael podążył za nim, a mechanik biegł obok skrzydła, żeby pomóc mu zakręcić i ustawić się na wąskim pasie pomiędzy jabłoniemi.

Andrew wzniósł się już w powietrze i Michael otworzył szerzej przepustnicę. Niemal natychmiast samolot podrzucił do góry ogon i Michaela naszły lekkie wyrzuty sumienia w związku ze swą niedawną nielojalnością. To był wspaniały samolot, cudownie się nim latało. Mimo zalegającego pas startowy błota szybko oderwał się od ziemi i na wysokości trzydziestu metrów Michael wyrównał za zieloną maszyną Andrew. Zrobiło się już dostatecznie jasno, żeby rozpoznać zielonkawą wieżyczkę kościoła w małej wiosce Mort Homme. Przed nim rozciągał się dębowo-brzozowy las w kształcie litery T; podstawa litery biegła równoległe do lądowiska eskadry, co było znaczną pomocą przy lądowaniu w trudnych warunkach atmosferycznych. Za lasem, w samym środku wypielegnowanych trawników i ogrodów, stał pałacyk z różowymi dachami, a za nim wznosił się niski pagórek.

Andrew skręcił lekko w prawo, żeby ominąć pagórek, i Michael podążył za nim, wyglądając w dół przez kokpit. Czy zobaczy ją dzisiaj? Było jeszcze za wcześnie i pagórek wydawał się opustoszały. Michael poczuł rozczarowanie i strach. Po chwili dostrzegł ją — pędziła galopem na koniu w stronę szczytu wzniesienia. Wielki biały ogier gnał co sił w nogach, lekko unosząc szczupłą dziewczynę.

Dziewczyna na białym koniu była ich talizmanem przynoszącym szczęście. Jeśli czekała na pagórku, żeby pomachać pilotom, nic im nie mogło się stać. Tego dnia, kiedy lecieli przeciwko balonom, bardziej niż kiedykolwiek potrzebowali jej błogosławieństwa.

Dziewczyna dotarła na szczyt wzgórza i zatrzymała wierzchowca. Na kilka sekund przedtem, zanim się z nią zrównali, zdjęła z głowy kapelusz, spod którego spłynęły na ramiona gęste, ciemne loki. Pomachała im kapeluszem i Andrew odpowiedział jej machnięciem skrzydeł, gdy mijał ją w pełnym pędzie.

Michael zniżył lot, kierując się na wzgórze. Biały ogier cofnął się nerwowo, gdy żółta maszyna nadleciała z rykiem, ale dziewczyna z łatwością go opanowała, nie przestając machać kapeluszem. Michael chciał zobaczyć jej twarz. Znajdował się prawie na wysokości szczytu wzgórza, bardzo blisko dziewczyny. Przez chwilę patrzył jej w oczy. Były duże i ciemne i Michael poczuł, jak serce bije mu mocniej. Dotknął czapki w geście salutu i w głębi duszy zyskał pewność, że wszystko dzisiaj pójdzie dobrze. Odsunął z pamięci spojrzenie pięknych oczu i popatrzył przed siebie.

Piętnaście kilometrów przed nim — w miejscu, gdzie linia frontu przecinała niskie kredowe ściany — zobaczył z ulgą, że wiatr nie rozwiął jeszcze mgły wiszącej w dolinach. Kredowe ściany wzniesień były całe poszarpane przez pociski, nie ostała się na nich żadna roślinność. Połamane pnie dębów sięgały zaledwie człowiekowi do ramion, a wypełnione stęchłą wodą leje po bombach były tak liczne, że łączyły się ze sobą. W wyniku wielu wojennych ofensyw wzniesienia przechodziły z rąk do rąk, ale na początku ostatniej zimy zostały zajęte przez wojska alianckie kosztem wręcz niewyobrażalnej liczby ludzkich istnień. Poszarpana i podziurawiona ziemia wydawała się pusta, ale było w niej mnóstwo żywych i umarłych, gnijących razem w wilgotnych rowach. Fetor rozkładu i śmierci unosił się wysoko w górę i dosięgwał pilotów, doprowadzając niektórych do mdłości.

Za wzgórzami żołnierze z Afryki Południowej i Nowozelandczycy z Trzeciej Armii Wojsk Sprzymierzonych przygotowywali rezerwowe pozycje jako środek bezpieczeństwa: gdyby ofensywa, szykowana dalej na zachód nad Sommą, załamała się, siły te przyjęłyby na siebie uderzenie armii niemieckiej.

W przygotowaniu nowej linii obronnej przeszkadzała niemiecka artyleria zgrupowana na północ

od pasma wzgórz, która zalewała cały obszar niemal nieprzerwanym strumieniem pocisków. Lecąc nad frontem, Michael mógł dokładnie przyjrzeć się żółtej mgłę, powstałej po wybuchach pocisków wystrzelonych z setek haubic, wiszącej poniżej szczytów wzgórz. Wyobraził sobie cierpienia ludzi, którzy musieli pracować w błocie, masakrowani odłamkami bomb.

Kiedy oba samoloty zbliżyły się do linii wzgórz, łoskot ognia zaporowego przewyższył okropny terkot wielkiego silnika Le Rhône i napierającego na pilotów strumienia zaśmigłowego. Ryk ognia zaporowego przypominał odgłos sztormu rozbijającego się o skaliste wybrzeże, był niczym gorączkowy puls oszałałego świata i w miarę narastania hałasu Michael czuł, jak przechodzi mu złość na człowieka, który posłał ich przeciwko balonom. Patrząc na niesamowite zniszczenia poniżej, uświadomił sobie, że jest to zadanie, które musi zostać wykonane.

Jednak balony były najbardziej znienawidzonym celem, którego obawiali się wszyscy piloci — właśnie dlatego Andrew Killigerran nie posłałby przeciwko nim nikogo innego. Michael zobaczył je wreszcie; wisiały wysoko nad wzgórzami niczym tłuste, srebrzyste kule, oświetlone promieniami wstającego słońca. Jeden znajdował się wprost przed nimi, drugi kilka kilometrów dalej na wschód. Z tej odległości kable, którymi przymocowano balony do ziemi, pozostawały niewidoczne, a wiklinowe kosze, gdzie siedzieli obserwatorzy, mając doskonały widok na tyły wojsk alianckich, wyglądały niczym małe czarne punkciki zawieszane pod lśniącymi powłokami wypełnionymi wodorem.

W tej samej chwili potężny poryw powietrza cisnął sopwithami w górę i jednocześnie bezpośrednio przed nimi wystrzeliła w niebo fontanna ognia i dymu, czarna i jaskrawoczerwona, rozwijając się olbrzymimi kłębami w monstrualny grzyb i wznosząc się -wysoko nad lecące na niedużej wysokości samoloty, co zmusiło obu pilotów do gwałtownego skrętu. Jedno z niemieckich dział naprowadzanych z balonu trafiło w wysunięty skład amunicji wojsk alianckich. Michael poczuł, jak strach i niechęć znikają zastąpione palącą nienawiścią do artylerzystów oraz wiszących w powietrzu obserwatorów, którzy z zimną obojętnością wypatrywali celów i wysyłali przeciw nim śmierć. Andrew wrócił na kurs nad wzgórzami, zostawiając słup ognia i dymu na prawo od nich. Jednocześnie zniżał lot, aż wreszcie jego samolot ślizgał się tuż nad okopami osłoniętymi workami z piachem. Pod sobą mieli oddział wojsk południowoafrykańskich, które szły w szeregu rowem łącznościowym. Schylone ciemnobrązowe sylwetki, obciążone plecakami i sprzętem, nie przypominały nawet ludzi. Tylko kilku żołnierzy podniosło głowy, żeby spojrzeć na kolorowe samoloty pędzące z rykiem nisko nad ziemią. Mężczyźni mieli szare, zabłocone twarze i spoglądali w górę zmęczonymi, pustymi oczami.

Przed samolotami otworzył się jeden z przesmyków, które przecinały kredowe ściany. Wąwóz wypełniała poranna mgła. Falowała lekko na wietrze, jakby ukryta pod nią ziemia budziła się pod jedwabną pościelą.

Michael usłyszał blisko przed sobą terkot vickersa. Andrew wystrzelił na próbę, żeby sprawdzić broń. Michael skrzył lekko z kursu i wystrzelił krótką serię. Pociski smugowe, z fosforem na czubkach, przecięły czyste powietrze białymi liniami.

Wrócił na kurs za przyjacielem i obie maszyny zanurzyły się we mgłę, wkraczając w nowy wymiar światła i stłumionego odgłosu silników. Rozproszone światło tworzyło wokół samolotów aureole w kolorach tęczy, a zebrana w powietrzu wilgoć skropliła się na goglach Michaela. Zsunął je na czoło i mrużąc oczy, spojrzął przed siebie.

Poprzedniego popołudnia Michael i Andrew sprawdzili wąski przesmyk upewniając się, że nie ma w nim żadnych przeszkód ani pułapek i zapamiętali wszystkie skręty i wzniesienia. Teraz jednak, przy widoczności ograniczonej do jakichś dwustu metrów, gdy strome kredowe ściany wznosiły się

po obu stronach skrzydeł, przelot okazał się wyjątkowo niebezpieczny.

Michael zbliżył się do ogona zielonego samolotu i podążał za nim wiernie, ufając, że przyjaciel przeprowadzi go na drugą stronę. Lodowate zimno wilgotnej mgły przenikało przez ubranie i czuł, jak w skórzanych rękawicach drętwieją mu palce.

Lecący tuż przed nim Andrew wzbił się gwałtownie w górę i kiedy Michael poszedł w jego ślady, zobaczył pod kołami samolotu kłęby kolczastego i przerdzewiałego drutu.

— Ziemia niczyja — mruknął Michael i lecieli już nad niemieckimi okopami.

We mgle dostrzegali jedynie zarysy nasypów, za którymi przykucnęli żołnierze w szarych mundurach i brzydkich, przypominających wiadra na węgiel hełmach.

Jeszcze kilka sekund lotu i wyrwali się z morza mgły na świat ozłocony promieniami niskiego słońca. Jaskrawe niebo oślepiło ich na chwilę. Michael uświadomił sobie, że udało im się osiągnąć pełne zaskoczenie. Mgła ukryła ich przed obserwatorami w balonach i stłumiła hałas silników.

Bezpośrednio przed nimi, pięćset metrów wyżej, wisiał pierwszy balon. Stalowa lina kotwiczna, z tej odległości cienka niczym nitka pajęczyny, biegła w dół do parowego dźwigu osłoniętego ze wszystkich stron workami z piaskiem. Balon wydawał się łatwym celem; Michael spojrzął na wyglądające zupełnie niewinnie pole poniżej i dostrzegł działa.

Stanowiska karabinów maszynowych przypominały kopce mrówek w Afryce: malutkie dołeczki otoczone ścianami z worków z piachem. Było ich tyle, że w ciągu kilku krótkich sekund Michael nie mógł ich policzyć nawet w przybliżeniu. Rozejrzał się "szybko za działami przeciwlotniczymi i dostrzegł wysokie, brzydkie lufy wystające z okrągłych podstaw, wycelowane w niebo, gotowe wystrzelić strumieniem szrapneli na sześć kilometrów w górę.

Armaty były już naszykowane do strzału. Niemcy wiedzieli, że wcześniej czy później nadlecą samoloty i byli gotowi na ich przyjęcie. Michael zdał sobie sprawę, że dzięki mgle zyskali tylko kilka sekund zaskoczenia. Widział artylerzystów biegnących do dział. Kiedy pchnął dźwignię otwierającą przepustnicę i sopwith wyrwał silnie do przodu, dostrzegł obłoczek pary wydobywający się z potężnego dźwigu na ziemi. Obsługa starała się jak najszybciej ściągnąć balon w dół, pod osłonę własnego ognia. Lśniąca w promieniach słońca sfera zaczęła zjeżdżać w kierunku ziemi, Andrew zaś poderwał dziób samolotu i pomknął na spotkanie wroga.

Z maksymalnie, otwartą przepustnicą i silnikiem pracującym na pełnych obrotach Michael podążył za nim, kierując samolot na kabel w połowie wysokości pomiędzy ziemią i balonem, w miejscu, gdzie ów powinien się znaleźć, kiedy Michael osiągnie tę wysokość, czyli zaledwie dwieście metrów ponad lufami dział.

Andrew leciał czterysta metrów w przodzie i działa jeszcze nie zaczęły strzelać. Zielony samolot znalazł się na wysokości balonu i puścił serię, z karabinu. Michael usłyszał terkot vickersa, dostrzegł białe smugi pocisków tnących czyste, lodowate powietrze i trafiających w balon, a przed oczyma mignął mu zielony sopwith. Andrew skręcił ostro, koniec skrzydła otarł się o powłokę balonu, który zakołysał się leniwie w strumieniu powietrza.

Teraz przyszła kolej na Michaela i kiedy nakierował broń na balon, działa pod nim rozpoczęły ogień. Usłyszał łoskot wystrzałów i sopwith zakołysał się niebezpiecznie, porwany strumieniem śmigających wokół pocisków, ale szrapnele nastawione były na wybuch na większej wysokości. Wszystkie rozerwały się sto, sto pięćdziesiąt metrów wyżej.

Znajdujące się wprost pod nim karabiny maszynowe były jednak celniejsze. Michael poczuł tępe uderzenie pocisku trafiającego w samolot, a powietrze wokoło stało się aż gęste od białych smug. Przycisnął pedał steru i jednocześnie przesunął drążek sterowniczy do siebie, ustawiając się na chwilę skrzydłem do kul i naprowadzając samolot na balon.

Ów zdawał się pędzić na jego spotkanie i Michael zauważył, że jedwabny materiał pokryty jest obrzydliwą wilgocią niczym robak srebrzystym śluzem. Dostrzegł także obu obserwatorów zawieszonych w otwartym wiklinowym koszu pod spodem i porządnie opatulonych w ciepłe ubrania. Jeden z nich patrzył na zbliżający się samolot tępym wzrokiem, a twarz drugiego wykrzywił strach, gdy Niemiec krzychał jakieś przekleństwo, czy wyzwanie, które zgubiło się w ryku silnika i terkotliwym łoskocie karabinów maszynowych.

Michael nie musiał nawet naprowadzać vickersa, gdyż balon wypełniał mu już całe pole widzenia. Odsunął bezpiecznik i nacisnął spust; karabin zaterkotał, wstrząsając całym samolotem i fosforowy dym z pocisków smugowych owionął twarz chłopca, wypełniając gardło i dławiąc przez chwilę.

Leciał teraz prosto na cel, niemal równoległe do ziemi, i karabiny maszynowe znowu go odszukały, przeszywając sopwitha kulami. Michael nie ustąpił jednak; naciskając na przemian przeciwne stery, skręcał lekko dziób, cały czas dziurawiąc balon setkami pocisków.

— Zapal się! — krzyknął. — Zapal się! Do cholery, zapal się! Czysty wodór nie płonie, dopiero po zmieszaniu go z tlenem w stosunku jeden do jednego tworzy wybuchową mieszaninę. Balon przyjmował na siebie ogień bez najmniejszej szkody.

— Zapal się! — wrzasnął jeszcze raz Michael.

Jego dłoń zacisnęła się kurczowo na rozpalonym, drgającym uchwycie broni; karabin walił wściekle, a z zamka wylatywały strumieniem zużyte łuski. Wodór musiał już wypływać z balonu przez setki dziur, które wraz z Andrew wystrzelili w jedwabnej powłoce, i mieszał się z powietrzem.

— Dlaczego nie chcesz się zapalić?!

Usłyszał strach i rozpacz we własnym krzyku. Zbliżał się coraz bardziej do balonu — powinien już skręcić i zawrócić, żeby uniknąć zderzenia. Ich wysiłek poszedł na marne! Nagle, w chwili klęski, stwierdził, że nie zrezygnuje. Wiedział, że wleci w balon, jeśli będzie musiał.

Kiedy myśl ta przebiegła Michaelowi przez głowę, balon eksplodował mu prosto w twarz. Jego powłoka wydała się sto razy większa i wypełniła całe niebo ogniem. Potężny jęzor ognia dosięgnął sopwitha i jego pilota, parząc mu odsłoniętą skórę na policzkach, i oślepił go, podrzucając maszynę z człowiekiem wysoko w górę niczym pożółkły liść porwany przez silny podmuch znad ogniska. Sopwith próbował przekręcić się na grzbiet i zwałić w dół, Michael walczył ze sterem. Udało mu się powstrzymać samolot przed upadkiem i wspinając się w górę, obejrzał się.

Wodór wypalił się w jednej potężnej eksplozji, a pusta, płonąca powłoka zapadła się na gondole i jej pasażerów. Jeden z niemieckich obserwatorów wyskoczył z kosza i spadał sto metrów w dół, łopocząc połamami płaszcza na wietrze i kopiąc nogami, a potem gwałtownie zniknął w niskiej trawie porastającej pole. Drugi został w koszu, ogień zaś przykrył go całkowicie.

Na ziemi mechanicy obsługujący dźwig usiłowali umknąć z okopu, pierzchając na boki niczym mrówki ze zniszczonego mrowiska, ale powłoka spadała zbyt szybko i uwięziła ich w płonących fałdach. Michael nie odczuwał żadnego współczucia. Przejęło go prymitywne uczucie dzikiego triumfu wzmocnione przez wcześniejszy lęk. Otworzył usta, żeby wydać z siebie zwycięski okrzyk, i w tej samej chwili szrapnel wystrzelony z jednego z dział stojących na obrzeżach pola rozerwał się pod samolotem.

Sopwith znowu poleciał w górę, a przez jego brzuch przedarły się rozpalone do białości odłamki. Michael walczył z maszyną, starając się powstrzymać ją od upadku, gdy w podłodze kokpitu pojawiła się wyrwa, przez którą widać było ziemię i wdzierał się tamtędy lodowaty podmuch powietrza, unosząc do góry połę wojskowego płaszcza.

Utrzymał samolot na kursie, ale maszyna była ciężko ranna. Cps urwało się pod kadłubem i

objało o spód samolotu, a jedno ze skrzydeł miało silne przeciążenie i Michael musiał walczyć, żeby utrzymać sopwitha w poziomie. Przynajmniej znajdował się poza zasięgiem dział.

Nagle u jego boku pojawił się Andrew, spoglądający z niepokojem na samolot przyjaciela, i Michael posłał mu zwycięski uśmiech, wyjąc triumfalnie. Andrew dawał znaki, starając się zwrócić uwagę Michaela, i pokazywał kciukiem sygnał do powrotu: „Wracamy do bazy!”

Michael obejrzał się dokoła. Kiedy mocował się z samolotem, zalecieli dalej na północ, niż zamierzali. Lecieli teraz nad skrzyżowaniem dróg zatłoczonych kolumnami transportu motorowego i na ich widok figurki w szarych mundurach pierzchały do rowów. Michael nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Obrócił się w kokpicie i spojrzał ponad płaskie zielone pole: pięć kilometrów dalej drugi balon płynął leniwie w powietrzu nad skalnymi ścianami wzgórz.

Michael dał przyjacielowi sygnał odmawiający powrotu i wskazał na drugi balon: „Nie — kontynuujemy atak”.

Andrew ponowił wezwanie, tym razem bardziej nagłące: „Wracamy do bazy!” i wskazał na maszynę Michaela, przesuając przy tym ręką po gardle: „Niebezpieczeństwo!”

Michael spojrzał przez dziurę pod nogami, gdzie odłamek szrapnela oderwał część kadłuba. Stukot musiał pochodzić od urwanego koła, wiszącego teraz tylko na kablach mocujących. Kule posiekały kadłub, a także materiał na skrzydłach, który miejscami powiewał na wietrze niczym buddyjskie chorągiewki modlitewne. Silnik Le Rhône pracował jednak na pełnej mocy i w jego potężnym warkocie nie słychać było żadnych przerw czy nieregularności.

Andrew powtórzył sygnał powrotu, ale Michael tylko szybko skinął mu dłonią: „Podążaj za mną!” i położył sopwitha na jedno skrzydło, wprowadzając maszynę w ostry skręt, który niebezpiecznie nadweręzał podniszczony kadłub.

Michael kompletnie zatracił się w szaleństwie walki; teraz groźba śmierci czy kalectwa wydawała się zupełnie nieuzasadniona. Wzrok miał nadnaturalnie wyraźny i prowadził sopwitha, jakby maszyna była częścią jego ciała. Leciał nisko nad żywopłotami, ocierając się jednym kołem o trawę na polu niczym jaskółka śmigająca nad powierzchnią wody, żeby napić się w locie, i jednocześnie, niczym atakujący jastrząb, patrzył z okrucieństwem w oczach na opuszczający się balon.

Oczywiście Niemcy widzieli, co się stało z pierwszym, i w pośpiechu ściągali drugi na ziemię. Zanim Michael zdoła go dosięgnąć, znajdzie się już na dole, a obsługa dział zdąży się przygotować na przyjęcie wroga i będzie czekać z palcami na spustach karabinów. Byłby to atak na niskiej wysokości na upatrzony, przygotowany cel — ale nawet w swojej samobójczej pasji Michael nie stracił nic z wrodzonej przebiegłości myśliwego. Zbliżając się do balonu, wykorzystywał każdą naturalną zasłonę, żeby ukryć samolot.

Przed nim, trochę z boku, ciągnęła się wąska wiejska droga, a rosnący wzdłuż niej rząd smukłych, wysokich topoli był jedyną nierównością na płaskiej równinie aż do wzgórz. Michael wykorzystał linię drzew, skręcając ostro, żeby ustawić się równolegle do nich i mieć stanowisko balonu po drugiej stronie. Spojrzał w lusterko przymocowane do górnego skrzydła bezpośrednio nad swoją głową. Zielony samolot Andrew był za nim tak blisko, że śmigło zdawało się dotykać sterów Michaela. Michael wyszczerzył radośnie zęby, poderwał sopwitha i wzniósł go nad drzewa niczym jeździec przesadzający w pełnym galopie palisadę.

Stanowisko balonu znajdowało się trzysta metrów z przodu. Balon dotarł już na ziemię i obsługa naziemna pomagała właśnie obserwatorom wyjść z kosza, a następnie rzucili się całą grupą do najbliższego rowu. Strzelcy, którym rząd drzew zasłaniał dotąd cel, otworzyli równocześnie ogień ze wszystkich karabinów maszynowych.

Michael wpadł w strumień kul. Pociski zdawały się wypełniać powietrze wokoło, a szrapnele wciągały za sobą powietrze, tak że od gwałtownych zmian ciśnienia czuł ból w uszach. Na stanowiskach widział zwrócone w swoją stronę twarze działowych — białe plamy za krótkimi lufami, które podążały za nim, rozbłyskując nieustannie jaskrawymi wystrzałami. Sopwith pędził jednak z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i miał do pokonania zaledwie trzysta metrów. Nawet potok kul trafiających w ciężki blok silnika nie mógł powstrzymać Michaela, który naprowadzał karabin na cel delikatnymi dotknięciami pedałów sterów.

Bezpośrednio przed nim znajdowała się grupa ludzi uciekających od balonu w stronę pobliskiego okopu. Biegący w środku dwaj obserwatorzy, przemarznięci i opatuleni w grube warstwy ubrania, wydawali się wyjątkowo nieruchawi. Michael nienawidził ich jak napotkanego na drodze jadowitego węża, opuścił lekko dziób sopwitha i dotknął spustu karabinu. Grupa rozprysła się niczym szary dym i zniknęła w trawie. Michael natychmiast poderwał vickersa do góry.

Balon był przymocowany do ziemi i wyglądał niczym wielki namiot cyrkowy. Michael puścił w niego serię i pociski smugowe poszybowały w stronę miękkiej jedwabnej masy bez najmniejszego efektu.

Mimo wojowniczej furii umysł Michaela był wyjątkowo klarowny, a myśli pędziły tak szybko, że czas zdawał się zwolnić swój bieg. Ułamki sekund, w ciągu których zbliżał się do jedwabnej powłoki balonu, rozciągały się na całe wieki, tak że mógł śledzić lot każdej z kul wystrzelonych z vickersa.

— Dlaczego nie chce się zapalić? — wykrzyczał pytanie i nagle odpowiedź sama przyszła do niego.

Atom wodoru jest najlżejszy ze wszystkich atomów. Gaz uciekający z balonu wznosił się i mieszał z powietrzem nad srebrną powłoką. Michael zrozumiał, że strzelał za nisko. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał?

Poderwał sopwitha niemal pionowo w górę, kierując ogień na boki balonu, coraz wyżej, aż wreszcie strzelał nad srebrzystą powłoką — i powietrze nagle zamieniło się w ogień. Kiedy potężna ściana płomieni popędziła na spotkanie samolotu, Michael utrzymał sopwitha w pionowym locie i gwałtownie zamknął przepustnicę. Pozbawiona napędu maszyna przez ułamek sekundy zawisła w powietrzu i zaraz opadła. Kopnął silnie pedał steru, kładąc ją na plecy i obracając w klasycznym korkociągu, a kiedy znowu otworzył przepustnicę, leciał już w przeciwną stronę, oddalając się od olbrzymiego stosu pogrzebowego. Pod spodem dostrzegł błysk zieleni, gdy Andrew oderwał się od jego skrzydła i skręcił mocno w lewo, ledwo unikając kolizji z podwoziem samolotu przyjaciela, a następnie oddalając się pod kątem prostym do jego toru lotu.

Z ziemi nie dochodziły żadne strzały; nieoczekiwana akrobatyka obu samolotów i ogłuszający wybuch balonu odwróciły uwagę artylerzystów. Michael szybko skrył się za linią topól. Teraz, kiedy było już po wszystkim, jego wściekłość znikła równie szybko, jak nadeszła, i chłopak rozejrzał się po niebie, świadomy, że dwa potężne słupy dymu i ognia mogą zwabić eskadrę „Albatrosów”. Poza dymem niebo było czyste i Michael poczuł ulgę. Pędząc tuż nad samymi żywoplotami, zaczął szukać przyjaciela. Dostrzegł, że Andrew leci nieco wyżej niż on sam i kieruje swój samolot w stronę wzgórz, jednocześnie skręcając mu na spotkanie.

Połączyli się i Michael aż się zdziwił tym, jak wiele otuchy daje mu fakt, że Andrew leci obok. Uśmiechał się i żartobliwie kręcił głową na nagły szal bojowy przyjaciela, który wręcz kazał mu się sprzeciwić wyraźnemu rozkazowi powrotu do bazy.

Lecieli skrzydło w skrzydło nad liniami niemieckimi, nie zważając na ogień, który ściągały na siebie samoloty. Kiedy zaczęli nabierać wysokości, żeby ominąć skalne ściany, - silnik w samolocie

Michaela zakrztusił się i zgasł.

Sopwith poleciał w dół, silnik zaskoczył i z rykiem nabrał mocy, by przenieść maszynę tuż nad krawędzią wzgórza, po chwili jednak znowu się zakrztusił i zgasł. Andrew leciał cały czas obok, zachęcając przyjaciela do wysiłku wymownymi gestami — silnik znowu ryknął z całej siły, przycichł i przeszedł w regularny terkot.

Michael krzątał się przy nim z troską, otwierając i zamykając przepustnicę, manipulując przy stacyjce i szepecząc do rannej maszyny:

— No dalej, kochanie. Wytrzymaj jeszcze trochę. Już prawie jesteśmy w domu.

Nagle poczuł, że coś łamie się w kadłubie, jedna z głównych ram pękła z trzaskiem, stery zwiotczały mu w rękach, a maszyna zaczęła zniżać lot.

— Trzymaj się — poprosił Michael i w tej samej chwili poczuł ostry zapach ropy.

Zobaczył, jak cienka struga paliwa wydobywa się spod obudowy silnika i porwana przez prąd powietrza rozplywa się w postaci białej mgiełki za jego głową.

— Ogień! — Pożar był najgorszym koszmarem, którego obawiali się wszyscy piloci, ale Michael wciąż unosił się na fali bojowej wściekłości i mrucał uparcie: — Wracamy do domu, staruszek. Wytrzymaj jeszcze tylko trochę.

Przelecieli nad wzgórzami. Przed nimi rozpościerała się rozległa równina, na której Michael mógł już rozpoznać ciemny pas lasu w kształcie litery „T” znajdującego się przy lądowisku.

— Trzymaj się, kochanie, już niedaleko.

W dole żołnierze wyszli z okopów i stojąc na pełnych piachu parapetach, machali i krzyczeli ku rozbitej maszynie, która leciała z terkotem nisko nad ich głowami, bez jednego koła i z drugim na wpół urwanym, objającym się o kadłub.

Wszystkie twarze były zwrócone w stronę samolotu i Michael widział otwarte usta wołające do niego. Żołnierze słyszeli burzę strzałów poprzedzających atak lotniczy, widzieli dwa potężne słupy ognia i dymu, które wystrzeliły w niebo z płonących balonów. Wiedzieli, że na jakiś czas przestanie ich nękać ogień zaporowy niemieckich dział i teraz witali wracających pilotów radosnymi okrzykami.

Michael szybko zostawił wszystkich za sobą, ale wiwaty żołnierzy dodały mu otuchy. Roztaczał się już przed nim znajomy krajobraz: wieżyczka wiejskiego kościółka, różowy dach zamku i niskie wzgórze.

— Damy radę, kochanie — zawołał do maszyny, ale pod obudową silnika zerwany kabel dotknął metalowego bloku silnika i mała niebieska iskra skoczyła w powietrze.

Rozległ się grzmot wybuchającego paliwa i biała mgiełka benzyny zamieniła się żywy ogień. Żar zalał otwarty kokpit niczym płomień z lampy lutowniczej i Michael instynktownie pozwolił sopwithowi opaść w dół, żeby pęd powietrza odepchnął jęzory ognia od jego twarzy i by mógł spojrzeć przed siebie.

Musiał jak najszybciej wylądować, gdziekolwiek i jakkolwiek, ale bardzo szybko, zanim upiecze się żywcem w płonących szczątkach maszyny. Opuścił samolot ku otwartemu polu, czując jak jego płaszcz staje się gorący, a prawy rękaw zaczyna dymić i rozpała się żywym ogniem.

Zniżył ostro lot, trzymając dziób samolotu lekko w górze, żeby wytracić szybkość, ale maszyna walnęła w ziemię z siłą, która wstrząsnęła Michaeliem. Obróciła się na jedynym kole i przekoziółkowała, łamiąc skrzydło i zatrzymując się na wysokim żywopłocie okalającym pole.

Chłopak wyrznął głową w krawędź kokpitu tak silnie, że przez chwilę leżał oszołomiony, ale płomień obejmowały już z trzaskiem cały kadłub i Michael wyczołgał się na zewnątrz, przewrócił się na połamane skrzydło i stoczył na mulistą ziemię. Podniósł się z ziemi, na rękach i kolanach w

pośpiechu zaczął się odsuwać od płonącego wraka. Wełniany płaszcz płonął i Michael z jękiem bólu poderwał się na nogi. Szarpiąc guziki, żeby zerwać z siebie palące ubranie, rzucił się biegiem przez pole, machając szaleńczo ramionami i podsycając ogień na wietrze.

W przeraźliwym łoskocie płonącego wraka nie usłyszał nawet tętentu galopującego konia.

Dziewczyna spięła ostrogami białego rumaka przed samym żywoplotem, koń przesadził przeszkodę jednym sussem i gdy wylądowali zgrabnie po drugiej stronie, natychmiast popędziła ogiera za uciekającą postacią, która wśród krzyków zmieniała się w żywą pochodnię na środku pola. Amazonka wyjęła nogę ze strzemienia i kiedy koń zrównał się z Michaeliem, osadziła rumaka w miejscu, a sama rzuciła się na biegnącego.

Wylądowała z całą siłą na plecach Michaela, zarzucając mu ramiona na szyję, tak że polecili razem na ziemię. Dziewczyna natychmiast poderwała się na nogi i zdarłszy z siebie grubą gabardynową spódnicę do jazdy konnej, rozpostarła ją na płonącym. Następnie przykucnęła szybko i owinęła mężczyznę dokładnie w gruby materiał, uderzając gołymi rękami w małe płomyki wydobywające się wśród dymu spod spódnicy.

Jak tylko ogień został stłumiony, zerwała z Michaela spódnicę i posadziła go na ziemi. Zręcznie rozpięła spalony płaszcz, ściągnęła mu go z ramion i odrzuciła na bok. Zdjęła także z niego dymiącą skórzaną kurtkę i przekonała się, że płomień tylko w jednym miejscu dosięgły ciała. Ogień przepalił materiał na barku i ramieniu i Michael zawył z bólu, gdy dziewczyna usiłowała ściągnąć z niego koszulę, ponieważ spalony bawełniany materiał przywarł mocno do rany.

Nieznajoma pochyliła się nad nim, schwyciła materiał w zęby i szybko go przegryzła. Następnie rozerwała koszulę na ramieniu i na widok rany zbladła silnie.

— Mon Dieui— zawołała i poderwała się z ziemi.

Nadepnęła na dymiący płaszcz, żeby zgasić ostatnie płomyki pełzające po wełnianym materiale.

Michael patrzył na nią, czując, jak przejmujący ból w poparzonej ramieniu z wolna ustępuje. Żakiet jeździecki sięgał dziewczynie zaledwie do bioder, na nogach miała długie czarne buty do jazdy konnej, zapinane po bokach na haczyki. Kolana amazonki były obnażone, a skóra od ich wewnętrznej strony wydawała się gładka jak wnętrze muszli. Same kolana zabrudziła mokra ziemia, na której przed chwilą klęczała dziewczyna. Powyżej Michael dostrzegł reformy z delikatnego materiału, pozwalające dostrzec połysk jej skóry. Nogawki majtek były umocowane różowymi wstążkami nad kolanami i tak ściśle przylegały do ud i ciała dziewczyny, jakby była zupełnie naga — nie, na wpół ukryte linie nóg wydawały się jeszcze bardziej podniecające niż nagość.

Michael poczuł, że gardło mu się zaciska i nie może zaczerpnąć oddechu, gdy dziewczyna nachyliła się, żeby podnieść jego- zwęglony płaszcz i przez chwilę wyraźnie widział jej małe, jędrne pośladki, okrągłe niczym para strusich jaj, lśniące w jasnym słońcu poranka. Przyglądał im się z takim natężeniem, że w oczach poczuł łzy i kiedy dziewczyna obróciła się doń, pomiędzy jej młodymi silnymi udami dostrzegł ciemny trójkąt prześwitujący przez cienki, zwiewny jedwab. Stała z tym hipnotyzującym trójkątem zaledwie kilka centymetrów przed nosem mężczyzny, przemawiając głosem, jakim matka zwraca się do zranionego dziecka.

Michael zrozumiał tylko słowo brule. Była tak blisko, że czuł jej zapach; świeży zapach zdrowej, młodej dziewczyny, lekko spoconej od szybkiej jazdy, który mieszał się z perfumami słodkimi niczym płatki suszonej róży. Chciał coś powiedzieć, podziękować, ale tylko dygotał w szoku, wargi mu drżały i z ust wydobywał się niezrozumiały bełkot.

— Mon pauvre — powiedziała dziewczyna szczebiotliwym głosem i cofnęła się o krok.

Głos miała matowy z zatroskania, rysy jej twarzy przywodziły na myśl dobrą wróżkę. Patrzyła na niego wielkimi, ciemnymi, celtyckimi oczami i Michael był ciekaw, czy jej uszy są spiczaste, ale nie

mógł ich dojrzeć przez gęste włosy, które wiatr rozwiał i poskręcał w czarne loki. Jej skóra, zabarwiona celtycką krwią, miała kolor starej kości słoniowej, a rzęsy były równie gęste i czarne jak włosy.

Dziewczyna powiedziała coś, ale Michael nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na intrygujący mały trójkąt prześwitujący przez jedwab. Spostrzegła jego spojrzenie i na policzkach rozkwitły jej ciemnoróżowe plamy. Pochyliła się, złapała ubłoconą spódnicę i szybko owinęła ją wokół bioder. Po tak okropnej gafie Michael poczuł większy ból, niż przysparzało go poparzone ramię.

Ryk przelatującego nad ich głowami samolotu przerwał nieprzyjemną chwilę milczenia i oboje z wdzięcznością patrzyli, jak zielony sopwith krąży nad polem. Michiel podniósł się niepewnie z ziemi i kiedy dziewczyna poprawiała na sobie spódnicę, pomachał do Andrew. Zobaczył, jak przyjaciel podnosi rękę i saltuje z ulgą, następnie sopwith zatoczył jeszcze jedno koło i przeleciał nie więcej niż piętnaście metrów nad ich głowami — z kokpitu wyleciała zielona szarfa z jakimś uwiązany do niej przedmiotem i spadła kilka metrów dalej.

Dziewczyna pobiegła i przyniosła ją Michaelowi. Rozwinął szarfę i uśmiechnął się szeroko, wyjmując z niej srebrną piersiówkę. Odkręcił korek, podniósł flaszkę do góry i zobaczył promienny uśmiech przyjaciela w otwartym kokpicie i wzniesioną w pozdrowieniu rękę. Następnie Andrew zawrócił samolot w stronę lotniska i zniknął.

Michael podniósł flaszkę do ust i przełknął dwa łyki. Do oczu napłynęły mu łzy; odetchnął głęboko, gdy ostry płyn poparzył mu gardło. Kiedy opuścił butelkę, dziewczyna przyglądała mu się nadal i zaofiarował jej drinka.

Pokręciła przecząco głową i spytała z poważną miną:

— Anglais?

— Oui — non — Sud African. — Jego głos nadal był drżący i niepewny.

— Ah, vous parlez francais! — Uśmiechnęła się po raz pierwszy i dla Michaela uśmiech ten był niemal równie oszałamiający jak jej małe, krągłe pośladki.

— A peine, troszeczkę — zaprzeczył szybko, powstrzymując potok niezrozumiałych francuskich słów, które, jak to wiedział z doświadczenia, zalałyby go niczym powódź.

— Cieknie ci.

Jej angielski był oszałamiający; dopiero kiedy wskazała na jego głowę, zrozumiał, o czym mówi. Podniósł zdrową rękę i dotknął strumyka krwi, który' spłynął mu spod hełmu. Przyjrzał się poplamionym palcom.

— Tak — przyznał. — I to całymi wiadrami.

Hełm musiał go ochronić przed poważniejszym zranieniem, kiedy wyrznął głową o krawędź kokpitu.

— Pardon? — Wyglądała na zdziwioną.

— Ten ai beaucoup — przetłumaczył.

— Ach, więc jednak mówisz po francusku. — Klasnęła w obie dłonie niczym rozbawione dziecko i wzięła go pod ramię opiekuńczym gestem. — Chodź — rozkazała i strzeliła palcami, żeby wezwać rumaka. Biały ogier skubał trawę i udawał, że niczego nie słyszy. — Viens ici tout de suite, Nuage! — Tupnęła przy tym nogą. — Chodź tu natychmiast, Chmurko!

Ogier zerwał jeszcze jedną kępkę trawy, żeby zademonstrować swoją niezależność, i wolno podbiegł do nich.

— Proszę.

Spojrzała na Michaela i ten złożył ręce pod kolanem dziewczyny, aby unieść ją na siodło. Była

bardzo lekka i zwinna.

— Wejdz.

Pomogła Michaelowi wspiąć się na konia i usadziła mężczyznę za sobą. Wzięła go za zdrową rękę i założyła ją sobie wokół pasa. Jej ciało było silne i czuł przez materiał cudowne ciepło.

— Tenez, trzymaj się! — poleciła mu, a rumak ruszył cwałem w stronę bramy na końcu pola.

Michael obejrzał się na płonące szczątki sopwitha. Z samolotu pozostał jedynie blok silnika, drewno i materiał zdążyły już spłonąć. Poczuł żal z powodu straty — przebyli razem długą drogę.

— Jak się nazywasz? — zapytała dziewczyna przez ramię i Michael odwrócił się do niej.

— Michael. Michael Courteney.

— Michael Courteney — powtórzyła na próbę i zaraz dodała: — Ja jestem mademoiselle Centaine de Thiry.

— Enchante, mademoiselle. — Michael zrobił pauzę, żeby skomponować następne zdanie w swoim szkolnym francuskim. — Centaine to dziwne imię — powiedział i natychmiast poczuł, jak dziewczyna sztywnieje w jego ramionach. Użył słowa: dróle — „komiczne” i szybko się poprawił. — Niezwyczajne imię.

Nagle pożałował, że nie przykładał się bardziej do pracy na lekcjach francuskiego. Był cały obolały i roztrzęsiony i musiał się bardzo wyężyć, żeby zrozumieć cokolwiek z jej szybkich wyjaśnień.

— Urodziłam się minutę po północy pierwszego dnia 1900 roku.

Miała więc zaledwie siedemnaście lat i trzy miesiące i dopiero stawała się kobietą. Michael przypomniał sobie, że jego matka też miała siedemnaście lat, kiedy on się urodził. Ta myśl tak go pobudziła, że pociągnął jeszcze jednego głębszego z butelki Andrew.

— Jesteś moją wybawicielką!

Chciał to powiedzieć na wesoło, ale zabrzmiało to tak beznadziejnie głupio, że był pewien, iż dziewczyna wybuchnie śmiechem. Nie zrobiła tego i tylko poważnie skinęła głową, jego słowa pasowały do uczucia, które szybko rozwijało się w sercu Centaine.

Jej ukochanym zwierzęciem, poza koniem Nuage'em, był kiedyś wychudzony kundlowaty szczeniak którego znalazła w rowie, wymazanego krwią i trzęsącego się z zimna. Centaine zaopiekowała się psiakiem i kochała go aż do czasu jego śmierci miesiąc temu pod kołami jednej z ciężarówek wojskowych jadących na front. Śmierć ta zostawiła bolesną pustkę w jej życiu. Michael był chudy, wyglądał niemal na zagłodzonego pod zwęglonym i ubłoconym ubraniem. Poza bólem fizycznym z ran wyczuwała także inne cierpienia, jakich doświadczył. Jego oczy były cudownie niebieskie i czyste i drżał na całym ciele jak jej przemarznięty szczeniak.

— Tak — stwierdziła zdecydowanym głosem. — Zajmę się tobą. Pałacyk okazał się większy, niż wydawało się z powietrza, i nie tak piękny, jak Michael sobie wyobrażał. Większość okien została wybita i zasłonięto je deskami. Ściany były poznaczone odłamkami pocisków, ale krater po bombach na trawniku zdążyły już zarosnąć trawą — w czasie jesiennych walk front zbliżył się niebezpiecznie blisko do tego miejsca, dopóki alianci nie odepchnęli Niemców w ostatecznej ofensywie za wzgórza.

Wielki dom był zaniedbany i sprawiał smutne wrażenie. Centaine usprawiedliwiała się przed Michaelem:

— Nasi robotnicy zostali zabrani przez armię, a większość kobiet z dziećmi uciekła do Paryża i Amiens. Zostało nas tylko troje. — Podniosła się w siodle i zawołała głośno w innym języku: — Anno! Chodź, zobacz, kogo znalazłam!

Kobieta, która wyłoniła się z ogródka warzywnego za kuchnią, była niska i przysadzista, z

plecami szerokimi jak u klaczy perszerona i wielkimi, bezkształtnymi piersiami wylewającymi się spod wybrudzonej ziemi bluzy. Gęste, ciemne włosy mocno przetykane siwizną miała zwinięte w węzeł, a jej twarz była Okrągła i czerwona jak rzodkiewka, którą trzymała w dużej spracowanej dłoni. Ręce, obnażone do łokci, wydawały się grube i umięśnione jak u mężczyzny.

— Co się stało, Kleinjie, dziecino?

— Ocaliłam dzielnego angielskiego lotnika, ale jest bardzo poraniony...

— Dla mnie wygląda całkiem zdrowo.

— Anno, nie bądź starą zrzęda! Chodź, pomożesz mi. Musimy zaprowadzić go do kuchni.

Obie kobiety rozmawiały w innym języku i, ku zdziwieniu Michaela, rozumiał każde słowo.

— Nie wpuszczę żołnierza do domu i dobrze o tym Kleinjie! Nie pozwolę, żeby kocur wlaźł do koszyczka z małym kociątkiem...

— Anno, to nie jest żołnierz, tylko lotnik.

— I pewnie tak samo jurny jak kocur...

Kobieta użyła słowa fris i Centaine krzyknęła z gniewem: wiesz, moim

— Jesteś wstrętną starą jędzą, a teraz chodź i pomóż mi.

Anna obejrzała dokładnie Michaela i wreszcie stwierdziła niechętnie:

— Ma miłe oczy, ale i tak mu nie ufam — och, dobrze, ale jeśli tylko spróbuje...

— Mewo — Michael odezwał się po raz pierwszy. — Pani cnota jest najzupełniej bezpieczna, daję pani, na to moje słowo. Mimo że jest pani tak czarująco piękna, będę panował nad sobą.

Centaine obróciła się w siodle, żeby spojrzeć na niego, a zaskoczona Anna cofnęła się o krok do tyłu i zaraz wybuchnęła śmiechem.

— On mówi po flamandzku!

— Mówisz po flamandzku! — Centaine powtórzyła zarzut.

— To nie jest flamandzki — zaprzeczył Michael. — To afrikaans, południowoafrykański holenderski.

— To flamandzki — stwierdziła autorytatywnie Anna, zbliżając się do niego. — A każdy, kto mówi po flamandzku, jest miłym gościem w naszym domu.

Wyciągnęła ręce do Michaela.

— Uwważaj! — przestrzegła ją niespokojnie Centaine. — Jego ramię...

Zeskoczyła na ziemię i we dwójkę zsadziły go z konia i zaprowadziły do kuchni.

Kuchnia była tak olbrzymia, że tuzin kucharzy mógł w niej rzygotować bankiet dla pięciuset gości, ale obecnie tylko w jednym decu palił się mały ogień. Kobiety posadziły Michaela na stołku przed piecem.

— Przynieś jedną ze swoich słynnych maści — poleciła Centaine i Anna szybko wyszła z izby.

— Jesteście Flamandkami? — zapytał Michael, czując olbrzymią ulgę, że nie dzieli ich już bariera językowa.

— Nie, nie. — Centaine obcinała olbrzymimi nożycami strzępy spalonej koszuli, które przywarły do rany. — Anna pochodzi z północy, była moją niańką, kiedy umarła matka, i teraz myśli, że jest moją matką, a nie służącą. Nauczyła mnie tego języka jeszcze jak byłam w kołysce. Ale gdzie ty się go nauczyłeś?

— W moim kraju wszyscy mówią tym językiem.

— Bardzo się cieszę — powiedziała i Michael nie był pewien, co ma na myśli, gdyż spuściła oczy zajęfi wycinaniem rękawa.

— Wyglądam cię każdego ranka — powiedział cicho Michael. — Wszyscy to robimy, kiedy latamy.

Centaine nic nie odpowiedziała/ale Michael dostrzegł, jak na jej policzkach rozrastają się ciemnoróżowe plamy.

— Nazywamy cię naszym aniołem szczęścia, l'ange du bonheur. Dziewczyna roześmiała się w głos.

— Ja cię nazywam le petit jaune, mój żółcioszek — odpowiedziała.

— Żółty sopwith! — uradował się Michael. Odróżniała go więc od innych!

Centaine mówiła dalej:

— Czekam, aż wszyscy wrócicie do domu i zawsze liczę moje kurczęta, ale tak często wielu z was nie wraca, zwłaszcza ci nowi. Wtedy płaczę i modłę się za nich. Ale ty i ten zielony zawsze wracacie i wtedy bardzo się cieszę.

— Jesteś taka-dobra — zaczął Michael, ale w tej chwili do kuchni wróciła Anna z kamiennym słojem, który pachniał terpentyną, i nastrój pierzchł.

— Gdzie jest tata? — zapytała Centaine.

— Na dole, zajmuje się zwierzętami.

— Musimy trzymać zwierzęta w piwnicy — wyjaśniła Centaine idąc ku kamiennym schodkom — inaczej żołnierze ukradliby kurczaki, gęsi, a nawet mleczne krowy. Musiałam walczyć, żeby nie zabrali mi Nuage'a. — Tato! Gdzie jesteś? — krzyknęła w stronę piwnicy.

Z dołu doleciała stłumiona odpowiedź i Centaine znowu zawołała:

— Potrzebujemy butelki koniaku. — Przyjęła pouczający ton. — Tylko nie otwartej, tatusiu. W celach medycznych, a nie towarzyskich. To nie dla ciebie, tylko dla rannego. Trzymaj.

Centaine rzuciła pęk kluczy na dół. Kilka minut później rozległy się ciężkie kroki i wysoki, rozczochrany mężczyzna z dużym brzuchem wszedł do kuchni z butelką koniaku, którą trzymał przy piersi niczym niemowlę.

Miał takie same gęste, kręcone włosy jak Centaine, ale już mocno przetykała je siwizna i opadały mu w nieładzie na czoło. Końcem rozłożystych wąsów nadano spiczasty kształt za pomocą wosku. Mężczyzna spojrzał na Michaela jedynym ciemnym i błyszczącym okiem — drugie było zakryte przepaską nadającą mu wygląd pirata.

— Kto to jest? — zapytał twardym głosem.

— Angielski lotnik.

Nachmurzona mina szybko się rozjaśniła.

— Sojusznik — stwierdził. — Towarzysz broni! Jeszcze jeden pogromca przeklętych Szwabów.

— Nie gromiłeś żadnych szwabów przez ponad czterdzieści lat — zwróciła mu uwagę Anna, nie odrywając wzroku od rany Michaela

Mężczyzna zignorował ją i zbliżył się do Michaela, otwierając ramiona jak niedźwiedź.

— Tato, uważaj. On jest ranny.

— Ranny! — zakrzyknął mężczyzna. — Koniak! — dodał, jakby oba słowa nieodłącznie wiązały się ze sobą.

Znalazł szybko dwie duże szklanki, ustawił na stole, chuchnął w nie oddechem o zdecydowanie czosnkowym zapachu, wytarł szkło połami płaszcza i zdarł czerwony wosk z szyjki butelki.

— Tatusiu, ty nie jesteś ranny — powiedziała z naganą Centaine, gdy napełnił szkło po brzegi.

— Nie obrażę tak dzielnego mężczyzny, każąc mu pić samemu.

Podał jedną ze szklanek Michaelowi.

— Książę Louis de Thiry, na pańskie usługi.

— Kapitan Michael Courteney, Królewski Korpus Lotniczy.

— A votre sante, Capitainel Pańskie zdrowie!

— A la vótre Monsieur le Comte!

Książę wypił z nie ukrywaną przyjemnością, westchnął, wytarł wierzchem dłoni swoje wspaniałe wąsy i zwrócił się do Anny:

— Możesz wziąć się do roboty, kobieto.

— Będzie parzyć — ostrzegła Anna Michaela i ten przez chwilę myślał, że mówi o koniaku, ale służąca zaczerpnęła garść maści i położyła na otwartej ranie.

Michael zawył głośno z bólu, próbując wstać, jednak Anna z łatwością przytrzymała go swoją silną spracowaną dłonią.

— Zawiąż to — poleciła Centaine i kiedy dziewczyna zakładała bandaż, ból zelżał, a po ramieniu zaczęło rozchodzić się przyjemne ciepło.

— Już się czuję lepiej — przyznał Michael.

— Oczywiście, że tak — pocieszyła go Anna. — Moje maści słyną z tego, że leczą wszystko, od ospy po hemoroidy.

— Tak samo jak mój koniak — mruknął książę i ponownie napełnił obie szklanki.

Centaine podeszła do kosza z bielizną, wyjęła z niego jedną ze świeżo uprasowanych koszul ojca i mimo protestów pomogła Michaelowi założyć ją na siebie. Kiedy przygotowywała temblak na jego zranione ramię, przed domem rozległ się ostry warkot silnika i przez kuchenne okno Michael zobaczył znajomą postać na równie znajomym motocyklu, który właśnie hamował, wyrzucając spod kół strugę żwiru.

Silnik zakrzuszył się, zakasłał i zgasł, a niespokojny głos zawołał:

— Michael, mój chłopcze, gdzie jesteś?

Drzwi do kuchni otworzyły się z t paskiem i do środka wpadł lord Andrew Killigerran w swoim szkockirt berecie z pomponem, a za nim w progu stanął młody oficer w mundurze Królewskiego Korpusu Medycznego.

— Dzięki Bogu, tu jesteś. Nic się nie bój, przywiozłem ci ła-piducha... — Andrew przyciągnął młodego lekarza do stołka, na którym siedział Michael, i zaraz wykrzyknął z ulgą i pewnym wyzwaniem w głosie: — Widzę, że dajesz sobie dobrze radę i bez nas. To ja najechałem na nasz szpital polowy, porwałem tego łapiducha, zadreczę się o ciebie, a ty siedzisz tutaj sobie ze szklaneczką w dłoni i...

Andrew umilkł i pierwszy raz spojrział na Centaine. Od razu zapomniał o ranach przyjaciela. Zerwał beret z głowy.

— Więc to prawda! — zakrzyknął donośnie po francusku, wymawiając „r” jak prawdziwy Gal. — Anioły naprawdę chodzą po ziemi.

— Idź natychmiast do swojego pokoju, dziecko — warknęła Anna, a jej twarz wykrzywiła się jak oblicze jednego z tych przerażających bożków strzegących wejścia do pogańskich świątyń.

— Nie jestem dzieckiem — odparła Centaine z równie gwałtownym błyskiem w oku. Szybko uspokoiła się i zwróciła się do Michaela:

— Dlaczego on nazywa cię swoim chłopcem? Przecież jesteś starszy od niego!

— To Szkot — wyjaśnił Michael, który właśnie doznawał pierwszych ukłuc z zazdrości — a wszyscy Szkoci są szaleni. Ma także żonę i czworo dzieci.

— To wstrętne kłamstwo — zaprotestował Andrew. — Do dzieci się przyznaję, jakże mógłbym się ich wyprzeć! Ale nie do żony, żadnych żon.

— Ecosais — mruknął książę — wspaniali żołnierze, do wybitki i do wypitki. — Następnie przeszedł na zrozumiały angielski. — Czy mogę panu zaofiarować szklaneczkę koniaku, monsieur?

W kuchni powstała nowa wieża Babel, przechodzono z jednego języka na drugi w połowie

zdania.

— Czy ktoś łaskawie przedstawi mnie temu wzorowi doskonałości pomiędzy ludźmi, żebym mógł przyjąć jego najzaczniejszą ofertę?

— Le Comte de Thiry, mam zaszczyt przedstawić panu lorda Andrew Killigerrana.

Michael przedstawił ich sobie i obaj mężczyźni wymienili uściski.

— Tiens! Prawdziwy angielski lord!

— Szkocki, mój drogi przyjacielu. To wielka różnica. — Andrew zaszalutował księciu pełną szklanką. — Jestem zaszczycony. A ta piękna młoda dama jest niecy imię pańską córką — podobieństwo — cudowna...

— Centaine — wtrąciła się Anna — weź swojego konia i zaprowadź go do stajni.

Centaine zignorowała ją i uśmiechnęła się do Andrew. Przerwało to strumień dowcipów i młody lord patrzył teraz na nią z zachwytem. Uśmiech promieniował przez jej skórę jak światło lampy przez alabaster, błyszczał na zębach dziewczyny i w jej oczach niczym słońce odbite od szklanego dzbana z pitnym miodem.

— Chyba powinienem obejrzeć pacjenta.

Doktor przerwał ciszę i podszedł do Michaela, żeby odwinąć bandaż. Anna odczytała jego zamiar z gestów, jeśli nie po słowach, i szybko wsunęła się pomiędzy lekarza i pacjenta.

— Powiedz mu, że jeśli dotknie bandaża, to złamię mu rękę.

— Obawiam się, że pańskie usługi nie będą potrzebne — Michael przetłumaczył jej przestrożę lekarzowi.

— Napij się koniaku — pocieszył go Andrew. — Nie jest taki zły — naprawdę, wcale niezły.

— Jest pan właścicielem ziemskim, milordzie? — spytał książę delikatnie Andrew. — Nieprawdaż?

— Bien sur. — Andrew zrobił wymowny gest przedstawiający tysiące akrów ziemi, który jednocześnie przywiódł jego szklankę w pobliże butelki, gdy książę nalewał koniak doitorowi. Książę napełnił jego szklankę i Andrew powtórzył:

— Oczywiście to majątek rodzinny — rozumie pan?

— Aha. — Gospodarz spojrzał wymownie jedynym okiem w stronę swojej córki. — Pańska zmarła żona zostawiła Jana z czworgiem dzieci? — Książę nie zrozumiał dokładnie wcześniejszej wymiany zdań.

— Nie mam dzieci ani żadnej żony, mój przyjacielu. — Andrew wskazał na Michaela. — On lubi robić sobie żarty. Bardzo złe angielskie dowcipy.

— Ha! Angielskie dowcipy.

Książę ryknął ze śmiechu i klepnąłby Michaela w chore ramię, gdyby Centaine nie zatrzymała jego ręki.

— Tatusiu, uważaj. On jest ranny.

— Zostaniecie wszyscy na obiedzie — zcseydował książę. — Przekona się pan, milordzie, że moja córka jest jedną z najlepszych kucharek w całej prowincji.

— Przy małej pomocy — mruknęła nie zadowolona Anna.

— Przepraszam, ale zdaje się, że powinienem wracać — zaciął niepewnie młody doktor. — Nie jestem tu chyba do niczego potrzebny.

— Zostaliśmy zaproszeni na obiad — uspokoił go Andrew. — Napij się koniaku.

— Chyba masz rację, — Doktor poddał się bez walki.

— Zachodzi konieczność zstąpienia do piwnicy — oznajmił książę.

— Tato — zaczęła groźnie Centaine.

— Mamy gości!

Książę wskazał na pustą butelkę, a Centaine westchnęła i wzruszyła ramionami.

— Milordzie, czy zechce mi pan pomóc w wyborze napojów odświeżających.

— Będę zaszczycony, Monsieur le Comte.

Centaine spoglądała za nimi, gdy trzymając się pod rękę, schodzili po kamiennych schodkach i Michael dostrzegł zamyślenie kryjące się w jej oczach.

— Twój przyjaciel jest bardzo lojalny. Od razu przybiegł ci na pomoc. I jak oczarował mojego ojca!

Michael był zdziwiony siłą swojej niechęci do Andrew.

— Wyczuł koniak — powiedział z przekąsem. — To prawdziwy powód jego przyjazdu.

— Ale co z tą czwórką dzieci? — zapytała Anna. — I ich matką? — Miała podobne kłopoty z nadążaniem za rozmową jak i książę.

— Czterema matkami — wyjaśnił Michael. — Czworo dzieci i cztery różne rratki.

— To on jest poligamistą!

Anna aż cofnęła się o krok z oburzenia, a jej twarz zrobiła się purpurowa.

— Nie, nie — zapewnił ją Michael. — Sama pani słyszała, jak zaprzeczał. To męczyzna honoru, nigdy by nie zrobił czegoś takiego. Nie ożenił się z żadną z nich.

Michael nie czuł radnych wyrzutów sumienia; musiał mieć w tym domu jakiegoś sprzymierzeńca. W tej samej chwili tamci dwaj wrócili szczęśliwi z piwnicy, obładowani ciemnymi butelkami.

— Na lampę Aladyna! — zakrzyknął Andrew. — Książę ma piwniczkę wypełnioną liprawdę przyzwoitymi trunkami! — Ustawił z pół tuzina butelek na kuchennym stole przed Michaeliem. — Spójrz na to! Ma trzydzieści lat — Spojrzał uważnie na Michaela. — Wyglądasz okropnie, chłopie Jakbyś się wyrwał z objęć śmierci.

— Dzięki. — Michael iśmiechnął się do niego krzywo. — Jesteś bardzo miły.

— Oczywiście braterska troska... — Andrew mocował się z korkiem od jednej z butelek i ził głoś do konspiracyjnego szeptu. — Niech mnie kule, co za dziewczyna! — Spojrzał w stronę obu kobiet zajętych właśnie dużym miectianym garnkiem. — Sam bym dał się postrzelić, żeby mnie tak opatrzyła, co?

Michael poczuł, jak jego niechęć do przyjaciela przeradza się w nienawiść..

— Uważam, że ten dowcip jest wyjątkowo ohydny — odparł. — Mówić w ten sposób o dziewczynie tak młodej i niewinnej, tak wspaniałej, tak... tak...

Nie mógł znaleźć słów i Andrew przechylił głowę i spojrzał na niego z lekkim zdumieniem.

— Michael, obawiam się, że to o wiele poważniejszy wypadek niż kilka oparzeń i siniaków. Będziesz potrzebował intensywniejszej kuracji. — Napełnił szklanki. — Na początek zalecani szklankę tego wyśmienitego bordo!

Przy stole w jadalni książę odkorkował kolejną butelkę i napełnił szklankę lekarzowi.

— Toast! — zakrzyknął. — Na zgubę przeklętym Boszom!

— A bas les Boches! — zawołali po francusku.

Gdy tylko toast został spełniony, książę położył rękę iia czarnej opasce zakrywającej pusty oczodół.

— Zrobili mi to pod Sedanem w 1870 roku. Zabrali mi i oko, ale drogo za to zapłacili, dranie. — Sacre bleu, jak my walczyliśmy! Byliśmy jak tygrysy...

— Jak tłuste kocury! — zawołała z kuchni Anna.

— Nie masz zielonego pojęcia o bitwach i wojnie; kobieto — ci młodzi ludzie wiedzą, o czym mówię, oni to rozumieją! Piję ich zdrowie! — Wypił, i to porządnie, i zaraz zapytał rozkazującym

tonem: — Gdzie jest jedzenie?

Na obiad było ragout z szynki, kielbasek i szpiku kostnego, Anna przyniosła parujące miski z kuchni, a Centaine ułożyła przed, nimi małe bochenki świeżego chleba.

— Powiedzcie mi teraz, jak wygląda sytuacja na froncie — poprosił księżę, łamiąc chleb i maczając w swoim talerzu. — Kiedy ta wojna się skończy?

— Nie psujmy dobrego jedzenia taką rozmową.

Andrew odsunął od siebie pytanie machnięciem dłoni, ale księżę, który miał już wąsy pełne okruszków i sosu, nie ustępował.

— Co z tą nową ofensywą aliancką?

— Przeprowadzimy ją dalej na zachód, nad Sommą. Tam właśnie musimy przełamać niemieckie linie — odpowiedział Michael.

Mówił ze spokojnym autorytetem i natychmiast zwrócił ich uwagę. Nawet obie kobiety przyszły z kuchni i Centaine wśliznęła się na ławę obok gościa, spoglądając nań poważnym wzrokiem, jakby chciała lepiej zrozumieć rozmowę prowadzoną po angielsku.

— Skąd pan to wie? — przerwał mu nagle księżę.

— Jego wujek jest generałem — wyjaśnił Andrew.

— Generałem! — Księżę spojrział na Michaela z nowym zainteresowaniem. — Centaine, nie widzisz, że nasz gość potrzebuje pomocy?

I kiedy Anna mruczała niezadowolona, Centaine nachyliła się nad talerzem Michaela i pokroiła mu mięso na mniejsze kawałki, żeby mógł je jeść jedną ręką.

— Mów dalej! Nie przerywaj! — ponaglał go księżę. — Co dalej?

— Generał Haig skieruje się na prawo. Tym razem musi przeciąć niemieckie tyły i odrzucić ich od wzgórz.

— Ha! Więc jesteśmy tutaj bezpieczni.

Księżę sięgnął po butelkę wina, ale Michael pokręcił smutno głową.

— Obawiam się, że nie, niecałkowicie. Ta część frontu będzie ogołocoła z żołnierzy, przednie regimenty zostaną zredukowane do batalionu. Wszystko, co tylko można stąd wycofać, zostanie zabrane do nowej ofensywy nad Sommą.

Księżę wyglądał na zaniepokojonego.

— Ależ to jest zbrodnicza głupota — przecież Niemcy z pewnością zaatakują tutaj, żeby zmniejszyć napór na swoje oddziały nad Sommą.

— Czy front tutaj się nie utrzyma? — zapytała niepewnie Centaine.

Odruchowo spojrzała w stronę kuchennych okien; ze swoich miejsc przy stole mogli dostrzec wzgórz na horyzoncie. Michael zawahał się.

— Och, jestem pewien, że uda nam się zatrzymać ich dostatecznie długo, zwłaszcza jeśli walki nad Sommą pójdą tak dobrze i szybko jak oczekujemy. Wtedy ich atak tutaj zostanie szybko odparty, gdy alianckie wojska uderzą na niemieckie tyły.

— Ale jeśli walki utkną w martwym punkcie i znowu dojdzie do wojny pozycyjnej? — spytała cicho Centaine po flamandzku.

Jak na młodą dziewczynę, która nie znała dobrze angielskiego, szybko potrafiła dostrzec najważniejsze kwestie. Michael potraktował jej pytanie z powagą i odpowiedział jej w afrikaans, jakby rozmawiał z innym mężczyzną.

— Jeśli tak się stanie, to znajdziemy się pod sporym naciskiem, zwłaszcza że Hunowie mają przewagę w powietrzu. Możemy znowu stracić wzgórz. — Zawahał się i zmarszczył brwi. — Musieliby przysłać rezerwy. Może nawet zostaniemy wyparci aż za Arras...

— Arras! — stęknęła Centaine. — To by znaczyło...

Nie dokończyła i rozejrzała się szybko po domu, jakby miała się z nim zaraz pożegnać. Arras znajdowało się daleko za nimi. Michael skinął głową.

— Jak tylko zacznie się ofensywa, znajdziecie się państwo tutaj w poważnym niebezpieczeństwie. Najlepiej by było, gdybyście opuścili pałacyk i wycofali się do Arras, a nawet do Paryża.

— Nigdy! — krzyknął książę po francusku. — Żaden de Thiry nigdy się nie cofał.

— Poza Sedanem — mruknęła Anna, ale książę nie zwrócił nawet uwagi na tę złośliwość.

— Zostanę tutaj, na mojej ziemi. — Wskazał na staroświecką strzelbę chassepot wiszącą na kuchennej ścianie. — To jest broń, którą miałem pod Sedanem. Tam Szwaby nauczyły się jej bać. Jeszcze raz powtórzą sobie tę lekcję. Louis de Thiry da im nauczkę!

— Co za odwaga! — zakrzyknął Andrew. — Wznoszę za pana toast. Za francuską dzielność i zwycięstwo francuskiego oręża!

Oczywiście książę nie mógł pozostać dłużny.

— Za generała Haiga i dzielnych brytyjskich aliantów!

— Kapitan Courteney pochodzi z Afryki Południowej — zauważył Andrew. — Powinniśmy wypić i za nich.

— Oczywiście! — odparł entuzjastycznie książę. — Za generała — jak nazywa się twój wuj — generał? Za generała Seana Courteneya i dzielnych południowoafrykańskich żołnierzy.

— Ten dżentelmen — Andrew wskazał na patrzącego przed siebie lekko tępych wzrokiem doktora, który kołysał się na ławie obok niego — jest oficerem Królewskiego Korpusu Medycznego. Wspaniały oddział i z pewnością wart naszego toastu!

— Za Królewski Korpus Medyczny! — książę podjął toast, ale kiedy sięgnął po szklankę, zadrżała silnie, zanim zdążył jej dotknąć, i czerwone wino zakołysało się, uderzając o kryształowe ścianki. Książę zamarł i wszyscy podnieśli głowy.

Szkło w kuchennych oknach zabrzęczało w ramach i z północy dobiegł ich łoskot dział. Niemiecka artyleria rozpoczęła polowanie wzdłuż skarp, rycząc i jazgocząc niczym zgraja wściekłych psów. Słuchając w milczeniu ostrzału, wszyscy wyobrażali sobie agonię ludzi ukrytych w wilgotnych okopach oddalonych o zaledwie kilka kilometrów od ciepłej kuchni, w której raczyli się dobrym jedzeniem i winem.

Andrew podniósł szklankę i powiedział miękko:

— Wypijmy za tych biedaków siedzących w błocie. Oby wytrzymali!

Tym razem nawet Centaine umoczyła usta w szklance Michaela, a jej oczy błyszczały od łez, gdy spełniała toast.

— Nie chcę psuć dobrej zabawy — młody doktor podniósł się niepewnie zza stołu — ale ostrzał artyleryjski jest dla mnie gwizdkiem wzywającym do pracy. Obawiam się, że wózki rzeźników jadą już z pełnym ładunkiem.

Michael spróbował wstać razem z nim, ale musiał się złapać stołu, żeby nie upaść.

— Chciałbym panu podziękować, Monsieur le Comte — zaczął formalnie — za łaskawość... — Słowa plątały mu się w ustach i musiał je powtórzyć, ale nie były bardziej wyraźne i stracił przy tym wątek. — Składam ukłon uszanowania pańskiej córce, Mademoiselle de Thiry, l'ange du bonheur...

Nogi się pod nim złożyły i poleciał na ziemię.

— On jest ranny! — krzyknęła Centaine, podrywając się z miejsca i podtrzymując go jedną ręką pod ramię w ostatniej chwili, zanim upadł na ziemię. — Pomóżcie mi — poprosiła.

Andrew rzucił się ku dziewczynie i razem na wpół wynieśli, a na wpół wyciągnęli Michaela z

kuchni.

— Ostrożnie, jego biedne ramię — Centaine aż stęknęła pod ciężarem. Podnieśli Michaela i posadzili go w przyczepie motocykla. — Niech pan uważa!

Michael przetoczył się na miękkim siedzeniu z uszczęśliwionym uśmiechem rozpromieniającym jego bladą twarz.

— Mademoiselle, niech pani mi wierzy, on jest już poza bólem — stwierdził Andrew i obszedł maszynę, żeby wsiąść na siodełko.

— Poczekajcie na mnie! — wrzasnął doktor, wyłaniając się z kuchni podtrzymywany przez księcia.

Odbili się od drzwi i ścinając schody na skos, dopadli motocykla.

— Wskakuj — zaprosił go Andrew i za trzecim podejściem zapalił ariela, który otoczył ich niebieskim dymem.

Doktor wdrapał się niezgrabnie na tylne siedzenie, a książkę wepchnął jedną z dwóch butelek bordo, które wyniósł z kuchni, do kieszeni Andrew.

— Przeciwno zimnu — wyjaśnił.

— Jest pan księciem wśród ludzi.

Andrew dodał gazu i ariel wykonał ostry zakręt.

— Uważajcie na Michaela! — krzyknęła Centaine.

— Moja kapusta! — jęknęła Anna, gdy Andrew wybrał drogę na skróty przez jej ogródek.

— A bas les Boches! — ryknął książkę i pociągnął ostatni łyk z butelki, zanim Centaine zdążyła ją skonfiskować i uwolnić go od kluczy do piwnicy.

Na końcu długiej alei dojazdowej do pałacyku Andrew musiał przyhamować i dostosować się do skromniejszej szybkości małej procesji, która jechała mulistą drogą od strony wzgórz.

Wózki rzeźników, jak wszyscy nazywali sanitarki polowe, były obładowane ofiarami świeżo wznowionego bombardowania. Sanitarki przedzierały się przez błotniste kałuże, a rzędy płóciennych noszy ułożonych na otwartych tyłach wozów kołysały się i podskakiwały przy każdej przeszkodzie. Krew płynąca z ran żołnierzy ułożonych na wyższych poziomach przesiąkała przez materiał i skapywała na rannych leżących poniżej.

Wzdłuż trawnika bezładnie posuwała się grupa lżej rannych, bez karabinów, wspierając się wzajemnie na sobie, z opatrunkami założonymi pośpiesznie na rany, z twarzami pustymi od bólu i obojętnymi oczami, a mundurami wymazanymi błotem.

Doktor, który właśnie zaczynał trzeźwieć, zsunął się z tylnego siedzenia i wybrał kilku poważniej rannych żołnierzy z grupy maszerujących. Dwóch posadzono na tylnym siedzeniu, jednego na baku paliwa przed Andrew i zmieszczono jeszcze trzech do przyczepy obok Michaela. Doktor biegł obok przeładowanego ariela, przepychając go przez głębsze kałuże i był już zupełnie trzeźwy, gdy dwa kilometry dalej dojechali do szpitala VAD [(Voluntary Aid Detachment) Ochotnicze Towarzystwo Niesienia Pomocy Rannym.], który znajdował się w rzędzie domków u wejścia do wioski Mort Homme. Tutaj pomógł swoim nowym pacjentom wsiąść z przyczepy i zwrócił się do lorda Killigerrana.

— Dzięki, potrzebowałem chwili wytchnienia. — Spojrzał na Michaela, który nadal leżał nieprzytomny w przyczepie. — Spójrz na niego. Nikt nie pociągnie długo w ten sposób.

— Michael jest tylko trochę zmęczony, to wszystko. Doktor potrząsnął przecząco głową.

— Zmęczenie wojenne — powiedział. — Szok po strzelaniu. Nie rozumiemy jeszcze tego za dobrze, ale zdaje się, że istnieje pewna granica tego, co ci biedacy mogą znieść. Jak długo latał bez przerwy, trzy miesiące?

— Nic mu nie będzie. — W głosie Szkota słychać było niemal groźbę. — Da sobie radę.

Położył opiekuńczo rękę na chorym ramieniu Michaela, przypominając sobie jednocześnie, że minęło pół roku, od kiedy przyjaciel był ostatni raz na przepustce.

— Spójrz tylko na niego, ma typowe objawy. Chudy, jakby był zagłodzony — mówił dalej lekarz. — Cały roztrzęsiony. Jego oczy... założę się, że czasami zachowuje się w sposób niezrównoważony i nielogiczny, ponure nastroje na przemian z wybuchami entuzjazmu. Zgadza się?

Andrew skinął niechętnie głową.

— Raz nazywa wroga wstrętnymi wszami i rozwała z karabinu maszynowego Niemców, którzy uciekli z rozbitego samolotu, a zaraz potem są dla niego rycerskimi i dzielnymi przeciwnikami. W zeszłym tygodniu walnął w szczękę nowego pilota, który nazwał Niemców Hunami.

— Brawurowe zachowanie?

Andrew przypomniał sobie dzisiejszy atak na balony, ale nic nie powiedział.

— Co można zrobić? — spytał beznadziejnie.

Doktor westchnął i wzruszył ramionami, podając mu rękę.

— Do widzenia i życzę powodzenia, majorze.

Kiedy się odwrócił, zdejmował już kurtkę i podwijał rękawy.

Na początku sadu, tuż przed obozem eskadry, Michael wyprostował się w przyczepie i z powagą sędziego oznajmiającego karę śmierci, stwierdził:

— Będę rzygać.

Andrew zatrzymał motor na poboczu i przytrzymał go za głowę.

— Takie doskonałe bordo — powiedział z rozpaczą. — Nie mówiąc o koniaku — gdyby tylko był jakiś sposób na uratowanie tych wybornych trunków.

Kiedy Michael skończył, wyprostował się i stwierdził z taką samą powagą:

— Chcę ci powiedzieć, że się zakochałem — i głowa opadła mu na oparcie, gdy znowu zemdłał.

Andrew wyjął z kieszeni butelkę i wyciągnął zębami korek.

— To z całą pewnością wymaga odpowiedniego toastu. Wypijmy za twoją prawdziwą miłość. — Podsunął alkohol nieprzytomnemu. — Nie chcesz?

Pociągnął spory łyk i kiedy opuścił flaszkę, zaczął nagle niepowstrzymanie płakać. Starał się opanować łzy — nie płakał, odkąd skończył sześć lat. Przypomniał sobie słowa młodego lekarza: „niezrównoważone i nielogiczne zachowanie” i łzy jeszcze mocniej popłynęły mu po policzkach. Nie starał się ich nawet otrzeć. Siedział na przednim siodełku motoru i łkał z cichej rozpacz.

— Michael, chłopie — szepnął. — Co się z nami stanie? Jesteśmy skazani, nie ma dla nas nadziei. Michael, nie ma dla nas żadnej nadziei — zakrył twarz obiema rękami i szlochał, jakby miało mu pęknąć serce.

Michaela obudził stukot naczyń na blaszanej tacy, którą Biggs umieścił obok jego polowego łóżka.

Jęknął, próbując usiąść, ale rany i zmęczenie zmusiły go, aby się położyć.

— Biggs, która godzina?

— Pół do ósmej, sir, i mamy piękny wiosenny poranek.

— Biggs, na rany boskie, czemu mnie nie obudziłeś wcześniej? Spóźniłem się na poranny patrol...

— Nie, nie spóźniliśmy się, sir — mruknął pocieszająco Biggs. — Zostaliśmy uziemieni.

— Uziemieni?

— Rozkaz lorda Killigerrana, zostajemy na ziemi do odwołania, sir. — Biggs wsypał cukier do kubka z kakao i wymieszał. — Najwyższy czas, jeśli mogę powiedzieć. Lataliśmy bez przerwy przez trzydzieści siedem dni.

— Biggs, czemu czuję się tak podle?

— Według lorda Killigerrana zostaliśmy zaatakowani przez butelkę koniaku, sir.

— A przedtem rozbiłem naszego starego latającego zółwia... — Michael zaczął sobie przypominać wczorajszy dzień.

— Rozniósł go pan po całej Francji, jak masło po chlebie — potwierdził Biggs.

— Ale dostaliśmy je, Biggs!

— Oba dranie, sir.

— Biggs, mam nadzieję, że dostałeś już pieniądze z zakładów? Nie straciłeś na tym, co?

— Zarobiliśmy na tym całkiem przyzwoicie, dzięki panu, panie Michaelu. — Biggs wskazał na tacę. — To pańska wygrana... — Na tacy leżało piętnaście jednofuntowych banknotów. — Trzy do jednego, plus pański wkład.

— Biggs, możesz sobie wziąć dziesięć procent wygranej.

— Wielkie dzięki, sir.

Dwa banknoty zniknęły w magiczny sposób w kieszeni ordynansa.

— Dobra, Biggs, co tu jeszcze mamy?

— Cztery aspiryny, to od lorda Killigerrana.

— Poleciał na patrol, zgadza się?

Michael z ulgą połknął wszystkie pigułki.

— Oczywiście, sir. Wylecieli o świcie.

— Kto leci na skrzydle?

— Pan Banner, sir.

— Ten nowicjusz — mruknął niechętnie Michael.

— Lordowi nic nie będzie, niech się pan nie martwi.

— Tak, oczywiście. A co to jest? — Michael podniósł się na łokciu.

— Kluczyki od motocykla lorda Killigerrana, sir. Poprosił, żeby pan przekazał księciu salaam — cokolwiek to może znaczyć, sir — i wyrazy najgłębszego szacunku dla młodej damy...

— Biggs... — Wydawało się, że aspiryny czynią cuda; Michael poczuł się nagle zupełnie zdrowy, beztroski i bardzo radosny. — Biggs — powtórzył — czy możesz mi przygotować mój mundur wyjściowy, przetrzeć klamry od pasów i wypolerować trochę buty?

Biggs uśmiechnął się do niego z czułością.

— Wybieramy się z wizytą, sir?

— Właśnie tak, Biggs, właśnie tak.

Centaine obudziła się przed świtem i leżąc w łóżku, słuchała strzałów. Wybuchy ją przerażały. Wiedziała, że nigdy nie przywyknie do tej dzikiej, bezlitosnej burzy, która tak obojętnie niosła ze sobą śmierć i niewymowne cierpienia. Przypomniła sobie, jak przez kilka miesięcy latem ubiegłego roku wróg znalazł się w zasięgu strzału od pałacyku. Musieli wtedy opuścić górne piętra domu i przenieść się na parter. W tym okresie wszyscy służący zdążyli już pouciekać — oczywiście poza Anną. Mała klitka, którą zajmowała Centaine, należała poprzednio do jednej z pokojówek.

Od wybuchu wojny zmienił się cały styl ich życia. Mimo że nigdy nie prowadzili domu w wielkim stylu jak niektóre inne rodziny w okolicy, zawsze wydawali prozowane obiady, przyjęcia i mieli dwudziestu służących do dyspozycji. Teraz życie państwa było równie proste, jak życie ich służby przed wojną.

Centaine odrzuciła wspomnienia wraz z pościelą i pobiegła na bosaka wąskim, wykładanym kamieniem korytarzem. W kuchni Anna krzątała się już koło pieca, napychając go dębowymi szczapami.

— Właśnie się do ciebie wybierałam z dzbankiem zimnej wody — przywitała ją burkliwie, a Centaine przytuliła się do starszej kobiety i całowała ją tak długo, aż Anna się uśmiechnęła. Następnie dziewczyna podbiegła do pieca, żeby się ogrzać.

Anna nalała ukropu do miedzianej wanienki stojącej na środku kuchni i dodała chłodnej wody.

— Pozwól no tutaj, moja panno — rozkazała.

— Och, Anno, czy muszę?

— Ruszaj się!

Centaine niechętnie zdjęła nocną koszulę przez głowę i zadrżała, gdy przejęło ją zimne powietrze. Na jej ramionach i małych, krągłych pośladkach pojawiła się delikatna gęsia skórka.

— Pośpiesz się.

Weszła do wanny, a Anna ukucnęła przed nią, maczając flanelową szmatkę w wodzie.

Metodycznymi i równomiernymi ruchami mydliła ciało dziewczyny od ramion aż do palców rąk, ale nie potrafiła ukryć miłości i dumy, która rozpromieniała jej brzydką czerwoną twarz.

To dziecko było cudownie zbudowane, chociaż piersi i pośladki wydawały się troszeczkę za małe; Anna żywiła nadzieję, że trochę podtuczy swą wychowanekę na porządnej diecie, jak tylko znowu będą mieli pod dostatkiem jedzenia. Skóra dziewczyny była gładka i w miejscach, gdzie nie dotknęło jej słońce, miała barwę masła, chociaż pod wpływem promieni miejscami przybierała kolor ciemnobrązowy, który Annie wydawał się wyjątkowo nietwarzowy.

— Tego lata musisz nosić rękawiczki i długie rękawy. — Zmarszczyła brwi. — Opalenizna jest taka brzydka.

— Pośpiesz się, Anno.

Centaine ścisnęła namydlone piersi i zadrżała z zimna. Anna podniosła kolejno jej ramiona i umyła ciemne kępkę włosów pod pachami. Piana mydlana spływała długimi jęzorami po chudym ciele aż do wystających przez skórę żeber.

— Nie tak mocno — jęknęła Centaine. Anna przyjrzała się krytycznie jej członkom: były proste, długie i za silne jak na kobietę — to wszystko przez tą jazdę konno, bieganie i chodzenie. Piastunka pokręciła głową.

— Och, co znowu? — zapytała Centaine.

— Jesteś tak silna jak chłopak, a twój brzuch jest zbyt twardy, żeby urodzić dziecko.

Anna przejechała ściereczką po skórze.

— Auu!

— Stój spokojnie! Nie chcesz chyba pachnieć jak koza.

— Anno, co sądzisz o niebieskich oczach?

Anna mruknęła tylko w odpowiedzi, wiedząc, do czego prowadzi ta rozmowa.

— Jakiego koloru oczy miałoby dziecko, gdyby matka miała brązowe, a ojciec — piękne błękitne?

Anna trzepnęła ją szmatką w pupę.

— Dosyc tego. Twojemu ojcu nie spodobałaby się taka rozmowa. Centaine nie uznała groźby za poważną i ciągnęła dalej rozmarzonym głosem.

— Lotnicy są tacy dzielni, nieprawdaż, Anno? To najdzielniejsi ludzie pod słońcem. Pośpiesz się — dodała szybko — spóźnię się na liczenie moich kurczaczek.

Wyskoczyła z wanienki, rozpryskując wodę na kamienną podłogę, a służąca otuliła ją w wielki ręcznik, który wcześniej ogrzała nad kuchnią.

— Anno, jest już prawie jasno na dworze.

— Masz od razu wracać do domu — rozkazała Anna. — Czeka nas dzisiaj mnóstwo pracy.

Dzięki źle pojętej gościnności twojego ojca grozi nam głód.

— Musieliśmy przecież zaproponować posiłek tym dzielnym lotnikom.

Centaine włożyła ubranie i usiadła na kuchennym stołku, żeby wciągnąć buty do jazdy konnej.

— Tylko żebyś nie pojechała do lasu marzyć...

— Och, bądź cicho, Anno.

Centaine poderwała się i zbiegła po schodach.

— Masz wracać prosto do domu! — krzyknęła za nią piastunka. Nuage usłyszał jej kroki i zarzął cicho na przywitanie. Centaine zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała jedwabiste szare chrapy.

— Bonjour, kochanie.

Zwędziła dwie kostki cukru pod nosem Anny i Nuage zaślinił jej całą dłoń, zjadając łąpczywie przysmak. Otarła dłoń o jego grzywę i kiedy obróciła się, żeby zdjąć siodło z kołka, trącił ją pyskiem w plecy, domagając się więcej.

Na zewnątrz było mroczno i chłodno i Centaine przynagliła konia do galopu. Na twarzy czuła orzeźwiający lodowaty strumień powietrza, jej nos i uszy szybko stawały się czerwone, a do oczu napłynęły łzy. Na szczycie niskiego wzgórza zatrzymała konia i spojrzała na stalowe niebo. Nad horyzontem niebo przybierało barwę dojrzałej pomarańczy. Za nią fałszywy świt wywołany nieustannym ogniem artyleryjskim malował się na niebie migoczącym światłem, ale Centaine odwróciła się do niego tyłem i czekała na przelot samolotów.

W nieustannym łoskocie dział usłyszała charakterystyczny warkot silników i nagle samoloty pojawiły się na żółtym niebie świtu, zawzięte, szybkie i piękne niczym jastrzębie. Jak zawsze Centaine poczuła, że serce bije jej coraz mocniej i podniosła się w siodle, by przywitać lotników.

Na przedzie leciała zielona maszyna z czarnymi pasami zwycięstwa tego zwariowanego Szkota. Centaine wzniosła obie ręce wysoko nad głowę.

— Lećcie z Bogiem — i wracajcie cali i bezpieczni! — wykrzyzczała pozdrowienie i zobaczyła błysk białych zębów pod śmiesznym zielonym beretem w szkocką kratę z pomponem.

Zielona maszyna pomachała skrzydłami i już ją minęła, wspinając się wysoko ku złowieszczym chmurom wiszącym nad niemieckimi liniami.

Centaine patrzyła, jak drugi samolot zbliża się do prowadzącego i ustawia w formacji bojowej, i zalało ją uczucie bezmiernego smutku.

— Dlaczego nie jestem mężczyzną? — krzyknęła na głos. — Dlaczego nie mogę lecieć razem z wami? — Oni jednak znajdowali się już poza zasięgiem wzroku. Centaine zawróciła Nuage'a i ruszyła wolno po stoku.

Wszyscy zginą, pomyślała. Wszyscy młodzi i silni, i piękni — i zostaną tylko starzy, okaleczeni i brzydzy. Odgłos dział niczym kontrapunkt odpowiadał jej strachowi.

— Tak bym chciała, tak bardzo bym chciała... — powiedziała na głos.

Koń nadstawił uszu, żeby lepiej usłyszeć jej głos, ale Centaine nic nie dodała, gdyż sama nie wiedziała, czego tak naprawdę chce. Wiedziała tylko, że jest w niej jakaś próżnia, która domaga się wypełnienia, jakieś pragnienie, choć sama nie wie czego, i olbrzymi żal do całego świata. Puściła konia wolno na małym trawniku za domem i sama zaniósła siodło do stajni.

Ojciec siedział już za stołem kuchennym i Centaine pocałowała go przelotnie na dzień dobry. Czarna opaska na oku nadawała mu zawadiacki wygląd mimo faktu, że drugie oko zaszło krwią; jego twarz była tak pomarszczona i obwisła jak u ogara i wyraźnie pachniał czosnkiem i czerwonym winem.

Jak zwykle Anna dogadywała mu w przyjazny sposób i Centaine, która siedziała po drugiej stronie stołu z wielkim kubkiem kawy w rękach, zastanawiała się, czy Anna i jej ojciec śpią ze sobą.

Jednocześnie zdziwiła się, że nigdy wcześniej o tym nie pomyślała.

Centaine urodziła się na wsi i akt prokreacji nie był dla niej tajemnicą. Mimo gwałtownych sprzeciwów Anny zawsze była obecna, kiedy z okolicznych posiadłości sprowadzano klacze do Nuage'a.

Tylko ona mogła opanować wielkiego białego rumaka, kiedy wyczuł klacz, i uspokoić go, żeby mógł dokonać dzieła, nie kalecząc przy tym siebie lub obiektu swoich pożądań.

Dzięki prostej logice Centaine doszła do wniosku, że proces ten przebiega podobnie u ludzi. Kiedy zapytała Annę, ta z początku zagroziła jej, że powie wszystko ojcu i umyje jej usta szarym mydłem. Centaine była jednak uparta i wreszcie Anna szeptem potwierdziła jej przypuszczenia. Spojrzała przy tym przez kuchnię na księcia wzrokiem, którego Centaine nigdy u niej nie widziała. Wtedy nie pojęła tego spojrzenia, ale teraz dawało odpowiedź na jej pytanie.

Kiedy przyglądała się im, jak kłócą się i śmieją, wszystko układało się w logiczną całość: kilka razy, gdy obudziła się w nocy po koszmarnej śnie i poszła do pokoju Anny, żeby się do niej przytulić, nie zastała jej w łóżku, a kiedyś znalazła jej spódnicę pod łóżkiem ojca w czasie sprzątania pokoju. Nie dalej jak tydzień temu Anna wyszła z piwnicy, gdzie pomagała ojcu czyścić zaimprovizowane przegrody dla zwierząt, ze słomą na spódnicy i w siwych włosach.

To odkrycie jedynie powiększyło wewnętrzną pustkę i dziwne przygnębienie Centaine. Czowała się osamotniona, pozbawiona przyjaciół i celu w życiu, pusta i smutna. Poderwała się od stołu.

— Wychodzę.

— O nie. — Anna zagroziła jej drogę. — Musimy zdobyć jakąś żywność dla domu, skoro twój ojciec pozbawił nas wszystkich zapasów i ty, moja panno, pomożesz mi w tym!

Centaine musiała być teraz sama, żeby poradzić sobie z nie znanym jej uczuciem wewnętrznej pustki. Zręcznie zanurkowała pod wyciągniętym ramieniem Anny i wypadła przez drzwi kuchenne.

Na progu stał najpiękniejszy mężczyzna, jakiego widziała w życiu.

Był ubrany w błyszczące buty i nienaganne bryczesy w nieco jaśniejszym odcieniu khaki niż mundur. Wąską talię opinał mu lśniący pas z wypolerowaną klamrą; wąski „Sam Browne” przecinał mu pierś czarną pręgą skóry i podkreślał szerokość jego ramion. Na lewej piersi miał skrzydełka RFC RFC (Royal Flying Corps) — Królewski Korpus Lotniczy i rząd kolorowych baretek, na epoletach lśniły odznaki jego rangi, a czapkę miał załamaną jak doświadczony pilot i założoną na głowę pod beztróskim kątem. Spod daszka lśniły niewiarygodnie niebieskie oczy.

Centaine cofnęła się o krok, gdyż mężczyzna górował nad nią jak młody bóg, i uświadomiła sobie, że ogarnia ją zupełnie nie znane uczucie. Jej żołądek zmienił się w gorącą galaretkę, ciężką jak ołów, która spływała coraz niżej, aż wreszcie jej nogi nie mogły utrzymać tego ciężaru. Jednocześnie miała poważne kłopoty z oddychaniem.

— Madembiselle de Thiry.

Odezwał się ideał wojskowego splendoru i dotknął na pozdrowienie daszka czapki. Ten głos nie był Centaine obcy i rozpoznała oczy, krystalicznie czyste, błękitne źrenice, a ramię mężczyzny podtrzymywał wąski skórzany pasek...

— Michael... — Głos jej się załamał i poprawiła się: — Kapitan Courteney — i zaraz przeszła na flamandzki: — Mijnheer Courteney?

Młody bóg uśmiechnął się do niej. Wydawało się absolutnie niemożliwe, żeby to był ten sam mężczyzna: rozczochrany, pokrwawiony, wymazany błotem i ubrany w nie dopasowane, popalone szmaty, trzęsący się histerycznie, którego wczoraj wieczorem pomagała ułożyć w przyczepie motoru, zamroczonego bólem i alkoholem.

Kiedy mężczyzna się uśmiechnął, Centaine poczuła, jakby grunt usunął jej się spod nóg. Po chwili

ziemia uspokoiła się, ale Centaine czuła, że zmieniała swój kurs i biegnie zupełnie inną drogą pośród gwiazd. Od tej chwili nic już nigdy nie miało być takie same.

— Entrez, monsieur.

Cofnęła się do kuchni, a kiedy Michael przestąpił próg, książę poderwał się od stołu i wybiegł mu na powitanie.

— Jak się pan czuje, kapitanie? — Ucisnął Michaelowi rękę. — Jak pańskie rany?

— Już znacznie lepiej.

— Odrobina koniaku jeszcze bardziej by im pomogła — zasugerował książę i rzucił córce znaczące spojrzenie.

Michael poczuł, jak żołądek mu się wywraca na samo wspomnienie alkoholu i zdecydowanie pokręcił głową.

— Nie — powiedziała twardo Centaine i zwróciła się do Anny: — Musimy obejrzyć ranę kapitana.

Michael nie protestował zbyt mocno i Centaine podprowadziła go do stołka przed paleniskiem w kuchni. Kiedy Anna odpięła rannemu pas, Centaine pomogła mu zdjąć mundur.

Anna odwinęła bandaż i mruknęła z satysfakcją.

— Podaj mi gorącą wodę, dziecko — poleciła.

Uważnie przemyły i osuszyły rany, a następnie Anna posmarowała je świeżą maścią i zabandażowała czystym bandażem.

— Goi się bardzo ładnie. — Anna skinęła głową, gdy Centaine pomagała Michaelowi założyć koszulę.

Centaine nie zdawała sobie sprawy, jak gładka może być skóra mężczyzny, zwłaszcza na bokach i plecach. Ciemne włosy kręciły mu się na karku i był tak chudy, że mogła policzyć każdy wyrostek kręgosłupa, po którego obu stronach biegły silne, długie mięśnie.

Obeszła Michaela, żeby pomóc mu zapiąć koszulę.

— Jesteś taka delikatna — powiedział cicho i Centaine nie śmiała spojrzeć mu w oczy, żeby nie zdradzić się przed Anną.

Niechący dotknęła palcami włosów na jego klatce piersiowej i przekonała się, że są grube, kędzierzawe i sprężyste. Brodawki na płaskich, silnych piersiach były małe i miały kolor ciemnoróżowy, ale pod jej spojrzeniem stwardniały i wysunęły się do przodu, co jednocześnie zdumiało ją i zachwyciło. Nigdy nie przypuszczała, że może to się zdarzać także mężczyznom.

— Chodź tu, Centaine — zawołała ją Anna i dziewczyna poderwała się z ziemi, uświadamiając sobie, że gapi się na ciało mężczyzny.

— Przyszedłem państwu podziękować — powiedział Michael. — Nie zamierzałem przysparzać więcej kłopotów.

— Żaden kłopot.

Centaine nadal nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

— Bez pani pomocy spaliłbym się żywcem.

— Nie, nie mów tak! — sprzeciwiła się Centaine z niepotrzebną emfazą.

Idea śmierci zupełnie nie pasowała do jego cudownej postaci. Spojrzała na twarz mężczyzny i miała przez chwilę wrażenie, że pogodnie letnie niebo spogląda na nią spoza niebieskich oczu.

— Centaine, czeka nas wiele pracy — głos Anny brzmiał kategorycznie.

— Proszę mi pozwolić pomóc sobie — zaproponował ochoczo Michael. — Zostałem uziemiony, nie wolno mi latać.

Anna posłała mu pełne wątpliwości spojrzenie, ale książę tylko wzruszył ramionami.

— Jeszcze jedna para rąk zawsze się przyda.

— To tylko mała zapłata — nalegał Michael.

— Pański piękny mundur. — Anna szukała wymówki i spuściła wzrok na jego wypolerowane buty.

— Mamy kalosze i kombinezon — wtrąciła się szybko Centaine i Anna wzniosła do góry ręce w geście kapitulacji.

Centaine uznała, że nawet niebieski serge de Nim, czy drelich, jak go popularnie nazywano, i czarne gumki wyglądały elegancko na Michaelu, kiedy zdecydował się pomóc księciu w czyszczeniu boksów dla zwierząt w piwnicy.

Centaine i Anna spędziły resztę przedpołudnia w ogródku warzywnym, przygotowując ziemię do wiosennego sadzenia.

Centaine co chwila wymykała się do piwnicy pod najróżniejszymi pretekstami i zatrzymywała się obok Michaela pracującego pod kierownictwem księcia. Rozmawiali ze sobą pośpiesznie, aż wreszcie Anna schodziła na dół i wołała:

— Gdzie jest to dziecko? Centaine! Co tam robisz? — jakby nie wiedziała.

Zjedli posiłek południowy w kuchni: omlety z cebulą i truflami, ser i ciemny chleb, do tego butelka czerwonego wina, na którą Centaine wyraziła zgodę, choć nie na tyle, żeby powierzyć klucze ojcu. Sama zeszła do piwnicy.

Wino złagodziło nastrój — nawet Anna wypijała szklaneczkę i pozwoliła Centaine zrobić to samo. Rozmowa stała się mniej skrępowana i co chwila przerywały ją wybuchy śmiechu.

— A więc, panie kapitanie — książę spojrzał na Michaela szacującym spojrzeniem — co pan i pańska rodzina robicie w Afryce?

— Jesteśmy farmerami — odparł Michael.

— Dzierżawicie folwark? — zapytał ostrożnie książę.

— Nie, nie — roześmiał się Michael. — Mamy własną ziemię.

— Więc jesteście właścicielami ziemskimi? — Książę zmienił ton, gdyż, jak cały świat wiedział, ziemia była jedynym prawdziwym bogactwem. — Jak duży jest majątek pańskiej rodziny?

— No cóż... — Michael wyglądał na zaambarasowanego — ...całkiem spory. Właściwie należy on do rodzinnej kompanii — mój wujek i ojciec...

— Pański wujek — generał? — przerwał książę.

— Tak, wujek Sean...

— Sto hektarów? — nalegał książę.

— Trochę więcej.

Michael wiercił się na ławie i bawił się okruszkami chleba,

— Dwieście?

Książę patrzył wyczekująco i Michael nie mógł dłużej trzymać go w niepewności.

— Jeśli policzy się plantacje i wypasy dla bydła i jeszcze kawałek ziemi, który mamy na północy, to będzie wszystkiego razem jakieś czterdzieści tysięcy hektarów.

— Czterdzieści tysięcy? — Książę patrzył na niego szeroko otwartymi oczami i zaraz powtórzył pytanie po angielsku, żeby nie było żadnych wątpliwości: — Czterdzieści tysięcy?

Michael skinął niezręcznie głową. Dopiero niedawno zaczął zdawać sobie sprawę z prawdziwych rozmiarów rodzinnego majątku.

— Czterdzieści tysięcy hektarów! — wyszeptał niemal z szacunkiem książę. — Oczywiście ma pan wielu braci?

Michael pokręcił głową.

— Nie, tak się składa, że jestem jedynakiem.

— Ha! — powiedział książę z widoczną ulgą — niech pan nie przejmuję się tym tak bardzo! — i poklepał go po przyjacielsku po ramieniu.

Rzucił spojrzenie córce i po raz pierwszy rozpoznał wyraz jej oczu, gdy patrzyła na młodego lotnika.

No i całkiem słusznie, pomyślał. Czterdzieści tysięcy hektarów i w dodatku jedynak! Jego córka była Francuzką i znała wartość sou i franka, sacre bleu, lepiej niż on sam. Uśmiechnął się do małej z miłością. Jeszcze dziecko, ale sprytna, młoda kobietka pod wieloma względami. Od czasu, gdy rządca księcia uciekł do Paryża, zostawiając kasę i rachunki w totalnym chaosie, Centaine przejęła kontrolę nad pieniędzmi. Książę zresztą nigdy nie dbał o pieniądze, gdyż według niego tylko ziemia miała prawdziwą wartość, ale córka była znacznie bardziej rozsądna. Potrafiła nawet policzyć wszystkie butelki w piwnicy i szynki powieszzone do wędzenia. Pociągnął łyk czerwonego wina i z przyjemnością pograżył się w marzeniach. Po tej okropnej rzezi, po strasznej wojnie, zostanie tak niewielu kawalerów nadających się do czegokolwiek... a te czterdzieści tysięcy hektarów!

— Cheri — powiedział na głos. — Gdyby tak kapitan wziął strzelbę i upolował nam kilka gołębi, a ty spróbuj napełnić koszyk truflami — powinnaś jeszcze jakieś znaleźć — to moglibyśmy przygotować na wieczór wspaniały obiad.

Centaine klasnęła z radości w ręce, ale Anna posłała mu tylko obrażone i wściekłe spojrzenie.

— Anna pójdzie z wami jako przyzwoitka — dodał szybko książę. — Nie chcemy przecież żadnego skandalu?

Tak posiane ziarenko powinno zakiełkować uczuciem pomiędzy nimi, pomyślał, gdyby nie to, że kwiatek już rozkwitał. Czterdzieści tysięcy hektarów, merde!

Świnia nazywała się Kaiser Wilhelm lub w skrócie Klein Willie. Był to olbrzymi łaciaty knur, tak potężny, że kiedy wtoczył się do lasu, Michaelowi skojarzył się z hipopotamem. Jego spiczaste uszy opadały na oczy, a ogon zwijał się na grzbiecie niczym olbrzymi obwarzanek, ukazując wszystkim świadectwo płci, schowane w jasnoróżowym ciele.

— Vas-y, Willie! Cherche! — krzyknęły Centaine i Anna. Obie też musiały mocno się zapierać, żeby utrzymać potężne zwierzę na smyczy. — Cherche! Szukaj!

Knur zaczął ochoczo obwąchiwać czekoladowobrązową ziemię pod dębami, ciągnąc obie kobiety za sobą. Michael podążał za nimi truchtem z łopatą na zdrowym ramieniu, śmiejąc się, zachwycony nowym sposobem grzybobrania.

Kiedy zanurzyli się głębiej w las, znaleźli nieduży strumyk wypełniony po brzegi mętną wodą po ostatnich deszczach. Poszli dalej jego brzegiem, zachęcając okrzykami knura do szukania. Nagle świnia wydała radosny kwik i zaczęła rozkopywać ziemię szerokim pyskiem.

— Znalazł coś! — krzyknęła Centaine i razem z Anną próbowały odciągnąć wielkiego zwierzaka.

— Michael! — zawołała Centaine przez ramię. — Jak tylko go stąd zabierzemy, musisz szybko kopać. Gotów?

— Gotów!

Centaine wyciągnęła z kieszeni pomarszczoną truflę, która spleśniała już ze starości. Odcięła plasterk scyzorykiem i podsunęła świni pod pysk tak blisko, jak tylko mogła. Z początku knur ją zignorował, ale kiedy świeży zapach truflki dostał mu się do nozdrzy, chrząknął pożądlawie i spróbował wyrwać plasterk z jej palców. Centaine szybko schowała rękę i cofnęła się o krok. Knur ruszył za nią.

— Michael, szybko! — krzyknęła i ten zaatakował miękką ziemię szpadlem. Kilkoma ruchami

odsłonił trufkę, a Anna opadła na kolana i wyrwała ją z ziemi gołymi rękami. Pobrudzony ziemią grzyb był wielkości jej pięści.

— Spójrz, jaki piękny!

Centaine mogła wreszcie dać świni plasterek trufla i kiedy knur pożarł go łapczywie, pozwoliła mu wrócić do dołu i obwąchać uważnie ziemię, żeby przekonał się, że nie zostało w niej nic do zjedzenia.

— Cherche! — krzyknęła na niego i grzybobranie rozpoczęło się od nowa.

Po godzinie mieli mały koszyk pełen guzowatych i wyglądających mało apetycznie grzybów i Anna postanowiła przerwać poszukiwania.

— Więcej tylko by się zepsuło. Teraz musimy się postarać o gołębie. Zobaczymy, czy nasz kapitan z Afryki potrafi strzelać!

Wrócili za knurem przez otwarte pola do pałacyku, śmiejąc się nieustannie po drodze. Centaine schowała trufle do spiżarki, a Anna zamknęła knura w piwnicy i przyniosła strzelbę ze stojaka w kuchni.

Podala ją Michaelowi i przyglądała się, jak otwiera zamek i sprawdza obie lufy, zamyka broń i przykłada ją do ramienia, żeby sprawdzić jej wyważenie. Mimo oparzeń, które ograniczały nieco ruchy Michaela, Anna poznała po tym, jak obchodzi się z bronią, że kapitan musi być dobrym strzelcem i jej twarz złagodził uśmiech aprobaty.

Ze swojej strony Michael był zdziwiony i jednocześnie uradowany widząc, że broń jest firmy Holland i Holland — jedynie angielscy rusznikarze potrafili dopasować lufy, które dawałyby idealnie równy tor strzałów bez względu na to, jak szybko broń poruszałaby się w rękach strzelca.

Skinął głową do Anny.

— Doskonała broń!

Podala mu płócienny woreczek z nabojami.

— Pokażę ci dobre miejsce. — Centaine wzięła mężczyznę za rękę, żeby zaprowadzić go na stanowisko, ale widząc minę Anny, szybko go puściła. — Po południu gołębie wracają do lasu — wyjaśniła.

Przecięli skraj lasu. Centaine szła przodem, podnosząc spódniczki nad kałużami, tak że Michael mógł zobaczyć jej gładkie białe łydki. Jego tętno było bardziej przyspieszone, niż wynikałoby to z tempa marszu. Anna, na swoich krótkich, tęgich nogach, została z tyłu za nimi i młoda para nie zwracała uwagi na jej wołania, żeby zaczekali.

Na skraju lasu, w kącie litery „T”, którą piloci traktowali jako punkt orientacyjny przy lądowaniu, rozciągało się małe pole otoczone wysokimi żywopłotami ze wszystkich stron.

— Gołębie nadlatują z tej strony. — Centaine wskazała ręką nad zarośniętymi, zaniedbanymi polami i winnicami. — Zaczekamy tutaj.

Żywopłot zapewniał doskonałe schronienie i kiedy Anna wreszcie dołączyła do nich, cała trójka ukryła się i zaczęła przeszukiwać wzrokiem niebo. Z północy nadciągały ciężkie, niskie chmury deszczowe, tworząc wspaniałe tło dla gołębi, które Michael z łatwością potrafił wypatrzeć wytrenowanym wzrokiem.

— Tam — powiedział. — Lecą prosto na nas.

— Nie widzę. — Centaine rozglądała się z podekscytowaniem. — Gdzie? Ach tak, teraz je widzę.

Mimo że ptaki leciały bardzo szybko, trzymały się linii niemal prostej i łagodnie zniżały lot nad lasem. Dla wyborowego strzelca, jakim był Michael, stanowiły łatwy cel. Poczekał, aż dwa ptaki znajdą się w jednej linii i trafił je pierwszą kulą. Gołębie poleciały pionowo w dół w tumanie piór i

kiedy spłoszone stado rozpięzchło się, Michael trafił trzeciego ptaka z drugiej lufy.

Obie kobiety wybiegły na otwarte pole, żeby przynieść zdobycz.

— Trzy gołębie dwoma kulami.

Centaine stanęła za Michaeliem, głaszcząc ciepłe jeszcze ciało gołębia i przyglądając się mężczyźnie.

— To tylko fuks — zawyrokowała gburowato Anna. — Nikt nie może trafić dwóch gołębi w locie jedną kulą.

Następne stado okazało się większe i ptaki leciały zbitą chmarą. Michael zestrzelił trzy z pierwszej lufy i trafił czwartego z drugiej. Centaine spojrzała triumfująco na Annę.

— Kolejny fuks — powiedziała Anna chełpliwie. — Ale nasz kapitan ma dzisiaj szczęście.

W ciągu następnej pół godziny jeszcze dwa stada znalazły się w zasięgu strzału i Centaine spytała poważnie:

— Mijnheer, czy pan nigdy nie chybia?

— Tam w górze — Michael spojrzał na niebo — jeśli się spudłuje, jest się martwym. Jak dotąd nigdy jeszcze nie spudłowałem.

Centaine zadrżała. Śmierć — znowu to okropne słowo. Wydawało się, że otacza ich ze wszystkich stron: na wzgórzach, gdzie na chwilę łoskot dział przeszedł w niski pomruk, w niebie nad nimi. Spojrzała na Michaela, myśląc: nie chcę, żeby zginął — nigdy! Nigdy!

Otrząsnęła się z ponurych myśli i uśmiechnęła się mówiąc:

— Naucz mnie strzelać.

Pomysł był doskonały, gdyż pozwalał Michaelowi dotykać jej nawet pod zazdrosnym wzrokiem Anny. Ustawił dziewczynę przed sobą i nachylił ją w klasycznej pozycji, z lewą nogą wysuniętą do przodu.

— To ramię nieco niżej. — Oboje czuli, jak przechodzi ich prąd przy każdym dotknięciu. — Obróć nieco biodra w tę stronę.

Położył na nich ręce i jego głos brzmiał, jakby się zakrztusił, gdy Centaine naparła na niego pośladkami.

Pierwszy strzał rzucił ją do tyłu w objęcia Michaela, a gołębie poszybowały nietknięte w stronę horyzontu.

— Patrzysz na lufę, a nie na ptaki — wyjaśnił Michael, nie wypuszczając jej z objęć. — Patrz tylko na gołębia, a strzelba sama za nim podąży.

Przy następnym strzale tłusty gołąb spadł na ziemię wśród podekscytowanych krzyków obu kobiet, ale kiedy Anna pobiegła po niego, deszcz, który zbierał się od dobrej chwili, lunął na nich srebrzystą zasłoną.

— Do stodoły! — krzyknęła Centaine i puściła się pędem przez trawnik.

Deszcz zaczął przez korony drzew i wielkie lodowato zimne krople rozbijały się na skórze biegnących. Centaine pierwsza dopadła stodoły, a jej bluzka była tak mokra, że przywarła do ciała i Michael mógł przyjrzeć się kształtowi piersi dziewczyny. Do czoła przylepiły się jej mokre loki. Centaine strząsnęła krople ze spódnicy i roześmiała się do Michaela, nie starając się już unikać jego wzroku.

Stodoła stała frontem do trawnika. Była zbudowana z żółtych kamiennych bloków i przykryta słomianym dachem, miejscami zdartym jak stary dywan. Sterty siana wznosiły się aż pod sufit.

— Zanosi się na dłuższą ulewę — mruknęła niechętnie Anna, wyglądając na strugi deszczu i jednocześnie strząsając z siebie wodę jak bawół wychodzący z mokradeł. — Daliśmy się złapać w pułapkę.

— Anno, możemy oczyścić ptaki.

Znaleźli sobie wygodne siedzenia na belach siana. Centaine usiadła obok Michaela, tak że dotykali się ramionami. Czyszcząc ptaki z piór, zaczęli rozmawiać.

— Opowiedz mi o Afryce — poprosiła. — Czy naprawdę jest tak ponura?

— To najbardziej słoneczne miejsce na ziemi. Jest nawet zbyt dużo słońca — odparł Michael.

— Kocham słońce. — Centaine potrząsnęła głową. — Nienawidzę zimna i deszczu. Dla mnie nigdy nie byłoby za dużo słońca.

Opowiedział jej o pustyniach, gdzie deszcz nigdy nie pada.

— Nie ma nawet tyle deszczu w ciągu roku, co tutaj spadło w jeden dzień.

— Myślałam, że w Afryce mieszkają jedynie czarne dzikusy.

— Nie — roześmiał się Michael. — Jest także wielu białych dzikusów i czarnych dżentelmenów.

Opowiedział jej o malutkich Pigmejach z lasów Iturii, sięgających normalnemu człowiekowi do pasa, i olbrzymich Watusi, którzy twierdzili, że każdy człowiek poniżej dwóch metrów jest Pigmejem, a także o szlachetnych wojownikach zuluskich, którzy uważali się za dzieci niebios.

— Mówisz tak, jakbyś ich kochał — powiedziała z nutką oskarżenia w głosie.

— Zulusów? — spytał i zaraz skinął głową. — Tak, chyba ich kocham. Przynajmniej niektórych. Na przykład Mbejane...

— Mbejane? — Nie wymówiła imienia poprawnie.

— To Zulus. Jest z moim wujkiem od czasu, gdy byli jeszcze chłopcami. — Użył zuluskiego słowa Umfaan i musiał jej przetłumaczyć na flamandzki.

— Opowiedz mi o zwierzętach. — Centaine nie chciała, żeby przestał mówić. Mogła bez ustanku słuchać jego opowieści i jego głosu. — Opowiedz mi o lwach i tygrysach.

— Nie mamy tygrysów — uśmiechnął się do niej — za to mnóstwo lwów.

Nawet zajęte pracą ręce Anny zamarły, gdy Michael opisywał obóz myśliwski, w którym on i wujek Sean zostali uwięzieni przez stado lwów i musieli stać przez całą noc obok koni, uspokajając je i ochraniając, gdy wielkie koty krążyły na skraju światła ogniska, ryczały i pomrukiwały, starając się wypędzić konie w ciemność, gdzie stałyby się łatwym łupem.

— Opowiedz nam jeszcze o słońcach — poprosiła i Michael opowiadał o tych potężnych zwierzętach. Opisał jej, jak poruszają się wolnym, lunatycznym krokiem, wachlując się olbrzymimi uszami i podnoszą trąbą piach, żeby posypać nim sobie głowy w piaskowej kąpieli.

Opowiedział im także o skomplikowanych zależnościach panujących w grupie, o tym, że stare byki unikają hałasu, jaki panuje w stadzie z małymi.

— Zupełnie jak twój ojciec — wtrąciła Anna.

Opisał im także, jak stare, bezpłodne samice przyjmują na siebie obowiązki położnych, i nianiek; jak wielkie szare bestie nawiązują ze sobą stosunki przypominające ludzką przyjaźń, która trwa do końca ich życia. Mówił o ich dziwnej świadomości śmierci: kiedy zwierzęta zabiją myśliwego, który je wcześniej prześladował, przykrywają często trupa zielonymi gałęziami, zupełnie jakby odprawiały pokutę. Opowiadał, jak członkowie stada podtrzymują rannego towarzysza na kłach, żeby nie upadł na ziemię, a jeśli wreszcie wywróci się na ziemię i jest to samica, jeden z samców zbliża się, żeby z nią spółkować, zupełnie jakby chciał zaprzeczyć śmierci aktem prokreacji.

Ta ostatnia historia obudziła Annę z zasłuchanego transu i nakazała pomyśleć o jej roli przyzwoitki. Spojrzała ostrym wzrokiem na Centaine.

— Przestało już padać — oznajmiła stanowczo i zaczęła zbierać oskubane gołębie z podłogi.

Centaine wciąż przyglądała się Michaelowi wielkimi, lśniąco-ciemnymi oczyma.

— Kiedyś pojedę do Afryki — powiedziała cicho, a Michael spojrzał na nią i skinął głową.

— Tak — potwierdził. — Kiedyś pojedziesz.

Było to tak, jakby wymienili przysięgi. Stanowiło coś pewnego pomiędzy nimi, co rozumieli bez słów. W tej chwili Centaine stała się jego kobietą, a Michael jej mężczyzną.

— Chodźcie — nagliła Anna od drzwi. — No, szybciej, póki znowu nie zacznie padać.

Wymagało wiele silnej woli, żeby wstać i wyjść na mokre podwórze, gdzie z drzew skapywały krople deszczu.

Szli wolno obok siebie przez trawnik, nie dotykając się więcej, ale tak świadomi własnych ciał, jakby trzymali się wzajemnie w objęciach.

Z nadciągającego mroku wynurzyły się nieoczekiwanie samoloty lecące nisko z warkotem silników, który narastał, aż maszyny przeleciały im nad głowami. Formację prowadził zielony sopwith. Pod tym kątem nie mogli dostrzec głowy Andrew, ale widzieli jasne niebo przez rzędy dziur, jakie kule ze spandauów wyrwały w materiale skrzydeł. Pięć samolotów, które leciały za nim w szyku, również ucierpiało od kul. Na kadłubach widać było szramy i dziury w skrzydłach.

— To był ciężki dzień — mruknął Michael z odrzuconą do tyłu głową.

Kolejny sopwith podązał za pozostałymi z silnikiem gasnącym co chwila i jednym skrzydłem mocno odchylonym od poziomu z powodu odstrzelonych podpórek. Centaine, patrząc na maszynę, zadrżała i zbliżyła się do Michaela.

— Niektórzy z nich zginęli dzisiaj — szepnęła i Michael nie musiał jej odpowiadać.

— Jutro znowu będziesz z nimi latał.

— Jutro nie.

— No to pojutrze albo następnego dnia. Znowu nie musiał jej odpowiadać.

— Michael! — W jej głosie słychać było fizyczny ból. — Chcę się z tobą spotkać sam na sam. Może nigdy więcej — może już nie będziemy mieli okazji. Od tej chwili musimy żyć każdą minutą naszego życia, jakby to była ostatnia.

Szok wywołany jej słowami był niczym mocne uderzenie w piersi. Michael nie mógł wydobyć głosu z gardła.

— Stodoła — szepnęła Centaine.

— Kiedy? — Odzyskał głos, który wydawał się okropnie zduszony.

— Dziś w nocy, przed północą. Przyjdę najszybciej, jak tylko będę mogła. Będzie zimno. — Spojrzała mu w twarz. Normalne konwenanse rozpadły się pod salwami wojny. — Musisz wziąć ze sobą koc.

Obróciła się na palcach i pobiegła za Anną, zostawiając Michaela patrzącego za nią z niedowierzaniem i rosnącym podnieceniem.

Michael umył się pod pompą przed domem i przebrał w swój odświętny mundur. Kiedy wszedł do kuchni, spod pokrytych złocistą skórką pieczonych gołębi roztaczała się woń świeżych trufli, a Centaine napełniała szklaneczkę ojca, nie napotykając jego sprzeciwu. Napełniała też często szklaneczkę Anny, bardziej liberalnie i z zachowaniem ostrożności, tak że Anna nie zauważyła niczego, mimo że jej twarz stała się podejrzenie czerwona, a śmiech ochrypli.

Centaine powierzyła Michaelowi opiekę nad gramofonem firmy His Master's Voice, jej naczenniejszym skarbem. Michael musiał nieustannie nakręcać gramofon i zmieniać woskowe krążki płyt. Z olbrzymiej miedzianej tuby rozlegały się głośne dźwięki nagrania Aidy w wykonaniu orkiestry La Scali pod dyktando Toscaniniego. Centaine przyniosła Michaelowi talerz z jedzeniem i nachylając się nad nim, musnęła palcami jego kark — ciemne, miękkie, kręcone włosy — i szepnęła mu namiętnie w ucho:

— Uwielbiam Aidę, a pan, kapitanie?

Kiedy książę zaczął wypytywać o uprawy w rodzinnej posiadłości Courteneyów, Michael miał poważne problemy z koncentracją.

— Produkowaliśmy spore ilości czarnej akacji, ale mój ojciec i wujek uważają, że po wojnie samochody całkowicie zastąpią konie i drastycznie zmniejszy się zapotrzebowanie na skórzaną uprzęż i w konsekwencji na barwniki z akacji...

— Co za wstyd, że koń ustąpi miejsca temu hałaśliwemu i smrodliwemu diabelskiemu pomiotowi — westchnął książę. — Oczywiście, mają jednak rację. Silnik benzynowy to przyszłość.

— Sadzimy teraz sosny i australijskie niebieskie drzewa gumowe. To świetny materiał na podpory do kopalni złota i surowiec do produkcji papieru.

— Zupełnie słusznie.

— Oczywiście mamy też plantacje cukru i hodujemy bydło. Mój wujek uważa, że niedługo pojawią się statki z chłodzonymi pomieszczeniami, w których będzie można rozwozić wołowinę po całym świecie...

Im dłużej książę słuchał jego odpowiedzi, tym bardziej wydawał się zadowolony.

— Pij, mój chłopcze — zachęcał Michaela. — Zaledwie umoczyłeś usta. Czyżbyci nie smakowało?

— Naprawdę wspaniale, ale wie pan, lefoie — moja wątroba. Michael dotknął dłonią brzucha tuż pod żebrami i książę pokiwał ze współczuciem głową. Jako Francuz doskonale rozumiał, że większość problemów i niedogodności tego świata jest owocem nieprawidłowego funkcjonowania tego organu.

— To nic poważnego. Bardzo proszę, żeby moja mała niedyspozycja nie psuła panu wieczoru. Michael uczynił przepaszający gest i książę posłusznie napełnił własną szklankę.

Obsłużwszy obu mężczyzn, kobiety przyszły z własnymi talerzami do stołu. Centaine usiadła obok ojca, ale nie odzywała się wiele. Spoglądała to na jednego, to na drugiego, jakby uważnie słuchała ich rozmowy. W pewnej chwili Michael poczuł lekki dotyk na kostce i z szokiem, przy którym omal nie podskoczył do góry, uświadomił sobie, że Centaine dotknęła go stopą pod stołem. Obrócił się niezręcznie pod baczny wzrok księcia, nie śmiejąc spojrzeć na dziewczynę, dmuchnął nerwowo na koniuszki palców, jakby je mocno sparzył, i zamrugał oczyma.

Stopka dziewczyny wycofała się równie dyskretnie, jak się pojawiła, i Michael odczekał dwie, trzy minuty, zanim sam sięgnął w jej stronę. Znalazł jej stopę i wziął ją pomiędzy swoje nogi; kątem oka widział, jak na policzkach dziewczyny rozpościera się ciemny rumieniec i obejmuje uszy. Spojrzał, tak oczarowany, że nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy, dopóki nie obudził go lekko podniesiony głos księcia.

— Jak wiele? — Książę powtórzył pytanie ze zdziwieniem i przejęty poczuciem winy Michael szybko wycofał nogi.

— Przepraszam, ale nie usłyszałem...

— Kapitan nie czuje się najlepiej — wtrąciła Centaine, a jej głos był dziwnie zduszony. — Jego rany jeszcze się nie zagoiły, w dodatku pracował dzisiaj zbyt ciężko.

— Nie będziemy go, oczywiście, zatrzymywać — zgodziła się zgryźliwie Anna — jeśli skończył już obiad.

— Właśnie. — Centaine wstała od stołu. — Musimy mu pozwolić wrócić do domu i odpocząć.

Książę wyglądał na zrozpaczonego z powodu tak nieoczekiwanej utraty towarzysza do kieliszka, ale Centaine zaraz go uspokoiła.

— Nie kłopotz się, tatusiu, posiedź sobie i dokończ wino.

Anna towarzyszyła młodemu w ciemnościach do furtki kuchennego ogródka i stała blisko, patrząc

czujnym-wzrokiem, jak mówią sobie skromnie dobranoc. Wypiła trochę za dużo czerwonego wina i chęć Centaine szybkiego pożegnania kapitana nie obudziła jej czujności.

— Mademoiselle de Thiry, czy mogę jeszcze panią odwiedzić?

— Jeśli tylko pan chce, kapitanie.

Zmiękczone wytrawnym trunkiem serce Anny zdawało się topnieć i potrzebowała dużej dozy silnej woli, żeby nadać swemu głosowi zdecydowane brzmienie.

— Do widzenia, mijnheer. Nie możemy tak stać, bo to dziecko jeszcze się przeziębii. Wracamy do domu, Centaine.

Księżę upierał się, że musi splukać czerwone wino jednym czy dwoma kieliszkami fine de champagne. Wyjaśnił poważnie Centaine, że obniża to kwasowość wina. W wyniku tego obie kobiety musiały mu pomóc dostać się do łóżka. Wspinaczka po schodach nie była zbyt bezpieczna, a księżę dodawał sobie otuchy, śpiewając marsz z Aidy, raczej z większym temperamentem niż talentem. Kiedy znalazł się wreszcie przed swoim łóżkiem, zwałił się na nie jak podcięte drzewo, lądując na plecach. Centaine wzięła po kolei obie jego nogi pomiędzy kolana i ściągnęła wysokie buty.

— Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko. Twój tatuś cię kocha. Razem z Anną posadziły go na łóżku i założyły mu przez głowę nocną koszulę, a następnie pozwoliły śpiącemu opaść na pościel. Pod osłoną koszuli ściągnęły księciu spodnie i przetoczyły go na bok.

— Niech anioły pilnują twego snu, moja ślicznotko — wymamrotał, gdy przykrywały go kołdrą.

Anna zgasiła świecę. W zapadłych ciemnościach odnalazła głowę śpiącego mężczyzny i pogładziła jego poskręcane w loki włosy.

Księżę odpowiedział głośnym chrapnięciem i Anna podążyła za Centaine, zamykając cicho za sobą drzwi.

Centaine leżała na łóżku i słuchała, jak stary dom trzeszczy i skrzypi w ciemnościach nocy.

Przezornie odsunęła od siebie pokusę wsunięcia się pod kołdrę w ubraniu, gdyż Anna złożyła jej jedną ze swoich nie zapowiedzianych wizyt, gdy dziewczyna właśnie miała gasić światło. Anna usiadła na brzegu jej łóżka, wesola od czerwonego wina, ale nadal zbyt czujna, żeby nie spostrzec, iż Centaine nie jest jeszcze w nocnej koszuli. Ziewając teatralnie co chwila, Centaine próbowała telepatycznie uspić Annę, ale kiedy usłyszała dzwon kościoła w Mort Homme wybijający godzinę dziesiątą, a Anna wciąż wesolo paplała, udała, że sama zasnęła. Szybko okazało się to prawdziwą męczarnią — leżeć tak i oddychać regularnie, gdy Centaine aż drżała z emocji.

W końcu Anna zauważyła, że mówi do samej siebie. Wstała z łóżka, pozbierała i poskładała ubranie porozrzucane po całym malutkim pokoiku, a następnie nachyliła się, żeby pocałować dziewczynę na dobranoc w policzek i zgasiła lampę.

Gdy tylko została sama, Centaine usiadła na łóżku i objęła się ramionami, nękana niepokojem i niecierpliwością. Mimo że doskonale zdawała sobie sprawę, jak musi się zakończyć spotkanie z Michaeliem, dokładny przebieg owego procesu był wciąż jeszcze dla niej mroczną tajemnicą. Logika podpowiadała jej, że w ogólnych zarysach musi to przypominać czynności, które tyle razy obserwowała na polu i w zagrodzie.

Któregoś leniwego letniego popołudnia, jeszcze przed wojną, Centaine zyskała potwierdzenie swoich podejrzeń, kiedy jej uwagę zwróciło lekkie zamieszanie i hałas dochodzący z pustej stajni. Wdrapała się po cichu na strych i przez szparę w podłodze obserwowała z rosnącym zdumieniem Elbę, pomocnicę kucharki, i Jacques'a, młodego stajennego, aż wreszcie zaświtało jej, że patrzy na odpowiednik tego, co robi kogut z kurą czy ogier z klaczą. Przez następne dni rozmyślała o tym intensywnie i baczniej przysłuchiwała się plotkom pokojówek. Wreszcie zebrała się na odwagę i poszła ze swoimi pytaniami do Anny.

Cała ta sprawa zasiała w umyśle dziewczyny wiele wątpliwości z powodu dziwnych sprzeczności. Według Anny czynność ta była bardzo bolesna, towarzyszyło jej obfite krwawienie i zawsze istniało duże niebezpieczeństwo zajścia w ciążę lub nabawienia się poważnej choroby. To z kolei kłóciło się z wesołymi chichotami, z jakimi inne służące plotkowały na te tematy oraz ze śmiechem i zduszonymi jękami rozkoszy, jakie podsłuchiwała u Elsy leżącej pod Jacques'em na słomie w stajni.

Centaine wiedziała, że nie musi się lękać bólu; nawet doktor Le Brun potwierdził to, kiedy składał jej złamane ramię bez chloroformu. „Nawet nie jęknęła” — nie mógł się nadziwić lekarz. Nie, Centaine wiedziała, że potrafi znieść ból równie dobrze jak każda z wieśniaczek z ich posiadłości. Co do krwawienia, to zdarzyło się to już raz, poza comiesięcznymi przypadłościami. Często, kiedy miała pewność, że nikt jej nie widzi, zdejmowała niewygodne boczne siodło z grzbietu Nuage'a i podwinawszy spódnicę, jeździła na koniu na oklep. Poprzedniej wiosny zmusiła ogiera do skoku przez mur otaczający północne pole. Skoczyła od niskiej strony i wylądowała dwa metry w dole, po drugiej stronie. Kiedy spadli na ziemię, Centaine siadła twardo na końskim kłębie i ostry niczym pchnięcie nożem ból przebiegł jej ciało. Na biały kark Nuage'a pociekła krew i Centaine poczuła się tak zawstydzona, że mimo bólu obmyła konia w sadzawce, zanim zaprowadziła go do stajni.

Nie bała się ani bólu, ani krwi. Jej niepewność miała zupełnie inną przyczynę. Drżała na myśl, że może rozczarować Michaela — Anna przestrzegła ją także i przed tym.

— Później mężczyźni tracą całe zainteresowanie kobietą, les cochons.

Jeśli Michael przestanie się mną interesować, to chyba umrę, pomyślała i przez chwilę zawahała się. Nie pójdę, nie będę ryzykować.

— Ale jak mogłabym nie pójść? — szepnęła głośno i poczuła, jak piersi rozpięra jej miłość i pragnienie. — Muszę iść. Po prostu muszę.

Słuchała niecierpliwie, jak Anna szykuje się do snu w sąsiednim pokoiku. Nawet kiedy w domu zapadła cisza, Centaine nadal czekała; wysłuchiwała zegara kościelnego wybijającego kwadrans i pół godziny, zanim odważyła się wysunąć z-lóżka.

Znalazła spódnicę i majtki złożone przez Annę. Zatrzymała się z jedną nogą w nogawce pantalonów.

— Po co to? — zapytała samą siebie i dławiąc śmiech odrzuciła je kopnięciem.

Zapięła wełnianą spódnicę do jazdy konnej i kurtkę, a potem zarzuciła ciemny szal na głowę i ramiona. Z butami "w rękach przemknęła się korytarzem do pokoju Anny i przez chwilę nasłuchiwała pod jej drzwiami.

Chrapanie Anny było już regularne i Centaine odważniej pobiegła do kuchni. Siedząc na stołku przed paleniskiem, założyła buty i wyjęła latarnię z okrągłym okienkiem. Potem otworzyła drzwi i wyszła na dwór. Sierpowaty łuk księżyca wisiał nisko na niebie przysłaniany co chwilę przez smugi postrzępionych chmur.

Centaine trzymała się blisko trawnika, żeby nie było słychać chrzęstu żwiru pod butami na ścieżce. Nie rozkręciła też lampy i biegła przez trawnik w świetle księżyca. Na północy, wysoko na zboczach wzgórz, rozbłysło nagle jaskrawe, pomarańczowe światło, które zdążyło przygasnąć, zanim dotarł do niej stłumiony przez wiatr łoskot wybuchu.

Mina! Centaine zatrzymała się na chwilę, zastanawiając się, ilu ludzi zginęło w monstrualnym wybuchu ognia i ziemi. Ta myśl wzmocniła jej postanowienie. Otaczała ją zewsząd śmierć i nienawiść, a tak mało miłości. Powinna chwytać każdy jej okruc.

Zobaczyła stodołę i rzuciła się do niej biegiem. Ze środka nie dochodziło żadne światło czy

warkot silnika motocykla.

Nie przyszedł — przerażająca myśl wzmogła niewypowiedziane jej pragnienie. Chciała wykrzyknąć na cały głos jego imię. Potknęła się na progu stodoły i o mały włos, a byłaby upadła.

— Michael!

Nie mogła się dłużej pohamować. Usłyszała panikę we własnym głosie, gdy zawołała go ponownie i otworzyła przesłoniętą latarni.

Michael wyłonił się z mroku i ruszył w jej stronę. Wydał się jej bardzo wysoki, miał szerokie ramiona, a jego blada twarz była piękna w migotliwym świetle latarni.

— Bałam się, że nie przyszedłeś. Zatrzymał się tuż przed nią.

— Nic — powiedział miękko — nic na świecie nie mogłoby mnie powstrzymać.

Stali naprzeciw siebie, Centaine z uniesioną lekko głową, i patrzyli na siebie oczami pełnymi pożądania, a jednak żadne z nich nie wiedziało, co powinno zrobić i w jaki sposób przekroczyć kilka dzielących ich centymetrów, które zdawały się przybierać rozmiary nieskończonej próżni.

— Nikt cię nie widział? — spytał ostrożnie Michael.

— Nie, nie sądzę.

— To dobrze.

— Michael?

— Tak, Centaine.

— Może nie powinnam przychodzić? Może powinnam wrócić? Było to dokładnie to, co powinna powiedzieć, gdyż możliwość utraty jej jakby zelektryzowała Michaela. Sięgnął po dziewczynę i schwycił, niemal szorstko, w ramiona.

— Nie, nigdy; nie chcę, żebyś kiedykolwiek ode mnie odeszła. Centaine roześmiała się matowym, zadyszonym głosem, Michael zaś przyciągnął ją mocniej do siebie i spróbował pocałować, ale wypadło to bardzo nieporadnie. Uderzyli się nosami, a następnie, z pośpiechu, zderzyli się zębami, zanim zdołali znaleźć swe usta. Gdy w końcu Michael znalazł jej wargi, okazały się miękkie i gorące i wsunął w nie głębiej język, żeby rozkoszować się niczym smakiem dojrzałych jabłek. Gruby szal Centaine zsunął się do przodu, zakrywając ich i musieli się ze śmiechem rozdzielić, zadyszani z rozkoszy.

— Guziki — szepnęła Centaine — twoje guziki wpijają mi się w ciało. Jest mi też zimno.

Zatrzęsała się przy tym teatralnie.

— Przepraszam.

Wziął lampę i poprowadził dziewczynę na tył stodoły. Przeprowadził ją przez bele siana i Centaine zobaczyła w świetle latarni, że z tyłu wymościł im legowisko z miękkiej słomy, którą przykrył szarymi kocami wojskowymi.

— Musiałem wrócić po nie do mojego namiotu — wyjaśnił, ustawiając ostrożnie lampę na podłodze. Obrócił się do niej ochoczo.

— Attends! — Centaine użyła znanego mu już słowa i zręcznie odpięła przebiegający mu przez pierś pas. — Inaczej będę cała w siniakach.

Michael odrzucił pas na bok i sięgnął po ukochaną. Tym razem łatwiej znaleźli własne usta i wpili się w nie żarliwie. Centaine czuła, jak przez jej ciało przepływają fale silnego uczucia, czyniąc ją słabą i na wpół przytomną. Nogi się pod nią ugięły i Michael musiał ją podtrzymać; próbowała odwzajemnić potok pocałunków, który zalewał jej usta, powieki i szyję, chciała, żeby znalazł się obok niej na kocu. Celowo osunęła się w dół i pociągnęła go za sobą, tak że upadli razem na pokrytą kocami słomę.

— Przepraszam.

Michael chciał się odsunąć, ale Centaine otoczyła szyję ukochanego ramieniem i przyciągnęła go bliżej do siebie. Drugą ręką sięgnęła nad jego ramieniem po koc i przykryła ich oboje. Słyszała, jak wydaje ciche piski, przypominające miauczenie małej kotki i jednocześnie głaskała go po twarzy i włosach, całując w usta. Ciało Michaela przygniatało ją przyjemnym ciężarem i kiedy próbował się odsunąć od niej, Centaine otoczyła nogą jego udo i przytrzymała przy sobie.

— Światło — szepnął ochryple Michael, szukając po omacku lampy.

— Nie. Chcę widzieć twoją twarz.

Schwyciła za rękę i położyła ją sobie na piersi, patrząc mu przy tym w oczy. W świetle lampy wydały jej się tak piękne, że czuła, jak coś w niej pęka — w tej samej chwili dłoń Michaela zacisnęła się na jej ciele i Centaine przycisnęła ją mocniej do bolących od pożądania sutków.

Wszystko w niej stawało się rozkoszą i pragnieniem, coraz silniejszym pożądaniem, aż w końcu stało się to nie do zniesienia. Coś musi się zdarzyć, zanim zemdleje od nadmiaru emocji:— ale nic się nie zdarzyło i Centaine poczuła, jak wraca na ziemię, niecierpliwa, niemal wściekła z doznanego zawodu.

Rozsądek, dotąd tłumiony przez pragnienie, obudził się, mówiąc jej, że Michael jeszcze się nie zdecydował, co ją prawdziwie rozzłościło. Powinien nią pokierować i zaprowadzić tam, dokąd chciała dojść. Schwyciła go za rękę i pociągnęła w dół, przesuając się jednocześnie pod nim tak, że wełniana spódnica podsunęła się jej do pasa.

— Centaine — szepnął Michael.— Nie chcę zrobić niczego, czego być sobie nie życzyła.

— Tais-toi! — syknęła na niego. — Bądź cicho!

Zrozumiała w tej chwili, że to ona będzie musiała go poprowadzić i zawsze będzie musiała nim kierować, gdyż miał w sobie niepewność, z której dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę. Nie czuła jednak do niego o to urazy. Wręcz przeciwnie, dodawało jej to sił i czyniło bardziej pewną siebie.

Oboje jęknęli, gdy Michael jej dotknął. Po minucie puściła jego rękę i sama zaczęła go szukać. Krzyknęła, gdy jej palce natrafiły nań; jego członek stał się tak wielki i twardy, że czuła się zupełnie oszołomiona. Przez chwilę nie była pewna, czy jest zdolna zrobić to, co sobie zamierzyła — zaraz jednak odsunęła od siebie wątpliwości. Michael leżał na niej w niewygodnej pozycji i Centaine musiała się nieco obrócić i podsunąć. Nagle, gdy jeszcze tego nie oczekiwała, stało się — i Centaine jęknęła zaskoczona.

Anna jednak myliła się — nie było żadnego bólu, tylko zapierające dech w piersiach uczucie rozciągania i wypełniania, a kiedy minął jej szok, pozostała świadomość wielkiej władzy nad nim.

— Tak, Michael, tak, kochanie — zachęcała go.

Coraz szybciej wbijał się w nią z jękiem, Centaine zaś z łatwością znosiła jego napór, wiedząc, że w tej chwili Michael należy wyłącznie do niej, i radując się tą wiedzą.

Kiedy ogarnął go orgazm, patrzyła mu w twarz i widziała w świetle lampy, jak pociemniały mu oczy. Czuła do Michaela miłość, która była wręcz fizycznie bolesna, a jednocześnie gdzieś w głębi pozostał jej cień wątpliwości, czy przypadkiem nie ominęło jej coś bardzo ważnego. Wcale nie czuła potrzeby, żeby krzyczeć jak Elsa pod Jacques'em na słomie. Zaledwie myśl ta przemknęła Centaine przez głowę, dziewczyna poczuła strach.

— Michael — szepnęła niespokojnie — czy ty mnie jeszcze kochasz? Powiedz, że mnie kochasz.

— Kocham cię bardziej niż własne życie.

Jego głos był ochryPLY, słowa załamywały się na ustach. Centaine nawet przez chwilę nie wątpiła w ich szczerość. Uśmiechnęła się w ciemnościach z ulgą i przytuliła go mocniej. Poczwała, jak kurczy się w niej, i ogarnęła ją fala ciepłego współczucia.

— Moje kochanie. Już wszystko dobrze, kochanie — szepnęła. I pogłaskała go jednocześnie po sprężystych lokach na karku.

Minęła dłuższa chwila, zanim Centaine uświadomiła sobie, że coś nieodwołalnie się zmieniło przez te kilka minut. Leżący w jej ramionach mężczyzna był fizycznie znacznie od niej silniejszy, a jednak miała wrażenie, że tuli do piersi dziecko — małe, śpiące i bezbronne. Czuli się teraz mądrzejsza i bardziej świadoma życia, zupełnie jakby jej spokojna dotychczasowa egzystencja była jedynie dryfowaniem z prądem, a dopiero teraz odnalazła kierunek i pewnie dążyła do brzegu.

— Obudź się, Michael. — Potrząsnęła nim delikatnie i Michael poruszył się i mruknął coś na wpół przytomnie. — Nie możesz teraz spać; mów do mnie.

— O czym?

— O czymkolwiek. Opowiedz mi o Afryce. Chcę usłyszeć, że razem pojedziemy do Afryki.

— Już ci o tym mówiłem.

— To zrób to jeszcze raz. Chcę usłyszeć, jak mi o tym opowiadasz. Leżała, słuchając z zainteresowaniem każdego słowa i zadawała pytania, gdy tylko milkł.

— Opowiedz mi o swoim ojcu. Nie powiedziałeś mi jeszcze, jaki jest i jak wygląda.

Przegadali tak całą noc, leżąc wtuleni we własne ciała i okryci szarymi kocami.

Wreszcie — i było to za wcześnie dla nich obojga — działa zaczęły ostrzał wzgórz i Centaine przytuliła mocniej Michaela do siebie.

— Nie chcę, żebyś odchodził! — szepnęła, odsunęła się od niego, usiadła na ziemi i zaczęła zakładać ubranie i zapinać guziki.

— To najpiękniejsza rzecz, jaka zdarzyła mi się w życiu — szepnął Michael, patrząc na nią.

W świetle lampy i migotliwych rozbłyskach wybuchów oczy Centaine wydawały się wyjątkowo duże i łagodne.

— Michael, pojedziemy razem do Afryki, prawda?

— Obiecuję ci, że pojedziemy.

— I urodzę ci syna, i będziemy żyli długo i szczęśliwie, jak to jest w bajkach, czy tak, Michael?

Szli razem przez trawnik, przytuleni do siebie pod szalem Centaine. Przy rogu stodoły Michael pocałował dziewczynę i trzymał ją tak długo w objęciach, że w końcu wyrwała mu się i pobiegła przez dziedziniec w stronę domu.

Nie obejrzała się, gdy dopadła kuchni i zniknęła w dużym, mrocznym domu, zostawiając go samego i dziwnie smutnego, kiedy powinien być wesoły i pogodny.

Biggs stał przy łóżku i patrzył z czułością na śpiącego. Jego najstarszy syn, który zginął rok temu w okopach pod Ypres, miałby teraz tyle samo lat. Michael wyglądał na tak bardzo wyczerpanego i znużonego, że Biggs musiał się przemóc, aby go obudzić.

— Biggs, która godzina? — mruknął na wpół przytomnie Michael.

— Już późno, sir, i słońce już wstało — ale dziś nie latamy, nadal jesteśmy uziemi.

Wtedy stało się coś dziwnego. Michael uśmiechnął się do niego niesamowitym, kretyńskim uśmiechem, którego Biggs jeszcze nigdy u niego nie widział. Zaalarmowało go to.

— Kurczę, Biggs, czuję się cudownie.

— Bardzo się cieszę z tego, sir. — Żołnierz zastanawiał się z troską, czy Michael nie ma gorączki. — A jak się ma nasze ramię?

— Nasze ramię ma się cudownie, wręcz wspaniale, Biggs.

— Pozwoliłbym panu spać, ale major chciał pana widzieć. Ma panu coś bardzo ważnego do pokazania.

— Co takiego?

— Nie wolno mi powiedzieć, panie Michael. To rozkaz lorda Killigerrana.

— Świat jest piękny, Biggs! — wykrzyknął Michael bez widocznego powodu i wyskoczył z łóżka. — Nie możemy pozwolić lordowi Killigerranowi czekać.

Michael wpadł do mesy i ze zdziwieniem stwierdził, że w środku jest pusto. Chciał się podzielić z kimś swoim wyśmienitym nastrojem, najchętniej z Andrew, ale nawet kapral prowadzący mesę opuścił swoje stanowisko. Na stole stały jeszcze talerze ze śniadaniem, a na podłodze spoczywały porzucone w pośpiechu gazety i magazyny. W popielniczce leżała fajka adiutanta, z której wydobywały się jeszcze smugi cierpkiego dymu — dowód na to, w jak dużym pośpiechu mesa została opuszczona.

Michael usłyszał przez otwarte okno dochodzące z pewnej odległości podekscytowane głosy. Wybiegł z budynku i skierował się w stronę drzew.

Ich eskadra liczyła dwudziestu czterech pilotów, ale po ostatnich wytężonych walkach została zredukowana do szesnastu, wliczając w to Andrew i Michaela. Wszyscy piloci zebrali się na skraju sadu, a pomiędzy nimi stali mechanicy, obsługa naziemna, załoga dział przeciwlotniczych, które strzegły lądowiska, a nawet ordynansi — kto żyw, przybiegł na pas startowy i zdawało się, że na dodatek wszyscy mówią jednocześnie.

Żołnierze zebrali się przy samolocie stojącym na pierwszym stanowisku, na samym skraju lądowiska. Michael dostrzegał jedynie górne płaty skrzydeł i obudowę silnika nad głowami zebranych, ale poczuł, że nagle serce zaczyna mu mocno walić w piersiach. Jeszcze nigdy nie widział niczego podobnego.

Maszyna miała długi dziób, znamionujący wielką moc, skrzydła były pięknie wygięte i jednocześnie mocno odchyłone, co obiecywało dużą szybkość, a wypukłe powierzchnie boczne świadczyły o dużej stabilności i łatwym prowadzeniu maszyny.

Andrew przepchał się przez zbity tłum ludzi i pośpieszył na spotkanie Michaelowi, trzymając w kąciku ust pod zawadiackim kątem złotą cygarniczkę.

— Witamy Śpiącą Królową, która niczym Wenus wynurza się ze spienionych fal.

— Andrew, czy to jest wreszcie ten SE5a? — Michael musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć hałas rozmów.

W odpowiedzi tamten schwycił go za rękaw i pociągnął w stronę samolotu. Tłum rozstał się przed nimi; Michael zatrzymał się kilka kroków przed maszyną i przyglądał się jej z podziwem. Od razu było widać, że jest cięższa i bardziej wytrzymała niż niemieckie „Albatrosy” DIII — a ten silnik! Był niesamowity! Wręcz kolosalny!

— Dwieście koni! — powiedział Andrew i z widoczną radością podniósł obudowę silnika.

— Dwieście koni mechanicznych! — powtórzył za nim Michael. — Jest większy niż niemiecki mercedes.

Podszedł bliżej i z czułością pogłodził pięknie rzeźbione drewno śmigła. Spojrzał w górę na uzbrojenie.

Na górnym skrzydle został umieszczony karabin lewisa 303, lekka i pewna broń strzelająca ponad łukiem śmigła, poniżej, na kadłubie przed kokpitem, znajdował się ciężki vickers z przerywaczem, strzelający przez łuk śmigła. Wreszcie mieli dwa karabiny i wystarczająco potężny silnik, żeby stanąć do boju z każdym samolotem.

Michael wydał z siebie góralski okrzyk, którego nauczył go Andrew, a przyjaciel otworzył piersiówkę i skropił whisky pokrywę silnika.

— Niech będzie błogosławiona ta maszyna i każdy, kto w niej lata — zaintonował Andrew i pociągnął głębszy łyk z butelki, zanim wręczył ją Michaelowi.

— Latałeś już nią? — zapytał Michael głosem ochryplym od alkoholu, który palił mu gardło, i przekazał flaszkę stojącemu najbliżej pilotowi.

— A jak sądzisz, do cholery, kto ją przyprowadził z Arrras? — odparł pytaniem na pytanie Andrew.

— Jak się ją prowadzi?

— Jak pewną znajomą mi młodą damę z Aberdeen: szybko w górze, szybko w dole, a bardzo miękko i cudownie w środku.

Odpowiedziały mu śmiechy i gwizdy zebranych pilotów, a ktoś zawołał:

— Sir, kiedy będziemy mogli się nią przelecieć?

— Według starszeństwa — odparł Andrew i posłał Michaelowi złośliwy uśmiech. — Szkoda, że kapitan Courteney nie może latać!

Potrząsnął głową z udanym współczuciem.

— Biggs! — wrzasnął Michael. — Gdziejest moja kurtka?

— Sądziłem, że może jej pan potrzebować, sir.

Biggs wysunął się z tłumu z rozpostartą kurtką w rękach i pomógł Michaelowi ją założyć.

Potężny silnik Wolseley Viper pognał maszynę po wąskim, miękkim pasie startowym i kiedy ogon samolotu oderwał się od ziemi, Michael stwierdził, że ma doskonałą widoczność ponad silnikiem. Zupełnie jakby siedział w łoży głównej.

Każę Macowi zdjąć to bezsensowne okienko, zdecydował w myślach, to będę mógł wypatrzeć każdego Huna z odległości stu kilometrów.

Poderwał wielką maszynę do góry i uśmiechnął się, czując, z jaką łatwością wznosi się w przestworza.

„Szybko w górze” — przypomniał sobie słowa Andrew. Poczuł, jak siła przeciążenia wciska go w fotel, gdy wzniosł dziób ponad horyzont. Samolot wzlatywał jak sęp unoszony w niebo przez ciepłe prądy powietrza.

Żaden „Albatros” nie ucieknie nam teraz w górę, myślał Michael entuzjastycznie. Na wysokości półtora tysiąca metrów wyrównał lot i wprowadził maszynę w skręt, zacieśniając go coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie leciał z jednym skrzydłem skierowanym pionowo w dół, ściągając drążek do siebie, żeby utrzymać dziób w górze, czując, jak siła odśrodkowa odciąga mu krew z głowy, tak że przed oczyma miał szare plamy i zaraz szybko przerzucił samolot na drugie skrzydło, wyjąc radośnie pośród wiatru i huku potężnego silnika.

— Spróbujcie teraz, wy dranie! — Obrócił głowę, żeby spojrzeć w stronę niemieckich linii. — Chodźcie tu i zobaczcie, jaką mamy dla was niespodziankę!

Kiedy wylądował, otoczyła go grupa pilotów, przekrzykujących jeden drugiego.

— Mikę, jaka ona jest?

— Jak się wspina?

— Można robić skręty?

Stojąc na niższym skrzydle Michael złożył palce prawej ręki, przycisnął je do ust i poderwał w teatralnym geście ku niebu.

Tego popołudnia Andrew poprowadził eskadrę w zwartym szyku, wciąż w ich starych, podziurawionych kulami i połatanych sopwithach, do głównego lotniska w Bertangles. Piloci czekali niecierpliwie w grupie przed hangarem numer 3, aż obsługa naziemna wyprowadzi wielkiego SE5a i ustawi go w szeregu na pasie startowym.

Poprzez swojego wujka w dowództwie dywizji Andrew załatwił, że na lotnisku czekał już fotograf mający uwiecznić tę chwilę. Z nowymi myśliwcami stanowiącymi tło za ich plecami

Andrew ustawił grupę na kształt drużyny piłkarskiej. Każdy z pilotów miał inne ubranie, ani jeden z nich nie nosił standardowego ubioru RFC. Także ich głowy zdobiły najprzeróżniejsze przykrycia: czapki, czapki z daszkiem, skórzane hełmy, podczas gdy Andrew nosił nieodstępny берет z pomponem. Niektórzy piloci nosili marynarskie kurtki, mundury kawaleryjskie albo skórzane kurtki lotnicze, ale każdy z nich miał skrzydełka RFC na piersi.

Fotograf ustawił sprzęt na ciężkim statywie i zniknął pod czarnym materiałem zasłony, obok zaś stał pomocnik z płytami w ręku. Tylko jeden pilot nie zdecydował się na wspólne zdjęcie. Hank Johnson niewysoki, twardy Teksasczyk nie miał jeszcze dwudziestu lat i przed wojną tresował konie. Sam opłacił przejazd przez Atlantyk, żeby dostać się do eskadry Lafayette'a, skąd trafił wreszcie do grupy Szkotów, Irlandczyków i żołnierzy z kolonii, tworzących 21 eskadrę "RFC pod dowództwem Andrew Killigerrana.

Hank stanął za statywem z grubym, czarnym, holenderskim cygarem w ustach i żartobliwie podsuwał złe rady zdezorientowanemu fotografowi.

— Hank, chodź do nas! — zawołał Michael. — Potrzebujemy twojej pięknej buzi żeby zdjęcie miało jakąś klasę.

Hank otarł wykrzywiony nos, któremu kształt nadał kopnięciem jeden z jego ogierów, i pokręcił przecząco głową.

— Żaden z was, chłopcy, nie słyszał, że zrobienie sobie zdjęcia przynosi pecha?

Wyśmiali go oczywiście, ale Hank tylko machnął pogardliwie cygarem.

— Nie krępujcie się mną — powiedział — ale mój ojciec został pogryziony przez żmiję tego samego dnia, kiedy zrobił sobie pierwszy raz zdjęcie.

— Tam, w górze, nie ma żadnych żmij — zakpił jeden z pilotów.

— Nie — zgodził się Hank. — Ale to, co tam jest, jest sto razy gorsze niż gniazdo żmij.

Kpiące krzyki straciły nagle siłę. Mężczyźni spoglądali po sobie i jeden z nich zrobił gest, jakby zamierzał opuścić grupę.

— Panowie, proszę o uśmiech.

Fotograf wynurzył się spod zasłony i zmusił pilotów do pozostania na miejscach, ale uśmiechy stojących wyglądały lekko sztucznie, kiedy otworzyła się przesłona i ich postacie zostały na zawsze uwiecznione na posrebrzanej płycie.

Andrew szybko zareagował, żeby zmienić ponury nastrój, który nagle ogarnął całą grupę.

— Michael, bierzesz pięciu — rozkazał. — Dajemy ci dziesięć minut, żebyście się dobrze ukryli i spróbowali nas zaatakować, zanim dotrzemy do Mort Homme.

Michael ustawił swoją piątkę w klasyczną pułapkę, chowając ich w chmurach — tak żeby nieprzyjaciel widział ich pod słońce — i blokując grupie Andrew powrót do Mort Homme. Mimo to Andrew omal się nie wymknął — poprowadził swoją grupę bowiem bardziej na południe i starał się prześlizgnąć nisko nad ziemią. Manewr ten pewnie by się powiódł, gdyby na miejscu Michaela znajdował się ktoś ze słabszym wzrokiem. Michael wypatrzył odbłask słońca na szybie jednego z samolotów z odległości piętnastu kilometrów i dał swojej grupie sygnał czerwoną racą. Andrew, uświadomiwszy sobie, że zostali odkryci, zaczął wspinać się do góry, aby wyjść nieprzyjacielowi na spotkanie, i dwie formacje rzuciły się na siebie, tworząc okropny chaos skręcających, nurkujących i wymykających się maszyn.

Michael wypatrzył w gmatwaninie ganiających się samolotów SE5a Andrew i rzucił się na niego ochoczo. Obaj przyjaciele zaczęli wykonywać skomplikowane ewolucje, zmuszając potężne maszyny do coraz większego wysiłku, starając się poznać kres ich wytrzymałości i możliwości, ale żaden z nich nie ustępował zdolnościami drugiemu, żaden więc nie potrafił zdobyć znaczącej przewagi.

Wreszcie, zupełnie przez przypadek, gdy Andrew znalazł się na ogonie Michaela i już naprowadzał samolot na strzał, Michael kopnął silnie pedał steru, nie pochylając jednocześnie maszyny do skrętu i ogon SE5a wpadł w poślizg, zarzucając myśliwcem z siłą, która omal nie skręciła pilotowi karku, ale samolot, wykonawszy pełny obrót, runął na spotkanie ataku Andrew.

Przemknęli obok siebie uratowani przed zderzeniem jedynie dzięki mechanicznemu refleksowi weteranów wielu walk i Michael natychmiast powtórzył ten sam manewr płaskiego skrętu. Tym razem zarzuciło go na bok kokpitu, uderzył częściowo zagojonym ramieniem o krawędź okna i przed oczyma zabłyśły mu gwiazdy — ale teraz maszyna znajdowała się na ogonie samolotu przyjaciela. Andrew dokładał wszelkich sił, żeby wymknąć się spod luf karabinów, ale Michael z łatwością sprostował każdemu skrętowi i nie spuszczał go nawet na chwilę z celownika, zmniejszając jednocześnie odległość, aż wreszcie śmigło jego SE5a niemal dotykało steru maszyny Andrew.

— Ngi dla! — Pożarłem cię!

Michael wydał z siebie triumfalny okrzyk wojenny Zulusów, jakim wojownicy króla Chaki dodawali sobie odwagi, gdy długie srebrzyste ostrza assegai wbijały się w ciało wroga. Zobaczył twarz Andrew odbitą w lusterku umieszczonym nad jego głową i oczy przyjaciela były szeroko rozwarte ze zdziwienia i pełne niedowierzania na tak niewiarygodny manewr.

Andrew wystrzelił zieloną racę, wzywając pilotów do powrotu do eskadry i jednocześnie przyznając zwycięstwo Michaelowi. Samoloty były porozrzucane po całym niebie, ale na sygnał wszyscy zebrali się za dowódcą i Andrew poprowadził oddział do Mort Homme.

Gdy tylko wylądowali w sadzie, Andrew wyskoczył z kokpitu i podbiegł do Michaela, chwytając go za ramiona i potrząsając niecierpliwie.

— Jak to zrobiłeś, cholera, jak ci się to udało? Michael szybko mu wyjaśnił.

— Ależ to niemożliwe. — Andrew pokręcił głową. — Płaski skręt — gdybym tego nie widział... — Nie dokończył myśli. — Wsiadaj do samolotu. Spróbujemy jeszcze raz.

Po chwili obaj pomknęli z rykiem po wąskim pasie startowym i wrócili do bazy dopiero przed samym zmierzchem. Michael i Andrew wyskoczyli z kokpitów i rzucili się sobie w objęcia, poklepując się po plecach i tańcząc w kółko, przy czym w wielu warstwach ubrań wyglądali jak para tresowanych niedźwiedzi. Obsługa naziemna przyglądała się temu z lekko pobłażliwymi uśmiezkami i dopiero kiedy obaj oficerowie nieco oprzytomnieli, Mac, naczelny mechanik, podszedł i pozdrowił ich, dotykając palcami daszka czapki.

— Najmocniej przepraszam, sir, ale ten fabryczny lakier przypomina kolor wyjściowej sukienki mojej teściowej, to znaczy jest szary, brudny i w ogóle okropny.

Wszystkie SE5a były pokryte maskującymi barwami, które miały zapobiec wypatrzeniu ich przez wroga.

Tylko kilku pilotów po obu stronach, niemieckiej i brytyjskiej, życzyło sobie dokładnie odwrotnego efektu. Dla nich była to kwestia honoru, żeby ich maszyna była łatwo rozpoznawalna przez wroga, niczym bezpośrednie rzucenie wyzwania.

— Dla mnie zielony — powiedział Andrew. — Zielony — powtórzył. — Jasnozielony, żeby pasował do mojej szarfy, i nie zapomnij o latającej baraninie na dziobie.

— Mac, a dla mnie żółty — zdecydował Michael.

— Wie pan, panie Michael, tak sobie myślałem, że to pewnie będzie żółty — uśmiechnął się Mac.

— Aha, Mac, jeśli już się nim zajmujesz, to bądź tak dobry i zdejmij tę okropną małą szybkę i podciągnij nieco linki od skrzydeł.

Doświadczeni piloci wierzyli, że jeśli zwiększyło się kąt dwuścienny pomiędzy skrzydłami przez

ściągnięcie mocujących ich linek, to samolot będzie mógł wyciągnąć kilka kilometrów więcej.

— W porządku — zgodził się Mac.

— Ustaw go także, żeby latał bez rąk — dodał Michael.

Wszyscy mechanicy wiedzieli, że najwięcej pracy jest przy weteranach. Jeśli po puszczeniu sterów samolot mógł lecieć prosto i równo, to pilot miał możliwość wzięcia broni w obie ręce.

— Tak jest, sir, bez rąk. — Mac uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Aha i jeszcze ustaw karabiny na pięćdziesiąt metrów...

— Coś jeszcze, sir?

— Na razie wystarczy, Mac — Michael odpowiedział uśmiechem na jego uśmiech. — Ale jeszcze coś tam wymyślę.

— Jestem tego pewien, sir. — Mac pokręcił głową z rezygnacją. — Maszyna będzie gotowa przed świtem.

— Masz u mnie butelkę rumu, jeśli zdążysz ją wyszykować na rano — obiecał mu Michael.

— A teraz, chłopcze — Andrew zarzucił mu rękę na ramię — co powiesz na jednego głębszego?

— Już się bałem, że nigdy się nie zdecydujesz — odparł Michael. Mesa była pełna młodych ludzi, którzy z podnieceniem dyskutowali podniesionymi głosami na temat nowych maszyn.

— Kapral! — Lord Killigerran musiał krzyczeć, żeby usłyszała go obsługa mesy. — Dzisiaj wszystkie drinki idą na moje konto.

Piloci wrzasnęli radośnie i natychmiast odwrócili się do kontuaru, żeby jak najpełniej wykorzystać ofertę.

Godzinę później, kiedy wszystkim już błyszczały oczy, a śmiechy osiągnęły poziom, który Andrew uznał za dostateczny dla swoich celów, wałnął kilka razy pięścią w stół, żeby zwrócić na siebie ich uwagę i oznajmił uroczyście:

— Jako wielki czempion bok-bok na całe Aberdeen i większą Szkocję, żeby nie wspominać o Hybrydach, wypada mi wyzwać wszystkich tu obecnych na walkę w tym starożytnym i szlachetnym sporcie.

— Zaiste wypada! — Michael puścił oko do przyjaciela. — Niech pan będzie łaskaw wybrać sobie drużynę, sir.

Michael przegrał losowanie i jego drużyna musiała uformować piramidę pod ścianą mesy. Shizący pośpiesznie uprzątnęli łatwo łamiące się sprzęty. Następnie chłopcy z grupy Andrew rzucali się jeden za drugim z rozbiegu na piramidę, starając się ją wywrócić, co dawałoby im natychmiastowe zwycięstwo. Jeśli jednak jakkolwiek częścią ciała dotknęliby przy tym ziemi, oznaczałoby to dyskwalifikację całej drużyny.

Grupa Michaela wytrzymała okrutne ataki i wreszcie wszystkich ośmiu atakujących leżało na piramidzie Michaela, uważając, żeby nie dotknąć ziemi choćby jednym palcem ręki czy nogi.

Ze szczytu piramidy Andrew zadał pytanie decydujące, czy walka zakończy się dla niego szlachetnym zwycięstwem, czy też sromotną przegraną:

— Bok-bok, ile palców mam w górze?

Michael, który znajdował się na samym dole, odpowiedział zduszonym głosem:

— Trzy.

— Dwa! — Andrew wydał zwycięski okrzyk i z jękiem rozczarowania piramida zapadła się, grzebiąc wszystkich w chaosie splątanych ciał. Michael znalazł ucho przyjaciela kilka centymetrów od swoich ust.

— Słuchaj, nie pożyczylbyś mi jeszcze dzisiaj motocykla? — zapytał cicho.

Chociaż Andrew był tak ściśnięty, że nie mógł się nawet ruszyć, spojrział zezem na Michaela.

— Chcesz znowu przejechać się, by zaczerpnąć łyk świeżego powietrza? — I kiedy Michael wstydliwie odwrócił wzrok, nie mogąc znaleźć żadnej odpowiedzi, Andrew dodał: — Wszystko, co mam, należy do ciebie. Masz moje błogosławieństwo i nie zapomnij przekazać ode mnie najniższych ukłonów dla tej wspaniałej dziewczyny.

Michael zaparkował motocykl w lesie za stodołą i niosąc pod pachą rulon z kilku wojskowych koców przekradł się po błocie do wejścia. Kiedy wsunął się do środka, w ciemnościach zabłysło światelko, gdy Centaine odłoniła przesłone lampy.

— Bonsoir, monsieur. — Siedziała na stosie słomianych beli z podwiniętymi nogami i uśmiechała się figlarnie do niego. — Cóż za niespodzianka widzieć tutaj pana!

Michael wdrapał się na górę i wziął ją w ramiona.

— Jesteś dzisiaj wcześniej — stwierdził.

— Tata poszedł wcześniej spać... — Nie dokończyła, gdyż zakrył jej wargi swoimi.

— Widziałam nowe samoloty — powiedziała zadyszana, gdy ją puścił — ale nie wiedziałam, który jest twój. Wszystkie były takie same. Martwiłam się, że nie mogę cię rozpoznać.

— Jutro znowu będę latać żółtym. Mac właśnie go dla mnie przemalowuje.

— Musimy ustalić jakieś sygnały — stwierdziła Centaine, biorąc koce, by wymościć dla niech gniazdko pomiędzy belami słomy.

— Jeśli podniosę rękę nad głowę w ten sposób, to znaczy, że spotkamy się w nocy w stodole — zaproponował Michael.

— Będę czekać z niecierpliwością na ten sygnał. — Uśmiechnęła się do niego i poklepała koce obok siebie. — Chodź do mnie — rozkazała, a jej głos stał się ochryply i nabrzmiały pożądaniem.

Później, kiedy leżała z uchem przyłożonym do jego nagiej klatki piersiowej i słuchała przyspieszonego bicia jego serca, Michael poruszył się lekko i szepnął:

— Centaine, tak być nie może! Nie możesz jechać ze mną do Afryki. Usiadła szybko i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, podczas gdy jej wargi zaciskały się coraz bardziej, a oczy, ciemne niczym stal, zaczynały niebezpiecznie błyszczeć.

— Co by ludzie powiedzieli? Musisz pamiętać o mojej reputacji. Nie mogę podróżować z kobietą, która nie jest moją żoną.

Nadal nie spuszczała z niego wzroku, ale jej usta rozluźniły się nieco w uśmiechu.

— Musi być jakieś rozwiązanie. — Michael udawał, że się zastanawia. — Już wiem! — Strzelił głośno palcami. — A co byś powiedziała, gdybym ci się oświadczył?

Przyłożyła znowu głowę do jego piersi.

— Tylko dlatego, żeby zachować twoją reputację — szepnęła.

— Nie powiedziałaś „tak”.

— Och, tak. Tak! Milion razy tak!

Następne pytanie, charakterystyczne dla Centaine, było bardzo pragmatyczne.

— Kiedy, Michael?

— Wkrótce, tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Poznałem już twoją rodzinę, a jutro chcę cię zabrać, żebyś ty poznała moją.

— Twoją rodzinę? — Odsunęła „się, żeby spojrzeć mu w oczy. — Przecież twoja rodzina jest w Afryce.

— Nie cała — zapewnił ją Michael. — Większa jej część znajduje się tutaj. Kiedy mówię: „większa część”, to nie mam na myśli jej liczebności, a jedynie stopień ważności.

— Nic nie rozumiem.

— Zrozumiesz, ma cherie, na pewno zrozumiesz! — uspokoił ją.

Michael wyjaśnił Andrew, co zamierza.

— Jeśli cię złapią, to ja nic nie wiedziałem o tym niecnym planie. Co więcej, zasiądę w sądzie polowym i osobiście pokieruję twoją egzekucją — ostrzegł go przyjaciel.

Michael wymierzył krokami twardy grunt na granicy północnego pola majątku de Thiry, jak najdalej od bazy eskadry. Jaskrawożółty SE5a prześlizgnął się nad linią dębów okalających pole i gdy tylko koła samolotu przemknęły nad trzymetrową kamienną ścianą, Michael zamknął przepustnicę i pozwolił maszynie opaść na miękką ziemię. Ustawił samolot i zostawiając silnik na wolnym biegu, wyskoczył na skrzydło.

Centaine wybiegła zza muru, gdzie czekała w ukryciu. Michael stwierdził, że posłuchała jego rady i ubrała się ciepło: spod wełnianej spódnicy wystawały długie, wykładane futerkiem buty, a szyję miała obwiązaną żółtą jedwabną szarfą. Założyła na siebie wspaniałe futro z lisów i gdy biegła, kaptur objął jej się o plecy. Przez ramię miała przewieszoną skórzaną torbę.

Michael zeskoczył na ziemię i porwał ją w ramiona.

— Widzisz? Włożyłam szal w twoim ulubionym kolorze: żółtym.

— Kochana dziewczynka. — Postawił ją na ziemi. — Załóż to. — Wyjął z kieszeni płaszcz pożyczony skórzany hełm i pomógł jej założyć go na bujne loki i zapiąć sprzączkę pod brodą.

— Czy teraz wyglądam dzielnie i romantycznie? — zapytała, przybierając wystudiowaną pozę.

— Wyglądasz cudownie.

Była to rzetelna prawda. Miała policzki zaczerwienione z emocji, a oczy jej rzucały skry.

— Chodź. — Michael wspiął się na skrzydło i wsunął do małego kokpitu.

— Tu jest tak mało miejsca. — Centaine zawahała się na skrzydle.

— Ty też nie zajmujesz za dużo miejsca, ale przypuszczam, że troszkę się boisz, co?

— Boję się, też mi coś! — Rzuciła mu spojrzenie pełne wzgardy i zaczęła się przymierzać do zejścia w dół.

Była to skomplikowana procedura, która wymagała podciągnięcia spódnicy nad kolana i ostrożnego przejścia nad wysoką krawędzią kokpitu. Wyglądała przy tym jak piękny ptak siadający w gnieździe i Michael nie mógł się oprzeć, żeby nie pogłaskać jej po aksamitnych udach aż do majtek.

— Mój panie, za dużo pan sobie pozwala! — krzyknęła z udaną złością i opadła mu na kolana.

Zapiął pasy im obojgu i pocałował skrawek szyi Centaine widoczny pod krawędzią skórzanego hełmu.

— Teraz jesteś w mojej władzy. Stąd nie ma ucieczki.

— Wcale nie jestem pewna, czy chciałabym uciekać — zachichotała.

Jeszcze kilka minut zeszło im na układaniu halek, spódnicy i futra Centaine i upewnianiu się, że Michael może sięgnąć w tej pozycji do wszystkich przyrządów.

— Gotowe — oznajmił i podjechał maszyną na sam skraj pola, wykorzystując każdy centymetr, gdyż ziemia była miękka, a zaimprovizowany pas startowy bardzo krótki.

Michael kazał Macowi wyjąć amunicję, z obu karabinów i spuścić płyn chłodzący z vickersa, co zmniejszyło wagę samolotu o prawie trzydzieści kilogramów, ale nadal był on przeładowany jak na tak krótki pas startowy.

— Trzymaj się — rzucił jej do ucha, otworzył przepustnicę i ciężki samolot ruszył do przodu.

— Dzięki Bogu, że mamy południowy wiatr — mruknął Michael, czując jak ciężko wrywa się z mokrego piachu i wznosi w powietrze.

Gdy przelecieli nad murkiem, Michael pochylił lekko maszynę, żeby nie zawadzić skrzydłem o jeden z dębów, i już wspinali się w górę. Czuł, jak Centaine siedzi sztywno na jego kolanach i pomyślał, że musi się bardzo bać w tej chwili. Rozczarowało go to.

— Już jesteśmy bezpieczni! — krzyknął przez ryk silnika i kiedy odwróciła do niego głowę, stwierdził, że w jej oczach maluje się nie lęk, lecz ekstaza.

— Jest cudownie — powiedziała i pocałowała go.

Świadomość, iż Centaine dzieli z nim pasję latania, spowodowała, że Michael poczuł się szczęśliwy.

— Będziemy lecieć nad pałacykiem — zapowiedział jej i położył samolot do skrętu, zniżając jednocześnie lot.

Centaine drugi raz w życiu przeżywała tak silne emocje; latanie było wspanialsze od jazdy konno i muzyki, niemal tak dobre jak kochanie się z Michaelem. Miała wrażenie, że jest ptakiem, podniebnym orłem, chciała krzyżeć z radości, pragnęła zatrzymać tę chwilę na zawsze. Gdyby tak mogła zawsze wznosić się wysoko, czując wokoło świszczący, porywisty wiatr i otaczające ją silne, opiekuńcze ramiona mężczyzny, którego kochała.

Pod nią rozciągał się zupełnie nowy świat; znajome miejsca, na które patrzyła od dzieciństwa, widziała teraz z innej, bardziej ekscytującej perspektywy.

— Anioły muszą widzieć ziemię w ten sposób! — krzyknęła głośno, a Michael uśmiechnął się rozbawiony jej fantazją.

Pałacyk przemknął pod nimi i Centaine uświadomiła sobie, że nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak duży jest ich dom i jak piękny jest jego dach z różowych dachówek. Na polu za stajniami zobaczyła Nuage'a uciekającego przed ryczącym żółtym samolotem i roześmiała się, krzycząc pod wiatr:

— Biegnij, mój kochany! — i już go minęli.

Centaine ujrzała Annę pracującą w ogródku — właśnie się prostowała, odwracając od swych roślin. Poruszona nagłym hałasem, ocieniła oczy dłonią i popatrzyła w ich stronę. Była tak blisko, że Centaine dostrzegła grymas na jej czerwonej twarzy i wychyliła się najdalej jak mogła z kokpitu. Żółty szal rozwinął się na wietrze, gdy dziewczyna podniosła rękę, żeby pomachać opiekunce, i zobaczyła wyraz absolutnego zaskoczenia i niedowierzania rozpościerający się na twarzy Anny.

Centaine roześmiała się radośnie i zawołała do Michaela:

— Leć wyżej! Jeszcze wyżej!

Michael wykonał posłusznie jej polecenie. Centaine nawet przez chwilę nie siedziała mu spokojnie na kolanach; wierciła się i obracała, wychylając się to z jednej, to z drugiej strony kokpitu i podskakując co chwila.

— Spójrz! Spójrz! Tam jest klasztor — gdyby tylko siostrzyczki mogły mnie teraz widzieć! To nasz kanał, a tam jest katedra w Arras, och, a tam jest...

Jej entuzjazm i wesołość były bardzo zaraźliwe i Michael śmiał się również, a kiedy obróciła się do niego, pocałował ją w usta, ale Centaine szybko go odsunęła.

— Nie chcę stracić nawet sekundy!

Michael wypatrzył z daleka główną bazę sił powietrznych ulokowaną w Bertangles; pasy startowe z zielonej darni przecinały ciemny las krzyżem, w którego ramionach skupiły się hangary i budynki.

— Słuchaj uważnie — Michael wykrzyczał w ucho Centaine. — Musisz trzymać głowę nisko pochyloną, gdy będziemy lądowali.

Centaine skinęła posłusznie głową.

— Jak dam ci znak, to wyskoczysz z samolotu i pobiegniesz w stronę lasu. Po swojej prawej będziesz miała kamienny murek. Pójdź wzdłuż niego jakieś trzysta metrów, aż dojdiesz do drogi i tam poczekaj na mnie.

Michael okrążył bazę w jak najbardziej przepisowy sposób, wykorzystując fakt, że lecieli statecznie z wiatrem, do uważniejszego przyjrzenia się temu miejscu. Starał się wypatrzeć jakieś oznaki wskazujące na obecność wyższych oficerów czy innych osób mogących przysporzyć mu kłopotów. Przed hangarami stało kilka samolotów i dostrzegł jedną lub dwie osoby pracujące przy maszynach.

— Wygląda na to, że jest spokojnie — mruknął do siebie, naprowadzając samolot pod wiatr w stronę głównego lądowiska.

Centaine skuliła się na jego kolanach tak, że nie mogła być dla nikogo widoczna z ziemi.

Michael opadł z wysoka jak zupełny nowicjusz; znajdował się jeszcze na wysokości piętnastu metrów, gdy mijał hangary, i dotknął ziemi daleko przy końcu pasa, pozwalając maszynie potoczyć się pod samą ścianę lasu, zanim zawrócił i ostro zahamował.

— Skacz! — krzyknął do Centaine i wypchnął ją z kokpitu. Zakryta przez kadłub samolotu od strony hangarów, zebrała spódnicę, zarzuciła torbę na ramię, skoczyła i pobiegła co sił w nogach w stronę lasu.

On zaś podprowadził maszynę pod hangary i zostawił ją na przedpolu.

— Musi pan wpisać się do książki, sir — poinformował go mechanik w randze sierżanta, gdy wyskoczył z kokpitu.

— Do książki?

— To nowa procedura, sir: każdy ma obowiązek wpisać się przy przylocie i wylocie z bazy.

— Niech diabli porwą tych biurokratów — mruknął niechętnie Michael. — Nigdzie nie można się ruszyć bez podpisywania kawałka papieru — ale udał się posłusznie na poszukiwania oficera dyżurnego.

— Ach tak, Courteney, kierowca czeka już na pana. Kierowca siedział za kierownicą czarnego rolls-royce'a zaparkowanego z tyłu hangaru numer 1. Gdy tylko zobaczył Michaela, wyskoczył z wozu i stanął na baczność.

— Nkosana!

Posłał Michaelowi promienny uśmiech, który ukazał wszystkie śnieżnobiałe zęby w jego okrągłej, czarnej twarzy i zsalutował z taką werwą, że aż czapka zadrżała mu na głowie. Był to młody, wysoki chłopak z plemienia Zulu, wyższy nawet od Michaela, i nosił na sobie mundur koloru khaki i owijacze Afrykańskiego Korpusu Wojskowego.

— Sangane! — Michael odwzajemnił salut z równie radosnym uśmiechem na twarzy i uściśnął młodzieńca.

— Widzieć twoją twarz to jak wrócić do domu — mówił płynnie Michael w języku zulu.

Obaj młodzieńcy wyrastali razem, buszując po żółtych trawiastych wzgórzach Zululandu z psami i dzidami. Pływali razem w chłodnych zielonych stawach rzeki Tugela i łowili węgorze, długie i grube jak ich ramiona. Upolowaną zwierzynę piekli na jednym ogniu i leżeli przy dymiącym ognisku obok siebie długo w noc, przyglądając się gwiazdom i dyskutując poważnie o wypadkach z ich młodzieńczego życia, a często planując, jakie życie będą wiedli w przyszłości i jaki świat zbudują, gdy dorosną.

— Sangane, masz jakieś wieści z domu? — spytał Michael, gdy Zulus otworzył mu drzwi samochodu. — Jak miewa się twój ojciec?

Mbejane, ojciec Sangane, był starym służącym i przyjacielem Seana Courteneya, a także księciem z królewskiego rodu Zulusów. Podążał za swoim panem na wszystkie wojny, ale obecnie był już zbyt stary i niedołężny i wysłał do Europy swojego syna.

Kiedy tak rozmawiali, Sangane wyprowadził rollsa z bazy i wyjechał na główną drogę. Siedzący

na tylnym siedzeniu Michael rozebrał się ze stroju lotniczego, pod którym miał mundur ze wszystkimi medalami i odznaczeniami.

— Sangane, zatrzymaj się tutaj, przy tych drzewach.

Michael wyskoczył z samochodu i zawołał niecierpliwie:

— Centaine!

Wyłoniła się zza jednego z drzew i Michael otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Centaine nie marnowała czasu, czekając na niego i dopiero teraz Michael dowiedział się, do czego była jej potrzebna skórzana torba. Nigdy jeszcze nie widział jej umalowanej, ale nałożyła tusz i szminkę z taką wprawą, że z początku nie potrafiłby nawet powiedzieć, jaka w niej zaszła zmiana. Miał wrażenie, że jej cała uroda ujawniła się teraz z większą mocą; oczy jej błyszczały, a skóra stała się bardziej delikatna i perłowa.

— Jesteś piękna — powiedział oniemiały.

Nie była już dłużej dziewczynką; Michael miał wrażenie, że ośwładnęła ją jakaś nowa siła i pewność siebie.

— Myślisz, że spodobam się twojemu wujkowi? — zapytała.

— Jestem pewien, że zakocha się w tobie — nikt nie potrafiłby się oprzeć twojemu urokowi.

Żółty kostium miał specyficzny odcień, który zdawał się podkreślać jej karnację i rzucał złote odbłaski na ciemne oczy. Rondo kapelusika było wąskie z jednej strony i rozłożyste z drugiej, w miejscu, gdzie Centaine spięła je na skroni zielonymi i żółtymi piórami. Pod żakietem nosiła bluzkę z kremowego krepdeszynu, z wysokim koronkowym kołnierzykiem, który podkreślał linię szyi i zgrabną małą główkę. W miejsce wysokich butów pojawiły się eleganckie pantofelki.

Michael wziął jej dłonie w swoje, ucałował je obie z szacunkiem i pomógł dziewczynie wsiąść do samochodu.

— Sangane, ta kobieta będzie wkrótce moją żoną.

Zulus skinął głową z uznaniem, przyglądając się Centaine, jakby oceniał młodą klacz szlachetnej krwi. .

— Niech ci da wielu synów — powiedział.

Kiedy Michael przetłumaczył Centaine jego słowa, ta zarumieniła się i roześmiała.

— Podziękuj mu, Michael, i powiedz, że chciałabym mieć też jedną córkę. — Rozejrzała się po luksusowym wystroju rollsa. — Czy wszyscy angielscy generałowie jeżdżą takimi samochodami?

— Mój wujek przywiózł go ze sobą z Afryki. — Michael pogładził czule miękką skórę siedzenia. — To prezent od ciotki.

— Twój wujek ma styl, żeby wybierać się na wojnę takim rydwanem — Centaine skinęła głową — a twoja ciotka ma dobry gust. Mam nadzieję, że któregoś dnia sama będę mogła sprawić ci taki prezent.

— Chętnie bym cię teraz pocałował — przyznał się Michael.

— Nie przy ludziach — odparła cnotliwie — ale ile tylko chcesz, gdy będziemy już sami. Daleko jeszcze?

— Jakies siedem kilometrów, ale przy tym ruchu na drodze nie mam pojęcia, ile nam to zajmie.

Wjechali już na główną drogę z Arras do Amiens i stwierdzili, że jest zatłoczone transportem wojskowym: działami, karetkami, ciężarówkami i wozami konnymi, a oba pobocza pełne były maszerujących żołnierzy zgarbionych pod ciężkimi plecakami, ze stalowymi hełmami, które nadawały im jednakowy wygląd szarych grzybów.

Michael spostrzegł wiele niechętnych i zawistnych spojrzeń, gdy

Sangane wyprzedzał wielkim, lśniącym wozem wolniejsze pojazdy. Maszerujący zaglądali do auta i widzieli eleganckiego oficera siedzącego na skórzanym siedzeniu obok ładnej dziewczyny. Wszystkie twarze rozjaśniały się jednak natychmiast, gdy tylko Centaine pomachała z uśmiechem żołnierzom.

— Opowiedz mi o swoim wujku — poprosiła Michaela, odwracając się do niego.

— Och, to zupełnie przeciętny mężczyzna, nie ma o czym opowiadać. Został wyrzucony ze szkoły za pobicie dyrektora, brał udział w wojnie z Zulusami i zabił pierwszego człowieka, zanim ukończył osiemnaście lat; zarobił pierwszy milion funtów, zanim ukończył dwadzieścia pięć lat i stracił cały majątek jednego dnia. Jako zawodowy myśliwy zastrzelił kilkaset słoni i zabił leoparda gołymi rękami. Później, w czasie wojny burskiej, pojmał Leroux, burskiego generała, prawie że własnoręcznie, po wojnie zarobił następny milion funtów, brał udział w negocjacjach dotyczących karty Zjednoczonej Południowej Afryki. Był ministrem w gabinecie Louisa Bothy i zrezygnował z tej funkcji, żeby wziąć udział w tej wojnie. Ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i potrafi podnieść sześćdziesięciokilogramowy worek zboża w każdej ręce.

— Michael, boję się spotkać takiego człowieka — szepnęła poważnie Centaine.

— Dlaczego miałabyś....

— Boję się, że mogę się w nim zakochać. Michael roześmiał się w głos.

— Ja także się boję. Boję się, że to on może się w tobie zakochać.

Dowództwo regimentu zostało umieszczone tymczasowo w opuszczonym klasztorze na przedmieściach Amiens. Teren samego klasztoru był zaniedbany i zarośnięty, gdyż zakonnicy opuścili go po ostrzale ostatniej jesieni, i krzewy rododendronów zostały już wchłonięte przez las. Budynki z czerwonej cegły pokrywał mech i wistaria, która rosła aż po szare dachy. Same cegły były gęsto podziurawione odłamkami.

Przy głównym wejściu do klasztoru znaleźli młodego podporucznika.

— To pan musi być Michaeliem Courteneyem. Jestem John Pearce, adiutant generała.

— Witam. — Michael uścisnął mu dłoń. — A co się stało z Nickiem Van der Heeverem?

Nick chodził do szkoły z Michaeliem i był adiutantem generała od czasu przybycia regimentu do Francji.

— Och, nic pan nie słyszał? — John Pearce przybrał poważną minę, którą Michael tak często ostatnio widywał, kiedy pytał o kogoś ze znajomych. — Niestety, Nick odszedł od nas.

— O Boże, nie!

— Tak mi przykro. Był na froncie z pańskim wujkiem, gdy dostał go snajper.

Uwaga podporucznika była najwyraźniej podzielona. Nie potrafił oderwać oczu od Centaine. Michael z niechęcią przedstawił go dziewczynie i szybko przerwał tę pantomimę zachwytu.

— Gdzie jest mój wujek?

— Prosił, żeby pan poczekał.

Młody podoficer poprowadził ich do małego ogródka, otoczonego ze wszystkich stron ścianami, który musiał kiedyś należeć do opata. Na ścianach pyszniły się pnące róże, a pośrodku zadbanego trawnika stał rzeźbiony zegar słoneczny.

W jednym rogu, do którego docierały promienie słoneczne, ustawiono stół. Michael zauważył, że wuj Sean nie zmienił swojego normalnego stylu: królewskie srebra i kryształ Stuartów.

— Generał dołączy do państwa, jak tylko będzie mógł, ale kazał mi pana przestrzec, że będzie to bardzo krótki obiad. Ta wiosenna ofensywa, wie pan... — Porucznik wskazał na karafkę stojącą na osobnym małym stoliczku. — Czy w tym czasie mógłbym państwu zaproponować sherry lub może coś mocniejszego?

Centaine pokręciła przecząco głową, ale Michael przyjął propozycję.

— Coś mocniejszego.

Mimo że kochał wujka tak samo mocno jak własnego ojca, spotkanie z nim po dłuższej nieobecności, jak zawsze, czyniło go lekko niepewnym siebie. Potrzebował czegoś na uspokojenie nerwów.

Adiutant nalał Michaelowi szklaneczkę whisky.

— Wybaczą mi państwo, ale mam jeszcze kilka spraw... Michael zwolnił go skinieniem dłoni i wziął Centaine za ramię.

— Spójrz tylko, pojawiły się już pierwsze pąki na różach i narcyzach... — Oparła się o niego. — Wszystko budzi się do życia.

— Nie wszystko — sprzeciwił "się cicho Michael. — Dla żołnierza wiosna jest porą śmierci.

— Och, Michael... — zaczęła, nagle urwała i spojrzała na szklane drzwi za nim spojrzeniem, które kazało Michaelowi się odwrócić.

Z drzwi tych wyszedł wysoki i potężnie zbudowany mężczyzna.

Zatrzymał się, zobaczywszy Centaine, i przyglądał się jej wzrokiem pełnym uznania. Mężczyzna miał niebieskie oczy i gęstą brodę, zadbaną i równo przyciętą podobnie jak król.

To są oczy Michaela! — pomyślała Centaine, patrząc w nie. Tyle że o wiele bardziej gwałtowne, uświadomiła sobie po chwili.

— Wujek Sean! — zawołał Michael i puścił jej ramię.

Zrobił krok do przodu, żeby uściskać rękę mężczyzny, a groźne oczy zwróciły się ku niemu i natychmiast złagodniały.

On go kocha... — zrozumiała Centaine. Obaj się kochają. Zaczęła jeszcze uważniej przyglądać się generałowi. Miał twarz opaloną i ogorzałą od wiatru niczym wyprawiona skóra, a w kącikach ust i tych niewiarygodnie twardych oczu skupiały się głębokie bruzdy. Nos miał potężny i zakrzywiony, jak Michael, szerokie i wysokie czoło, a nad nim gęste, ciemne loki poprzetykane miejscami paskami siwizny, która lśniła w ostrym wiosennym słońcu.

Obaj mężczyźni rozmawiali pośpiesznie, nie puszczać swych dłoni, wymieniając pozdrowienia i im dłużej Centaine na nich patrzyła, tym bardziej uderzające było ich podobieństwo.

Są tacy sami, uświadomiła sobie. Różnią się tylko wiekiem i siłą. Bardziej przypominają ojca i syna...

Groźne niebieskie oczy znowu zwróciły się w jej stronę.

— Więc to jest ta młoda dama.

— Pozwól, że ci przedstawię mademoiselle Centaine de Thiry. Centaine, to jest mój wujek, generał Sean Courteney.

— Michael mówił mi bardzo dużo, bardzo wiele... — Centaine nie wiedziała, jak dokończyć angielskie zdanie.

— Mów po flamandzku! — przerwał jej szybko Michael.

— Michael opowiadał mi tyle o panu— przeszła posłusznie na flamandzki i generał uśmiechnął się oczarowany.

— Mówisz w afrikaans! — zawołał w tym języku.

Kiedy się uśmiechał, zmieniał się cały nie do poznania. Okrutny, niemal dziki element jego natury, który wyczuła Centaine, wydawał się teraz przywidzeniem.

— To nie jest afrikaans — zaprotestowała i zaczęli ożywioną dyskusję na temat języka.

Po kilku minutach Centaine przekonała się, że lubi tego mężczyznę — lubi go za podobieństwo do Michaela, a także za różnice, jakie pomiędzy nimi wyczuwała.

— Siądźmy do stołu! — zawołał generał i wziął ją pod ramię. — Mamy tak mało czasu...

Podsunał jej krzesło.

— Michael, siadasz tam. Pozwolimy mu pokroić kurczaka. Ja się zajmę winem.

Sean zaproponował toast.

— Za nasze następne spotkanie.

Wszyscy spełnili ten toast ochoczo, świadomi, co kryje się za tym życzeniem, choć tu, w klasztorze, nie było słyhać odgłosu dział.

Rozmawiali swobodnie, generał mówił szybko i z dużą łatwością pokonywał chwile niezręcznej ciszy, tak że Centaine uświadomiła sobie, że pod szorstkim obejściem kryje się coś bardziej delikatnego. Bezustannie jednak była świadoma badawczego spojrzenia jego oczu, oceny, która postępowała za nimi.

Proszę bardzo, mon generał, pomyślała wyzywająco. Możesz sobie patrzeć do woli, ale ja i tak jestem, jaka jestem, a Michael jest mój. Podniosła do góry brodę i przestała unikać wzroku starszego mężczyzny. Odpowiadała teraz bezpośrednio, nie wahając się dłużej i po chwili zobaczyła, jak generał się uśmiecha — i niemal niedostrzegalnie kiwa głową.

Więc to jest wybranka Michaela, zastanawiał się Sean. Miałem nadzieję, że znajdzie sobie jakąś dziewczynę w naszym kraju, która mówi naszym językiem i wyznaje tę samą wiarę. Chciałbym też dowiedzieć się o niej czegoś bliższego, zanim udzielię im błogosławieństwa. Najchętniej kazałbym im poczekać trochę, żeby się lepiej poznali i zastanowili nad konsekwencjami tego kroku, ale przecież nie ma na to czasu. Bóg tylko wie, co może się zdarzyć jutro lub pojutrze. Jak mógłbym zepsuć coś, co może być ich jedyną chwilą, szczęścia?

Przyglądał się jeszcze przez chwilę dziewczynie, szukając w niej jakichś oznak prymitywności czy złośliwości, jakiejś słabości lub może próżności, ale widział jedynie ostro zarysowany owal twarzy, świadczący o zdecydowaniu, usta, które łatwo się śmiały, ale równie łatwo potrafiły się zaciskać, i ciemne, inteligentne oczy. Jest twarda i dumna, powiedział sobie Sean, ale sądzę, że potrafi być lojalna i ma siłę, żeby znieść wiele przeciwności. Uśmiechnął się i skinął lekko głową. Zobaczył, że dziewczyna rozluźniła się trochę i miał wrażenie, że dostrzega w jej oczach przyjaźń i cieplejsze uczucie. Zwrócił się do Michaela.

— W porządku, chłopie, nie przyleciałeś taki szmat drogi, żeby schrupać moje kurczaki. Powiedz mi, o co chodzi, i zobaczymy, czy uda ci się mnie zaskoczyć.

— Wujku, poprosiłem Centaine o rękę.

Sean uważnie otarł usta i odłożył serwetkę na stół. Nie zepsuj im tej chwili, ostrzegł sam siebie. Niech nawet najmniejsza chmurka nie zawiśnie nad ich szczęściem.

Spojrzał na nich i na jego ustach pojawił się uśmiech.

— Nie tylko, że mnie zaskoczyłeś, ale udało ci się mnie całkowicie oszołomić! Już przestałem oczekiwać, że zrobisz wreszcie coś sensownego, — Zwrócił się do Centaine: — Mam nadzieję, młoda damo, że miałaś dosyć rozsądku, żeby odrzucić tę propozycję.

— Panie generale, przyznaję się bez bicia, że nie zrobiłam tego. Przyjęłam oświadczyzny Michaela.

Sean spojrział z miłością na Michaela.

— A to szczęściarz! Jest za dobra dla ciebie, ale nie pozwól jej uciec.

— Nie musisz się o to martwić, wuju — Michael roześmiał się z ulgą.

Nie oczekiwał tak łatwej zgody. Sean potrafił go jeszcze zaskoczyć. Sięgnął po rękę Centaine, która patrzyła ze zdziwieniem na generała.

— Dziękuję panu, generale, ale przecież nie wie pan nic ani o mnie, ani o mojej rodzinie.

Przypomniała sobie śledztwo, jakiemu jej ojciec poddał Michaela.

— Wątpię, żeby Michael zamierzał poślubić twoją rodzinę — odparł sucho Sean. — Co do ciebie, moja droga. No cóż, jestem jednym z najlepszych sędziów w Afryce, jeśli chodzi o konie, i nie jest to czcza przechwałka. Potrafię łatwo ocenić zgrabne źrebię.

— Bierze mnie pan za konia, generale? — zawołała żartobliwie Centaine.

— Raczej za klacz szlachetnej krwi i zdziwiłbym się, gdybyś nie potrafiła jeździć konno, nie pochodziła z wiejskiego majątku, a w twoich żyłach nie płynęła błękitna krew — powiedz mi, czy się mylę.

— Jej ojciec jest księciem, Centaine jeździ na koniu jak amazonka, a ich majątek składał się głównie z winnic, zanim nie zniszczyli go Hunowie.

— No widzisz! — Sean spojrział z triumfem i Centaine zrobiła gest pełen rezygnacji.

— Twój wujek wie wszystko.

— Nie wszystko... — Sean obrócił się do Michaela. — Na kiedy to zaplanowaliście?

— Chciałbym, żeby ojciec... — Michael nie musiał kończyć zdania — ale mamy tak mało czasu.

Sean, który dobrze wiedział, jak rzeczywiście mało czasu im zostało, skinął głową.

— Garry, twój ojciec, zrozumie.

— Chcielibyśmy się pobrać jeszcze przed wiosenną ofensywą — dokończył Michael.

— Tak, rozumiem. — Sean westchnął ciężko, marszcząc brwi.

Niektórzy z jego przełożonych potrafili wysyłać młodych ludzi na śmierć bez żadnych oporów, ale on nie był aż takim zimnym profesjonalistą. Wiedział dobrze, że nigdy nie przywyknie do bólu i poczucia winy, jakie mu przynosiło skazywanie tych ludzi. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zatrzymał się, westchnął i mówił dalej: — Michael, to co powiem, jest tylko do twojej wiadomości. Zresztą i tak wkrótce byś się o tym dowiedział. Został już wydany rozkaz dla wszystkich eskadr bojowych. Macie uniemożliwić jakiegokolwiek wrogie zwiady lotnicze nad naszymi liniami. Wyślemy wszystkie eskadry, żeby w ciągu następnych tygodni zapobiegły podpatrzeniu naszych przygotowań przez Niemców.

Michael siedział nieruchomo, analizując te informacje. Oznaczały, że najbliższa przyszłość ograniczy się do nieustannych, wyczerpujących walk z niemieckimi myśliwcami. Właśnie został ostrzeżony, że niewielu pilotów ma szansę przeżyć tę wojnę.

— Dziękuję, wujku — powiedział cicho. — Centaine i ja pobierzemy się jak najszybciej. Czy mogę liczyć, że przyjedziesz na nasz ślub?

— Mogę ci tylko obiecać, że zrobię absolutnie wszystko, aby przyjechać. — Sean podniósł wzrok, gdy do ogrodu wszedł John Pearce. — O co chodzi, John?

— Przepraszam, sir. Nagłe wezwanie od generała Rawlinsona.

— Już idę. Daj mi dwie minuty. — Obrócił się do młodych gości. — Nie wyszedł nam ten obiad, tak mi przykro.

— Wino było wspaniałe, a towarzystwo jeszcze lepsze — zapewniła go Centaine.

— Michael, znajdź Sangane i rollsa. Chciałem zamienić dwa słowa z tą młodą damą na osobności.

Sean podał jej ramię i podążyli za Michaeliem przez krużganki w stronę kamiennych portali klasztoru. Dopiero gdy Centaine znalazła się u boku generała, uświadomiła sobie, jak naprawdę jest wysoki, oraz że lekko kuleje na jedną nogę, tak iż jego kroki na kamiennej posadzce nie odbijają się równym echem. Generał mówił cicho, ale w jego głosie brzmiała siła; przy tym lekko się nad nią pochylał, jakby chciał podkreślić każde słowo.

— Michael jest dobrym chłopcem: jest delikatny, bystry i czuły. Brakuje mu jednak twardości,

która na tym świecie pozwala mężczyźnie dojść do szczytu. — Sean zatrzymał się i spojrział na nią badawczo. — Wydaje mi się, że ty masz tę cechę. Jesteś jeszcze bardzo młoda, ale wierzę, że staniesz się jeszcze silniejsza. Chcę, żebyś była silna dla Michaela.

Centaine skinęła głową, gdyż nie znalazła żadnych słów w odpowiedzi.

— Bądź silna dla mojego syna — dodał cicho Sean i Centaine drgnęła.

— Pana syna? — spytała i zobaczyła konsternację w jego oczach, którą szybko ukrył, poprawiając się: — Przepraszam, jego ojciec jest moim bratem bliźniakiem i czasami myślę o Michaelu jako o moim synu.

— Rozumiem — powiedziała, ale gdzieś głęboko czuła, że to nie jest przejęzyczenie.

Pewnego dnia poszukam odpowiedzi na to pytanie, pomyślała.

— Opiekuj się nim, Centaine — powtórzył Sean — a znajdziesz we mnie dozgonnego przyjaciela.

— Obiecuję to panu.

Uścisnęła lekko jego ramię i wyszli na dziedziniec, gdzie Sangane czekał w rollsie.

— Au revoir, generał — powiedziała Centaine.

— Tak. — Sean skinął głową. — Do następnego spotkania — i pomógł jej wsiąść do samochodu.

— Powiadomię cię, jak tylko wybierzemy datę. — Michael uścisnął dłoń wujka.

— Nawet jeśli nie będę mógł przyjechać, chcę, żebyś był szczęśliwy, mój chłopcze — powiedział Sean i patrzył, jak rolls statecznie wyjeżdża na drogę.

Następnie, wzruszywszy niecierpliwie ramionami, obrócił się i ruszył długim, nierównym krokiem w stronę klasztoru.

Spakowawszy kapelusik, biżuterię i pantofelki do skórzanej torby, Centaine czekała, ubrana w długie buty i hełm lotniczy, na skraju lasu.

Kiedy Michael podprowadził SE5a do miejsca, gdzie się schowała, i obrócił go bokiem do odległych hangarów, wyskoczyła z kryjówki, rzuciła narzeczonemu torbę i wdrapała się na skrzydło. Tym razem nie ociągała się ani chwili i wskoczyła do kokpitu jak doświadczony pilot.

— Schył głowę — rozkazał Michael i wyrównał samolot na pasie startowym. — Już po wszystkim! — zawołał do niej, gdy tylko wzbili się w powietrze i Centaine wysunęła głowę tak podekscytowana, jakby pierwszy raz wsiadła do samolotu. Wznosili się wyżej i wyżej.

— Spójrz, te chmury wyglądają jak zaśnieżone pola, a słońce przesącza się przez nie tęczą.

Obróciła się na jego kolanach, żeby spojrzeć do tyłu. Po chwili w jej oczach pojawiły się figlarne błyski i straciła zainteresowanie tęczą.

— Michael? — Przesunęła się na jego kolanach, tym razem rozmyślnie. — Michael! — Nie było to już pytanie, a jej małe, okrągłe pośladki wykonywały rytmiczne ruchy, które wywołały u Michaela dreszcze.

— Przepraszam! — Michael starał się bezskutecznie odsunąć od niej, ale pośladki Centaine były wszędzie i dziewczyna obróciła się na jego kolanach, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła szeptać do ucha. — Nie w biały dzień — i to na wysokości tysiąca pięciuset metrów! — Michael był zaszokowany jej propozycją.

— Dlaczego nie, mon cheri? — Pocałowała go namiętnie. — Nikt się nie dowie.

Michael nagle zauważył, że SE5a zniżył dziób i zaczyna ostro pikować w dół. Szybko wyrównał lot, a Centaine w tym czasie poruszała się wolno i rytmicznie na jego udach.

— Nie chcesz? — zapytała.

— Chcę, ale, ale... nikt jeszcze tego nie robił, nie w SE5a. Nie wiem nawet, czy jest to możliwe.

Jego opór stawał się coraz słabszy, a lot coraz mniej równy.

— Zaraz się przekonamy — powiedziała zdecydowanie Centaine. — Ty tylko prowadź samolot i niczym się nie przejmuj. — Uniosła się nieco do góry i zaczęła podciągać futro i żółtą spódnicę.

— Centaine — powiedział niepewnie Michael, a po chwili: — Centaine! — już bardziej pewnie i wreszcie: — O Boże, Centaine!

— To jest możliwe! — wykrzyknęła triumfalnie.

W tej samej chwili doświadczyła uczucia, jakiego jeszcze nigdy nie przeżyła. Czuła, że wznosi się w górę, a jednocześnie na zewnątrz, jakby opuszczała własne ciało i zabierała także ze sobą duszę Michaela. W pierwszej chwili była przestraszona siłą tego odczucia i jego niesamowitością, ale zaraz wszelkie świadome myśli zostały odsunięte na bok.

Wznosiła się, wirując i koziółkując coraz wyżej i wyżej, wokół niej świstał porywisty wiatr, ze wszystkich stron otaczały ją pomalowane tęczą chmury — i nagle usłyszała własny krzyk, wepchnęła wszystkie palce do ust i zagryzła je, ale było to zbyt silne, żeby mogła się opanować.

Odrzuciła głowę do tyłu i krzyczała, płacząc i śmiejąc się z cudownego, nowego szczęścia i wtedy przeleciała ponad szczytem i zaczęła spadać w dół, wirując w powietrzu, opadając delikatnie niczym płatek śniegu na własne ciało, czując obejmujące ją silne ramiona, jego jęk i zdyszany oddech i obróciła się, przytrzymała go w sobie i zawołała:

— Kocham cię, Michael! Zawsze cię będę kochać!

Mac podbiegł do Michaela, gdy ten tylko zgasił silnik i wygramolił się z kokpitu.

— Przybył pan w samą porę, sir. W mesie odbywa się odprawa pilotów. Major już pytał o pana, niech pan się lepiej pośpieszy, sir. -

Kiedy Michael ruszył po deskach w stronę mesy, Mac zawołał za nim:

— Jak się latało?

— Maszyna spisuje się na medal, Mac. Załaduj dla mnie karabiny, dobrze?

Po raz pierwszy nie narzekał na samolot, zauważył Mac, patrząc ze zdziwieniem za odchodzącym pilotem.

W mesie zebrali się wszyscy piloci, wszystkie fotele były zajęte, a jeden czy dwóch nowych pilotów stało pod ścianą. Andrew siedział na kontuarze barowym, machając nogami i ssąc swoją firkę. Na widok Michaela przerwał rozmowę.

— Panowie, spotkał nas wielki honor. Kapitan Michael Courteney zgodził się łaskawie zaszczyścić nas swoją obecnością. Mimo wielu licznych obowiązków poświęci nam godzinę czy dwie i pomoże rozwiązać kłopotliwy problem z cesarzem Wilhelmem II. Uważam, że powinniśmy docenić to poświęcenie.

Odezwały się pohukiwania i śmiechy, a ktoś głośno gwizdnął.

— Barbarzyńcy — rzucił wyniośle Michael i opadł ciężko na fotel, opuszczony pośpiesznie przez jednego z młodszych pilotów.

— Czy wygodnie się siedzi? — spytał troskliwie Andrew. — Nie ma pan nic przeciwko temu, że podejmę temat? Dobrze! No cóż, jak już mówiłem, eskadra otrzymała pilny rozkaz przywieziony przez posłańca zaledwie pół godziny temu, prosto z dowództwa dywizji.

Podniósł do góry kartkę i pomachał nią tak, żeby wszyscy mogli widzieć, zatykając jednocześnie nos drugą ręką.

— Jestem pewien, że ze swoich miejsc wyczujecie poziom tego stylu i zawartość przesyłki.

Rozległo się kilka śmiechów, ale patrzące na niego oczy były niespokojne, a tu i ówdzie słychać było nerwowe ruchy: ktoś szurał nogami, jakiś inny weteran wylaamywał głośno palce, ktoś znowu ogryzał paznokcie, a Michael nieświadomie dmuchał na dłonie — gdyż wszyscy zdawali sobie

sprawę, że kawałek żółtego papieru może zawierać wyrok śmierci.

Andrew zaczął czytać, trzymając kartkę w wyciągniętej ręce.

Naczelne Dowództwo Dywizji, Arras

Do oficera dowodzącego 21 eskadrą RFC. Pod Mort Homme. Od godziny 00:00 4 kwietnia 1917 eskadra ma za zadanie za wszelką cenę zapobiec jakimkolwiek wrogim zwiadom lotniczym nad wyznaczonym Panu odcinkiem frontu aż do odwołania.

— To wszystko, panowie. Pięć linijek tekstu, ale za to jakich. Chciałbym tylko zwrócić uwagę panów na jeden zwrot, bez dalszych komentarzy: „za wszelką cenę”.

Przerwał i rozejrzał się po mesie, patrząc, jak wiadomość ta rejestruje się na twarzach obecnych.

Mój Boże, jak oni się postarzeli, pomyślał, zupełnie bez związku. Hank wygląda, jakby miał pięćdziesiąt lat, a Michael... Rzucił okiem do lustra i kiedy zobaczył własne odbicie, nerwowo przeczesał palcami jasne włosy na skroniach, gdzie w ciągu ostatnich kilku tygodni cofnęły się, tworząc dwa głębokie zakola i odsłaniając różową skórę. Opuścił rękę i mówił dalej:

— Poczynając od jutra, od godziny piątej rano, aż do odwołania, wszyscy piloci będą wykonywali cztery loty patrolowe dziennie — oznajmił głośno. — Pozostajemy przy zwiadach o świcie i o zmierzchu, ale od tej pory odbywamy je w sile eskadry. — Przerwał i rozejrzał się, czy są jakieś pytania. Nie było żadnych. — Następnie każdy oddział wykona dwa dodatkowe zwiady: godzina lotu i dwie odpoczynku — czy też, jak mawiają nasi przyjaciele z marynarki „wachtą za wachtą”. W ten sposób będziemy mogli nieustannie patrolować wyznaczony nam obszar.

Na sali nastąpiło poruszenie i zaraz wszystkie głowy zwróciły się ku Michaelowi, który był najstarszy stopniem, i mógł przemawiać w imieniu pilotów. Michael dmuchnął nerwowo na palce i zaczął się im uważnie przyglądać.

— Czy są jakieś pytania?

Hank odchrząknął.

— Tak?

Andrew spojrzał na niego wyczekująco, ale Hank skulił się w fotelu.

— Chciałbym tylko wyjaśnić jedną kwestię — odezwał się w końcu Michael. — Latamy razem dwie godziny o świcie i dwie o zachodzie, co daje cztery godziny, a następnie jeszcze cztery godziny w ciągu dnia, tak? Czy myślę się w obliczeniach, czy też daje to łącznie osiem godzin lotu bojowego dziennie?

— Kapitan Courteney dostaje piątkę z rachunków. — Andrew skinął głową.

— Mój związek zawodowy może mieć co do tego zastrzeżenia.

Wszyscy roześmiali się nerwowym śmiechem, który szybko ucichł. Osiem godzin to za dużo, o wiele za dużo; żaden człowiek nie był w stanie zachować przez tyle godzin czujności i kontrolować reakcji nerwowych niezbędnych do przetrwania choćby jednego pełnego dnia lotu bojowego. Właśnie im kazano robić to dzień w dzień.

— Są jeszcze jakieś pytania?

— A co z obsługą i naprawą maszyn?

— Mac obiecał, że dadzą sobie radę — odpowiedział Andrew Hankowi. — Coś jeszcze? Nic? W porządku, panowie, stawiam wszystkim kolejkę.

Nikt jednak nie pchał się do baru, żeby wykorzystać ofertę majora, i nikt nie rozmawiał na temat nowych rozkazów. Piloci pili w milczeniu i z determinacją, unikając wymiany spojrzeń. O czym mieliby rozmawiać?

Książę de Thiry, mając przed oczyma czterdzieści tysięcy hektarów urodzajnej ziemi, z radością wyraził zgodę na ślub i mocno uściśnął Michaelowi rękę, jakby chciał ukreślić szyję kurczakowi.

Anna przycisnęła Centaine do piersi.

— Moje dziecko! — wysapała, a spomiędzy zmarszczek wokół oczu ciekły jej gęsto łzy i spływały po twarzy. — Opuścisz swoją Annę.

— Nie bądź głupia, Anno, nadal cię potrzebuję. Możesz pojechać ze mną do Afryki.

Na tę propozycję Anna ryknęła płaczem w głos.

— Do Afryki?! — A po chwili jęknęła z jeszcze większą boleścią. — Co to będzie za ślub? Nie mamy kogo zaprosić w gości, kucharz Raoul jest teraz w okopach, gdzie walczy ze Szwabami. Och, moje dziecko, to będzie skandal, a nie wesele!

— Przyjdzie ksiądz i generał, wujek Michaela obiecał — i piloci z eskadry. Będziemy mieli wspaniałe wesele — zaprotestowała Centaine.

— Nie będzie chóru — chlipała Anna. — Nie będzie przyjęcia, ślubnej sukienki ani miodowego miesiąca.

— Tata nam zaśpiewa, ma taki piękny głos, a my obie upieczemy ciasto i zabijemy jedną ze świń. Możemy też przerobić sukienkę mamy, a Michael i ja będziemy mieli swój miodowy miesiąc tutaj, tak samo jak tatuś z mamusią.

— Och, moje dziecko!

Kiedy Anna raz zaczęła płakać, trudno jej było przestać.

— Kiedy to będzie? — Księżę wciąż jeszcze trzymał dłoń Michaela. — Podaj nam datę.

— W sobotę, o ósmej wieczorem.

— Tak szybko! — jęknęła Anna. — Dlaczego tak szybko? Księżca olśniła nagle pewna myśl i aż trzepnął się po udzie.

— Otwórzmy butelkę najlepszego szampana — a może także butelkę napoleona! Centaine, kochanie, gdzie są klucze?

Tym razem Centaine nie mogła się sprzeciwić jego prośbie.

Leżeli objęci w gnieździe ze słomy i wojskowych koców i Michael próbował wyjaśnić Centaine urywanymi zdaniami znaczenie nowych rozkazów, jakie otrzymała eskadra. Nie potrafiła w pełni pojąć, na czym polega ich niezwykła ważność, rozumiała jednak, że Michaelowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo i tym mocniej tuliła go do siebie.

— Ale będziesz ze mną w dniu naszego ślubu? Cokolwiek by się stało, będziesz ze mną tego dnia?

— Tak, kochanie, na pewno będę.

— Przysięgnij mi, Michael.

— Daję ci słowo.

— Nie! Nie tak! Przysięgnij na najdroższą ci rzecz, jaką tylko masz.

— Przysięgam na moje życie i moją miłość do ciebie.

— Och, Michael — westchnęła i przytuliła się do niego wreszcie uspokojona. — Będę wyglądała twojego samolotu każdego ranka i wieczoru, a w nocy będziemy spotykać się tutaj.

Tej nocy miłość ich była zupełnie szalona. Starali się pokonać wzajemnie, a kiedy skończyli, gwałtowność uczucia wyczerpała ich i zasnęli wtuleni w siebie nawzajem. Gdy Centaine się obudziła, było już późno. Z lasu dochodził poranny śpiew ptaków, a przez szpary w ścianie stodoły przesączały się pierwsze promienie słoneczne.

— Michael! Michael! Już prawie wpół do piątej.

W świetle latarni Centaine sprawdziła godzinę na małym złotym zegarku przypiętym do zakietu.

— O Boże! — Michael zaczął ubierać się pośpiesznie, wciąż nieprzytomny od snu. — Spóźnię się na poranny patrol...

— Nie spóźnisz się, jeśli natychmiast wyjdiesz.

— Nie chcę cię opuszczać.

— Nie marudź! Idź już, Michael! Szybko!

Centaine biegła przez całą drogę do domu, potykając się i ślizgając na mokrym trawniku, zdecydowana znaleźć się na wzgórzu, żeby pomachać przelatującej eskadrze.

Przy stajniach zwolniła kroku, trzymając się za piersi i starając opanować urywany oddech. Dom był pogrążony w mroku, niczym śpiące zwierzę, i Centaine odetchnęła z ulgą.

Wolno przeszła przez dziedziniec, dając sobie czas na opanowanie oddechu i przez chwilę nasłuchiwała pod drzwiami, zanim weszła do kuchni. Zdjęła zabłocone buty i wstawiła je do skrzyni za piecem, a następnie wślizgnęła się po schodach na piętro, trzymając się blisko ściany, żeby któraś z desek nie zaskrzypiała pod jej bosymi stopami.

Spokojna już weszła do swojego pokoiku i bezszelestnie zamknęła drzwi. Odwróciła się do łóżka i nagle zamarła z przestachu, gdy zapaliła się zapałka, płomyk dotknął knota lampy i światło zalało pokój.

Na łóżku siedziała Anna, z szalem na ramionach i w koronkowym nocnym czepku na głowie. Jej czerwona twarz przybrała kamienny wyraz i wydawała się obca i nieprzystępna.

— Anna! — szepnęła Centaine. — Wszystko ci wyjaśnię — nie powiedziałaś nic ojcu?

W ciszy dobiegło ją skrzypnięcie krzesła i kiedy się odwróciła, zobaczyła ojca przyglądającego się jej jednym wrogim okiem. Jeszcze nigdy nie widziała u niego takiej miny. Pierwsza odezwała się Anna.

— Moje dziecko ucieka w nocy z domu, żeby kurwić się z żołnierzami!

— On nie jest żołnierzem — zaprotestowała Centaine. — Michael jest pilotem.

— Ladacznica — potwierdził książę. — Córka rodu de Thiry zachowuje się jak zwykła dziwka!

— Tatusiu, będę żoną Michaela. To jest tak, jakbyśmy byli już mężem i żoną.

— Nie, do soboty nie będziecie mężem i żoną.

Książę podniósł się z krzesła. Pod zdrowym okiem rysował się głęboki cień po nie przespanej nocy, a gęste włosy miał zupełnie zmierzwiłone.

— Do soboty — jego głos przeszedł w gniewny ryk — pozostaniesz zamknięta w swoim pokoju! Nie wyjdiesz stąd, aż dopiero godzinę przed ceremonią.

— Ależ, tatusiu, muszę być na wzgórzu...

— Anno, weź klucz. Będiesz jej pilnować. Centaine nie wolno wyjść z domu.

Centaine stała pośrodku pokoju, rozglądając się wkoło, jakby chciała uciec, ale Anna szybko zbliżyła się do dziewczyny, schwyciła jej dłoń w swoje twarde ręce i Centaine poddała się, gdy została zaprowadzona do łóżka.

Kiedy Michael zbliżał się po deskach do lądowiska, zapinając po drodze płaszcz i naciągając długie rękawice, wszyscy piloci eskadry stali w grupkach po trzech, czterech pomiędzy drzewami na skraju sadu, rozmawiając cicho ze sobą i paląc ostatnie papierosy przed startem. Michael spóźnił się na poranną odprawę. Andrew skinął mu głową na powitanie, nie robiąc żadnych uwag co do późnego przybycia i przykładu dla młodych pilotów. Michael postanowił nie przeproszać. Obaj zdawali sobie sprawę z tego, że Michael zaniedbał obowiązki i kiedy Andrew otworzył swoją srebrną flaszkę, żeby pociągnąć łyk whisky, nie poczęstował przyjaciela; nagana była bardzo wyraźna.

— Startujemy za pięć minut. — Andrew przyglądał się uważnie niebu. — Wygląda, że mamy ładny dzień, żeby umrzeć.

Był to jego zwyczajowy zwrot na określenie dobrej pogody, ale dzisiaj słowa te wywołały u Michaela ciarki.

— Żenię się w sobotę — powiedział, jakby obie te kwestie były ze sobą powiązane, i Andrew zamarł z flaszką podniesioną do ust i spojrział na niego ze zdumieniem.

— Z tą małą Francuzką z pałacyku? — zapytał, a Michael skinął głową.

— Centaine — Centaine de Thiry.

— Ty szczwany lisie! — Andrew uśmiechnął się, zapominając o swoim oburzeniu. — Więc to cię zatrzymało. Masz moje błogosławieństwo, chłopie. Uczynił gest piersiówką, — Piję za wasze długie i szczęśliwe życie!

Podał flaszkę Michaelowi, ale ten zawahał się, zanim pociągnął łyk.

— Byłbym zaszczycony, gdybyś zgodził się zostać moim drużbą.

— Jasne, stary. Stanę na twoim skrzydle, jak będziesz wchodzić do akcji, masz na to moje słowo.

Walnął po przyjacielsku Michaela w ramię i uśmiechnęli się radośnie do siebie, a następnie pomaszerowali razem do zielonej i żółtej maszyny, które stały na czele kolumny samolotów eskadry.

Jedne po drugim potężne silniki Wolseley Viper zapałały się z warkotem przechodzącym w jednostajny pomruk i niebieski dym spalin zakrywał drzewa sadu. Następnie SE5a ruszały wolno z miejsca, podskakując na wybojach i wzbijały się grupami w powietrze.

Ponieważ w patrolu brała udział cała eskadra, Michael nie leciał jako skrzydłowy Andrew, tylko przewodził oddziałowi B. W jego grupie znajdowało się pięć samolotów, w tym dwóch nowych pilotów, którzy wymagali szczególnej opieki. Hank Johnson prowadził grupę C. Kiedy Michael mijał go, naprowadzając maszynę na pas startowy, Hank pomachał mu i ustawił samolot za SE5a Michaela.

Gdy tylko wzbili się w powietrze, Michael dał znak swojej grupie, żeby utworzyli ścisłą formację w kształcie litery „V”, i podążył za Andrew, który skręcił nieznacznie w lewo.

W ten sposób powinni przelecieć nad wzgórzem za pałacykiem.

Michael zsunął gogle na czoło i odwiązał chustę z nosa i ust, żeby Centaine mogła zobaczyć jego twarz. Prowadził samolot jedną ręką, żeby dać jej umówiony sygnał. Widział już pagórek i na jego ustach pojawił się uśmiech oczekiwania, który zaraz jednak znikł.

Nigdzie nie widział białego ogiera. Wysunął się jak najdalej z kokpitu i spostrzegł, że lecący przed nim Andrew robi to samo, wysuwając głowę i rozglądając się za dziewczyną na białym koniu.

Przemknęli z rykiem nad pustym wzgórzem. Michael odwrócił głowę, żeby jeszcze raz się upewnić. Czuł nieprzyjemny ciężar w żołądku, zimny i twardy gład złego przecucia. Nie było jej tam; talizman oddziału opuścił ich!

Zasłonił chustą usta i nos i zsunął okulary na oczy. Wszystkie trzy grupy samolotów zaczęły wznosić się ku górze, żeby zdobyć przewagę wysokości i przelecieć nad pasmem wzgórz na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, zanim wyrównają lot i podejmą patrol.

Michael nieustannie wracał myślami do Centaine. Dlaczego nie przyszła? Czy coś się stało?

Stwierdził, że ma kłopoty ze skoncentrowaniem się na obserwacji nieba. Zabrała ze sobą nasze szczęście. Wiedziała, ile to dla nas znaczy, a zawiodła nas. Pokręcił głową, starając się otrząsnąć. Nie powinienem o tym myśleć. Muszę obserwować niebo! Nie myśl o niczym, tylko o niebie i wrogu.

Z każdą chwilą przybywało światła, a powietrze wokół stało się czyste i lodowato zimne. Ziemia pod samolotami była pokryta szachownicą pól poprzetykanych wioskami i miasteczkami północnej Francji, ale bezpośrednio przed nim rozciągał się brązowy pas poszarpanej i spalonej ziemi, która znaczyła linię frontu. W górze płynęły porozrzucane po całym niebie poranne chmury, ciemne niczym siniaki od spodu i iskrzące się złotem w miejscu, gdzie oświetlały je promienie wstającego słońca.

Na zachodzie rozciągała się jak okiem sięgnąć Somrna, gdzie szykowała się wiosenna ofensywa, a na wschodzie wczesne słońce przeszywało powietrze płonącymi włócznie światła i kiedy

Michael odwrócił wzrok, przed oczyma krążyły mu czerwone koła.

Nie wolno ci patrzeć na słońce, przypomniał sobie ze złością. Z powodu nieobecności Centaine popełniał błędy jak nowicjusz.

Przelecieli nad wzgórzami, spoglądając w dół na wzór przecinających się linii okopów.

Nie koncentruj się na jednym, ponownie musiał się przestrzec Michael. Nie wolno ci patrzeć na jeden obiekt. Podjął obserwację, jaką musiał prowadzić każdy pilot — szybkie przeszukiwanie nieba, z jednej strony na drugą, w dół i w górę.

Jednak mimo wszelkich napomnień nadal myślał o Centaine i jej nieobecności na wzgórzach. Ukradkiem wracała do niego i w pewnej chwili uświadomił sobie, że od pięciu lub sześciu sekund gapi się na chmurę przypominającą kształtem wieloryba. Przeształ śledzić niebo.

— Rany, człowieku, weź się w garść! — warknął na siebie.

Prowadzący eskadrę Andrew coś sygnalizował i Michael pochylił samolot, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Sześć kilometrów na południowy zachód od ich pozycji i ponad pięćset metrów poniżej leciały trzy samoloty.

Sojusznicy — Michael rozpoznał w nich dwuosobowe de havillandy. Dlaczego to nie on je wypatrzył? Miał najlepszy wzrok w całej eskadrze.

Skoncentruj się. Przeczesał wzrokiem linię lasów na południe od Douai, miasteczka będącego w rękach Niemców, i dostrzegł świeżo wykopane stanowiska dział na skraju lasu.

Jakieś sześć baterii, ocenił i zapisał uwagę w podręcznym dzienniku, nie przerywając jednocześnie obserwacji nieba.

Osiągnęli zachodnią granicę wyznaczonego im terenu patrolowego i każda z grup wykonała kolejno skręt. Teraz wracali wzdłuż linii, ale fecieli już pod słońce, a po swojej lewej stronie mieli ciąg szaroniebieskich chmur.

Nadchodzi zimny front powietrza, pomyślał Michael i nagle znowu zaczął rozmyślać o Centaine, jakby udało jej się wślizgnąć przez jakieś tylne drzwi do jego umysłu.

Dlaczego nie przyszła? Może jest chora? W nocy padał deszcz i było zimno — oby to tylko nie zapalenie płuc. Sama myśl o tym go przeraziła. Już widział, jak marnieje na jego oczach i umiera męczona kaszlem.

Przed dziobem jego samolotu przemknęła czerwona raca i poruszył się z poczuciem winy. Andrew wystrzelił sygnał: „Wróg się zbliża”, kiedy on myślał o czymś innym.

Michael rozejrzał się w popłochu po niebie. Ach! — westchnął z ulgą. Tam jest. Poniżej i na lewo.

Był to niemiecki samolot dwuosobowy, solidna maszyna używana do zwiadu. Leciał na wschód od wzgórz, kierując się na Arras; stary i wolny typ, łatwa zdobycz dla szybkich i skutecznych SE5a. Andrew znowu dawał mu znaki, oglądając się na niego z beztróskim uśmiechem na ustach i zieloną szarfą powiewającą na wietrze.

— Atakuję! Osłaniaj mnie od góry!

Michael i Hank odpowiedzieli na sygnał podniesieniem dłoni i zostali na swoich pozycjach, gdy Andrew zanurkował płytkim lotem celującym w niemiecką maszynę, a pięć pozostałych samolotów z jego oddziału podążyło za nim w jednej linii.

Co za widok! Michael przyglądał się im z dumą. Pościg był najbardziej podniecający, dzika szarża podniebnej kawalerii, która z łatwością doganiała powolną i niezdarną ofiarę.

Poprowadził resztę eskadry, wykonując serię wolnych skrętów w kształcie litery „S” i trzymając samoloty na pozycji, żeby osłaniać atakujących. Wychylał się właśnie z kokpitu, żeby przyjrzeć się

zestrzeleniu, gdy nagle poczuł nagłą niepewność, zimne przeczucie katastrofy zaciskające mu żołądek, instynktowną świadomość zbliżającej się tragedii. Szybko rozejrzał się po niebie nad sobą i wokoło.

Niebo było czyste i spokojne. Wzrok Michaela skierował się w stronę oślepiającego dysku słońca; podniósł dłoń, żeby osłonić oczy, i spojrzął jednym okiem poprzez palce — i dostrzegł ich.

Wysypali się z chmur niczym rój kolorowych jadowitych insektów. Była to klasyczna pułapka. Przodem i poniżej wysłali powolną przynętę, a reszta w szybkich samolotach czekała powyżej w chmurach i pod słońce.

— Jezus Maria — westchnął Michael, wrywając sygnalizujący pistolet Very z kabury powieszonyj za siedzeniem.

Ilu ich było? Nie potrafił policzyć tej gromady. Sześćdziesiąt, może więcej — trzy pełne zespoły myśliwskie „Albatrosów” DIII pomalowanych na jaskrawe kolory rzuciły się z całą zaciekłością na małą grupkę Andrew.

Michael wystrzelił racę, żeby ostrzec swoich pilotów, i jednocześnie pochylił skrzydło samolotu, wchodząc w lot nurkujący, by przeciąć drogę atakującym, zanim dopadną Andrew. Szybko obliczył wzajemne szybkości i odległości i ocenił, że się spóźnią; spóźnili się o jakieś cztery, pięć sekund, żeby ocalić oddział przyjaciela.

Te cztery, pięć krytycznych sekund, które bezsensownie zmarnował na przyglądanie się atakowi na niemiecki samolot zwiadowczy, zamiast śledzić niebo, jak miał za zadanie, ciążyły mu teraz niczym młyńskie kamienie przywiązane do szyi, gdy wyciskał całą prędkość z SE5a. Silnik wył na maksymalnych obrotach, protestując jękliwie przeciwko szaleńczej szybkości i Michael czuł, jak skrzydła naprężają się i wyginają pod naporem powietrza.

— Andrew! — ryknął na całe gardło. — Stary, obejrzyj się! Jego głos został zagłuszony przez świst wiatru i jęk przeciążonej maszyny.

Andrew skoncentrował się całkowicie na ofierze, która dojrzała już wroga i uciekała co sił w skrzydłach w stronę ziemi, wciągając nieostrożne SE5a w śmiertelną pułapkę i zamieniając goniących w ofiary.

Niemieckie samoloty nie przerwały ataku, mimo że ich piloci świadomi byli rozpaczliwej próby pomocy, jaką podjął Michael. Musieli jednak wiedzieć, tak samo jak Michael, że próba ta jest daremna, że się spóźnił. „Albatrosy” zdążą zaatakować tamtych z góry i wykorzystując element całkowitego zaskoczenia, zniszczą większość SE5a, a następnie obrócą się przeciwko nadciągającej odsieczy.

Michael czuł, jak adrenalina pali mu krew w żyłach niczym jasny płomień lampy naftowej. Czas zdawał się zwolnić bieg, przedłużając w nieskończoność każdy ułamek sekundy, tak że Michael płynął wolno w dół, a horda wielobarwnych maszyn wroga wisiała nieruchomo w powietrzu niczym rozrzucone po niebie klejnoty.

„Albatrosy” pomalowano na najbardziej fantastyczne kolory, wśród których przeważała czerwień i czerń, chociaż część była barwna niczym cyrkowi kłowni, a inne miały sylwetki nietoperzy lub ptaków umieszczone na kadłubie i skrzydłach.

Michael widział już twarze niemieckich pilotów; niektórzy z nich obracali się, by spojrzeć w jego stronę, i znowu odwracali spojrzenia ku coraz bliższej ofierze.

— Andrew! Andrew! — jęczał Michael, a każda sekunda coraz wyraźniej mu uświadamiała, jak bardzo się spóźnił, żeby zapobiec pułapce.

Załadował pistolet palcami zdrętwiałymi z zimna i z przerażenia i wystrzelił kolejną czerwoną racę dokładnie na wprost, ponad dziobem maszyny, starając się ściągnąć uwagę Andrew, ale jaskrawa kula poszybowała łukiem ku ziemi, plując ogniem i wirując na dostojnym, szarym ogonie

dymu. Kilometr dalej Andrew ustawił się za bezbronnym niemieckim samolotem obserwacyjnym i Michael usłyszał charakterystyczny terkot vickersa.

W tej samej chwili fala „Albatrosów” runęła z góry na grupę Szkota.

Michael zobaczył, jak w pierwszych sekundach ataku dwa SE5a, śmiertelnie ranione, spadają ku ziemi, wirując w chmurach dymu i odpadających części. Pozostała część oddziału rozpięzchła się po niebie, a każdy z pilotów miał dwa, trzy „Albatrosy” na ogonie, które zdawały się wzajemnie odpychać, żeby ustawić się do strzału.

Tylko Andrew wyszedł z ataku obronną ręką. Jego reakcja na pierwsze strzały wroga była instynktowna: jednym ruchem sterów wprowadził wielką zieloną maszynę w ostry poślizg, który tyle razy ćwiczyli z Michaeliem. Gdy tylko SE5a obrócił się w miejscu, Andrew rzucił się w sam środek grupy „Albatrosów”, rozpędzając je na boki desperackim atakiem, strzelając im prosto w dzioby i wyrywając się na wolną przestrzeń.

— Brawo, stary! — zawył z radości Michael.

Kiedy jednak zobaczył, jak reszta oddziału przyjaciela, zmasakrowana przez Niemców, spada w płomieniach na ziemię, poczucie winy przerodziło się w gniew.

Niemieckie maszyny, osiągnąwszy pierwszy cel, zawracały właśnie, żeby stawić czoło odsieczy prowadzonej przez Michaela i Hankę. Obie formacje samolotów runęły na siebie i w powietrzu zapanował kompletny chaos, w którym maszyny ścigały się wzajemnie niczym liście wirujące na wietrze.

Michael wskoczył na tył ciemnego „Albatrosa” z czerwonymi skrzydłami, na których widniały wyraźne czarne krzyże maltańskie. Mijając z góry tę maszynę, wyliczył błyskawicznie ich wzajemne tory i szybkości i posłał serię w stronę chłodnicy umieszczonej na skrzydłach nad głową pilota, zamierzając ugotować Niemca w strugach wrzącego płynu.

Zobaczył, jak pociski trafiają dokładnie tam, gdzie wymierzył, i w tej samej chwili dostrzegł pewną modyfikację w konstrukcji skrzydeł. Niemcy przebudowali „Albatrosy”. Ostatnie walki wyraźnie wskazały im śmiertelny błąd w konstrukcji i chłodnica została przeniesiona na inne miejsce. Czarny zanurkował przed atakiem Michaela, a ten poderwał dziób swej maszyny do góry.

Kolejny Niemiec upatrzył sobie jednego z nowicjuszy z oddziału B i przykleił się do jego ogona, szykując się do oddania strzału. Michael podleciał od dołu do „Albatrosa” i schwycił za spust lewisa, wymierzając broń w górę, tak że lufa karabinu niemal dotykała jasnoróżowego brzucha wrogiego myśliwca.

Wystrzelił pełną serię, przechylając lekko skrzydła na boki, żeby mieć większy rozrzut, i przeciwnik poderwał się do góry, niemal stając na ogonie jak dźgnięty harpunem rekin, a następnie przechylił się przez skrzydło i runął w dół.

Młody pilot pomachał z ulgą Michaelowi — lecieli teraz tak blisko, że niemal dotykali się skrzydłami — a ten zasygnalizował mu niecierpliwie: „Wracaj do bazy!” wzmacniając polecenie gwałtownym machnięciem pięścią: „To rozkaz!”

— Zmykaj stąd, ty cholerny głupcze! — wrzasnął Michael niepotrzebnie, ale jego wykrzywiona z wściekłości twarz dostatecznie podkreślała znaczenie ręcznych sygnałów i nowicjusz wycofał się, kierując się w stronę lądowiska.

Kolejny wróg zaatakował Michaela i ten skręcił mocno, wzbijając się jednocześnie w górę, strzelając do umykających przed nim samolotów i zarazem wymykając się, by uciec z tego pogromu z życiem. Niemcy mieli przewagę jak sześć, siedem do jednego i w dodatku znajdowali się tu sami weterani, co widać było w ich stylu latania: szybkim, zręcznym i nieustraszoną. Zostać i podjąć walkę byłoby samobójczą głupotą. Michael załadował pistolet sygnalizacyjny i wystrzelił zieloną

racę wzywającą wszystkich do odwrotu. W tych okolicznościach był to rozkaz dla całej eskadry, żeby zerwać kontakt i jak najszybciej schronić się w bazie. Michael zawrócił ostro, puścił serię w różowo-niebieski samolot i zobaczył, jak struga pocisków trafia w obudowę silnika, kilka centymetrów poniżej zbiornika z paliwem.

— Niech to jasna cholera! — zaklął i oba samoloty odbiły w przeciwnych kierunkach.

Michael miał otwartą drogę do domu. Widział swoich pozostałych pilotów, jak wyrrywają w stronę bazy, i sam zniżył dziób maszyny, kierując się na Mort Homme.

Obrócił jeszcze ostatni raz głowę, żeby upewnić się, że nikt nie pozostał z tyłu — i w tej chwili dojrzał Andrew.

Przyjaciel znajdował się jakiś kilometr dalej, z boku. W początkowej fazie walki oddzielił się od reszty grupy, zajęty trzema atakującymi go „Albatrosami”, które zręcznie rozgonił, zanim rzucił się do ucieczki.

Michael spojrział w górę i stwierdził, że nie wszystkie niemieckie samoloty zaatakowały w pierwszym uderzeniu. Sześć zostało w górze pod chmurami, prowadzone przez jeden jedyny samolot pomalowany od dziobu do ogona i od czubka jednego skrzydła do końca drugiego na kolor czerwony. Wróg czekał na rozwój walki i na uciekinierów. Była to druga część pułapki i Michael dobrze wiedział, kto pilotuje czerwonego „Albatrosa”. Mężczyzna ten był chodzącą legendą po obu stronach frontu i wszyscy wiedzieli, że stracił już ponad trzydzieści alianckich maszyn. Nazywano go Czerwonym Baronem Niemiec.

Alianci starali się zburzyć mit niepokonanego pilota, jaką stworzył sobie baron Manfred von Richthofen, nazywając go hieną i tchórzem, który osiągnął taką liczbę strąceń, unikając równej walki i atakując jedynie nowicjuszy, uciekinierów i uszkodzone samoloty.

Niewykluczone, że było w tym sporo racji, gdyż oto baron czyhał w górze niczym szkarłatny sęp, a poniżej leciał bezbronny i najwyraźniej zupełnie nieświadomy nowego niebezpieczeństwa Andrew; osamotniony, gdyż jego najbliższy sojusznik, Michael, był oddalony o ponad tysiąc metrów. Szkarłatna maszyna pochyliła dziób, mierząc prosto w zielonego SE5a i runęła w dół. Pozostałych pięciu weteranów poszło w jej ślady.

Nie namyślając się nawet przez chwilę Michael rozpoczął skręt, który zaprowadziłby go do przyjaciela, lecz nagle oto nogi i ręce, zupełnie bez jego woli, zbuntowały się i utrzymały żółtego SE5a w płytkim locie nurkowym, który z każdą chwilą zbliżał go do brytyjskich linii.

Obejrzał się do tyłu i spadające z wysoka samoloty ułożyły się we wzór ukochanej twarzy Centaine, z ciemnymi oczami pełnymi łez, szepczącej w jego ucho głośniejsz niż ryk silnika i strzały broni maszynowej: „Michael, przysięgnij mi, że będziesz ze mną w dniu ślubu!”

Wciąż słysząc słowa Centaine rozbrzmiewające w jego głowie, zobaczył, jak niemieckie samoloty atakują samotnego Andrew i ponownie przyjaciel cudownie przetrzymał pierwsze uderzenie, zawrócił maszynę i rzucił się na wrogów.

Michael zmagał się ze sobą, żeby skierować SE5a przyjacielowi na pomoc, ale ręce nie chciały go słuchać, a nogi na sterach były niczym sparaliżowane. Nie mógł też oderwać wzroku od zielonej maszyny, którą niemieckie samoloty ganiały niczym stado psów ścigających zbiegłą owcę, przekazując ją sobie pod ogień spandauów.

Andrew walczył z nimi z olbrzymią odwagą i wielką zręcznością, wyrrywając się ścigającym i bez wahania rzucając się do nowego ataku, aby zmusić przeciwnika do odstąpienia, ale zawsze z boku lub z tyłu znajdował się inny „Albatros” rażący zielonego SE5a seriami pocisków.

W pewnej chwili umilkły oba karabiny SE5a. Magazynek lewisa był pusty, a Michael wiedział, ile czasu zajmuje jego wymiana. Umieszczony na obudowie silnika vickers musiał się przegrzać i

zablokować. Andrew stanął w kokpicie i waląc obiema pięściami w zamek karabinu próbował go odblokować, gdy szkarłatny „Albatros” von Richthofena zaszedł go od tyłu i ustawił się do strzału.

— Boże, nie!

Michael usłyszał własny jęk. Nie przerwał jednak ucieczki i nie wiedział, co go bardziej przeraziło: własne tchórzostwo, czy śmiertelne niebezpieczeństwo grożące towarzyszowi.

Wtedy zdarzył się kolejny cud, gdyż czerwony „Albatros” zszedł z ogona zielonego SE5a, nie oddając strzału i wyrównał lot z maszyną Andrew.

Von Richthofen musiał zobaczyć, że Andrew jest nie uzbrojony i zrezygnował z zabijania bezbronnego człowieka. Przelatując metry od stojącego w kokpicie i walczącego z zaciętym karabinem Andrew, von Richthofen podniósł rękę w lakonicznym salucie, składając w ten sposób hołd dzielnemu przeciwnikowi, i rzucił się w pogoń za pierzchającymi brytyjskimi SE5a.

— Dzięki ci, Boże! — szepnął ochryłym głosem Michael. Oddział von Richthofena podążył za swoim dowódcą. Nie, jednak nie wszyscy niemieccy piloci ruszyli za dowódcą. Jeden z „Albatrosów”, błękitna maszyna o górnych skrzydłach pomalowanych w biało-czarną szachownicę, nadal leciała za Andrew. Niemiec zajął pozycję strzelecką opuszczoną przez von Richthofena i Michaela dobiegł miarowy terkot spandaua.

Wokół głowy i ramion Andrew rozkwitł nagle czerwony pęk ognia, który szybko objął całą jego postać, gdy wybuchł zbiornik z paliwem. Michael zobaczył, jak przyjaciel dźwiga się na nogi niczym osmalony owad i rzuca się przez kokpit w powietrze, wybierając raczej szybką śmierć przez rozbicie niż męczarnie w płomieniach.

Zielony szal zdążył się już zająć ogniem i zdawało się, że Andrew przybrany jest w czerwony wieniec, zanim pęd powietrza nie zdusił płomieni. Ciało wykonało kilka koziółków, z nogami i rękami rozrzuconymi na boki, i szybko zmalało do wielkości punktu. Michael stracił przyjaciela z oczu, zanim ten zdążył uderzyć o ziemię trzy tysiące metrów niżej.

— Na rany boskie, czy nikt nie mógł uprzedzić nas, że von Richthofen wrócił do tego sektoru? — pytał Michael adiutanta eskadry podniesionym głosem. — Czy w tej cholernej armii nie ma już żadnego wywiadu? To ci leniwi dranie siedzący w dowództwie dywizji za biurkami są odpowiedzialni za śmierć majora i sześciu ludzi, których dziś straciliśmy!

— To naprawdę niesprawiedliwe, stary — mruknął adiutant, wydmuchując dym z fajki. — Sam wiesz, jak ten von Richthofen działa. Zupełnie nieobliczalny facet i w ogóle.

Von Richthofen wypracował strategię ładowania samolotów na ciężarówki i przerzucania całej swej floty powietrznej na drugi koniec frontu. Pojawiał się niespodziewanie wraz ze swoimi sześćdziesięcioma doświadczoneymi pilotami tam, gdzie go najmniej oczekiwano, przez kilka dni, najdłużej tydzień, dokonywał spustoszeń wśród nie przygotowanych alianckich pilotów i przenosił się w inne miejsce.

— Dzwoniłem do dywizji, jak tylko wylądowały nasze samoloty i powiedzieli mi, że sami dopiero co otrzymali informacje od wywiadu. Sądzą, że von Richthofen i jego banda zajęli pozycję na starym lotnisku na południe od Douai...

— Wiele nam to da, skoro Andrew już nie żyje.

Kiedy Michael wypowiedział te słowa, dotarła do niego świadomość ogromu straty i zaczęły mu drżeć ręce. Czuł, jak drga mu nerw na policzku. Odwrócił się do małego okienka domku, który adiutant wykorzystywał w charakterze biura eskadry. Mężczyzna "siedzący z tyłu nie odzywał się przez chwilę, dając mu czas na pozbieranie się.

Stare lotnisko w Douai... Michael wsadził ręce do kieszeni kurtki, żeby powstrzymać ich drżenie, i skoncentrował się na technicznych aspektach sprawy, żeby nie myśleć o śmierci Andrew. Te nowe

stanowiska armatnie. Musieli przenieść działa, żeby osłaniać samoloty von Richthofena.

— Michael, obejmujesz dowodzenie nad eskadrą — przynajmniej tymczasowo, dopóki dowództwo dywizji nie potwierdzi nominacji lub nie przyśle kogoś.

Michael obrócił się z rękami w kieszeniach i skinął głową, nie ufając własnemu głosowi.

— Musisz ustalić nowy wykaz dyżurów — dodał adiutant i Michael potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić umysł z natrętnych myśli.

— Nie możemy wysłać na patrol mniej samolotów niż w sile eskadry — stwierdził — zwłaszcza teraz, kiedy mamy tę bandę na karku. Oznacza to, że nie możemy utrzymać całodziennych obserwacji wyznaczonego nam sektora.

Adiutant skinął zgodnie głową. Było jasne, że wysłanie pojedynczego oddziału równałoby się samobójstwu.

— Jaką siłą operacyjną dysponujemy? — zapytał Michael.

— W tej chwili osiem samolotów — cztery zostały poważnie uszkodzone. Obawiam się, że jeśli dalej tak pójdzie, będzie to krwawy kwiecień.

— W porządku. — Michael skinął głową. — Zmienimy listę dyżurów. Dzisiaj możemy odbyć jeszcze najwyżej dwa loty patrolowe. Wszystkie osiem samolotów. W południe i o zmierzchu. Jeśli możliwe, to trzymajmy nowych pilotów z dala od tego.

Adiutant zapisywał jego uwagi i kiedy Michael skoncentrował się na nowych obowiązkach, przestały mu drżeć ręce, a z twarzy ustąpiła śmiertelna bladeść.

— Zadzwoń do dywizji i ostrzeż ich, że nie damy rady należycie pilnować wyznaczonego nam sektora. Spytaj, kiedy możemy spodziewać się posiłków. Powiedz im, że sześć nowych baterii dział nieprzyjaciela zostało przesuniętych do... — Michael odczytał współrzędne z notatnika — i dodaj także, że dostrzegłem pewne modyfikacje w budowie „Albatrosów” von Richthofena. — Michael wyjaśnił adiutantowi znaczenie przemieszczenia chłodnicy silnika. — Według mojej oceny Niemcy mają jakieś sześćdziesiąt nowych „Albatrosów” w oddziale von Richthofena. Jak uporasz się z tym wszystkim, zawołaj mnie, to ustalimy nową listę dyżurów. Nie zapomnij powiedzieć chłopakom, że startujemy w południe. Muszę się jeszcze ogolić i wziąć kąpiel.

Na szczęście Michael nie miał czasu w ciągu dnia, żeby rozmyślać o śmierci przyjaciela. Poprowadził oba loty patrolowe ze zdziesiątkowanym oddziałem i mimo że świadomość obecności nowej niemieckiej eskadry w ich sektorze wszystkim działała na nerwy, patrole przebiegły spokojnie. Nie dostrzegli nawet jednego wrogiego samolotu.

Kiedy wylądowali ostatni raz wieczorem, Michael wziął butelkę rumu i poszedł z nią do Maca i jego mechaników, którzy pracowali przy świetle lamp nad podziurawionymi kulami maszynami. Michael musiał im dodać otuchy, gdyż wszyscy byli przygnębieni wypadkami tego dnia — zwłaszcza śmiercią Andrew, którego każdy z nich kochał i czcił jak bohatera.

— To był porządny gość. — Mac, ubrudzony po łokcie smarem, podniósł głowę znad silnika i przyjął od Michaela kubek rumu. — Major był naprawdę porządnym facetem. — Mówił to w imieniu ich wszystkich. — Nieczęsto można spotkać drugiego takiego, mówię wam.

Michael powlókł się z powrotem przez sad. Spoglądając w górę przez gałęzie drzew, mógł dostrzec gwiazdy na niebie. Jutro będzie dobra pogoda do latania, pomyślał i nagle przejął go okropny lęk.

— Straciłem odwagę — szepnął. — Jestem tchórzem i moje tchórzostwo zabiło Andrew.

Myśl ta kryła się przez cały dzień gdzieś w zakamarkach jego umysłu, ale do tej chwili udawało mu się ją odpędzać. Teraz, gdy spróbował stawić jej czoło, przypominało to podążanie za rannym leopardem do jego kryjówki. Wiedział dobrze, że jest gdzieś w pobliżu, ale umykała mu, gdy tylko

chciał spojrzeć prawdzie w oczy.

— Tchórz — powiedział na głos, chłuszcząc się tym wyzwiskiem. Przypomniawszy sobie uśmiech przyjaciela i zielony beret z pomponem, przekrzywiony pod zawadiackim -kątem.

„Co jest, stary?” — zdawało mu się, że słyszy znajomy głos, i znowu zobaczył, jak Andrew leci w dół z płonącym szalem obwiązany wokół szyi. Poczował, jak mu drżą dłonie.

— Tchórz — powtórzył.

Ból był zbyt silny, żeby go znieść samotnie, i Michael pośpieszył do kantyny, z powodu wyrzutów sumienia czując się niemal ślepy, tak że potknął się kilka razy, zanim dotarł do drzwi.

Adiutant i pozostali piloci, niektórzy z nich wciąż w ubraniach lotniczych, czekali już na niego. Rytuał eskadry wymagał, żeby najstarszy rangą oficer rozpoczął czuwanie. Na stole pośrodku kantyny stało siedem butelek Johnniego Walkera Black Label, każda butelka za jednego straconego pilota.

Kiedy Michael wszedł do pomieszczenia, wszyscy wstali z krzeseł — nie ze względu na niego, ale żeby oddać honory zmarłym.

— W porządku, panowie — powiedział Michael. — Wypijmy za nich.

Najmłodszy z oficerów, powiadomiony o swoich obowiązkach przez innych pilotów, otworzył pierwszą butelkę. Czarne etykiety na whisky pasowały do smutnej okazji. Oficer podszedł do Michaela i napełnił mu szklankę, a następnie przeszedł do pozostałych według starszeństwa. Czekali cierpliwie z pełnym szkłem, aż adiutant zasiądzie do wysłużonego pianina stojącego w kącie sali i zagra pierwsze takty marsza żałobnego Chopina. Oficerowie 21. Eskadry stanęli na baczność, stukając szklankami w stoły i blat baru w rytm muzyki. Niektórzy nucili pod nosem.

Na kontuarze leżały rzeczy poległych pilotów. Po obiedzie zostaną sprzedane na aukcji, a każdy pilot zapłaci za nie wygórowaną cenę, żeby zebrać kilka gwinei dla owdowiałej żony czy osieroconej matki. Michael zobaczył kije do golfa Andrew, których ten nigdy nie używał, a także wędkę na pstrągi marki Hardy, i przejął go tak silny żal, że stuknął mocniej, niż zamierzał, szklaneczką w kontuar. Na blat poląła się whisky i Michael musiał otrzeć oczy podrażnione oparami alkoholu.

Adiutant wyběbnił ostatnie takty marsza, wstał i podniósł szklankę. Nikt nie odezwał się ani słowem, tylko wszyscy zrobili to samo. Przez chwilę pozostawali sami z własnymi myślami i zaraz opróżnili szklaneczki do dna. Bez chwili zwłoki najmłodszy oficer ponownie je napełnił. Do tradycji należało, że wszystkie butelki muszą zostać wypite. Michael nie tknął posiłku i przez cały wieczór stał przy kontuarze, pomagając opróżnić wszystkie siedem flaszek. Był wciąż trzeźwy, jakby alkohol nie miał na niego żadnego wpływu.

Chyba w końcu zostałem alkoholikiem, pomyślał. Andrew zawsze twierdził, że mam niezłe zadatki. Whisky nie osłabiła nawet okropnego bólu, jaki przynosiło wspomnienie przyjaciela.

Michael zaliczył pięć gwinei za kije do golfa i składaną wędkę Andrew. Kiedy licytacja dobiegła końca, na stole stało siedem pustych butelek. Michael kupił jeszcze jedną butelkę i zabrał ją do swojego namiotu. Siedział na łóżku z wędką na kolanach. Andrew chwalił się, że złapał na nią dwudziestopięciokilogramowego łososia i Michael przypomniał sobie, jak nazwał go oszustem.

— Och, wy, ludkowie małej wiary — odgryzł się wtedy przyjaciel.

— I tak zawsze ci wierzyłem.

Michael pogłaskał wędkę i pociągnął z butelki. Trochę później do namiotu zajrzał Biggs.

— Gratuluję panu wygranej, sir.

Trzech pilotów poświadczyło, że Michael zestrzelił różowego „Albatrosa”.

— Biggs, zrobisz coś dla mnie?

— Oczywiście, sir.

— To odpieprz się, stary.

Butelka whisky była jeszcze w trzech czwartych pełna, gdy Michael, wciąż ubrany w strój pilota, pomaszerował chwiejnym krokiem w stronę motocykla Andrew. Jazda w chłodnym, nocnym powietrzu trochę go otrzeźwiła, ale jednocześnie czuł się słaby i kruchy w środku niczym nadpęknięte szkło. Zaparkował motor za stodołą i usiadł na belach słomy, czekając na Centaine.

Odmierzane przez zegar kościelny godziny mijaly wolno, a z upływem każdej z nich pragnienie ujrzenia przy sobie dziewczyny stawało się coraz bardziej nieznośne. Co pół godziny Michael podchodził do drzwi i wyglądał na zewnątrz, a następnie wracał na swoje miejsce na stercie koców.

Pociągał co jakiś czas głębszy łyk z butelki, a jego umysł, niczym zacinająca się płyta, nieustannie powtarzał te kilka sekund bitwy, kiedy zginął Andrew. Michael starał się odsunąć od siebie nachalne wizje, ale nie miał dość siły. Musiał przeżywać raz po raz ostatnie chwile przyjaciela.

— Gdzie jesteś, Centaine? Potrzebuję cię.

Potrzebował jej, ale nie przychodziła i znowu widział błękitnego „Albatrosa” z czarno-białą szachownicą na skrzydłach, który ustawiał się za zielonym samolotem, i jeszcze raz patrzył na bladą twarz Andrew, gdy uderzył w niego ogień ze spandaua. Zasłonił dłońmi oczy, wciskając mocno palce w powieki, dopóki ból nie rozmazał okropnych obrazów.

— Centaine — szepnął. — Proszę, przyjdź do mnie.

Zegar na wieży kościelnej wybił godzinę trzecią i Michael stwierdził, że trzyma w rękach pustą butelkę.

— Już nie przyjdzie.

Zmusił się do spojrzenia prawdzie w oczy. Potykając się podszedł do drzwi i spojrzał na nocne niebo. Wiedział już, co musi zrobić, żeby pozbyć się poczucia winy, żalu i wszechobejmującego wstydu.

Zdziesiątkowana eskadra wyleciała na poranny patrol, kiedy na dworze było jeszcze szaro. Hank Johnson został zastępcą dowódcy i leciał na drugim skrzydle.

Gdy tylko wzbili się nad drzewa, Michael skręcił lekko i skierował się na wzgórze za pałacykiem. Czuł, że nie zobaczy jej tego ranka, ale i tak zdjął gogle, żeby lepiej widzieć.

Szczyt wzgórza był pusty i Michael nie oglądał się za siebie.

Dzień mojego ślubu, pomyślał, przyglądając się niebu nad wzgórzami, mój drużba nie żyje, a moja narzeczona... Nie dokończył myśli.

W nocy wiatr przygnał gęste chmury. Na wysokości czterech tysięcy metrów ciągnęła się aż po horyzont ciemna i ponura zasłona. Poniżej niebo było czyste do wysokości tysiąca pięciuset metrów, gdzie rzadkie szare chmury tworzyły powłokę o grubości od stu pięćdziesięciu do trzystu metrów.

Michael poprowadził eskadrę przez jedną z dziur w niższej warstwie chmur i wyrównał lot pod wyższą powłoką. Pod nimi nie było widać żadnych samolotów. Dla nowicjusza wydawało się niemożliwe, żeby dwie duże formacje samolotów patrolowały ten sam obszar, szukając się wzajemnie i nie trafiając na siebie. Niebo nad sektorem eskadry było jednak tak głębokie i rozległe, że szansę spotkania wydawały się niewielkie, chyba że obie formacje знаły swoje położenie.

Nie przestając przeczesywać wzrokiem nieba, Michael sięgnął do kieszeni płaszcza i upewnił się, że przygotowana przed odlotem paczka znajduje się na swoim miejscu.

Jezu, wypiłbym teraz drinka, pomyślał. Usta miał spieczone, a w tyle głowy czaił się ból. Paliły go także oczy, ale widział wszystko wyraźnie. Obliznął spierzchnięte wargi.

Andrew zawsze twierdził, że tylko alkoholik może pić na kacu. Szkoda, że nie miałem dosyć rozsądku, żeby zabrać ze sobą butelkę.

Wyglądając przez dziury w dolnej powłoce chmur, Michael sprawdzał pozycję eskadry. Znał

każdy metr wyznaczonego im sektora, jak rolnik zna każdy kawałek swojego pola.

Dotarli do zewnętrznej granicy strefy i Michael wykonał skręt, czując, jak reszta eskadry podąża za nim, i sprawdził czas na zegarku. Jedenaście minut później wypatrzył łuk rzeki i mały zagajnik brzoź, który był jego znakiem nawigacyjnym.

Przymknął nieco przepustnicę, żółta maszyna zwolniła lot i po chwili Michael znalazł się na skrzydle Hanka Johnsona. Spojrzał na Teksąńczyka i skinął głową. Michael przedstawił Hankowi swój zamiar przed startem i ten próbował go odwieść od tego pomysłu. Teraz Hank zacisnął tylko usta, żeby dać wyraz swojej dezaprobacie, i skinął Michaelowi otwartą dłońią.

Ten jeszcze bardziej zwolnił lot i po chwili znalazł się w tyle za eskadrą. Hank nadal prowadził samoloty na wschód, a Michael wykonał łagodny skręt na północ i zaczął zniżać lot.

Po kilku minutach cała eskadra znikła na horyzoncie i został sam. Jeszcze bardziej obniżył lot, żeby osiągnąć dolną warstwę chmur, którą chciał wykorzystać jako zasłonę. Kryjąc się za chłodnymi, wilgotnymi chmurami i przeskakując otwarte połacie nieba, Michael przeleciał nad linią frontu kilka kilometrów na południe od Douai. Na skraju lasu wypatrzył nowe niemieckie stanowiska armatnie.

Na mapie miał zaznaczoną pozycję starego lotniska. Dostrzegł je z odległości pięciu czy sześciu kilometrów, gdyż koła niemieckich „Albatrosów” zostawiły przy starcie i lądowaniu wyraźne ślady w zielonej murawie. Trzy kilometry dalej, na skraju lasu, stały zaparkowane samoloty, a za drzewami dojrzał rzędy namiotów i przenośne budki, w których mieszkali załogi.

Nagle rozległ się głuchy huk i trzask wybuchającego pocisku przeciwlotniczego, który rozerwał się powyżej i nieznacznie przed nim. Wybuch przypominał kwiat bawełny, rozwijający się w powietrzu i wyrzucający z siebie kłęby białego dymu, złudnie piękny w rozproszonym świetle przesączałym się przez chmury.

— Cześć, Archie — przywitał go ponuro Michael.

Był to strzał nanierzający oddany z jednego z dział, po którym zagrzmiała cała salwa. Powietrze wokół samolotu zaroilo się od wybuchających szrapneli.

Michael pochylił dziób do lotu pikującego i zobaczył, jak wskazówka obrotomierza zaczyna przesuwać się do góry, w stronę czerwonego pola. Wymacał w kieszeni owiniętą w szmatkę paczkę i położył ją sobie na kolanach.

Ziemia i las zbliżały się doń z zawrotną szybkością, a za ogonem samolotu ciągnęła się jasna smuga wybuchających szrapneli. Pięćdziesiąt metrów nad lasem Michael wyrównał lot. Lotnisko rozciągało się tuż przed nim. Widział wyraźnie wielobarwne samoloty ustawione w jednym długim rzędzie, z czarnymi dziobami przypominającymi rekinie pyski, wycelowanymi prosto w niego. Rozejrzał się za błękitną maszyną z szachownicą na skrzydłach, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec.

Na skraju pola zapanował harmider. Niemieckie załogi naziemne, oczekując potoku kul z vickersa, uciekały w stronę lasu, podczas gdy piloci gnali ku maszynom, zakładając po drodze lotnicze ubrania. Musieli zdawać sobie sprawę z tego, że nie mają szansy wystartować i przeciąć drogę brytyjskiej maszynie, a jednak podejmowali tę próbę.

Michael schwycił rękojeść vickersa. Samoloty były ustawione w równym rzędzie, wokół nich kłębili się piloci — i Michael uśmiechnął się, zniżył dziób i nakierował na nich karabin maszynowy. Ponownie wyrównał na wysokości trzydziestu metrów, zdjął prawą rękę ze spustu i podniósł paczkę z kolan. Przelatując nad środkiem pola, wychylił się z kokpitu i wyrzucił paczkę. Wstążka, którą do niej przywiązał, rozwinęła się w strumieniu powietrza utworzonym przez SE5a i pakunek opadł na skraju pola.

Kiedy Michael otworzył przepustnicę i zaczął nabierać wysokości, spojrzął w lusterko nad głową i zobaczył, że jeden, z niemieckich pilotów schyla się, by podnieść paczkę z ziemi — w tej samej

chwili SE5a podskoczył i zatrząsł się, gdy działa ponownie otworzyły ogień i pierwsze pociski rozerwały się pod maszyną. W ciągu kilku sekund Michael osiągnął chmury, nie wystrzeliwszy ani jednego pocisku, za to zarobiwszy kilka dziur w spodzie samolotu i w dolnych skrzydłach.

Naprowadził maszynę na kurs do Mort Homme. Lecąc myślał o przesyłce, którą właśnie podrzucił Niemcom.

W nocy wydarł długi pas z jednej ze swoich starych koszul, który miał służyć do oznaczenia paczki, i obciążył go kilkoma pustymi magazynkami. Do drugiego* końca wstęgi przyszył napisany odręcznie list.

Z początku zamierzał napisać list po niemiecku, ale po kilku próbach przyznał, że jego znajomość języka jest niedostateczna. Prawie na pewno w otoczeniu von Richthofena znajduje się oficer, który zna angielski i będzie mógł przetłumaczyć wiadomość.

Do niemieckiego pilota błękitnego „Albatrosa” z biało-czarną szachownicą na skrzydłach:

Sir,

Bezbronny brytyjski pilot, którego pan wczoraj zamordował, był moim przyjacielem.

Dzisiaj od 16:00 do 16:30 będę patrolował obszar nad wioskami Cantin i Aubigny-au-Bac na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów.

Będę pilotował żółty samolot myśliwski SE5a.

Mam nadzieję spotkać pana.

Reszta eskadry wylądowała już, gdy Michael wrócił do bazy.

— Mac, zdaje się, że zarobiłem odłamkiem.

— Zauważyłem to, sir. Niech się pan nie martwi, naprawimy to w mgnieniu oka.

— Nie strzelałem z karabinów, ale byłbym ci wdzięczny, gdybyś sprawdził ustawienie celowników.

— Pięćdziesiąt metrów? — Mac spytał o odległość, przy której ogień z lewisa powinien schodzić się z ogniem z vickersa.

— Ustaw na trzydzieści, dobrze?

— Planuje pan bliski kontakt, sir. — Mac gwizdnął przez zęby.

— Mam taką nadzieję, Mac, aha, i przy okazji, maszyna ma trochę za ciężki tył. Ustaw ją bez rąk.

— Osobiście tego dopilnuję — obiecał mechanik.

— Dzięki, Mac.

— Niech pan da tym draniom niezły wycisk za pana majora, sir. Adiutant czekał już na niego.

— Michael, wszystkie maszyny są już zdolne do lotu. Dwanaście samolotów gotowych do lotów patrolowych.

— W porządku. Hank poprowadzi patrol w południe, a ja polecę sam o 15:39.

— Sam? — Zaskoczony adiutant wyjął fajkę z ust.

— Sam — potwierdził Michael. — Następnie lot patrolowy całej eskadry o zachodzie, jak zwykle.

Adiutant zapisał to w notatniku.

— Przy okazji, przyszła wiadomość od generała, Courteneya.

Obiecał, że postara się przybyć na ceremonię ślubną dziś wieczór. Jest pewien, że mu się to uda.

Michael uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia. Bardzo mu zależało, żeby Sean zjawił się na jego ślubie.

— Bob, mam nadzieję, że ty też przyjdiesz.

— Możesz być tego pewien. Cała eskadra przybędzie. Wszyscy już się szykują na wieczór.

Michael poczuł, że musi się napić. Ruszył w stronę kantyny.

Jezu, przecież dopiero ósma rano, pomyślał i zatrzymał się w pół drogi. Był zupełnie rozbity i spragniony i wiedział, że whisky rozgrzałaby go i pomogłaby się pozbierać. Poczł tak dominującą chęć napicia się, że aż zaczęły mu drżeć ręce. Potrzebował całej siły, żeby zawrócić i skierować się do namiotu. Przypomniał sobie, że wcale nie spał tej nocy.

Biggs siedział na skrzyni przed namiotem i był zajęty czyszczeniem butów Michaela. Na jego widok stanął na baczność z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu.

— Daj spokój. — Michael uśmiechnął się do niego. — Biggs, przepraszam za wczorajszą noc. Zachowałem się okropnie. Wcale nie chciałem cię urazić.

— Wiem, sir. — Biggs rozluźnił się. — Też jest mi przykro z powodu majora.

— Biggs, obudź mnie o trzeciej. Muszę trochę odespać tę noc.

Obudził go jednak nie Biggs, lecz krzyki obsługi naziemnej, odgłosy biegnących ludzi, niski, wyjący huk dział przeciwlotniczych na skraju sadu i ryk silnika przelatującego nad namiotem samolotu.

Rozespany Michael wygramolił się z łóżka ze zmierzwionymi włosami i nabiegłymi krwią oczami.

— Biggs, co się, do cholery, dzieje?

— Hun, sir; ten beczelny drań przeleciał nad samą bazą.

— Uciekł! — krzyczeli spomiędzy drzew piloci, którzy właśnie biegli w stronę lądowiska.

— Nawet nie otworzył ognia!

— Widziałeś go?

— To „Albatros” — niebieski, z białą-czarną szachownicą na skrzydłach. Sukinkot omal nie zerwał dachu kantyny.

— Coś zrzucił, Bob pobiegł to podnieść.

Michael zanurkował w namiocie i pośpiesznie włożył kurtkę i tenisówki. Wybiegając usłyszał, jak dwa lub trzy samoloty szykują się do startu. Niektórzy z pilotów zamierzali widocznie ruszyć w pogoń za niemieckim intruzem.

— Nie zezwalam na żadne starty! — ryknął i zanim dotarł do biura adiutanta, usłyszał, że wszystkie silniki samolotów zostały posłusznie wyłączone.

Przed drzwiami zebrał się mały tłumek ciekawskich. Michael przepchał się do środka w chwili, gdy adiutant rozwiązywał sznurek zrzuconego przez Niemca płóciennego worka. Chór pytań, komentarzy i spekulacji umilkł jak ucięty nożem, gdy wszyscy zobaczyli, co zawiera przesyłka. Adiutant przesunął pomiędzy palcami strzęp zielonego jedwabiu. Materiał był miejscami poprzepalany na wylot i pokryty zaschniętą, czarną krwią.

— Szal Andrew — powiedział ktoś zupełnie niepotrzebnie — i jego srebrna piersiówka.

Po bokach flaszki metal był mocno powgniatany, ale rzeźbiony korek błyszczał złotem, gdy adiutant obrócił ją w rękach, a w środku słychać było bulgotanie płynu. Adiutant odłożył butelkę na bok i wyjął pozostałe przedmioty z torby: baretki od munduru Andrew, bursztynową cygarniczkę, skarbonkę na sprężynę, w której wciąż znajdowały się trzy suwereny, portfel ze świńskiej skóry. Kiedy otworzył portfel, na stół wypadła fotografia rodziców Andrew stojących na trawniku przed rodzinnym zamkiem.

— A to co? — Adiutant wyjął grubą kopertę koloru bawolej skóry, zapieczętowaną woskową pieczęcią. — Jest zaadresowana... — przeczytał napis na kopercie — ...do pilota żółtego SE5a. — Adiutant spojrział zaskoczony na Michaela. — Michael, to do ciebie! Ale jak, do cholery...? -

Michael wyjął mu z rąk kopertę i złamał pieczęć.

W środku znajdowała się jedna kartka z tego samego wyśmienitego papieru. List został napisany odręcznie i mimo że pismo wyglądało wyraźnie na niemieckie, gdyż duże litery stawiano gotykiem, tekst był po angielsku.

Sir,

Pański przyjaciel, lord Andrew Killigerran, został pochowany dziś rano na cmentarzu protestanckiego kościoła w Douai. Cały oddział oddał mu należyte honory.

Mam zaszczyt Pana poinformować, a jednocześnie ostrzec, że na wojnie żadna śmierć nie jest morderstwem. Celem wojny jest zniszczenie przeciwnika wszelkimi możliwymi sposobami.

Będę Pana oczekiwał w umówionym miejscu.

OTTO VON GREIM

Wszyscy spoglądali wyczekująco na Michaela, gdy ten złożył list i schował go do kieszeni.

— Znaleźli ciało Andrew — oznajmił cicho — i pochowali go dziś rano z pełnymi honorami wojskowymi na cmentarzu w Douai.

— Bardzo przyzwoite z ich strony — mruknął jeden z pilotów.

— Tak, jak na Hunów — odparł Michael i obrócił się do drzwi.

— Michael — zatrzymał go adiutant. — Sądzę, że Andrew życzyłby sobie, abyś zatrzymał to. Podał Michaelowi srebrną piersiówkę. Michael obrócił ją wolno w rękach. Wgniecenie powstało pewnie przy upadku, pomyślał i zadrżał.

— Dziękuję. — Skinął głową. — Zaopiekuję się nią.

Ruszył w stronę drzwi i przepchnął się przez grupę milczących oficerów.

Biggs pomógł Michaelowi ubrać się w strój lotniczy jeszcze bardziej starannie niż zazwyczaj. — Wypastowałem je tłuszczem garbarskim, sir — zauważył, pomagając swemu kapitanowi wciągnąć miękkie buty ze skóry kudu. Michael zdawał się nie słyszeć tej uwagi. Mimo że po zamieszczeniu wywołanym przelotem Niemca położył się do łóżka, nie udało mu się już zasnąć. Był jednak spokojny, a nawet pogodny.

— Co mówiłeś, Biggs? — zapytał nieobecny tonem.

— Powiedziałem, że przygotuję mundur wyjściowy, kiedy wróci pan do obozu. Załatwiłem także u kucharza ze dwadzieścia litrów gorącej wody na kąpiel dla pana.

— Dzięki, Biggs.

— Nie każdego dnia jest taka okazja, panie Michael.

— Masz rację, Biggs, raz w życiu zupełnie wystarczy.

— Jestem pewien, że pan i panna młoda będziecie bardzo szczęśliwi. W czerwcu miną dwadzieścia dwa lata, odkąd jestem z moją panią.

— To długi czas, Biggs.

— Mam nadzieję, że pobije pan mój rekord, panie Michael.

— Spróbuję.

— Jeszcze jedno, sir. — Biggs był zaambarasowany i nie podniósł głowy znad butów, które właśnie sznurował. — Nie powinniśmy latać sami, sir. To wcale nie jest bezpieczne. Za przeproszeniem, sir, ale powinniśmy wziąć ze sobą przynajmniej pana Johnsona. Wiem dobrze, że nie do mnie należy radzenie panu.

Michael na chwilę położył ręce na ramionach ordynansa. Nigdy wcześniej tego nie robił.

— Przygotuj dla mnie tę kąpiel, jak wrócę — powiedział i wstał z krzesła.

Biggs patrzył, jak wychodzi z namiotu, schylając się pod podniesioną klapą. Nie życzył mu szczęścia, chociaż kosztowało go wiele wysiłku, żeby się nie odezwać. Schylił się, by podnieść rzuconą na ziemię kurtkę Michaela i złożył ją z przesadną troską.

Kiedy silnik wosleya zaskoczył i zapalił, Michael przesunął starter, aż maszyna zaczęła pracować z jednostajnym, głębokim pomrukiem. Słuchał krytycznie przez pół minuty i wreszcie spojrzął na Maca, który stał obok niego na skrzydle. Jego włosy i kombinezon powiewały w pędzie powietrza od śmigła.

— Wspaniale, Mac! — Michael podniósł głos, żeby przekrzyczeć ryk silnika, i Mac uśmiechnął się szeroko.

— Niech pan da im popalić, sir! — odkrzyknął i zeskoczył na ziemię, aby wyciągnąć blokadę spod kół samolotu.

Michael instynktownie wziął głęboki oddech, jakby miał zanurkować w chłodne zielone wody

Tugeli, otworzył przepustnicę i wielka maszyna ruszyła wolno do przodu.

Wzgórze za pałacykiem było znowu puste, ale Michael nie oczekiwał niczego innego. Wzniósł dziób maszyny i nagle się rozmyślił, opuścił dziób i wprowadził samolot w ostry skręt, niemal dotykając końcem skrzydła koron dębów.

Kiedy wyszedł ze skrętu, miał pałacyk na wprost siebie. Przeleciał nad nim na wysokości dachu z różowej dachówki. Nie dostrzegł żadnego ruchu i gdy tylko minął dom, wprowadził SE5a w kolejny zakręt i znowu wyleciał tuż przed pałacykiem.

Tym razem dostrzegł jakieś poruszenie. Jedno z okien na parterze, w pobliżu kuchni, otworzyło się i ktoś pomachał mu żółtym kawałkiem materiału, ale Michael nie zdążył dostrzec postaci.

Zawrócił ponownie i tym razem zniżył lot tak bardzo, że koła samolotu niemal otarły się o kamienny murek okalający ogródek warzywny Anny. Zobaczył głowę okoloną gęstymi, ciemnymi włosami i wyraźne oczy. Nie mógł się mylić, w oknie stała Centaine. Wychyliwszy się jak najdalej krzyczała coś do niego i machała żółtym szalem, który miała na sobie w dniu wizyty u Seana Courteneya.

Kiedy Michael poderwał maszynę i otworzywszy przepustnicę zaczął szybko nabierać wysokości, czuł się jak nowo narodzony. Nastrój obojętnego spokoju znikł bez śladu a na jego miejsce pojawiło się uczucie radości i siły. Widział ją i teraz nie mogło mu się przydarzyć nic złego.

— To był Michael! — krzyknęła radośnie Centaine, odwracając się do siedzącej na łóżku Anny. — Widziałam go, Anno, jestem pewna, że go widziałam. On jest taki przystojny! Przyleciał mnie odszukać mimo zakazu ojca!

Twarz niańki poczerwieniała z niechęci.

— To zły znak, kiedy pan młody widzi swoją oblubienicę w dniu ich ślubu.

— Och, bzdury, Anno, czasami opowiadasz takie nedorzeczności. Anno, on jest taki piękny!

— Ty nie będziesz wyglądać równie pięknie, jeśli nie skończymy przed wieczorem.

Centaine wygładziła spódniczki i usiadła obok na łóżku. Położyła sobie na kolanach koronkową suknię ślubną koloru kości słoniowej, podniosła do góry igłę i przymrużyła oko, żeby ją nawlec.

— Zdecydowałam, że będę miała tylko synów — oznajmiła, podejmując pracę przy trenie. — Co najmniej sześciu synów i ani jednej córki. Dziewczęta mają takie nudne życie, nie chcę, żeby moje dzieci spotkało takie nieszczęście.

Wykonała kilka ruchów igłą i znowu się zatrzymała.

— Anno, jestem taka szczęśliwa i podniecona. Myślisz, że generał przyjedzie na nasz ślub? Kiedy ta głupia wojna wreszcie się skończy i będziemy mogli pojechać do Afryki?

Słuchając jej paplaniny, Anna odwróciła lekko głowę, żeby ukryć uśmiech.

Żółty SE5a z łatwością wzbijał się w miękkie szare niebo. Michael wypatrzył przerwę w niższej powłoce chmur, przemierzył ją jednym potężnym skokiem i znalazł się w czystym korytarzu powyżej. W górze nad nim ciągnęła się druga warstwa gęstych chmur, ale poniżej powietrze było kryształowo przejrzyste. Gdy wysokościomierz pokazał dwa i pół tysiąca metrów, Michael wyrównał lot. Znajdował się pośrodku, między obiema warstwami chmur, ale w dziurach w niższej mógł wypatrzeć znaki orientacyjne.

Wioski Cantin i Aubigny-au-Bac wyglądały jak opustoszałe, porozrywane bombami szkielety miejscowości. Zaledwie kilka kominów przetrwało fale wojny rozbijające się nad tą ziemią. Wystawały z błotnistej, poszarpanej ziemi niczym pomniki nagrobne.

Obie wioski były oddalone od siebie o sześć kilometrów. Droga, która kiedyś je łączyła, została dosłownie starta z powierzchni ziemi, a linia frontu wiła się przez brązowe pola niczym żmija. Leje po bombach, wypełnione stojącą wodą, mrugały do Michaela niczym pokryte bielmem oczy ślepców.

Michael sprawdził czas na zegarku. Brakowało czterech minut do szesnastej. Jego oczy same ponownie zaczęły bacznie przeszukiwać niebo. Podniósł najpierw jedną, a następnie drugą dłoń z drążka kontrolnego, żeby rozprostować ręce, jednocześnie przebierając palcami w butach — niczym biegacz rozluźniający się przed wystrzałem pistoletu startowego. Następnie sięgnął obiema rękami ku spustowi karabinu maszynowego, chcąc sprawdzić wyważenie maszyny, i przez chwilę SE5a leciał nie kierowany, nie zbacząc przy tyrii z kursu. Wystrzelił próbną serię z obu karabinów, skinął z zadowoleniem głową i dmuchnął na prawą dłoń w grubej rękawicy.

— Muszę się napić — powiedział do siebie i wyjął z kieszeni srebrną piersiówkę Andrew.

Pociągnął głębszy łyk, przepłukał sobie usta i dopiero wtedy przełknął alkohol. Poczł w żyłach przyjemne ciepło, ale opanował pokusę wypicia jeszcze jednego drinka. Zakręcił korek i wrzucił, flaszkę do kieszeni. Dotknął lewego steru, żeby rozpocząć skręt prowadzący go nad wyznaczony sektor, i w tej samej chwili dostrzegł czarny pyłek na szarym materacu chmur. Powstrzymał zakręt i mrugając oczyma, sprawdził własne ustawienie.

Obca maszyna znajdowała się na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, dokładnie tej samej co on, i zbliżała się z dużą szybkością od północy, od strony Douai. Michael poczuł, jak adrenalina miesza mu się w żyłach z alkoholem. Paliły go policzki i czuł ucisk w żołądku. Otworzył przepustnicę i podążył na spotkanie wroga.

Połączona szybkość obu maszyn błyskawicznie zbliżała je do siebie, tak że niemiecki samolot zdawał się rosnać w oczach Michaela. Widział już jasnoniebieski dziób maszyny, mgiełkę powietrza w miejscu śmigła i szerokie, czarne, wyciągnięte niczym u jastrzębia skrzydła. Dostrzegł także okrytą hełmem głowę pilota wystającą spomiędzy dwóch karabinów umieszczonych na pokrywie silnika przed kokpitem i błysk gogli, gdy Niemiec nachylił się, żeby spojrzeć w celownik.

Michael otworzył do końca przepustnicę i silnik ryknął gniewnie. Palcami lewej ręki trzymał drążek sterowy, manewrując nim niczym doświadczony malarz operujący pędzlem, gdy naprowadzał koncentryczne koła celownika na maszynę wroga, a prawą ręką sięgnął ku spustowi karabinu.

Czuł, że gniew i nienawiść rosły w nim równie szybko, jak zbliżająca się niemiecka maszyna i postanowił wstrzymać ogień. W głowie ruszył mu bitewny zegar, czas zaś zwolnił swój bieg. Michael widział, jak lufy spandauów błyskają ku niemu ogniem, mrugając czerwono niczym Mars na bezkłęzycowym niebie. Wycelował broń w głowę Niemca i nacisnął spust. Samolot zaczął drgać pobudzony rytmicznym terkotem obu karabinów.

Michaelowi nawet nie przyszło przez myśl, żeby przerwać atak prowadzący go wprost na wrogi samolot. Obchodziło go w tej chwili jedynie to, by odnaleźć cel i nakierować strumień pocisków na twarz Niemca, żeby wypruć mu oczy i rozerwać mózg na strzępy. Słyszał, jak kule ze spandauów dziurawią materiał skrzydeł i metal obudowy, świstają mu coraz bliżej głowy niczym chmara szarańczy i zupełnie je ignorował.

Jego własne pociski wyrwały białe drzazgi z wirującego śmigła „Albatrosa” i w narastającym gniewie Michael zorientował się, że strzela zbyt nisko. Oba samoloty były już tak blisko siebie, że jeszcze chwila i wpadną na siebie. Michael zapał się nogami, oczekując wstrząsu, ale nie zdjął palca ze spustu i nie zrobił nic, żeby uniknąć kolizji.

„Albatros” poderwał skrzydło gwałtownie do góry, unikając w ostatniej chwili zderzenia i położył się na boku, gdy Niemiec wykonał desperacki skręt. Rozległ się ogłuszający trzask i SE5a zatrzęsł się potężnie, kiedy skrzydła obu samolotów otarły się przy mijaniu. Michael spostrzegł oddarty kawałek materiału powiewający na końcu skrzydła. Kopnął mocno ster, wprowadzając maszynę w płaski skręt, do jakiego jedynie SE5a był zdolny, poczuł, jak skrzydła naprężają się maksymalnie, i już leciał w przeciwnym kierunku. Wróg był na wprost niego, wciąż jednak poza

zasięgiem strzału.

Michael pchnął z całej siły zawór przepustnicy, ale była już maksymalnie otwarta i silnik pracował na pełnej mocy, a tamten wciąż się oddalał.

Niemiec skręcił w lewo i poleciał w górę, Michael zaś podążył za nim. Wspinali się po coraz bardziej stromej drodze, wznosząc się niemal pionowo i tracąc przy tym szybkość, tyle że SE5a szybciej zwalniał i Niemiec coraz bardziej się oddalał.

To nie jest zwyczajny „Albatros” — Michael uświadomił sobie z przerażeniem, że przemieszczenie chłodnicy nie jest jedyną modyfikacją, jakiej dokonali Niemcy. Walczył teraz z zupełnie nowym samolotem, doskonalszym, szybszym i silniejszym niż jego SE5a.

Michael zobaczył, jak pocięte czarno-białą szachownicą skrzydła zataczają łuk, a osłonięta hełmem głowa Niemca wychyla się, żeby spojrzeć na niego we wstecznym lusterku. Michael chciał naprowadzić karabin na tamtego i przesunął w bok dziób samolotu, patrząc, jak koła celownika nachodzą na wroga.

Niemiec przewrócił „Albatrosa” w połączony z nagłym spadkiem skręt i rzucił się w czołowym ataku na SE5a, błyskając czerwienią z karabinów maszynowych, i tym razem Michael musiał zejść mu z drogi, gdyż nieprzyjaciel miał przewagę wysokości i szybkości.

Na chwilę SE5a zawisł w powietrzu podczas skrętu i przeciwnik wykorzystał ten ułamek sekundy, żeby wykonać okrążenie i zejść go od tyłu. Michael uświadomił sobie, że niemiecki pilot jest bardzo dobry, i poczuł, jak strach wykręca mu jelita. Spuścił gwałtownie dziób samolotu w dół, żeby nabrać szybkości, i jednocześnie wprowadził maszynę w pionowy skręt. „Albatros” podążył za nim i oba samoloty zaczęły krążyć wokół siebie niczym dwie planety wirujące wokół wspólnego środka.

Michael spojrzał na przeciwnika; musiał się przy tym wychylić z kokpitu, gdyż oba samoloty leciały niemal dotykając się końcami skrzydeł. Przez chwilę patrzył na gogle, nadające tamtemu pilotowi nieludzki, monstrualny wygląd, ale nagle baczny wzrok Michaela przyciągnął malutki, poruszający się punkt i przeniósł spojrzenie ku wysokiemu pułapowi szarych chmur.

Serce przestało mu bić na moment, a krew zdawała się krzepnąć w żyłach — zaraz jednak zaskoczyło i pogalopowało jak wystraszone zwierzę, a oddech z sykiem przedarł się przez gardło.

„Mam zaszczyt poinformować Pana i jednocześnie przestrzec, napisał Niemiec, że celem wojny jest zniszczenie przeciwnika za wszelką cenę”.

Michael sam czytał tę przestrożę, ale dopiero teraz zaczynał ją pojmować. Wykorzystali kretyńsko-romantyczne pojęcie pojedynku, aby zwabić go w śmiertelną pułapkę. Niczym dziecko sam oddał się w ręce wrogów. Podał im czas i miejsce, nawet wysokość. Błękitna maszyna posłużyła im jedynie jako przynęta. Michael był zdumiony własną naiwnością, gdy patrzył, jak chmara samolotów spada ku niemu z góry.

Ile ich jest? Nie miał czasu na liczenie, ale na pierwszy rzut oka mógł poznać, że leci na niego cały oddział nowych „Albatrosów” — co najmniej dwadzieścia maszyn, błyskających wesoło jaskrawymi kolorami na tle ciemnego i ponurego nieba.

Zdaje się, że nie dotrzymam obietnicy danej Centaine, pomyślał i spojrzał w dół. Niska warstwa chmur rozciągała się siedemset metrów pod nim niczym nieosiągalny raj, ale Michael nie miał innej szansy. Nie mógł walczyć z dwudziestoma doświadczonymi pilotami, nie przeżyłby nawet kilku sekund, gdyby go dopadli, a chmara wrogów zbliżała się z nieubłaganą szybkością, podczas gdy błękitna maszyna trzymała go i wystawiała na śmiertelny cios.

Nagle, gdy w twarz zajrzała mu śmierć, której sam szukał, Michael z całej siły zapragnął żyć. Do tej pory przyciągał drążek sterowania do siebie, aby wykonywać coraz ciasniejsze skręty, teraz

jednak pchnął go z całej siły do przodu i poczuł, że wylatuje w powietrze niczym kamień wystrzelony z procy.

Powstrzymały go pasy bezpieczeństwa i opanował potężną maszynę, wykorzystując osiągnięty impet, żeby zanurkować niemal pionowym lotem, podnosząc żołądek do gardła, w stronę niskich chmur. Nagły manewr zastał Niemca zupełnie nie przygotowanego, ale pilot błyskawicznie się pozbierał i w mgnieniu oka błękitny „Albatros” pędził za Michaeliem, podczas gdy chmara wielobarwnych samolotów szybko ich doganiała.

Michael obserwował wrogów w lusterku, uświadamiając sobie, o ile znacznie szybszy jest nowy typ „Albatrosa” w locie nurkującym. Spojrzał w stronę chmur. Szare zwały, które kilka sekund temu wydawały się tak zimne i nieprzyjazne, teraz były jego jedyną szansą ratunku. Teraz, gdy rzucił się do ucieczki, wrócił przeraźliwy strach i wpił się weń niczym straszny wampir wysysający całą odwagę i męstwo.

Nie uda mu się, dopadną go, zanim osiągnie schronienie — i Michael ścisnął kurczowo drążek sterowniczy, sparaliżowany obezwładniającym przerażeniem.

Obudził go terkot spandauów. We wstecznym lusterku zobaczył tańczące w powietrzu czerwone rozbłyski, tak blisko niego, i nagle coś go uderzyło z obezwładniającą siłą nisko w plecy. Siła trafienia pozbawiła Michaela na chwilę oddechu i uświadomił sobie, że musi natychmiast zejść z linii strzału błękitnego „Albatrosa”.

Pchnął z całej siły drążek sterowniczy, zamierzając wykonać płaski skręt, który wyprowadziłby go wprost na przeciwnika, ale leciał ze zbyt dużą szybkością, kąt nachylenia był zbyt wielki i SE5a nie zareagował na ten manewr. Samolot przechylił się i wykonał skręt, który ustawił go bokiem do ścigających i mimo że błękitny „Albatros” chybił, pozostałe samoloty rzuciły się na przeciwnika, zmieniając się co ułamek sekundy na pozycji atakującej. Niebo wypełniło się migającymi skrzydłami i kolorowymi kadłubami maszyn. Nieustający łoskot wystrzałów stał się nie do zniesienia i SE5a opuścił skrzydło i runął w dół korkociągiem.

Niebo, chmury i fragmenty ziemi przeplatały się z barwnymi „Albatrosami” i ich nieustannie błyskającymi karabinami, migocząc Michaelowi przed oczyma z oszałamiającą szybkością. Poczł kolejne uderzenie, tym razem w udo, tuż poniżej krocza. Spojrzał w dół i zobaczył, że kula przebiła spód maszyny i, zdeformowana, wyrwała mu dziurę w udzie. Z rany tryskały strugi jasnej tętniczej krwi. Michael widział kiedyś zuluskiego tropiciela, poharatanego przez bawołu, który wykrwawił się na śmierć z rany w arterii udowej; mężczyzna zmarł w ciągu trzech minut.

Strugi pocisków schodziły się na jego maszynie ze wszystkich stron, a Michael nie mógł się bronić. Utracił panowanie nad samolotem, który wirował w powietrzu, podrywając szaleńczo dziób do góry, by zaraz go opuścić gwałtownie w dół.

Michael nie przestawał walczyć z maszyną, wciskając na przemian to jeden, to drugi pedał steru, starając się wyprowadzić ją z korkociągu, i przy każdym wysiłku krew coraz silniej tryskała z rany, a on czuł już pierwsze zawroty głowy spowodowane osłabieniem. Zdjął rękę z drążka sterowniczego i wcisnął kciuk w ranę, szukając odpowiedniego miejsca na ucisk. Znalazł je przypadkiem i strumień jasnej krwi natychmiast zmałał.

Znowu spróbował opanować maszynę, pchając drążek do przodu, aby powstrzymać ją przed podrywaniem dzioba w górę i otwierając jednocześnie przepustnicę, żeby wyprowadzić samolot z korkociągu. SE5a zareagował niechętnie i Michael starał się nie myśleć o karabinach maszynowych, które waliły w niego ze wszystkich stron.

Chmury i ziemia przestały wirować mu przed oczyma, gdy obroty samolotu straciły na sile i wreszcie wyrównał lot nurkowy. Ciągnąc jedną ręką drążek, podniósł dziób maszyny, czując, jak'

bardzo obciążone są skrzydła i jak przeciążenie rozciąga mu żołądek, ale przynajmniej ziemia odchyliła się do tyłu i samolot Wyszedł na prosty kurs.

Michael spojrział w lusterko i zobaczył, że błękitny wróg znowu go odnalazł i szybko zbliża się od tyłu, żeby zadać ostatni cios.

Zanim tamten zdążył otworzyć ogień, Michael poczuł zimne, wilgotne powietrze owiewające mu twarz, gdy szare smugi chmur przemknęły nad otwartym kokpitem i po chwili znalazł się w mrocznym świecie rozproszonego światła, cichym i stonowanym, gdzie żaden spandau nie mógł zakłócić milczenia chmur swoim terkotem. Tutaj wrogowie nie mieli szansy go znaleźć.

Jego oczy automatycznie zatrzymały się na małych szklanych fiolkach wypełnionych gliceryną, umieszczonych na desce rozdzielczej.

Ostrożnymi poruszeniami drążka sterowniczego wyrównał bąbelki, żeby znalazły się pomiędzy wyznaczonymi kreskami. Teraz samolot leciał prosto i poziomo. Następnie Michael wykonał łagodny skręt kierując się według kompasu na Mort Homme.

Czuł, że zbiera mu się na nudności — była to pierwsza reakcja na paniczny strach i stres wywołany walką. Przełknął ślinę, starając się powstrzymać wymioty, i w tej chwili ponownie ogarnęła go przemożna słabość. Miał wrażenie, że w jego czaszce ukrył się nietoperz; czarne miękkie skrzydła trzepotały mu w oczach, a latające plamy ograniczały widoczność.

Zamrugnął powiekami i spojrział na nogę. Jego kciuk wciąż tkwił w ranie i Michael był pewien, że jeszcze nigdy nie widział tyle krwi. Miał nią pokrytą całą rękę, a palce lepiły mu się od krzepnącego płynu. Rękaw kurtki zdążył przesiąknąć już do łokcia, krew pokrywała też spodnie i ściekała do butów. Na podłodze dostrzegł również całą kałużę krwi, która szybko krzepła w grudy przypominające powidła z czarnych porzeczek i przy każdym ruchu samolotu ściekała strumykami na boki.

Michael puścił drążek, pochylił się do przodu, opierając się na pasach bezpieczeństwa, i pomacał się ostrożnie po plecach. Znalazł drugą ranę, pięć centymetrów w bok od kręgosłupa i tuż nad miednicą. Po drugiej stronie nie było rany wylotowej; kula nadal tkwiła w ciele i był pewien, że ma wewnętrzny krwotok. Czuł dziwne napięcie i opuchnięcie w brzuchu zalewanym przez krew.

Samolot opuścił skrzydło; Michael chwycił drążek, żeby wyrównać lot, ale potrzebował wielu sekund, by wykonać nawet najprostszą czynność. W palce kłuły go tysiące igiełek i było mu bardzo zimno. Jego reakcje stawały się coraz powolniejsze i każdy, nawet najmniejszy ruch wymagał olbrzymiego wysiłku.

Nie czuł jednak bólu, a jedynie odrętwienie, które rozpościerało się od krzyża do kolan. Wyjął palec z rany, żeby przyjrzeć się dokładniej dziurze w nodze, i natychmiast w powietrze wystrzelił strumień krwi, jasnej jak pióra flamingów, a Michael pośpiesznie wepchnął kciuk z powrotem do rany i skoncentrował się na przyrządach.

Jak daleko do Mort Homme? Starał się to obliczyć w pamięci, ale umysł miał zbyt wyczerpany i ospały. Dziewięć minut od Cantin, przypomniał sobie; jak długo już leci? Nie miał pojęcia i obrócił nadgarstek, żeby spojrzeć na zegarek. Musiał policzyć kolejne przedziały na cyferblacie jak dziecko.

Nie mogę zbyt szybko opuścić chmur, gdyż będą na mnie czekać, pomyślał z trudem. Cyferblat zdawał się dwoić mu przed oczyma.

Mam przywidzenia, uświadomił sobie Michael.

Spojrzał szybko przed siebie — srebrne chmury piętrzyły się przed nim i miał wrażenie, że spada. Już chciał szarpnąć drążek, żeby powstrzymać upadek, ale wyćwiczony instynkt pilota przeważał i Michael sprawdził bąbelki na sztucznym horyzoncie — wszystkie znajdowały się w jednym rzędzie. Wyglądało na to, że zawodzą go zmysły.

— Centaine — powiedział nagle — która godzina? Spóźnię się na ślub.

Poczuł, jak przez ogłupiającą słabość przenika strach i skrzydła ciemności szybciej zaczęły trzepotać mu przed oczyma.

Obiecałem jej. Dałem słowo!

Spojrzał na zegarek. Sześć po czwartej — to niemożliwe, pomyślał w panicznym lęku. Cholerny zegarek, zepsuł się. Michael zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością.

SE5a wyleciał z chmur w jedną z dziur w powłoce.

Michael podniósł do oczu rękę, żeby osłonić je przed blaskiem słońca, a następnie rozejrzał się wokół.

Leciał w kierunku lotniska — rozpoznał drogę, linię kolejową i dzielące je pole w kształcie gwiazdy. Jeszcze sześć minut lotu, obliczył w myślach. Widok ziemi zdawał się przywracać go do rzeczywistości. Mając oparcie w realnym świecie, spojrzał w górę. Dojrzał tamtych, jak krążą niczym sępy nad powaloną przez lwy ofiarą i czekają, aż wyłoni się z chmur. Niemcy także go spostrzegli — zobaczył, jak kierują się w tę stronę na skrzydłach o barwach tęczy — ale wlatywał już w szare chmury po drugiej stronie otworu. Ogarnęły go zimne i wilgotne bałwany, kryjąc samolot przed okrutnymi czynami niemieckich pilotów.

— Muszę dotrzymać obietnicy — wymamrotał.

Utrata kontaktu wizualnego z ziemią zdezorientowała Michaela. Miał zawroty głowy, pozwolił maszynie opuścić się przez grubą warstwę chmur i ponownie wyleciał na słońce. Pod nim rozciągał się znajomy krajobraz, daleko w tyle zostały wzgórza i linia frontu, a przed nim wyrastały lasy, wioska i iglica kościoła, przepojone spokojem i idylliczne.

Centaine, wracam do domu, pomyślał i poczuł okrutne zmęczenie, które swym naporem niemal wgniotło go w fotel. Podniósł z wysiłkiem głowę i zobaczył przed sobą pałacyk. Różowy dach był niczym drogowskaz, który ściągał go ku sobie, i dziób samolotu niemal samodzielnie skręcił w tę stronę.

— Centaine — wyszeptał Michael. — Już idę, poczekaj na mnie, już idę.

Ogarnęła go zupełna ciemność, jakby zapadał się w głęboki tunel; w uszach miał okropny huk, niczym szum fal słyszanych w muszli morskiej. Wytężył resztki sił i skoncentrował się na słabym światełku w ciemnościach wokół siebie, rozglądając się za ukochaną twarzą i wsłuchując się w ogłuszający łoskot, czy nie usłyszy jej głosu.

— Centaine, gdzie jesteś? O Boże, gdzie jesteś, kochanie?

Centaine stała przed olbrzymim lustrem oprawionym w złoconą ramę i przyglądała się własnemu odbiciu poważnym wzrokiem.

— Jutro będę już panią Michaelową Courteney — powiedziała uroczyście. — Nigdy już nie będę Centaine de Thiry. Anno, czy to nie jest piękne? — Dotknęła skroni. — Myślisz, że będę się czuła jakoś inaczej? Z pewnością takie wydarzenie musi mnie zmienić. Na pewno nie będę tą samą osobą!

— Obudź się, dziecko. — Anna szturchnęła ją lekko. — Czeka nas jeszcze mnóstwo roboty. To nie jest czas na marzenia.

— Uniosła do góry falbaniastą sukienkę i założyła ją Centaine przez głowę, a następnie zawiązała z tyłu pasek.

— Anno, chciałabym wiedzieć, czy mama przygląda mi się teraz z góry. Czy wie, że noszę jej suknię i czy raduje się moim szczęściem?

Anria stęknęła ciężko, klękając przed nią na podłodze, żeby sprawdzić tren sukni. Centaine wygładziła delikatną starą koronkę na biodrach i wsłuchiwała się w stłumione odgłosy męskiego śmiechu dobiegające z grand salon na parterze.

— Jestem taka szczęśliwa, że generał mógł przyjechać na nasz ślub. Anno, czyż nie jest to naprawdę przystojny mężczyzna — zupełnie jak Michael! Te oczy — czy zwróciłaś na nie uwagę?

Anna znowu chrząknęła, tym razem bardziej stanowczo. Na chwilę ręce jej znieruchomiały, gdy pomyślała o generale.

To prawdziwy mężczyzna, zawyrokowała patrząc, jak Sean Courteney wysiada z rollsa i wchodzi po schodach do domu.

— Wygląda tak wspaniale w mundurze i z tymi wszystkimi medalami — mówiła dalej Centaine. — Kiedy Michael będzie starszy, każę mu zapuścić taką brodę. Ile w nim dostojeństwa...

Z salonu dobiegł ich kolejny wybuch śmiechu.

— Generał i tatuś przypadli sobie do gustu, nie sądzisz? Tylko ich posłuchaj!

— Mam nadzieję, że zostawią trochę koniaku dla pozostałych gości — mruknęła Anna i podniosła się ciężko z podłogi. Zamarła na chwilę z ręką na plecach, gdy przysła jej do głowy ważna myśl.

— Powinnyśmy wyjąć raczej tę niebieską zastawę drezdeńską niż Sevres. Bardziej by pasowała do róż.

— Mogłaś o tym pomyśleć wczoraj — przerwała jej szybko Centaine. — Nie mam zamiaru zmieniać teraz wszystkiego.

Obie panie poświęciły cały poprzedni dzień i większą część nocy, żeby wyszykować grand salon, który stał zamknięty od czasu, gdy opuściła ich służba. Zastłony zrobiły się sztywne od kurzu, a sufit tak gęsto pokrywały pajęczyny, że nie widać było zdobiących go mitologicznych scen.

Kiedy skończyły ze sprzątaniami, kichając od kurzu i ocierając zaczerwienione oczy, wzięły się za srebra, pociemniałe i pokryte plamami od długiego leżenia. Następnie każda część czerwono-złotego serwisu obiadowego z Sevres musiała być wyszorowana i wytarta do sucha. Księżę, mimo swoich gorących protestów: „Żeby weteran spod Sedanu i żołnierz Napoleona III musiał wykonywać robotę lokaja!”, został także zapędzony do zmywania.

Wreszcie wszystkie przygotowania zostały ukończone. Salon odzyskał dawną świetność, podłoga z kolorowej klepki lśniła od wosku, na sklepieniu sufitu tańczyły nimfy, goniły się bogirtki i brykały fauny, srebro błyszczało w świetle kandelabrow, a najpiękniejsze róże z ogródka Anny pyszniły się w kryształowych wazonach.

— Trzeba było przygotować więcej pasztetów — martwiła się Anna. — Ci żołnierze są pewnie głodni jak wilki.

— To nie są żołnierze tylko lotnicy — poprawiła ją Centaine. — Mamy dosyć jedzenia, żeby nakarmić całą armię, a co dopiero jedną eskadrę... — Centaine urwała. — Posłuchaj, Anno!

Anna podeszła do okna i wyjrzała na dziedziniec.

— To oni! — oznajmiła. — Tak wcześnie! — Obdrapana, brązowa ciężarówka na wysokich i wąskich kołach toczyła się niezgrabnie z terkotem po wyżwirowanej alejce. Z tyłu stłoczyli się wolni od służby oficerowie z eskadry Michaela, a siedzący za kierownicą adiutant, z nieodstępną fajką w kąciku ust, z przerażoną miną prowadził wóz po wyboistej drodze, od jednego krawężnika do drugiego, zachęcany głośnymi okrzykami przez swoich pasażerów.

— Czy zamknęłaś spiżarnię? — zapytała niespokojnie Anna. — Jeśli ta banda dorwie się do jedzenia, zanim podamy do stołu...

Anna zwerbowała do pomocy wszystkie sąsiadki z wioski, które nie uciekły do miasta przed wybuchem wojny, w wyniku czego spiżarnia była wypełniona po brzegi zimnymi pasztetami i ciastami, wspaniałymi miejscowymi szynkami, szarlotkami, wieprzowymi nóżkami z truflami i tuzinem innych smakołyków.

— Z pewnością nie przyjechali tak wcześnie, żeby się najeść. — Centaine także podeszła do okna. — Tatuś ma klucze od stryżku. Na pewno zajmie się gośćmi.

Ojciec już schodził po schodach. Kierowca zahamował z taką werwą, że dwóch pasażerów wylądowało w płataninie nóg i rąk na przednim siedzeniu.

— A niech to! — zawołał adiutant, najwidoczniej uradowany, że wreszcie mógł się zatrzymać. — To pan musi być tym wesołym księciem, co? Jesteśmy awangardą, jak to się mówi po francusku, le d'avant garde, rozumie pan?

— Ależ oczywiście! — Księżę schwycił go za rękę. — Nasi dzielni sprzymierzeńcy. Witam pięknie! Witamy! Czy mogę panom zaoferować szklaneczkę czegoś na orzeźwienie?

— Widzisz, Anno? — Centaine uśmiechnęła się do niej, odwracając się od okna. — Nie ma potrzeby się martwić. Świetnie się rozumieją. Twoje jedzenie jest bezpieczne, przynajmniej na razie.

Wzięła welon z łóżka, założyła go na głowę i przyjrzała się sobie w lustrze.

— To będzie najszcześniejszy dzień w moim życiu — szepnęła do swojego odbicia. — Nic nie może go zepsuć.

— I nic nie zepsuje, kochanie. — Anna podeszła od tyłu i ułożyła zwiewny materiał na jej ramionach. — Jesteś najpiękniejszą panną młodą; co za szkoda, że nie będzie nikogo z sąsiadów, żeby mogli cię podziwiać.

— Dosyć tego, Anno — powiedziała Centaine zdecydowanie. — Żadnych narzekań. Wszystko jest tak, jak być powinno. I tak niczego bym nie pozwoliła zmienić.

Podniosła lekko głowę.

— Anno! — Jej twarz ożywiła się nagle.

— Co się stało?

— Słyszysz? — Centaine odwróciła się od lustra. — To on. To Michael. Leci tu do mnie.

Podbiegła do okna i nie mogąc się pohamować, zaczęła podskakiwać z radości jak mała dziewczynka przed sklepem z zabawkami.

— Słuchaj! Nadlatuje tu!

Rozpoznała wyraźny warkot silnika, którego tyle razy nasłuchiwała.

— Nic nie widzę. — Anna stanęła za nią i mrużąc oczy, przyglądała się chmurom.

— Musi lecieć bardzo nisko — zaczęła Centaine. — Tak! Tam! Tam jest, tuż nad lasem!

— Widzę go. Czy kieruje się do lądowiska w sadzie?

— Nie, nie przy tym wietrze.. Chyba leci prosto do nas.

— Czy to na pewno on? Jesteś pewna?

— Oczywiście, że tak — czy nie widzisz koloru samolotu? Mon petit jaune!

Pozostali także usłyszeli już samolot. Spod okna dochodziły ożywione głosy, a kilkunastu gości weselnych wyszło przez francuskie drzwi z salonu na taras. Przodem szedł Sean Couneney w mundurze generała brytyjskiej armii, a obok niego księżę wyglądający jeszcze wspanialej w odświętnym niebieskim, szamerowanym złotem mundurze pułkownika piechoty Napoleona III. Wszyscy mieli w rękach kieliszki i mówili podnieconymi, radosnymi głosami.

— To z pewnością Michael! — zawołał ktoś. — Założę się, że zamierza pokazać nam kilka swoich sztuczek. Zobaczycie, że zedrze dach pałacyku przy przelocie!

— To musi być zwycięski przelot, biorąc pod uwagę, jaka go czeka nagroda.

Centaine śmiała się razem z nimi i chciała klasnąć w ręce, patrząc na nadlatującą żółtą maszynę — nagle jej ręce opadły, zanim zdążyły się zetknąć.

— Anno — powiedziała — coś jest nie w porządku.

Samolot znajdował się już dostatecznie blisko, żeby można było zobaczyć, jak nierówno leci:

jedno skrzydło opadło, maszyna zboczyła z kursu i pochyliła się ku drzewom, by zaraz poderwać się ku górze, zachybotać przez chwilę w powietrzu i opuścić drugie skrzydło.

— Co on robi? — Ton głosów na tarasie zmienił się w jednej chwili. — Mój Boże, chyba ma kłopoty... chyba...

SE5a skręcił bezsensownie, przechylając się na jedno skrzydło, ukazując oczom zebranych podarte skrzydła i podziurawiony kadłub. Samolot wyglądał niczym szczątki ryby zaatakowanej przez rekiny.

— Trafili go! — krzyknął jeden z pilotów.

— Rany, ale mu się dostało!

SE5a skręcił zbyt ostro, dziób samolotu opadł w dół i niemal zawadził o korony drzew.

— Będzie próbował awaryjnego lądowania!

Jeden z oficerów przeskoczył murek okalający taras i popędził na trawnik, dając rozpaczliwe znaki Michaelowi.

— Michael, tędy!

— Podnieś ją, człowieku!

— Za nisko! — jęknął inny pilot. — Spadnie ci! Dodaj gazu! Otwórz przepustnicę!

Piloci wykrzykiwali daremne rady jeden przez drugiego, a zraniona maszyna skierowała się ciężko w stronę trawnika.

— Michael — wyszeptła zmartwiała Centaine, mnąc koronkę pomiędzy palcami i nawet nie czując, jak drze delikatny materiał. — Chodź do mnie, Michael.

Został jeszcze tylko jeden rząd drzew broniących dostępu do trawników — starych buków, na których poskręcanych gałęziach właśnie otwierały się pierwsze paki listków.

Żółty SE5a opuścił się za nimi i urywany terkot silnika przycichł na chwilę.

— Poderwij ją, Michael!

— W górę! Cholera!

Teraz wszyscy krzyczeli i Centaine przyłączyła się do ich próśb:

— Proszę, Michael, przeleć nad drzewami. Chodź do mnie, kochanie.

Silnik ryknął z całej siły i zobaczyli, jak żółta maszyna wzbija się w górę niczym gigantyczny bażant wylatujący z ukrycia.

— Uda mu się!

Przód był zbyt wysoko, wszyscy to widzieli: wydawało się, że s maszyna zawisła nad nagimi konarami, które wyciągały się ku niej niczym macki ośmiornicy — i żółty dziób opuścił się w dół.

— Przeleciał! — zakrzyknął triumfalnie jeden z pilotów, ale koła samolotu zawadziły o grubą, wywiniętą gałąź, SE5a wykonał koziołka w powietrzu i poleciał na dół.

Samolot uderzył dziobem w miękką ziemię na skraju pola, wirujące śmigło eksplodowało w strumieniu białych drzazg i przy trzasku drewnianych części kadłuba maszyna zapadła się, jasnożółte skrzydła złożyły się wokół niej — i Centaine zobaczyła Michaela.

Był zalany krwią, która ściekała mu strugami po twarzy, głowę miał odrzuconą do tyłu; na wpół wychylony z kokpitu kołysał się na pasach bezpieczeństwa niczym wisielec.

Oficerowie z eskadry wysypali się na trawnik. Centaine zobaczyła, jak generał odrzuca szklaneczkę i z rozpędem przesadza murek. Pędził zdesperowanym, nierównym krokiem, okaleczona noga pozbawiała go widocznie równowagi, ale trwoga spowodowała, że wyprzedził większość młodych oficerów.

Pierwszy z nich niemal dopadł do rozbitego samolotu, gdy z niesamowitą szybkością maszynę ogarnęły płomienie. Ogień wyskoczył w górę z ogłuszającym rykiem — blade płomienie, ozdobione

na szczycie kłębamii czarnego dymu — a biegnący zawahali się, zatrzymali i zaczęli się cofać zasłaniając twarze rękami.

Sean Courteney przebił się przez nich i ruszył prosto w płomienie, nie bacząc na syczące, tańczące wokół fale żaru. W tym samym momencie czterech młodych pilotów rzuciło się za nim, schwycili go za ręce i ramiona i odciągnęli do tyłu.

Sean wrywał im się i walczył z taką siłą, że jeszcze trzech inni mężczyźni musieli podbiec, by pomóc go powstrzymać. Nie przestawał jednak krzyczeć i był to głęboki, gardłowy ryk niczym rannego bawołu. Starał się sięgnąć przez płomienie do mężczyzny uwięzionego w połamanym samolocie.

Nagle ryk ustał i Sean zwiotczał. Gdyby nie podtrzymywało go tyłu silnych ludzi, opadłby pewnie na kolana. Ręce mu zwisły i stał chwiejnie, patrząc na ścianę ognia.

Wiele lat wcześniej, w czasie wizyty w Anglii, Centaine przyglądała się z chorobliwą fascynacją, jak dzieci jej gospodarzy paliły kukłę angielskiego buntownika Guya Fawkesa na stosie w ogródku. Figurka była bardzo sprytnie skonstruowana i kiedy objęły ją płomienie, poczerniała i zaczęła kurczyć ręce i nogi jak prawdziwy człowiek. Przez następne tygodnie Centaine budziła się w nocy z przerażenia potem. Teraz, gdy przyglądała się przez okno pałacyku płonącej maszynie, usłyszała, że obok niej ktoś zaczyna przeraźliwie krzyczeć. Pomyślała, że to pewnie Anna. Był to krzyk krańcowego bólu i Centaine zaczęła się trząść niczym liść szarpany porywami wiatru.

To był ten sam koszmar, który kiedyś przeżywała. Nie mogła odwrócić wzroku, gdy płonąca postać poczerniała i zaczęła się kurczyć, a kończyny jej drgały spazmatycznie. Krzyk wypełnił głowę dziewczyny, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że to nie Anna krzyczy, tylko ona sama. Przeraźliwe wycie wydobywające się z jej ust przypominało jakąś ostrą substancję, niczym kawałki potłuczonego szkła, które rozdzierały jej gardło.

Poczuła, jak mocne ramiona Anny unoszą ją i odrywają od okna. Centaine walczyła z całych sił, ale Anna była dla niej zbyt silna. Położyła dziewczynę na łóżku i wcisnęła jej twarz w swoje miękkie piersi, tłumiąc dzikie krzyki. Kiedy wreszcie Centaine umilkła, Anna pogładziła ją po głowie i zaczęła kołysać, nucąc pod nosem jak kiedyś, gdy jej wychowanka była jeszcze dzieckiem.

Pochowali Michaela Courteneya na cmentarzu w Mort Homme w części przeznaczonej na grób rodziny de Thiry. Pochowali go jeszcze tej samej nocy, przy świetle lamp. Jego przyjaciele z eskadry wykopali grób, a ksiądz, który miał udzielić ślubu, odprawił pogrzeb.

— Ja jestem życie i zmartwychwstanie, powiedział Pan... Centaine stała, podtrzymywana przez ojca, w czarnej woalce zasłaniającej jej twarz. Anna wzięła ją opiekuńczo za drugą rękę.

Dziewczyna nie płakała. Kiedy już zamilkła, nie znalazła w sobie łez, zupełnie jakby jej dusza spaliła się na popiół w tych okropnych płomieniach.

— Nie pamiętaj grzechów i przewinień mojej młodości...

Słowa dobiegały z oddali, jakby mówiący je stał za jakąś zasłoną.

Michael był bez grzechu, pomyślała Centaine. W niczym nie przewinił, ale, tak, był zbyt młody. Och, Boże, był taki młody: Dlaczego musiał umrzeć?

Sean Courteney stał naprzeciw niej po drugiej stronie świeżo wykopanego grobu, a krok za nim stał murzyński służący i kierowca, Sangane. Centaine jeszcze nigdy nie widziała płaczącego Murzyna. Łzy lśniły na jego gładkiej skórze niczym krople rosy spływające po płatkach ciemnego kwiatu.

— Mężczyzna zrodzony z kobiety ma krótkie życie przed sobą i pełne bólu...

Centaine spojrzała w głęboki, grząski grób w ziemi, na prostą skrzynię zbitą z sosnowych desek w warsztacie eskadry i pomyślała: To nie jest Michael. To nie jest naprawdę. Śni mi się jakiś straszny koszmar. Zaraz się obudzę i Michael przyleci do mnie — ja zaś będę czekać z Nuage'em na

wzgórzu, żeby go przywitać.

Obudził ją ostry, nieprzyjemny odgłos. Generał podszedł do grobu, a jeden z oficerów podał mu szpadel. Grudy ziemi posypały się z głuchym odgłosem na wieko trumny i Centaine podniosła wzrok do góry, żeby na to nie patrzeć.

— Nie, Michael, nie tam w dole — szepnęła za gęstą woalką. — Nie należysz do tego miejsca. Dla mnie zawsze będziesz kimś z niebios, zawsze będziesz gdzieś tam w górze... — Po chwili dodała. — Au revoir, Michael, dopóki znowu się nie spotkamy, kochanie. Za każdym razem, gdy spojrzę w niebo, będę myśleć o tobie.

Centaine siedziała przy oknie. Kiedy założyła, koronkowy welon ślubny na ramiona, Anna chciała zaprotestować, ale powstrzymała się.

Anna siedziała obok niej na łóżku; obie milczały.

Z salonu dochodziły głosy mężczyzn. Ktoś krótko i bardzo źle grał na fortepianie, ale Centaine rozpoznała marsz żałobny Chopina. Piloci nucili cicho i wybijali rytm szklankami.

Centaine instynktownie pojęła, co się dzieje; że jest to ich własne, specjalne pożegnanie z jednym ze swoich kolegów, ale nic nie mogło jej poruszyć. Później usłyszała, jak głosy tamtych stają się dziwnie szorstkie. Byli już bardzo pijani i zdawała sobie sprawę, że to także należy do rytuału. Jeszcze później dobiegł ją śmiech — pijany śmiech podszyty smutkiem — a potem śpiewy, nierówne i ochryple, ale wciąż nic nie czuła. Siedziała z zupełnie suchymi oczami przy świeczce, patrząc na rozbłyśki ognia z pocisków na horyzoncie i słuchając śpiewów i odgłosów wojny.

— Powinnaś już się położyć, dziecko — powiedziała wcześniej Anna, delikatnie niczym matka, ale Centaine potrząsnęła tylko głową.

Anna nie nalegała więcej. Przycięła knot w lampie, rozpostarła kołdrę na kolanach Centaine i poszła na dół przynieść szynkę, kawałek ciasta i szklankę wina z salonu. Jedzenie i wino stało teraz nie ruszone na stoliku obok łokcia Centaine.

— Musisz coś zjeść, dziecko — szepnęła ostrożnie Anna, żeby się nie narzucać. Centaine obróciła do niej wolno głowę.

— Nie, Anno — powiedziała. — Nie jestem już dzieckiem. Ta część mnie umarła wczoraj razem z Michaeliem. Nie nazywaj mnie nigdy w ten sposób.

— Obiecuję ci, że już nie będę. Centaine wolno obróciła głowę do okna.

Zegar na wieży wybił drugą godzinę i niedługo później usłyszały, jak oficerowie wychodzą. Niektórzy z nich byli tak pijani, że zostali wyniesieni przez towarzyszy i wrzuceni na tył auta niczym worki z mąką. Wreszcie ciężarówka ruszyła z terkotem w noc.

Ktoś zastukał delikatnie w drzwi i Anna podniosła się z łóżka, żeby otworzyć.

— Nie śpi?

— Nie — szepnęła Anna.

— Czy mogę z nią rozmawiać?

— Proszę wejść.

Do pokoju wszedł Sean Courteney i stanął przy krześle, na którym siedziała Centaine. Czuć było od niego whisky, ale stał pewnie niczym kamienny głaz, a jego głos był niski i opanowany; mimo to Centaine wyczuła, że jest wnim jakaś ściana, która powstrzymuje rozpacz.

— Muszę cię już opuścić, moja droga — powiedział w afrikaans. Centaine podniosła się z łóżka — kołdra opadła jej z nóg — i stała okryta welonem, spoglądając mężczyźnie prosto w oczy.

— Pan jest jego ojcem — powiedziała.

Powstrzymująca ból ściana runęła, Sean zatoczył się i musiał schwycić się stołu, żeby nie upaść, patrząc na nią ze zdumieniem.

— Skąd wiesz? — wyszeptał i Centaine zobaczyła, jak rozpacz wynurza się na powierzchnię.

Poczuła, że w niej budzi się to samo i miesza z jego uczuciami. Do oczu napłynęły jej łzy, ramiona zaczęły drżeć. Sean otworzył ramiona i przytulił ją mocno. Przez długi czas żadne z nich nie mówiło, aż wreszcie szlochy ucichły i łzy przestały płynąć. Sean odezwał się pierwszy:

— Będę zawsze myślał o tobie jako o żonie Michaela i mojej córce. Jeśli będziesz potrzebować pomocy, cokolwiek by to było, musisz tylko dać mi znać.

Pokiwała głową, mrugając oczyma i cofnęła się o krok, gdy Sean wypuścił ją z objęć.

— Jesteś dzielna i silna — stwierdził. — Poznałem to, gdy pierwszy raz ujrzałem cię na oczy. Wyjdiesz z tego.

Odwrócił się i pokuśtykał do wyjścia. Kilka minut później usłyszała chrzęst kół na żwirowanej alejce, gdy rolls z wielkim Zulusem za kierownicą odjeżdżał spod domu.

O świcie Centaine znajdowała się już razem z Nuage'em na wzgórzu za pałacykiem i kiedy eskadra wyleciała na poranny patrol, dziewczyna stanęła w strzemionach i pomachała lotnikom na powitanie.

Mały Amerykanin, którego Michael nazywał Hank, prowadził zwiad i przelatując nad wzgórzem, zakołysał skrzydłami i pokiwał jej ręką. Centaine roześmiała się i także mu pomachała i kiedy śmiała się, po policzkach ściekały jej łzy, zimne niczym igiełki lodu w chłodnym porannym powietrzu.

Centaine i Anna pracowały cały ranek, żeby zamknąć salon: zasłaniały meble pokrowcami pakowały srebra i zastawę. Cała trójka zjadła śniadanie w kuchni — pasztety i szynki pozostałe z wczorajszego przyjęcia. Mimo że Centaine była śmiertelnie blada, miała podkrążone oczy i ledwo co skosztowała jedzenia, rozmawiała normalnie, omawiając prace, jakie czekały ich tego dnia. Ojciec i Anna przyglądali jej się ukradkiem z niepokojem, niepewni, jak potraktować ten nienaturalny spokój. Wreszcie, przy końcu posiłku, książę nie wytrzymał.

— Kochanie, czy wszystko w porządku?

— Generał powiedział, że dam sobie radę — odparła. — Muszę pokazać, że miał rację. — Wstała od stołu. — Anno, wrócę za godzinę, żeby ci pomóc.

Wzięła naręczę róż, które wyniosły z salonu, i poszła do stajni, a potem pojechała na Nuage'u do końca alejki. Mijając szereg żołnierzy ubranych w mundury koloru khaki, przygiętych pod plecakami i karabinami, słyszała wołania i sama się uśmiechała i machała, a oni spoglądali tęsknie za dziewczyną.

Przywiązała konia do bramy cmentarza i z naręczem kwiatów obeszła porośnięty mchem kamienny kościółek. Nad grobem de Thiry rozpościerał ciemnozielone gałęzie stary cis, a świeża mogiła była podeptana i wilgotna — przypominała jedną z grządek warzywnych Anny, tyle że nie tak zadbana.

Centaine przyniosła łopatę z komórki na końcu cmentarza i wzięła się do pracy. Kiedy skończyła, ułożyła róże i cofnęła się o krok. Przy pracy wybłocila sobie spódnice, a pod paznokciami miała ciemne ślady ziemi.

— Właśnie — powiedziała z satysfakcją. — Teraz wygląda to znacznie lepiej. Michael, jak tylko znajdę jakiegoś kamieniarza, zamówię nagrobek, a jutro przyjdę ze świeżymi kwiatami.

Tego popołudnia pracowała cały czas z Anną, z rzadka tylko podnosząc głowę od swoich zajęć czy odpoczywając. Przed wieczorem pojechała na pagórek, żeby pomachać wracającym lotnikom. Do bazy nie wróciły dwa samoloty i kiedy Centaine jechała o zmierzchu do domu, do swojej żałoby po Michaelu dołączyła żal z powodu śmierci dwóch pilotów.

Po obiedzie, gdy tylko Centaine pomogła Annie pozmywać naczynia, udała się do swego pokoiku. Była zmęczona i bardzo senna, ale ból, odsuwany przez cały dzień, zaatakował ją w ciemnościach i

wcisnęła twarz w poduszkę, żeby stłumić łkanie.

Jednak Anna, która najwyraźniej tego oczekiwała, usłyszała ją. Weszła do pokoju w plisowanym czepku nocnym, koszuli i ze świecą w dłoni. Zdmuchnęła płomyk świecy, wśliznęła się do łóżka Centaine i przytuliła ją, nucąc cicho kołysankę, dopóki dziewczyna nie zasnęła.

O świcie Centaine znowu była na wzgórzu i następne dni i tygodnie powtarzały się z monotonna jednostajnością, tak że czuła się uwięziona i bezwolna w swojej codziennej rozpacz. W tej rutynie zdarzały się drobne wyjątki: eskadrze przybyło kilkanaście nowych SE5a, w szarych, fabrycznych barwach, prowadzonych przez pilotów, których każdy manewr mówił wyraźnie, nawet takiemu laikowi jak Centaine, o braku doświadczenia. Jednocześnie z każdym dniem ubywało dobcze jej znanych kolorowych maszyn. Kolumny ludzi, sprzętu i dział poruszające się główną drogą za pałacykiem rosły, a w powietrzu zawisło pełne napięcia oczekiwanie, które zaraziło także mieszkańców domu.

— Zacznie się lada dzień — powtarzał uparcie książę. — Zobaczycie, że mam rację.

Pewnego ranka mały Amerykanin zatoczył koło nad czekającą na wzgórzu Centaine i wychyliwszy się daleko z kokpitu, wyrzucił coś z samolotu. Była to nieduża paczuszka z kolorową wstążką na końcu. Spadła poza wzgórze i Centaine pogoniła wierzchowca po stoku, żeby ją podnieść. Znalazła paczkę zwisającą z żywopłotu rosnącego u podnóża pagórka. Sięgnęła po wstążkę, wyplątała ją razem z pakunkiem z gałązek i kiedy Hank zatoczył następne koło, podniosła do góry i pokazała mu. Hank zasalutował, a potem podążył za pozostałymi samolotami, kierując się szybko w górę.

Centaine otworzyła przesyłkę w zaciszu swojego pokoiku. W środku znajdowała się para wyszywanych skrzydełek RFC i medal w skórzanym pudełeczku. Poglądziła jedwabny materiał, na którym był zawieszony srebrny krzyż, i odwróciwszy go, znalazła na rewersie wygrawerowaną datę, nazwisko Michaela i jego stopień. Trzecim przedmiotem była fotografia w grubej kopercie. Na zdjęciu widać było samoloty eskadry, ustawione w półkole przed hangarem w Bertangles, a na pierwszym planie stali grupą piloci i uśmiechali się do fotografa. Szalony Szkot AaJrew stał obok Michaela, ledwo sięgając mu do ramion. Michael miał czapkę zsuniętą na tył głowy i ręce w kieszeniach. Wyglądał tak dobrodusznie i beztrosko, że Centaine poczuła, jak serce jej się zaciska i zaczyna się dławić.

Włożyła zdjęcie w srebrne ramki, w których przechowywała fotografię matki, i postawiła na stoliku obok łóżka. Medal i skrzydełka schowała do pudełka z kosztownościami, gdzie przechowywała wszystkie swoje skarby.

Każdego popołudnia Centaine spędzała godzinę na cmentarzu. Wyłożyła mogiłę czerwonymi ceglami, które sama pozbierała za szopą z narzędziami.

— To tylko na razie, Michael, dopóki nie znajdę kamieniarza — wyjaśniła mu, pracując na kolanach i rękach.

Codziennie też wyszukiwała na polu i w lesie kwiaty, którymi mogłaby ozdobić grób.

Wieczorami słuchała płyty z nagraniem Aidy i oglądała w atlasie mapę przypominającej głowę konia Afryki, wpatrując się w czerwony kolor znaczący posiadłości imperium. Czytała także na głos angielskie książki: Kiplinga i Bernarda Shawa, zabrane z pokoju matki, podczas gdy książę wsłuchiwał się uważnie i czasami poprawiał jej wymowę. Żadne z nich nie wspominało o Michaelu, ale wszyscy byli świadomi jego obecności; zdawał się być częścią atlasu, angielskich książek i radosnych nut Aidy.

Kiedy wreszcie Centaine czuła, że pada ze zmęczenia, całowała ojca na dobranoc i szła do swojego pokoju. Wystarczyło jednak, żeby zgasila lampę, i zaraz nadchodziła rozpacz, a wtedy,

nieodmiennie, po kilku minutach otwierały się cicho drzwi, do pokoju wchodziła Anna, która tuliła ją do snu, i cały cykl rozpoczynał się od początku.

Pewnego dnia książe przełamał monotony rytuał. Waląc pięściami w drzwi pokoiku Centaine, obudził je w środku nocy, o ciemnej godzinie przed świtem, gdy ludzka energia jest na najniższym poziomie.

— Co się stało?!— zawołała śpiącym głosem Anna.

— Chodźcie! — odkrzyknął książe. — Chodźcie i zobaczcie na własne oczy!

Z szlafroczkami zarzuconymi pośpiesznie na nocne koszule pobiegły za nim przez kuchnię na dziedziniec. Zatrzymały się obie i ze zdumieniem spoglądały na niebo na wschodzie. Mimo że noc była bezksiężycowa, horyzont rozbłyskiwał od migotliwego, pomarańczowego światła, jak gdyby Wulkan otworzył drzwi od boskiego pieca.

— Słuchajcie! — rozkazał książe.

Poprzez szum wiatru usłyszały dziwny szmer, a ziemia pod ich stopami wydawała się drzeć od odległych wybuchów.

— Zaczęło się — powiedział i dopiero wtedy zrozumiały, że patrzą na ogień zaporowy nowej wielkiej ofensywy wojsk sprzymierzonych na zachodnim froncie.

Przez resztę nocy siedzieli w kuchni, pijąc czarną kawę, i wybiegali co chwila na dziedziniec, żeby spojrzeć na rozbłyski na horyzoncie, jakby to było jakieś niesamowite zjawisko astronomiczne.

Książe z podnieceniem opisywał im, co się teraz dzieje na froncie:

— To jest burzący ogień zaporowy, który poniszczy zasieki i rozbije nieprzyjacielskie okopy. Niemcy zostaną rozbici w puch. — Wskazał na objęte płomieniami niebo. — Kto by wytrzymał taki ostrzał!

Tysiące baterii artyleryjskich waliły z całych sił, każda w odcinek frontu długości stu metrów i przez następne siedem dni i nocy ostrzał nie umilkł na\vet na chwilę. Sama ilość metalu zrzucana na niemieckie linie musiała wystarczyć, żeby zniszczyć parapety i okopy i przeorać każdy centymetr ziemi.

Książe był jak w gorączce, opanowany wojennym i patriotycznym duchem.

— Przed naszymi oczami rozgrywa się historia. Jesteście świadkami jednej z największych bitew w dziejach ludzkości...

Ale dla Anny i Centaine siedem dni i nocy to było stanowczo za długo: pierwsze oszołomienie szybko ustąpiło miejsca apatii i braku zainteresowania. Zajmowały się codziennymi sprawami domu nie zwracając większej uwagi na ogień artyleryjski, a nocami spały twardo mimo wybuchów i wezwań księcia, żeby „natychmiast wstały i obejrzały na własne oczy”.

Siódmego dnia, kiedy siedzieli przy śniadaniu, zauważyli nagle, że dochodzące z frontu odgłosy i ich intensywność ostrzału uległy zmianie.

Książe poderwał się od stołu z ustami pełnymi chleba z serem i z kubkiem kawy w rękę wybiegł na dziedziniec.

— Słuchajcie! Czy wy to słyszycie? Rozpoczął się toczący ogień zaporowy.

Baterie dział przesuwają ostrzał w przód i do tyłu, tworząc ruchomą zasłonę wybuchających nad ziemią pocisków, przez którą nie przedarłaby się żadna żywa istota.

— Dzielni alianci szykują się już do decydującego uderzenia...

W wysuniętych brytyjskich okopach żołnierze czekali ukryci za parapetami. Każdy z nich ubrany był w mundur koloru khaki i miał na sobie pełny ekwipunek ważący prawie trzydzieści kilogramów.

Ogień zaporowy odsunął się od linii okopów, zostawiając ludzi oszołomionych i na wpół ogłuszonych od łoskotu wybuchów. Po chwili wzdłuż linii odezwały się przenikliwe gwizdki

dowódców sekcji i żołnierze poderwali się z ziemi, tłocząc się przy drabinach. Kiedy wybiegli na otwartą przestrzeń, niczym chmara szarozielonych lemingów ze swoich nor, zatrzymali się i oszołomieni spoglądali wokół siebie. Znajdowali się na nieznannej, zdewastowanej ziemi, tak poszarpanej przez pociski, że nie została się nawet kępka trawy, nawet jedna cała gałązka. Z miękkiej, brunatnej masy o konsystencji kaszy wyrastały jedynie gdzieś tam połamane pnie i strzępy drzew. Przerażający krajobraz zasnuła żółta mgła ze spalonych materiałów wybuchowych.

— Naprzód!

Wzdłuż linii przebiegł zgodny okrzyk i ponownie pogoniły ich gwizdki. Ruszyli naprzód z wyciągniętymi przed siebie długimi karabinami Lee Enfield, z bagnietami założonymi na lufy, grzęznąc po kostki i po kolana w pulchnej ziemi i wpadając w nachodzące na siebie leje po bombach. Pomagali sobie wzajemnie, załamując linię ataku, której i tak nie mogli widzieć, gdyż wirująca siarczana rtęć ograniczała widoczność do stu kroków.

Nie widzieli nawet śladu niemieckich okopów, wszelkie parapety zostały zrównane z ziemią podczas ostrzału. Nad głowami ludzi rozlegał się nieustanny ryk przelatujących pocisków, a co kilka sekund jeden z niecelnych wystrzałów rozrywał się wśród stłoczonych żołnierzy.

— Nie zostawać tam w środku!

Wyrwy w szeregach po bombach były szybko wypełniane przez anonimowe szare postacie.

— Trzymać się w szeregu! Trzymać się w szeregu!

Rozkazy dowódców ledwo docierały do żołnierzy, zagłuszane hukami ognia zaporowego.

Wreszcie w tumanach dymu przed sobą dojrzeliby zimne błyski. Była to jakby niska ściana metalu; segmenty szarej stali zachodziły na siebie niczym łuski na grzbiecie krokodyla.

Niemieckie załogi karabinów maszynowych wykorzystały siedem dni ostrzału ostrzegawczego i kiedy brytyjski ogień zaporowy przetoczył się nad żołnierzami, ci wynieśli broń ze schronów i ustawili karabiny na trójnogach, na miękkiej ziemi przed zburzonymi rowami. Ciężkie karabiny maszynowe typu Maxim miały z przodu metalowe osłony chroniące strzelców przed kulami atakujących. Maximów było tak wiele, że osłaniające je tarcze nachodziły jedna na drugą.

Brytyjska piechota znajdowała się na otwartym terenie, maszerując wprost na ścianę broni maszynowej. Pierwsze szeregi krzyknęły na widok tej twierdzy karabinów i rzuciły się biegiem w ich stronę, starając się dopaść wroga z bagnietami. Wtedy wpadli na zasieki.

Żołnierze zostali zapewnieni, że ogień zaporowy porwał zasieki na strzępy — teraz okazało się, że to nieprawda. Rozrywające się w powietrzu szrapnele nie uczyniły drutom kolczastym najmniejszej szkody, porozrzuciły je tylko i poplątały, tworząc zaporę jeszcze trudniejszą do przebycia. Kiedy piechota przedzierała się mozolnie przez zasieki, niemieckie maximy otworzyły ogień.

Ciężki karabin maszynowy Maxim strzelał z częstotliwością pięciuset pocisków na minutę. Jest uznawany za najskuteczniejszą i najpewniejszą broń, jaka kiedykolwiek istniała, a tego dnia zdobył dodatkową reputację najbardziej śmiertelnej broni stworzonej przez człowieka. Kiedy pierwsze szeregi brytyjskiej piechoty wyłoniły się z siarczanej mgły, starając się zachować sztywną formację głębokiej na cztery rzędy linii, stanowiły wprost idealny cel dla maximów. Gęste płachty ognia przetaczały się z jednego końca linii na drugi, tnąc wszystko na swojej drodze niczym makabryczne kosy, i rzeź szybko przewyższyła wszystko, co dotąd miało miejsce na polach bitew.

Straty z pewnością byłyby większe, gdyby żołnierze, przygniatani do ziemi huraganowym ogniem, nie posłużyli się zdrowym rozsądkiem i nie rozsypali się na boki. Nie było już mowy o zmasowanym ataku na pozycje wroga, ludzie starali się podczołgać do okopów w małych grupkach, ale nawet te zostały szybko wyparte przez tysiące pocisków.

Kiedy kolejna wielka ofensywa aliancka na zachodnim froncie została rozbita, zanim się jeszcze na dobre zaczęła, niemieckie oddziały zajmujące pozycje na wzgórzach naprzeciw Mort Homme podjęły kontrofensywę.

Minęła dłuższa chwila, zanim Centaine uświadomiła sobie, że nie dobiega jej odgłos ognia zaporowego, i zwróciła uwagę na dziwną ciszę, która wypełniła powietrze.

— Tatusiu, co się stało?

— Angielskie wojska zdobyły pozycję niemieckiej artylerii — wyjaśnił podekscytowany książę. — Mam zamiar przejechać się po polu bitwy. Chcę być świadkiem tego zwrotnego punktu w historii...

— Nie pozwolę ci popełnić podobnego głupstwa — rzuciła szorstko Anna.

— Nic nie rozumiesz, kobieto. Kiedy my tu stoimy i gadamy, alianci posuwają się naprzód i rozbijają niemieckie umocnienia....

— Rozumiem za to dobrze, że trzeba nakarmić mleczną krowę i wynieść gnój z piwnicy.

— A tymczasem tuż obok rozgrywa się historia — skapitulował niechętnie książę i mruczając pod nosem, zszedł na dół.

Wkrótce potem znowu odezwały się działa, tym razem znacznie bliżej, i od okropnego huku aż zadrżały okna w pałacu. Książę wybiegł z piwnicy na dziedziniec.

— Tatusiu, co to znaczy?

— To ostatnie porywy armii niemieckiej — wyjaśnił książę. — Potwór rzuca się w agonii. Ale nic się nie bój, kochanie. Anglicy szybko umocnią swoje pozycje. Nie ma się czym przejmować.

Grzmot dział wkrótce przybrał jeszcze na sile, a później osiągnął apogeum, gdy Brytyjczycy zaczęli się ostrzeliwać, usiłując rozbić zmasowane kontrnatarcie, które Niemcy podjęli wzdłuż całej linii ciągnącej się naprzeciw pasma gór.

— To przypomina strzelaninę zeszłego lata. — Centaine spoglądała z niepokojem na ciemną linię kredowych ścian na horyzoncie. Góry rozmywały się jej w oczach zasłaniane mgłą powstałą z wybuchów pocisków. — Musimy im jakoś pomóc — zwróciła się do Anny.

— Musimy myśleć przede wszystkim o sobie — pdparła Anna. — Trzeba żyć, a my nie możemy...

— Chodź, Anno, nie traćmy czasu.

Ugotowały cztery olbrzymie, miedziane gary zupy z rzepy, fasolki i ziemniaków okraszonej kośćmi z szynki. Zużyły także sporą część zapasów mąki, żeby upiec okrągłe bochny chleba, a następnie załadowały to wszystko na mały wózek i ruszyły alejką w stronę głównej drogi.

Centaine pamiętała walki zeszłego lata, ale to, co teraz zobaczyła, zaszokowało ją.

Droga była zablokowana, wypełniały ją po brzegi ludzkie fale wojny, które płynęły w obu kierunkach, mieszały się ze sobą i rozdzielały.

Od strony wzgórz ciągnęły niedobitki walczących: poranieni i zalani krwią żołnierze, okaleczeni i cierpiący, powrzućani byli stertami na wlokące się karetki i wozy konne lub też kuśtykali na zaimprovizowanych kulach. Niektórych nieśli lżej ranni towarzysze; inni czepiali się karetek, żeby utrzymać się na nogach.

W przeciwnym kierunku maszerowały rezerwy skierowane na wzgórze, żeby powstrzymać niemiecki kontratak. Żołnierze szli w długich kolumnach, znużeni pod ciężarem pełnego ekwipunku, nie przyglądając się skutkom wojny, do której mieli się niedługo włączyć. Kroczyli wolno przed siebie, patrząc tylko pod nogi, i stawali z jakąś krowią cierpliwością, gdy kolumna zmuszona była się zatrzymać, a następnie ruszali dalej, kiedy idący przed nimi zrobili krok do przodu.

Ochłonawszy z pierwszego szoku, Centaine pomogła Annie wepchnąć wózek na skraj drogi i

kiedy tamta nalewała zupę do misek, dziewczyna podawała pełne naczynia z ukrojoną pajdą chleba wyczerpanym i rannym żołnierzom.

Nie miały jednak dosyć żywności i mogły nakarmić co najwyżej jednego na stu. Centaine wybierała najbardziej potrzebujących i mężczyźni łapczywie pochłaniali gęstą zupę i pożerali kawały chleba.

— Niech Bóg cię błogosławi, panienko — mamrotali i szli dalej potykając się na wyboistej drodze.

— Anno, spójrz tylko na ich oczy — szepnęła Centaine, podając jej miski do napełnienia. — Wyglądają, jakby zajrzeli śmierci w oczy.

— Dość tych romantycznych bredni — ofuknęła ją tamta. — Sama będziesz miała później nocne zmory.

— Żadna nocna zmora nie może być gorsza od tego — odpowiedziała cicho Centaine. — Spójrz na tego!

Oczy mężczyzny zostały wydarte przez odłamek szrapnela, a rany przewiązano mu zakrwawionymi szmatami. Szedł za innym żołnierzem, który miał obie ręce połamane i umocowane bandażami na piersi. Ślepiec trzymał się paska towarzysza i omal go nie pociągnął za sobą na ziemię, gdy potknął się na grząskiej i śliskiej drodze.

Centaine wyciągnęła ich ze strumienia maszerujących i podsunęła miseczkę z zupą pod usta bezrękiego żołnierza.

— Dobra z ciebie dziewczyna — szepnął mężczyzna. — Masz może papierosa?

— Nie mam.

Potrząsnęła głową i odwróciła się, żeby przewiązać rany ślepcowi. Kiedy zobaczyła, co kryje się pod szmatami, zrobiło się jej niedobrze i opadły jej ręce.

— Ma pani taki miły głos...

Ślepy żołnierz był w wieku Michaela i miał takie same gęste, ciemne włosy, tyle że teraz pozlepiane od krwi.

— Tak, Fred, to bardzo ładna dziewczyna. — Towarzysz pomógł mu wstać z ziemi. — Musimy już iść, panienko.

— Co się tam dzieje? — zapytała go Centaine.

— Rozpętało się istne piekło.

— Czy front się utrzyma?

— Kto to może wiedzieć, panienko?

Obaj mężczyźni szybko rozplłynęli się w rzece ludzkiego cierpienia.

Zupa i chleb wkrótce się skończyły i obie kobiety wróciły z wózkami do domu, żeby przygotować kolejną porcję. Pamiętając prośbę rannego żołnierza, Centaine przeszukała komodę w pokoju z bronią, gdzie księżę trzymał zapas tytoniu, i kiedy wraz z Anną wróciły na swój posterunek przy końcu alejki, mogła przez krótki czas zapewnić tę odrobinę przyjemności niektórym rannym.

— Tak mało możemy dla nich zrobić — narzekała Centaine.

— Robimy wszystko, co w naszej mocy — zauważyła Anna. — Nie ma co rozpaczać nad tym, co i tak jest niemożliwe.

Trwały na posterunku jeszcze długo po zapadnięciu zmroku, przy mętnym świetle latarni, jednak strumień cierpienia nie tylko nie wysychał, ale zdawał się przybierać na sile. W końcu Centaine przestała rozróżniać blade i wyczerpane twarze przewijające się w świetle lampy przed jej oczyma, a słowa otuchy i pociechy, które powtarzała nieustannie, straciły jakiegokolwiek znaczenie.

W końcu, już dobrze po północy, Anna zaprowadziła ją do pałacyku i zasnęły, tuląc się do siebie,

nie zdjawszy nawet zabłoconych i pokrwawionych sukien, a kiedy obudziły się o świcie, od razu zabrały się do gotowania zupy i pieczenia chleba.

Stojąc przy piecu, Centaine podniosła nagle głowę, gdy usłyszała ryk silników nadlatujących samolotów.

— Samoloty! — wykrzyknęła. — Zapomniałam o nich! Polecą dzisiaj beze mnie, a to może ściągnąć na nich nieszczęście!

— Dzisiaj wielu ludzi będzie cierpieć z powodu braku szczęścia — mruknęła Anna, owijając garnek kocem, żeby jego zawartość zbyt szybko nie wystygła, i zaniósła go do wózka.

W połowie alejki Centaine puściła rączkę wózka i zatrzymała się nagle.

— Spójrz, Anno, tam, na skraju północnego pola!

Pola roiły się od ludzi. Żołnierze pozrzucali plecaki, hełmy i broń i pracowali w porannym słońcu, rozebrani do pasa.

— Anno, co oni robią?

Na polu znajdowało się tysiące żołnierzy, którzy pracowali pod kierunkiem dowódców. Uzbrojeni w krótkie szpadle, kopali żółtą ziemię, wysypując ją wzdłuż wyznaczonej linii. Zanurzali się w niej tak szybko, że kiedy obie kobiety im się przyglądały, wielu kopaczy zagłębiło się w ziemi po kolana, a później po pas.

— To okopy. — Centaine odpowiedziała na własne pytanie. — Anno, oni kopią nowe rowy strzeleckie.

— Ale dlaczego mieliby to robić?

— Ponieważ... — Centaine zawahała się, gdyż nie chciała powiedzieć tego na głos. — Ponieważ nie uda im się utrzymać wzgórz — rzekła cicho i obie spojrzały na odległe pagórki, zasnuwane żółtą siarczaną mgłą z rozrywających się pocisków.

Kiedy dotarły do końca alejki, zobaczyły, że droga zapchana jest poruszającymi się w przeciwnych kierunkach pojazdami i kolumnami żołnierzy. Zator był tak wielki, że na nic zdały się wysiłki policji wojskowej usiłującej odblokować przejście. Jedna z karetek zsunęła się po rozmięklej ziemi do rowu, zwiększając chaos. Doktor i kierowca sanitarki mocowali się z noszami, próbując rozładować zapchany samochód.

— Anno, musimy im pomóc.

Anna była silna jak mężczyzna, a Centaine równie zdeterminowana. Schwyciły razem za jedne z noszy i wyciągnęły je z rowu.

Za nimi na drogę wygramolił się lekarz.

— Dobra robota — powiedział, dysząc ciężko.

Był bez Czapki, ale na kołnierzyku jego munduru widniały naszywki korpusu medycznego, a na ramieniu miał białą przepaskę z czerwonym krzyżem.

— Ach, mademoiselle de Thiry! — Rozpoznał Centaine, stając po drugiej stronie noszy. — Powinienem się domyślić, że to pani.

— Ależ oczywiście, pan doktor...

Był to ten sam oficer, który przyjechał na motorze z Andrew Killigerranem i pomógł księciu skosztować butelkę napoleona w dniu, gdy Michael rozbił się na północnym polu.

Ułożyli nosze pod żywoplotem i młody lekarz ukląkł, żeby zbadać ранego przykrytego szarym kocem.

— Ma szansę — jeśli szybko udzielimy mu pomocy. — Poderwał się z ziemi. — Ale w środku są jeszcze inni. Musimy ich wydostać.

We czwórkę wynieśli pozostałe nosze z sanitarki i ułożyli je w jednym rzędzie.

— Ten już nie żyje. — Kciukiem i palcem wskazującym zamknął zmarłemu powieki i zakrył twarz nieboszczyka kocem. — Cała droga jest zablokowana. Nie ma nawet sensu próbować się przebić dalej, a przy okazji możemy stracić pozostałych — wskazał na rząd noszy — jeśli nie znajdziemy dla nich jakiegoś pomieszczenia, gdzie mógłbym się nimi zająć.

Spojrzał na Centaine i przez chwilę nie zrozumiała prośby w jego oczach.

— Domki w Mort Homme są przepelnione, a droga jest zablokowana — powtórzył.

— Ależ oczywiście — odezwała się szybko Centaine. — Zaniesiemy ich do pałacu.

Książę wyszedł im na spotkanie na schody i kiedy Centaine pośpiesznie wyjaśniła mu swój zamiar, z entuzjazmem przyłączył się do projektu przekształcania grand salon w salę szpitalną.

Zepchnęli meble pod ściany, żeby zrobić miejsce na środku pokoju, a następnie znieśli materace z górnych pięter. Przy pomocy kierowcy karetki i trzech sanitariuszy zwerbowanych przez doktora ułożyli materace na delikatnym wełnianym dywanie z Aubusson.

W tym samym czasie policja wojskowa, poinstruowana przez doktora, wskazywała drogę do pałacyku innym sanitarkom, które ugrzęzły w korku. Na stopniu pierwszego ambulansu jechał doktor. Na widok Centaine zeskoczył na ziemię, podbiegł do niej i schwycił ją za ramię.

— Mademoiselle! Czy jest jeszcze jakaś inna droga prowadząca do szpitala polowego w Mort Homme? Potrzebuję lekarstw chloroformu, środków dezynfekujących oraz bandaży — i jeszcze jednego lekarza do pomocy.

Lekarz mówił znośną francuszczyzną, ale Centaine odpowiedziała mu po angielsku:

— Mogę przejechać przez pola.

— Z nieba mi pani spada. Napiszę pani list. — Wyciągnął notatnik z kieszeni munduru i napisał krótką wiadomość. — Niech pani pyta o majora Sinclaira. — Wyrwał kartkę z notatnika i wręczył jej. — Szpital mieści się w domkach w wiosce.

— Tak, wiem. Jak się pan nazywa? Jakie nazwisko mam podać, jeśli spytają, kto mnie przysłał? — Dzięki niedawnej nauce Centaine z większą łatwością znajdowała odpowiednie angielskie wyrazy.

— Przepraszam najmocniej, mademoiselle, nie miałem okazji się przedstawić. Nazywam się Clarke, kapitan Robert Clarke, ale przyjaciele nazywają mnie Bobby.

Nuage zdawał się wyczuwać niezwykłą pilność ich misji, przesadzał w szaleńczych skokach przeszkody, a spod jego kopyt wylatywały grudki ziemi, gdy pędził przez pola i pomiędzy winnicami.

Oficer, do którego Centaine została wysłana, był potężnie zbudowanym mężczyzną z ramionami jak niedźwiedź i gęstymi, siwiejącymi lokami, które opadały mu na czoło, gdy nachylał się nad rannym, leżącym na stole operacyjnym.

— Gdzie, do cholery, jest Bobby? — zapytał gniewnie, nie patrząc na Centaine, skoncentrowany na szwach, które właśnie zakładał na głęboką ranę na grzbiecie operowanego. Kiedy ściągnął i zawiązał nitkę, rozdarte ciało wyrzuciło się i Centaine poczuła, jak zbiera się jej na wymioty. Opanowała torsje i szybko wytłumaczyła, po co przybyła.

— W porządku, powiedz Bobby'emu, że pošlę mu, co tylko mogę, ale nam samym zaczyna brakować środków opatrunkowych.

Ze stołu zdjęto rannego i na jego miejsce ułożono młodego chłopca, któremu wypływały z brzucha splecione wnętrzności.

Młody żołnierz wił się i krzyczał, gdy lekarz zaczął mu wpychać rękami jelita do rany.

— Jeśli da mi pan te rzeczy, to zawiozę je od razu lekarzowi — powiedziała odważnie Centaine i major spojrzał na nią a następnie posłał jej zmęczony uśmiech.

— Nie poddaje się pani łatwo — mruknął. — W porządku, niech pani porozmawia z nim. —

Wskazał skalpelem na kogoś w zatłoczonym pokoju. — Proszę mu powiedzieć, że to ja panią przysyłam i życzę powodzenia, młoda damo.

— Nawzajem, doktorze.

— Bóg jeden wie, jak bardzo go wszyscy potrzebujemy — zgodził się lekarz i wrócił do przerwanej pracy.

Centaine popędzała Nuage'a w drodze powrotnej równie mocno, jak poprzednio. Kiedy dojechała do domu, zaprowadziła konia do stajni. Na dziedzińcu zobaczyła trzy nowe sanitarki, których kierowcy właśnie wyładowywali nosze z rannymi i umierającymi żołnierzami. Centaine minęła ich i wbiegła do domu z ciężką, płócienną torbą przewieszoną przez ramię. Zatrzymała się zdumiona na progu salonu.

Wszystkie materace były zajęte przez rannych, a część mężczyzn leżała na gołej podłodze lub stała oparta o ściany. Bobby Clarke zapalił wszystkie świece w olbrzymim, wieloramiennym srebrnym kandelabrze stojącym na środku masywnego stołu z połączanego brązu i operował przy świetle. Podniósł na chwilę głowę i spostrzegł Centaine.

— Czy przyniosłaś chloroform? — zawołał do niej przez cały pokój. Przez chwilę Centaine nie mogła nic z siebie wykrztusić i stała niepewnie w progu, gdyż salon zdążył już przejść ohydny smrodem bitwy. Powietrze przesyciła woń krwi przemieszana z fetorem ciał i ubrań mężczyzn przywiezionych z rozmiękłych okopów, w których grzebano nieboszczyków i w których błyskawicznie rozkładały się ciała zabitych, osiągając tę samą konsystencję co szlam. Był to także odór potu, jaki wywołuje lęk i ból.

— Dostałaś chloroform? — powtórzył niecierpliwie lekarz i Centaine zmusiła się, żeby do niego podejść.

— Nie mają nikogo, kto mógłby pamił pomóc.

— Więc ty to będziesz musiała zrobić. Stań tutaj obok mnie — zakomenderował. — Przytrzymaj to.

Wkrótce dla Centaine wszystko zlało się w jeden krwawy horror wypełniony pracą, która wyczerpywała ją fizycznie i psychicznie. Nie miała nawet chwili na odpoczynek, ledwie zdążyła wypić kawę i zjeść kanapkę, którą Anna przygotowała dla niej w kuchni. Kiedy była już pewna, że widziała i doświadczyła tyle, że nic już jej nie zaszokuje, zawsze znalazło się coś jeszcze bardziej przerażającego.

Stała przy Bobbym Clarke'u, gdy ten rozcinał mięśnie nogi rannego i podwiązywał kolejne żyły. Gdy wreszcie odsłonił kość udową i zabrał się do pracy rzucając srebrzyste błyski piłką do kości, Centaine omal nie zemdląła, słysząc okropny dźwięk przypominający odgłos piłowania nie heblowanej deski.

— Zabierz to! — rozkazał doktor i Centaine musiała się przełamać, żeby dotknąć amputowanej kończyny. Cofnęła się z krzykiem, gdy noga drgnęła pod jej palcami.

— Nie trać czasu — warknął Bobby i Centaine chwyciła ją w dłonie; noga była jeszcze ciepła i zdumiewająco ciężka.

— Nie ma nic, czego nie odważyłabym się zrobić — powiedziała sobie, wynosząc kończynę.

W końcu osiągnęła taki stan wyczerpania, że nawet zapracowany Bobby zorientował się, że Centaine ledwo trzyma się na nogach.

— Połóż się i odpocznij — polecił jej.

Centaine wołała jednak usiąść przy młodym żołnierzu spoczywającym na materacu. Wzięła go za rękę, a szeregowiec nazwał ją matką, a potem zaczął nieprzytomnie wspominać jakiś odległy dzień nad morzem. Centaine siedziała bezradnie i wsłuchiwała się w jego przyśpieszony oddech kurczowo

trzymający się życia. Uścisk dłoni rannego wzmocnił się, gdy młodzieniec poczuł ogarniającą go ciemność. Dłoń umierającego stała się śliska od potu, żołnierz otworzył szeroko oczy i zawołał: — Mamusiu, ratuj mnie! — a potem nagle zwiotczał. Centaine chciała zapłakać po nim, ale nie miała już łez. Zamknęła tylko wytrzeszczone oczy nieboszczyka w ten sam sposób, jak czynił to Bobby Clarke, i podeszła do następnego rannego.

Żołnierz był w randze sierżanta, potężnie zbudowany mężczyzna niemal w wieku jej ojca; o szerokiej przyjemnej twarzy zarośniętej szarą szczeciną. Miał dziurę w piersiach, z której przy każdym oddechu wydobywała się piana różowych bąbelków. Centaine musiała przystawić ucho do jego warg, żeby usłyszeć wyszeptaną prośbę. Rozejrzała się szybko po pokoju i dostrzegła srebrną wazę do zupy, w stylu Ludwika XV. Przyniosła ją rannemu, rozpięła mu pasek i przytrzymała go, gdy ten w kółko powtarzał:

— Przepraszam bardzo, niech panienka mi zechce wybaczyć. Tak mi przykro. To nie wypada.

Pracowali przez całą noc i kiedy Centaine zeszła na dół po świeże świece, doszła zaledwie do kuchni, gdy schwyciły ją mdłości i wpadłszy do toalety dla służby, przykłęka przed sedesem. Zwymiotowała i przez chwilę siedziała blada i drżąca, zanim poszła umyć twarz zimną wodą do kuchni, gdzie czekała już na nią Anna.

— Tak dalej być nie może! — zawołała. — Tylko spójrz na siebie, zabijasz się... — Omal nie dodała „dziecko”, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. — Musisz odpocząć. Zjedz zupę i posiedź przez chwilę przy mnie.

— Anno, to nigdy się nie skończy — jest ich coraz więcej. Ranni nie mieścili się już w salonie; układano ich pod schodami i na korytarzu, tak że wynoszący zmarłych sanitariusze musieli przestępować przez nosze. Trupy wynoszono na wybrukowany chodnik pod stajniami i z każdą godziną szereg zakrytych szarymi kocami ciał wydłużał się.

— Centaine! — zawołał od schodów Bobby Clarke.

— Za bardzo się z tobą spoufala, powinien nazywać cię: „made-moiselle” — zauważyła z pogardą Anna, ale Centaine natychmiast zerwała się z krzesła i pobiegła na górę, przeskakując rozłożone na schodach nosze.

— Czy mogłabyś jeszcze raz pojechać do wioski? Potrzebujemy więcej chloroformu i jodyny. — Nie ogolony Bobby był wyraźnie wyczerpany, miał podkrążone, przekrwione oczy, a ręce umazane po łokcie zaschniętą krwią. — Już prawie świta.

Centaine skinęła głową.

— Przejedź przez skrzyżowanie — poradził jej Bobby. — Zobacz, czy droga jest już odblokowana. Musimy wywieźć część z nich.

Centaine dwukrotnie była zmuszona opuścić zatłoczony trakt i szukać drogi na skróty przez pola. Kiedy wreszcie dotarła do szpitala polowego w Mort Homme, wstał już dzień.

Zobaczyła, że szpital jest ewakuowany. Sprzęt i pacjenci byli ładowani do sanitarek i na wozy konne, a rannych, którzy mogli poruszać się o własnych siłach, zbierano w grupy i wyprowadzano na drogę, gdzie przyłączali się do kolumny maszerującej na południe.

Major Sinclair wykrzykiwał polecenia do kierowców sanitarek.

— Na rany boskie, człowieku, uważaj trochę, ten facet ma dziurę w płucach... — Major spojrzał na Centaine, gdy podjechała do niego na wielkim rumaku. — Znowu ty! Niech to wszyscy diabli, zupełnie o tobie zapomniałem. Gdzie jest Bobby Clarke?

— Wciąż w pałacyku. Posłał mnie do pana...

— Ilu ma tam rannych? — przerwał jej major. — Nie mam pojęcia.

— Do diabła, dziewczyno, pięćdziesięciu, stu, więcej?

— Jakichś pięćdziesięciu lub trochę więcej.

— Musimy ich stamtąd zabrać. Niemcy przebili się pod Haut Pommier.

Zamilkł na chwilę i przyjrzał się jej krytycznie, zauważając sińce pod oczyma i niemal przezroczystą skórę na twarzy. Zupełnie wyczerpana, ocenił, ale jednocześnie stwierdził, że dziewczyna trzyma głowę w górze, a w oczach jej błyszczy determinacja, i zmienił zdanie. Jest ulepiona z dobrej gliny, pomyślał. Da sobie radę.

— Kiedy Niemcy tu dotrą? — zapytała Centaine. Major potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia, ale sądzę, że wkrótce. Okopujemy się tuż za wioską, ale nie wiadomo, czy uda się tam ich zatrzymać. Musimy się stąd wydostać — odnosi się to także do ciebie, moja panno. Powiedz Bobby'emu Clarke'owi, że pošlę mu tyle wozów, ile tylko zdołam. Musi się cofnąć do Arras. Możesz pojechać z nim przy sanitarkach.

— Dobrze. — Centaine zawróciła Nuage'a. — Zaczekam na nie przy skrzyżowaniu i poprowadzę do pałacyku.

— Dzielna dziewczyna! — zawołał za nią major, gdy Centaine pomknęła na koniu przez dziedziniec i skierowała go w stronę winnic na wschód od wioski.

Za murkiem okalającym winnice Centaine zjechała na ścieżkę prowadzącą do jej wzgórza nad lasem. Popuściła Nuage'owi wodze i rumak pognął galopem po zboczu na sam szczyt. Z tego miejsca Centaine miała najlepszy widok na północ, w stronę wzgórz ponad polami i lasami otaczającymi wioskę. Słońce było już wysoko i rozświetlało promieniami przejrzyste powietrze.

Centaine odruchowo spojrzała najpierw w kierunku sadu u podstawy lasu w kształcie litery „T”, szukając pasa trawy, który służył eskadrze Michaela za lądowisko.

Namioty zniknęły, skraj sadu, gdzie zazwyczaj stały w rzędzie kolorowe SE5a, opustoszały i nie widać było nawet śladu życia. Eskadra przeniosła się na nowe miejsce w ciągu nocy, zniknęła jak wędrowni Cyganie i Centaine poczuła się osamotniona. Kiedy samoloty stały zaparkowane w sadzie, było to tak, jakby towarzyszyła jej jakaś część Michaela. Teraz maszyny odleciały, zostawiając pustkę w jej życiu.

Centaine obróciła się i spojrzała na odległe wzgórza. Na pierwszy rzut oka krajobraz wydawał się wyjątkowo spokojny. W promieniach wczesnego słońca początku lata wszystko wyglądało świeżo i zielono. W jeżynach nie opodal niej śpiewał skowronek.

Centaine wyteżyła wzrok i dostrzegła małe figurki ludzi biegnących przez pola od strony wzgórz niczym czarne mrówki. Postacie wydawały się tak niewielkie i mało znaczące, że Centaine już chciała odwrócić od nich oczy, gdy nagle uświadomiła sobie, jak wiele ich jest. Spróbowała zorientować się, co czynią.

Jej wzrok przykuł małe szarożółte obłoczki dymu, który wznosił się pośrodku grupy biegnących żołnierzy. Gdy wiatr rozwiął dym, na ziemi spoczywały poplątane ciała czterech czy pięciu ludzi, a reszta uciekała dalej co sił w nogach.

Na zielonym kobiercu łąki pojawiły się kolejne obłoczki dymu i Centaine dobiegł odgłos wybuchów przyniesiony przez wiatr.

— Ogień artyleryjski — szepnęła i nagle zrozumiała, co się dzieje na polu. Brytyjscy żołnierze zostali wyparci z okopów przez niemiecką ofensywę i kiedy wypadli na otwartą przestrzeń, baterie nieprzyjaciela otworzyły do nich ogień.

Centaine spojrzała na podstawę wzgórza, na którym stała, i zobaczyła linię pośpiesznie wykopanych rowów — poprzedniego ranka obserwowała razem z Anną, jak żołnierze zaczęli je kopać. Okopy wiły się niczym brązowy wąż na skraju dębowego lasu, biegnęły za kamiennym murkiem na krańcu północnego pola, skręcały lekko, żeby podążyć za strumykiem, i zniknęły wśród

winnic należących do rodziny Concourtów.

Dostrzegła także hełmy żołnierzy w okopach i pękate lufy karabinów maszynowych wystających nad usypane z ziemi parapety. Niektóre z biegnących figurek zdążyły już dopaść rowów i błyskawicznie w nich poznikały.

Ogłuszający huk niedalekiego wystrzału spowodował, że Centaine aż wzdrygnęła się i spojrzała do tyłu. Od strony brytyjskiej baterii dział ustawionych u podnóża góry unosiły się szare pióropusze dymu. Działa były tak przemyślnie ukryte pod zielonymi siatkami maskującymi, że nie zauważyła ich, dopóki nie wystrzeliły.

Wypatrzyła następne baterie, ukryte w lesie i w sadzie, które właśnie otwierały ogień do niewidocznego wroga, a po chwili wzdłuż świeżo wykopanych fortyfikacji rozerwały się pociski, którymi niemiecka artyleria odpowiadała na ostrzał. Centaine drgnęła na dźwięk głosu, który obudził ją z pełnego przerażenia zafascynowania. Po ścieżce prowadzącej na szczyt wzgórza wbiegał pluton piechoty. Na czele żołnierzy biegł młody podoficer, wymachując rękami.

— Zjeżdżaj stąd, ty cholerna wariatko! Nie widzisz, że jesteś w samym środku bitwy?

Centaine zawróciła Nuage'a i pognęła galopem po ścieżce. Przemknęła obok szeregu piechoty i kiedy na chwilę spojrzała do tyłu, żołnierze w szaleńczym pośpiechu okopywali się już na samym szczycie.

Gdy dopadli skrzyżowania, Centaine pohamowała konia. Wszystkie wozy już przejechały, poza tymi, które osunęły się do rowów i zostały porzucone. Droga była jednak zapchana tłumem wycofującej się piechoty, potykającej się pod ciężarem plecaków, niosącej na plecach rozłożone na części karabiny maszynowe i skrzynki z amunicją, a także wszelki sprzęt, który udało się uratować. Wśród chaosu gwizdków i wykrzykiwanych rozkazów oficerowie zbierali żołnierzy i posyłali do świeżo wykopanych rowów strzeleckich.

Niespodziewanie nad głową Centaine przemknęło coś z potężnym rykiem, niczym podmuch huraganu, i dziewczyna odruchowo pochyliła się. Pocisk rozerwał się nie dalej jak sto kroków od miejsca, w którym się zatrzymała, i przestraszony Nuage poderwał się z rzeniem na tylne nogi. Centaine uttrzymała się w siodle i dotknięciem ręki uspokoiła konia.

Zobaczyła ciężarówkę podjeżdżającą do skrzyżowania od strony wioski, a kiedy stanęła w strzemiączkach, rozpoznała czerwony krzyż w kółku, wymalowany z boku. Pognęła konia na spotkanie wozu i po chwili zza zakrętu wyłoniło się jeszcze siedem sanitarek. Centaine zatrzymała konia przy kabinie wozu jadącego na czele kolumny.

— Czy zostaliście wysłani do pałacyku?

— O co chodzi, panienko?

Kierowca najwyraźniej nie rozumiał jej angielskiego i Centaine aż podskoczyła w siodle z irytacji.

— Kapitan Clarke? — spróbowała jeszcze raz i tym razem kierowca zrozumiał. — Szuka pan kapitana Clarke'a?

— Tak, właśnie. Kapitan Clarke! Gdzie on jest?

— Chodźcie! — Centaine musiała krzyczeć, gdyż w tej chwili za kamiennym murkiem za nimi rozerwał się -kolejny pocisk i nad jej głową poszybował z jękiem odłamek. — Chodźcie!

Dała im znak ręką i zawróciła konia ku alejce.

Z kolumną sanitarek za sobą Centaine wpadła galopem na podjazd do pałacyku i w tej chwili pocisk rozerwał się za stajniami, a kolejny trafił w szklarnię stojącą na końcu ogródka warzywnego. Okruchy szkła wyleciały diamentową strugą wysoko w powietrze.

Pałac jest naturalnym celem dla artylerii, uświadomiła sobie Centaine i skierowała Nuage'a na

dziejnec.

Sanitariusze wynosili już rannych i kiedy pierwsza ciężarówka zatrzymała się przed schodami, kierowca i jego pomocnik wyskoczyli na dziedziniec pomagać przy wkładaniu noszy na tył wozu.

Centaine wypuściła Nuage'a na trawnik za stajnię, a sama pobiegła do kuchni. Z tyłu pocisk trafił w dach długiego budynku, wrywając dziurę w dachówkach i rozbijając kawałek muru. Stajnie były puste i Centaine wpadła przez tylne drzwi do kuchni.

— Gdzie się podziewałaś?! — krzyknęła na jej widok Anna. — Tak się martwiłam..

Centaine odsunęła ją bez słowa i pobiegła do swojego pokoju. Wyciągnęła torbę podróżną z górnej półki szafy i zaczęła wrzucać do niej ubranie.

Gdzieś nad jej głową rozległ się ogłuszający wybuch, od którego popękał sufit i na podłogę posypały się kawałki tynku. Centaine zgarnęła fotografie w srebrnych ramkach do torby, otworzyła szufladę i wyjęła z niej pudełko z biżuterią i podróżny komplet przyborów toaletowych. W powietrzu wokoło unosił się biały pył z tynku.

Kolejny pocisk trafił w taras pod oknem sypialni i okno nad głową dziewczyny eksplodowało szkłem. Odłamki szkła trafiły w ścianę, a jeden z nich zadrasnął Centaine w ramię i zostawił na skórze krwawą pręgę. Centaine zlizwała krew, przyklękła i wsunąwszy się pod łóżko, zdjęła luźną klepkę.

Pod klepką leżała schowana skórzana sakiewka z całym ich majątkiem w gotówce. Zważyła sakiewkę w rękę — prawie dwieście luidorów w złocie — i wrzuciła ją do torby.

Ciągnąc za sobą ciężką torbę, Centaine zbiegła po schodach do kuchni.

— Gdzie jest tatuś?! — zawołała do Anny.

— Poszedł na górę. — Anna pakowała szynki, sznurki cebuli i bochny chleba do płóciennego wora. Wskazała głową na pusty hak w ścianie. — Zabrał ze sobą strzelbę i kilka butelek koniaku.

— Zawołam go — powiedziała Centaine. — Uważaj na moją torbę. Podwinęła spódniczkę i puściła się biegiem po schodach na piętro. Panował tu chaos. Sanitariusze usiłowali pozbierać rannych z salonu i ze schodów.

— Centaine! — krzyknął za nią Bobby Clarke z piętra. — Jesteś gotowa do drogi?

Doktor pomagał nieść nosze i musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć nawoływania sanitariuszy i jęki rannych.

Centaine przedzierała się przez schodzących na dół ludzi. Bobby schwycił dziewczynę za rękaw, gdy zrównał się z nią na półpiętrze,

— Dokąd idziesz? Musimy opuścić dom!

— Mój ojciec. Muszę znaleźć ojca!

Wyrwała się i pobiegła na górę. Drugie piętro domu było opustoszałe i Centaine ruszyła korytarzem, krzycząc na cały głos:

— Tatusiu! Tatusiu! Gdzie jesteś?

Biegła długą galerią, z której ścian spoglądały na nią wyniośle portrety przodków. Na końcu korytarza znajdowały się podwójne drzwi prowadzące do matczynej sypialni, którą ojciec pozostawił nie zmienioną przez te wszystkie lata. Centaine rzuciła się całym ciałem na drzwi i wpadła do środka.

Książę znajdował się w ubieralni, siedział przed portretem żony na obitym tkaniną krześle z wysokim oparciem. Podniósł głowę, gdy Centaine wpadła do pokoju.

— Tatusiu, musimy natychmiast uciekać.

Ojciec zdawał się jej nie poznawać. Na podłodze, przy jego nogach stały trzy nie otwarte jeszcze butelki koniaku, a czwartą miał w rękę. Butelka była już w połowie opróżniona; książę podniósł ją

do ust i pociągnął głębszy łyk, nie odwracając wzroku od portretu żony.

— Tatusiu, proszę, musimy iść!

Nie drgnęła mu nawet powieka na jedynym oku, gdy kolejny pocisk trafił w pałacyk, gdzieś we wschodnim skrzydle.

Centaine schwyciła go za ramię i spróbowała podnieść na nogi, ale książę był wysokim i ciężkim mężczyzną. Na koszulę wylał mu się alkohol.

— Tatusiu, Niemcy przerwali linię frontu! Proszę cię, chodź ze mną.

— Niemcy! — ryknął nagle ojciec i odepchnął ją od siebie. — Więc jeszcze raz będę z nimi walczył!

Poderwał długą strzelbę chassepot, którą trzymał na kolanach, i wystrzelił. Kuła trafiła w sufit i na włosy księcia poleciał biały pył z tynku, postarzając go dramatycznie.

— Niech przyjdą! — huknął na cały pokój. — Ja, Louis de Thiry, mówię, niech wszyscy tu przyjdą! Jestem gotowy na ich przyjęcie!

Był zupełnie pijany od koniaku i rozpaczony, ale Centaine znowu spróbowała podnieść go z krzesła.

— Musimy już iść!

— Nigdy! — ryknął ojciec i odepchnął ją jeszcze brutalniej niż poprzednio. — Nigdy nie opuszczę tego domu. To moja ziemia, mój dom, dom mojej ukochanej żony... — w oczach płonął mu ogień szaleństwa. — ...mojej ukochanej żony. — Sięgnął po portret. — Zostanę tu z nią. Będę z nimi walczyć na własnej ziemi!

Centaine schwyciła go za wyciągniętą rękę i szarpnęła z całych sił, ale ojciec pchnął ją na ścianę i zaczął ładować sędziwą strzelbę.

— Muszę zawołać Annę do pomocy — szepnęła Centaine. Dobiegła do drzwi, gdy kolejny pocisk trafił w północną część pałacu. Za hukiem rozbijanego muru i tłuczonego szkła nadleciała fala uderzeniowa, która rzuciła dziewczynę na podłogę. Ze ścian spadło kilka ciężkich obrazów.

Centaine podniosła się i pobiegła korytarzem. Kwaśny odór materiału wybuchowego zmieszał się z cierpkim smrodem dymu i ognia. Schody były już prawie puste, sanitariusze wynosili ostatnie nosze. Kiedy Centaine wybiegła na dziedziniec, dwa ambulanse, oba przeładowane, odjeżdżały właśnie spod domu.

— Anno! — krzyknęła Centaine.

Anna zajęta była przypinaniem torby podróżnej i worka z żywnością do dachu ciężarówki, ale natychmiast zeskoczyła na ziemię i podbiegła do dziewczyny.

— Musisz mi pomóc! — zawołała zdyszana Centaine. — Ojciec! Trzy pociski trafiły jeden za drugim w pałac, a kilka następnych spadło na stajnie i ogród. Niemieccy obserwatorzy musieli wypatrzeć ruch przed domem i działa koncentrowały się na nowym celu.

— Gdzie on jest? — Anna zignorowała wybuchy.

— Na górze, w ubieralni matki. Anno, on zupełnie oszalał. Jest kompletnie pijany i nie mogę sprowadzić go na dół.

Gdy tylko wbiegły do domu, poczuły dym, i kiedy zaczęły w pośpiechu wspinać się na schody, biała zasłona zgęstniała, otaczając je szarymi kłębam. Zanim dotarły na drugie piętro, obie kaszlały i ciężko dyszały w pozbawionym tlenu powietrzu.

Galeria była tak pełna dymu, że nie widziały nic na kilkanaście kroków przed sobą. Przez gęste chmury prześwitywały pomarańczowe fale ognia — pierwsze pokoje płonęły już i płomienie przebijały się przez zamknięte drzwi.

— Wracaj! — zawołała Anna, z trudem łapiąc oddech. — Sprowadzę go na dół.

Centaine z uporem potrzęsnęła przecząco głową i ruszyła w stronę sypialni. Kolejna salwa ognia

z moździerzy trafiła w pałac i część ściany zapadła się, blokując im drogę. Ceglany pył zmieszał się z dymem, oślepiając je zupełnie. Zdezorientowane zatrzymały się przy schodach.

Po chwili kurz opadł częściowo i kobiety ruszyły naprzód, ale powietrze dostające się przez dziurę w ścianie podsyciło ogień. Płomienie wzniosły się gniewnie w górę i fala gorąca zastąpiła im drogę niczym gruby mur.

— Tato! — krzyknęła Centaine, cofając się przed żarem. — Tatusiu, gdzie jesteś?!

Podłoga zakołysała im się pod nogami, gdy następne pociski spadły na stary dom, a huk rozpadających się ścian, zawalających się sufitów i ryczących płomieni ogłuszył obie kobiety.

— Tato! — wychrypiała Centaine dusząc się od dymu, ale głos Anny był bardziej słyszalny.

— Louis, viens, cheri — chodź do mnie, kochanie.

Mimo rozpaczy Centaine uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie słyszała, żeby Anna w ten sposób zwracała się do ojca. Krzyk ten jednak przywołał go i księżę wyłonił się z chmury dymu i pyłu. Wokół niego tańczyły płomienie, wznosząc się z podłogi w miejscu, gdzie stawiał stopy, i liżąc idącego czerwonymi jęzorami, a dym okrył go czarnym płaszczem, tak że ojciec wyglądał jak postać z piekieł.

Księżę miał otwarte szeroko usta, z których wydobywał się jakiś ochryply, pełen nieopisanego bólu dźwięk.

— On śpiewa — wyszeptała Anna. — „Marsylianka”!

— Do broni, obywatele!

Dopiero teraz Centaine rozpoznała znajome nuty.

— Niech krew nieczysta popłynie rynsztokami...

Słowa stały się niezrozumiałe i głos księcia osłabł, gdy otoczył go żar ognia. Strzelba wyslizgnęła mu się z rąk, upadł na ziemię, podniósł się na rękach i zaczął pełznąć w stronę schodów. Centaine chciała rzucić się na pomoc, ale zatrzymała ją ściana gorąca, Anna zaś przyciągnęła dziewczynę do siebie.

Na koszuli ojca zaczęły pojawiać się ciemne plamy w miejscach, gdzie płótno tliło się od okropnego żaru, ale z ust księcia wciąż wydobywał się ten okropny dźwięk i mężczyzna nie przestawał czołgać się w ich stronę po gorejącej podłodze.

Nagle gęsta, ciemna czupryna na jego głowie zapłonęła żywym ogniem i zdawało się, że księżę nosi złotą koronę. Centaine nie mogła odwrócić wzroku, nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku i coraz * bardziej kurczowo trzymała się Anny, czując, jak starszą kobietą wstrząsają spazmy szloch, a ręka otaczająca ramiona Centaine zaciska się i zdaje się łamać jej kości.

W pewnej chwili podłoga załamała się pod ciężarem księcia, płonące deski rozstały się niczym ciemna gardziel piekieł, która go pochłonęła.

— Niece! — zawyła Centaine.

Anna porwała ją w ramiona i pociągnęła ku schodom. Nie przestawała łkać, po jej czerwonych policzkach ciekły łzy, ale nic nie oparłoby się jej sile.

Za nimi z piekielnym łoskotem zawalił się sufit, druzgocząc resztę galeryjki. Anna postawiła Centaine na ziemi i pociągnęła ją za sobą po schodach. Na dole nie było już tyle dymu. Wypadły na dziedziniec i zachłysnęły się świeżym powietrzem.

Pożar objął już cały pałac, a pociski nadal spadały na budynek lub wybuchwały potężnymi kolumnami dymu i śmigających wokół odłamków na trawnikach i polach.

Bobby Clarke nadzorował załadunek ostatniego ambulansu. Na widok Centaine twarz mu pojaśniała i rzucił się biegiem do dziewczyny. Płomienie przypaliły końce jej włosów i rzęsy, a czarny pył rozmazał się po policzkach ze łzami.

— Musimy uciekać! Gdzie jest twój ojciec? — Bobby schwycił ją za ramię.

Centaine nie mogła wydobyć z siebie jednego słowa. Trzęsła się jak w gorączce, dym podrażnił jej gardło i oczy, które były zaczerwienione i pełne łez.

— Czy już schodzi?

Centaine pokręciła głową i dostrzegła głębokie współczucie w oczach mężczyzny. Bobby spojrzął na płonący budynek, wziął ją za drugą rękę i poprowadził do sanitarki.

— Nuage — wyrzeźbiła Centaine. — Mój koń. Jej głos był ochrypyły od dymu i szoku.

— Nie... — rzucił ostro Bobby i spróbował ją zatrzymać, ale Centaine wyrwała mu się i pobięła w stronę wybiegu za stajnię.

— Nuage!

Spróbowała zagwizdać, ale przez spierzchnięte wargi nie przeszedł żaden dźwięk. Bobby Clarke schwycił ją przy brami.

— Nie wchodź tam!

W jego głosie brzmiała desperacja i tym razem udało mu się przytrzymać Centaine. Przerazona i zdumiona, wykręciła głowę, żeby spojrzeć nad bramą.

— Nie, Centaine!

Odciągnął dziewczynę od bramy, a wtedy ujrzała konia i krzyknęła:

— Nuage!

Huk i świst odłamków kolejnej salwy zagłuszył wołanie, ale Centaine nie przestała się wyrwać.

— Nuage! — krzyknęła ponownie i rumak dźwignął łeb.

Leżał na boku: jeden z pocisków połamał mu obie tylne nogi i rozpruł brzuch.

— Nuage!

Koń usłyszał jej głos i spróbował podnieść się na przednie nogi, ale wysiłek okazał się zbyt wielki i znowu opadł na ziemię. Łeb uderzył bezwładnie o miękką ziemię i rumak wypuścił głośno powietrze przez nozdrza.

Anna podbiegła, żeby pomóc Bobby'emu, i razem zaciągnęli Centaine do czekającej sanitarki.

— Nie możecie go tak zostawić! — błagała Centaine, próbując im się wyrwać ze wszystkich sił.

— Proszę, nie zostawiajcie go tak, żeby cierpiał.

Kolejna salwa trafiła w dziedziniec i wypełniła powietrze świstem latających w powietrzu odłamków muru i żelaza.

— Nie ma czasu — stęknął Bobby. — Musimy jechać. Wsadzili wyrrywającą się Centaine na tył ciężarówki, pomiędzy nosze, i wsiedli sami. W tej chwili kierowca wrzucił bieg i ruszył z miejsca. Ciężarówka zatoczyła koło, podskakując na kocich łbach i przyspieszając wyjechała przez bramę w alejkę.

Centaine podsunęła się do drzwi i spojrzała na pałac. Płomienie buchały przez dziury w różowej dachówce, a nad dachem kłęby czarnego dymu wznosiły się w zalane słonecznymi promieniami niebo.

— Wszystko — szepnęła Centaine. — Zabrałeś mi wszystko, co kochałam. Dlaczego? Boże, dlaczego mi to zrobiłeś?

Ambulanse przed nimi zjechały z drogi na skraj lasu i zaparkowały pod drzewami, żeby uniknąć pocisków. Bobby Clarke wyskoczył z ciężarówki i biegnąc od wozu do wozu, wydawał polecenia kierowcom i przegrupowywał ciężarówkę w konwój. Następnie, wyprowadziwszy ich ciężarówkę na czoło kolumny, pomknęli ku skrzyżowaniu i wyjechali na główną drogę.

Wokół sanitarek znowu zaczęły spadać pociski, gdyż niemieccy obserwatorzy musieli zauważyć ruch na drodze. Niczym w slalomie, konwój jechał od krawężnika do krawężnika, omijając wyrwy w

nawierzchni, rozbite wozy, zabite zwierzęta pociągowe i porzucony sprzęt.

Gdy tylko oddalili się od skrzyżowania, samochody zmniejszyły odstęp i skierowały się do wioski. Mijając kościół, Centaine spostrzegła, że w pokrytej zielonkawą, miedzianą blachą wieżyczce widnieje dziura po pocisku. Dostrzegła także górne gałęzie cisu osłaniającego ich rodzinny grób, ale mogiła Michaela była zasłonięta od strony drogi.

— Anno, chciałabym wiedzieć, czy jeszcze kiedyś tu wrócimy? — szepnęła Centaine. — Obiecałam Michaelowi, że... — Głos jej się załamał.

— Oczywiście, że wrócimy. Dokąd mogłybyśmy się udać? — Głos Anny był przerywany od żalu i szarpania wozu.

Spojrzały obie na podziurawioną wieżyczkę kościółka i czarny słup dymu, który wznosił się nad lasem, znacząc miejsce, gdzie był ich dom.

Konwój sanitarek dogonił tyły głównej kolumny wycofujących się wojsk tuż za wsią, w miejscu, gdzie policja wojskowa ustawiła na drodze tymczasową blokadę. Policja kierowała wszystkich zdolnych do walki żołnierzy do przegrupowania się i utworzenia drugiej linii obrony i przetrząsała wozy w poszukiwaniu dezertersów.

— Sierżancie, czy ta nowa linia ma szansę się utrzymać? — zapytał Bobby Clarke policjanta, który sprawdzał jego dokumenty. — Czy nie moglibyśmy zrobić postoju w wiosce? Niektórzy z moich pacjentów...

Przerwał mu huk pocisku, który trafił w jeden z domków stojących przy drodze. Wciąż znajdowali się w zasięgu niemieckich dział.

— Nikt tego nie może przewidzieć, sir. — Sierżant wręczył mu dokumenty. — Na pana miejscu wycofałbym się aż do głównego szpitala polowego w Arras. Tutaj może być bardzo gorąco.

Tak więc musieli włączyć się w długi ciąg wycofującego się wojska. Przed nimi droga była zablokowana sznurem wozów i kolumnami żołnierzy aż po sam horyzont i konwój zmuszony był dostosować się do powolnego tempa ruchu na drodze.

Sanitarki ruszały jedna za drugą, żeby po przebyciu kilku metrów znowu zatrzymać się i czekać przez nieokreślony czas na możliwość przejechania następnego odcinka. W miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej, w powietrzu panował coraz większy upał, a nad drogą, jeszcze niedawno zabłoconą po wiosennych roztopach, unosiły się tumany kurzu. Z farm nadlatywały roje much i kłębiły się na zakrwawionych bandażach i twarzach rannych, którzy jęczeli z bólu i nieustannie błagali o wodę.

Anna i Centaine poszły poprosić o wodę do jednego z domów stojących przy drodze i stwierdziły, że farma została opuszczona przez właścicieli. Znalazły wiadra na mleko i same napełniły je wodą z pompy. Następnie ruszyły wzdłuż konwoju, podając rannym kubki z wodą. Przecierały twarze rozpalonym od gorączki żołnierzom, pomagały sanitariuszom obmyć ciężko rannych, którzy nie zdołali opanować swych jelit i zrobili pod siebie. Przez cały ten czas starały się okazać pogodę i pewność siebie, dodając rannym otuchy i nie dając po sobie poznać, jak wiele mają powodów do żalu i rozpacz.

Przed nocą konwój przejechał mniej niż dziesięć kilometrów i wciąż dobiegały ich odgłosy zaciętych walk toczących się z tyłu. Sanitarki właśnie stanęły, czekając, aż droga zostanie odblokowana.

— Wygląda na to, że naszym udało się zatrzymać ich pod Mort Homme. — Bobby Clarke zatrzymał się przy Centaine. — Chyba możemy urządzić się tutaj na noc. — Przyjrzał się uważniej twarzy rannego, którym Centaine właśnie się zajmowała. — Bóg jeden wie, że ci biedacy nie wytrzymają dłużej tej jazdy. Potrzebują jedzenia i odpoczynku. Za zakrętem znajduje się farma z dużą

stodołę. Jeszcze nikt jej nie zajął, więc możemy skorzystać z okazji.

Anna wyjęła z worka sznur cebuli i dodała jej do gulaszu z wołowiny w puszkach, który gotowali nad ogniskiem. Podali rannym gulasz z wojskowymi sucharami i kubki mocnej herbaty z zapasów, które wyprosilili od intendentów wojskowych ze stojących na drodze ciężarówek.

Centaine karmiła rannych, którzy byli zbyt słabi, żeby jeść o własnych siłach, a następnie pomagała sanitariuszom zmieniać opatrunki. Upał oraz kurz zainfekowały i zaogniły wiele ran, z niektórych zaczynała wyciekać ropa.

Po północy wysliznęła się ze stodoły i poszła do studni na podwórzu. Była brudna, spocona i marzyła tylko o tym, żeby wymyć się cała i przebrać się w czyste ubranie. Na farmie nie było jednak miejsca, gdzie mogłaby to zrobić w odosobnieniu, a kilka ubrań, które zdążyła zabrać z domu, musiała zachować na potem. Ściągnęła spod spódniczki halkę i majtki, wyprała je pod bieżącą wodą z kranu i rozwiesiła do wyschnięcia na bramie, a następnie umyła zimną wodą twarz i ramiona.

Poczekala, aż nocny wiatr wysuszy jej skórę i założyła na siebie jeszcze wilgotną bieliznę. Przeczesała zmierzwiłone włosy i poczuła się znacznie odświeżona, mimo że oczy miała opuchnięte i zaczerwienione od dymu, piersi przygniatał jej olbrzymi głaz żalu, a ramiona ciążyły ku ziemi od fizycznego wysiłku. Wróciły obrazy ojca otoczonego chmurą dymu i Nuage'a leżącego na trawie, ale Centaine odsunęła je od siebie.

— Dosyć — powiedziała na głos, opierając się o furtkę. — Dosyć na dzisiaj, jutro będę płakać.

— Jutro nigdy nie przychodzi — powiedział w ciemnościach za nią jakiś głos łamaną francuszczyzną. Centaine drgnęła i obróciła się.

— Bobby?

Zobaczyła błysk papierosa i z mroku wyłonił się Bobby, podszedł do niej i oparł się o furtkę.

— Zdumiewająca z ciebie dziewczyna — powiedział już po angielsku. — Mam sześć sióstr, ale jeszcze nigdy nie spotkałem żadnej kobiety podobnej do ciebie. Prawdę mówiąc, to nie spotkałem też wielu mężczyzn, którzy mogliby się z tobą równać.

Centaine milczała, ale kiedy lekarz zaciągnął się papierosem, przyjrzała się uważniej jego twarzy. Był w wieku Michaela, bardzo przystojny. Miał pełne, zmysłowe usta i wyczuła w nim jakąś delikatność, której wcześniej nie zauważyła.

— Przepraszam... — wydawał się skrępowany jej milczeniem. — Nie masz nic przeciw temu, że tak do ciebie mówię? Jeśli wolisz zostać sama, to odejdę.

Centaine pokręciła przecząco głową.

— Nie przeszkadzasz mi.

Przez chwilę oboje milczeli, słuchając odległych głosów bitwy i przypadkowych jęków rannych dochodzących ze stodoły. Bobby palił papierosa.

Wreszcie Centaine poruszyła się i zapytała:

— Pamiętasz tego młodego pilota, który był ranny, gdy pierwszy raz przyjechałeś do pałacyku?

— Oczywiście. Ten chłopak z poparzonym ramieniem. Jak on miał na imię, Andrew?

— Nie, Andrew to był ten drugi, jego przyjaciel.

— Ten szalony Szkot — jasne, że pamiętam.

— Tamten miał na imię Michael.

— Pamiętam ich obu. Co się z nimi stało?

— Michael i ja mieliśmy się pobrać, ale zginął... — jej tłumione głęboko emocje wylały się wreszcie jak struga.

Bobby był obcy i delikatny i Centaine nie miała kłopotów z opowiedzeniem mu wszystkiego w skrywających ich twarze ciemnościach. Opowiedziała mu swoim podstawowym angielskim o

Michaelu i o tym, że chcieli wyjechać razem do Afryki. Powiedziała także o ojcu: jak się zmienił po śmierci matki, jak musiała się nim opiekować i usiłowała powstrzymać go przed nadmiernym pićm. Wreszcie wyjaśniła mu, co się zdarzyło tego ranka w płonącym pałacyku.

— Myślę, że tego właśnie chciał. Ojciec był zmęczony życiem. Wydaje mi się, że chciał umrzeć i znowu być z mamą. Ale teraz nie mam ani jego, ani Michaela. Nie mam nic.

Kiedy skończyła, czuła się wyczerpana i pusta w środku, ale zarazem jakby pogodziła się z losem.

— Przeszłaś przez prawdziwe piekło. — Bobby dotknął jej ramienia. — Tak bardzo chciałbym ci jakoś pomóc.

— Już mi pomogłeś. Dziękuję.

— Może dałbym ci coś na sen, trochę laudanum, odpoczęłabyś po tym.

Centaine poczuła gwałtowną falę rozchodzącą się po jej ciele — pragnienie szybkiego ukojenia, jakie mogłaby znaleźć w zapomnieniu. Uczucie to było tak silne, że aż się przestraszyła.

— Nie — odmówiła z niepotrzebną emfazą. — Nic mi nie będzie. — Zauważyła, że drży cała. — Robi się już późno i jest mi zimno. Dziękuję, że zechciałeś mnie wysłuchać.

Anna rozwiesiła koc jako zasłonę w jednym końcu stodoły i zrobiła dla nich materace ze słomy. Centaine zapadła natychmiast w głęboki sen i kiedy obudziła się o świcie, była cała spocona i miała mdłości.

Nieprzytomna jeszcze od snu wyszła na dziedziniec i zdążyła dojść do kamiennego murku na końcu dziedzińca, zanim schwyciły ją torsje i zwymiotowała żółcią. Kiedy wyprostowała się i otarła usta, opierając się ciężko o ścianę, zobaczyła, że Bobby Clarke stoi obok i przygląda jej się z niespokojną miną. Podeszedł do dziewczyny i wziął ją za nadgarstek, by sprawdzić puls.

— Myślę, że powinienem cię zbadać — powiedział.

— Nie. — Centaine poczuła się niepewnie.

Ta nagła słabość zmartwiła ją, gdyż nigdy dotąd nie chorowała i była bardzo silna. Przestraszyła się, że Bobby znajdzie u niej jakąś straszną chorobę.

— Nic mi nie jest, naprawdę.

Bobby zaprowadził ją jednak do najbliższej sanitarki i spuścił brezent, żeby zapewnić im odosobnienie.

— Połóż się.

Ignorując wszelkie protesty, rozpiął jej bluzkę i zaczął osłuchiwać klatkę piersiową. Jego zachowanie było tak wyraźnie profesjonalne, że Centaine bez dalszych oporów poddała się badaniu — siadała, kasłała i oddychała głęboko.

— Teraz zbadam cię ginekologicznie — powiedział. — Czy chcesz, żeby twoja opiekunka była przy tym obecna?

Centaine potrząsnęła głową i Bobby polecił:

— Zdejmij spódnicę i bieliznę.

Kiedy skończył, zawiązał swoje instrumenty w rulon i zawiązał tasiemki, nie patrząc, jak Centaine ubiera się pośpiesznie. Wreszcie spojrział na nią z tak szczególnym wyrazem twarzy, że poczuła strach.

— Czy to coś poważnego? Pokiwał głową.

— Centaine, twój narzeczony nie żyje. Tak mi powiedziałaś dziś w nocy.

Skinęła w milczeniu głową.

— Jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby mieć absolutną pewność, bardzo wcześnie — ale jestem przekonany, że będziesz potrzebować ojca dla dziecka, które nosisz.

Centaine odruchowo zasłoniła brzuch w opiekuńczym geście.

— Znam cię dopiero od kilku dni, ale jednocześnie dostatecznie długo, żeby zorientować się, że zakochałem się w tobie. Byłbym zaszczycony... — przerwał, gdyż Centaine nie słyszała go.

— Michael — szepnęła. — Dziecko Michaela. Więc nie straciłam wszystkiego. Mam w sobie cząstkę Michaela.

Centaine zjadła kanapkę z szynką i serem, którą przyniosła jej Anna, z takim apetytem, że stara opiekunka przyjrzała się jej uważnie.

— Czuję się znacznie lepiej — uprzedziła ewentualne pytania.

Wraz z Anna pomogły nakarmić żołnierzy i przygotować ich do całodziennej jazdy. Dwaj szczególnie ciężko ranni zmarli w nocy i sanitariusze pochowali ciała w płytkich grobach na skraju pola, a następnie ciężarówki włączyły się w strumień wozów i ludzi na głównej drodze.

W nocy zator na drodze został częściowo rozładowany, gdyż armia otrząsnęła się z chaosu i zaczęła się organizować. Ruch nadal odbywał się bardzo powoli, ale nie było już tyle dłużących się postojów. W miarę posuwania się naprzód konwój napotykał pośpiesznie zorganizowane punkty z zapasami i wysunięte punkty dowodzenia.

W czasie postoju na skraju malutkiej wioski na wpół zasłoniętej przez drzewa i winorośl, Centaine wypatrzyła samoloty stojące na skraju winnicy.

Wspięła się na tył ciężarówki, żeby mieć lepszą widoczność, i w tej samej chwili eskadra samolotów wystartowała z lotniska i przeleciała nisko nad drogą.

Centaine z trudem ukryła rozczarowanie na widok brzydkich dwuosobowych samolotów zwiadowczych De Havilland. Spodziewała się ujrzeć piękne SE5a z eskadry Michaela. Pomachała lecącym, a jeden z pilotów spojrział w dół i także do niej pomachał.

Zdarzenie to wprawiło dziewczynę w lepszy nastrój i kiedy wróciła do swoich obowiązków, czuła się silniejsza i pewniejsza siebie. Zaczęła nawet żartować z rannymi, posługując się swą prostą angielszczyzną, co przyjęli oni z nieklamana radością. Jeden z żołnierzy nazwał ją „Promyczkiem” i określenie to szybko obiegiło wszystkie sanitarki.

Bobby Clarke zatrzymał Centaine, gdy mijała go, przechodząc od jednego rannego do drugiego.

— Wspaniała robota — uważaj jednak, żebyś się nie przemęczała.

— Nic mi nie będzie, nie musisz się o mnie martwić.

— I tak nic nie mogę na to poradzić. — Zniżył głos. — Czy zastanawiałaś się nad moją propozycją? Kiedy dasz mi odpowiedź?

— Nie teraz, Bobby. — Centaine wymawiała jego imię, akcentując jednakowo obie sylaby: „Bob-bee”, i za każdym razem był oczarowany. — Później porozmawiamy — ale jesteś bardzo miły, naprawdę.

Droga ponownie stała się nieprzejezdna, gdyż armia wysyłała wszystkie rezerwy do wzmocnienia nowej linii frontu pod Mort Homme. Mijały ich nie kończące się kolumny maszerujących żołnierzy w stalowych hełmach, pomiędzy którymi jechały baterie dział i rzędy ciężarówek z zapasami.

Sanitarki musiały całymi godzinami czekać na poboczu lub jechać bocznymi drózkami, gdy szosą napływały nowe fale wojska.

— Niedługo będę musiał odesłać sanitarki — powiedział Bobby Centaine w czasie jednego z postojów. — Potrzebne są na polu bitwy. Jak tylko znajdziemy jakiś szpital polowy, zostawię tam naszych rannych.

Centaine skinęła głową i chciała podejść do następnego wozu, z którego jeden z żołnierzy wołał ją cichym głosem:

— Promyczku, czy mogłabyś mi pomóc się podnieść? Bobby schwycił ją za nadgarstek.

— Centaine, gdy dojedziemy do szpitala, będzie w nim kapelan wojskowy. Potrzebujemy tylko kilku minut, żeby....

Centaine obdarzyła go swoim nowym uśmiechem i dotknęła palcami nie ogolonego policzka.

— Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, Bobby, ale ojcem mojego dziecka jest Michael. Myślałam o tym, co mi powiedziałaś. Nie potrzebuję innego ojca dla mojego dziecka.

— Centaine, nic nie rozumiesz! Co inni sobie pomyślą? Dziecko bez ojca, młoda matka bez męża — co ludzie o tobie powiedzą?

— Tak długo, jak mam moje dziecko, tak długo — jak to się mówi po angielsku? — guzik mnie obchodzą! Mogą mówić, co im się tylko podoba. Jestem wdową po Michaelu Courteneyu.

Późnym wieczorem na przedmieściu Arras znaleźli szpital polowy.

Na środku pola stały dwa olbrzymie namioty oznaczone czerwonymi krzyżami, które pełniły rolę sal operacyjnych. Wokół nich rozstawiono w nieładzie szalasy mające pomieścić setki rannych czekających na zabiegi. Schronienia były zbudowane z brezentu narzuconego na drewniane lub metalowe ramy wykonane z materiałów pozbieranych z okolicznych farm.

Anna i Centaine pomogły wyładować z sanitarek nosze z rannymi i zanieść je do jednego z zatłoczonych pomieszczeń, a następnie zabrały własny bagaż z dachu ciężarówki. Jeden z pacjentów zauważył, że szykują się do odejścia.

— Promyczku, chyba nie zamierzasz nas opuścić? Słyszac to, inni żołnierze dołączyli się do protestu.

— Co my bez ciebie pocniemy, Promyczku?

Centaine przeszła ostatni raz pomiędzy swymi podopiecznymi, uśmiechając się do każdego, żartując z nimi i całując brudne, wykrzywione od bólu twarze. Wreszcie, nie mogąc dłużej znieść rozstania, pobiegła do Anny.

Wzięły torbę podróżną i worek Anny i ruszyły przed siebie wzdłuż konwoju sanitarek, które właśnie uzupełniały paliwo, szykując się do drogi powrotnej.

Bobby Clarke czekał już na nie i podbiegł do Centaine.

— Musimy wracać na pole bitwy, rozkaz majora Sinclaira.

— Au revoir, Bobby.

— Nigdy cię nie zapomnę, Centaine.

Centaine wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Mam nadzieję, że to będzie chłopak — szepnął jej w ucho Bobby.

— To będzie chłopiec — odpowiedziała poważnie Centaine. — Jestem tego pewna.

Konwój ambulansów ruszył w drogę na północ, Bobby Clarke pomachał na pożegnanie i zawołał coś, czego Centaine nie usłyszała, gdyż porwała już ich rzeka maszerujących żołnierzy i samochodów.

— Co teraz zrobimy? — zapytała niepewnie Anna.

— Będziemy szły dalej — odparła Centaine.

Jakoś niezauważalnie Centaine przejęła dowodzenie i Anna, która stawała się coraz bardziej niezdecydowana z każdym kilometrem dzielącym je od Mort Homme, posłusznie podążyła za swą wychowanką. Szybko zostawiły za sobą rozrzucony szpital polowy i skierowały się na południe.

Ponad drzewami Centaine dojrzała na tle wieczornego nieba dachy i wieżyczki Arras.

— Spójrz, Anno! — wskazała na niebo. — Gwiazda wieczorna — możemy wyrazić jakieś życzenie. Czego byś pragnęła?

Anna spojrzała na nią poważnie. Co naszło tę dziewczynę? Zaledwie dwa dni wcześniej była świadkiem śmierci ojca i patrzyła, jak umiera jej ukochany koń, a teraz objawiało się w niej nagle

tyle nieustraszonej pogody ducha. Wydawało się to aż nienaturalne.

— Chciałabym się wykapać i zjeść gorący posiłek.

— Och, Anno, zawsze wymyślasz takie niemożliwe rzeczy. — Centaine uśmiechnęła się do niej przez ramię, przekładając ciężką torbę do drugiej ręki.

— A czego ty byś sobie życzyła? — zapytała z wyzwaniem Anna. — Chciałabym, żeby gwiazda zaprowadziła nas do generała, jak zaprowadziła trzech królów...

— Nie bluźnij, dziecko.

Anna była jednak zbyt zmęczona i niepewna siebie, żeby jej wymówka była skuteczna.

Centaine dobrze знаła miasto, gdyż tutaj właśnie chodziła do szkoły prowadzonej przez zakonnice. Było już ciemno, kiedy dotarły do centrum miasta. Wojna zostawiła widoczne blizny na siedemnastowiecznej flamandzkiej architekturze miasteczka. Malownicza siedziba władz miejskich była podziurawiona odłamkami, a część dachu się zawaliła. Wiele z ceglanych domów otaczających główny rynek nie miało dachów, stały opuszczone, choć w niektórych oknach migotało światło świec. Bardziej uparci mieszkańcy wrócili do swoich domostw, gdy tylko przetoczyły się fale wojny.

Podczas ostatniej wizyty w miasteczku z Michaeliem Centaine nie zapamiętała drogi do klasztoru, w którym znajdował się sztab generała Courteneya, i nie mogła trafić tam po ciemku, zostały więc na noc w jednym z opuszczonych domków. Na kolację zjadły ostatnie resztki wyschniętego chleba z serem z zapasów Anny i wykorzystując torbę podróżną w charakterze poduszki, przytuliły się do siebie i zasnęły na gołej podłodze.

Rankiem Centaine odnalazła wreszcie drogę prowadzącą do klasztoru. Obawiała się, że budynek będzie pusty, przed główną bramą stał jednak strażnik.

— Przepraszam, panienko, ale to teren wojskowy. Nikt tu nie może wejść.

Centaine przekonywała właśnie strażnika, żeby je wpuścił, gdy alejką nadjechał czarny rolls i zahamował gwałtownie przed bramą. Wóz był oblepiony błotem i zakurzony, a drzwi z jednej strony przecinała głęboka rysa.

Strażnik od razu rozpoznał ozdobiony proporczykiem samochód i dał znak czarnemu kierowcy, że może przejechać. Rolls ruszył przez wysoką bramę, Centaine zaś rzuciła się za nim pędem, wołając na cały głos. Na tylnym siedzeniu rozpoznała młodego oficera, którego poznała w czasie poprzedniej wizyty.

— Poruczniku Pearce!

Na szczęście przypomniała sobie jego nazwisko i młody oficer obejrzał się ze zdziwieniem, które przemieniło się w zaskoczenie, gdy ją rozpoznał. Nachylił się szybko do kierowcy i rolls zahamował ostro, a następnie ruszył na wstecznym biegu.

— Mademoiselle de Thiry! — John Pearce wyskoczył z samochodu i podbiegł do niej. — Ostatnia osoba, której mógłbym się spodziewać. Na Boga, co pani tu robi?

— Muszę się zobaczyć z wujkiem Michaela, generałem Cour-teneyem. To bardzo ważne.

— Niestety, nie ma go teraz w kwaterze — poinformował ją młody oficer. — Proszę jednak wejść do środka. Generał powinien wrócić niedługo, a tymczasem znajdę miejsce, gdzie będzie pani mogła odpocząć i coś zjeść. Widzę, że pani tego potrzebuje. — Wziął od Centaine torbę podróżną. — Proszę za mną. Czy ta kobieta jest z panią?

— To Anna, moja służąca.

— Może usiąść z przodu obok Sangane. — Porucznik pomógł Centaine wejść do samochodu. — Niemcy dali nam niezły wycisk w ciągu ostatnich kilku dni — zajął miejsce obok dziewczyny na miękkiej skórze — i wygląda na to, że panie także tego doświadczyły.

Centaine spojrzała po sobie: jej ubranie było zakurzone i wymięte, ręce brudne, a za paznokciami

miała czarne obwódki. Mogła się tylko domyślać, jak wyglądają jej włosy.

— Właśnie wróciłem z frontu. Generał Courteney pojechał tam, żeby zorientować się w sytuacji. — John Pearce grzecznie odwrócił wzrok, gdy Centaine próbowała pośpiesznie doprowadzić włosy do porządku. — Generał lubi być na pierwszej linii — staremu wydaje się, że walczy na wojnie burskiej. Dojechalismy tylko do Mort Homme...

— To moja wioska.

— Już nie — powiedział ponuro porucznik. — Teraz jest zajęta przez Niemców, przynajmniej częściowo. Nowa linia frontu biegnie na północ od wsi i domy są pod nieustannym ostrzałem. Większość z nich została już zburzona — nie poznałaby pani teraz swojej wioski.

Centaine skinęła głową.

— Mój dom został zbombardowany i spalony.

— Bardzo mi przykro. — John Pearce spiesznie mówił dalej: — Wygląda na to, że tym razem uda się ich zatrzymać. Generał Courteney jest przekonany, że powstrzymamy Niemców pod Mort Homme...

— Gdzie jest generał?

— Na zebraniu sztabu w dowództwie dywizji. Wróci przed wieczorem. O, już jesteśmy na miejscu.

John Pearce znalazł im pustą celę zakonników i kazał ordynansowi przynieść posiłek i dwa wiadra ciepłej wody. Kiedy zjadły, Anna zdjęła z Centaine całe ubranie i ustawivszy dziewczynę przy jednym z wiader, umyła ją dokładnie gąbką.

— Och, jak cudownie!

— Przynajmniej raz obyło się bez krzyków — mruknęła Anna. Wytarła Centaine swoją halką, pomogła jej założyć czystą koszulę i wzięła się do rozczesywania włosów. Gęste loki były zupełnie skołtunione.

— Oh la la, Anno, to boli!

— Wiedziałam, że zaczniesz jęczeć — westchnęła Anna.

Kiedy skończyła czesać Centaine, kazała jej położyć się na łóżku i odpocząć, a sama wymyła się i uprała bieliznę obu. Centaine nie mogła jednak uleżeć spokojnie, usiadła na łóżku i objęła rękami kolana.

— Kochana Anno, mam dla ciebie wspaniałą niespodziankę... Anna zaplotła włosy w gruby warkocz i upięła go w kok.

— „Kochana Anno”, tak? No, to musi być rzeczywiście wspaniała wiadomość.

— Och tak! Noszę dziecko Michaela!

Anna zamarła. Z jej szorstkiej twarzy odbiegła krew i szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma patrzyła na Centaine, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa.

— To będzie chłopiec, jestem tego pewna. Czuję to. Będzie taki jak Michael!

— Jak możesz być pewna? — wykrztusiła wreszcie Anna.

— Wiem to. — Centaine uklękła przed nią i podciągnęła do góry spódnice. — Spójrz tylko na mój brzuch — widzisz, Anno?

Jej gładki brzuch był tak samo płaski jak zawsze. Centaine wypychała go do przodu z całych sił.

— Widzisz, Anno? Może nawet będę miała dwojaczki? Ojciec Michaela i generał byli bliźniakami. To może być rodzinne — tylko pomyśl o tym, dwóch chłopaków, takich jak Michael!

— Nie. — Zaszokowana Anna pokręciła głową. — To jeden z twoich wygłupów. Nie uwierzę, że ty i zwykły żołnierz...

— Michael nie był żołnierzem, był... — zaczęła Centaine, ale Anna nie zwracała na nią uwagi.

— Nigdy nie uwierzę, że córka rodu de Thiry pozwoliła się wykorzystać pierwszemu lepszemu żołnierzowi jak jakaś pokojówka.

— Pozwoliła? — Centaine z gniewem opuściła spódnicę. — Na nic mu nie pozwalałam, sama mu w tym pomogłam! Z początku nie wiedział, co robić, i musiałam nim pokierować, ale później bardzo dobrze dał sobie radę.

Anna zasłoniła rękami uszy.

— Nie wierzę, nie chcę tego nawet słuchać. Nauczyłam cię, jak być damą; nie mogę tego znieść!

— A jak myślisz, co robiliśmy w nocy, kiedy wychodziłam do niego — wiesz dobrze, że wychodziłam — ty i tata przyłapaliście mnie na tym.

— Dziecko! — jęknęła Anna. — On cię wykorzystał...

— Bzdura, Anno. Bardzo mi się to podobało. Uwielbiałam wszystko, co ze mną robił.

— Nie, nie! Nie wierzę ci! Zresztą skąd możesz wiedzieć? Jest zbyt wcześnie. Tylko sobie żartujesz ze starej Anny. Jesteś złośliwa i okrutna.

— Wiesz dobrze, że pochorowałam się rano.

— To jeszcze niczego nie...

— Zbadał mnie ten lekarz, Bobby Clarke. To on mi powiedział.

Anna musiała wreszcie umilknąć, pozbawiona argumentów. Nie mogła zamykać oczu na tak oczywistą prawdę: Centaine wychodziła w nocy, miała rano torsje, a Anna podświadomie wierzyła w nieomyślność lekarzy. A teraz także owa dziwna i nienaturalna pogoda ducha, jaką zachowała mimo wszelkich przeciwności. To były niezaprzeczalne fakty.

— Więc to prawda — poddała się. — Co my teraz zrobimy? O Boże, ochroń nas od skandalu i hańby! Co teraz będzie?

— Co będzie? — Centaine roześmiała się z jej teatralnych lamentacji. — Będziemy miały najpiękniejsze na świecie dziecko, a może nawet dwoje, jeśli dopisze nam szczęście. Będę potrzebowała twojej pomocy, żeby się nimi zająć. Przecież nie zostawisz mnie, Anno? Nic nie wiem o noworodkach, a ty wiesz wszystko.

Pierwszy szok szybko minął i Anna przestała zastanawiać się nad hańbą i skandalem, a zaczęła myśleć o prawdziwym, żywym dziecku. Minęło już ponad siedemnaście lat, odkąd doświadczyła tego szczęścia. Teraz w cudowny sposób znowu obiecano jej niemowlę. Centaine dostrzegła zmianę w nastawieniu Anny — pierwsze echa instynktu macierzyńskiego.

- Pomożesz mi przy dziecku. Nie zostawisz nas teraz, kiedy cię potrzebujemy, ja i ono! Anno, obiecaj mi, proszę, obiecaj mi.

I Anna rzuciła się ku swej dziewczynce, porwała ją w ramiona i z całych sił przycisnęła do piersi, a Centaine śmiała się z radości w jej stalowym uścisku.

Było już po zachodzie słońca, gdy John Pearce zapukał do drzwi ich celi.

— Mademoiselle de Thiry, generał właśnie wrócił. Powiedziałem, że pani jest tutaj, i generał pragnie zobaczyć się z panią jak najszybciej.

Centaine podążyła za adiutantem do dużego refektarza, w którym urządzono punkt dowodzenia regimentu. W sali panowała atmosfera pełna napięcia. Kilku oficerów zajętych było studiowaniem dokładnej mapy rozłożonej na jednym ze stołów. Mapa była poznaczona kolorowymi szpilkami. Oficerowie podnieśli głowy na widok Centaine, ale nawet młodej i ładnej dziewczynie nie mogli poświęcić więcej niż kilka sekund uwagi i szybko wrócili do pracy.

Generał Courteney stał odwrócony tyłem w końcu pokoju. Jego mundur, ozdobiony czerwonymi patkami, insygniami i medalami, wisiał na poręczy krzesła, na którym postawił nogę. Z łokciem opartym na kolanie słuchał z wyraźnym gniewem niewyraźnego głosu w słuchawce.

Sean miał na sobie wełnianą koszulę z ciemnymi plamami potu pod pachami i wspaniale haftowanymi pętelkami, ozdobioną na ramionach wyszywanymi jeleniami i psami myśliwskimi. Żuł nie zapalone cygaro hawajskie i w pewnej chwili ryknął do telefonu, nie wyjmując cygara z ust.

— To zwykle pieprzenie! Byłem tam dwie godziny temu, więc wiem! Potrzebuję jeszcze co najmniej czterech baterii dwudziestekpiątek, żeby zapchać tę dziurę, i muszę je dostać przed świtem. Niech pan nie szuka wymówek, tylko załatwi je i poinformuje mnie, kiedy będą gotowe! — Trzasnął słuchawką o widelki i dopiero wtedy zobaczył Centaine. — Moja droga. — Jego głos zmienił się w jednej chwili; generał podszedł szybko i wziął ją za rękę. — Martwiłem się o panią. Pałac został całkowicie zburzony. Nowa linia frontu biegnie kilometr za domem... — Urwał i przez chwilę przyglądał się jej bacznie. To, co zobaczył, musiało go upewnić w podejrzeniach. — Pani ojciec?

Centaine skinęła głową.

— Zginął w czasie bombardowania.

— Tak mi przykro — powiedział po prostu Sean i zwrócił się do Johna Pearce'a. — Zaprowadź miss de Thiry do mojej kwatery. — Obrócił się do niej. — Przyjdę do pani za pięć minut.

Pokój generała otwierał się na główny refektarz, tak że przy otwartych drzwiach Sean mógł się wyciągnąć na łóżku i mieć jednocześnie oko na wszystko, co działo się w punkcie dowodzenia. Pokój nie był przeładowany meblami: łóżko, biurko z dwoma krzesłami i szafka stojąca przy nogach łóżka.

— Mademoiselle, zechce pani usiąść.

John Pearce podsunął jej krzesło. Czekając na generała, Centaine rozglądała się dokoła. Jedyne przedmioty zwracające na siebie uwagę znajdowały się na biurku. W rogu stała składana ramka na zdjęcia, której jedną połowę zajmowało zdjęcie dojrzałej kobiety o ciemnej karnacji żydowskiej piękności. Dolny róg zdjęcia przecinał na skos napis:

„*Wracaj bezpiecznie do domu, do kochającej żony, Ruth*”.

Druga połowa ramki mieściła zdjęcie dziewczyny w wieku Centaine. Podobieństwo do starszej kobiety było uderzające — najpewniej była to matka i córka — ale urodę dziewczyny psuł nadąsany wyraz twarzy; delikatne usta wykrzywiały wyzywający grymas i Centaine pomyślała, że ta nieznajoma wcale jej się nie podoba.

— Moja żona i córka — powiedział od progu Sean Courteney. Założył mundur i idąc zapinał guziki. — Jadłaś już coś? — zapytał, siadając ciężko na krześle naprzeciw Centaine.

— Tak, dziękuję.

Centaine wstała, wzięła z biurka srebrne pudełko z zapalnikami, wyjęła jedną i podsunęła generałowi, żeby mógł zapalić cygaro. Sean spojrział na nią zdziwiony, szybko się nachylił i pociągnął kilka razy cygaro nad płomykiem, wypuszczając dym ustami. Kiedy już się zapaliło, oparł się o poręcz krzesła i powiedział:

— Moja córka Storm zawsze robi to dla mnie.

Centaine zdmuchnęła zapalnik, usiadła na krześle i odczekała chwilę, pozwalając mu się nacieszyć smakiem hawańskiego cygara. Generał postarzał się od ich ostatniego spotkania — a może był po prostu bardzo zmęczony, pomyślała.

— Kiedy pan ostatnio spał? — zapytała i Sean uśmiechnął się. Nagle wyglądał o trzydzieści lat młodziej.

— Zupełnie jakbym słyszał moją żonę.

— Jest bardzo piękna.

— Tak. — Sean skinął głową i spojrział na zdjęcie, a następnie znowu na Centaine. — Straciłaś wszystko — powiedział.

— Pałac, który był moim domem — i mojego ojca. Starala się zachować spokój i nie pokazać

po sobie bólu.

— Oczywiście masz jeszcze jakąś rodzinę?

— Zgadza się — przyznała. — Mój wujek mieszka w Lyonie i mam dwie ciotki w Paryżu.

— Zorganizuję ci przejazd do Lyonu.

— Nie.

— Dlaczego?

Spojrzał na nią, zaciekawiony nagłą odmową.

— Nie chcę jechać ani do Lyonu, ani do Paryża. Postanowiłam pojechać do Afryki.

— Do Afryki? — Teraz Sean był zaskoczony. — Dobry Boże, czemu do Afryki?

— Ponieważ obiecałam Michaelowi — oboje sobie obiecaliśmy, że pojedziemy do Afryki.

— Ależ, moja droga...

Opuścił wzrok i przyjrzał się popiołowi na końcu cygara. Zobaczyła ból wywołany wspomnieniem Michaela, przez chwilę dzieliła go z Seanem i wreszcie powiedziała:

— Chciał pan powiedzieć: „ale Michael nie żyje”. Skinął głową.

— Tak — potwierdził szeptem.

— Przynależałam Michaelowi coś jeszcze. Obiecałem, że jego syn urodzi się w afrykańskim słońcu.

Sean wolno podniósł głowę i spojrzał na nią oszołomiony.

— Syn Michaela?

— Jego syn.

— Nosisz dziecko Michaela?

— Tak.

Seanowi cisnęły się na usta wszystkie głupie i przyziemne pytania: „Jesteś pewna?” „Jak możesz mieć pewność?” „Skąd mogę wiedzieć, czy to dziecko Michaela?” Udało mu się z trudem powstrzymać przed ich wypowiedzeniem. Potrzebował jednak chwili do namysłu, żeby przyjąć do wiadomości to dziwne zrzędzenie losu.

— Przepraszam. — Poderwał się z krzesła i wyszedł kuśtykając do pokoju operacyjnego. — Czy uzyskaliśmy już kontakt z trzecim batalionem? — rzucił pytanie do grupy oficerów.

— Mieliliśmy łączność przez minutę i znowu ją straciliśmy. Są gotowi do kontrataku, sir, ale potrzebują wsparcia artyleryjskiego.

— Połącz mnie jeszcze raz z tymi cholernymi specami od ostrzału i spróbuj nawiązać kontakt z Caithnessem. — Obrócił się do innego oficera sztabowego. — Roger, co się dzieje z Pierwszą?

— Żadnych zmian, sir. Odparli dwa ataki, ale cały czas dostają potężne baty od niemieckiej artylerii. Pułkownik Stevens twierdzi, że się utrzymają.

— Podoba mi się ten Stevens — powiedział Sean.

Przypominało to próby zatkania garstkami ziemi tamy powstrzymującej wzburzony ocean, ale jakoś im się to udawało i z każdą godziną niemiecka ofensywa słabła.

— Najważniejsze są działa, jeśli tylko uda nam się je szybko zdobyć. Jak wygląda ruch na drodze?

— Trochę się zmniejszył, sir.

Jeśli tylko udałoby się przesunąć dwudziestkipiątki i przed świtem zatkać nimi kolejną lukę, to nieprzyjaciel drogo by zapłacił za dotychczasowe zdobycze. Mieliby Niemców w pułapce, mogliby uderzyć na nich z trzech stron i zasypać pociskami.

Sean poczuł, jak opada w nim napięcie. To była wojna artylerii i wszystko sprowadzało się do przewagi w działach. Oceniał stopień i ryzyka i kosztów, kalkulował i wydawał rozkazy, ale

jednocześnie gdzieś w głębi duszy prowadził jeszcze inną kalkulację. Myślał o dziewczynie i o tym, co mu powiedziała.

Przede wszystkim musiał opanować swe naturalne reakcje na tę wiadomość. Sean urodził się w epoce wiktoriańskiej i oczekiwał od wszystkich ludzi — a zwłaszcza od swojej rodziny — że jej członkowie będą żyli zgodnie z zasadami ustalonymi jeszcze w poprzednim wieku. Oczywiście, młodzi mężczyźni powinni się wyszumieć — on sam z pewnością nie był świętoszkiem za młodu — uśmiechnął się przy tym na wspomnienie tamtych czasów. Jednak przyzwoici młodzieńcy powinni zostawić w spokoju przyzwoite panny aż do czasu ślubu.

Jestem zaszokowany, przyznał się przed sobą i znowu się uśmiechnął. Oficerowie stojący przy stole operacyjnym spojrzeli po sobie zdziwieni i zaniepokojeni. Co stary znowu wymyślił? Wymienili nerwowe spojrzenia.

— Jest już to połączenie z pułkownikiem Caithnessem?

Sean ukrył uśmiech pod srogim spojrzeniem i od razu wszyscy wrócili posłusznie do swoich obowiązków.

Jestem zaszokowany, powtórzył w myślach Sean, wciąż rozbawiony swoją reakcją, tyle że teraz starał się przybrać obojętny wyraz twarzy. A przecież Michael był nieślubnym dzieckiem, owocem jednej z twoich eskapad. Twoim pierworodnym... Wróciło uczucie bólu wywołane wspomnieniem syna, ale Sean szybko je odsunął od siebie.

Dobrze, ale co z nią? — zaczął się zastanawiać. Czy naprawdę jest w ciąży, czy też to tylko zwykły szantaż? Potrzebował kilku sekund, żeby podjąć decyzję.

Nie mogę aż tak bardzo mylić się w swojej ocenie tej dziewczyny. Ona naprawdę wierzy, że jest w ciąży. Oczywiście istniały obszary żeńskiej anatomii i rejony kobiecej mentalności, które dla Seana były zupełnie obce i niepojęte, nauczył się jednak w życiu, że kiedy dziewczyna jest przekonana, iż zaszła w ciążę, to ani chybi to prawda. Sean nie miał pojęcia, skąd mogła to wiedzieć, ale gotów był jej uwierzyć. W porządku, jest więc w ciąży, ale czy to dziecko Michaela, a nie jakiegoś innego młodego...

Znowu nie musiał się długo zastanawiać, żeby oddalić od siebie te podejrzenia. To dziewczyna z porządnej rodziny, pilnie strzeżona przez ojca i tego smoka opiekunkę. W jaki sposób Michael i ona zdołali to zrobić, nie mam pojęcia... Omal znowu się nie uśmiechnął na wspomnienie, jak często on sam w młodości dawał sobie radę mimo równie przeciwnych okoliczności. Pomysłowość zakochanych młodych. Pokręcił głową. W porządku, wierzę jej. To dziecko Michaela. Syn Michaela!

Dopiero teraz pozwolił sobie na radość. Syn Michaela! Częstka Michaela nadal żyje. Szybko się opanował. Tylko spokojnie, nie szalej. Dziewczyna chce jechać do Afryki, ale co ja mam z nią tam począć? Nie mogę zabrać jej do Emoyeni. Na chwilę mignął mu przed oczyma obraz pięknego domu na wzgórzu. Emoyeni — „miejsce wiatrów” w języku zulu — dom, który zbudował dla swojej żony. Naszło go ogromne pragnienie, żeby znaleźć się tam teraz z nią, w ich domu. Musiał opanować to uczucie, żeby zająć się obecnymi sprawami.

Trzy piękne kobiety, dumne i o silnej woli, żyjące pod jednym dachem. Instynktownie wiedział, że ta piękna Francuzka i jego ukochana, ale rozpieszczona córeczka walczyłyby ze sobą jak dzikie kotki. Pokręcił głową. Na Boga, to idealny przepis na katastrofę, a nawet nie byłbym tam, na miejscu, żeby przełożyć je przez kolano. Muszę wymyślić coś mądrzejszego. Co, u diabła, mam zrobić z tą ciężarną Francuzeczką?

— Sir! Sir! — zawołał jeden z oficerów, podając Seanowi słuchawki telefonu polowego. — Udało mi się połączyć z pułkownikiem Caithnessem.

Sean porwał słuchawki.

— Douglas! — warknął do mikrofonu.

Połączenie było bardzo słabe, zakłócanie trzaskami i szumami, a głos Douglasa Caithnessa zdawał się dobiegać zza morza.

— Generale, właśnie przybyły działa...

— Dzięki Bogu — odetchnął z ulgą Sean.

— Rozstawiłem je... — Caithness przeczytał współrzędne z mapy. — Już otworzyły ogień i wygląda na to, że Hunowie stracili ochotę do walki. Mam zamiar uderzyć na nich przed świtem.

— Douglas, bądź ostrożny, za tobą nie ma żadnych rezerw, a ja nie będę mógł ci zapewnić wsparcia przed południem.

— W porządku, przyjąłem, ale nie możemy im pozwolić na przegrupowanie sił pod naszym bokiem.

— Jasne, że nie — zgodził się Sean. — Informuj mnie na bieżąco. Wysyłam jeszcze cztery baterie i oddziały drugiego batalionu, ale nie dotrą do ciebie przed południem.

— Dzięki, sir, przydadzą nam się.

— Trzymaj się, stary. — Sean oddał słuchawki i kiedy przyglądał się, jak kolorowe szpilki są przemieszczane na mapie, przyszło mu do głowy rozwiązanie problemu osobistego.

Garry... Pomyślał o swoim rodzonym bracie i poczuł znajome poczucie winy i współczucie. Garrick Courteney, brat, którego Sean okaleczył.

Zdarzyło się to przed wielu laty, a jednak każdy szczegół tego okropnego dnia był tak żywy w pamięci Seana, jakby tragedia miała miejsce poprzedniego dnia. Dwaj bracia, wtedy kilkunastoletni chłopcy, wrywali sobie strzelbę, którą zabrali po kryjomu z pokoju z bronią ojca i załadowali pociskami z grubym śrutem. Znajdowali się na porośniętych złocistą trawą wzgórzach Zululandu.

— Ja pierwszy zobaczyłem inkonka — zaprotestował Garry. Wybierali się na polowanie na starego byka, którego legowisko odkryli poprzedniego dnia.

— Ale to ja pomyślałem o strzelbie — odparł Sean, przyciągając do siebie broń — więc ja będę strzelać.

Jak zawsze Sean wygrał. Garry wziął Tinkera, ich kundlowatego psa myśliwskiego, i okrążył gęsty zagajnik, w którym skryła się antylopa, żeby wypłoszyć ją na czekającego ze strzelbą Seana.

Seana dobiegły stłumione okrzyki dochodzące z dołu wzgórza i ujadanie Tinkera, który trafił na ślad byka. W trawie coś się poruszyło i wysokie, długie łodygi rozchyliły się gwałtownie, gdy inkonka wystrzelił z zagajnika kierując się prosto na leżące na szczycie wzgórza Seana.

W promieniach słońca byk wydawał się olbrzymi, gdyż w panice zjeżyła mu się grzywa na karku, a ciemna głowa z ciężkimi spiralnymi rogami była wysoko uniesiona. Miał z metr wysokości w kłębie, ważył ponad sto kilo, a jego boki były gładkie i ozdobione delikatnym wzorem, jasnym niczym żyłki kredy na czerwonej ziemi. Był to wspaniały okaz, szybki i silny, z ostrymi niczym noże rogami, którymi potrafił rozorać człowiekowi brzuch, czy przebić tętnicę udową — i pędził prosto na Seana.

Sean wystrzelił z górnej lufy — zwierzę było już tak blisko, że gruby śrut trafił zwartą kulą w piersi i rozerwał płuca i serce. Antylopa ryknęła i padła na ziemię, kopiając powietrze i brocząc krwią, a jej ostre kopyta uderzały w sterczące kamienie, gdy ześlizgiwała się po stoku.

— Trafiłem! — zawył Sean, wyskakując z kryjówki. — Trafiłem za pierwszym strzałem. Garry! Mam go!

Garry gnał z Tinkerem przez wysoką trawę w stronę szczytu wzgórza. Zaczęli się ścigać, kto pierwszy dopadnie rannego zwierzęcia. Sean, który wciąż miał nabój w drugiej lufie i odciągnięty kurek, potknął się w pewnej chwili na obluzowanym kamieniu i poleciał na ziemię, a strzelba

wyśliznęła mu się z ręki. Uderzył ramieniem o skałę i broń wypaliła z ogłuszającym hukiem.

Kiedy Sean podniósł się z ziemi, Garry siedział obok martwego byka i wył z bólu. Cały śrut z naboju na grubego zwierza trafił go z bliskiej odległości w nogę poniżej kolana. Mięśnie łydki były poszarpane na strzępy, kości pogruchotane w drobne kawałeczki, a krew tryskała z rany czerwoną strugą.

Biedny Garry, pomyślał Sean. Teraz jest samotnym, starym kaleką bez nogi. Kobieta, której Sean zrobił dziecko i z którą Garry się ożenił, zanim urodziła Michaela, oszalała wreszcie z nienawiści i zazdrości i spłonęła wraz z domem w pożarze, który sama wywołała. Teraz Michael odszedł także i Garry nie miał już nikogo i nic poza swoimi książkami i pisaniem.

Pośle mu tę rezolutną dziewczynę z nie narodzonym dzieckiem. Rozwiązanie problemu przyniosło Seanowi ogromną ulgę. Będzie wreszcie mógł spłacić dług wobec brata. Pośle mu swojego wnuka, którego powinien zachować przy sobie.

Odwrócił się od mapy i szybko wrócił do pokoju, gdzie czekała Centaine.

Wstała z krzesła i stała w milczeniu, założywszy ręce przed sobą. W jej ciemnych oczach i lekko drżących wargach Sean dostrzegł niepewność i obawę przed odtrąceniem.

Zamknął za sobą drzwi, podszedł do dziewczyny, wziął jej delikatne ręce w swoje wielkie dłonie i pocałował ją ciepło w policzek. Jego broda otarła się o delikatną skórę; Centaine załkała z radości i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Przepraszam, moja droga — powiedział Sean. — Zaskoczyłaś mnie zupełnie. Potrzebowałem czasu, żeby ochłonąć.

Przytulił ją do siebie — bardzo ostrożnie, gdyż tajemnica macierzyństwa była jedną z rzeczy, które onieśmiały Seana. Usiadł na krześle.

— Czy mogę jechać do Afryki?

Centaine uśmiechała się, mimo że w kącikach oczu wciąż zbierały jej się łzy.

— Ależ oczywiście, teraz to twój dom. Jeśli o mnie chodzi, jesteś żoną Michaela. Twoje miejsce jest w Afryce.

— Jestem taka szczęśliwa — powiedziała cicho, ale było to coś więcej niż zwykłe szczęście: miała poczucie bezpieczeństwa, a siła i władza tego mężczyzny osłaniała ją niczym tarcza.

„Jesteś żoną Michaela” — powiedział, uznając to, w co ona sama święcie wierzyła, i ta akceptacja odsunęła wszelkie wątpliwości.

— Mój plan jest następujący. Niemieckie U-Booty stały się ostatnio ogromnym zagrożeniem. Najbezpieczniej będzie, jeśli popłyniesz na jednym ze statków szpitali Czerwonego Krzyża, które odpływają z francuskich portów do Afryki.

— Anna... — wtrąciła szybko Centaine.

— Tak, oczywiście, popłynie z tobą. Załatwię to. Obie zgłosicie się do pracy jako pielęgniarki i obawiam się, że będziecie musiały zapracować na przejazd.

Centaine skinęła ochoczo głową.

— Ojciec Michaela, mój brat, Garrick Courteney... — zaczął Sean.

— Tak, tak! Michael opowiadał mi o nim. To wielki bohater, zdobył krzyż królowej Wiktorii za dzielność podczas wojny z Zulusami — przerwała mu podekscytowana Centaine. — Jest także uczonym i pisze książki historyczne.

Sean aż zamrugał oczyma, słysząc taką charakterystykę biednego Garry'ego, ale fakty się zgadzały, więc tylko pokiwał głową.

— Jest to bardzo miły i delikatny starszy pan, który właśnie stracił syna...

Zrozumieli się w jakiś telepatyczny sposób; mimo że Centaine знаła prawdę, od tej chwili

Michael miał być synem Garricka Courteneya.

— Michael był jego całym życiem i oboje dobrze wiemy, jak musi czuć się po tej stracie, gdyż dzielimy z nim ból.

Oczy Centaine zalsniły od łez, ale zagryzła dzielnie wargę i pokiwała głową.

— Wyślę mu depeszę o twoim przyjeździe. Będzie czekać na ciebie w porcie w Kapsztadzie. Dam ci także list do niego. Ty i dziecko Michaela możecie być pewni dobrego przyjęcia i pomocy.

— Syn Michaela — poprawiła go zdecydowanie Centaine i zaraz spytała mniej pewnie. — Ale będę widywała i pana, przynajmniej czasami?

— Bardzo często — zapewnił Sean, nachylając się, żeby poklepać ją po ręce. — Częściej, niż mogłabyś sobie tego życzyć.

Dalej wszystko zdarzyło się bardzo szybko; Centaine przekonała się, że w przypadku Seana Courteneya jest to regułą.

Przebywała tylko pięć dni w klasztorze, ale w tym czasie niemiecka ofensywa pod Mort Homme została powstrzymana w krwawych walkach. Kiedy sytuacja na froncie ustabilizowała się, Sean mógł poświęcić Centaine kilka godzin dziennie.

Każdego wieczoru jedli razem obiad i Sean odpowiadał z pogodną cierpliwością na jej nie kończące się pytania o Afrykę, żyjących tam ludzi i zwierzęta, o rodzinę Courteneyów i wszystkich jej członków. Najczęściej rozmawiali po angielsku, ale kiedy Centaine nie mogła znaleźć jakiegoś słowa, przechodziła na flamandzki. Po posiłku przygotowywała generałowi cygaro, przypalała je, nalewała do kieliszka koniaku i siadłszy obok Seana, nie przestawała mówić, aż przyszła po nią Anna lub wezwano go do pokoju operacyjnego. Idąc spać, przychodziła i nadstawiała twarz do pocałunku z taką dziecięcą niewinnością, że Sean szybko zaczął obawiać się nadchodzącej godziny rozstania.

John Pearce przyniósł im ubiory sióstr Czerwonego Krzyża — białe welony i fartuchy zakładane na szaroniebieskie sukienki. Centaine i Anna dopasowały ubrania, zwężając je miejscami i nadając lekko workowatym kształtom bardziej francuski wygląd.

Wreszcie nadszedł czas rozstania. Sangane zapakował ich skromny bagaż na rollsa, a Sean wyszedł przed klasztor, sztywny i mrukliwy z powodu bólu, jakiego przysparzało mu pożegnanie.

— Uważaj na nią — polecił Annie, ta zaś zaczerwieniła się z oburzenia.

— Będę czekać w porcie, gdy pan będzie wracać do domu — obiecała Centaine i Sean, zawstydzony i jednocześnie mile zaskoczony, zmarszczył groźnie brwi, gdy stanęła na palcach i przy całym sztabie pocałowała go w policzek. Patrzył przez chwilę za odjeżdżającym rollsem i Centaine machającą ręką z tylnego siedzenia, by wreszcie obrócić się i zrugać swoich oficerów.

— Co jest, panowie, na co się tak gapicie? To jest wojna, a nie jakiś cholerny piknik szkółki niedzielnej.

Ruszył do swojego pokoju, kuśtykając lekko na jedną nogę, zły na siebie, że tak bardzo zabolął go wyjazd dziewczyny.

„Protea Castle” należał do Union Castle Linę. Był to szybki pasażerski statek transatlantycki, który obsługiwał linię Kapsztad — Southampton, zanim przemalowano go na biało i oznakowano po bokach i na dziobie czerwonymi krzyżami.

Statek stał teraz w dokach wewnętrznego portu w Calais, przyjmując pasażerów udających się na południe. Ludzie, którzy wstępowali na pokład, w niczym nie przypominali wytwornych podróżników zajmujących przed wojną luksusowe kabiny. Na nabrzeżu kolejowym ustawiono pięć wagonów, z których do liniowca płynął budzący współczucie strumień ludzki i schodniami na rufie oraz dziobie dostawał się na pokłady.

Były to ofiary pozbierane ze wszystkich pól bitew — ranni, którzy zostali odrzuceni przez lekarskie komisje jako niezdolni do dalszej walki i zbyt okaleczeni, żeby mógł ich przyjąć nawet nienasycony Brytyjski Korpus Ekspedycyjny.

W drogę na południe statek zabierał tysiąc dwustu pacjentów, a w czasie kursu powrotnego „Protea Castle”, przemalowany na zwykły okręt wojenny, miał przywieźć do Europy kolejny ładunek młodych i zdrowych mężczyzn, dla których zwolniło się miejsce w okopach północnej Francji.

Centaine stała na nabrzeżu obok rollsa i ze zdumieniem przyglądała się wrakom ludzkim wspinającym się po schodniach. Byli wśród nich żołnierze po amputacji kończyny, i jeśli ręka lub noga kończyła się na łokciu lub kolanie, to mogli jeszcze mówić o szczęściu. Kuśtykali po nabrzeżu, opierając się na kulach lub z pustym rękawem munduru złożonym i przypiętym do ramienia.

Dalej dostrzegła ślepców prowadzonych przez towarzyszy, rannych z uszkodzonym kręgosłupem wnoszonych na pokład na noszach ofiary zagazowania ze spalonymi przez chlor gardłami i nosami, rannych w szoku po wybuchu bomby, którzy rzucali się i skręcali na noszach, poparzonych z monstrualnymi bliznami, które pokurczyły im kończyny lub ściągnęły głowy na piersi tak, że wyglądali jak garbaci.

— Mogłaby nam siostra pomóc.

Jeden z sanitariuszy spostrzegł uniform i Centaine obróciła się szybko do zuluskiego kierowcy.

— Skontaktuję się z twoim ojcem Mbejane.

— Mbejane! — Sangane uśmiechnął się do niej zadowolony, że zapamiętała imię.

— I przekażę mu wiadomość od ciebie.

— Idź w pokoju, dziewczyno.

Centaine uściśnęła mu rękę, porwała torbę podróżną i pobiegła do swoich nowych obowiązków, a Anna podążyła posłusznie za nią.

Załadunek trwał całą noc i dopiero przed świtem Centaine i Anna mogły się udać na poszukiwanie wyznaczonych dla nich kwater.

Starszy oficer medyczny okazał się nieprzystępnym mężczyzną w stopniu majora i łatwo można było poznać, że ktoś wyższy rangą poinformował go o dodatkowych pasażerkach.

— Gdzie pani się podziewała? — spytał Centaine, gdy ta stawiała się w jego kabinie. — Czekam na panią od wczoraj od południa. Wypływamy za dwie godziny.

— Jestem tutaj od południa. Pomagałam doktorowi Solomonowi na pokładzie C.

— Powinna się pani od razu zameldować u mnie — poinformował ją chłodnym tonem. — Nie może pani tak sobie wędrować po statku, jak się pani podoba. Jestem odpowiedzialny za panią przed generałem... — powstrzymał się i szybko zmienił temat. — Zresztą pokład C jest przeznaczony dla innych szarż.

— Pardon? — Dzięki praktyce angielski Centaine znacznie się ostatnio poprawił, ale wciąż nie znała wielu słów.

— Innych szarż, nie dla oficerów. Od tej pory będzie się pani zajmować wyłącznie oficerami. Niższe pokłady są dla pani niedostępne — niedostępne — powtórzył wolno, jakby mówił do nierozgarniętego dziecka. — Czy wyrażam się jasno?

Centaine była zmęczona i nie przywykła do takiego traktowania.

— Ci ludzie na dole cierpią tak samo — odparła ze złością. — Krwawią i umierają tak samo jak oficerowie.

Major zamrugał i oparł się o poręcz krzesła. Miał córkę w tym samym wieku, co ta francuska dziewczucha, ale jego dziecko nigdy nie ośmieliłoby się tak mu odpowiadać.

— Widzę, młoda damo, że zamierza pani sprawiać kłopoty — stwierdził groźnie. — Od początku

nie podobał mi się pomysł zabierania na pokład kobiet — podejrzewałem, że będą z wami problemy. Proszę mnie posłuchać. Będzie pani mieszkać w kabinie naprzeciwko mojej. — Wskazał na drzwi. — Zgłosi się pani do doktora Stewarta i będzie wypełniać jego polecenia. Będzie pani jeść w mesie oficerskiej i ma pani zakaz wstępu na niższe pokłady. Oczekuję, że przez cały czas podróży będzie pani zachowywać się skromnie i może być pani pewna, że będę mieć panią na oku.

Po takim wstępie przyznana im kajuta okazała się miłym zaskoczeniem i Centaine znowu domyśliła się wpływu generała Courteneya. Dostały apartament, który przed wojną kosztowałby ze dwieście gwinei, z dwoma łózkami, malutkim salonikiem z sofą, fotelami i biurkiem oraz z osobnym prysznicem i toaletą, wszystko umeblowane w stonowanych jesiennych kolorach.

Centaine wypróbowała materace i z westchnieniem ulgi opadła na poduszki.

— Anno, jestem zbyt zmęczona, żeby się rozbierać.

— Szybko w pidżamę — rozkazała Anna. — I nie zapomnij umyć zębów.

Obudziły ich dzwonki alarmowe, ostre gwizdki na zejściu pod pokład i gwałtowne stukanie w drzwi. Statek, kołysząc się na fali przyboju, wyruszał w drogę, a pracujące całą mocą silniki wprawiały go w drżenie.

Ochłonawszy z pierwszego strachu, dowiedziały się od stewarda, że właśnie odbywa się próbny alarm. Ubrawszy się pośpiesznie w pękate kamizelki ratunkowe, wspięły się na górny pokład i znalazły swoje miejsca przy łodziach ratunkowych.

Statek mijał właśnie portowy falochron i wypływał na wody kanału. W powietrzu unosiła się szara- mgła, a wiatr świstał w uszach z taką siłą, że wszyscy odetchnęli z ulgą na rozkaz: „Spocznij”. Śniadanie podano w jadalni pierwszej klasy, którą przerobiono na mesę dla zdolnych do poruszania się o własnych siłach oficerów.

Wejście Centaine wywołało ogólny zachwyty. Niewielu oficerów wiedziało, że na pokładzie znajduje się piękna, młoda dziewczyna, i z trudem potrafili oni ukryć swój zachwyty. Zaraz też zaczęło się współzawodnictwo o zaszczyt posadzenia Centaine przy swoim stole, ale pierwszy oficer, korzystając z faktu, że kapitan znajdował się na mostku, wskazał jej miejsce po swojej prawej ręce. Centaine została otoczona przez kilkunastu troskliwych dżentelmenów, którym siedząca po drugiej stronie stołu Anna przyglądała się z miną zazdrosnego psa obronnego.

Oficerowie z załogi okrętu byli wyłącznie Anglikami, ale pacjenci pochodzili z kolonii, gdyż „Protea Castle” po opłynięciu Przylądka Dobrej Nadziei udawał się dalej na wschód. Obok Centaine siedział kapitan Australijskiej Lekkiej Kawalerii, który stracił na wojnie rękę, dalej dwóch Nowozelandczyków — jeden z czarną przepaską na oku, nadającą mu wygląd pirata, drugi z równie piracką sztuczną nogą przypominał Długiego Johna Silvera — a także młody Rodezyjczyk o nazwisku Jonathan Ballantyne, który zdobył Krzyż Wojenny pod Sommą i zapłacił za niego raną z karabinu maszynowego w brzuch, oraz jeszcze kilku młodych oficerów, równie dotkliwie poszkodowanych w walkach.

Oficerowie naznosili jej różnych smakołyków z bufetu. — Nie, nie mogę jeść waszych ogromnych angielskich śniadań. Utuczycie mnie jak świnkę.

Centaine aż promieniała, gdy młodzieńcy zaczęli zaprzeczać jeden przez drugiego. Wojna wybuchła, gdy dziewczyna miała czternaście lat i wszyscy młodzi mężczyźni zaciągnęli się do wojska. Nie zaznała więc przyjemności posiadania tłumu wielbicieli.

Spostrzegła, że starszy oficer medyczny przygląda jej się surowo zza sąsiedniego stołu i żeby zrobić mu na przekór, a także z czystej przyjemności, starała się być wyjątkowo miła dla otaczających ją młodzieńców. Przez chwilę czuła wyrzuty sumienia, że nie jest tak wierna Michaelowi, jak powinna, ale szybko się pocieszyła.

— Są moimi pacjentami, więc to mój obowiązek. Siostra powinna być dobra dla swoich podopiecznych.

Posyłała więc im uśmiechy i śmiała się z rannymi, a oni robili wszystko, żeby zwrócić jej uwagę, wyświadczyć drobne przysługi i odpowiedzieć na każde pytanie.

— Dlaczego nie płyniemy w konwoju? — dopytywała się Centaine. — Czy to nie jest niebezpieczne, płynąć przez kanał en plein soleil — w biały dzień? Słyszałam o tym, co zdarzyło się „Rewie”.

„Rewa” był to brytyjski statek — szpital z trzystoma rannymi na pokładzie, który został storpedowany przez niemiecką łódź podwodną w kanale La Manche na wysokości Bristolu czwartego stycznia tego roku. Na szczęście większość rannych opuściła okręt przed zatonięciem i stracono tylko trzech ludzi, ale wystarczyło to do podsycenia propagandy antyniemieckiej. W wiciu publicznych miejscach wywieszono plakaty z napisem: „Czym czerwona szmata jest dla byka, tym jest Czerwony Krzyż” i wymownym rysunkiem pod spodem.

Pytanie Centaine wzbudziło ożywioną dyskusję.

— „Rewa” została zaatakowana w nocy — zauważył trzeźwo Jonathan Ballantyne. — Dowódca U-Bootów najpewniej nie widział czerwonych krzyży.

— Och, daj spokój! Ci chłopcy z U-Bootów to zwykli rzeźnicy...

— Nie zgadzam się. To tacy sami żołnierze jak ty czyja. Tak samo myśli kapitan tego okrętu — właśnie dlatego przeplniemy najniebezpieczniejszy odcinek podróży przez kanał w biały dzień, żeby ich łodzie mogły nam się dobrze przyjrzeć. Jestem przekonany, że zostawią nas w spokoju, jak zobaczą czerwone krzyże.

— Bzdury! Ci cholerni Hunowie storpedowaliby własne teściowe...

— Ja też bym to chętnie zrobił!

— Ten statek rozwija szybkość dwudziestu dwóch węzłów — uspokoił Centaine pierwszy oficer. — Niemieckie łodzie podwodne osiągają przy zanurzeniu szybkość siedmiu węzłów. U-Boot musiałby się znajdować dokładnie na naszym torze, żeby mieć jakieś szansę. Prawdopodobieństwo mniejsze niż jeden do miliona. Nie musi się pani o nic martwić. Proszę cieszyć się podróżą.

Wysoki, młody doktor o szerokich ramionach i wyglądzie naukowca, w okularach w metalowych oprawkach stanął przy Centaine, gdy ta wstała od stołu.

— Jestem doktor Archibald Stewart, siostra de Thiry. Major Wright oddelegował panią do mojej dyspozycji.

Centaine podobał się nowy tytuł. „Siostra de Thiry” brzmiało bardzo profesjonalnie. Nie była tylko pewna, czy równie spodoba jej się fakt bycia oddelegowaną do czyjejs dyspozycji.

— Czy ma pani jakieś medyczne lub pielęgniarskie przeszkolenie? — dopytywał się dalej doktor Stewart i sympatia Centaine do niego gwałtownie zmalała.

Zdemaskował ją w ciągu kilku sekund i to w dodatku wobec jej nowych wielbicieli. W milczeniu pokręciła głową, starając się ukryć niewygodny fakt, ale lekarz nie ustępował.

— Tak właśnie myślałem. — Spojrzał na nią z powątpiewaniem i zauważył, jak bardzo jest zawstydzona. — Nic nie szkodzi, najważniejszym obowiązkiem pielęgniarki jest utrzymanie pacjentów w dobrym nastroju. Z tego, co widzę, jest pani w tym bardzo dobra. Myślę, że mianujemy panią siostrą przełożoną od dobrego samopoczucia, ale tylko na pokładzie A. To rozkaz samego majora Wrighta. Tylko pokład A.

Pomysł doktora Stewarta okazał się natchniony. Centaine od wczesnego dzieciństwa rozwijała zdolności organizacyjne, pełniąc rolę gospodyni u boku ojca w pałacyku w Mort Homme i pomagając Annie zarządzać domem. Teraz bez wysiłku pokierowała grupą młodych ludzi, która się zebrała wokół niej, przekształcając ich w zgrany zespół od rozrywek.

Na „Protea Castle” znajdowała się biblioteka zawierająca kilka tysięcy tomów i Centaine szybko wprowadziła w życie plan wypożyczania książek pacjentom przykutym do łóżek i zebrała chętnych do czytania niewidomym i analfabetom na niższych pokładach. Zaaranżowała koncerty, gry na otwartym pokładzie i rozgrywki karciane — książkę był zapalonym brydżystą i nauczył ją wielu rozrywek.

Cała grupa jednookich, jednonogich, okaleczonych asystentów od wprowadzania dobrego nastroju konkurowała pomiędzy sobą o pozyskanie uwagi dziewczyny i wyświadczenie jej przysługi, a przykuci do łóżek pacjenci wymyślali najróżniejsze powody, żeby zatrzymać ją przy sobie kilka minut dłużej w czasie nieoficjalnego porannego obchodu.

Wśród pacjentów znalazł się także kapitan Natalskich Strzelców Konnych, który znajdował się w konwoju sanitarek wycofujących się spod Mort Homme. Kapitan przywitał ją entuzjastycznym okrzykiem, gdy Centaine weszła pierwszy raz na salę z naręczem książek.

— Promyczek! Toż to nasz Promyczek! Określenie to szybko obiegło statek.

„Siostra Promyczek”. Kiedy zazwyczaj ponury starszy oficer medyczny major Wright po raz pierwszy użył tego miana, Centaine została już w pełni zaakceptowana przez brać okrętową.

W tych okolicznościach nie miała zbyt wiele czasu na żalobę, ale każdej nocy przed zaśnięciem leżała w ciemnościach i przywoływała obraz Michaela, a następnie zaciskała ręce na brzuchu.

Nasz syn, Michaelu, będziemy mieć syna!

Zachmurzone niebo i niebezpieczne wody Zatoki Biskajskiej zostały z tyłu za długim, białym kilwaterem i przed dziobem statku zaczęły wyskakiwać w powietrze latające ryby rozpryskujące srebrzyste krople na tle gładkiej powierzchni oceanu.

Na wysokości trzydziestu stopni szerokości geograficznej Centaine oświadczył się młody kapitan Jonathan Ballantyne. Kapitan był jedynym spadkobiercą stu tysięcy akrów pastwisk dla bydła należących do jego ojca — sir Ralphi Ballantyne, premiera Rodezji.

— Jakbym słyszała biednego tatusia. — Centaine naśladowała księcia tak doskonale, że w oczach Anny stanęły łzy. — „Sto tysięcy akrów, ty zła, zepsuta dziewczyno! Tiens alors! Jak mogłaś odrzucić sto tysięcy akrów?”

Dalej oświadczyły posypały się jak z rogu obfitości. Nawet doktor Archibald Stewart, jej bezpośredni przełożony, mrugając zza okularów w stalowych oprawkach i pocąc się nerwowo, wykrztusił z siebie przygotowaną wcześniej mowę i widać było, że odetchnął z ulgą, gdy Centaine pocałowała go w oba policzki, grzecznie odmawiając.

Na wysokości równoleżnika zerowego Centaine przekonała opornego majora Wrighta, żeby przywdział szaty Neptuna, i ceremonia przekraczania równika odbyła się z wielką pompą i wśród nie kończących się śmiechów. Centaine, ubrana w kostium rusałki własnego pomysłu, była główną atrakcją zabawy. Anna zaprotestowała przeciwko zbyt swawolnemu dollet, ale pomogła Centaine uszyć szatę, która zachwyciła wszystkich na statku. Żołnierze klaskali, tupali nogami i gwizdali z podziwu, a następnego dnia Centaine musiała odrzucać wiele nowych oświadczeń.

Anna fukała i udawała niezadowoloną, ale w głębi duszy cieszyła się ze zmian, jakie zachodziły w jej wychowance. Na jej oczach Centaine przechodziła cudowną przemianę z młodej dziewczyny w dojrzałą kobietę. Najbardziej rzucały się w oczy zmiany fizyczne związane z ciążą. Delikatna skóra dziewczyny nabrała połysku macicy perłowej i Centaine pozbyła się ostatnich śladów niezgrabności okresu dojrzewania, gdy jej ciało nabrało pełniejszych kształtów, nie tracąc przy tym nic ze swojej gracji.

Jeszcze wyraźniejsze zmiany zachodziły w jej psychice: Centaine nabierała pewności siebie i jednocześnie coraz bardziej stawała się świadoma swego oddziaływania i własnych zdolności, które dopiero teraz miała okazję w pełni wypróbować. Anna zawsze wiedziała, że jej dziewczynka ma wrodzony talent do naśladowania innych: potrafiła przejść od akcentu midi, jakiego w domu używał Jacques, ich służący, na dialekt waloński pokojówki czy inteligencki język paryżan, którym mówił jej nauczyciel muzyki. Dopiero teraz jednak uświadomiła sobie, że to dziecko ma ogromne zdolności językowe, których nikt w niej nie rozwijał. Centaine na tyle biegle posługiwała się już angielskim, że potrafiła odróżnić akcent australijski od południowoafrykańskiego lub czystego angielskiego z Oksfordu i bezbłędnie każdy naśladowała. Kiedy witała swoich Australijczyków słodkim „Dziń dybry!”, żołnierze aż klaskali z radości.

Już dawno temu Anna przekonała się także, że Centaine ma głowę do cyfr i pieniędzy. Dziewczyna przejęła finanse domowe, kiedy ich zarządca uciekł do Paryża w pierwszych dniach wojny, i opiekunka zawsze podziwiała jej umiejętność błyskawicznego podsumowania długiej kolumny cyfr po szybkim przejechaniu ołówkiem od góry do dołu, bez zapisywania na boku cyfr i poruszania wargami, co dla Anny graniczyło z cudem.

Teraz Centaine popisywała się tą samą wrodzoną bystrością. Razem z majorem Wrightem stworzyli zgraną parę przy stoliku do brydża i wysokość wygranych oszołomiła Annę, która zawsze była przeciwna hazardowi. Centaine potrafiła zainwestować pieniądze. Wraz z Jonathanem Ballantyne'em i doktorem Stewartem zorganizowali syndykat, który wygrywał, stawiając przeciwko bankowi w codziennych aukcjach i totalizatorach odbywających się na okręcie. Kiedy minęli równik, Centaine mogła dodać prawie dwieście suwerenów do sakiewki z luidorami, którą uratowała przed pożarem pałacyku.

Anna zawsze twierdziła, że Centaine zbyt dużo czyta. „Popsujesz sobie oczy”, ostrzegała ją często. Nie zdawała sobie jednak sprawy, jak olbrzymi zasób wiedzy zyskała dziewczyna z tych książek, dopóki nie usłyszała jej zabierającej głos w dyskusji. Centaine potrafiła rozmawiać jak z równym nawet z tak wykształconym człowiekiem jak doktor Archibald Stewart. Anna spostrzegła przy tym, że jej mała jest na tyle sprytna, że nie zraża sobie towarzyszy, popisując się swoją wiedzą, i zawsze zdoła zakończyć dyskusję w taki sposób, że jej oponent może wycofać się z jedynie nieznacznie naruszoną godnością własną.

Tak, powiedziała sobie Anna, przyglądając się dziewczynie rozkwitającej niczym piękny kwiat w tropikalnym słońcu. Ma spryt jak jej matka.

Zdawało się, że Centaine rzeczywiście brakowało dotąd ciepła i słońca. Za każdym razem, gdy znalazła się na pokładzie, zwracała twarz ku słońcu.

— Och, Anno, jak bardzo nienawidziłam zimna i deszczu. Czy to nie wspaniale mieć tyle słońca?

— Opalisz się na okropny brąz — ostrzegała ją Anna. — Wiesz, że to bardzo nie twarzowe.

Centaine w zamyśleniu przyjrzała się własnym rękom.

— Wcale nie na brąz, Anno, na złoto!

Centaine przeczytała już tyle książek i wypytała tylu ludzi, że wydawała się dobrze znać południową półkulę, ku której kierował się statek. Często budziła Annę w środku nocy i zabierała ją na pokład jako przyzwoitkę, żeby oficer na wachcie pokazał jej południowe gwiazdy. Mimo późnej pory Anna oszołomiona była przepychem nieba, które każdego wieczoru odsłaniało się coraz bardziej przed ich zachwyconymi oczami.

— Spójrz, Anno, tam jest Archenar! To gwiazda Michaela. Michael mówił, że każdy powinien mieć własną gwiazdę i nawet wybrał jedną dla mnie.

— Która to? — zapytała ciekawie Anna. — Która jest twoja?

— Acrux. Tam! To najjaśniejsza gwiazda w Krzyżu Południa. Od gwiazdy Michaela dzieli ją jedynie Gwiazda Południa, dookoła której obraca się cały świat. Michael powiedział, że w ten sposób nasze gwiazdy obracają się wokół osi świata. Czy to nie romantyczne?

— Romantyczne bzdury — prychnęła Anna, ale po cichu żałowała, że żaden mężczyzna nie mówił jej nigdy takich rzeczy.

Anna odkrywała w swej wychowance jeszcze jeden talent, przy którym blakły wszystkie pozostałe: Centaine potrafiła zmusić mężczyzn do słuchania jej. Anna patrzyła ze zdumieniem, jak ludzie pokroju majora Wrighta czy kapitana statku słuchają w milczeniu i bez tego męskiego pobłażliwego, afektowanego uśmiešku, co Centaine ma do powiedzenia.

Przecież to jeszcze dziecko, dziwiła się w duchu, a oni traktują ją jak kobietę — nie, nie, więcej niż to: traktują ją jak kogoś równego sobie.

Było to zupełnie niepojęte. Oto ci wyniośli mężczyźni odnosili się do młodej dziewczyny z szacunkiem, o jaki walczyło tysiące kobiet, z Emmeline Pankhurst i Annie Kenney na czele, rzucając się pod koła wozów, organizując głodówki, wywołując pożary i dostając się za to do więzienia — a wszystko bez większych rezultatów.

Centaine nie tylko potrafiła zmusić mężczyzn, aby jej słuchali, ale także umiała tak nimi pokierować, żeby robili to, co chciała, chociaż przy tym nie omieszkła uciekać się do uwodzicielskich sztuczek, które kobiety musiały wypracować przez wieki. Centaine osiągała swoje cele posługując się połączeniem logiki, celnego argumentu i siły własnego charakteru. Jeśli dodać do tego ujmujący uśmiech i spojrzenie ciemnych, niezglębionych oczu, nikt nie mógł oprzeć się jej prośbom. Na przykład potrzebowała tylko pięciu dni, żeby nakłonić majora Wrighta, by cofnął swój zakaz wchodzenia na inne pokłady.

Mimo że Centaine miała dni wypełnione pracą, nie straciła z oczu ostatecznego celu podróży. Z każdym dniem jej pragnienie ujrzenia ziemi, na której urodził się Michael i na której miał teraz urodzić się ich syn, było coraz silniejsze.

Bez względu na to, ile miała zajęć, nigdy nie opuściła południowych pomiarów kursu. Kilka minut przed dwunastą biegła schodnią do góry i wpadając z szumem wirujących spódniczek na mostek wołała zadyszana:

— Proszę o pozwolenie wejścia, sir.

A oficer odbywający wachtę, który już na nią czekał, salutował i odpowiadał:

— Udzielam zezwolenia. Przybyłaś w samą porę, Promyczku. Centaine przyglądała się zafascynowana, jak oficerowie nawigacyjni mierzą sekstansami wysokość słońca, obliczają pozycję statku oraz przebytą tego dnia drogę i nanoszą dane na mapę.

— Jesteśmy tutaj, Promyczku, siedemnaście stopni i dwadzieścia trzy minuty południowej szerokości geograficznej., Dokładnie sto sześćdziesiąt mil morskich na północ od ujścia rzeki Cunene. Jeśli Bóg pozwoli i pogoda dopisze, to za cztery dni dopłyniemy do Kapsztadu.

Centaine z zaciekawieniem przyglądała się mapie.

— Więc już jesteśmy na wysokości wybrzeża Afryki Południowej, czy tak?

— Nie, nie! To Niemiecka Afryka Zachodnia, kiedyś jedna z kolonii kajzera, dopóki nie opanowała jej dwa lata temu Afryka Południowa.

— Co tam jest: dżungla? Sawanna?

— Niestety, nie, Promyczku, to jedna z najgorszych pustyni na całym świecie.

Centaine opuściła pokój z mapami i wyszła na mostek. Spojrzała na wschód w stronę wielkiego kontynentu skrytego za horyzontem.

— Nie mogę się doczekać, kiedy w końcu ujrzę ląd!

Ten koń był zwierzęciem pustynnym, jego dalecy przodkowie nosili na swoich grzbietach królów i wodzów plemion beduińskich przez spalone słońcem pustkowia Arabii. Krzyżowcy zabrali ze sobą owe zwierzęta na północ, do chłodniejszego klimatu Europy, a setki lat później konie wróciły do Afryki wraz z niemiecką ekspedycją kolonialną, gdy kawaleria Bismarcka przybyła do portu Luderitzbucht. Konie te były krzyżowane z kudłatymi, wytrzymałymi końmi burskimi i zahartowanymi przez życie na pustyni zwierzętami Hotentotów, aż Wreszcie otrzymano wierzchowca, który był przystosowany do życia w tych trudnych warunkach i mógł sprostać celom, jakie mu wyznaczono.

Rumak miał szerokie chrapy i delikatną głowę po arabskich przodkach, szerokie, łopatomate kopyta nie zapadające się w sypkim piasku pustyni, duże płuca w potężnej klatce piersiowej, jasnokasztanową barwę chroniącą go przed promieniami słońca, a także grubą sierść osłaniającą go zarówno przed południowym upałem, jak i nocnymi przymrozkami oraz silne nogi i serce, które pozwalały mu bez zmęczenia nieść jeźdźca ku mlecznemu horyzontowi.

Siedzący na jego grzbiecie młody mężczyzna był, podobnie jak rumak, mieszańcem, człowiekiem pustyni i bezkresnego lądu.

Jego matka przyjechała do Afryki z Berlina, gdy ojcu jej powierzono funkcję zastępcy

głównodowodzącego niemieckimi siłami w Afryce Zachodniej. Matka poznała i, mimo sprzeciwu rodziny, poślubiła młodego Bura, którego rodzina nie posiadała nic poza ziemią i odwagą. Lothar był jedynym dzieckiem z tego związku i w wyniku nacisków matki został wysłany do szkół do Niemiec. Okazał się zdolnym uczniem, ale kiedy wybuchła wojna burska, przerwał studia. Matka dowiedziała się o jego decyzji przyłączenia się do sił burskich, gdy przybył nie zapowiedziany do Windhoek. Matka pochodziła z wojskowej rodziny i z trudem skrywała dumę, patrząc, jak Lothar odjeżdża z hotentockim służącym i trzema zapasowymi końmi w poszukiwaniu ojca, który podjął już walkę z Anglikami.

Lothar odnalazł ojca pod Magersfontein, gdzie przebywał razem ze stryjem Lothara, Koosem De La Reyem, legendarnym dowódcą burskim. Dwa dni później młodzieniec przeszedł inicjację wojenną, gdy Brytyjczycy podjęli próbę przebicia się przez wzgórza Magersfontein, żeby pójść na odsiecz obleżonemu Kimberley.

W dniu bitwy Lothar De La Rey miał już od pięciu dni ukończone czternaście lat i przed godziną szóstą tego dnia zabił swojego pierwszego człowieka. Cel nie był trudniejszy niż setki gazeli południowoafrykańskich i antylop kudu, na które wcześniej polował.

Lothar, jako jeden z pięciuset strzelców wyborowych, stał przy parapecie rowu strzeleckiego, który sam pomagał kopać u podnóża wzgórz Magersfontein. Pomysł budowania okopów i krycia się w nich nie przypadł z początku do gustu wszystkim Burom, którzy byli jeźdźcami i lubili szybko się poruszać. Generał De La Rey przekonał ich jednak, aby wypróbowali tę nową taktykę, i nie spodziewające się zasadzki oddziały brytyjskiej piechoty maszerowały prosto na pochowanych w rowach strzelców.

Na czele kierujących się wprost na Lothara brytyjskich oddziałów szedł potężnie zbudowany mężczyzna z płomiennymi bokobrodami. Oficer wysunął się kilkanaście kroków przed linię, wiatr powiewał wesoło jego krótką, szkocką spódniczką, na głowie miał tropikalny hełm korkowy nasunięty na jedno ucho, a w ręku nagą szablę.

W tej chwili zza wzgórz wyłoniło się słońce i pomarańczowe światło zalało otwartą, płaską równinę. Promienie oświetliły pułk górali szkockich niczym teatralne reflektory — stwarzając wyborne warunki strzeleckie. Burowie wcześniej odmierzyli krokami odległości i poznaczali je stożkami białych kamieni.

Lothar naprowadził muszkę strzelby na środek czoła Anglika, ale, podobnie jak leżących obok towarzyszy, przejęła go jakaś dziwna niemożność, gdyż w tych warunkach strzał niewiele różnił się od morderstwa z zimną krwią. Nagle, jakby zupełnie bez jego woli, mauzer kopnął go w ramię i wydawało się, że huk wystrzału dobiega gdzieś z bardzo daleka. Korkowy hełm spadł oficerowi z głowy i koziółkując poleciał w powietrze. Mężczyzna cofnął się o krok, rozrzucając ramiona. Lothar usłyszał odgłos kuli uderzającej w czaszkę, podobny do trzasku dojrzałego arbuza upuszczonego z wysokości na ziemię. Szabla błysnęła w słońcu, wypadając z martwej ręki, i żołnierz osunął się na ziemię w powolnym, wręcz eleganckim piruecie.

Przez cały dzień górale szkoccy leżeli przed okopami, nie śmiejąc podnieść głowy, gdyż w odległości zaledwie stu metrów czekały na nich mauzery znajdujące się w rękach jednych z najlepszych strzelców na świecie.

Afrykańskie słońce spaliło skórę na wewnętrznej stronie kolan pod krótkimi szkockimi spódniczkami, tak że żołnierzom porobiły się otwarte rany. Ranni Szkoci błagali o wodę i niektórzy Burowie rzucili im swoje manierki, ale w większości wypadków upadły one zbyt blisko.

Mimo że Lothar od tego czasu zabił ponad pięćdziesięciu ludzi, zapamiętał ten dzień na zawsze. Właśnie wtedy stał się mężczyzną.

Lothar nie rzucił rannym wrogom swojej manieri jak inni. Zamiast tego zastrzelił dwóch Szkotów, gdy ci próbowali podczołgać się po wodę. Właśnie wtedy zrodziła się w nim tak silna nienawiść do Anglików, której załóżki wpoili mu matka i ojciec, a która w następnych latach wydała swoje owoce.

Brytyjczycy ścigali Lothara i jego ojca po stepie niczym dzikie zwierzęta. Jego ukochana ciotka i trzy kuzynki zmarły na dyfteryt w angielskim obozie koncentracyjnym, on wolał jednak wierzyć pogłoskom, że Anglicy wkładali do chleba haczyki na ryby, które później rozdzierały gardła burskim kobietom i dzieciom. To pasowało do Brytyjczyków, którzy wydali wojnę właśnie kobietom i dzieciom.

Lothar, jego ojciec i wujowie walczyli jeszcze długo po tym, jak znikły wszelkie szanse na zwycięstwo. Z dumą mówili o sobie, że będą bić się do samego końca. Kiedy inni Burowie, tak zagłodzeni, że zostały z nich same szkielety, chorzy na dyzenterię i cali pokryci wrzodami wywołanymi słońcem i złym odżywianiem, ubrani w podarte szmaty i worki, często z ostatnim nabojem w ładownicy, poddali się wrogom pod Vereeniging, Petrus De La Rey i jego syn Lothar nie poszli za nimi.

— Panie mojego ludu, bądź świadkiem mojej przysięgi. — Petrus stał na stepie z odkrytą głową wraz ze swoim siedemnastoletnim synem Lotharem. — Wojna przeciwko Anglikom nigdy się nie skończy. Przysięgam na wszystko, co najświętsze, Boże Izraela.

Petrus podał oprawioną w czarną skórę Biblię synowi i kazał mu złożyć tę samą przysięgę.

— Wojna przeciwko Anglikom nie skończy się nigdy... — Lothar stał obok ojca, gdy ten przeklinał zdrajców i tchórzy odmawiających dalszej walki: Louisa Bothe, Janniego Smutsa, a nawet własnego brata Koosa De La Reya. — Sprzedalibyście własny lud Filistynom. Życzę wam, żebyście całe życie pozostali pod jarzmem Brytyjczyków i smażyli się za to w piekle przez dziesięć tysięcy lat.

Następnie ojciec i syn odwrócili się tyłem do pozostałych i odjechali w stronę bezbrzeżnych pustynnych terenów, należących do cesarstwa niemieckiego, zostawiając współtowarzyszy, którzy chcieli pogodzić się z Anglią.

Zarówno ojciec, jak i syn byli twardymi i wytrzymałymi ludźmi, obdarzonymi sprytem i odwagą, a matka Lothara pochodziła z dobrej niemieckiej rodziny z koneksjami i sporym majątkiem. W Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej, dokąd się przenieśli, szybko zaczęli prosperować.

Petrus De La Rey, ojciec Lothara, był zdolnym i pomysłowym inżynierem samoukiem. Jeśli zdarzyło się, że czegoś nie wiedział, potrafił improwizować; i zawsze mawiał: N Boer maak altyd 'n plan — „Bur zawsze potrafi coś wymyślić”. Dzięki znajomościom żony zdobył kontrakt na odbudowanie falochronu w porcie Liideritzbucht i uporał się z tym zadaniem, a potem kontrakt na zbudowanie linii kolejowej biegnącej na północ i łączącej rzekę Oranje z Windhoek, stolicą. Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. Petrus przekazał synowi swoje zdolności inżynierskie. Młodzieniec był pojętym uczniem i mając dwadzieścia jeden lat, stał się pełnoprawnym partnerem ojca w przedsiębiorstwie budowlano-konstrukcyjnym De La Rey i Syn.

Christina De La Rey, matka Lothara, wyszukała śliczną, jasnowłosą Niemkę z dobrej rodziny i dyplomatycznie zapoznała z nią syna. Zanim Lothar skończył dwadzieścia trzy lata, miał już żonę i pięknego, jasnowłosego syna, w którym był do szaleństwa zakochany.

Wtedy to Anglicy ponownie zakłócili ich spokój, grożąc wplątaniem w wojnę całego świata tylko po to, żeby sprzeciwić się prawowitym ambicjom niemieckiego imperium. Lothar wraz z ojcem udali się do gubernatora Seitza z planem zbudowania, na własny koszt, składu zapasów dla wojska niemieckiego walczącego z angielską inwazją, która niechybnie nastąpi od strony Afryki

Południowej, rządzonej przez zdrajców Smutsa i Louisa Bothę.

W Windhoek znajdował się w tym czasie kapitan niemieckiej marynarki, który szybko docenił wartość propozycji De La Reyów i przekonał do niej gubernatora. Sam popłynął z Petrussem i Lotharem wzdłuż przerażającego, pustynnego wybrzeża, które słusznie otrzymało nazwę Wybrzeża Szkieletów, żeby wybrać odpowiednie miejsce na bazę, gdzie niemieckie okręty mogłyby uzupełniać paliwo i zapasy amunicji, nawet gdyby porty Liideritzbucht i Walvis zostały zajęte przez zwolenników Unii.

Pięćset kilometrów na północ od słabo rozwiniętych osiedli Walvis i Swakopmund odkryli bezpieczną zatokę, praktycznie niemożliwą do osiągnięcia drogą lądową, gdyż dostępu do niej strzegły groźne pustynie. Załadowali mały liniowy statek parowy zapasami dla marynarki, które po kryjomu zostały przywiezione przez krążownik z Bremenhaven w Niemczech. Zapasy składały się z pięciuset ton ropy w dwustulitrowych beczkach, części zapasowych do silników, puszek z żywnością, broni ręcznej i amunicji, dziewięciocalowych pocisków dla okrętów i czternastu torped akustycznych Mark VII dla łodzi podwodnych — na wypadek, gdyby przyszło im walczyć na tych wodach. Zapasy wyładowano na brzeg i ukryto wśród wydm. Zapalniki pokryto ochronną smołą i także zagrzebano w piasku.

Sekretna baza została założona zaledwie kilka tygodni przed zabójstwem arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, kiedy cesarz został zmuszony do uderzenia na serbskich rewolucjonistów, aby bronić interesów państwa niemieckiego. Francja i Anglia bez wahania skorzystały z okazji i wypowiedziały Niemcom wojnę, której z utęsknieniem wyglądały.

Lothar i jego ojciec osiodłali konie, zebrali hotentockich służących, pożegnali się z kobietami i synem Lothara, a następnie wyruszyli przeciwko Anglikom i zradzieckim unionistom. Kiedy dotarli do rzeki Oranje, ich oddział liczył już sześciuset ludzi dowodzonych przez burskiego generała Maritza. Rozbili nad rzeką obóz i czekali na odpowiedni moment, żeby uderzyć na wroga.

Każdego dnia do obozu przybywali uzbrojeni ochotnicy — twardzi, brodaci mężczyźni z mauzerami przewieszonymi przez ramię i szerokimi piersiami ozdobionymi pasami z amunicją. Po radosnym przywitaniu przekazywali najnowsze wiadomości i wszystkie były dobre.

Starzy towarzysze zgłaszali się na zawołanie: „Komando!” Wszędzie Burowie zrywali zradziecką ugodę, jaką Smuts i Botha zawarli z Anglikami. Starzy burscy generałowie ruszali w pole. De Wet założył obóz w dolinie Mushroom, Kemp znajdował się z ośmiuset ludźmi w Treurfontein, Beyers i Fourie także zadeklarowali się po stronie Niemiec i przeciwko Anglii.

Smuts i Botha byli niechętni wszczynaniu bratobójczej wojny pomiędzy Burami, gdyż siły unionistów w siedemdziesięciu procentach składały się z żołnierzy holenderskiego pochodzenia. Argumentowali, przekonywali, nawet błagali powstańców, wysyłając negocjatorów do ich obozów i czyniąc wszystko, żeby zapobiec rozlewowi krwi. Jednak oddziały powstańcze rosły z każdym dniem w siłę i stawały się coraz zuchwalsze.

Wreszcie dotarła do nich wiadomość przywieziona przez posłańca przez pustynię z Windhoek. Wiadomość pochodziła od samego cesarza, przesłał ją gubernator Seitz.

Admirał graf von Spee z eskadrą krążowników odniósł wielkie zwycięstwo w bitwie morskiej pod Coronel na wodach należących do Chile. Kaizer rozkazał admirałowi okrążyć Przylądek Dobrej Nadziei, przepłynąć południowy Atlantyk i założyć blokadę, a także ostrzelać południowoafrykańskie porty, wspierając tym samym powstanie przeciwko Brytyjczykom i unionistom.

Powstańcy stali w prażącym słońcu pustyni i wiwatowali radośnie w poczuciu zjednoczenia, przekonani o słuszności swojej sprawy i pewni wygranej. Czekali już tylko na przybycie ostatnich burskich generałów, żeby ruszyć na Pretorię.

Koos De La Rey, stryj Lothara, który od czasu ostatniej wojny zestarzał się i był niezdecydowany, jeszcze się nie zjawił. Ojciec Lothara wysyłał do niego listy, przynaglaając brata do przyjazdu, ale Koos wahał się, hamowany przez zdradziecką argumentację Smutsa i źle pojętą lojalność wobec Louisa Bothy.

Koen Brits, drugi generał, na którego czekały powstańcze oddziały, był to potężny mężczyzna mierzący metr dziewięćdziesiąt pięć, umiejący wypić jednym haustem butelkę whisky Cape Smoke, jak inni wypijają butelkę piwa, dźwignąć z ziemi bawołu pociągowego, splunąć na odległość dwudziestu kroków i trafić z mauzera uciekającą antylopę z odległości dwustu kroków. Powstańcy potrzebowali go, gdyż poszłoby za nim tysiące ludzi, gdyby tylko zdecydował się, na kogo uderzyć.

Na nieszczęście Jannie Smuts wysłał do tego dzielnego człowieka wiadomość: „Oom Koen, zbierz swoje komando i jedź z nami”. Odpowiedź była natychmiastowa: „Ja, stary przyjacielu, siedzimy już na koniach i jesteśmy gotowi do drogi — ale na kogo mamy uderzyć: na Niemców czy Brytyjczyków?” Tak więc stracili Britsa na rzecz unionistów.

Następnie Koos De La Rey, jadąc na ostateczne spotkanie ze Smutsem, gdzie miał zdecydować, po czyjej stoi stronie, natrafił na policyjną blokadę drogową i kazał swojemu szoferowi, żeby się nie zatrzymywał. Policyjny strzelec wyborowy trafił go w głowę. Tak więc powstańcy stracili także De La Reya.

Oczywiście Jannie Smuts, ten zimny, szczywany lis, miał wymówkę. Twierdził, że blokada drogi została zarządzona w celu zapobieżenia ucieczce bandy rabusiów bankowych z gangu Fostera i że policja otworzyła ogień przez pomyłkę. Powstańcy wiedzieli swoje. Ojciec Lothara rozplakał się, gdy dotarła doń wiadomość o zamordowaniu brata. Teraz już mieli pewność, że nie ma odwrotu ani żadnej szansy na ugodę i że będą musieli zdobywać kraj w krwawych walkach.

Plan zakładał, że wszystkie powstańcze komando przyłączą się do sił Maritza zgrupowanych nad rzeką Oranje, ale powstańcy nie docenili ruchliwości przeciwników, jaką zapewniały samochody. Zapomnieli także, że Louis Botha i Smuts już dawno temu udowodnili, iż są najlepszymi dowódcami burskimi. Kiedy powstańcy zdecydowali się w końcu ruszyć, dwaj generałowie uderzyli na nich z szybkością rozgniewanej mamby.

Smuts i Botha dopadli De Weta w dolinie Mushroom i rozbili jego komando ogniem z dział i karabinów maszynowych. Komando poniosło olbrzymie straty, a De Wet uciekł na Kalahari ścigany przez Britsa i kolumnę wojsk zmotoryzowanych, która pojmała go na pustyni pod Waterburgiem.

Następnie wojska Unii zawróciły i uderzyły na komando Beyersa pod Rustenbergiem. Kiedy było jasne, że bitwa jest przegrana, Beyers próbował salwować się ucieczką przez rozlaną rzekę Vaal. Sznurowadła zaplątały mu się w wodorostach i trzy dni później znaleziono jego ciało wyrzucone przez wodę na brzeg.

Lothar i jego ojciec czekali nad rzeką Oranje na nieuniknioną rzeź, ale zanim znalazły ich wojska unionistów, dotarły do nich złe wiadomości.

Angielski admirał, sir Doveton Sturdee, przeciął drogę admirałowi von Spee na wysokości Wysp Falklandzkich i zatopił jego potężne krążowniki „Scharnhorst” i „Gneisenau” oraz resztę eskadry, tracąc przy tym jedynie dziesięciu marynarzy. Nadzieja powstańców na pomoc zginęła wraz z niemiecką flotą.

Powstańcy podjęli zażartą walkę, gdy nadciągnęły wojska unionistów, ale na nic się to nie zdało. Ojciec Lothara dostał kulę w brzuch i syn wyniósł go z pola bitwy, próbując przedostać się przez pustynię do Windhoek, gdzie Christina mogłaby zaopiekować się rannym. Była to okropna podróż przez siedemset kilometrów po pozbawionych wody pustkowiach. Ojciec cierpiał tak straszne katusze, że Lothar nie mógł powstrzymać łez. W dodatku rana zainfekowała się od przebitych jelit i

smród gangreny ściągał w nocy wokół obozu hieny.

Ojciec był jednak twardym, człowiekiem i minęło wiele dni, zanim umarł.

— Przysięgnij mi, synu — prosił ostatkiem sił, rozsiewając wokół siebie odór śmierci. —

Przysięgnij mi, że wojna z Anglikami nigdy się nie skończy.

— Przysięgam ci, ojcze.

Lothar nachylił się, żeby pocałować go w policzek, starzec zaś uśmiechnął się i zamknął oczy.

Lothar pogrzebał ciało ojca pod samotnym drzewem na pustyni. Wykopał głęboki grób, żeby hieny nie zwęszyły ciała i nie wygrzebały go z ziemi. Następnie wrócił do Windhoek.

Niemiecki dowódca — pułkownik Franke szybko docenił zdolności młodego De La Reya i poprosił go o zebranie oddziału zwiadowców. Lothar skupił wokół siebie małą grupę twardych Burów, niemieckich farmerów, Hotentotów oraz Murzynów i poprowadził ich na pustynię, gdzie mieli czekać na inwazję unionistów.

Smuts i Botha wylądowali z czterdziestoma pięcioma tysiącami ludzi w pobliżu Swakopmund i Luderitzbucht i ruszyli w głąb kraju. Stosowali przy tym zwyczajowe taktyki: szybkie marsze, często przez tereny pozbawione wody, jak również rozgałęzione ataki z manewrem oskrzydającym, do których wykorzystywali samochody, tak jak w czasie wojny burskiej konie. Przeciwno tej potędze Franke wystawił osiem tysięcy żołnierzy, którzy mieli bronić terytorium liczącego prawie pięćset tysięcy kilometrów kwadratowych i z linią brzegową długości prawie półtora tysiąca kilometrów.

Lothar i jego zwiadowcy walczyli z okupantem własnymi metodami: zatrawali studnie wojskom Unii, wysadzali w powietrze linie kolejowe, napadali na konwoje zaopatrzeniowe, organizowali zasadzki i podkładali miny, atakowali obozy wroga w nocy i o świcie i rozpędzali konie. Lothar z całą bezwzględnością zmuszał swoich wyczerpanych ludzi do coraz większego wysiłku.

Wszystko to jednak było bezskuteczne. Smuts i Botha wzięli niemiecką armię w kleszcze i po bitwie, w której stracili zaledwie pięciuset trzydziestu żołnierzy, zmusili pułkownika Frankego do bezwarunkowej kapitulacji. Tylko Lothar De La Rey się nie poddał. Pamiętając o przysiędze złożonej umierającemu ojcu, zebrał resztki oddziału i ruszył z nimi na północ, w stronę okrutnego stepu kakao, żeby kontynuować walkę.

Christina, matka Lothara, oraz jego żona i syn zostali internowani w założonym przez unionistów w Windhoek obozie dla niemieckich nacjonalistów. Cała trójka wkrótce zmarła.

Rodzina Lothara zmarła na panujący w obozie dur brzuszny, ale on wiedział, kogo winić za tę śmierć, i na pustyni jego nienawiść do Anglików stała się jeszcze mocniejsza i bardziej zaciekała. Nic innego zresztą mu już nie pozostało, gdyż wrogowie wymordowali mu rodzinę i skonfiskowali cały majątek. Nienawiść podtrzymywała Lothara na siłach i pchała coraz dalej na północ.

Stojąc przy koniu na jednej z wysokich wydm spoglądających na zielony Atlantyk, w miejscu, gdzie ciepły Prąd Benguelski parował we wczesnych promieniach słońca, Lothar myślał o swoich najbliższych. Zdawało mu się, że widzi twarz matki unoszącą się z mgły. Christina była piękną kobietą; wysoka i postawna, z gęstymi blond włosami, które rozpuszczone sięgały jej do kolan i które nosiła zwinięte w złotą koronę warkoczy, żeby podkreślić swój wzrost. Oczy także miała złote — bił z nich ów wewnętrzny spokój, jaki cechuje spojrzenie pantery.

Matka śpiewała jak jedna z Walkirii z oper Wagnera i przekazała synowi swoje umiłowanie muzyki, nauki i sztuki. Odziedziczył także po niej urodę — klasyczne, teutońskie rysy twarzy i gęste, kręcone włosy, które spadały mu na ramiona spod korkowego hełmu ozdobionego strusimi piórami. Podobnie jak u Christiny, jego włosy miały kolor świeżo wytopionego brązu, a złote oczy leoparda, które przyglądały się teraz srebrnej mgiełce powstającej z Prądu Benguelskiego, ocieniały gęste, ciemne rzęsy.

Piękno krajobrazu poruszyło Lothara niczym muzyka Mozarta grana na skrzypcach — wzbudziło w jego duszy tę samą mistyczną melancholię. Zielonkawe morze było bardzo spokojne, żadna fala nie marszczyła jego połyskliwej powierzchni. Niski, delikatny głos oceanu nabrzmiewał i opadał niczym rytmiczny oddech wszystkich stworzeń. Biegnąca wzdłuż linii brzegowej ciemna masa wodorostów poskramiała ruch wody i fale nie rozbijały się na plaży białą plamą. Wodorosty z gracją tańczyły statecznego menueta, kłaniając się i odchylając zgodnie z rytmem oceanu.

Na obu krańcach zatoki wznosiły się skały, pocięte przez wodę na regularne bryły, białe od odchodów ptaków i fok, które się na nich wygrzewały. W przesączaającym się przez mgiełkę świetle futra fok połyskiwały, a ich przejmujące nawoływania dobiegały do Lothara, gdy stał na szczycie wydmy, wysoko nad nimi.

Bliżej środka zatoki skały przechodziły w złocistą plażę, a za pierwszą wydumą znajdowała się szeroka laguna, okolona trzcinami stanowiącymi jedyną zieloną roślinność w tym krajobrazie. W płytkich wodach brodziły długonogie flamingi. Wspaniały różowy kolor dużego stada, które zdawało się płonąć nieziemskim ogniem, odciągał wzrok Lothara od morza.

Oprócz flamingów w lagunie znajdowały się także inne ptaki: pelikany i białe czaple, samotne czaple niebieskie i zastępy mniejszych ptaków brodzących, które zamieszkiwały bogate w pożywienie wody.

Wydmy, na których stał Lothar, ciągnęły się wzdłuż linii brzegowej, niczym monstrualny wąż wijąc się i wznosząc na wysokość stu pięćdziesięciu metrów nad pokrytym mgiełką oceanem. Nadmorski wiatr wyrzeźbił na nich łagodne zakola i ostre niczym koniec noża szczyty.

W pewnej chwili daleko od brzegu morze się zagotowało i zmieniło barwę z zielonego na kolor metalu. Lothar poczuł, jak drgnęły w nim wszystkie nerwy i serce zaczęło bić szybciej. Czyżby w końcu doczekał się tego, co trzymało go tutaj przez te okropne tygodnie? Podniósł do oczu lornetkę i poczuł zimny chłód rozczarowania.

W morzu zobaczył jedynie ławicę ryb, ale jaką ławicę! Jej górna warstwa wzburzyła gładką toń morza, ale reszta ryb wynurzyła się na powierzchnię, żeby pożywić się zielonym planktonem, i woda ściemniała jak okiem sięgnąć. Aż po krawędzie mgły pięć kilometrów dalej morze gotowało się i pieniało od ryb. Była to ławica sardeli — każda z ryb wielkości otwartej męskiej dłoni, ale ich niezliczone miliony potrafił poruszyć ocean.

Ponad potężną ławicą unosiły się białe głuptaki o żółtych głowach i krzykliwe mewy, które wirowały w powietrzu i spadały na powierzchnię oceanu, wyrzucając w powietrze małe fontanny spienionej wody. Stado fok szarżowało w przód i do tyłu niczym morska kawaleria, prując fale w pogoni za srebrnymi rybkami, a w tym rozpętanym żywiole przesuwwały się statecznie trójkątne płetwy rekinów.

Przez następną godzinę Lothar przyglądał się zafascynowany wspaniałemu widowisku i nagle, niby na sygnał, masa ryb zapadła się pod wodę i po kilku minutach ocean był spokojny, jakby nic go nie wzburzyło. Jedynym ruchem w zasięgu wzroku było delikatne falowanie wody i ruch mgły oświetlanej przez słońce.

Lothar spętał konia, wyjął książkę z juków przy siodle i usiadł na ciepłym piasku. Co kilka minut podnosił wzrok znad lektury, ale mijały godziny i nic się nie działo. W końcu wstał, przeciągnął się i podszedł do konia. Kończył się kolejny dzień oczekiwania. Z nogą w strzemieniu zatrzymał się jeszcze na chwilę, żeby po raz ostatni przyjrzeć się morzu zaczerwienionemu przez zachodzące słońce na kolor krwi.

Nagle przed jego oczyma wody się rozstały i na powierzchnię wynurzył się olbrzymi podłużny kształt przypominający biblijnego Lewiatana, ale jeszcze większy niż jakikolwiek mieszkaniec mórz.

Olbrzymie cielsko błyszczało od wody, która spływała po stalowych pokładach i bokach.

— Wreszcie! — krzyknął w podnieceniu i jednocześnie z ulgą Lothar. — Już myślałem, że nigdy nie przybędą.

Przyglądał się chciwie przez lornetkę długiemu i groźnie wyglądającemu okrętowi. Dostrzegł inkrustacje ze skorupiaków i roślin, które przywarły do kadłuba. Łódź była długo w morzu i ocean zostawił na niej swoje ślady. Na wysokiej wieżycze numer rejestracyjny był częściowo zatarty. „U-32”, odczytał z trudem Lothar. Skoncentrował uwagę na przednim pokładzie łodzi.

Z jednego z włazów wybiegł oddział strzelców i skierował się do szybkostrzelnego działka. Dowódca okrętu wołał widocznie nie ryzykować. Lothar zobaczył, jak broń obraca się i nakierowuje na niego, gotowa odpowiedzieć ogniem na jakąkolwiek zaczepkę z lądu. Z wieżyczki obserwacyjnej wychyliła się głowa i dostrzegł lornetkę kierującą się w jego stronę.

Pośpiesznie odszukał racę sygnalizacyjną w torbie przy siodle. Czerwona głowa racy poszybowała nad morzem i po chwili z okrętu w niebo wzniosł się taki sam sygnał.

Lothar wskoczył na grzbiet konia i pognął go w dół zbocza. Ogier zsunął się po wydmie, niemal siedząc na tylnych nogach i ściągając za sobą małą lawinę syczącego piachu.

U podnóża wydmy Lothar zebrał konia i ten pomknął galopem po twardym piasku plaży, a stojący w strzemionach jeździec wymachiwał hełmem i krzyczał z radości. Wpadł do obozu rozbitego na skraju laguny, zeskoczył w pełnym pędzie z siodła i pobiegł wzdłuż szalásów zbudowanych z wyrzuconego przez morze drewna i przykrytych brezentem. Wyciągał swoich ludzi z koców i budził ich kopniakami.

— Przyplłynęli, wy leniwe dranie! Już przyplłynęli, wy bando pustynnych szakali. Wstawać! Podnieście tyłki, zanim wam zgniją z bezczynności.

Lothar zebrał wokół siebie trudną do opisanego bandę rozbójników: wysokich, muskularnych Hereros, żółtych Hotentotów o mongolskich rysach i skośnych oczach, wojowniczych Koranas i przebiegłych, przystojnych Ovambo, ubranych w stroje plemienne i odzież zdobytą na polach bitew, w okrycia z miękkiej, wyprawianej skóry kudu i zebry, strusie pióra i porwane kurtki i hełmy zdobyte na żołnierzach Unii. Banda była uzbrojona w manlichery, mauzery, Martini Henry i Lee Enfieldy 303, a także noże i włócznie. Wszyscy ci ludzie byli krwiożerczy jak psy myśliwskie i równie dzicy jak pustynia, która ich zrodziła. Tylko jednego człowieka zgodzili się nazywać swoim panem i gdyby ktokolwiek inny zamierzył się na nich, poderżnęliby mu gardło, ale Lothar De La Rey mógł ich kopać i poganiać pięściami.

— Ruszać się, wy bando zjadaczy psiego gówna, Anglicy was dopadną, zanim skończycie się iskać.

Dwa galary stały ukryte w trzcinach. Przybyły tu wraz z resztą zapasów przywiezionych przed wojną. W ciągu kilku tygodni, gdy oddział czekał na przybycie niemieckiej łodzi podwodnej, ludzie Lothara uszczelnili spoiny pakułami i smołą, a także zrobili walce z drewna zalegającego plażę.

Teraz na rozkaz Lothara wyciągnęli długie łajby. Z każdej strony ustawiło się po dwudziestu ludzi, gdyż przystosowane do przewożenia czterdziestu ton guano i wciąż śmierdzące ptasimi odchodami galary były bardzo ciężkie. Łodzie miały szerokie pokładnice i głębokie zanurzenie i ułożone w poprzek plaży gładkie pnie zapadały się w piasek pod ciężarem przetaczanych kadłubów.

Zostawili łajby na krawędzi wody i biegiem wrócili do zagrzebanych u podnóża, wydmy beczek z ropą, które błyskawicznie wyciągnęli z piachu i potoczyli do morza. W tym czasie Lothar ustawił już trójnóg, zajął takielunek i ciężkie beczki unosiły się jedna za drugą w powietrze, a następnie spuszczano je na dno łodzi. Kiedy pracowali w pośpiechu, za pustynią zaszło słońce i okręt podwodny przestał być widoczny na tle czarnego oceanu.

— Wszyscy do spychania łodzi! — zakomenderował Lothar. Jego ludzie wyłonili się z mroku, by z rytmicznym śpiewem pchać ciężkie łajby do wody, za każdym razem po kilka centymetrów do przodu, aż wreszcie woda uniosła dziób galaru i po chwili pierwszy kołysał się już na fali.

Lothar stał z przodu, trzymając latarnię sztormową wzniesioną wysoko nad głową, a wioślarze pchali zanurzoną prawie po okrężnicę łódź przez czarną, zimną wodę. W ciemnościach przed nimi rozbłysło światelko i nagle z mroku wyłonił się wysoki, potężny kadłub U-Boota, a galar odbił się lekko od jego boku. Niemieccy marynarze czekali już z linami cumowniczymi, a jeden z nich podał Lotharowi rękę, gdy ten przeskoczył na okręt i wspiał się po stromym boku.

Kapitan czekał na mostku.

— Unterseeboot kapitan Kurt Kohler. — Stuknął obcasami, zasalutował i zrobił krok do przodu, żeby wymienić uścisk ręki. — Bardzo się cieszę, że pana widzę, Herr De La Rey. Zostało nam paliwa zaledwie na dwa dni.

W świetle latarni ustawionych na mostku twarz kapitana wyglądała na wyrzinerowaną. Jego skóra miała przezroczystość wosku — jak u kogoś, kto bardzo długo nie widział słońca, oczy zapadły się głęboko, a usta przypominały cienką bliznę po cięciu szablą. Lothar domyślił się, że ten człowiek bardzo dobrze poznał śmierć i strach w ciemnych, tajemniczych głębinach.

— Czy droga obfitowała w sukcesy, kapitanie?

— Sto dwadzieścia sześć dni w morzu i dwadzieścia sześć tysięcy ton nieprzyjacielskich okrętów. — Marynarz skinął głową.

— Z boską pomocą będzie kolejne dwadzieścia sześć tysięcy ton — zasugerował De La Rey.

— Z boską pomocą i pańskim paliwem — zgodził się kapitan i spojrzał na pokład, na który właśnie wtaczano pierwsze beczki, a następnie wrócił do Lothara. — Ma pan torpedy? — spytał niespokojnie.

— Niech się pan nie martwi — uspokoił go Lothar. — Torpedy są gotowe, ale uznałem, że będzie bezpieczniej, jeśli najpierw uzupełni pan paliwo.

— Oczywiście.

Zaden z nich nie musiał wspominać o konsekwencjach, jakie groziły niemieckiej łodzi podwodnej schwytej bez paliwa na wrogim wybrzeżu przez angielski okręt wojenny.

— Zostało mi jeszcze trochę sznapsa. — Kapitan zmienił temat. — Moi oficerowie i ja będziemy zaszczytzeni.

Schodząc po stalowej drabinie w głąb łodzi, Lothar czuł, jak zbiera mu się na wymioty. Smród był tak okropny, że zastanawiał się, jak ktokolwiek może wytrzymać w tych warunkach dłużej niż kilka minut. Był to zapach sześćdziesięciu ludzi mieszkających przez wiele miesięcy w tych samych nie wentylowanych pomieszczeniach pozbawionych słońca i świeżego powietrza i nie mogących się umyć czy uprać własnej bielizny. Była to także woń przenikającej wszystko wilgoci i grzybów, od których pozieleniały i zbutwiały mundury członków załogi, odór rozgrzanej ropy i ścieków okrętowych, stęchłego jedzenia i okropny zapach strachu, który przesiąkł pościel łóżek zajmowanych na zmianę przez sto dwadzieścia sześć dni i nocy, smród nigdy nie zmienianych skarpet i butów oraz kubłów w toaletach, które mogły być opróżniane raz dziennie.

Lothar starał się dobrze ukryć wstręt i schylił się, stukając obcasami, gdy kapitan przedstawiał go pozostałym oficerom. Sufit był tak niski, że Lothar wtulił głowę w ramiona, a przejście pomiędzy przegrodami tak wąskie, iż dwie osoby musiały odwracać się bokiem, żeby się minąć. Spróbował wyobrazić sobie życie w tych warunkach i poczuł, jak na czoło występuje mu zimny pot.

— Herr De La Rey, czy ma pan może jakieś informacje o nieprzyjacielskich okrętach? — Kapitan odmierzył małe porcje wódki do kryształowych kieliszków i westchnął, gdy kropla ściekała po

butelce.

— Obawiam się, że moje informacje są już nieaktualne, gdyż pochodzą sprzed siedmiu dni. — Lothar pozdrowił oficerów okrętowych wzniesionym kieliszkiem i kiedy wypili, kontynuował: — Transportowiec „Auckland” przybił do Durbanu osiem dni temu po ładunek węgla. Ma na pokładzie dwa tysiące Nowozelandczyków i wypłynie z portu piętnastego...

Wśród pracowników administracji Unii Południowej Afryki znajdowało się wielu sympatyków Niemiec, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, których ojcowie brali udział w wojnie burskiej, a później wyruszyli z Maritzem i De Wetem przeciwko wojskom Unii. Wielu z ich bliskich uwięziono, a często nawet rozstrzelano za zdradę, gdy Smuts i Louis Botha, stłumili powstanie. Niektórzy z tych ludzi byli zatrudnieni przez Południowoafrykański Zarząd Linii Kolejowych i Portów, inni zajmowali kluczowe stanowiska w Departamencie Poczty i Telegrafów. W ten sposób rządowa sieć komunikacyjna kraju zbierała, rozszyfrowywała i rozsyłała ważne informacje do niemieckich agentów i powstańców.

Lothar przejrzał listę statków, które przybyły lub wypłynęły z południowoafrykańskich portów, i znowu przeprosił.

— Informacje dostaję na stacji telegraficznej w Okahandja, ale potrzeba pięciu do siedmiu dni, żeby jeden z moich ludzi przewiózł je przez pustynię.

— Rozumiem. — Niemiecki kapitan skinął głową. — To wszystko, co już mi pan przekazał, będzie nieocenioną pomocą w planowaniu naszych następnych operacji.

Podniósł wzrok znad mapy z pozaznaczanymi pozycjami wrogich okrętów, którą otrzymał od Lothara, i dopiero teraz zauważył złe samopoczucie swojego gościa. Postarał się zachować grzeczny wyraz twarzy, ale w duchu naigrawał się z przybysza: Och, ty wielki bohaterze, przystojny niczym gwiazda opery i taki dzielny, gdy wiatr ci wieje w twarz, a nad głową świeci słońce, zabrałbym cię chętnie ze sobą i pokazał, co znaczy prawdziwa odwaga i poświęcenie! Jak by ci się to podobało, gdyby angielskie niszczyciele przepływały z hukiem nad twoją głową, a ty słyszałbyś wyraźnie trzask zapalnika pocisku głębinowego opadającego w twoją stronę? Chciałbym ujrzeć twoją minę, gdy fala uderzeniowa trafia w kadłub łodzi, woda przenika przez szczeliny i gaśnie światło. Jak by ci się podobało, gdybyś w ciemnościach zesrał się ze strachu i czuł, jak ci to spływa po nogach do butów? Nie powiedział jednak nic i tylko uśmiechnął się i mruknął:

— Żałuję, że nie mogę pana poczęstować jeszcze jednym drinkiem...

— Nie, nie! — Lothar odmówił ruchem ręki. Ten człowiek o trupiej twarzy i cuchnący okręt podwodny napawały go okropnym wstrętem. — Był pan wyjątkowo łaskawy. Muszę wrócić na brzeg i nadzorować załadunek. Ci czarni, nie można im ufać. Leniwe psy i urodzeni złodzieje. Rozumieją jedynie mowę bata.

Z ulgą wbiegł po drabinie na górę i z wieżyczki obserwacyjnej chciwie wciągnął w płuca zimne nocne powietrze. Kapitan okrętu wyszedł za nim.

— Herr De La Rey, jest bardzo ważne, abyśmy skończyli załadunek przed świtem. Zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy bezbronni z otwartymi włazami i pustymi zbiornikami.

— Gdyby wysłał pan kilku swoich marynarzy na brzeg, żeby pomogli przy załadunku....

Kapitan zawahał się. Wysłanie załogi na ląd uczyniłoby go jeszcze bardziej bezbronnym. Szybko rozważył wszystkie za i przeciw.

— Dam panu dwudziestu ludzi.

Podjął decyzję w ciągu kilku sekund i Lothar, który rozumiał przyczyny jego skąpstwa, skinął głową z podziwem.

Na plaży panowały ciemności i potrzebowali światła. Lothar rozpałił duże ognisko z

wyrzuconego przez morze drewna i zasłonił je od strony morza, ufając, że unosząca się nad wodą mgła oraz to zabezpieczenie skryje ich przed patrolującymi brzeg angielskimi okrętami wojennymi. Przy rozproszonym świetle ogniska załadowali galary i w pośpiechu płynęli do okrętu. Marynarze wlewali ropę do zbiorników, a puste beczki dziurawili i zatapiali wśród wodorostów. Długa łódź podwodna coraz głębiej zanurzała się w morzu.

Była już czwarta rano, gdy zbiorniki zostały napełnione po brzegi i kapitan U-Boota spoglądał co chwilę z niepokojem w stronę lądu, gdzie na tle szarzejącego przed świtem nieba rysowały się ostre kontury wydm, a następnie przenosił wzrok na zbliżającą się łódź z długimi kształtami torped ułożonych ostrożnie na ławkach wiosłarzy.

— Pośpieszcie się.

Dowódca wychylił się z wieżyczki obserwacyjnej, żeby ponaglić ludzi. Marynarze obwiązali monstrualne naboje stropami ładowniczymi, podciągnęli na takielunku i przenieśli na pokład. Drugi galar z pociskami przybił do okrętu w chwili, gdy marynarze ostrożnie spuszczały torpedę do pustego luku pod pokładem, a pierwszy galar płynął już do brzegu.

Z każdą chwilą robiło się coraz jaśniej. Załogi U-Boota i czarni partyzanci podwoili wysiłki i, przewyciężając zmęczenie, pracowali na wyścigi, żeby tylko zakończyć załadunek przed świtem.

Lothar przyplął z ostatnią torpedą, siedząc okrakiem na błyszczącym metalu pocisku jak na swoim arabisie. Przyglądający mu się z mostka kapitan stwierdził, że czuje do tego człowieka jeszcze silniejszą niechęć niż poprzednio. Nienawidził go za to, że jest wysoki, opalony i przystojny, za arogancję, strusie pióra przy hełmie i złote loki, które sięgały mu ramion, a przede wszystkim za to, że po załadunku może odjechać na pustynię, a on będzie musiał znowu zanurzyć się w zimne i nieprzystępne wody oceanu.

— Kapitanie!

Lothar wyskoczył z łodzi i wspinał się po drabinie na mostek na wieżycze obserwacyjnej. Oficer zauważył, że opalona twarz mężczyzny jaśnieje podnieceniem.

— Kapitanie, jeden z moich ludzi właśnie wrócił do obozu. Jechał przez pięć dni z Okahandja z nowinami. Wspaniałymi nowinami!

Oficer starał się nie okazywać po sobie emocji, ale w miarę jak Lothar mówił dalej, zaczęły mu drżeć ręce.

— Zastępca komendanta portu jest jednym z moich ludzi. Oczekują, że angielski ciężki krążownik „Inflexible” przybije do portu w Kapsztadzie za osiem dni. „Inflexible” opuścił Gibraltar piątego tego miesiąca i płynie prosto do Kapsztadu.

Dowódca łodzi zanurkował we włazie i Lothar, tłumiąc niechęć, podążył za nim po stalowej drabinie. Kapitan stał już pochylony nad stołem z mapami, z cyrklem w ręku, zasypując swoich oficerów pytaniami.

— Podajcie mi szybkość rejsową nieprzyjacielskich krążowników wojennych klasy I.

Nawigator szybko przebiegł wzrokiem informacje wywiadu.

— Dwadzieścia dwa węzły przy dwustu sześćdziesięciu obrotach, kapitanie.

— Ha! — Kapitan zaznaczał kredą przybliżony kurs z Gibraltaru wzdłuż wybrzeża afrykańskiego do Przylądka Dobrej Nadziei. — Ha! — powtórzył, tym razem głośniejszym i z widoczną radością. — Jeśli wypłyniemy w ciągu godziny, punktualnie o osiemnastej znajdziemy się na pozycji patrolowej, a krążownik nie mógł nas jeszcze minąć.

Podniósł głowę znad mapy i spojrzał na stłoczonych wokół stołu oficerów.

— Panowie, angielski krążownik, ale nie zwyczajny krążownik. Sam „Inflexible”, który zatopił „Scharnhorsta” na Falklandach. To będzie wielka nagroda dla Kaisera i Vaterlandu.

Nie licząc dwóch obserwatorów na dziobie i rufie, kapitan Kurt Kohler stał samotnie w wieżycze obserwacyjnej U-32 i drżał z zimna w porannej mgle mimo białego, wełnianego golfu, który założył pod błękitną marynarkę.

— Włączyć główny silnik. Zabezpieczyć okręt do zanurzenia się. Nachylił się do tuby i natychmiast usłyszał potwierdzenie swojego rozkazu od porucznika.

— Włączyć główny silnik. Zabezpieczyć okręt do zanurzenia się.

Pokład zadrżał pod stopami Kohlera i nad jego głową uniosła się niebieska chmurka spalin. W nozdrzach poczuł drapiący smród ropy.

— Okręt gotowy do zanurzenia! — potwierdził głos porucznika. Kohler poczuł, jak kamień spada mu z piersi. Przez te wszystkie godziny uzupełniania paliwa i uzbrajania łodzi czuł się okropnie, bezbronny. Na szczęście miał już to za sobą — okręt znowu ożył, był gotowy do walki, i kapitan poczuł, jak przyływ sił pozwala mu przewyciężyć okropne zmęczenie.

— Zwiększyć obroty do siedmiu węzłów — rozkazał. — Mowij kurs na dwieście siedemdziesiąt stopni.

Gdy jego komenda została powtórzona, kapitan zsunął czapkę ozdobioną złotymi wężykami na tył głowy i skierował lornetkę na

Ciężkie galary zostały już ściągnięte z plaży i ponownie ukryte wśród trzciny; na piasku zostały jedynie głębokie ślady w miejscach, gdzie je przeciągano. Plaża była pusta poza jedną postacią na koniu. Lothar De La Rey zdjął ze złocistych loków korkowy hełm ozdobiony strusimi piórami i pomachał w stronę okrętu. Kohler podniósł rękę w geście salutu, jeździec zawrócił koma, wciąż trzymając nakrycie głowy w rękę, i pogalopował w stronę wysokich trzciny, które osłaniały środek plaży pomiędzy dwiema wysokimi wydmi. Stado spłoszonych dzikich gęsi wzniosło się nad lagunę i kolorową chmurą przeleciało nad nagimi wydmi. Koń i jeździec zniknęli wśród trzciny. Kohler odwrócił się od lądu i patrzył, jak ostry dziób LJ-Boota rozcina srebrną zasłonę stojącej mgły. Widziany z góry kadłub miał kształt miecza o długości pięćdziesięciu metrów, okręt był napędzany potężnym silnikiem o mocy sześciuset koni mechanicznych i spoglądający na swą łódź Kohler czuł, że wzruszenie zaciska mu gardło, jak miało to miejsce na początku każdej wyprawy.

Kohler nie miał wątpliwości co do tego, iż na jego barkach i barkach jego towarzyszy, pływających na innych okrętach podwodnych spoczęły teraz losy wojny światowej. Tylko oni mogli jeszcze przełamać patową sytuację, jaka zapanowała w okopach, gdzie dwie armie stały naprzeciw siebie niczym wyczerpani bokserzy wagi ciężkiej, nie mający już siły, żeby podnieść ręce i zadać decydujący cios — obie wolno gnijące w błocie, widząc zmierzchłych olbrzymich wysiłków. Jedynie owe ukryte pod wodą śmiertelne okręty miały szansę osiągnąć zwycięstwo, wyrwać je z ogólnej rozpacz i desperacji, zanim któraś z tamtych sił się załamie. Gdyby tylko kaiser od samego początku zdecydował się na pełne użycie okrętów podwodnych, może inaczej potoczyłyby się losy tej wojny, dumal Kurt Kohler.

We wrześniu 1914 roku, w pierwszym okresie wojny, niemiecka łódź podwodna U-9 zatopiła trzy brytyjskie krążowniki, ale nawet po owej wymownej demonstracji niemieckie dowództwo wahało się przed użyciem tej broni. Generalowie bali się nienawiści i potępienia ze strony reszty świata, które odbyłyby się przy generalnym zawołaniu: „Bestialscy podwodni rzeźnicy!”

Oczywiście amerykańskie pogrożki, jakie miały miejsce po zatopieniu okrętów „Lusitania” i „Arabie”, kiedy zginęli amerykańscy obywatele, przyczyniły się do ograniczenia posługiwania się tą bronią. Kaiser nie chciał budzić śpiącego amerykańskiego olbrzyma, który swoim ciężarem mógłby zgnieść niemieckie imperium.

Teraz, gdy było już niemal za późno, niemieckie dowództwo naczelne zapaliło zielone światło

dla U-Bootów. Rezultaty były zdumiewające i przewyższały wszelkie oczekiwania.

W ciągu trzech ostatnich miesięcy 1916 roku niemieckie torpedy zatopiły ponad trzysta tysięcy ton okrętów alianckich, a był to dopiero początek. Tylko w ciągu pierwszych dziesięciu dni kwietnia 1917 roku zniszczono dwieście pięćdziesiąt tysięcy ton, a przez cały miesiąc osiemset siedemdziesiąt pięć tysięcy ton. Alianci ledwo trzymali się na nogach po tym strasliwym ciosie.

Teraz, kiedy dwa miliony młodych Amerykanów stało gotowych do przekroczenia Atlantyku, żeby włączyć się do walki, każdy dowódca niemieckiej łodzi podwodnej powinien wypełnić swój obowiązek do końca. Jeśli bogowie wojny umieścili tak sławny okręt, jak krążownik wojenny „Inflexible” na kursie tej niepozornej i porozbijanej łodzi podwodnej, to kapitan Kurt Kohler z chęcią poświęci własne życie i życie załogi w zamian za szansę wystrzelenia w niego torped.

— Zwiększyć obroty do dwunastu węzłów — powiedział do tuby.

Była to maksymalna prędkość łodzi na powierzchni, Kurt chciał jak najszybciej znaleźć się na pozycji patrolowej. Według jego obliczeń, „Inflexible” powinien przepłynąć w odległości stu dziesięciu do stu czterdziestu mil morskich od brzegu. Kapitan zrezygnował jednak z wyliczania szans na przecięcie drogi nieprzyjacielskiemu okrętowi, nawet jeśli jego łódź znajdzie się na pozycji patrolowej przed krążownikiem.

Z pozycji obserwacyjnych na łodzi podwodnej można było oglądać morze w promieniu zaledwie dziesięciu kilometrów, zasięg torped wynosił dwa i pół tysiąca metrów, a krążownik mógł rozwijać prędkość ponad dwudziestu dwóch węzłów. Kapitan musiał zbliżyć się do celu na odległość dwóch i pół tysiąca metrów, a same szansę na wypatrzenie nieprzyjaciela były mniejsze niż jeden do tysiąca. Nawet jeśli uda mu się dostrzec wroga, to najpewniej zobaczą jedynie charakterystyczną trójkątną sylwetkę krążownika mijającego ich na granicy horyzontu. Kohler stłumił złe przeczucia.

— Porucznik Horsthausen na mostek.

Kiedy pierwszy oficer wdrapał się na mostek, Kurt polecił mu płynąć z pełną szybkością w kierunku obszaru patrolowego. Okręt był przygotowany do zanurzenia i w każdej chwili mógł zniknąć pod wodą.

— Jeśli nic się nie zdarzy, to obudź mnie o szóstej trzydzieści. Zmęczenie kapitana potęgował okropny ból głowy wywołany spalinami z silnika dieslowskiego. Zanim Kurt zszedł pod pokład, ostatni raz rozejrzał się po horyzoncie. Przybierająca na sile bryza unosiła w górę mgłę, a chłostana wiatrem powierzchnia morza stawała się coraz ciemniejsza. U-32 wbił się dziobem w wysoką falę i spieniona piana załazał przedni pokład. Krople wody opryskały twarz Kohlera.

— Barometr szybko opada — powiedział cicho Horsthausen. — Zdaje się, że zanoszą się na większą burzę.

— Proszę pozostać na powierzchni i utrzymać prędkość.

Kurt zignorował jego opinię. Nie chciał słyszeć niczego, co mogłoby mu skomplikować pościg. Zszedł po drabinie na dół i podszedł do dziennika okrętowego leżącego na stole z mapami.

Zapisał szybko dane drukowanymi literami. „Kurs 270 stopni. Szybkość 12 węzłów. Wiatr północno-zachodni, 15 węzłów i wzmaga się”. Podpisał się pełnym nazwiskiem i imieniem, a następnie ścisnął palcami czoło, starając się opanować ból głowy.

Mój Boże, jaki jestem zmęczony, pomyślał i zobaczył, że oficer nawigacyjny przygląda się jego odbiciu w wypolerowanej powierzchni tablicy rozdzielczej. Szybko opuścił ręce i opanowując pokusę, żeby natychmiast udać się do swojej koi, oznajmił sternikowi:

— Przeprowadzę inspekcję okrętu.

Specjalnie zatrzymał się w komorze silnikowej, żeby pogratulować technikom sprawnego uzupełnienia paliwa. Wchodząc przez wąskie wejście do komory z torpedami, kazał ludziom nie

podnosić się z koi.

Trzy wyrzutnie torped były załadowane i pod ciśnieniem, a zapasowe pociski ustawiono w specjalnych przegrodach; ich lśniące kadłuby wypełniały małą komorę, tak że nie zostało wiele miejsca na poruszanie się. Obsługujący torpedy marynarze musieli spędzać większość czasu skuleni na małych łózkach niczym zwierzęta w klatkach.

Kurt poklepał jedną z torped.

— Zrobimy wam wkrótce więcej miejsca — obiecał marynarzom — jak tylko wyślemy te paczki do Anglików.

Był to stary dowcip, ale marynarze roześmiali się głośno. Słuchając ich rozbawionych głosów, Kurt zauważył, jak wszystkich ożywiło te kilka godzin na świeżym powietrzu pustyni.

Gdy wrócił do małej klatki zasłoniętej parawanem, która pełniła rolę jego kabiny, rozluźnił się nieco i natychmiast poczuł, jak ogarnia go zmęczenie. Nie spał od czterdziestu godzin, a każda minuta z tego czasu była nerwową szarpaniną. Zanim jednak wsunął się do swej wąskiej koi, zdjął oprawioną fotografię z półki nad biurkiem i przez chwilę przyglądał się podobnie pogodnej młodej kobiecie z małym chłopcem na kolanach, ubranym w krótkie skórzane spodnie.

— Dobranoc, moi kochani — szepnął. — Śpij dobrze także i ty, mój drugi synu, którego nigdy nie widziałem.

Obudził go klakson ryczący niczym zranione zwierzę; X. przenikliwy dźwięk roznosił się echem po wszystkich zakamarkach stalowej skorupy okrętu. Wyrwany z głębokiego snu Kurt Kohler wyrzucił głowę w słupek koi, gdy zbyt szybko próbował usiąść.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że łódź zatacza się na boki rzucona przez potężne fale. Pogoda musiała popsuć się zupełnie. Kapitan zauważył, że pokład pod jego stopami nachyla się pod kątem ostrym. Rozsunął gwałtownie zasłonę i wypadł do pomieszczenia kontrolnego w chwili, gdy dwóch obserwatorów ześlizgiwało się po drabinie na dół. Zanurzenie nastąpiło tak szybko, że na ich głowy runęły strugi wody, zanim porucznik Horsthausen zdążył zamknąć za sobą i zablokować główny właz w wieżycze.

Kurt spojrzął na zegar umieszczony na miedzianej tablicy rozdzielczej: osiemnasta dwadzieścia trzy. Szybko dokonał obliczeń i stwierdził, że muszą znajdować się w odległości jakichś stu dziesięciu mil morskich od brzegu, na skraju obszaru patrolowego. Horsthausen najpewniej sam by go obudził za kilka minut, gdyby nie musiał nagle wykonać manewru zanurzenia.

— Głębokość peryskopowa — rzucił rozkaz starszemu sternikowi, który siedział obok przy panelu kontrolnym, sam zaś wykorzystał tych kilka minut spokoju, żeby oprzytomnieć i zorientować się w sytuacji z wykresu nawigacyjnego.

— Głębokość dziewięć metrów, kapitanie — powiedział sternik, obracając koło, żeby powstrzymać gwałtowne zanurzenie.

— Peryskop w górę — rozkazał Kurt, gdy Horsthausen zeskoczył z drabiny i zajął stanowisko przy tablicy bojowej.

— Obiekt to duży okręt pokazujący czerwone i zielone światła nawigacyjne. Położenie zero-sześć-zero stopni. — Porucznik złożył raport Kurtowi. — Nie zdołałem dostrzec żadnych szczegółów.

Gdy peryskop zaczął się wysuwać ponad pokład przy głośnym syku pomp hydraulicznych, Kurt przykucnął, rozłożył boczne uchwyty i przycisnął twarz do gąbki osłaniającej okular z soczewkami Zeissa. Wyprostował się wraz z podnoszącym się peryskopem, obracając go jednocześnie w kierunku zero-sześć-zero szerokości geograficznej.

Powierzchnia soczewki zalana była wodą i Kurt musiał chwilę poczekać, aż obcieknie.

— Zapada zmrok... — ocenił widoczność na powierzchni i zwrócił się do Horsthausena: — Jaka odległość?

— Kadłub jest schowany za horyzontem.

Oznaczało to, że obiekt był oddalony od nich jakieś osiem, dziewięć mil morskich, ale czerwone i zielone światła nawigacyjne pokazywały, że płynie prosto na U-32. Fakt, iż okręt porusza się z zapalonymi światłami, był najlepszym dowodem tego, jak pewnie załoga czuje się na wodach, które musiała uznać za puste.

Soczewki obeschły i Kurt nakierował peryskop.

Odnalazł okręt. Poczul, jak serce zaczyna mu bić mocniej, i wstrzymał oddech. Bez względu na to, ile razy widział wroga, szok i uczucie podniecenia były równie silne, jak za pierwszym razem.

— Ustalić położenie! — warknął i porucznik pośpiesznie zapisał szerokość geograficzną na tablicy bojowej.

Kurt patrzył na zbliżający się łup z pożądaniem myśliwego i z niemal seksualnym bólem w łędźwiach, jakby przyglądał się pięknej kobiecie rozbierającej się dla niego; jednocześnie delikatnie ustawiał pokrętko dalekomierza palcami prawej ręki.

Wreszcie podwójny obraz okrętu w soczewkach peryskopu nałożył się na siebie.

— Zasięg! — rzucił Kurt, gdy obrazy złożyły się w jeden wyraźny kształt.

— Szerokość geograficzna zero-siedem-pięć-zero stopni — odparł Horsthausen. — Odległość siedem tysięcy sześćset pięćdziesiąt metrów.

Zapisał cyfry na tablicy bojowej.

— Peryskop w dół! Nowy kierunek trzy-cztery-zero stopni! — rozkazał Kurt.

Składające się jak teleskop tuby peryskopu zniknęły z sykiem pod pokładem. Nawet przy tej odległości i tak słabym świetle Kurt wolał nie ryzykować, że obserwator tamtych wypatrzy białą smugę na wodzie, gdy czubek peryskopu będzie pruł szybko fale, skręcając wraz z łodzią na północ, by przeciąć drogę okrętowi.

Kurt patrzył na sekundnik zegara na tablicy rozdzielczej. Horsthausen potrzebował dwóch minut, zanim będzie mógł dokonać następnego pomiaru. Spojrzał na swojego pierwszego i zobaczył, że jest całkowicie zajęty obliczeniami — siedział przy tablicy bojowej ze stoperem w lewej ręce, a prawą przesuwając krążki liczydła.

Kurt skoncentrował się na własnych obliczeniach dotyczących światła i warunków panujących na powierzchni. Półmrok był mu na rękę. Myśliwy potrzebował przede wszystkim kryjówki, ale wzburzone morze zalewające peryskop utrudniało zbliżenie się i mogło nawet zmienić kurs torped.

— Peryskop w górę! — rozkazał. Minęły dokładnie dwie minuty. Bez trudu znalazł cel. — Położenie! Zasięg!

Horsthausen miał już niezbędne informacje: czas pomiędzy dwoma pomiarami, wzajemne położenie i odległości pomiędzy okrętem podwodnym i celem, a także szybkość i kurs U-32.

— Cel jest na kursie jeden-siedem-pięć stopni. Szybkość dwadzieścia dwa węzły — odczytał z tablicy bojowej.

Kurt nie odrywał oczu od okulara peryskopu, ale poruszenie wywołane pościgiem było niczym alkohol rozgrzewający krew w żyłach. Nieprzyjacielski okręt płynął prosto na nich i w dodatku dokładnie z szybkością, z jaką porusza się brytyjski krążownik odbywający długą podróż. Kapitan przyglądał się uważnie odległemu obiektowi, ale z każdą sekundą robiło się coraz ciemniej i widział już tylko cień nadbudowy pomiędzy dwoma małutkimi światłkami nawigacyjnymi — a jednak, a jednak — nie był zupełnie pewny, może tylko dostrzegał to, co chciał zobaczyć — ale zdawało mu się, że rozpoznaje na tle ciemnego nieba trójkątny kształt, charakterystyczny dla nowej klasy I

krążowników wojennych.

— Peryskop w dół. — Szybko podjął decyzję. — Nowy kurs, kierunek trzy-pięć-pięć stopni. — Naprowadził okręt na kurs przecinający drogę nieprzyjacielowi. — Cel oznaczyć jako „pościg”.

Była to informacja dla oficerów, że kapitan zdecydował się na atak, i Kurt dostrzegł w mętym świetle lamp, jak twarze jego podwładnych nabierają wilczego wyrazu i oficerowie wymieniają pełne entuzjazmu spojrzenia.

— Celem jest nieprzyjacielski krążownik. Ostrzał będzie prowadzony z wyrzutni dziobowych. Proszę o zgłoszenie stanów bojowych.

Jeden za drugim napływały raporty potwierdzające, że okręt jest w całkowitej gotowości bojowej. Kurt skinął głową z satysfakcją i stanął za sternikiem, przyglądając się ponad jego głową instrumentom kontrolnym na tablicy rozdzielczej. Ręce wbił głęboko w kieszenie, żeby nikt nie zobaczył, jak z podniecenia drżą mu dłonie. Jednak w powiece pulsował mu nerw, co sprawiało, że kapitan jak gdyby mrugał sardonicznie, a jego wąskie usta drgały nerwowo. Każda sekunda zdawała się trwać wiecznie. Wreszcie zapytał:

— Szacunkowe położenie?

Sternik z hydrośluchawkami na głowie, który cały czas monitorował odgłosy śrub ściganego statku, obejrzał się na dowódcę.

— Płynie prosto na nas — odparł i Kurt spojrzał na porucznika.

— Szacunkowa odległość?

Horsthausen był całkowicie skoncentrowany na tablicy bojowej.

— Szacunkowa odległość cztery tysiące metrów.

— Peryskop w górę.

Okręt wciąż tam był, dokładnie w miejscu, w którym kapitan spodziewał się go zobaczyć. Nie zboczył z kursu. Ulga była tak olbrzymia, że Kurt poczuł mdłości. Gdyby wróg wyczuł jego bliską obecność, wystarczyłoby, żeby zmienił kierunek i oderwał się od U-Boota. Nie musiałby nawet przyspieszać, gdyż okręt podwodny nie miał żadnych szans dogonienia krążownika. Na szczęście wróg płynął prosto przed siebie, niczego się nie spodziewając.

Na powierzchni było już zupełnie ciemno, a białe grzywacze wznosiły się i załamywały gwałtownie nad peryskopem. Kurt musiał wreszcie podjąć decyzję, z którą zwlekał do ostatniej chwili. Ostatni raz sprawdził horyzont, obracając peryskop o trzysta sześćdziesiąt stopni i kręcąc się wraz z nim, by upewnić się ostatecznie, iż z tyłu nie znajduje się żadna inna nieprzyjacielska jednostka i żaden niszczyciel nie eskortuje krążownika. W końcu oznajmił:

— Będę strzelać z mostka.

Nawet Horsthausen rzucił zaniepokojone spojrzenie i Kurt usłyszał, jak młodszy oficerowie wciągają gwałtownie powietrze w płuca, kiedy uświadomili sobie, że wynurzą się na powierzchnię niemal przed dziobem angielskiego krążownika wojennego.

— Peryskop w dół! — Kurt zwrócił się do starszego sternika. — Zredukować szybkość do pięciu węzłów. Wynurzenie na głębokość wieżyczki.

Zobaczył, jak wskazówki na miernikach drgają i wolno zaczynają się poruszać. Szybkość i zanurzenie statku zaczęły maleć. Kurt podszedł do drabiny.

— Przenoszę się na mostek — oznajmił.

Wstąpił na drabinę, wspiął się szybko na górę i odkręcił koło blokujące główny właz.

Gdy okręt wynurzył się na powierzchnię, wewnętrzne ciśnienie powietrza podniosło pokrywę włazu. Kurt wyskoczył na wieżyczkę. Wiatr zaatakował go z całą siłą, szarpiąc ubranie i opryskując twarz rozpyloną wodą. Morze wokoło zdawało się gotować, unosząc okręt na falach i rzucając nim w

dół. Kurt wierzył, że właśnie te fale zdołają ukryć przed obserwatorami na wrogim okręcie wzburzenie wody, jakie spowodowała wynurzająca się łódź. Jednym spojrzeniem przekonał się, że nieprzyjaciel jest wprost przed nimi i szybko się zbliża. Kurt nachylił się nad tabelą celów znajdującą się z przodu mostka, odkorkował tubę głosową i zakomenderował:

— Przygotować się do ataku! Wyrzutnie dziobowe w gotowości bojowej!

— Wyrzutnie dziobowe zamknięte — dobiegł go głos Horst-hausena.

Kurt zaczął podawać szczegółowe dane o zasięgu i położeniu celu, a znajdujący się pod pokładem porucznik odczytywał z tablicy bojowej kierunek ostrzału i przekazywał informacje sternikowi. Dziób okrętu zaczął się z wolna obracać, gdy sternik naprowadził łódź na cel.

— Odległość dwa tysiące pięćset metrów! — zawołał Kurt.

Cel był już w maksymalnym zasięgu ich strzału i zbliżał się szybko. Na górnych pokładach zapalono światła, ale poza tym krążownik, był jedynie zwalistą, ciemną masą. Na tle nocnego nieba nie było widać wyraźnej sylwetki jednostki, choć Kurt rozpoznał wysokie kształty trzech kominów.

Owe światła niepokoiły Kurta. Żaden kapitan Królewskiej Marynarki nie pozwoliłby sobie na tak podstawową nieostrożność. Kurt poczuł, jak ogarniające go wątpliwości powściągają wojownicze zapędy. Patrzył na potężny okręt i po raz pierwszy z setki podobnie stresujących sytuacji wahał się.

Statek przed nim znajdował się dokładnie na pozycji i kursie, na którym miał się znajdować „Inflexible”. Był tej samej wielkości, miał trzy kominy, charakterystyczny trójkątny kształt nadbudówki i płynął z odpowiednią szybkością — a jednak miał zapalone światła.

— Powtórzyć pomiar odległości!

W tubie głosowej rozległ się ponaglący głos Horsthausena i Kurt oprzytomniał. Przyglądał się okrętowi zamiast pilnować odległościomierza. Szybko przekazał na dół nową odległość i uświadomił sobie, że za trzydzieści sekund będzie musiał podjąć ostateczną decyzję. — Będę strzelać z odległości tysiąca metrów — powiedział do tuby.

Była to pewną odległość — nawet przy tak wzburzonym morzu nie mogło być mowy o chybieniu trzema torpedami:

Kurt patrzył z natężeniem w okular odległościomierza, przyglądając się, jak cyfry szybko maleją, w miarę jak myśliwy i ofiara zbliżają się do siebie. Wziął głęboki wdech niczym nurek szykujący się do skoku w głębinę i po raz pierwszy podniósł głos.

— Wyrzutnia numer jeden — ognia!

Niemal natychmiast dobiegł go głos Horsthausena, jak zawsze lekko jękający się, gdy porucznik był podekscytowany.

— Pierwsza poszła.

Nie było słyhać żadnego huku, nie czuło się jakiegokolwiek odrzutu. Stalowy kadłub łodzi podwodnej nawet nie drgnął przy wystrzale torpedy. W ciemnościach Kurt nie mógł nawet dostrzec jej , śladu na wzburzonym morzu.

— Wyrzutnia numer dwa — ognia!

Kurt strzelał wachlarzem torped tak, żeby każda poszła odrobinę innym kursem: pierwsza miała trafić w dziób, druga w śródokręcie, a trzecia bliżej rufy.

— Wyrzutnia numer trzy — ognia!

— Wszystkie trzy poszły!

Kurt podniósł wzrok znad tabeli celowniczej i mrużąc je przed prysznicem zimnych kropeł niesionych przez porywisty wiatr, wędrował oczami tropem mknących torped. Według standardowej procedury powinien natychmiast po oddaniu strzałów zanurzyć się pod wodę i czekać na bezpiecznej głębokości na trafienia, ale tym razem uległ pokusie, żeby zostać na powierzchni. Chciał zobaczyć na

własne oczy skutki strzału.

— Czas biegu torped? — zapytał, nie spuszczać wzroku z potężnej masy okrętu oświetlonego niczym statek pasażerski i tak jasnego, że gwiazdy na niebie z tyłu wydawały się wyblakłe.

— Dwie minuty piętnaście sekund — poinformował go Horst-hausen.

Kurt wcisnął przycisk na stoperze. Zawsze po wystrzeleniu torped nachodziły go wyrzuty sumienia. Przed oddaniem strzałów istniała jedynie pasja walki i podniecenie pościgiem wywołujące uczucie mrowienia, ale teraz nasuwały mu się myśli o dzielnych mężczyznach, których skazał na okrutną śmierć w czarnych, lodowatych wodach.

Sekundy wlokły się tak wolno, że Kurt musiał spojrzeć na stoper, aby upewnić się, że żadna z torped nie minęła jeszcze celu i nie okazała się niewypałem. Nagle rozległ się przeraźliwy huk, przy którym kapitan drgnął silnie, i nad ciemny okręt wzniosła się perliska fontanna wody, mieniąca się wszystkimi barwami w świetle gwiazd i lamp na pokładzie.

— Pierwsza trafiła!

Przez tubę dobiegł triumfalny okrzyk Horsthausena, po czym rozległ się kolejny wybuch, jakby góra zawałała się do morza.

— Druga trafiła!

Znowu huknęło i podczas gdy dwa pierwsze lśniące słupy wody wisiały jeszcze w powietrzu, trzeci obok nich wystrzelił wysoko w górę.

— Trzecia trafiła.

Kurt patrzył, jak kolumny pyłu wodnego zlewają się ze sobą, opadają i rozwiewają się na wietrze, a olbrzymi okręt płynie dalej, jakby nic się nie stało.

— Traci szybkość — zachłystywał się radością porucznik. — Okręt zmienia kurs na sterburtę.

Trafiony statek wszedł w szeroki skręt pod wiatr. Nie będą musieli więcej strzelać z wyrzutni na rufie.

— Porucznik Horsthausen do mnie na mostek — polecił Kurt. Była to nagroda za doskonałą robotę. Kurt wiedział, że młody oficer barwnie opíše potem swoim kolegom każdy szczegół zatonięcia nieprzyjacielskiego okrętu. Pamięć o tym zwycięstwie będzie ich później podtrzymywacza ducha przez długie dnie i noce wytężonej pracy. Horsthausen wyskoczył z włazu i stanął przy swoim kapitanie, patrząc na ofiarę.

— Zatrzymał się! — zawołał.

Angielski krążownik stał nieruchomo niczym skała na wzburzonym morzu.

— Podpłyniemy bliżej — zdecydował Kurt i wydał odpowiednie polecenie sternikowi.

Przebijając się przez spienione fale, jedynie z wieżyczką obserwacyjną wystającą na powierzchnię, U-32 wolno zbliżył się do ofiary. Podchodzili bardzo ostrożnie, gdyż działa krążownika mogły być jeszcze sprawne, a jeden celny strzał wystarczyłby, żeby przedziurawić cienką powłokę łodzi podwodnej.

— Słuchaj! — zawołał nagle Kurt, nadstawiając ucha, żeby lepiej usłyszeć odgłosy zagłuszane hukiem wiatru.

— Nic nie słyszę.

— Zatrzymać silniki! — rozkazał kapitan.

Po chwili ustały wibracje i warkot silników diesla. Teraz słyszeli wszystko wyraźniej.

— Głosy! — wyszeptał Horsthausen.

Wiatr przynosił im rozpaczliwy chór głosów. Krzyki i jęki bólu przerażonych ludzi, wnoszące się i opadające wraz z wiatrem, przerywane dzikim wyciem, gdy ktoś wypadał lub skakał za burtę.

— Ma duży przechył.

Byli dostatecznie blisko, żeby zobaczyć statek wyraźnie na tle gwiazd.

— Dziób idzie mu pod wodę!

Z ciemności wyłaniała się potężna rufa.

— Szybko tonie — bardzo szybko.

Słyszeli trzask pękającego kadłuba zalewanego przez wodę, która wyginała stalowe płyty.

— Włącz reflektory — polecił Kurt, podwładny zaś odwrócił się do niego ze zdziwieniem. —

Słyszałeś rozkaz?

Horsthausen był poruszony — sprzeciwiało się to podstawowemu instynktowi marynarza, żeby tak odsłaniać się przed wrogiem, ale posłusznie podszedł do reflektora.

— Zapal! — ponaglił go Kurt.

Porucznik jeszcze się wahał, ale długi promień światła przeskoczył wzburzone morze i ciemności. Promień natrafił na kadłub i odbił się od śnieżnobiałej farby ochronnej.

Kurt rzucił się do reflektora i mocno odepchnął podwładnego ramieniem. Przesunął promień w dół, wzdłuż kadłuba, mrużąc oczy przed odbłaskiem światła odbijającego się od białej farby i szukając czegoś. Nagle zamarł z palcami kurczowo zaciśniętymi na uchwytych.

W doskonale okrągłym kole promienia rozrzucone czerwone ramiona krzyża przypominały ręce ukrzyżowanego człowieka.

— Matko Przenajświętsza — wyszeptał — co ja zrobiłem?

Z nieznośną fascynacją kapitan przesunął promień od jednego końca okrętu do drugiego. Pokłady białego statku nachylały się w ich stronę i widział wyraźnie grupy biegających w panice mężczyzn, starających się dopaść łodzi ratunkowych wiszących na wyciągach nad nimi. Niektórzy z nich ciągnęli nosze lub prowadzili potykających się ludzi w długich, niebieskich szpitalnych koszulach, a ich jęki i błagania tworzyły kakofonię dźwięków przypominającą kolonię ptaków o zmierzchu.

Statek pochylił się gwałtownie do przodu, a ludzie potoczyli się po pokładzie i wpadali na siebie, powstrzymywani przez barierki. Następnie pojedynczo i grupami zaczęli wypadać za burtę.

Jedna z łodzi ratunkowych urwała się z bloku, uderzyła w wodę tuż, przy boku statku i zaraz wywróciła się do góry dnem. Z górnych pokładów spadali teraz tłumnie ludzie i Kurt słyszał na wietrze ich okrzyki i widział małe fontanny wody w miejscach, gdzie wpadali do morza.

— Co możemy zrobić? — spytał szeptem stojący za nim Horsthausen, patrząc z przerażeniem na tonący okręt.

Kurt wyłączył reflektor. Po intensywnym świetle ciemność wydawała się jeszcze mroczniejsza.

— Nic — odparł Kurt. — Nic nie możemy zrobić. Obrócił się i podszedł po omacku do włazu.

Kiedy zszedł na dół, zdążył się już opanować: jego kontrolowany głos brzmiał zdecydowanie, twarz była martwa.

— Obserwatorzy na mostek. Obroty do dwunastu węzłów. Nowy kurs jeden-pięć-zero stopni.

Kapitan stał nieruchomy, gdy łódź odwracała się od swojej ofiary, i z całej siły powstrzymywał się, aby nie zatkać uszu rękoma. Wiedział, że nie uda mu się wyciszyć krzyków i jęków, które wciąż rozbrzmiewały mu w głowie. Wiedział, że zawsze będzie je słyszeć i że usłyszy je także w godzinie śmierci.

— Zabezpieczyć okręt po akcji — rozkazał, patrząc martwo przed siebie i czuje, jak po twarzy spływa mu morską wodą i pot. — Podjąć patrol.

Centaine siedziała skulona obok najniższego piętrowego łóżka na swoim ulubionym oddziale na pokładzie C. Na kolanach trzymała rozłożoną książkę.

Była to jedna z największych kabin z ośmioma piętrowymi łóżkami i wszyscy leżący tu młodzi ludzie mieli uszkodzone kręgosłupy. Każdy z nich wiedział, że nigdy już nie będzie chodzić, a mimo

to, czy jakby na przekór temu faktowi, była to najhałaśliwsza, najweselsza i najbardziej rozgadana grupa pacjentów na „Protea Castle”.

Każdego wieczora, na godzinę przed zgaszeniem świateł, Centaine przychodziła im poczytać — a przynajmniej przychodziła z takim zamiarem. Zazwyczaj już po kilku minutach lektury opinie autora prowokowały ożywioną dyskusję, która kończyła się dopiero na dźwięk gongu.

Centaine cieszyła się z tych spotkań tak samo jak i jej podopieczni i zawsze wybierała książkę o tematyce, która ją obecnie interesowała, czyli o Afryce.

Tego wieczoru miała ze sobą drugi tom Podróży w głąb Afryki Levaillanta po francusku. Przetłumaczyła właśnie scenę opisującą polowanie na hipopotamy, której jej publiczność słuchała z zapartym tchem, dopóki Centaine nie dotarła do następującego opisu:

Samica została na miejscu, odarta ze skóry i poćwiartowana. Kazałem sobie przynieść kubek, który napelniłem jej mlekiem. Uznałem, że jest smaczniejsze od mleka słonicy, a następnego dnia zupełnie się zsiadło. Miało błotnisty smak i okropny zapach, który napelniał mnie obrzydzeniem, ale z kawą było nawet do zniesienia.

Z łóżek odezwały się okrzyki pełne obrzydzenia.

— Na Boga! — zawołał ktoś. — Ci Francuzi! Każdy, kto pije mleko hipopotama i je żaby...

Zanim zdążył dokończyć, pozostali pacjenci zakrzyczeli go.

— Centaine jest Francuzką, ty świnió! Przeproś natychmiast! — i złoczyńca został obrzucony ze wszystkich stron poduszkami.

Centaine wstała ze śmiechem, żeby przywrócić porządek, a w tej samej chwili podłoga podniosła się pod jej stopami, dziewczyna poleciała z powrotem na łóżko, statkiem zaś wstrząsnął potężny wybuch.

Centaine próbowała się podnieść, ale znowu została odrzucona do tyłu przez jeszcze potężniejszy wybuch.

— Co się stało?! — krzyknęła w panice.

Trzecia eksplozja pogasiła światła na okręcie i cisnęła ją na podłogę. W ciemnościach ktoś spadł z górnego łóżka na dziewczynę, przygniatając ją do ziemi.

Czując, że się dusi, Centaine zaczęła krzyczeć. Jej głos złączył się z krzykami i jękami dobiegającymi z całego statku.

— Puść mnie!

Centaine z wysiłkiem uwolniła się, podpełzła do drzwi i tam dopiero poderwała się na równe nogi. Okropny chaos, potracające się w ciemnościach ciała, krzyki mieszające się z rozkazami i dziwny przechył podłogi pod nogami spowodowały, że dziewczyna wpadła w panikę. Bijąc rękami na oślep, gdy uderzyło ją jakieś ciało, pobiegła po omacku wąskim korytarzem.

W panującym wszędzie mroku odezwały się dzwonki, swym przenikliwym dźwiękiem powodując jeszcze większe zamieszanie. Ktoś krzyknął na cały głos:

— Okręt tonie — opuszczają statek. Jesteśmy tu uwięzieni! Wszyscy rzucili się tłumnie do schodni. Centaine została porwana przez strumień uciekających mężczyzn. Walczyła bezskutecznie, żeby zachować równowagę i nie upaść, gdyż wtedy zostałaby rozdeptana. Instynktownie osłoniła brzuch rękami. Nagle otrzymała cios, który pchnął ją na ściankę działową z taką siłą, że przygryzła sobie język. Upadła na ziemię, czując smak krwi w ustach, i zaraz wyrzuciła przed siebie ręce; natrafiła na poręcz schodni i uczepliła się jej z całych sił. Podciągnęła się do góry, płacząc z wysiłku i starając się utrzymać na nogach.

— Moje dziecko! — Usłyszała swój wystraszony krzyk. — Nie możecie zabić mojego dziecka! Statek przechylił się na bok; rozległ się okropny dźwięk pękającego, ścierającego się metalu i

tluczonego szkła. Tłum ponownie zamknął się wokół dziewczyny, porywając ją ze sobą.

— Statek tonie! — ryknął ktoś za nią. — Musimy się wydostać! Puśćcie mnie...

Zapaliły się światła i Centaine zobaczyła schodnię prowadzącą na górny pokład zapchaną walczącymi ze sobą, klnącymi mężczyznami. Czują się cała poobijana, ściśnięta i bezbronna.

— Moje dziecko! — zapłakała przygwożdżona do ściany. Nagła faszność otrzeźwiła ludzi, którzy zawstydzili się wywołanej strachem dzikości.

— Tu jest Promyczek! — ryknął za nią silny głos.

Był to potężnie zbudowany Afrykaner, jeden z jej cichych wielbicieli. Rozepchnął zdecydowanie ludzi swoimi kulami, żeby jej zrobić przejście.

— Przepuście ją — rozstąpić się, dranie, dajcie przejść Promyczkowi!

Jakieś silne ręce porwały ją i uniosły w powietrze.

— Dajcie przejść Promyczkowi!

Podawali ją sobie nad głowę jak lalkę. Centaine straciła swój welon pielęgniarki i jeden but.

— To Promyczek, podajcie ją dalej!

Płakała z bólu, gdy przekazywano ją sobie w powietrzu i twarde palce zaciskały się na jej ciele, ale szybko przesuwano ją w górę.

Przy wyjściu ktoś schwycił dziewczynę i wypchnął na otwarty pokład. Na zewnątrz panowały ciemności i wiał silny wiatr, który rozwał jej włosy i porwał spódniczki, płacząc je pomiędzy nogami. Pokład był mocno przechylony, ale kiedy Centaine postawiła na nim stopę, podniósł się gwałtownie do góry i dziewczyna poleciała na podporę. Krzyknęła z bólu.

Nagle przypomniała sobie o unieruchomionych młodych rannych, których zostawiła na pokładzie C.

Powinnam spróbować im pomóc, pomyślała i jednocześnie przypomniała sobie o Annie. Obejrzała się niepewnie za siebie. Żołnierze wciąż kłębili się na schodach, usiłując wyjść na zewnątrz. Nie było szansy, żeby przedrzeć się przez ten zbity tłum, a Centaine czuła, że nie da rady wyprowadzić rannego, który nie może chodzić o własnych siłach.

Oficerowie usiłowali przywrócić jaki taki porządek, ale mężczyźni, którzy ze stoickim spokojem znieśli piekło okopów, wprost oszaleli z przerażenia na myśl o pozostaniu na tonącym statku. Twarze migające przed oczyma dziewczyny były wykrzywione, a oczy nieprzytomne ze strachu. Byli jednak i tacy, którzy ciągnęli za sobą kalekich kolegów lub ślepców i prowadzili ich wzdłuż barierek do łodzi ratunkowych.

Oparta o podporę Centaine stała niezdecydowana, przerażona i przejęta litością dla setek młodych ludzi, którzy nie mieli szans, by wydostać się na pokład. Okręt zatrzęsł się pod nią z hukiem w śmiertelnych drgawkach; przez dziury spod wody wydostało się z rykiem powietrze i ten dźwięk pomógł Centaine podjąć decyzję.

Moje dziecko, pomyślała. Muszę je ocalić, nikt się nie liczy, tylko ono!

— Promyczek! — Jeden z oficerów zauważył dziewczynę, zsunął się po przechylonym pokładzie i objął ją opiekuńczo ramieniem. — Musisz wsiąść do łodzi ratunkowej, statek może zatonać w każdej chwili.

Wolną ręką odpiął pasy mocujące pękatą kamizelkę ratunkową, zerwał ją z ramion i założył dziewczynie przez głowę.

— Co się stało? — wystękała Centaine, gdy oficer zapinał jej pasy kamizelki pod szyją i na piersi.

— Zostaliśmy storpedowani. Chodź.

Pociągnął ją za sobą, trzymając się poręczy, gdyż nie można już było ustać na podniesionym pokładzie.

— Tam jest łódź ratunkowa! Musisz do niej wejść.

Przed nimi zatłoczona łódź kołysała się niebezpiecznie na dawitsie, a obok stał oficer wykrzykujący rozkazy marynarzom, którzy usiłowali uwolnić zablokowany kołowrotek.

Spoglądając ponad pokładem, Centaine zobaczyła rozkołysane, gotujące się morze. Silny podmuch wiatru uderzył ją w twarz i zasłonił oczy włosami.

Od strony czarnego morza wystrzelił gruby promień światła i oświetlił okręt nad ich głowami. Oboje zasłonili oczy rękami przed oślepiającym blaskiem.

— Łódź podwodna! — wykrzyknął oficer, który nadal trzymał Centaine za ramię. — Bezczelne świnię, przyplłynęli, żeby napawać się tą rzezią.

Promień światła przesunął się nad nimi po boku okrętu.

— Chodźmy, Promyczku.

Oficer pociągnął ją ku zewnętrznej barierce, ale w tym momencie jedna z bocznych lin trzymających łódź ratunkową urwała się i stłoczeni w niej pasażerowie wypadli prosto do wzburzonej wody. Kolejna porcja powietrza wydostała się przez dziury w kadłubie, okręt przechylił się na bok pod kątem ostrym, a Centaine i oficer ześlizgnęli się na barierkę.

Nieubłagany promień światła przesunął się z jednego końca statku na drugi i kiedy minął ich, zupełnie oślepionych, noc wydała się jeszcze ciemniejsza groźniejsza niż poprzednio.

— Świnię? Cholerne świnię! — Głos oficera był ochrypły z wściekłości.

— Musimy skakać! — zawołała do niego Centaine. — Musimy się stąd wydostać!

Kiedy pierwsza torpeda trafiła w okręt, Anna siedziała przy stole w kajucie. Także i ona spędziła popołudnie z pacjentami na pokładzie C i skończyła wcześniej pracę, żeby pomóc Centaine przebrać się do obiadu. Spodziewała się, że zastanie swą wychowankę w kabinie i była lekko zirytowana, kiedy jej tam nie zobaczyła.

— Ta dziewczyna nie ma poczucia czasu — mruknęła pod nosem, ale wyjęła dla niej czystą bieliznę i poszła się umyć.

Pierwsza eksplozja zrzuciła Annę ze stołka; upadając do tyłu, uderzyła głową o kant łóżka. Przez chwilę leżała oszołomiona, gdy kolejne torpedy trafiły w statek, pozbawiając go światła. W ciemnościach Anna ukucnęła na podłodze i ogłuszona przenikliwymi dzwonkami, zaczęła wykonywać czynności, które ćwiczyli niemal każdego dnia od wypłynięcia z Calais.

Kamizelka ratunkowa! Wyszukała po omacku kamizelkę pod łóżkiem, naciągnęła ją przez głowę i podsunęła się na kolanach do drzwi. Nagle światła znowu się zapaliły, Anna podniosła się ciężko z ziemi, oparła się o ścianę i rozmasowała guz na głowie.

Oprzytomniała trochę i dopiero teraz przypomniała sobie o Centaine.

— Moje dziecko!

Ruszyła w stronę drzwi, gdy statek przechylił się i kobieta poleciała na stół. Pudełko z biżuterią zsunęło się po blacie i spadłoby na ziemię, gdyby Anna instynktownie go nie złapała i nie przycisnęła do piersi.

— Opuścić statek! — zawołał donośnie jakiś głos za drzwiami. — Statek tonie! Opuścić statek!

Anną dostatecznie nauczyła się angielskiego, żeby zrozumieć to polecenie. Zaczął działać jej flegmatyczny zdrowy rozsądek.

W szkatułce z biżuterią znajdowały się wszystkie ich pieniądze i dokumenty. Anna otworzyła szafkę nad głową, wyciągnęła torbę podróżną i wrzuciła do niej szkatułkę. Szybko rozejrzała się po kabinie. Schwyciła oprawione w ramki zdjęcia Centaine, jej matki i eskadry Michaela i włożyła je

do torby. Następnie złapała z szuflady ciepłe ubranie dla nich obu i wepchnęła je na pudełko z biżuterią i fotografię. Zamknęła torbę i jeszcze raz rozejrzała się wokoło. To były jedyne wartościowe rzeczy, jakie jeszcze posiadały. Otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz.

Natychmiast porwał ją strumień pędzących mężczyzn, którzy w biegu zakładali na siebie kamizelki. Anna próbowała zawrócić:

— Muszę znaleźć Centaine! Muszę znaleźć moje dziecko! — wołała, ale uciekający tłumnie pasażerowie pociągnęli ją ze sobą na pokład, w stronę łodzi ratunkowej.

— Niech pani wsiada! No, szybko!

Schwyciło ją dwóch marynarzy i mimo że Anna zdzieliła jednego z nich torbą po głowie, wrzucili ją do łodzi, tak że wylądowała pomiędzy ławkami, zaplątana w spódnice. Natychmiast poderwała się na nogi i spróbowała wyskoczyć na pokład.

— Niech ktoś przytrzyma tę cholerną kretynkę! — wrzasnął rozzłoszczony marynarz, a jakieś silne ręce schwyciły Annę od tyłu i pociągnęły w dół.

W ciągu kilku minut łódź była tak zapchana ludźmi, że wtłoczona pomiędzy męskie ciała Anna mogła jedynie błagać po francusku, flamandzku i łamaną angielszczyzną:

— Wypuście mnie! Muszę znaleźć moje dziecko...

Nikt jednak nie zwracał na to uwagi, a jej prośby zostały zagłuszone przez krzyki i szamotaninę, jęk wiatru i huk fal uderzających w stalowy kadłub oraz przez przeraźliwe dźwięki wydawane przez tonący okręt.

— Nie możemy nikogo więcej wziąć na pokład! — zawołał jakiś oficer. — Odsuńcie łódź i opuście ją!

Polecieli w ciemnościach w dół i szalupa uderzyła o powierzchnię morza z taką siłą, że woda opryskała wszystkich pasażerów, a Anna spadła na dno, przywalona wieloma ciałami. Podniosła się ciężko, rzucana na wszystkie strony przez łódź, która kołysała się gwałtownie na fali i obijała o bok okrętu.

— Wyciągnąć wiosła! — odezwał się ten sam rozkazujący głos. — Odepchnąć ją od statku. Dobrze! Sterujcie na prawo! Ciągnąć, do cholery, ciągnąć!

Odsunęli się od okrętu i marynarze przyłożyli się do wiosła, zanim fale zdążyły zalać szalupę. Anna przykucnęła na dnie, przyciskając torbę do piersi i spoglądając na kadłub okrętu, który wznosił się z morza niczym skała.

W pewnej chwili z ciemności za nimi wystrzelił potężny snop światła i padł na statek. Najpierw wolno przesunął się po lśniącem od wody białym kadłubie, oświetlając niczym teatralny reflektor przerażające sceny na pokładzie — grupy mężczyzn uwięzionych na nadburcie, samotnego rannego na noszach, który usiłował pełznąć po pokładzie, marynarza zaplątanego w takielunek łodzi ratunkowej i kołyszącego się na wietrze niczym wisielec — a następnie zatrzymał się na chwilę na czerwonym krzyżu namalowanym na dziobie.

— Przyjrzyj się dobrze, ty pieprzona świni! — wrzasnął jeden z mężczyzn blisko Anny i zaraz przyłączyli się do niego pozostali.

— Hunowie, mordercy...

— Wy przekleńcie rzeźnicy...

Rozwścieczeni mężczyźni wokół Anny darli się z nienawiścią na całe gardło.

Promień nieubłaganie przesunął się do przodu, kierując się ku linii zanurzenia okrętu. Na powierzchni morza unosiły się już setki głów. Widać było całe grupy płynących i pojedynczych ludzi — ich lśniąca od wody twarze odbijały mocne światło niczym lustra — a pomiędzy pływaków wpadali kolejni nieszczęśnicy, których morze porywało i rzucało o statek.

Promień światła przesunął się na górny pokład, pochylony pod kątem ostrym — widać było, że dziób wolno zanurza się pod wodę, a rufa okrętu wznosi się coraz wyżej ku górze.

Na chwilę promień zatrzymał się na grupce ludzi przyszpilonych do barierki i Anna zawołała z całej siły:

— Centaine!

Dziewczyna znajdowała się pośrodku tej grupy; obrócona twarzą do morza spoglądała na czarną przepaść w dole, a jej długie włosy powiewały szaleńczo na wietrze.

— Centaine! — zawołała ponownie Anna.

Dziewczyna wskoczyła zwinnie na barierkę, podciągnęła wełnianą spódnicę do bioder i przez chwilę balansowała na poręczy niczym akrobatka. Jej długie, zgrabne nogi wydawały się bardzo blade i Centaine przypominała delikatnego ptaka, gdy odbiła się od barierki i otoczona wzdętą przez wiatr spódnicą poleciała w ciemność.

— Centaine! — jęknęła rozpaczliwie Anna, czując, jak zamiera w niej serce.

Próbowała się podnieść, żeby zobaczyć, gdzie jej dziewczynka spadnie, ale ktoś pociągnął ją w dół i w tej samej chwili światło zgasło. Anna siedziała na dnies łodzi, słuchając jęków tonących ludzi.

— Przyłożyć się tam do wiosł, ludzie, ciągnąć! Musimy się oddalić albo statek pociągnie łódź za sobą.

Mężczyźni zaczęli pracować wiosłami, odsuwając powoli szalupę od tonącego okrętu.

— Tonie! — zakrzyknął ktoś w łodzi. — O Boże, spójrzcie na to! Tył statku wynurzył się z wody i wiosłarze oparli się o wiosła, żeby zobaczyć, jak rufa nieubłaganie podnosi się w górę.

Statek stanął pionowo i przez długie sekundy trwał nieruchomo w tej pozycji. Na tle rozgwieżdżonego nieba wyraźnie było widać śrubę napędową, a w większości iluminatorów paliło się światło.

Powoli okręt zaczął się zanurzać w odmęty, ze światłami, które pod wodą przypominały tonące księżycy. Coraz szybciej i szybciej chował się w czarnej toni przy trzasku wyginanego przez ciśnienie kadłuba. Wydostające się z kadłuba powietrze wzburzyło morze dokoła i wreszcie statek zniknął im z oczu. Na powierzchnię wystrzeliły fontanny powietrza i białej piany, ale ciemna woda szybko się uspokoiła i znowu słyhać było tylko krzyki rannych niesione przez wiatr.

— Zawracamy! Musimy zabrać tylu, ilu tylko zmieścimy!

Przez resztę nocy pracowali pod kierownictwem oficera, który stał przy rumplu na rufie. Wyciągali z morza trzęsących się z zimna rozbitków, aż wreszcie łódź zaczęła niebezpiecznie nabierać wody przy każdym przechyle i oficer zdecydował:

— Nikogo więcej nie bierzemy! Pozostali niech przywiążą się linami.

Pływacy czepiali się burty łodzi niczym tonące szczury i Anna, która siedziała blisko rufy, usłyszała, jak oficer mówi cicho:

— Biedacy, nie dotrwają do rana — zabije ich zimno, jeśli wcześniej nie dopadną ich rekiny. Z ciemności dobiegało także pluskanie wiosł i głosy z innych łodzi.

— Prąd znosi nas w kierunku północno-wschodnim z szybkością czterech węzłów. — Anna usłyszała, jak oficer mówi do siebie. — Do świtu zostaniemy rozrzućeni po całym horyzoncie. Musimy spróbować trzymać się razem. — Stanął na dziobnicy i zawołał: — Ahoj tam! Tu łódź numer szesnaście!

— Tu łódź numer pięć — odpowiedział mu z oddali jakiś głos.

— Płyniemy do was!

Podpłynęli na wiosłach, kierowani w ciemnościach głosami i kiedy znaleźli drugą łódź, związali obie kadłubami. W ciągu nocy odszukali jeszcze dwie łodzie.

W szarówce przed świtem wypatrzyli jeszcze jedną łódź ratunkową ponad kilometr dalej. Morze pomiędzy szalupami zasłane było szczątkami statku i głowami samotnych pływaków, którzy w bezmiarze oceanu i nieba wyglądali jak nic nie znaczące plamki.

Ludzie w łodziach siedzieli stłoczeni niczym bydło wiezione w ciężarówkach do rzeźni i niektórych ogarniało otępienie i obojętność. Trzymający, się łodzi pływacy w kamizelkach ratunkowych podskakiwali na falach w makabrycznym tańcu śmierci. Lodowata, zielona woda zdążyła już wyssać ciepło z ich ciał i wielu rozbitków nie dawało znaku życia.

— Usiądź, kobieto! — Stłoczeni wokół Anny ludzie zaczęli krzyczeć, gdy spróbowała stanąć na ławce. — Na litość boską, wszystkich nas potopisz!

Anna jednak zignorowała ich protesty.

— Centaine! — zawołała głośno. — Czy jest tu gdzieś Centaine? Ludzie patrzyli na nią, nic nie rozumiejąc i Anna przypomniała sobie przezwisko dziewczyny.

— Promyczek! — krzyknęła ponownie. — Het iemand Promyczek gesien? Czy ktoś widział Promyczka?

Na łodziach nastąpiło poruszenie.

— Czy jest z wami Promyczek?

Pytanie zostało szybko przekazane wzdłuż rzędu podskakujących na falach szalup.

— Widziałem ją na pokładzie przed zatonięciem okrętu.

— Miała na sobie kamizelkę ratunkową.

— Nie ma jej z wami?

— Nie, tu jej nie ma.

— Widziałem, jak skakała do wody, ale później straciłem ją z oczu.

— Nie ma jej tu ani na żadnej z łodzi.

Anna opadła ciężko na ławkę. Jej dziecko zniknęło! Czuła, jak ogarnia ją czarna rozpacz i coś dusi w gardle. Spojrzała przez burtę na przywiązanych do łodzi nieboszczyków w kamizelkach ratunkowych i wyobraziła sobie Centaine martwą w bezlitosnej zielonej wodzie, zabita wraz z nie narodzonym dzieckiem przez zimno. Jęknęła głośno.

— Nie — szepnęła. — Bóg nie może być tak okrutny. Nie wierzę w to. Nigdy w to nie uwierzę.

To stwierdzenie dodało jej siły i woli przetrwania. Były jeszcze inne łodzie. Centaine jest na pewno w jednej z tamtych. — Anna rozejrzała się po zasłoniętym przez poszarpane wiatrem chmury horyzoncie.

Wiem, że żyje, i odnajdę ją. Nawet jeśli miałabym poświęcić na to całe życie, znajdę ją!

Incydent z szukaniem dziewczyny przełamał apatię wywołaną zimnem i szokiem, która opanowała wszystkich w ciągu nocy. Oficerowie zajęli się właściwym rozłożeniem ciężaru i porządkowaniem szalup, policzyli pojemniki ze świeżą wodą i racje żywnościowe, zorganizowali pomoc dla rannych i podcinali nieboszczyków, żeby fale mogły ich zabrać od łodzi. Wreszcie wyznaczyli wioślarzy i oznaczywszy kurs do oddalonego o ponad sto kilometrów lądu, skierowali łodzie na wschód.

Z uwagi na konieczność częstych zmian mężczyzn przy długich wiosłach, mała flotylla posuwała się wolno do przodu, spychana na morze przez bijące w dzioby łodzi fale.

— Trzymać tak, chłopcy — zachęcał wszystkich do wysiłku oficer na rufie. — Nie zwalniać tam... — Każde zajęcie odpędzało zwątpienie, które było ich najgorszym wrogiem. — Zaśpiewajmy sobie, dobrze? Kto zacznie? Co powiecie na „Tipperary”? No dalej, śpiewamy!

— Daleka droga jest do Tipperary. Daleka droga do miast... Jednak wiatr stawał się coraz silniejszy, a morze coraz bardziej wzburzone. Fale wynosiły łodzie wysoko w górę, tak że wiosła nie dostawały wody. Jeden po drugim wioślarze poddawali się, pieśń ucichła i wszyscy siedzieli, jak

gdyby na coś czekali. Po pewnym czasie oczekiwanie na coś, co powinno się zdarzyć, przemieniło się w zwykłe, otepiające siedzenie. Po południu słońce przebiło się przez niskie chmury na kilka minut i wszyscy wystawili twarze do ciepłych promieni, ale schowało się zaraz i głowy opadły jak kielichy kwiatów o zachodzie. Z jednej z łodzi od strony Anny ktoś spytał odrętwiałym, niemal obojętnym tonem.

— Spójrzcie, czy to nie statek?

Przez chwilę panowała cisza, jakby potrzeba było czasu, żeby rozbitkowie zrozumieli tak nieprawdopodobne zdanie i wreszcie odezwały się coraz bardziej podekscytowane głosy:

— To... przecież to statek!

— Gdzie? Gdzie go widzisz?

Teraz wszyscy mówili jeden przez drugiego:

— Tam, pod tą ciemną chmurą!

— Daleko, widać tylko szczyt...

— To okręt!

— Okręt!

Mężczyźni zrywali się z ławek, a niektórzy pościągali z siebie kamizelki i wymachiwali nimi dziko nad głowami, krzycząc na całe gardło.

Anna zamrugnęła oczami i spojrzała w stronę, w którą wszyscy wskazywali. Po chwili dostrzegła małą, trójkątną kształt, nieco bardziej szary od ponurego horyzontu.

Pierwszy oficer zajmował się czymś na rufie i nagle rozległo się przeraźliwe wycie, w niebo wzniosł się pióropusz dymu i rozpadł się na strugę czerwonych gwiazd, gdy z łodzi wystrzelono racę sygnalizacyjną.

— Dostrzegł nas!

— Spójrzcie, zmienia kurs!

— To okręt wojenny — ma trzy kominy!

— Spójrzcie na tę trójkątną nadbudówkę — to krążownik!

— Na Boga, przecież to „Inflexible”! Widziałem go w Scapa Flow w zeszłym roku...

— Niech Bóg go błogosławi, ktokolwiek to jest. Zauważyli nas! Dzięki Bogu, zauważyli nas!

Anna śmiała się i płakała, przyciskając do piersi torbę podróżną, jakby była to jedyna rzecz na świecie, która łączyła ją z Centaine.

— Wszystko będzie w porządku, moje kochanie — wyszeptła obietnicę. — Anna cię znajdzie. Nie musisz się już martwić, Anna płynie do ciebie.

Potężny szary okręt pruć fale wysokim i ostrym jak brzytwa dziobem, kierując się prosto na łodzie ratunkowe.

Anna stała Przy barierce HMS „Inflexible” w grupie ocalonych rozbitków i patrzyła, jak zza horyzontu wyłania się olbrzymia góra o spłaszczonym szczycie.

Z tej odległości proporcje góry wydawały się tak doskonałe, płaski szczyt tak równo ścięty, a strome zbocza tak kształtne, że zdawało się, iż została wyrzeźbiona przez jakiegoś boskiego Michała Anioła. Stojący wokół Anny podekscytowani mężczyźni dyskutowali ze swadą, wychylając się poza barierkę i pokazując sobie znajome rysy krajobrazu, coraz wyraźniejsze, w miarę jak okręt szybko zbliżał się do brzegu. Był to ich powrót do domu, na który czekali z takim utęsknieniem. Ich radość i ulga stały się teraz równie silne, jak emocje dzieci.

Anna nie dzieliła z nimi radosnego nastroju. Widok lądu spowodował, że stała się jedynie bardziej niecierpliwa i z trudem stała spokojnie na pokładzie. Statek poruszał się zbyt wolno jak na jej oczekiwania — każda minuta spędzona na morzu była stracona, gdyż opóźniała chwilę, gdy będzie

można wziąć się do poszukiwań, które w ciągu ostatnich krótkich kilku dni stały się jedyną siłą napędową życia Anny.

Z niecierpliwością patrzyła na objawiający się przed nią krajobraz, gdy wiatr, który przebył cały Atlantyk, napotkawszy teraz na swojej drodze olbrzymią górę, wzbijał się gniewnie w niebo niczym koń czujący po raz pierwszy wędzidło.

Gęsta, biała chmura nasunęła się na płaski stożek, wyburzyła się nad ostrą krawędzią i spływała skłębionym potokiem po stromych zboczach. Mężczyźni obok wykrzykiwali z zachwytem, a Anna pragnęła jedynie stanąć na lądzie i natychmiast ruszyć na północ, by zacząć poszukiwania.

Wzburzony wiatr zsunął się po stokach góry i spadł na morze, przemieniając spokojną błękitną taflę wody w stalowoszarą, pomarszczoną powierzchnię, która szybko zabieliła się od piany. Gdy „In-flexible” wypłynął na zawietrzną góry i wszedł w wąską drogę pomiędzy portem Table i wyspą Roben, południowo-wschodni wicher uderzył na niego z całą gwałtownością i ciężki krążownik musiał ugiąć się i pokłonić przed jego siłą.

W czasach żaglowców niejeden wielki statek zbliżył się na tę odległość do lądu, by zostać odrzuconym na morze i przez następne dni, a nawet tygodnie nie ujrzeć ziemi. „Inflexible” minął jednak moło i zwolnił dopiero wtedy, gdy na jego spotkanie wypłynęły małe holowniki. Okręt przybił do nabrzeża, a zgromadzony tam tłum zaczął machać i krzyczeć w stronę pokładów. Kobiety walczące z unoszonymi przez wiatr spódnicami i mężczyźni przytrzymujący kapelusze na głowie wtórowali wojskowej orkiestrze grającej na przednim pokładzie „Rządź, Brytanie”, a wiatr porywał melodię, nadając jej niezwykły ton.

Gdy tylko schodnie zostały opuszczone, grupka osób składająca się z urzędników portowych, oficerów marynarki w tropikalnych białych mundurach szamerowanych złotem i kilku ważniejszych cywilów zaczęła wspinać się energicznie na górę.

Wreszcie i Anna poczuła lekkie zainteresowanie, gdy przyglądała się białym budynkom miasta rozrzuconego u stóp szarej góry.

— Afryka — mruknęła pod nosem. — I o co był ten cały hałas? Ciekawe, co by Centaine...

Na myśl o dziewczynie wszystko inne stało się nieistotne; mimo że Anna nadal patrzyła na brzeg, nic już nie widziała i nie słyszała, dopóki czyjaś ręka, lekko dotykająca jej ramienia, nie zmusiła jej do powrotu do teraźniejszości.

Jeden z okrętowych aspirantów — niepewny jak uczeń, mimo zgrabnego białego munduru — zsalutował jej nieśmiało.

— Madam, w kwaterze dla wyższych oficerów czeka ktoś na panią. Ponieważ Anna nic z tego nie rozumiała, skinął ręką, żeby poszła za nim.

Przy drzwiach do kabiny aspirant stanął z boku i puścił ją przodem. Anna zatrzymała się w drzwiach i rozejrzała podejrzliwie, trzymając torbę podróżną w geście obronnym przed sobą. Załoga i goście zabrali się już ochoczo do okrętowych zapasów dzinu z tonikiem, ale oficer flagowy zauważył Annę.

— Ach, tu pani jest. To ta kobieta.

Wyciągnął jednego z cywilów z grupy stojących wokoło mężczyzn i podprowadził go do Anny. Ta przyjrzała się uważnie obcemu. Był szczupły, o wręcz chłopięcej figurze, ubrany w szary, elegancki trzyczęściowy garnitur z drogiego materiału.

— Mevrouw Stok? — zapytał niemal nieśmiało i Anna ze zdumieniem stwierdziła, że tamten nie tylko nie jest chłopcem, ale wydaje się o kilka lat starszy od niej.

— Anna Stok? — powtórzył mężczyzna.

Włosy przeredziły mu się mocno na skroniach, ale za to rosły swobodnie z tyłu głowy i opadały

na ramiona.

Powinno się go zaprowadzić do fryzjera, pomyślała Anna i odpowiedziała:

— Ja, nazywam się Anna Stok.

Mężczyzna odpowiedział w afrikaans, z którym Anna nie miała kłopotów:

— Bardzo miłe spotkanie — aangename kennis. — Nazywam się pułkownik Garrick Courteney.

Jestem niepokieszony, podobnie jak pani, tą okropną stratą.

Anna przez chwilę nie rozumiała, o czym ten mężczyzna mówi. Przyglądając mu się uważnie dostrzegła, że z długich włosów opadł mu łupież na kołnierzyk kosztownego garnituru, przy kamizelce zaś brakuje jednego guzika, po którym została jedynie nitka. Na krawacie pułkownika widniała nieduża tłusta plama, a czubek jednego buta był przydeptany.

Kawaler, pomyślała Anna. Mimo inteligentnych oczu i zmysłowych ust w mężczyźnie tym było coś chłopięcego, bardzo delikatnego i Anna poczuła, jak budzi się w niej instynkt macierzyński.

Tamten podszedł bliżej i jego niezgrabne ruchy przypomniały Annie, co generał Sean Courteney mówił Centaine o swoim bracie. Garrick Courteney stracił nogę jako chłopiec w czasie polowania.

— Po tym, jak mój syn zginął w akcji — Garry zniżył głos i spojrzenie jego oczu wystarczyło, żeby zmiękczyć serce Anny — ta nowa strata jest zbyt trudna do zniesienia. Nie tylko utraciłem syna, ale także córkę i wnuka, zanim jeszcze mogłem ich poznać.

Anna w końcu pojęła, o czym on mówi, i twarz jej zaczerwieniła się od tak okropnego gniewu, że Garry instynktownie cofnął się o krok.

— Niech pan nigdy tego nie powtarza! — Anna zrobiła krok naprzód, zbliżając twarz do jego głowy, tak że ich nosy niemal się zetknęły. — Niech pan się nie ośmiela tak mówić!

— Madam... — Garry zaczął się jąkać. — Bardzo przepraszam, nic nie rozumiem — czyżbym w czymś panią uraził?

— Centaine nie zginęła i nie wolno panu o niej w ten sposób mówić! Rozumie pan?

— Chce pani powiedzieć, że żona Michaela żyje?

— Tak. Centaine żyje. Oczywiście, że żyje.

— Gdzie jest?

W niebieskich oczach Garry'ego rozbłysły radosne iskry.

— Tego musimy się właśnie dowiedzieć — odparła zdecydowanie Anna. — Musimy ją znaleźć: pan i ja.

Garrick Courteney miał apartament w hotelu Mount Nelson w samym centrum Kapsztadu.

W zasadzie dla szanującego się podróżnika odwiedzającego Przylądek Dobrej Nadziei nie było bardziej odpowiedniego miejsca. Księga gości hotelowych przypominała listę honorową: mężowie stanu i sławni podróżnicy, potentaci diamentowi i znani myśliwi, książęta i admirałowie, wszyscy sławni ludzie wybierali hotel Mount Nelson.

Bracia Courteney, Sean i Garrick, mieli apartament narożny na ostatnim piętrze, z widokiem na ogrody założone przez zarządców Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i dalej, ponad wodami zatoki Table, aż ku ciągnącym się na horyzoncie niebieskawym górcom. Z drugiej strony zaś skaliste zbocza Góry Stołowej zasłaniały połowę nieba.

Te legendarne widoki nawet nie zwróciły uwagi Anny. Rozejrzała się po pokoju gościnnym, następnie postawiła torbę podróżną na stole i zaczęła w niej czegoś szukać. Po chwili wyjęła zdjęcia w srebrnych ramkach i podała je Garrickowi, który krążył obok niej niezdecydowanie.

— Dobry Boże — to Michael! — Garry wziął od niej zdjęcia i z napięciem zaczął wpatrywać się w fotografię 21. eskadry zrobioną zaledwie kilka miesięcy wcześniej. — Aż trudno uwierzyć... — Zaczerpnął powietrza, zanim zadał pytanie: — Czy mógłbym sobie zrobić odbitkę z tego zdjęcia?

Anna skinęła głową i Garry skoncentrował się na pozostałych dwóch fotografiach.

— Czy to jest Centaine? — wymówił jej imię z angielskim akcentem.

— To jej matka. — Anna wskazała na drugą ramkę. — To jest Centaine. — Poprawiła jego wymowę.

— Są bardzo podobne do siebie. — Garry obrócił zdjęcia pod światło, żeby lepiej się przyjrzeć. — Matka jest może piękniejsza, ale córka — Centaine — ma więcej siły charakteru.

Anna znowu skinęła głową.

— Teraz wie pan, dlaczego nie mogła zginąć. Ona nigdy się nie poddaje. — Zaczęła mówić szybko i zdecydowanie. — Ale my tu tracimy czas. Potrzebujemy mapy.

W kilka minut po telefonie Garry'ego służący hotelowy zastukał do drzwi. Garrick rozłożył mapę na stole.

— Nie znam się na tych rzeczach — stwierdziła po chwili Anna. — Niech mi pan pokaże, w którym miejscu nasz okręt został storpedowany.

Garry wcześniej otrzymał informacje od oficera nawigacyjnego z „Inflexible'a” i zaznaczył to miejsce na mapie.

— Widzi pan?! — zawołała triumfalnie kobieta. — Tylko kilka centymetrów od lądu. — Przejechała palcem po konturze Afryki. — Tak blisko, tak bardzo blisko...

— To jest jakieś sto kilometrów, może nawet więcej.

— Czy pan zawsze widzi tylko kłopoty? — warknęła na niego Anna. — Powiedziano mi, że prąd biegnie w stronę brzegu, a tego dnia wiał silny wiatr również w stronę lądu. Zresztą znam dobrze moją małą dziewczynkę.

— Prąd biegnie w tym miejscu z szybkością jakichś czterech węzłów, a dodając do tego wiatr... — Garry szybko dokonał obliczeń. — To jest możliwe, chociaż zajęłoby jej kilka dni.

Garrick Courteney czuł się wspaniale. Podobała mu się absolutna pewność siebie Anny Stok. Przez całe życie cierpiał z powodu swojego niezdecydowania i wiecznych wątpliwości. Nie pamiętał, żeby chociaż raz był o czymkolwiek równie przekonany, jak ta kobieta.

— Tak więc jeśli miałyby sprzyjający prąd i wiatr, jak pan myśli, gdzie mogła wylądować? — zapytała Anna. — Niech mi pan pokaże.

— Powiedziałbym, że gdzieś tutaj.

Garry zakreślił ołówkiem kółko na linii brzegu.

— Aha! — Anna dźgnęła grubym palcem mapę i uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiechała, nie przypominała już tak bardzo Chaki, olbrzymiego mastyfa Garry'ego, i mężczyzna odwzajemnił uśmiech. — Czy zna pan to miejsce?

— No cóż, wiem co nieco o tych stronach. Byłem tu na wyprawie z Bothą i Smutsem w 1914 roku jako korespondent „The Times”. Wylądowaliśmy tutaj, w Walvis Bay, w Zatoce Wielorybów.

— Świetnie. Świetnie — przerwała mu Anna. — Więc nie ma żadnego problemu. Pojedziemy tam i znajdziemy Centaine. Kiedy możemy wyruszyć, jutro?

— To nie jest takie proste. — Garry był zaskoczony tym pośpiechem. — Widzi pani, to jedna z najgroźniejszych pustyń na świecie.

Z twarzy Anny zniknął uśmiech.

— Zawsze pan wynajduje problemy — oskarżyła go groźnie. — Zawsze woli pan mówić, niż działać, a kiedy my tu sobie gadamy, co dzieje się z Centaine? Musimy szybko ruszać w drogę!

Garry patrzył na nią kompletnie zaskoczony. Ta kobieta przejrzała go na wylot. Zorientowała się, że jest romantycznym marzycielem, który woli żyć marzeniem i życiem bohaterów swoich książek niż w realnym świecie, który przerażał go swoim okrucieństwem.

— Teraz nie ma czasu na gadanie. Musimy pozatwierać sprawy. Najpierw sporządzimy listę spraw do załatwienia, a następnie weźmiemy się za nie. Niech pan zaczyna. Co trzeba najpierw zrobić?

Nikt jeszcze nie mówił w ten sposób do pułkownika Courteneya, przynajmniej od czasu, gdy był dzieckiem. Z jego stopniem wojskowym i Krzyżem Wiktorii, olbrzymim majątkiem i napisanymi książkami historycznymi, świat traktował go jak mędrca, a także filozofa. Garry wiedział, że nie zasługuje na żadne z tych określeń i przerażały go okazywane mu względy. Uciekał od nich głębiej w świat marzeń.

— Kiedy będzie pan pisał, niech pan zdejmie kamizelkę.

— Madam? — Garry wyglądał na zaszokowanego.

— Nie jestem żadna madam, tylko Anna. Niech pan mi da tę kamizelkę — ma pan urwany guzik — odparła, wyjmując z torby przybory do szycia.

Garry posłusznie spełnił polecenie.

— Najpierw trzeba zatelegrafować do wojskowego gubernatora w Windhoek. — Siedząc w koszuli z krótkimi rękawami, pisał na hotelowym papierze listowym. — Będziemy potrzebować zezwolenia, gdyż jest to zamknięty rejon wojskowy. Gubernator może nam także pomóc zaopatrzyć się w niezbędne rzeczy i wskazać studnie z wodą.

Kiedy Garry został zmuszony do działania, potrafił pracować bardzo szybko. Anna siedziała naprzeciwko niego, przyszywając guzik silnymi, grubymi palcami.

— Jakie zapasy? Trzeba je spisać na oddzielnej kartce.

— Oczywiście...

Garry przysunął do siebie czysty papier.

— Gotowe! — Anna odgryzła nitkę i podała mu kamizelkę. — Może ją pan teraz założyć.

— Dziękuję, mewou — odparł pokornie.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się tak wybornie.

Było już po północy, gdy Garrick wyszedł w szlafroku na mały balkon swojej sypialni, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Rozpatrując wypadki tego dnia stwierdził, że nie opuściło go wspaniałe samopoczucie.

Razem z Anną wykonali olbrzymią pracę. Otrzymali już odpowiedź od wojskowego gubernatora z Windhoek. Jak można było się tego spodziewać, nazwisko „Courteney” potrafiło otworzyć każde drzwi. Mieli już zarezerwowane miejsca na jutrzejszy wieczór w pociągu jadącym do Windhoek. Czekala ich czterodniowa podróż przez rzekę Oranje i bezdroża Namaqualandu i Bushmanlandu.

Udało im się nawet w znacznej mierze wyposażyć ekspedycję. Garry skontaktował się przez telefon — instrument, na który spoglądał bardzo nieufnie — z właścicielem sklepu wielobranżowego Stuttafordem. Zamówione zapasy miały zostać zapakowane w drewniane skrzynie, z wyszczególnioną na wieku zawartością, a następnego dnia wysłane na stację kolejową. Pan Stuttaford osobiście zapewnił Garricka, że wszystko będzie gotowe na czas, i wysłał do hotelu Mount Nelson jeden ze swoich samochodów z wyborem ubrań na safari dla Garry'ego i Anny.

Ta odrzuciła większość propozycji pana Stuttaforda jako zbyt kosztowne lub frywolne.

— Nie jestem poule — stwierdziła i wybrała grubą bawełnianą spódnicę, ciężkie sznurowane buty, flanelową bieliznę i po naleganiach Garry'ego: „Afrykańskie słońce jest naprawdę zabójcze” — korkowy hełm z zieloną osłoną na kark.

Garry wysłał trzy tysiące funtów do banku Standard w Windhoek na koszty ekspedycji. Wszystko zostało załatwione w błyskawicznym tempie, zdecydowanie i skutecznie.

Garry zaciągnął się cygarem i wyrzucił niedopałek przez balkon, a następnie wrócił do sypialni.

Powiesił szlafrok na poręczu krzesła i wsunął się pomiędzy chłodne prześcieradła, wykrochmalone i za-prasowane na listek. Gdy tylko zgasił nocną lampkę, z ciemności wypełzły wszystkie wątpliwości.

— To czyste szaleństwo — wyszeptał.

W wyobraźni ujrzał przerażające pustynie ciągnące się w nieskończoność pod rozpalonym do białości niebem. Półtora tysiąca kilometrów linii brzegowej omywanych tak lodowatym prądem, że nawet silny mężczyzna nie mógł przeżyć dłużej niż kilka godzin, póki nie zabiła go hipotermia.

Mieli szukać młodej dziewczyny, wychowanej w komfortowych warunkach, spodziewającej się dziecka, którą ostatni raz widziano, jak skakała z pokładu tonącego liniowca do lodowatej wody sto kilometrów od brzegu pustyni. Jakie mieli szansę na jej znalezienie? Garry nie odważył się nawet rozpatrywać tych szans.

— Szaleństwo — powtórzył bezradnie i nagle zapragnął, żeby Anna była obok i dodała mu odwagi. Szukał właśnie jakiegoś pretekstu, by wezwać kobietę do siebie z jej sypialni, gdy naszła go senność i usnął.

Centaine czuła, że tonie. Została wciągnięta tak głęboko pod wodę, że płuca zaczynały jej pękać od ciśnienia, w głowie rozlegał się przeraźliwy ryk tonącego okrętu, a bębenki w uszach tak bolały ją od naporu wody, jakby zaraz miały się rozerwać.

Wiedziała, że ginie, ale nie poddała się i walczyła ze wszystkich sił, szamocząc się i próbując przeciwstawić lodowatej wodzie, która ciągnęła ją w głębiny. Starła się opanować palący ból w płucach i pragnienie zaczerpnięcia świeżego powietrza, a kotłujące się prądy wodne ciskały nią w dół i w górę, tak że straciła poczucie kierunku ruchu i przez umysł jej przemknęła myśl, że umrze, walcząc o życie swojego dziecka.

Nagle poczuła, że miazdzący napór wody na piersi ustępuje, a płuca napełniają się powietrzem. Olbrzymie bańki powietrza wydobywające się z tonącego okrętu pociągnęły ją ze sobą niczym iskrę unoszącą się nad ogniskiem; z piekącym bólem w uszach i kamizelką ratunkową wrzynającą się w pachy, Centaine została silnie pchnięta w górę.

Fontanna powietrza i piany wyrzuciła ją wysoko ponad powierzchnię morza. Centaine zaczerpnęła głęboki haust powietrza, ale do umęczonych płuc dostała się woda i przez chwilę dziewczyna kasłała spazmatycznie wypluwając słony płyn, zanim oczyściły jej się drogi oddechowe. Kiedy ponownie zrobiła głęboki wdech, słodkie powietrze morskie wydawało jej się zbyt bogate w tlen i czując, jak pali ją gardło, Centaine dyszała ciężko niczym astmatyk.

W końcu dziewczynie udało się uregulować oddech i w tej samej chwili z ciemności spadły na nią fale, załamując się jej nad głową i pozbawiając powietrza. Centaine musiała dostosować oddech do rytmu oceanu. Pomiedzy kolejnymi grzywaczami spróbowała zorientować się, w jakim jest stanie, i stwierdziła, że nic jej nie dolega. Mimo skoku z pomostu okrętu i zderzenia się z twardą niczym beton powierzchnią morza nie czuła żadnego złamania ani pęknięcia kości. Wciąż miała sprawne wszystkie członki i zachowała pełną świadomość.

Dopiero teraz zaczęła odczuwać, jak zimno przenika przez jej ubranie i wysysa ciepło.

Muszę wydostać się z wody, uświadomiła sobie. Do którejś z łodzi.

Zaczęła nasłuchiwać, ale z początku była jak ogłuszona wyciem wiatru i hukiem fal. Po chwili zaczęła odróżniać stłumione ludzkie głosy, chaotyczny chór krzyków i jęków. Otworzyła usta, żeby zawołać o pomoc, gdy znowu załamała się nad nią fala i Centaine napiła się wody, zakrztusiła, i ponownie musiała wypluwać słony płyn.

Minęło kilka minut, zanim doszła do siebie i wykasłała wodę z płuc. Zaczęła płynąć w kierunku, z którego jak sądziła, dochodzą głosy, nie tracąc więcej sił na bezskuteczne próby przywołania pomocy. Ciężka kamizelka ratunkowa ciągnęła ją pod wodę, na przemian zalewały ją olbrzymie fale,

unosily w góre i znowu ciskały w dół, ale dziewczyna nie ustawiała w wysiłkach.

Muszę wydostać się z wody, powtarzała sobie w kółko. Zimno jest moim najgorszym wrogiem — muszę znaleźć się na jednej z łodzi.

Centaine wyciągnęła rękę i uderzyła w coś twardego z taką siłą, że popękała jej skóra na palcach, ale udało jej się zacisnąć uchwyt. Jakiś duży kształt unosił się na falach ponad jej głową, ale dziewczyna nie mogła znaleźć żadnych pewnych uchwytów dla dłoni i stwierdziła w panice, że jest zbyt słaba, by o własnych siłach wydostać się z wody. Zaczęła przesuwać się wokół tego przedmiotu, szukając jakiegoś oparcia dla rąk.

Nie jest duży... W ciemnościach oceniła, że unoszący się na wodzie płaski kształt ma niespełna cztery metry długości i około dwóch szerokości, jest zrobiony z drewna i pomalowany farbą olejną. Jeden koniec był ułamany i dziewczynie wbiła się w dłoń ostra drzazga, gdy przesuwała rękę po powierzchni. Poczwała, jak drewno rozcina jej skórę, ale była tak przemarznięta, że nie odczuwała bólu.

Jedna strona tratwy wystawała ponad wodą, a druga pozostawała zanurzona. Centaine wciągnęła się od tej łatwiejszej strony.

Od razu zorientowała się, jak bardzo chybotliwa jest tratwa. Mimo że dziewczyna wsunęła się na nią na brzuchu tylko do połowy i nogami nadal pozostawała w wodzie, tratwa przechyliła się niebezpiecznie i do Centaine dobiegł wystraszony okrzyk.

— Uważaj, kretynie! Wpakujesz nas do wody! Ktoś przed nią znalazł schronienie na tych deskach.

— Przepraszam — wystękała Centaine. — Nic nie widzę...

— W porządku, chłopcze, tylko ostrożnie. — Mężczyzna na tratwie wziął ją najwidoczniej za jednego z chłopców okrętowych. — Daj rękę.

W ciemnościach namacała wyciągniętą dłoń i schwyciła się kurczowo.

— No, dalej.

Centaine podciągnęła nogi, a mężczyzna przysunął ją do siebie po nachylonych, gładkich i śliskich belkach. Wolną ręką namacała jakiś uchwyt. Leżała na brzuchu na podrzucanej przez fale chybotliwej tratwie, zbyt osłabiona, żeby podnieść głowę.

Udało jej się wyrwać z zabójczo lodowatej kąpieli.

— Wszystko w porządku, synu?

Jej wybawca leżał obok z głową przy jej uchu.

— Nic mi nie jest.

Poczwała dotyk jego ręki na plecach.

— Widzę, że masz na sobie kamizelkę ratunkową. Rozsądny chłopak. Przywiąż się tasiemkami do tej podpory. Daj, pokażę ci, jak to zrobić.

Przywiązał Centaine paskami do drewna.

— Zawiązałem tak, żebyś mógł łatwo rozwiązać. Jeśli się wywrócimy, to pociągnij za ten koniec, kapujesz?

— Tak, dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

— Zachowaj podziękowania na później, mały.

Mężczyzna opuścił głowę na ramiona i leżeli obok siebie, całkowicie przemoczeni i drżący z zimna, znosząc w milczeniu walące się na nich z ciemności bałwany.

Bez słowa, dostrzegając w czerni nocy zaledwie swoje sylwetki, szybko nauczyli się, jak równoważyć tratwę skoordynowanymi, niedużymi ruchami ciała. Wiatr przybierał na sile i mimo że fale stawały się coraz gwałtowniejsze, rozbitkom udawało się kierować na nie wyższą stronę tratwy,

tak że tylko od czasu do czasu byli opryskiwani wodą.

Po pewnym czasie Centaine zapadła w sen tak głęboki, że przypominał stan śpiączki. Gdy obudziła się, na dworze był już dzień. Świat rozjaśniało szare, ponure światło, zewsząd otaczały ją ciemne, nieprzyjemne wody, a nad głową płynęły niskie, burzowe chmury. Jej towarzysz siedział w kucki na chyboczącej się tratwie i przyglądał się z ciekawością swemu gościowi.

— Panienska Promyczek — powiedział, gdy dziewczyna poruszyła się i spojrzała na niego. — Nawet mi do głowy wczoraj nie przyszło, że to może być pani.

Centaine usiadła szybko i tratwa zakołysała się niebezpiecznie pod nimi.

— Ostrożnie, panienko. Właśnie tak.

Marynarz wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać. Centaine zauważyła, że na przedramieniu ma wytatuowaną syrenę.

— Nazywam się Ernie, panienko. Starszy marynarz Ernie Simpson. Oczywiście od razu panią rozpoznałem. Wszyscy na pokładzie znaliśmy Promyczka.

Ernie był starszym, chudym mężczyzną o rzadkich, siwiejących włosach, które woda morska pozlepiła mu na czole. Twarz miał pomarszczoną niczym śliwka, i mimo że jego krzywe zęby były żółte od tytoniu, uśmiechał się ujmująco.

— Ernie, co się stało z pozostałymi?

Centaine rozejrzała się z przerażeniem wokoło, uświadamiając sobie prawdziwy horror ich sytuacji.

— Poszli do Davy'ego Jonesa — przynajmniej większość z nich.

— Davy Jones, kto to taki?

— Chciałem powiedzieć, że utonęli. Niech piekło pochłonie tego przeklętego Huna, który to zrobił.

Noc ukryła prawdziwe oblicze sytuacji, w jakiej się znaleźli. Rzeczywistość okazała się o wiele bardziej przerażająca niż wyobrażenia. Gdy tratwa opadała w dół, lodowate ściany wody zasłaniały horyzont, ale kiedy fale unosiły ją w górę, otaczająca rozbitków ze wszystkich stron pustka była tak okropna, że Centaine trzymała się kurczowo desek. Nie widać było nic poza wodą i niebem, żadnej łodzi, pływaka, czy choćby ptaka morskiego.

— Jesteśmy tu sami — wyszeptała Centaine. — Tous seuls.

— Niech się panienska rozpogodzi. Wciąż żyjemy i tylko to się liczy. Kiedy Centaine spała, Ernie nie próżnował. Spozrzęła, że udało mu się zgromadzić szczątki z rozbitego statku wokół tratwy. Za deskami płynęła płachta grubego płótna, a z umieszczonych na obrzeżach oczek wystawały krótkie kawałki sznurka. Przypominało to ośmiornicę o cienkich odnóżach.

— Przykrycie łodzi ratunkowej. — Ernie uchwycił jej spojrzenie. — A to są części omasztowania i drobniejsze gówna — o, kurczę, przepraszam panienkę — nigdy nie wiadomo, co może się przydać.

Przywiązał całą tę zbieraninę liną wplecioną z osłony łodzi. Nawet kiedy rozmawiał z Centaine, jego grube i pokryte bliznami, ale zręczne palce zajęte były plecieniem krótkich kawałków sznurka w jedną, grubą linę.

— Pić mi się chce — szepnęła Centaine.

Sól poraniła jej gardło i miała wrażenie, jakby poparzyła wargi, które były gorące i opuchnięte.

— Niech panienska pomyśli o czymś innym — poradził Ernie. — Może panienska pomoże mi z tą robotą. Potrafi panienska splatać linę?

Centaine pokręciła przecząco głową. Ernie przeszedł całkowicie na slang i Centaine szybko poczuła do niego sympatię.

— To łatwizna. Pokażę panience, jak to robić. Niech panienka patrzy.

Ernie miał przywiązany do pasa scyzoryk i ostrym końcem rękojeści nożyka rozsuwał pętle sznurka, żeby przepleść przez nie następne kawałki.

— Jeden za drugim, jak wąż do dziury! Właśnie tak! Centaine szybko opanowała nową umiejętność. Praca pozwoliła jej zapomnieć na chwilę o ich położeniu.

— Ernie, wiesz może, gdzie teraz jesteśmy?

— Nie jestem nawigatorem, Promyczku, ale gdzieś na zachód od wybrzeża Afryki. Nie wiem, jak daleko, ale gdzieś tam jest Afryka.

— Wczoraj w południe byliśmy sto sześćdziesiąt kilometrów od brzegu.

— Jestem pewien, że panienka ma rację. — Ernie skinął głową. — Wiem tylko, że prąd nam pomaga, a także wiatr... — Spojrzał w niebo. — Gdybyśmy tylko mogli wykorzystać ten wiatr!

— Ernie, masz jakiś plan?

— Zawsze mam jakiś plan, panienko. Chociaż nie zawsze najlepszy — Wyszczrzył do niej zęby w uśmiechu. — Niech panienka najpierw skończy z tą liną.

Gdy tylko splekli wszystkie kawałki sznurka w jedną linę długości około siedmiu metrów, Ernie podał nożyk Centaine.

— Niech panienka przywiąże go sobie w pasie. Tak właśnie. Nie chcemy go zgubić, co nie?

Ześlizgnął się z tratwy do wody i podpłynął pieskiem do ocalałych szczątków łodzi. Przy pomocy Centaine, która ustawiała tratwę, udało im się umocować-oba kawałki omasztowania i przywiązać je do tratwy liną.

— Mamy rogi salingu. — Ernie prychnął wodą morską. — Nauczyłem się tej sztuczki od Murzynów z Hawajów.

Tratwa była teraz bardziej stabilna i Ernie wdrapał się na pokład.

— Teraz możemy pomyśleć o jakimś żaglu.

Cztery razy próbowali, zanim w końcu udało im się ustawić i umocować niewielki maszt i przywiązać do niego żagiel wycięty z brezentowej pokrywy łodzi ratunkowej.

— Nie mamy szansy na medal w regatach, ale przynajmniej płyniemy do przodu. Niech panienka spojrzysz na ten kilwater.

Tratwa zostawiała za sobą niemrawy ślad na wodzie. Ernie ostrożnie ustawił żagiel.

— Co najmniej dwa węzły — oszacował. — Dobra robota, Promyczku. Niezła z panienki zawodniczka, nie ma co gadać. Sam bym nie dał rady. — Ernie siadł z tyłu tratwy, sterując kawałkiem deski jak rumplem. — Niech panienka sobie trochę odpocznie, będziemy musieli zmieniać się na wachcie.

Przez cały dzień wiatr spadał na tratwę w gwałtownych porywach i dwa razy udało mu się wywrócić prymitywny maszt za burtę. Za każdym razem Ernie musiał wchodzić do wody, żeby go wydobyć. Praca przy wyciąganiu ciężkiego omasztowania i mokrego żagla, który trzeba było przywiązywać do pokładu, zupełnie wyczerpała Centaine.

O zmierzchu wiatr się uspokoił i wiał równo z południowego zachodu. Chmury rozstąpiły się i miejscami widzieli jasne gwiazdy na czarnym niebie.

— Jestem padnięty. Musi panienka przejąć ode mnie wachtę. — Ernie pokazał Centaine, jak ma sterować, i tratwa zaczęła reagować na poruszenia rumpla: — Ta czerwona gwiazda to Antares, ten z małą białą gwiazdą po każdej stronie, za przeproszeniem, jak marynarz na przepustce z dziewczyną pod każdym ramieniem. Niech panienka kieruje się na Antaresa i wszystko będzie w porządku.

Stary marynarz zwinął się w kłębek u stóp dziewczyny jak pies obronny, a i Centaine przycupnęła na końcu tratwy z prymitywnym rumplem pod pachą. Wraz ze słabnącym wiatrem zmniejszyły się fale

i miała wrażenie, że teraz poruszają się szybciej. Kiedy spojrzała za siebie, dostrzegła rozciągający się za tratwą zielony, fosforyzujący ślad na wodzie. Przyglądała się, jak czerwony Antares ze swoimi dwiema białymi towarzyszkami wspina się po czarnej zasłonie nieba. Centaine nie opanowała jeszcze strachu i czując się zupełnie opuszczona, pomyślała o Annie.

Kochana Anno, gdzie teraz możesz być? Tak bym chciała wiedzieć, czy jeszcze żyjesz. Czy udało ci się dostać do którejś z łodzi ratunkowych, czy też jak ja trzymasz się kurczowo jakichś szczątków i wypatrujesz pomocy?

Pragnienie znalezienia schronienia w silnych ramionach starej niańki było tak silne, że Centaine poczuła, jak do oczu napływają jej gorące łzy i czerwone światło Antaresa rozmywa się nagle. Ogarnęło ją poczucie dziecięcej bezradności. Najchętniej wdrapałaby się teraz na kolana Anny i ukryła twarz w jej ciepłych piersiach. Straciła przekonanie co do celowości dalszego wysiłku i chęć do walki o życie.

Centaine pomyślała, że tak łatwo byłoby położyć się obok Erniego i zdać się na los.

Chlipnęła głośno.

Odgłos płaczu pozwolił jej oprzytomnieć i nagle poczuła złość na siebie samą i własną słabość. Otarła łzy i dotknęła kryształków soli, jakie woda morską zostawiła jej na rzęsach. Gniew Centaine przybrał na sile i z furią zwróciła się przeciw losowi, który ją tak prześladował.

— Dlaczego? — zapytała twardo wielką, czerwoną gwiazdę. — Co takiego zrobiłam, że właśnie mnie prześladowasz? Czy chcesz mnie ukarać? Michael, mój ojciec, Nuage, a teraz Anna — zabrałeś mi wszystkich, których kochałam. Dlaczego mi to robisz?

Urwała, przerażona myślą, jak bardzo zbliża się do bluźnierstwa. Pochyliła się i drżąc z zimna, położyła rękę na brzuchu. Spodziewała się, że wyczuje jakieś oznaki życia, jakieś wybrzuszenie, poruszenie, cokolwiek, ale brzuch wydawał się pusty i gniew jej powrócił ze zdwojoną siłą, nabrzmiały wyzwaniem.

— Złożę przysięgę. Im bardziej mnie będziesz prześladować, tym bardziej będę walczyć o przetrwanie. To ty, kimkolwiek jesteś: Bogiem czy diabłem, zrzuciłeś na mnie te wszystkie nieszczęścia. Masz więc moją przysięgę. Wytrzymam i mój syn wytrzyma ze mną.

Centaine była jak szalona. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie dbała o to. Podniosła się na kolana i w geście wyzwania pogroziła pięścią czerwonej gwiazdzie.

— No, dalej! — zawołała. — Ześlij na mnie, co masz najgorszego, i skończ z tym.

Jeśli oczekiwała grzmotu i błyskawicy rozdierającej niebo, to nic takiego się nie zdarzyło — wokół rozlegał się jedynie świst wiatru wypełniającego malutki żagiel i chlupotanie wody z tyłu. Dziewczyna usiadła ciężko, wzięła pod pachę ster i z determinacją skierowała tratwę na wschód.

Wraz z pierwszym światłem świtu nadleciał ptaszek i na chwilę zawisł Centaine nad głową. Był to mały ptaszek morski o stalowosza-rym upierzeniu, z kredowobiałymi plamkami nad czarnymi paciorkami oczu. Miał niewielkie skrzydełka, pięknie ukształtowane i delikatne, a jego krzyk wydawał się cichy i samotny.

— Ernio, obudź się! — zawołała Centaine.

Jej opuchnięte usta pękły od wysiłku przy wymówieniu tych kilku słów i pq wargach pociekło kilka kropel krwi. Wewnątrz usta jej przypominały wyschniętą szczurzą skórę, a pragnienie przemieniło się w rozpaloną do białości głownię tkwiącą gdzieś w trzewiach.

Ernie usiadł ciężko i na wpół przytomnym wzrokiem rozejrzył się dookoła. Zdawało się, że w ciągu nocy skurczył się jeszcze bardziej, a spierzchnięte usta miał pokryte białymi kryształkami soli.

— Spójrz, Ernio, ptak! — wymamrotała Centaine przez obolałe wargi.

— Ptak — powtórzył Ernio, spoglądając w górę. — Ziemia blisko. Ptak zawrócił i odleciał nisko

nad wodą, by zniknąć szybko pomiędzy stalowym morzem i szarym bezmiarem nieba.

W połowie poranka Centaine wskazała bez słowa przed siebie. Usta miała zbyt wyschnięte, żeby mogła mówić. Na powierzchni morza przed tratwą unosił się ciemny, splątany kształt. Przedmiot zanurzał się w wodzie i poruszał mackami niczym jakiś potwór z głębin.

— Morskie wodorosty! — wyszeptał Ernie, a kiedy się zbliżyli do roślin, przyciągnął je końcem rumpla i wyrzucił na pokład.

Pasma wodorostów było grube jak ramię silnego mężczyzny, miało z pięć metrów długości, a jeden koniec gałęzi gęsto porastały mięsiste liście. Najwidoczniej pęd został oderwany od skał podczas burzy.

Jęcząc z pragnienia, Ernie uciął kawałek łądygi. Pod skórką znajdował się gruby miąższ, osłaniający pusty kanalik powietrzny. Ernie zeszkrobał miąższ nożem i włożył garść ociekającej sokiem miazgi Centaine do ust. Ostry smak był dosyć nieprzyjemny, niczym jodyna z pieprzem, ale Centaine pozwoliła, żeby płyn spłynął jej do gardła i aż jęknęła, czując ulgę. Sączyli sok z wodorostów, wypluwając wyciśnięty miąższ i kiedy napili się do woli, odpoczęli trochę, czując, jak ciała ich nabierają siły.

Ernie przejął ster i naprowadził tratwę na wiatr wiejący w stronę wschodu. Burzowe chmury rozwiały się w ciągu nocy, a słońce rozgrzało ich i osuszyło ubrania. Z początku wystawiali twarze do delikatnych promieni, ale szybko żar stał się trudny do wytrzymania i próbowali znaleźć schronienie w malutkim cieniu rzucanym przez żagiel.

Kiedy słońce stanęło w zenicie, nie mieli gdzie się ukryć przed palącymi promieniami i upał szybko pozbawił wody ich ciała. Wycisnęli jeszcze odrobinę soku z wodorostów, ale ostry, chemiczny smak omal nie wywołał u Centaine mdłości. Zdała sobie sprawę, że jeśli zwymiotuje, to jej organizm straci wiele cennej wody. Mogła pić sok z wodorostów tylko od czasu do czasu.

Oparła się o maszt i spoglądała na horyzont. Zewsząd otaczała ich woda i jedynie na wschodzie linię horyzontu zakłócały ciemne chmury leżące nisko nad oceanem. Dopiero po godzinie Centaine zauważyła, że mimo wiatru chmury nie zmieniają kształtu. Stały się nawet jak gdyby bardziej wyraziste. Centaine rozpoznawała niewielkie nieregularności, niskie wzniesienia i doliny, które nie rozmywały się w powietrzu jak normalne obłoki.

— Ernie — wyszeptała. — Spójrz na te chmury.

Stary mężczyzna zamrugał oczyma i podniósł się wolno na kolana. Z jego ust wydobył się cichy, miauczący dźwięk i Centaine uświadomiła sobie, że to głos radości.

Podniosła się na nogi i pierwszy raz spojrzała na afrykański kontynent.

Afryka na chwilę wyłoniła się z morza i wkrótce ukryła się przed wzrokiem rozbitków w ciemnościach nocy.

Tratwa płynęła powoli w kierunku lądu. Tej nocy Centaine i Ernie nie spali. Kiedy nastał świt i gwiazdy zbladły, a niebo na wschodzie stawało się coraz jaśniejsze, ujrzeli olbrzymie wydmy pustyni namibijskiej.

— Cudowny widok! — zachwyciła się Centaine.

— To okrutny ląd, panienko — przestrzegł ją Ernie.

— Ale jaki piękny...

Wydmy miały kolor fiołkoworóżowy i kiedy pierwsze promienie słońca dotknęły ich krawędzi, zapłonęły czerwonym złotem i brązem.

— Nie wszystko złoto, co się świeci — mruknął Ernie. — Mnie tam wystarczą zielone pola mojej starej ojczyzny i, za przeproszeniem, niech diabli porwą całą resztę, panienko Promyczku.

Od strony lądu nadleciał klucz głuptaków o żółtych szyjach; ptaki szybowały wysoko, wyłacane

promieniami wschodzącego słońca. Fale morskie, zalewające plażę, by po chwili wycofać się z niej, szumiały niczym niespokojny oddech śpiącego kontynentu. Wiatr, który przez długi czas wiał równo w żagle, teraz, blisko lądu, zmienił kierunek i nagłym podmuchem uderzył od tyłu. Malutki maszt zachybotał się i wywrócił do wody.

Centaine i Ernie spojrzeli na siebie z rozpaczą. Ziemia była już tak bardzo blisko — zdawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, żeby jej dotknąć — a oni musieli od początku mocować się z ustawianiem masztu i wciąganiem żagla. Zebrali resztki sił i wzięli się do pracy.

Po pewnym czasie Ernie podniósł się ciężko, bez słowa odwiązał nóż i podał go dziewczynie. Kiedy Centaine przywiązała nóż do pasa, stary marynarz wskoczył do wody i podpłynął do czubka krótkiego masztu. Centaine, klęcząc, zaczęła rozplątywać liny. Węzły napęczniały od wody i musiała użyć kolca na końcu scyzoryka, żeby je rozsypać.

Zwinęła linę i spojrzała na marynarza, który zawołał:

— Gotowa?

— Tak.

Wstała, starając się zachować równowagę na chybotałej tratwie. Zebrała linę przytrzymującą czubek masztu, gotowa pociągnąć ją do siebie, gdy Ernie zacznie podnosić ciężki bal.

Nagle coś poruszyło się za głową Erniego i Centaine osłoniła oczy dłonią, żeby lepiej widzieć. Zadziwił ją kształt, który wystawał nad powierzchnią wody na wysokość pasa dorosłego mężczyzny, błyszczący w świetle dnia niczym metal. Nie, to nie był metal, raczej gładki welwet. Przypominał żagielek od dziecięcej łódki i Centaine z żalem przypominała sobie chłopców zebranych w niedzielę wokół wiejskiego jeziora, ubranych w marynarskie ubranka, którzy puszczali na wodzie łódki.

— O co chodzi, panienko?

Ernie zauważył jej sztuczną pozę i zdziwione spojrzenie.

— Nie wiem. — Wskazała ręką na morze. — Coś dziwnego zbliża się do nas i to bardzo szybko!

Ernie obrócił głowę.

— Gdzie? Nic nie widzę...

W tym momencie fala uniosła tratwę.

— Rany boskie! — wrzasnął Ernie i zaczął szaleńczo chłostać wodę rękami, usiłując dopłynąć jak najszybciej do tratwy.

— Co to jest?

— Pomóż mi! — Ernie zachłysnął się wodą. — To olbrzymi rekin! To słowo ją sparaliżowało.

Patrzyła z niemym przerażeniem na potwora, którego kolejna fala wyniosła w górę, a promienie słońca, zmieniwszy kąt, przedarły się przez wodę i oświetliły mu grzbiet.

Rekin miał kolor ciemnoszary, niebieskawy, pocętkowany cieniami pomarszczonej wiatrem powierzchni wody. Był ogromny, znacznie większy niż ich malutka tratwa i szerszy w grzbiecie niż wielka beczka na wino w piwnicach pałacyku w Mort Homme. Podwójny ogon przecinał gładko wodę, gdy stwór przyciągnięty chlupotaniem rzucającego się w wodzie mężczyzny, zanurkował prosto w falę.

Centaine krzyknęła i cofnęła się o krok.

Oczy rekina miały kolor złoty, koci, z czarnymi szparkami źrenic. W długim, ostro zakończonym pysku Centaine dostrzegła nozdrza.

— Pomóż mi! — wrzasnął Ernie.

Udało mu się dotrzeć do tratwy i schwycić jej krawędzi. Próbował wciągnąć się na pokład, kopiąc dziko nogami wodę; tratwa zakołysała się niebezpiecznie i nachyliła ku niemu.

Centaine rzuciła się na kolana i schwyciła mężczyznę za rękę.

Szarpnęła się do tyłu i z całej siły, jaką dało jej przerażenie, pociągnęła go ku sobie. Ernie przesunął się do połowy, ale nogi pozostały mu w wodzie.

Rekin zdawał się dźwigać na powierzchnię; jego błyszczący, niebieski grzbiet wynurzył się, ociekając wodą, a ostra tylna płetwa sterczała niczym katowski miecz. Centaine przeczytała gdzieś, że bestia atakując przewraca się na grzbiet i nie była zupełnie przygotowana na to, co się stało.

Olbrzymi rekin podniósł łeb i rozwarł potężną paśćcę jakby w makabrycznym uśmiechu. Rzędy porcelanowobiałych zębów wyprostowały się niczym kolce jeżozwierza, gdy potwór wysunął szczęki do przodu, by zatrzaskać je na kopiających wodę nogach Erniego. Centaine usłyszała chrobotliwy zgrzyt żłobkowanych krawędzi zębów na kościach nóg, rekin osunął się do wody i mężczyzna został gwałtownie pociągnięty do tyłu.

Centaine nie puściła ręki towarzysza, mimo że szarpnięcie rzuciło ją na kolana i przesunęło po śliskim pokładzie. Tratwa przechyliła się mocno pod ich ciężarem, szarpana przez rekina.

Przez chwilę Centaine widziała łeb bestii pod wodą. Żółte oko spojrzało na nią z nieopisaną dzikością, a następnie zasłoniła je błona, jakby rekin mrugał sardonicznie do dziewczyny, i jego głowa zakołysała się wolno, z bezwładnością ciężkiego pnia, szczęki zaś zacisnęły się na nogach Erniego.

Centaine usłyszała, jak kości pękają z trzaskiem łamanych gałęzi. Napór na nogi Erniego ustał tak gwałtownie, że tratwa zakołysała się gwałtownie i wyskoczyła w przeciwnym kierunku.

Centaine, trzymając nieszczęśnika kurczowo za rękę, poleciała do tyłu, wciągając go na pokład. Stary marynarz nadal kopał powietrze, ale jego nogi kończyły się teraz znacznie wcześniej, groteskowo ucięte tuż pod kolanami. Z nogawek drelichowych spodni wystawały poszarpane kikuty zakończone kawałkami mięsa i pasmami skóry trzepoczącej przy każdym spazmatycznym ruchu mężczyzny, a krew tryskała w górę jasną fontanną.

Marynarz przetoczył się na plecy i usiadł na krawędzi tratwy, patrząc ze zdumieniem na swoje kończyny.

— Matko Boska, pomóż mi — jęknął okropnie. — Jestem już nieboszczykiem!

Z otwartych arterii buchała krew, spływała strumieniem po pokładzie i spadała kaskadą do morza, barwiąc wodę na kolor brązowy. Strugi krwi przypominały dym na wodzie.

— Moje nogi! — Ernie schwycił się za rany, a krew zaczęła mu wyciekać przez palce. — Nie mam nóg! Diabeł zabrał mi nogi!

Tuż pod tratwą coś zakotłowało się w wodzie, na powierzchnię wychynęła czarna, trójkątna płetwa i zaczęła ciąć zabarwioną na brązowy kolor wodę.

— Czuje krew! — krzyknął Ernie. — Ten diabeł nie zrezygnuje. Już po nas!

Rekin zawrócił, kładąc się na boku, tak że mogli zobaczyć jego biały brzuch i szeroki, uśmiechnięty pysk, a potem ruszył na nich szybko, majestatycznie poruszając ogonem. Jego pysk zanurzył się w chmurze krwi i olbrzym otworzył paszczę. Smak i zapach krwi zdawały się doprowadzać go do szaleństwa; rekin zanurzył się, burząc wodę i przepłynął pod tratwą.

Pokład zakołysał się gwałtownie, gdy bestia uderzyła od spodu grzbietem i Centaine upadła na deski. Schwyciła się ich kurczowo, żeby nie wlecieć do wody.

— Próbuje nas wyrócić — jęknął Ernie.

Centaine jeszcze nigdy nie widziała takiej ilości krwi. Trudno było uwierzyć, że tyle czerwonego życiodajnego płynu mogło pomieścić się w tym starym, wychudzonym cieiele, a z okaleczonych nóg nadal tryskały nowe fontanny.

Rekin zakręcił i znowu skierował się w ich stronę. Kolejne uderzenie potężnego cielska wyniosło

tratwę wysoko w górę. Przechyliła się, jakby już miała wyrzucić się do góry dnem, ale złapała równowagę i odskoczyła od powierzchni morza niczym korek.

— On nie zrezygnuje — płakał Ernie, coraz słabszy. — Zobacz, znowu nadpływa.

Wielki, ciemnoniebieski pysk ponownie wynurzył się z wody: stalowe szczęki otworzyły się i zamknęły z siłą na krawędzi tratwy. Długie, białe zęby wbiły się w drewno i usłyszeli trzask pękających desek, gdy rekin pociągnął tratwę w dół ciężarem swego ciała.

Potwór zdawał się patrzeć na Centaine, która leżała przed nim na brzuchu, trzymając się kurczowo podpórek. Pysk bestii przypominał ryj monstrualnego, niebieskiego knura, gdy tak zawzięcie wgryzała się w kruche deski. Ponownie mrugnął okiem — przezroczyta błona zasłaniająca nieprzeniknioną, czarną źrenicę wydała się Centaine najbardziej obsceniczną i przerażającą rzeczą, jaką widziała w życiu — i zaczął potrząsać łbem. Znow padli oboje na pokład, a małutka tratwa uniosła się nad wodę i gwałtownie zakołysała na boki.

— Dobry Boże, wyrzuci nas do morza! — Ernie odczołgał się od wyszczerzonych kłów. — Nie zrezygnuje, póki nas nie dopadnie.

Centaine poderwała się na nogi, balansując niczym akrobatka, porwała grubego rumpel i podniosła go oburącz do góry. Z całej siły spuściła go na czubek świńskiego pyska rekina. Uderzenie wstrząsnęło nią całą, ale zaraz zadała następny cios i jeszcze jeden. Drewniany rumpel opadł na łeb potwora z głuchym, gumowym odgłosem, odbił się, nie zostawiając nawet śladu na szorstkiej skórze, i wydawało się, że rekin nawet nie zauważa ciosów.

Szarpnął głową, rzucając tratwę z nie słabnącą zaciekłością i Centaine do połowy wpadła do morza, ale natychmiast wyczołgała się na pokład, podniosła na kolana i zaczęła tłuc w olbrzymi, nieczuły pysk, łkając przy każdym ciosie z wysiłku. Kawałek deski ułamał się w paszczy rekina i niebieski łeb skrył się pod wodą, dając dziewczynie chwilę odpoczynku.

— Wraca! — zawołał słabo Ernie. — Będzie atakować, dopóki nas nie dostanie!

Kiedy to powiedział, Centaine wiedziała, co ma zrobić. Nie mogła sobie pozwolić, aby o tym myśleć, musiała to zrobić dla swojego dziecka. Nic więcej się nie liczyło, tylko syn Michaela.

Ernie siedział na pokładzie na wprost odwrócony od niej, z okaleczonymi kończynami przed sobą i właśnie pochylał się do przodu, żeby zajrzeć do zielonkawej wody pod tratwą.

— Nadpływa! — zawołał.

Jego rzadkie szare włosy były pozlepiane krwią i morską wodą, przez wątle pasemka prześwitywała blada skóra na czaszce. Woda pod tratwą zagotowała się, gdy rekin ruszył do kolejnego ataku i Centaine zobaczyła, jak wynurza się z głębiny, kierując się prosto na tratwę. Zerwała się szybko na równe nogi z grymasem przerażenia na twarzy, oczy miała szeroko otwarte ze strachu, a palce jej same zacisnęły się na rumplu. Rekin uderzył pyskiem od spodu w tratwę, a Centaine zatoczyła się i w ostatniej chwili złapała równowagę, zanim zdążyła wpaść do wody.

Sam powiedział, że jest już nieboszczykiem — powiedziała sobie.

Podniosła wyżej rumpel, nie spuszczać wzroku z różowej plamy we włosach Erniego, i z całej siły spuściła belkę na głowę mężczyzny.

Zobaczyła, jak czaszka ugina się pod uderzeniem drewna.

— Wybacz mi, Ernie — jęknęła, gdy tamten, nieprzytomnie, potoczył się do przodu i upadł na skraju tratwy. — I tak już było po tobie, a nie ma innego sposobu, żeby uratować moje dziecko.

Mimo okropnego wgniecenia w czaszce marynarz obrócił głowę i spojrzał na Centaine. W oczach jego płonął jeszcze ślad okropnego cierpienia i Ernie otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Nagle płomyk ów zgasł, a ciało mężczyzny rozluźniło się i wyprostowało.

Centaine z płaczem uklękała przy nim.

— Boże, wybacz mi — wyszeptwała — ale moje dziecko musi przeżyć.

Rekin zawrócił na nich, z płetwą ogonową wystającą wysoko nad wodę, a Centaine delikatnie przetoczyła Erniego i zepchnęła go do morza.

Rekin zawirował w wodzie. Schwycił ciało w zęby i zaczął je szarpać niczym pies kość. Przy każdym jego ruchu tratwa oddalała się coraz bardziej. Wreszcie rekin zniknął ze swą ofiarą w bezmiarze zielonej wody i Centaine spostrzegła, że wciąż trzyma rumpel w dłoniach.

Zaczęła nim wiosłować, popychając tratwę w stronę plaży. Przy każdym ruchu płakała z bólu i widziała wszystko jak przez mgłę. Przez łzy dostrzegła wodorosty kołyszące się na powierzchni morza. Za nimi przyplływ rozbijał się z szumem o żółte piaski plaży. Wiosłowała teraz zaciekle i nagle prąd schwycił tratwę i poniósł w stronę brzegu, pomagając Centaine w jej wysiłkach. Przez kryształową zieloną wodę dostrzegła już dno, wzory wypisane na piasku przez gwałtowne fale.

— Dzięki ci, Boże. Och, dzięki ci, dzięki! — wystękała w rytm pchnięć prymitywnego wiosła. Nagle tratwę wstrząsnęło od spodu potężne uderzenie olbrzymiego cielska. Centaine schwyciła się podpór, czując, jak opuszczają ją siły i ogarnia rozpacz. Wrócił! Dostrzegła masywny kształt odcinający się od błyszczących piasków i przepływający pod tratwą. On nigdy nie rezygnuje. Tylko na chwilę udało jej się oderwać od bestii. Rekin w kilka minut pożarł rzuconą mu ofiarę i zwabiony zapachem krwi splukiwanej z pokładu przez fale podążył za tratwą na płyciznę sięgającą wysokiemu mężczyźnie do ramion.

Rekin zatoczył szerokie koło i zaatakował od strony morza. Tym razem uderzenie było na tyle silne, że tratwa zaczęła się rozpadać. Deski już wcześniej zostały obluzowane przez potężne ciosy burzy i teraz rozstały się pod Centaine, tak że nogami wpadła do wody i dotknęła przepływającej pod tratwą bestii. Poczowała szorstki dotyk grubej skóry rekina na łydce i z krzykiem poderwała stopy do góry.

Rekin wykonał jeszcze jedno okrążenie, ale nachylenie dna zmusiło go do odpłynięcia od strony morza i mimo że cios był potężny, popchnął jednocześnie tratwę bliżej brzegu. Olbrzymia bestia ugrzęzła na płyciznie, ale zaraz wyzwoliła się potężnym skrętem i skokiem w górę i odpłynęła na głębiny z grzbietem wystającym ponad wodą.

Wysoka fala dopełniła zniszczeń dokonanych przez rekina i uderzona nią tratwa rozsypała się na drobne kawałki. Centaine wpadła do wzburzonego przyplływem morza; kaszląc i wypluwając słoną wodę, poderwała się na nogi.

Stała po piersi w zimnych, zielonych falach przyboju i poprzez słoną wodę zalewającą jej oczy widziała rekina zbliżającego się w pełnym pędzie. Krzyknęła ze strachu i cofając się podniosła obiema rękami rumpel ponad głowę.

— Precz ode mnie! — wrzasnęła histerycznie. — Precz! Zostaw mnie!

Potwór uderzył ją pyskiem i wyrzucił wysoko w powietrze. Opadła na grzbiet straszliwej bestii i rekin ruszył z nią niczym rumak z jeźdźcem, Dotyk szorstkiej, zimnej skóry był niewypowiedzianie wstrętny. Centaine zsunęła się do wody i poczuła silny cios płetwą ogonową. Ogon ześliznął się bokiem — pełny cios niewątpliwie zmiażdżyłby jej klatkę piersiową.

Gwałtowne ruchy rekina wzburzyły piasek na dnie i bestia nie mogła dojrzeć swojej ofiary. Nie przestawała jej jednak szukać na oślep — potężne szczęki zamykały się niczym stalowa brama zatraskiwana przez huragan. Centaine otrzymała kolejne ciosy rozmachaną płetwą i rzucającym się cielskiem.

Dziewczyna wolno wycofywała się w stronę coraz bliższego brzegu. Za każdym razem, gdy została przewrócona w wodę, podrywała się na nogi i znowu waliła rekina z całych sił drewnianym rumplem. W pewnej chwili rzędy białych zębów potwora zamknęły się na spódniczkach Centaine i

zerwały je, uwalniając jednocześnie jej nogi. Kiedy zrobiła kolejny krok do tyłu i w górę, woda opadła jej do pasa.

W tej samej chwili zaczął się odpływ i rekin ugrzązł na mieliźnie, bezsilny nagle w obcym środowisku. Olbrzym rzucał się i wiercił niczym słoń uwięziony w dole-pułapce, a Centaine cofała się krok za krokiem do tyłu, po kostki w morzu, zbyt wyczerpana, żeby obrócić się i uciec. Nagle zauważyła, że stoi na twardym piasku powyżej linii wody.

Odrzuciła rumpel i ciężko powlokła się w stronę wysokich wydm. Nie miała jednak siły, żeby iść tak daleko i upadła powyżej linii brzegu, twarzą do ziemi. Piasek przykleił się dziewczynie do spoconej twarzy i Centaine leżała w słońcu z łkaniem, wstrząsana spazmami strachu, żalu, urazy i ulgi.

Nie miała pojęcia, jak długo leży tak na plaży, ale po pewnym czasie poczuła pieczenie promieni słonecznych na gołych nogach i ciężko usiadła. Spojrzała nie bez strachu na wodę, spodziewając się zobaczyć gdzieś w pobliżu olbrzymiego potwora, ale musiały go unieść fale przyływu i rekinowi udało się wydostać na głębszą wodę. Nie dostrzegła żadnego śladu bestii. Wypuściła z ulgą powietrze z płuc i wstała niepewnie.

Całe ciało miała obolałe i bardzo słabe. Spojrzała na nogi i zobaczyła, że kontakt z cielskiem rekina poranił jej skórę: na udach widać było ciemnoniebieskie plamy sińców. Rekin zerwał z niej spódnicę, a buty sama zrzuciła przed skokiem z okrętu do morza, tak że poza brudną bluzką i parą długich majtek nie miała na sobie nic. Centaine zawstydziała się i rozejrzała pośpiesznie wokoło. Jeszcze nigdy nie była tak oddalona od innych ludzi.

Nikt mnie tu nie zobaczy. Instynktownie zasłoniła się rękami i uświadomiwszy sobie, co robi, opuściła je w dół. Dłonią dotknęła przedmiotu zwisającego jej u pasa — był to nóż Erniego przewiązany linką wokół jej talii.

Centaine wzięła scyzoryk do ręki i spojrzała na ocean. Wróciło jej poczucie winy i okropnego żalu.

— Zawdzięczam ci życie — wyszeptała. — A także życie mojego syna. Och, Ernie, jak bardzo bym chciała, żebyś teraz był z nami.

Poczucie samotności opadło ją z taką siłą, że znowu osunęła się na ziemię i zasłoniła rękami twarz. Wkrótce jednak słońce zmusiło ją do powrotu do rzeczywistości. Centaine czuła, jak ciało zaczyna ją piec od okrutnych promieni i budzi się w niej straszne pragnienie. Musi schronić się przed słońcem — wstała z piasku i z większą uwagą rozejrzała się wokoło.

Znajdowała się na złocistej plaży, okolonej od strony lądu wysokimi wydmami. Plaża była idealnie pusta. Jak okiem sięgnąć piasek ciągnął się zakolami w obu kierunkach na jakieś dwadzieścia, trzydzieści kilometrów, by w końcu zlać się z morzem. Dla Centaine był to obraz absolutnego pustkowsia: nie dostrzegła żadnej skały czy roślinności, żadnego ptaka ani zwierzęcia, żadnego schronienia przed słońcem.

Spojrzała w stronę miejsca, w którym wyszła na plażę, i dostrzegła resztki tratwy i żagiel ciskany przez fale o brzeg. Walcząc ze strachem przed rekinem, Centaine weszła po kolana do wody i wyciągnęła na piach grube płótno i splątane liny żaglowe.

Na spódnicę wycięła sobie spory prostokąt z żagla i obwiązała się nim w pasie. Z mniejszego kawałka zrobiła sobie nakrycie na głowę i ramiona, by chronić się przed gorącymi promieniami. — Och, jak mi się chce pić!

Stała na brzegu morza i żałośnie spoglądała na wodorosty tańczące na falach. Jej pragnienie było silniejsze niż wstręt do soku z wodorostów, ale strach przed rekinami przeważał i Centaine odwróciła się od wody.

Mimo że bolało ją całe ciało, a ramiona i nogi miała posiniaczone, zdawała sobie sprawę, że musi ruszyć w drogę, a miała tylko jeden kierunek do wyboru. Kapsztad znajdował się na południu. Wcześniej były małe niemieckie miasteczka o dziwnych nazwach: Swakopmund i Luderitzbucht, przypominała sobie z truciem. Najbliższe z nich leżało pewnie o jakieś pięćset kilometrów stąd.

Pięćset kilometrów — Centaine dopiero teraz uświadomiła sobie, jaka to olbrzymia odległość, i czując, jak nogi robią jej się miękkie w kolanach, usiadła na rozgrzanym piachu.

Nie będę myślała, że to tak daleko, postanowiła w końcu i podniosła się z ziemi. Będę myśleć tylko o każdym kolejnym kroku, jaki muszę zrobić.

Wstała, czując, jak posiniaczone ciało sprzeciwia się każdemu ruchowi. Z lekka kulejąc, ruszyła przed siebie wzdłuż linii wody, gdzie wilgotny piasek był najtwardszy, i po kilku krokach mięśnie zaczęły się rozgrzewać, tak że mogła robić dłuższe kroki.

Będę szła krok za krokiem, powiedziała sobie. Samotność stawała się ciężarem, który mógł ją zniszczyć, gdyby pozwoliła sobie na myślenie o tym. Podniosła głowę do góry i spojrzała przed siebie.

Plaża zdawała się nie mieć końca i ciągnący się przed Centaine kawałek w przygnębiający sposób przypominał odcinek, który już przeszła. Było tak, jakby kilkugodzinny marsz nie posunął jej wcale naprzód i dziewczyna pomyślała, że chodzi w kieracie z nie kończącymi się piaskami przed sobą, niezmiennym morzem po prawej stronie, ścianą wydm po lewej i mlecznoniebieskim niebem nad głową.

— Idę znikąd donikąd — szepnęła i z całej siły zapragnęła ujrzeć drugiego człowieka.

Od długiego marszu rozbolały ją gołe stopy i kiedy usiadła na ziemi, żeby je obejrzeć, zobaczyła, że woda morska zmiękczyła skórę, a drobny piasek stał ją prawie do mięsa. Owinęła stopy kawałkami płótna żaglowego i ruszyła w dalszą drogę. Słońce i wysiłek spowodowały, że przepełniona bluzka lepiała się do ciała, a okropne pragnienie nie opuszczało Centaine ani na chwilę.

Słońce przebyło już połowę drogi od południa do zachodu, gdy na horyzoncie zarysowały się skaliste wzniesienia i ponieważ wprowadzały pewne urozmaicenie w jednostajnym krajobrazie, dziewczyna przyśpieszyła kroku. Wkrótce jednak musiała zwolnić, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo wyczerpał ją całodzienny marsz. Nie jadła nic od trzech dni i nie piła od wczoraj.

Skały zdawały się stać w miejscu i wreszcie Centaine poczuła, że musi odpocząć. Natychmiast odezwało się pragnienie.

— Jeśli nie będę mogła wkrótce czegoś się napić, to daleko nie zajdę — szepnęła do siebie.

Spojrzała w kierunku najbliższego niskiego i płaskiego cypla i aż wyprostowała się ze zdumienia, oczy musiały ją zwodzić. Zamrugła powiekami i ponownie spojrzała na skałę.

— Ludzie! — wyszeptała i poderwała się z ziemi. — Ludzie! Ruszyła chwiejnym krokiem przed siebie.

Na skałach siedziała grupa ludzi, Centaine widziała ruchy ich głów na tle bladego nieba. Zaczęła śmiać się głośno i machać do nich.

Jest ich tak wielu — czyżbym oszalała? Spróbowała zawołać, ale z gardła jej wydobył się tylko suchy charkot.

Rozczarowanie było tak silne, że Centaine zatoczyła się, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

— Foki — szepnęła cicho, gdy morska bryza przywiała ich żalotne krzyki.

Przez chwilę Centaine czuła, że nie ma sił, aby podjąć marsz. W końcu zdołała zrobić pierwszy krok, za nim następny i poszła w kierunku niskich skał.

Na cyplu leżało kilkaset fok, a jeszcze więcej skakało na falach rozbijających się o skały. Centaine poczuła smród kolonii zwierząt niesiony przez wiatr. Kiedy zbliżyła się bardziej, foki

zaczęły uciekać do morza, skacząc nieporadnie po skałach, i Centaine dostrzegła, że w stadzie znajduje się wiele małych.

Gdyby tylko udało się złapać jedną z nich. Wzięła do ręki scyzoryk i otworzyła ostrze. Muszę coś zjeść... Jednak zaalarmowane foki ześlizgiwały się już do wody, w której ich niedawna niezgrabność błyskawicznie przemieniała się w grację.

Centaine zaczęła biec i jej ruchy wywołały zamieszanie w kolonii; ciemne ciała przepychały się, żeby szybciej znaleźć się w wodzie, a dziewczyna znajdowała się sto metrów od najbliższej foki. Zatrzymała się i dysząc ciężko, spoglądała, jak stado ucieka do morza.

Nagle wśród fok zapanował ogromny popłoch. Centaine usłyszała dzikie piski i wystraszone okrzyki wielu zwierząt. Dostrzegła dwa ciemne kształty podobne do wilków, które wystrzeliły zza skał i pełnym pędem rzuciły się na stado. Zrozumiała, że jej pojawienie się odwróciło uwagę fok i dwa drapieżniki wykorzystały okazję, żeby podjąć atak. Centaine nie rozpoznała w nich brązowych hien, gdyż wszystkie książki opisujące Afrykę zamieszczały jedynie rysunki większych i groźniejszych hien cętkowanych.

Zwierzęta te, nazywane przez holenderskich osadników „wilkami plażowymi”, były wielkości doga, ale miały sterczące, ostro zakończone uszy i gęste, popielatożółte grzywy, które w czasie ataku były nastroszone. Hieny bezbłędnie wybrały najmniejsze i najslabsze noworodki i porwawszy je spod boków matek, odciągnęły na kilka kroków, z łatwością unikając wysiłków ciężkich samic próbujących bronić swoich małych.

Centaine puściła się biegiem w stronę hien, a na jej widok samice fok zrezygnowały z obrony dzieci i zeskoczyły ze skał do morza. Dziewczyna porwała grubą gałąź wyrzuconą przez falę i wbiegła na cypel, żeby odciąć drogę napastniczce znajdującej się bliżej.

Hiena nie mogła poruszać się szybko z małą foką w pysku i Centaine udało się ją wyprzedzić. Zwierzę zatrzymało się i zniżywszy groźnie łeb, przyglądało się nadbiegającemu człowiekowi. Mała foka krwawiła z ran na karku zadanych przez ostre kły drapieżnika i kwiliła niczym ludzkie niemowlę.

Hiena warknęła ostrzegawczo, a Centaine zatrzymała się naprzeciw niej, podniosła suchą gałąź nad głowę i krzyknęła dziko na zwierzę:

— Zostaw je! Precz, bydlaku! Zostaw je!

Dziewczyna wyczuła instynktownie, że hiena zdumiona jest jej agresywną postawą i mimo że znowu zawarczała na postrach, cofnęła się jednocześnie o kilka kroków i przykucnęła w pozycji obronnej nad swoją zdobyczą.

Dziewczyna spróbowała zdominować drapieżnika siłą woli, patrząc z natężeniem w żółte ślepia, a jednocześnie krzycząc i wymachując gałęzią. Nagle hiena upuściła zranioną fokę i rzuciła się na człowieka, obnażając długie, żółte kły i warcząc przeraźliwie. Centaine instynktownie zorientowała się, że to próba. Jeśli teraz zacznie uciekać, zwierzę dopadnie jej i ciężko porani.

Rzuciła się na spotkanie hienie, krzycząc co sił w płucach i zamierzając się kijem. Najwidoczniej napastniczka nie spodziewała się takiej reakcji i zawiodła ją odwaga. Zmierzą wróciło pośpiesznie do zostawionej ofiary i zatopiwszy kły w jedwabistej skórze na grzbiecie foczki, zaczęło ją szybko odciągać od Centaine.

W skale u jej stóp znajdowała się szczelina wypełniona okrągłymi kamieniami wygładzonymi przez wodę morską. Centaine schwyciła jeden z kamieni, wielkości dojrzałej pomarańczy, i cisnęła nim w hienę. Celowała w głowę, ale kamień upadł bliżej, trafiając drapieżnika w nogę. Hiena zaskowyczała, puściła fokę i kuśtykając na trzech nogach, odbiegła kilka kroków do tyłu.

Dziewczyna podbiegła do małej foki i otworzyła scyzoryk. Centaine wychowała się na wsi i

nieraz pomagała Annie i ojcu zabijać i oprawiać zwierzęta na farmie. Jednym szybkim ciosem poderżnęła foce gardło i pozwoliła jej się wykrwawić do końca. Hiena nie przestawała krążyć wokoło, warcząc i wyjąc, ciężko kulejąc na przednią łapę, dezorientowana i niepewna siebie.

Centaine nazbierała w obie ręce kamieni ze szczeliny i zaczęła ciskać nimi w natarczywego drapieżnika. Jeden z kamieni trafił hienę w okolony grzywą łeb i ze skowytem uciekła jakieś pięćdziesiąt kroków, póki nie zatrzymała się i nie spojrzała z nienawiścią na dziewczynę.

Centaine szybko wzięła się do roboty. Rozcięła jamę brzuszną, nachylając mocno ostrze do przodu, żeby nie przeciąć żołądka lub wnętrzości, jak podpatrzyła u Anny, która często oprawiała owce, i przepiłowała chrząstkę zamykającą dostęp do klatki piersiowej.

Zakrwawionymi rękami cisnęła jeszcze jeden kamień w krążącą w pobliżu hienę, a następnie wyjęła z brzucha foki żołądek. Pragnienie zdążyło przemienić się w gorączkę, która niszczyła dziewczynę od środka i Centaine czuła, że brak płynu zagraża życiu rozwijającego się w niej dziecka. Jednak na myśl o tym, co ma zrobić, ogarnęły ją mdłości.

— Kiedy byłam dzieckiem — powiedziała jej kiedyś Anna — pasterze zwykli tak robić, gdy padło jagnię ssące jeszcze matkę.

Centaine trzymała mały żołądek foki w ociekających krwią rękach i przyglądając się żółtawej, niemal przezroczystej powłoce miała wrażenie, że dostrzega jego zawartość. Mała foka musiałassać matkę w chwili, gdy zaatakowała ją hiena, gdyż żołądek był pełen po brzegi mleka.

Centaine przełknęła z trudem ślinę i powiedziała sobie: Jeśli się nie napijesz, to do jutra rana nie będziesz już żyła — ty i syn Michaela.

Zrobiła nieduże nacięcie w ścianie żołądka i natychmiast zaczęło się z niego wylewać gęste, białe mleko. Centaine zamknęła oczy i przyłożyła worek do ust. Zmusiła się do połykania gorącego, lekko zsiadłego mleka. Jej pusty żołądek zareagował odruchem wymiotnym i Centaine zakrztusiła się, ale zaraz się opanowała i pokonała nudności. Mleko miało rybi smak, ale nie było wcale takie złe. Przełknąwszy na siłę pierwsze łyki Centaine pomyślała, że przypomina ono w smaku ser owczy robiony przez Annę, tyle że zaprawiony podpuszczką.

Odpoczęła chwilę, ocierając krew i ślinę z ust grzbietem dłoni. Niemal czuła, jak zbawczy płyn przesącza się przez jej tkanki i zmęczone ciało odzyskuje powoli siły.

Cisnęła jeszcze jednym kamieniem w hienę i spokojnie już wypila resztę foczego mleka. Kiedy skończyła, ostrożnie rozcięła żołądek i wylizała go do czysta. Pustą błonę rzuciła hienie.

— Mogę się tym z tobą podzielić — powiedziała warczącemu drapieżnikowi.

Wzięła się do oprawiania foki — ściągnęła z niej skórę, odcięła łeb i krótkie łapy, które także rzuciła hienie. Wydawało się, że zwierzę zrezygnowało z walki o zdobycz. Hiena siedziała dwadzieścia kroków od dziewczyny, z postawionymi uszami i przechyloną głową i z komicznym, wyczekującym wyrazem pyska chwytiała rzucone sobie ochłapy.

Centaine wycięła tyle kawałków jasnoczerwonego mięsa, ile tylko udało jej się wykroić z foki i zawinęła je w materiał, z którego zrobiła sobie nakrycie głowy. Kiedy tylko odeszła, hiena rzuciła się pędem do rozlanej krwi i pozostawionych resztek i szybko zmiażdżyła szkielet foki w swoich potężnych, nienaturalnie dużych szczękach.

Na szczycie cypla wiatr i fale wycięły płytki nawis w piaskowej skale i Centaine stwierdziła, że ktoś przed nią korzystał już z tego schronienia. Na piaszczystej podłodze niszy znalazła ślady z dawno wygasłego ogniska i kiedy przeczesowała palcami rozsypany popiół, znalazła mały, trójkątny krzemień, podobny do tych, jakich razem z Anną szukały na wzgórzach za pałacykiem w Mort Homme. Trzymając kamyk w lepiących się od zwierzęcego tłuszczu dłoniach, doznała nostalgicznej tęsknoty za domem i czując, że ogarnia ją żal, schowała krzemień do kieszonki w bluzce i

skoncentrowała się na terażniejszości.

— Muszę mieć ogień — powiedziała i uważnie obejrzała spalone na węgiel kawałki drewna.

Złożyła paski mięsa foczego na skale u wejścia do płytkiej jaskini, w miejscu, gdzie mógł je wysuszyć wiatr, i wróciła na plażę zebrać więcej drewna wyrzuconego przez morze.

Ułożyła naręcze gałęzi na starym palenisku i spróbowała sobie przypomnieć wszystko, co czytała o rozpalaniu ognia.

— Trzeba pocierać o siebie dwa kawałki drzewa — mruknęła. Ogień był zawsze tak naturalnym elementem jej życia, że teraz z trudem znosiła brak ciepłych płomieni ogniska.

Kawałki drewna były zaimpregnowane solą i wilgotne. Wybrała dwa patyki i nie mając najmniejszego pojęcia, jakiego rodzaju drzewa potrzebuje, zaczęła eksperymentować. Tarła gałązkami tak długo, że rozboleły ją dłonie, ale nie udało jej się uzyskać nawet jednej iskiereki czy choćby smugi dymu z wybranych patyków.

Zmęczona i zrezygnowana oparła się plecami o ścianę jaskini i patrzyła, jak czerwona kula słońca chowa się w ciemnym morzu. Chłodna wieczorna bryza wywołała u dziewczyny dreszcze i Centaine mocniej opatulila się płóciennym szalem. Poczowała, że krzemienisty kamyk uciska ją w piersi.

Centaine zauważyła, jak delikatne zrobiły się ostatnio jej sutki, a piersi nabrzmiały i stały się bardziej jędrne. Rozmasowała je ostrożnie. Myśl o ciąży dodała jej siły i kiedy spojrzała na południe, dostrzegła gwiazdę Michaela wiszącą nisko nad horyzontem, gdzie ponury ocean łączył się z nocnym niebem.

— Archenar — szepnęła. — Michael...

Kiedy wypowiedziała to ukochane imię, jej palce znowu prześlizgnęły się po schowanym w kieszonce krzemieniu. Było to tak, jakby otrzymała znak od Michaela. Ręce Centaine drżały z podekscytowania, gdy uderzyła krzemieniem o stalowe ostrze noża i w mroku jaskini rozbłyły białe iskry.

Postrzępiła kawałek płótna na nitki, następnie zwinęła je w kulę, dodała zestrugane z patyków drzazgi i uderzyła nad nimi krzemieniem o ostrze. Mimo że przy każdej próbie otrzymywała snop białych iskiek, musiała wyczerpać wszystkie siły i uzbroić się w cierpliwość, zanim z drewek i materiału uniósł się pierwszy, wąty obłoczek dymu. Ostrożnie rozdmuchała żar i gałązki zajęły się żółtym ogniem.

Upiekła kilka pasków mięsa foczego na rozgrzanych węglach i przekonała się, że smakuje trochę jak mięso z królika. Rozkoszowała się każdym kęsem i kiedy najadła się do syta, nasmarowała foczym tłuszczem bolące miejsca, gdzie poparzyło ją słońce.

Resztę świeżego mięsa schowała na następny dzień, dołożyła drzewa do ognia i owinawszy się szczelnie płótnem, oparła się o skałę jaskini, chowając za głową grubą, drewnianą pałkę.

Powinam zmówić pacierz... Gdy zaczęła się modlić, miała wrażenie, że Anna jest obok i pilnuje jej, jak to robiła w czasach, kiedy Centaine była jeszcze dzieckiem i przed pójściem spać klękała przy łóżku ze złożonymi dłońmi.

— Dziękuję ci, wszechpotężny Boże, za uratowanie mnie przed śmiercią w morzu, za picie i jedzenie, jakie mi dałeś, ale...

Modlitwa urwała się i dziewczynie zaczęły cisnąć się na usta raczej wyrzuty niż słowa podziękowań. „Błóżniesz, dziecko” — zdawało jej się, że słyszy w ciemnościach głos Anny i pośpiesznie dokończyła swych prośb.

— Panie, proszę, daj mi siłę, żebym mogła znieść próby, jakie dla mnie przygotowałeś, i daj mi także rozsądek, żebym mogła pojąć, czemu mnie tak doświadczasz.

Nie odważyła się na silniejszy protest i kiedy zastanawiała się nad odpowiednim zakończeniem

modlitwy, zasnęła.

Kiedy się obudziła, ogień przygasł już i przez chwilę nie wiedziała ani gdzie się znajduje, ani co ją obudziło. Nagle uświadomiła sobie położenie i w tym samym momencie usłyszała, że jakiś duży stwór porusza się przy wejściu do płytkiej jaskini. Dobiegły ją odgłosy, jakby owo zwierzę coś jadło.

Szybko dorzuciła dREW do ogniska i rozdmuchała żar. Na skraju kręgu światła zobaczyła hienę i z przerażeniem stwierdziła, że płócienna paczka z mięsem, którą ułożyła przy ogniu, zniknęła.

Płacząc z wściekłości i bezsilności, porwała płonąca gałąź i cisnęła nią w drapieżnika.

— Przeklęte, złodziejskie bydlę! — wrzasnęła na nią i hiena z przeraźliwym piskiem uciekła w mrok nocy.

Stado fok leżało na skałach cypla przed jaskinią, wygrzewając się w pierwszych promieniach wstającego słońca. Centaine czuła zapowiedź głodu i pragnienia, jakie miał przynieść jej kolejny dzień.

Uzbroiła się w dwa okrągłe kamienie, każdy wielkości pięści, i drewnianą pałkę i bardzo ostrożnie zaczęła się czołgać wyłobieniem w skale, zamierzając zbliżyć się na odległość rzutu do stada. Foki uciekły jednak z piskami do morza, zanim pokonała nawet połowę odległości i nie wynurzały się z fal, dopóki widziały ją na brzegu.

Zrozpaczona i głodna, wróciła do swojego schronienia. Na skale za ogniskiem znalazła grudki zastygłego foczego tłuszczu. Rozkruszyła węgielek i roztarła go na dłoni z tłuszczem, a następnie posmarowała sobie tą mieszaniną nos i policzki, które najbardziej ucierpiały poprzedniego dnia w kontakcie ze słońcem.

Rozejrzała się po schronieniu. Miała przy sobie nóż i krzemień, drewnianą pałkę i płócienne nakrycie głowy — wszystkie swoje skarby — a jednak niechętnie opuszczała skalne schronienie. Przez kilka godzin jaskinia była jej domem. Dziewczyna zmusiła się, żeby stanąć tyłem do skały i ponownie podjąć marsz przez niezmienną plażę.

Tej nocy Centaine nie znalazła ani żadnej jaskini na nocleg, ani drewna wyrzuconego przez fale. Nie miała nic do jedzenia ani do picia i owinąwszy się w płótno, położyła się na twardym piasku pod wydrami. Przez całą noc chłodny wiatr przenosił piasek po plaży i rankiem Centaine okryta była drobniuteńkimi ziarenkami. Piasek oblepił jej rzęsy i miała go pełno w sztywnych od brudu i soli włosach. Była tak zdrętwiała z zimna i obolała, że z początku kuśtykała niczym staruszka, wspierając się na grubej gałęzi. W końcu marsz ją rozgrzał i odrętwienie zniknęło, ale dziewczyna czuła się coraz słabsza i w miarę jak słońce wznosiło się wyżej nad horyzontem, pragnienie odzywało się coraz głośniejszym krzykiem w jej umęczonym ciele. Wargi Centaine obrzmiały i popękały, a język pokrywała gęsta ślina, której nie mogła przełknąć.

Uklęknęła na brzegu plaży i obmyła twarz morską wodą, a następnie namoczyła szmaty i skąpe ubranie. Z trudem powstrzymała się od przełknięcia choćby łyka chłodnej, czystej wody.

Ulga była chwilowa. Kiedy woda wyparowała, kryształki soli poraniły podrażnioną przez słońce skórę i paliły obrzmiałe wargi. Skóra na twarzy była tak mocno napięta, jakby zaraz miała pęknąć, a pragnienie doprowadzało dziewczynę do szaleństwa.

Po południu Centaine dojrzała daleko przed sobą na gładkim, wilgotnym piasku kilka czarnych, poruszających się kształtów i z nadzieją osłoniła oczy, żeby lepiej im się przyjrzeć. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że poruszające się punkciki to cztery duże mewy o białych gardłach i czarnych grzbietach. Z otwartymi, żółtymi dziobami ptaki walczyły o wyrzucony przez morze przedmiot.

Gdy Centaine była już blisko, mewy wzbiły się w powietrze, zostawiając coś na piasku. Widocznie przedmiot okazał się zbyt ciężki, żeby mogły go ponieść w dziobach. Była to duża,

martwa ryba, porządnie już pokiereszowana. Centaine z nadzieją przebiegła ostatnie kilka kroków i przyklękła na piasku. Podniosła rybę obiema rękami, czując, jak zbiera jej się na mdłości. Rzuciła zdobycz na ziemię i ze wstrętem otarła ręce o spódnicę. Ryba śmierdziała zgnilizną; palce Centaine zagłębiły się w miękkim, zepsutym mięsie niczym w zimnym pasztecie.

Dziewczyna odpełzła od ryby i siadła na ziemi, otaczając rękami kolana i przyciskając je do piersi. Spoglądała na cuchnącą padlinę, usiłując zapomnieć o pragnieniu.

Potrzebowała całej swojej odwagi, żeby ponownie zbliżyć się do ryby. Odwracając twarz, żeby uniknąć smrodu, odcięła kawałek białego niczym robaki mięsa. Ostrożnie włożyła sobie do ust mały skrawek ryby. Żołądek zbuntował się na słodki smak zgnilizny, ale Centaine zmusiła się do przeżucia mięsa, wyssała z niego wszystkie soki i wypłuła miękką papkę na ziemię. Ucięła kolejny kawałek.

Czując jednak wstręt do zgniłej ryby i do siebie z powodu tak olbrzymiej degradacji, wysysała ostrożnie soki z mięsa i kiedy uznała, że wypita filiżankę płynu, usiadła na piachu i odpoczęła.

Z wolna wypite soki zregenerowały jej siły. Czowała się na tyle wzmocniona, że mogła ruszyć w dalszą drogę. Najpierw jednak weszła do morza i spróbowała zmyć z dłoni i warg odór stęchlizny. Nieprzyjemny smak pozostał jednak w ustach, gdy Centaine zaczęła wolno iść przed siebie po pusty plaży.

Przed zachodem słońca dziewczyną owładnęła nowa fala znużenia. Usiadła ciężko na ziemi. W pewnej chwili na czoło wystąpił jej zimny pot, a okropny ból, który przeszył jej żołądek niczym ostry miecz, zgiął ją wpół. W ustach i w nosie poczuła powracający smak zgnilizny, a do gardła napłynęła jej gorąca zawartość żołądka. Centaine pochyliła się i zwymiotowała. Z rozpaczą patrzyła, jak z ciała jej umyka tyle życiodajnego płynu, ale przy następnym skurczu żołądka ponownie zwymiotowała i jednocześnie jej ciałem wstrząsnął atak biegunki.

Zatruła się! Upadła na ziemię, zwijając się z bólu, gdy w kolejnych skurczach jej ciało pozbywało się trujących substancji. Było już ciemno, kiedy atak minął; Centaine z trudem ściągnęła z siebie brudne majtki i odrzuciła je na piasek. Zwinięta z bólu, na wpół wczołgała się do morza i obmyła się w chłodnych falach, ochlapała twarz i wypłukała smak zepsutej ryby, gotowa zwiększonym pragnieniem zapłacić za poczucie świeżości w ustach.

Wyczołgała się z wody na kolanach i łokciach i drżąc z zimna, położyła się na piasku czekając na śmierć.

Z początku Garrick Courteney był tak zajęty i podekscytowany planowaniem wyprawy ratunkowej na pustynię Namib przez przerażające wybrzeże nazwane nie bez przyczyny Wybrzeżem Szkieletów, że nie miał czasu na zastanawianie się nad szansami powodzenia całej ekspedycji.

Garry'emu wystarczyło, że mógł odgrywać rolę człowieka czynu. Jak większość marzycieli, wyobrażał sobie wiele razy podobną sytuację i kiedy wreszcie nadarzyła się okazja, wlał całą swą energię w przygotowania.

Przez długie miesiące po tym, jak otrzymał list z Departamentu Wojennego — zwykłą, szarą kopertę z lakoniczną wiadomością:

„Jego Królewska Mość pragnie z zalem poinformować Pana, że Pański syn, kapitan Michael Courteney, zginął podczas pełnienia służby”

— życie Garry'ego było czarną pustką pozbawioną celu. Następnie zdarzył się cud w postaci telegramu od brata:

„Wdowa po Michaelu, oczekująca jego dziecka, została pozbawiona domu i rodziny w czasie działań wojennych stop wysłałam ją pierwszym statkiem płynącym do Kapsztadu stop czy zechcesz ją przywitać i zaopiekować się stop czekam na odpowiedź stop wysłałem list Sean”.

W życiu Garry'ego zajaśniało nowe słońce. Kiedy jednak i ono zgasło w okrutnych, zielonych wodach Prądu Benguelskiego, Garry instynktownie pojął, że tym razem nie może pozwolić, aby rozsądek i rzeczywistość wpędziły go w mrok rozpacz. Musiał wierzyć, musiał zapomnieć o wszelkich kalkulacjach i bezrozumnie trzymać się kurczowo nadziei, że żonie Michaela wraz z jej nie narodzonym dzieckiem udało się wyrwać morzu i pustyni i teraz czekają, że Garry przybędzie i ich uratuje. Jedynym sposobem, żeby nie poddać się zwątpieniu, było rzucić się w wir pracy, nie zważając na to, że wszystkie wysiłki mogły okazać się daremne. Kiedy to zawodziło, Garry'emu pozostawały jeszcze niezmierzone pokłady niczym nie zmaconej wiary Anny Stok.

Razem przybyli do Windhoek, starej stolicy Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, i zostali przywitani na dworcu przez pułkownika Johna Wickenhama, który pełnił obowiązki gubernatora wojskowego całego tego obszaru.

— Witam pana, sir.

Wickenham zsalutował mu przepisowo. Pułkownik otrzymał szereg teleksów w ciągu ostatnich dni, w tym jeden od generała Janniego Smutsa, a drugi od chorego premiera, generała Louisa Bothy — wszystkie z instrukcjami nakazującymi mu zapewnić całkowitą pomoc pułkownikowi Courteneyowi.

Nie był to zresztą jedyny powód do szacunku, z jakim gubernator zwracał się do pułkownika Courteneya. Pułkownik Garrick Courteney otrzymał najwyższe odznaczenie za dzielność na polu walki, a jego książka o wojnie burskiej "Zwodniczy wróg" należała do obowiązkowych lektur wyższej szkoły oficerskiej, którą ukończył Wickenham. Także polityczne i finansowe wpływy braci Courteneyów, znanych w całym kraju, nie były bez znaczenia.

— Pułkownikowi Courteney, chciałbym panu złożyć wyrazy współczucia z powodu pańskiej straty — powiedział Wickenham, gdy wymienili uściski dłoni.

— To bardzo miło z pańskiej strony.

Garrick czuł się jak oszust, gdy zwracano się doń tym tytułem. Zawsze czuł potrzebę wyjaśnienia, że nominacja na pułkownika miała charakter tymczasowy, on zaś dowodził tylko nieregularnym oddziałem na wojnie, która odbyła się dwadzieścia lat temu. Chcąc ukryć swoje zmieszanie, Garry odwrócił się do Anny stojącej kilka kroków za nim, w hełmie korkowym na głowie i płóciennych spodnicach.

— Chciałbym panu przedstawić panią Stok. — Garry przeszedł na afrikaans, żeby Anna mogła ich zrozumieć, i Wickenham szybko się dostosował.

— Aangename kennis — miło mi panią poznać, mewou.

— Mevrouw Stok była pasażerem okrętu „Protea Castle” i znalazła się w grupie rozbitków, których wyratował „Inlexible”.

Wickenham aż zagwizdał cicho ze współczuciem.

— Cóż za wyjątkowo nieprzyjemne doświadczenie. — Obrócił się do Garry'ego. — Chciałem pana zapewnić, pułkownikowi Courteney, że z największą przyjemnością zaoferuję panu wszelką możliwą pomoc.

Anna odpowiedziała za Garry'ego:

— Będziemy potrzebować samochodów, wielu samochodów i ludzi do pomocy. Potrzebujemy ich najszybciej jak to możliwe, właściwie już!

Dla Garry'ego i Anny znalazł się nowy model forda T, przemalowany na kolor piaskowy. Mimo kruchego wyglądu maszyna świetnie nadawała się do warunków pustynnych. Lekka konstrukcja z wanadu i silnik o dużej mocy pozwalały mu przebrnąć sypkie piaski, w których ugrzązłby cięższy wóz. Jedynym minusem była teridecja do przegrzewania się silnika, który wyrzucał wtedy wysoko w powietrze strumień gorącej pary, mogącej poparzyć kierowcę i jego pasażerkę.

Jako wozy transportowe Wickenham zdobył cztery ciężarówki Austin — każda z nich mogła przewieźć pół tony ładunku. Piąta ciężarówka została wyposażona przez inżynierów wojskowych w warsztatach kolejowych w cylindryczny zbiornik mieszczący pięćset galonów wody. Do każdego wozu został przydzielony kierowca w stopniu kaprala i pomocnik.

Ponieważ Anna potrafiła zdecydowanie stłumić w zarodku wszelkie skłonności Garry'ego do marudzenia i bezwzględnie korygowała praktyczne rady inżynierów, mechaników i ekspertów wojskowych, konwój był gotowy do drogi w trzydzieści sześć godzin po przybyciu obojga do Windhoek. Był to już czternasty dzień od chwili, gdy niemieckie torpedy zatopiły „Protea Castle”.

Opuścili śpiące miasto o czwartej nad ranem. Ciężarówki były załadowane po brzegi sprzętem, paliwem i zapasami, a rozespani pasażerowie opatuleni w grube ubrania chroniące ich przed lodowatym nocnym powietrzem płaskowyżu. Jechali drogą biegnącą wzdłuż wąskotorowej linii kolejowej do nadbrzeżnego miasteczka Swakop-mund, oddalonego o trzysta kilometrów.

Ciężkie wozy o kołach obitych stałą wycięły tak głębokie koleiny w nawierzchni, że grzęzły w nich ogumione koła ciężarówek, tak że pojazdami trudno było kierować poza bardziej skalistymi odcinkami, gdzie okolona wielkimi głazami droga przypominała koryto wyschniętej rzeki. Z wysiłkiem podążali naprzód owymi skalistymi traktami, podrzucani na kamieniach i zmuszani do częstych postojów, żeby zmienić przebitą dętkę czy pęknięte pióro resoru. W ciągu czternastu godzin udało im się zjechać z mierzącego tysiąc dwieście metrów płaskowyżu.

Przed nimi rozciągała się płaska, pokryta krzakami nadmorska równina, przez którą pomknęli z oszałamiającą szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę, ciągnąc za sobą długi słup kurzu przypominającego dym z pożaru buszu.

Swakopmund okazało się niewielkim miasteczkiem do złudzenia przypominającym miasta w Bawarii, z architekturą typową dla regionu Schwarzwald i długim mołem wrzynającym się w zielone morze.

Było niedzielne popołudnie, kiedy zakurzona kolumna wozów wjechała na wybrukowane uliczki miasteczka. W ogródku jednej z rezydencji niemiecka orkiestra poubierana w zielone, skórzane spodnie i tyrolskie kapelusze grała rytmiczne um-pa-pa. Muzycy stracili rytm i szybko ucichli, gdy konwój zatrzymał się przed hotelem po drugiej stronie ulicy. Nerwowość mieszkańców była łatwa do zrozumienia, gdyż ściany budynków wciąż jeszcze nosiły ślady ostatniej brytyjskiej inwazji.

Po kurzu i upale jazdy przez pustynię miejscowy pilzner, produkowany przez właściciela browaru rodem z Monachium, smakował niczym zbawienie w Walhalli.

— Barman, jeszcze jedna kolejka dla wszystkich — polecił Garry, którego radowała rozbawiona męska atmosfera baru i fakt, że udało mu się bezpiecznie sprowadzić konwój z gór. Mężczyźni ochoczo zebrali się przy długim tekowym kontuarze i kiedy, podnosząc kufle, uśmiechali się do swego dowódcy, na ich twarzach pękały maski pustynnego pyłu i do piwa sypał się piasek.

— Mijnheer!

Anna zdążyła się umyć w pokoju i stanęła w drzwiach baru. Wzięła się groźnie pod boki, a jej twarz, porządnie już ogorzała od słońca i wiatru, robiła się coraz bardziej czerwona z gniewu.

— Mijnheer, marnuje pan czas!

Garry pośpiesznie zwrócił się do swoich ludzi.

— Chodźcie, panowie, czeka nas praca. Załatwmy to jak najszybciej.

Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, kto naprawdę dowodzi ekspedycją. Mężczyźni pośpiesznie opróżnili kufle i wyszli rzędkiem na dwór, ścierając ukradkiem pianę z ust i nie śmiejąc spojrzeć Annie w oczy.

Podczas gdy ludzie zajęci byli uzupełnianiem paliwa oraz wody, przepakowywaniem ładunków, które poluzowały się w drodze, i sprawdzaniem ciężarówek, Garry udał się na posterunek policyjny zasięgnąć informacji.

Policjant w stopniu sierżanta został odpowiednio wcześniej uprzedzony o przybyciu ekspedycji.

— Najmocniej przepraszam, pułkowniku, nie oczekiwaliśmy pana wcześniej niż za trzy, cztery dni... Gdybym tylko wiedział... — Sierżant okazał się wyjątkowo chętny do pomocy. — Nikt tutaj nie zna tych obszarów. — Spojrzał przez okno posterunku na północ i zadrżał. — Mam jednak człowieka, który was poprowadzi.

Wziął klucze zawieszane na haku na ścianie za biurkiem i poprowadził Garry'ego do cel więziennych.

— Hej, swart donder — ty czarny grzmocie! — zawołał, otwierając drzwi celi i Garry zamrugał oczyma, gdy ich przyszyły przewodnik wyszedł niechętnie z celi i ponuro rozejrzał się wokoło.

Mężczyzna o wyglądzie rozbójnika był Hotentotem i miał tylko jedno oko; drugie zasłaniała mu czarna, skórzana przepaska. Śmierdziało od niego dzikimi kozami.

— On jeden zna te tereny. — Sierżant uśmiechnął się. — Kłusował tam na nosorożce i słonie, za co czeka go pięć lat w pudle, zgadza się Kali Piet?

Kali Piet rozpiął skórzaną kamizelkę i obojętnie zaczął przeszukiwać zarośniętą pierś.

— Jeśli będzie się dobrze spisywać i będzie pan z niego zadowolony, to może skończy się na dwóch, trzech latach w kamieniołomach — wyjaśnił sierżant.

Kali Piet znalazł coś we włosach na piersiach i rozgniół to pomiędzy palcami.

— A jeśli nie będę z niego zadowolony? — zapytał niepewnie Garry.

W języku swahili Kali oznaczało „zły” lub „okrutny” i nie wzbudzało zaufania do nowego przewodnika.

— Och — odrzekł obojętnie sierżant — to proszę się nie trudzić z przywożeniem go tutaj. Wystarczy, że zakopie go pan gdzieś, gdzie nikt go nie znajdzie.

Postawa Kalego Pieta uległa cudownej metamorfozie.

— Dobry panie — zajęczał w afrikaans. — Znam każde drzewo, każdy kamień, każde ziarnko piasku. Będę ci służył jak pies.

Anna czekała na Garry'ego na tylnym siedzeniu forda.

— Co pana tak długo zatrzymało? — zapytała groźnie. — Moje dziecko jest samo na tym pustkowiu od szesnastu dni!

— Kapralu — Garry przekazał Kalego Pieta pod opiekę starszego podoficera — jeśli będzie chciał uciekać — tu spróbował nadać swojemu uśmiechowi sadystyczny odcień — niech go pan zastrzeli.

Wreszcie budynki o pobielonych wapnem ścianach i dachach z czerwonej dachówki zostały za nimi. Kierowca Garricka beknął cicho i z rozmarzonym uśmiechem przypomniał sobie smak piwa.

— Czekają nas długa droga do następnego wodopoju, więc ciesz się tym, co było — powiedział mu Garry.

Droga biegła skrajem plaży i po lewej stronie zielone fale przyboju, ozdobione białymi pióropuszcami, rozбивały się o gładki, żółty piasek. Przed nimi ciągnęła się jednostajna równina, którą na horyzoncie zasłaniała morska mgiełka.

Drogi tej używali poszukiwacze wodorostów, którzy zbierali wyrzucone przez morze rośliny na nawóz, ale im bardziej ekspedycja posuwała się na północ, tym ów trakt stawał się mniej wyraźny, by wreszcie rozmyć się wśród piasków.

— Co jest przed nami? — spytał Garry Kalego Piata, którego przyprowadzono z tylnego wozu.

— Nic — odparł krótko ich przewodnik i Garry nigdy jeszcze nie czuł takiej groźby zawartej w tym na pozór zwykłym słowie.

— Od tej chwili sami wytyczamy szlak — oznajmił Garrick z pewnością siebie, której wcale nie czuł.

Na przebycie następnych sześćdziesięciu kilometrów potrzebowali czterech dni. Na drodze ekspedycji znajdowały się koryta rzek wyschniętych od co najmniej stu lat, ale o stromych brzegach i dnach usłanych głazami wielkości pocisków artyleryjskich. Napotykali zdradzieckie płaskie tereny, gdzie pojazdy nieoczekiwanie grzęzły po osie w ziemi i trzeba je było przepychać na twardey grunt. Jedna z ciężarówek wywróciła się na bok na nierównym terenie, a w drugiej złamała się tylna oś. Wóz trzeba było zostawić na miejscu razem z bagażami: namiotami i krzesłami obozowymi, stołem i emaliowaną wanną, skrzyniami świecidełek przeznaczonych dla wodzów nieprzyjaznych plemion, puszkami z herbatą i masłem oraz wieloma innymi przedmiotami, które jak się po niedługim czasie okazało, nie były do niczego potrzebne w podróży, a które wydawały się tak niezbędne, kiedy dokonywano zakupów w Windhoek.

Odciążony konwój z trudem przedzierał się dalej na północ.

W południowym skwarze woda gotowała się w chłodnicach i jechali otoczeni strumieniami białej pary wodnej uciekającej przez zawory, zatrzymując wozy co pół godziny, by pozwolić silnikom ostygnąć. Miejscami napotykali pola ostrych niczym noże z obsydianu czarnych kamieni, które przecinały cienkie opony. Jednego dnia Garry naliczył piętnaście postojów na zmianę kół, a całą noc nad obozem unosił się zapach gumy, gdy wymęczeni mechanicy naprawiali dętki przy świetle latarni sztormowych.

Piątego dnia podróży rozbili obóz naprzeciw nagiego szczytu Brandbergu, Spalonej Góry, wyłaniającego się z purpurowej wieczornej mgły. Rankiem nie doliczyli się Kalego Pieta.

Przewodnik zabrał ze sobą strzelbę i pięćdziesiąt sztuk amunicji, koc i pięć manierek z wodą, a także złoty zegarek myśliwski i skarbonkę z dwudziestoma złotymi suwerenami, które Garrick na noc schował pod kocem.

Rozwścieczony Garry, grożąc, że zabije drania, jak go tylko ujrzy, poprowadził pościg fordem. Okazało się jednak, że Kali Piet dobrze wybrał moment ucieczki, gdyż kilometr za obozem rozciągały się skaliste wzgórza i dolinki, którymi nie mógł przejechać żaden samochód.

— Zostawmy go — rozkazała Anna. — Będziemy bezpieczniejsi bez niego, a minęło już dwadzieścia dni, od kiedy moje dziecko... — nie dokończyła zdania. — Musimy jechać dalej, mijnheer. Nic nie może nas zatrzymać. Nic.

Każdego dnia droga stawała się trudniejsza i posuwali się naprzód w coraz wolniejszym tempie.

W końcu, gdy trakt zablokowała im kolejna przegroda skalna, która wyrastała z morza niczym grzbiet dinozaura i ciągnęła się przez plażę, postrzępiona i błyszcząca w słońcu, Garry poczuł się fizycznie wyczerpany.

— To czyste szaleństwo — mruknął do siebie, gdy stojąc w kabinie jednej z ciężarówek i oceniając dłonią oczy przed rażącym blaskiem promieni, próbował wypatrywać drogi przez nieprzeniknioną ścianę. — Wszyscy już mają tego dosyć. — Ludzie z konwoju stali zrezygnowani w małych grupkach przy zakurzonych, poobijanych wozach. — Minął już prawie miesiąc. Nikt nie mógłby przeżyć na tym terenie tak długo, nawet jeśli komuś by się udało dotrzeć do brzegu. — Garry

czuł szarpiący ból w obciętej nodze, każdy mięsień pleców miał zdrętwiały, a krzyż mu pękał od nieustannego podskakiwania na wybojach. — Będziemy musieli zawrócić!

Zszedł na ziemię, poruszając się sztywno jak starzec i pokuśtykał do Anny stojącej przy fordzie na czele kolumny.

— Mevrouw... — zaczął.

Anna odwróciła się do niego i położyła mu na ramieniu swoją wielką czerwoną dłoń.

— Mijnheer...

Powiedziała to bardzo cicho, a kiedy się uśmiechnęła, Garry zapomniał o wszelkich protestach i nie po raz pierwszy pomyślał, że gdyby nie zbyt rumiana twarz i groźnie zmarszczone brwi, Anna byłaby całkiem ładną kobietą. Miała silnie zarysowane szczęki świadczące o zdecydowanym charakterze, białe i równe zęby, a w oczach jej widział łagodność, której nigdy przedtem nie dostrzegł.

— Mijnheer, zastanawiałam się właśnie nad tym, jak niewielu ludzi potrafiłoby dokonać tego co pan i doprowadzić nas aż tutaj. Bez pana nie dalibyśmy sobie nigdy rady. — Ścisnęła go lekko za ramię. — Oczywiście zawsze wiedziałam, że jest pan mądry, napisał pan tyle książek, ale teraz wiem także, iż jest pan silny i zdecydowany i potrafi pan pokonać wszelkie przeszkody.

Ponownie ścisnęła go za ramię, a jej dłoń była silna i ciepła. Garry stwierdził, że to dotknięcie sprawia mu przyjemność. Wyprostował ramiona i zawadiacko przechylił kapelusz z szerokim rondem. Ból w plecach zdawał się znikać. Anna ponownie się uśmiechnęła,

— Wezmę kilku ludzi i przejdę się z nimi do skał. Chciałabym przeszukać każdy metr plaży, kiedy pan poprowadzi konwój naokoło.

Musieli przejechać sześć kilometrów w głąb lądu, zanim znaleźli wąski przesmyk w skalnej barierze i mogli zawrócić w stronę oceanu.

Kiedy Garry dojrzał w oddali sylwetkę Anny maszerującej dziarsko przez piaszczystą plażę z resztą ludzi wlokących się w tylej poczuł olbrzymią ulgę i uświadomił sobie, jak bardzo mu brakowało tej kobiety nawet w ciągu kilku godzin rozstania.

Tego wieczoru, gdy siedzieli obok siebie, oparci o forda, zajadając gotowaną wołowinę i twarde suchary, które popijali mocną kawą doprawioną skondensowanym mlekiem, Garry powiedział wstydliwie:

— Moja żona także miała na imię Anna. Zmarła wiele lat temu.

— Tak — odrzekła, nie przestając żuć. — Wiem o tym.

— Skąd pani wie? — Garry był zaskoczony.

— Michael opowiedział o tym Centaine.

Sytuacje, w jakich pojawiała się imię Michaela, wciąż z lekka szokowały Garry'ego.

— Zawsze zapominam, że wie pani tyle o Michaelu.

Wziął łyżkę gulaszu i spojrzał w ciemności nocy. Pozostali uczestnicy wyprawy jak zwykle nocowali w pewnym odosobnieniu; ich ognisko z drewna wyrzuconego przez morze rzucało żółte światło w ciemnościach, a głosy zlewały się z szumem fal.

— Ja jednak nie wiem prawie nic o Centaine. Czy zechciałaby pani opowiedzieć coś o niej? Ten temat nigdy ich nie nudził.

— To dobra dziewczyna — zaczęła Anna. — Jest jednak zdecydowana i zawsze stawia na swoim. Czy mówiłam panu, jak raz...?

Garry siedział z głową lekko przechyloną jakby w skupieniu, ale tego wieczoru nie słuchał uważnie słów Anny.

Światło z ogniska tańczyło po twarzy kobiety i Garry przyglądał się jej, jakby znał już bardzo

dobrze te rysy, ogarnięty poczuciem ciepła. Zazwyczaj kobiety wzbudzały w nim poczucie strachu i świadomość własnych braków. Im były piękniejsze i bardziej wyrafinowane, tym większy Garry czuł przed nimi lęk. Dawno temu udało mu się pogodzić z własną impotencją. Dowiedział się o niej w noc poślubną i jeszcze po trzydziestu latach słyszał śmiech swojej żony. Nigdy więcej nie dał żadnej kobiecie okazji do wyśmiewania się z niego — nawet jego syn nie był naprawdę jego, brat załatwił to za niego — i teraz, w wieku pięćdziesięciu lat, Garrick był wciąż prawiczkim. Czasami, kiedy myślał o tym — jak właśnie w tej chwili — czuł się niemal winny.

Z wysiłkiem odsunął od siebie ponure refleksje i spróbował odzyskać poczucie bezpieczeństwa i spokoju, ale teraz był świadom zapachu siedzącej obok kobiety. Od czasu opuszczenia Swakopmund nie mieli wody na kąpiel i zapach Anny był bardzo silny. Pachniała ziemią, potem i innymi tajemnymi kobiecymi woniami — Garry przysunął się bliżej, żeby lepiej je poczuć. Inne kobiety pachniały perfumami i olejkami, które wydawały mu się sztuczne i odpychające. Zapach tej kobiety przypominał woń silnego, ciepłego i zdrowego zwierzęcia.

Przyglądał się jej zafascynowany. Nie przestając mówić niskim, grubym głosem, Anna podniosła rękę i odsunęła z czoła siwy kosmyk. Pod pachą widać było kępkę czarnych włosów wilgotnych jeszcze od potu, i patrząc na nie Garry poczuł tak silne podniecenie, jakby ktoś mu wymierzył cios w krocze. Pragnienie wyrastało z niego niczym gruba gałąź, sztywna i nabrzmiąta doznaniem, o których nigdy nawet nie marzył; przepelniona samotnością, napięta do granic możliwości żądza, która znajdowała swoje źródło w samym środku jego istoty.

Patrzył na kobietę otępiałym wzrokiem, niezdolny, by wykonać jakikolwiek ruch lub by wykrztusić z siebie słowo i kiedy nie odpowiedział na jedno z pytań, Anna spojrzała nań, odczytała jego wzrok i delikatnie, niemal czule dotknęła dłonią jego policzka.

— Zdaje się, że pora kłaść się spać. Dobranoc panu i życzę miłych snów.

Wstała ociężale i weszła za wiatrochron, który osłaniał jej legowisko.

Garry leżał na materacu i z zaciśniętymi pięściami wsłuchiwał się w szelest ubrania dobiegający go zza zasłony. Ciało bolało go, jakby było całe posiniaczone. Zza zasłony doszedł go niski, przeciągły chrząkliwy dźwięk i wystraszony Garry przez chwilę nie miał pojęcia, co to takiego. Nagle zrozumiał, że to Anna chrapie. Był to jeden z najbardziej uspokajających odgłosów w jego życiu, gdyż nie można obawiać się kobiety, która chrapie. Chciał wykrzyknąć swoją radość w pustynną noc.

Zakochałem się, radował się w duchu. Po raz pierwszy od trzydziestu lat zakochałem się!

O świcie jednak cała odwaga, jaką zebrał w nocy, zniknęła i pozostało jedynie uczucie miłości. Oczy Anny były czerwone i opuchnięte od głębokiego snu, siwe włosy miała przyprószone piaskiem, który wiatr przywiał w ciągu nocy, ale Garry tak napawał się jej widokiem, że w końcu burknęła na niego:

— Niech pan je szybciej, mijnheer, musimy wyruszyć, jak tylko zrobi się jasno. Mam przecucie, że dzisiaj zdarzy się coś dobrego. Proszę jeść, mijnheer.

Co za kobieta! — pomyślał z podziwem Garry. Gdybym tylko potrafił wzbudzić w niej taką wierność i poświęcenie dla siebie!

Przecucie Anny z początku wydawało się uzasadnione, gdyż na swojej drodze nie napotkali więcej skalistych przeszkód. Otwarta równina pokryta grubym żwirem i niewysokimi krzakami nadmorskiej roślinności ciągnęła się do samej plaży. Konwój mógł rozwinać tu szybkość jak na ubitej drodze, skręcając tylko przed samymi krzakami i trzymając się tuż powyżej linii plaży, żeby łatwo dostrzec wyrzucone przez morze szczątki czy ślady zostawione przez rozbitków na miękkim piachu.

Garry siedział obok Anny na tylnym siedzeniu i kiedy w pewnej chwili samochód podskoczył na wybojach, oboje wpadli na siebie. Wymamrotał przeprosiny, ale pozostawił zdrową nogę wspartą o udo Anny, a ona nie starała się odsunąć.

Zupełnie nieoczekiwanie, kiedy przejechali już większą część dnia, wodniste zasłony drgającego od żaru powietrza rozstały się na horyzoncie i zobaczyli wydmy wyrastające z równiny. Konwój zatrzymał się przed nimi i wszyscy patrzyli ze zdumieniem na potężne zwały piasku.

— Góry — stwierdził cicho Garry. — Pasma gór piachu. Nikt nas nawet nie przestrzegł przed nimi.

— Musi istnieć tędy jakaś droga!

Garry z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— Mają ponad sto pięćdziesiąt metrów wysokości.

— Chodźmy — powiedziała Anna. — Wejdziemy na szczyt.

— Dobry Boże! — zakrzyknął Garry. — Piasek jest bardzo sypki, a to tak wysoko. To może być niebezpieczne...

— Idziemy! Niech pozostali tu poczekają.

Ruszyli mozolnie pod górę, wspinając się wzdłuż ostrej krawędzi pierwszej z wydym. Pod nimi ciężarówka wyglądała niczym dziecięce zabawki, a czekający przy nich ludzie przypominali malutkie mrówki. Pomarańczowy piasek rozstępował się z suchym szelestem i nogi zapadały się po kostki. W pewnej chwili Anna zbliżyła się zbyt blisko do krawędzi, nawis załamał się i w dół poleciała z sykiem lawina piachu.

— To niebezpieczne! — jęknął Garry. — Gdyby przestąpiła pani krawędź, piasek by panią zasypał.

Anna podwinęła grube spódnice i wsunęła je w majtki, a następnie ruszyła zdecydowanie pod górę. Garry patrzył z dziwnie suchymi ustami i sercem walącym w piersiach — z wysiłku i szoku, jaki wywołał widok jej nagich nóg. Chociaż masywne jak pnie drzew, jednak skóra pod kolanami miała kremowy kolor i wydawała się delikatna jak u małej dziewczynki. Był to najbardziej podniecający widok w życiu Garry'ego.

Z niedowierzaniem poczuł, jak jego ciało reaguje na ten obraz. Było to tak, jak gdyby jakaś potężna dłoń schwyciła go w kroczu, aż zapomniał o zmęczeniu. Potykając się i obsuwając w grząskim piasku, brnął za Anną patrząc, jak jej pośladki, potężne niczym u ciężarnej klaczy, kołyszą się na boki pod grubą spódnicą.

Zanim się zorientował, znajdowali się już na szczycie wydmy i kobieta wyciągnęła rękę, żeby go podtrzymać.

— Mój Boże — wyszeptał. — Tu nie ma nic poza piaskiem, cały wszechświat piasku.

Stali na szczycie pierwszej z wydym z nieskończonego pasma piaskowych gór i nawet pewność siebie Anny uległa zachwianiu.

— Nikt i nic nie może się tędy przedostać.

Anna wciąż trzymała Garry'ego za rękę i teraz potrząsnęła mocno.

— Centaine tam jest. Niemal słyszę jej głos; woła mnie. Nie możemy jej zawieść, musimy się przedostać. Ona dłużej już nie wytrzyma.

— Pójść tam na piechotę to pewna śmierć. Nikt nie przeżyje nawet jednego dnia w tych warunkach.

— Musimy znaleźć jakąś drogę! — Anna otrząsnęła się jak wielki dog, odsuwając wątpliwości i chwilową słabość. — Chodźmy. — Podprowadziła go do krawędzi. — Poszukamy innej drogi.

Konwój z ffordem na czele skierował się w stronę łądu, wymijając wydmy. Dzień chylił się ku

zachodowi i wreszcie słońce schowało się za wzgórzami, krwawiąc obficie na ostrych szczytach. Tej nocy, gdy rozbilr się obozem pod wydmami, czarne, piaszczyste wzgórza wydawały się odległe i nieprzystępne na tle srebrnego nieba zalanego światłem księżyca.

— Niema żadnego objazdu. — Garry patrzył w ogień, nie śmiejąc spojrzeć Annie w oczy. — Te wydmy nie mają końca.

— Rankiem wrócimy w stronę wybrzeża — odpowiedziała pojednawczo i poszła na swój materac, zostawiając Garry'ego przepelnionego bólem pożądania.

Następnego dnia wrócili po śladach nad brzeg morza i kolejny dzień dobiegł kresu, gdy dotarli do miejsca, w którym wydmy łączyły się z oceanem.

— Nie ma żadnej drogi — powtórzył bezradnie Garry, mając w oczach fale objijające się o piaszczyste stoki wydm. Nawet Anna opadła zrezygnowana, patrząc w milczeniu na płomienie ogniska.

— Gdybyśmy mogli poczekać tutaj — szepnęła ochrypłym głosem. — Może Centaine właśnie idzie w naszą stronę. Z pewnością orientuje się, że jej jedyną szansą jest kierować się na południe. Jeśli nie możemy pojechać dalej, to musimy tu na nią zaczekać.

— Kończy nam się woda — odpowiedział cicho Garry. — Nie możemy...

— Ile dni możemy tu zostać?

— Trzy, nie więcej.

— Cztery — poprosiła Anna.

W jej głosie i oczach była taka pustka, że Garry zareagował bez zastanowienia i sięgnął po nią obiema rękami. Czuł przejmujący strach i rozpalone pożądanie, gdy zrozpaczona Anna przylgnęła do niego z całych sił. Przez chwilę obawiał się, że ludzie przy sąsiednim ognisku mogą ich zobaczyć, ale zaraz przestał się tym przejmować.

— Chodź.

Anna pomogła mu się podnieść i poprowadziła go za płócienną zasłonę. Garry'emu tak drżały ręce, że nie mógł rozpiąć koszuli. Anna zachichotała współczująco.

— Daj, pomogę ci, głuptasku — i szybko go rozebrała.

Chłodny pustynny wiatr owiewał mu plecy, ale w środku Garry płonął od długo tłumionych żądy. Nie wstydził się już swojego owłosionego brzucha, który wystawał niczym mały garnek, ani nóg cienkich jak u bociana i nieproporcjonalnie długich. Wgramolił się na nią z nerwowym pośpiechem, pragnąc jak najszybciej skryć się i zagubić w ciepłym, białym, miękkim ciele, schować się tam przed okrutnym światem.

Nagle wydarzyło się to samo, co kiedyś już przeżywał; poczuł, jak całe napięcie w lędźwiach rozplywa się, jego ciało wiotczej i kurczy się — tak samo jak tamtej okropnej nocy trzydzieści lat temu. Leżał na białym materacu jej brzucha, uwięziony w grubych; potężnych udach i pragnął zapaść się pod ziemię ze wstydu i poczucia bezużyteczności. Czekał na wzgardliwy śmiech i wymówki. Wiedział, że tym razem zniszczy go to do reszty. Nie mógł nawet uciec, gdyż Anna obejmowała go mocno ramionami, a uda jej ścisnęły mu lędźwie niczym w imadle.

— Mevrouw — wybełkotał. — Przepraszam. Do niczego się nie nadaję, nigdy się nie nadawałem. Anna ponownie zachichotała i w tym głosie kryła się przyjaźń i współczucie.

— Moje maleństwo — szepnęła mu do ucha ochrypłym głosem. — Pomogę ci.

Poczuł, jak jej ręka zniża się i wciska pomiędzy ich nagie ciała.

— Gdzie jest mój ptaszek? — zapytała i objęły go jej palce. Garry zaczął się wrywać i szamotać w panice, ale Anna z łatwością go przytrzymała, a jej palce nie przestawały się poruszać. Były szorstkie niczym papier ścierny, ale zręczne i nie zmęczone, gdy ciągnęły go i ścisnęły. Jej

szczęśliwy głos wlewał mu się potokiem do ucha.

— Jaki duży jest nasz ptaszek. Jak rośnie.

Garry przestał walczyć, ale każdy nerw i mięsień jego ciała napięty był do granic możliwości. Palce Anny nie przestawały ugniatać jego członka, a głos kobiety, coraz głębszy i jakby senny, brzmiał uspokajająco, tak że ciało mężczyzny rozluźniło się nagle.

— Ach! — zawołała cicho. — Co to się dzieje z naszym wielkim ptaszkiem?

Nagle jego członek zaczął stawiać opór palcom Anny; zachichotała cicho i Garry poczuł, jak jej miękkie uda rozstępują się przed nim.

— Ostrożnie, nie śpiesz się — przestrzegala, ale Garry nie mógł się pohamować i coraz gwałtowniej jej szukał. — Tak, właśnie tak! Dobrze, tak, tak!

Próbowała go uspokoić, ale Garry parł już przed siebie bez opamiętania. Poczłł gorący zapach ciała Anny — silną, przejmującą woń podniecenia — i wstąpiły weń nowe siły. Nie podejrzewał nawet, że drzemia w nim takie siły i taka twardość.

— Och, tak! — jęknęła Anna. — Tak, właśnie! Tak!

Opór ustąpił, Garry wsunął się w nią i wbijał coraz głębiej, czując żar kobiecego wnętrza rozpalający do białości jego ciało. Z coraz większą natarczywością i siłą Anna unosiła się pod nim i opadała, jak gdyby był statkiem rzucanym po wzburzonym morzu. Wydawała z siebie cały czas ponagląjące, ochryple od rozkoszy jęki; nagle niebo zawaliło się na nich i przygniotło Garry'ego swoim rozgrzanym bezmiarem do ziemi.

Wolno dochodził do siebie. Anna trzymała go w objęciach, pieściła i przemawiała miękko jak do dziecka.

— Już dobrze, moje maleństwo. Wszystko w porządku. Już wszystko dobrze.

Garry wiedział, że ma rację. Wszystko w porządku. Nigdy nie czuł się tak pewny siebie i bezpieczny. Nigdy w życiu nie doznał tak wszechobejmującej błogości. Anna przycisnęła go do piersi i Garry zagłębił się w jej miękkim cieple, pragnąc odpoczywać tam na zawsze.

Odgarnęła mu rzadkie włosy z uszu i dostrzegła różową skórę na czubku głowy prześwitującą w świetle z ogniska spomiędzy włosów. Poczłła, jak nabrzmiewają jej piersi w odruchu tulenia i pocieszania. Cała jej miłość i troska o zagubioną dziewczynę znalazła teraz nowe ujście. Celem życia Anny było wspieranie innych, dodawanie otuchy i wierność na zawsze. Zaczęła kołysać mężczyznę na swym cieple, obejmując go i mruczając mu do ucha.

O świcie Garry przekonał się, że zdarzył się jeszcze jeden cud. Kiedy wyszedł z obozu i zbliżył się do plaży, zobaczył, że droga pomiędzy wydmiami i morzem stoi otworem. Pod wpływem księżyca ocean szykował się do pełnych, wiosennych przyptywów i teraz cofnął swe wody, zostawiając wąski pasek ciemnego, twardego piachu przed wydmiami.

Garry pokuśtykał pośpiesznie do obozu i wyciągnął starszego podoficera z koca.

— Kapralu, niech pan zbiera ludzi! — zawołał. — Trzeba uzupełnić paliwo w fordzie i załadować zapasy dla czterech osób na trzy dni. Wóz ma być gotowy do drogi za piętnaście minut, jasne? No, ruszaj się, człowieku. Nie stój tak i nie gap się na mnie.

Odwrócił się i pobiegł do Anny, która wynurzyła się zza zasłony.

— Mevrouw, odpływ! Droga wolna!

— Wiedziałam, że znajdzie pan jakieś wyjście, mijnheer

— Pojedziemy fordem: pani, ja i jeszcze dwóch ludzi. Będziemy jechać szybko, dopóki trwa odpływ, a kiedy nadejdzie przyptyw, wypchniemy wóz powyżej linii wody. Czy może być pani gotowa za dziesięć minut? Musimy wykorzystać odpływ. — Odwrócił się od niej. — Kapralu, niech pan popędzi ludzi!

Kiedy Garry odwrócił się ponownie do Anny, kapral wywrócił oczami i mruknął cicho, żeby tylko najbliżsi mogli go usłyszeć:

— Co się stało staremu? Cholera, nagle zachowuje się jakby był największym kogutem!

Jechali przez dwie godziny, wyciągając sześćdziesiąt kilometrów na godzinę w miejscach, gdzie piasek był dostatecznie twardy i równy. Kiedy trafiali na bardziej grząski teren, wszyscy pasażerowie brali się do przepychania wozu na twardsze miejsce, gdzie znowu zajmowali miejsca i z okrzykami radości ruszali na północ.

Wreszcie zaczęły się podnosić fale przyływu i Garry wypatrzył szczelinę w wydmach, w której ukryli samochód powyżej linii wody.

Rozpalili ognisko z wyrzuconego przez morze drewna, zagotowali wodę na kawę i zjedli lekki posiłek. Wreszcie położyli się na ziemi, czekając na kolejny odpływ. Trzej mężczyźni wyciągnęli się w cieniu samochodu, ale Anna zostawiła ich i poszła nad wodę, zatrzymując się co kilka kroków, żeby osłonić dłonią oczy przed słonecznym blaskiem i spojrzeć na północ.

Oparty na łokciu Garry przyglądał jej się z takim uczuciem i wdzięcznością, że aż z trudem oddychał.

W jesieni mego życia podarowała mi młodość, której nigdy nie zaznałem. Przyniosła mi miłość, która mnie ominęła, rozmyślał i kiedy Anna dotarła do następnej zatoczki i zniknęła za wydumą, Garry nie mógł znieść rozdzielenia się z nią nawet na chwilę.

Podniósł się z ziemi i podążył za kobietą. Kiedy dotarł do zakrętu, zobaczył, że Anna przeszła już z pół kilometra. Nachylała się nad jakimś przedmiotem spoczywającym na piasku. Nagle wyprostowała się, odwróciła i kiedy zobaczyła Garry'ego, podniosła do góry obie ręce i zaczęła machać nad głową wołając do niego. Szum fal zagłuszył głos, ale podniecenie kobiety było tak wyraźne, że Garry zaczął niezdarnie biec.

— Mijnheer! — zawołała, wybiegając mu na spotkanie. — Znalazłam.. — Nie mogła dokończyć, schwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. — Spójrz!

Opadła na kolana naprzeciw tajemniczego przedmiotu. Był on niemal całkowicie zagrzebany w piachu i wznoszący się przyływ ogarniał go już wirującą pianą.

— To część łodzi! — Garry przyklęknął i razem zaczęli odgarniać piasek, śpiesząc się przed przyływem. — Wygląda jak fragment łodzi ratunkowej z brytyjskiego okrętu — mruknął.

Następna fala wpadła z szumem na plażę i zalała oboje po pas.

Cofając się jednak do morza, zabrała ze sobą poruszony piasek i odsłoniła litery namalowane czarną farbą na zdruzgotanym kadłubie. „Protea C...” — reszty brakowało. Deski były nadgniłe i postrzępione[^] miejscu, gdzie połamały je potężne fale.

— „Protea Castle” — wyszeptała Anna i starła piasek z deski zabrudzoną spódnicą. — To dowód! — Spojrzała na Garry'ego i po policzkach zapęły jej spływać łzy. — Dowód, mijnheer, oto dowód, że moje dziecko dotarło do lądu i jest bezpieczne.

Nawet Garry, który pragnął z całego serca ją zadowolić i z nie mniejszą siłą chciał wierzyć, że doczeka się wnuka, który zastąpi Michaela, spojrział teraz ze zdumieniem.

— To dowód, że Centaine żyje. Czy wierzy mi pan teraz, mijnheer!

— Mevrouw... — Zaambarasowany Garry aż zatrzepotał rękami. — Zgadza się, że istnieje wielka szansa.

— Ona żyje, wiem o tym. Jak może pan wątpić? Jeśli pan nie uwierzy...

Jej czerwona twarz przybrała groźny wyraz i Garry pośpiesznie skapitulował. .

— Ależ tak, wierzę! Oczywiście, że wierzę! Nie ma żadnych wątpliwości, że przeżyła.

Odniosłszy kolejne zwycięstwo, Anna spojrzała na postępujący przyływ i zwróciła swój gniew

przeciwko oceanowi.

— Jak długo musimy tu czekać?!

— No cóż, przyływ trwa sześć godzin, a później przychodzi na sześć godzin odpływ — wyjaśnił Garrick przepraszająco. — Musimy poczekać następne trzy godziny, zanim będziemy mogli ruszyć.

— Teraz każda minuta się liczy — stwierdziła ze złością Anna.

— Tak mi przykro, mewou.

Garry z pokorą przyjął na siebie odpowiedzialność za rytm oceanu i z twarzy Anny zniknął grymas. Popatrzyła wokoło, żeby upewnić się, czy nikt ich nie widzi, i wzięła go pod ramię.

— Przynajmniej wiemy, że żyje. Jak tylko skończy się przyływ, ruszymy w dalszą drogę.

Tymczasem mamy trzy wolne godziny.

Rzuciła mu pytające spojrzenie i pod Garrym zaczęły uginać się kolana, jakby miał osunąć się na ziemię.

Żadne z nich nie odzywało się, gdy Anna zaprowadziła go do wąskiej dolinki pomiędzy wysokimi wydłmami.

Kiedy odpływ zaczął wycofywać fale z brzegu, wyruszyli w dalszą drogę na północ. Spod tylnych kół rozpędzonego forda tryskały wysoko w powietrze lśniące strugi wody zmieszanej z piaskiem.

Na przestrzeni następnych dziesięciu kilometrów dwukrotnie natknęli się na szczątki okrętu wyrzucone przez morze na brzeg: kamizelkę ratunkową i złamane wiosło. Szczątki leżały na plaży, od dłuższego czasu, sądząc po stanie ich zniszczenia, i mimo że nie rhały żadnych numerów identyfikacyjnych, jeszcze bardziej wzmocniły wiarę Anny. Kobieta siedziała na tylnym siedzeniu samochodu z chustą zawiązaną pod szyją i w korkowym hełmie na głowie, a Garry co parę minut rzucał jej zakochane spojrzenie, niczym mały foksterier, zalecający się do buldoga.

Odpływ osiągał właśnie maksimum i samochód jechał z szybkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, gdy niespodziewanie wpadli na ruchome piaski. Plaża wydawała się tak samo równa i twarda jak na ostatnich kilometrach. Jedynie drobna zmiana jej kształtu mogła wskazywać na przeszkodę. Powierzchnia była lekko wklęsła i drżała od wezbranej pod piaskiem wody niczym galaretka, ale samochód jechał ze zbyt dużą szybkością, żeby mogli dostrzec ostrzegawcze znaki i wpadli w pułapkę z pełną szybkością.

Przednie koła wozu wbiły się w miękką papkę i gwałtownie stanęły, jakby pojazd wyrznął w skalną ścianę. Kierowca został z całej siły ciśnięty na kierownicę, która złamała się z ostrym trzaskiem, ale stalowy trzon przebił mu klatkę piersiową, nadziewając nieszczęśnika niczym dzida rybę, a poszarpany koniec rozerwał mu plecy poniżej obojczyka.

Anna wyleciała z tylnego siedzenia wysoko w powietrze i opadła miękko na grzaski piach. Garry uderzył głową w maskę; metal rozdarł mu skórę na czole, której płat opadł na oko, a po twarzy pociekła struga krwi. Jadący z nimi kapral zaplątał się w luźny sprzęt i jego ramię przyciśnięte czymś pękło niczym sucha gałąź.

Anna pierwsza pozbierała się z wypadku. Brodząc po kolana w mokrym piachu, podeszła do Garry'ego, wzięła go pod ramię i pomogła wyjść z wozu, a następnie odciągnęła na twarde piach plaży.

Garry opadł na kolana.

— Oślepiłem — szepnął z bólem.

— To tylko odrobina krwi!

Anna otarła mu twarz spódnicą, oderwała kawałek materiału z halki i pośpiesznie przewięzała ranę na czole, ułożywszy oderwaną skórę na miejscu. Następnie wróciła do forda.

Samochód wolno zagłębiał się w piachu, przechylając się do przodu. Silnik znajdował się już w żółtej brei, która wlewała się przez drzwi do środka wozu. Anna schwyciła kierowcę za ramię i spróbowała go wyciągnąć, ale mężczyzna był mocno przyszpilony trzonem kierownicy i kiedy go ruszyła, rozległ się chrzęst kości trących o stal. Głowa mężczyzny opadła bezwładnie na bok; Anna zostawiła go i podeszła do kaprała.

Żołnierz mamrotał i rzucał się nieprzytomnie, odzyskując z wolna świadomość. Anna uwolniła go od rozrzuconego sprzętu i wyciągnęła na twardy grunt, dysząc ciężko z wysiłku. Kapral jęknął słabo, gdy posadziła go na ziemi; jego lewa ręka była wykręcona pod dziwnym kątem.

— Mijnheer. — Anna potrząsnęła zdecydowanie Garrym. — Musimy wydostać wodę, zanim samochód zatoni.

Garrick z trudem podniósł się z ziemi. Twarz miał umazaną krwią, koszula na piersiach była cała w czerwonych plamach, ale krwotok zmniejszył się wyraźnie. Ruszył chwiejnie za Anną do samochodu i razem wynieśli manierki na plażę.

— Nie możemy pomóc kierowcy — stwierdziła Anna, przyglądając się, jak samochód z trupem za kierownicą znika pod zdradzieczą powierzchnią. Po kilku minutach nie było po nich nawet śladu. Zajęła się kapralem. — Ma złamaną rękę.

Przedramię puchło w zastraszającym tempie, mężczyzna był blady i na wpół przytomny z bólu. — Pomóż mi!

Garry przytrzymał kaprała i Anna naciągnęła mu ramię, a następnie umocowała pomiędzy dwoma kawałkami drewna i silnie przewiązała. Urwała pasek materiału ze spódnicy, zawiązała pętlę i ułożyła złamaną rękę na temblaku. Usłyszała, jak Garry mówi ochryłym głosem:

— Według moich obliczeń jest jakieś sześćdziesiąt kilometrów... Nie dokończył, gdyż Anna obróciła się do niego z wściekłą miną.

— Śmie pan mówić o powrocie!

— Mevrouw — Garry wykonał pojednawczy gest — musimy wracać. Mamy dziesięć litrów wody i rannego. Będziemy mieli szczęście, jeśli sami wyjdziemy z tego z życiem.

Przez kilka sekund Anna patrzyła na niego ze złością. Potem opuściła ze smutkiem ramiona.

— Jesteśmy już tak blisko Centaine. Niemal ją czuję! Może czeka na nas za następnym zakrętem. Jak możemy ją tak zostawić? — wyszeptwała.

Garry po raz pierwszy widział ją pokonaną i czuł, jakby serce miało mu pęknąć z żalu i miłości.

— Nigdy jej nie zostawimy! — oświadczył zdecydowanie. — Nie zrezygnujemy z poszukiwań. Jak tylko pokonamy tę przeszkodę, wrócimy tutaj!

— Niech pan da mi na to słowo. — Anna rzuciła mu proszące spojrzenie. — Niech pan przysięgnie, że nigdy nie zwątpi pan, że Centaine uratowała siebie i dziecko. Niech pan przysięgnie przed Bogiem, że nigdy nie przestanie pan szukać swojego wnuka. Proszę dać mi rękę i złożyć przysięgę.

Kłęcząc obok niej na plaży i trzymając ją za rękę, z pierwszymi falami przyływu omywającymi im kolana, Garry złożył uroczystą przysięgę.

— Teraz możemy wracać. — Anna ciężko podniosła się z ziemi. — Ale przyjedziemy tu jeszcze i znajdziemy ją.

— Tak — zgodził się Garry. — Jeszcze tu wrócimy.

Centaine zapadła w głęboki mrok podobny do śmierci. Kiedy zaczęła odzyskiwać przytomność, przez zamknięte oczy poczuła promienie słoneczne. Perspektywa kolejnego dnia męczarni była tak okropna, że zacisnęła mocniej powieki, starając się uciec jak najdalej od rzeczywistości.

Po chwili do jej świadomości przedarły się ciche dźwięki przypominające szmer wiatru w

suchych liściach czy też chrzęst żuka poruszającego się po skalistym podłożu. Dźwięki te zaintrygowały ją, aż wreszcie zdobyła się na olbrzymi wysiłek, jakiego wymagało obrócenie głowy i otwarcie oczu.

Trzy metry dalej przykucnął przypominający człowieka karzełek i Centaine pomyślała, że ma halucynacje. Zamrużyła powiekami, zaschnięta wydzielina zaklejająca jej oczy rozmazała się, powodując, że przez chwilę widziała wszystko jak przez zasłonę. Dostrzegła jednak drugiego malca siedzącego kilka kroków za pierwszą postacią. Centaine przetarła oczy i spróbowała unieść się nieco. Potrzebowała kilku sekund, żeby się zorientować, że dwa karzełki rozmawiają ze sobą z wyraźnym podekscytowaniem i że nie są wytworem umęczonej wyobraźni, lecz postaciami z krwi i kości.

Istota bliżej Centaine była kobietą, gdyż jej brzuch zasłaniały sięgające aż po pępek piersi, które przypominały puste skórzane worki na tytoń. Kobieta była stara — nie, Centaine uświadomiła sobie, że słowo „stary” nie oddaje dobrze jej wieku. Malutka postać była pomarszczona niczym wysuszona przez słońce rodzynka. Na jej ciele nie było nawet jednego miejsca, w którym pocięta bruzdami i rysami skóra nie zwisałaby luźno, załamując się wielokrotnie. Zmarszczki nie biegiły równoległe, ale przecinały się i łączyły, tworząc gwiaździste wzory. Obwisłe piersi były tak samo pomarszczone jak tłusty, mały brzuch, a z kolan i łokci owej istoty zwisały worki pokrytej bruzdami skóry. Centaine, jeszcze nie całkiem przytomna, była absolutnie zafascynowana. Nigdy nie widziała jeszcze ludzkiej postaci przypominającej, choćby w ogólnym zarysie, tę kobietę. Nawet wędrowny cyrk, który przed wojną każdego lata odwiedzał Mort Homme, nie pokazywał takich osobliwości. Centaine z trudem zdołała podnieść się na łokciu, żeby lepiej przyjrzeć się nieznajomej.

Malutka kobieta miała skórę o wyjątkowym kolorze, która zdawała się lśnić niczym bursztyn w słońcu i Centaine przypomniał się wypolerowany cybuch należącej do ojca fajki z pianki morskiej. Ta kobieta była nawet jaśniejsza od fajki, o barwie nasyconej niczym skórka dojrzalej brzoskwińi i mimo wyczerpania na ustach dziewczyny wykwitł nikły uśmiech.

Stara kobieta, która obserwowała bacznie Centaine, natychmiast odpowiedziała jej uśmiechem. Sieć zmarszczek okalających oczy skurczyła się, nadając staruszce wygląd skośnookiej Chinki. W czarnych źrenicach zabłysły jednak tak wesołe iskierki, że dziewczyna zapragnęła objąć tę obcą istotę, jak objęłaby Annę. Kobieta miała starte aż do samych dziąseł zęby, brązowe, niczym zabarwione nikotyną, ale nie było między nimi przerw i wydawały się mocne i równe.

— Kim jesteś? — wyszeptła Centaine przez opuchnięte, spękane wargi, a tamta wydała w odpowiedzi kilka sykliwych, mlaszczących dźwięków.

Luźna, pomarszczona skóra pokrywała małą, kształtną czaszkę, a twarz kobiety miała sympatyczny, sercowaty kształt. Głowę pokrywały jej rzędy drobniutkich, siwych loczków, pomiędzy którymi prześwitywała ciemna skóra. Malutkie, ostro zakończone uszy przylegały do czaszki, jak gdyby były pozbawione małżowin. Ostre uszy i błyszczące oczy nadawały tej twarzy zaalarmowany i jednocześnie ciekawski wygląd.

— Czy masz wodę? — zapytała szeptem Centaine. — Wody, proszę.

Kobieta obróciła głowę do przykucniętej za nią postaci i przemówiła dziwnym, cmokającym językiem. Drugi osobnik był jej rówieśnikiem, miał taką samą niewiarygodnie pomarszczoną, brzoskwińiową i lśniącą skórę, głowę pokrytą skręconymi loczkami, ostre uszy i żywe oczy. Był to mężczyzna, o czym łatwo można było się przekonać, gdyż uniesiona skórzana opaska biodrowa odkrywała nieproporcjonalnie duży członek, którego koniec opierał się o piasek. Członek był w stanie półerekcji i Centaine, stwierdziwszy, że przygląda się temu ze zdziwieniem, wstydliwie odwróciła wzrok.

— Wody — powtórzyła, naśladowując czynność picia.

Jej gest wywołał ożywioną dyskusję pomiędzy staruszkami.

— O'wa, to dziecko umiera z pragnienia — powiedziała Buszmenka do swojego męża.

Pierwszą sylabę jego imienia wymówiła tak, jakby układała usta do pocałunku, cmokając językiem.

— Ona już nie żyje — odparł szybko Buszmen. — Za późno, H'ani. Imię jego żony zaczynało się od wysokiego, ostrego dźwięku i kończyło się miękkim cmoknięciem języka o górne zęby, przypominając nieco dźwięk, jaki wydaje ktoś lekko zirytowany.

— Woda należy do wszystkich, żywych i umierających, to pierwsze prawo pustyni. Wiesz o tym dobrze, dziadku. — H'ani zależało na przekonaniu męża, więc użyła pełnego szacunku określenia „dziadek”.

— Woda należy do wszystkich ludzi — zgodził się mężczyzna, kiwając głową i mrugając oczyma. — Ona nie jest jednak Sanem, nie jest człowiekiem. Ona należy do innych.

W tym krótkim przemówieniu O'wa wyraził stosunek Buszmena do otaczającego go świata.

Buszmeni byli pierwszymi ludźmi. Pamięć plemienna przenikała zasłonę wieków, sięgając czasów, gdy na ziemi żyli tylko oni. Ich tereny łowieckie rozciągały się od jezior na północy aż po smocze góry na południu, obejmując cały kontynent. Byli aborygenami. Byli ludźmi — Sanami.

Później nadeszły inne stworzenia. Pierwsze z nich nadciągnęły z północy. Byli to olbrzymi Murzyni, którzy gnali przed sobą stada bydła. Znacznie później inni, o skórach koloru brzucha ryby, zaczerwienionych przez słońce, i bladych oczach niczym u ślepców, przybyli z południa, od strony morza. Ta kobieta należała do nich. Biali hodowali owce i bydło na starodawnych terenach łowieckich i wybijali dziką zwierzynę, która była pożywieniem Buszmenów.

Kiedy zaczęło brakować dzikich zwierząt, Buszmeni zwrócili oczy na udomowione bydło. Nie mieli poczucia własności, nie było wśród nich tradycji posiadania, łapali więc stada bydła domowego w ten sam sposób, jak polowali na dzikie zwierzęta i z tego powodu zostali nienawidzeni przez właścicieli bydła. Biali i czarni wydali Buszmenom bezlitosną wojnę, o tyle okrutniejszą, że dołączył się do niej strach przed małutkimi strzałami, których groty pokrywała trucizna przynosząca niechybną śmierć w męczarniach.

Oddziały uzbrojone we włócznie o podwójnych ostrzach i konne komanda władające bronią palną rozpoczęły polowanie na Buszmenów, jak gdyby były to dzikie i niebezpieczne zwierzęta. Napastnicy rozstrzeliwali mieszkańców buszu, nadziewali ich na włócznie, zamykali w jaskiniach i palili żywcem, truli i torturowali, oszczędzając z masakry jedynie najmłodsze dzieci. Grupy zakutych w łańcuchy dzieci biali zabierali ze sobą, gdyż te, którym z żalu nie pękło serce, wyrastały na posłusznych, lojalnych i kochających niewolników.

Buszmeni, którzy przeżyli tę wojnę, wycofali się na dzikie tereny pozbawione wody, gdzie tylko oni mogli przetrwać dzięki swojej olbrzymiej wiedzy oraz zrozumieniu ziemi i żyjących na niej stworzeń.

— Ona należy do innych — powtórzył O'wa — i już nie żyje. Wody wystarczy nam jedynie na podróż.

H'ani, która nie spuszczała oczu z Centaine, wyrzucała sobie w myślach: Głupia kobieto, nie trzeba było wspominać o wodzie. Gdybyś dała ją bez żadnych pytań, nie musiałabyś teraz słuchać tych męskich głupot.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do swojego męża.

— Mądry dziadku, spójrz temu dziecku w oczy — poprosiła. — Jest w nich życie i odwaga. Ta dziewczyna nie umrze dopóty, dopóki z jej ciała nie uleci ostatni oddech. — Ostrożnie zdjęła

skórzaną torbę z ramienia, nie zważając na syki dezaprobaty męża. — Na pustyni woda należy do każdego, do Sanów i innych. Nie ma różnicy, o jakiej mówiłeś.

Z torby wyjęła strusie jajo, niemal idealnie okrągłe, koloru wypolerowanej kości słoniowej. Skorupka jaja pokryta była delikatnymi rytami przedstawiającymi symboliczne ptaki i sylwetki zwierząt. Czubek zatkany był drewnianym kóleczkim. Gdy H'ani wzięła jajo w ręce, zachłupotała w nim wyraźnie woda i Centaine zaskomlała niczym szczenię odsunięte od piersi.

— Jesteś samowolną starą kobietą — stwierdził z niesmakiem O'wa.

Był to najsilniejszy protest, na jaki zezwalała tradycja buszmeńska. O'wa nie mógł rozkazywać swojej żonie i nie miał prawa niczego jej zabraniać. Buszmen mógł jedynie radzić innym, w niczym się nie wywyższając nad pozostałych członków plemienia; wśród Buszmenów nie było wodzów ani przywódców, wszyscy byli równi: mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy.

H'ani ostrożnie wyjęła zatyczkę z jajka i przysunęła się do Centaine. Otoczyła ramieniem szyję dziewczyny, żeby ją podtrzymać, i przyłożyła jajko do jej ust. Centaine pociągnęła łapczywie łyk wody i zakrztusiła się, a płyn spłynął po jej brodzie. Tym razem H'ani i O'wa zgodnie zasyćzeli z rozczarowania — każda kropla była cenna jak krew. Kobieta cofnęła rękę z jajkiem i Centaine, chlipiąc żałośnie, sięgnęła po nie.

— Jesteś niegrzeczna — napomniała ją H'ani.

Podniosła jajko do własnych warg i wciągnęła wodę, aż policzki jej nabrzmiały. Następnie przyłożyła usta do ust Centaine, wpuściła cienki strumyk kilku kropli i poczekała, aż dziewczyna przełknie, zanim podała jej następny łyk. Kiedy podała jej ostatnią porcję, cofnęła się i patrzyła cierpliwie, aż uznała, że dziewczyna gotowa jest przyjąć następny łyk. Podała jej w ten sam sposób drugą i później trzecią porcję.

— Ta kobieta pije jak słonica przy wodopoju — stwierdził kwaśno O'wa. — Wypiła już dosyć wody, żeby wypełnić koryto rzeki Kuiseb.

H'ani po cichu musiała zgodzić się z mężem. Dziewczyna zużyła już całą dzienną rację wody dla dorosłego człowieka. H'ani zatkała jajko i mimo że Centaine błagała ją wyciągniętymi rękami, zdecydowanie schowała je do torby z nie wyprawionej skóry.

— Jeszcze tylko trochę, proszę — szeptała zrozpaczona Centaine, ale tamta nie zwracała na nią uwagi, zajęta ożywioną dyskusją ze swoim towarzyszem. Najwyraźniej kłócili się, posługując się w dyskusji rękami, wykonując ptasie gesty i strzelając palcami.

Stara kobieta nosiła na czole przepaskę zrobioną z płaskich białych koralików; takie same przepaski składające się z kilkunastu sznurków koralu miała na szyi i ramionach. Wokół bioder była obwiązana skórzaną spódniczką, a jedno ramię okrywało jej cętkowane futerko. Obie części ubrania wykonano z jednego kawałka skóry, nie wyprawionej i nie zszywanej. Spódnica trzymała się na kawałku rzemienia, do którego były przymocowane naczynia z -tykwy i pojemniczki z rogów antylopy. W jednej ręce kobieta niosła długą dzidę obciążoną na jednym końcu wydrążonym kamieniem.

Centaine leżała nieruchomo, przyglądając się tej kobiecie. Intuicyjnie wyczuła, że obcy decydują właśnie o jej życiu i że kobieta jest jej orędowniczką.

— Wszystko, co powiedziałeś, dziadku, to niewątpliwie prawda. Jesteśmy w podróży i ci, którzy nie mogą nadażyć za pozostałymi i zagrażają powodzeniu wyprawy, powinni być pozostawieni. Tak mówi tradycja. Jeśli jednak moglibyśmy poczekać aż dotąd — H'ani wskazała na drogę słońca po niebie, określając w przybliżeniu jedną godzinę — to dziecko nabierze dosyć sił, a taka krótka przerwa nie stanowi dla nas zagrożenia.

O'wa wydawał gardłowe pomruki i inne dźwięki, a jednocześnie machał niechętnie dłońmi.

Gesty te były tak wymowne, że Centaine wystraszyła się.

— Nasza podróż jest bardzo ciężka, czeka nas jeszcze długa droga. Następna woda jest za wiele dni. Czekanie tutaj to głupota.

O'wa nosił na czole coś w rodzaju korony, która od dłuższej chwili intrygowała Centaine, aż wreszcie dziewczyna zdała sobie sprawę, co i o takiego. Stary mężczyzna umieścił czternaście małych strzał w skórzanej opasce na głowie. Strzałki były zrobione z trzciny rzecznej, lotki wykonano z orlich piór, a grotty zostały wyrzeźbione z białej kości. Ostrza grotów były ciemne od zaschniętej pasty i widok ten przypominał Centaine pewien opis z książki Levaillanta o Afryce.

— Trucizna — szepnęła Centaine. — Zatrute strzały.

Wzdfygnęła się i przed oczyma stanęła jej ilustracja z innej książki.

To Buszmeni. Prawdziwi Buszmeni!

Zdołała podnieść się z ziemi i oprzeć na łokciu. Staruszkowie spojrzeli na nią w tej samej chwili.

— Już jest silniejsza — stwierdziła H'ani, ale O'wa zaczął się podnosić z ziemi.

— Jesteśmy w podróży, najważniejszej ze wszystkich, i mamy coraz mniej czasu.

Nagle wyraz twarzy H'ani uległ zmianie. Jej wzrok spoczywał nadal na ciele Centaine. Kiedy dziewczyna usiadła, poszarpana bluzka odsłoniła jej pierś. Widząc zaciekawienie kobiety, Centaine wstydliwie zakryła się, ale staruszka zbliżyła się i nachyliła ku niej, niecierpliwie odpychając ręce dziewczyny i niespodziewanie silnymi palcami swoich malutkich, wąskich dłoni ścisnęła jej pierś.

Centaine skrzywiła się i jęknęła z bólu próbując się odsunąć, ale stara kobieta była równie pewna siebie i autorytatywna jak Anna. Odsłoniła porwaną połą bluzki, wzięła nabrzmiąły sutek Centaine pomiędzy palec wskazujący i kciuk i zaczęła go ugniatać. Na różowym koniuszku sutka pojawiła się kropelka mleka i H'ani zamruczała coś do siebie, popychając jednocześnie dziewczynę na ziemię. Wsunęła dłonie pod płócienną spódnicę i cienkie palce zagłębiły się zręcznie w ciele Centaine.

W końcu H'ani usiadła na piętach i uśmiechnęła się triumfująco do męża.

— Teraz nie możemy jej zostawić — oznajmiła zdecydowanie. — To najświętsza tradycja ludzi, że nie można zostawić na pustyni dziewczyny, jakiegokolwiek dziewczyny, Sanów czy innych, która nosi w sobie nowe życie.

O'wa Wykonał zmęczony gest świadczący o kapitulacji i znowu przysiadł na piętach. Przyjął wyniosłą pozę i nie zbliżał się do Centaine, gdy jego żona poszła na brzeg morza z dzidą w ręce. Stojąc po kostki w wodzie, uważnie przyglądała się piaskowi, wreszcie wbiła ostry koniec kija w ziemię i ruszyła w górę plaży, trzymając dzidę przed sobą i złobiąc wąską bruzdę. Włócznia uderzyła o coś twardego, H'ani podbiegła, schyliła się, szybko wykopała przedmiot palcami i wrzuciła go do torby. Następnie powtórzyła cały proces.

W krótkim czasie wróciła do Centaine i wysypała przed nią małą stertę skorupiaków. Centaine stwierdziła, że są to jadalne omułki, i poczuła złość z powodu własnej głupoty. Od tylu dni głodowała i umierała z pragnienia chodząc po plaży pełnej tych wspaniałych małży!

Stara kobieta otworzyła muszlę skorupiaka kamiennym nożem i uważając, żeby nie rozlać soków, podała wypełnioną w środku masą perłową muszelkę Centaine. Dziewczyna niecierpliwie wypila soki z połówki muszli, wyszarpnęła mięso małża brudnymi od piachu palcami i wsadziła je sobie do ust.

— Bon! — powiedziała do H'ani. Kiedy przeżuwała małża, na jej twarzy pojawił się wyraz pełnego szczęścia. — Tres bon!

H'ani uśmiechnęła się i pochyliła nad następnym omułkiem. Kamienny nóż nie nadawał się szczególnie do otwierania muszli, ponieważ kruszył krawędzie skorupy, tak że Centaine czuła ją

pomiędzy zębami. Kiedy H'ani uporała się z trzecią muszlą, Centaine wyjęła scyzoryk i otworzyła go.

O'wa, który trzymał się na uboczu i okazywał swoją dezaprobatę, spoglądając na morze, na dźwięk otwieranego noża odwrócił się gwałtownie. Jego oczy rozszerzyły się na widok ostrza w rękach Centaine.

Sanowie byli ludźmi kamienia łupanego. Mimo że wytwarzanie żelaza znajdowało się poza ich zasięgiem, O'wa widział wcześniej przedmioty z metalu. Niektóre z nich Sanowie zbierali na polach bitewnych olbrzymich białych, inne zabierali z obozów i biwaków podróżników. O'wa pamiętał, że jeden z członków jego plemienia miał kiedyś przedmiot podobny do tego, który trzymała w ręce ta dziewczyna.

Mężczyzna ten nazywał się Xja, jego imię przypominało dźwięk wydawany przez jeźdźca poganiającego konia. Trzydzieści pięć lat temu Xja wziął starszą siostrę O'wa za żonę. Jako młody człowiek Xja znalazł szkielet białego człowieka przy wyschniętym wodopoju na skraju pustyni Kalahari. Zwłoki starego myśliwego leżały przy szkielecie konia i długiej strzelbie używanej do polowania na słonie.

Xja nie dotykał strzelby, gdyż legendy i przykre doświadczenia innych nauczyły go, że w magicznym kiju mieszka grzmot. Przeszukał jednak na wpół zbutwiałe skórzane sakwy i znalazł tam skarby, o jakich Buszmen mógł jedynie marzyć.

Na samym wierzchu leżał skórzany worek z miesięcznym zapasem tytoniu. Szczęśliwy Xja schował szczyptę tytoniu pod górną wargę i wrócił do juków. Szybko wyrzucił książkę i kartonowe pudełko zawierające małe kulki z ciężkiego, szarego metalu — były brzydkie i do niczego się nie nadawały. Następnie znalazł piękną flaszkę żółtego metalu przewiazaną rzemieniem. Pojemnik był wypełniony nieużytecznym szarym proszkiem, który Xja wysypał na ziemię, ale sama butelka miała tak lśniąca powierzchnię, że Xja był pewien, że nie oprze się jej żadna kobieta. Xja nie był wielkim myśliwym ani tancerzem czy śpiewakiem. Od dawna pragnął siostry O'wa, której śmiech brzmiał niczym szum wody. Nigdy nie śmiał zwrócić na siebie jej uwagi, nie odważył się też posłać w jej stronę miniaturowej strzały rytualnego luku zakochanego, ale trzymając metalową butelkę w dłoniach, wiedział już, że siostra O'wa zostanie jego żoną.

Wreszcie Xja znalazł nóż i nabrał pewności, że teraz znajdzie w plemienu szacunek, o którym marzył równie silnie jak o pięknej siostrze O'wa. O'wa widział ostatni raz swoją siostrę i Xja trzydzieści lat temu, gdy znikali wśród suchych pustkowi na wschodzie, wygnani zawiścią, jaką nóż wzbudził w plemienu.

Teraz O'wa patrzył na podobny nóż w rękach białej kobiety, która otwierała muszle małży, zjadała łapczywie delikatne, żółte mięso i wypijała soki.

Do tej chwili czuł jedynie odrazę do jej potężnego, niezręcznego ciała, większego niż jakiegokolwiek mężczyzny z jego ludu, do jej wielkich nóg i rąk oraz grubych i gęstych, zmierzwionych włosów i poparzonej przez słońce białej skóry. Kiedy jednak ujrzał ostrze, wróciły dawne pragnienia z przeszłości i O'wa wiedział, że tej nocy nie będzie spać, tylko myśleć o nożu.

Podniósł się z ziemi.

— Dostyc tego — powiedział do H'ani. — Czas ruszać w drogę.

— Jeszcze trochę.

— Czy z dzieckiem czy bez, nikt nie ma prawa narażać życia pozostałych. Musimy iść.

H'ani wiedziała, że tym razem mąż ma rację. Czekali dłużej, niż było to rozsądne. Wstała z ziemi i poprawiła skózaną torbę na ramieniu. Dostrzegła panikę w oczach dziewczyny, gdy ta zorientowała się w ich zamiarach.

— Zaczekajcie na mnie! Attendez!

Centaine podniosła się ciężko z ziemi przerażona myślą, że mogłaby zostać sama na tym pustkowiu.

O'wa przełożył mały łuk do lewej ręki, schował zwisający członek za przepaskę biodrową i poprawił skórzany pas. Nie oglądając się na kobiety, ruszył przed siebie wzdłuż brzegu.

H'ani podążyła w jego ślady. Para staruszków poruszała się kołyszącym truchtem. Centaine po raz pierwszy zobaczyła ich potężne pośladki wystające tak bardzo, że niemal mogłaby usiąść na H'ani i jechać na niej jak na małym kucyku. Pomysł ten rozśmieszył dziewczynę. H'ani obejrzała się na nią i uśmiechnęła zachęcająco, a potem szybko odwróciła głowę do męża. Jej wystające pośladki przesuwały się rytmicznie z jednego boku na drugi, wyschnięte piersi obijały się o brzuch.

Centaine zrobiła pierwszy krok za nimi i nagle zatrzymała się z przerażeniem.

— To nie w tę stronę! — zawołała. — Idźcie w złym kierunku! Dwójka Buszmenów kierowała się na północ, oddalając się od

Kapsztadu, zatoki Walvis i cywilizacji.

— Nie możecie iść w tamtą stronę! Wracajcie, nie zostawiajcie mnie tu samej! Nie możecie...

Centaine miotła się przerażona. Wokół czaiła się pustynia, gotowa pochłonąć ją niczym krwiożercza bestia. Jeśli jednak podąży za tymi ludźmi, to oddali się od swoich i pomocy, jaką, być może, dla niej szykują.

Zrobiła kilka niepewnych kroków za H'ani.

— Proszę, nie odchodźcie!

Stara kobieta doskonale rozumiała prośbę zawartą w wystraszonym głosie, ale wiedziała, że jest tylko jeden sposób, żeby zmusić to dziecko do ruszenia się. Nie odwróciła więcej głowy do tyłu.

— Proszę! Błagam was!

Drobny trucht zdumiewająco szybko oddalał dwójkę małych ludzi od Centaine.

Przez kilka chwil dziewczyna wahała się, odwracając się z rozpaczą na południe, rozdarta pomiędzy lękiem przed samotnością a utratą szansy powrotu do swoich. H'ani przemierzyła już z pół kilometra i nie wyglądało na to, że zamierza zwolnić.

— Zaczekajcie na mnie! — krzyknęła rozpaczliwie Centaine. Porwała swoją pałkę zrobioną z gałęzi wyrzuconej przez morze i próbowała z początku biec, ale po stu krokach przeszła do krótkiego, zdecydowanego marszu.

W południe obie figurki zmniejszyły się do rozmiarów małych punkcików i wreszcie znikły na horyzoncie. Na miedzianym piasku widniały jednak wyraźne odbicia ich dziecięcych stóp. Centaine skoncentrowała się tylko na tych śladach i nie miała pojęcia, skąd wzięła siły, żeby przetrwać cały dzień marszu.

Wieczorem, kiedy ciągnęła już resztką sił, oderwała na chwilę wzrok od śladów i dostrzegła w oddali bladoniebieski dym unoszący się nad morzem. Dym wydobywał się z grup żółtych głazów piaskowca za linią wody. Centaine ostatkiem sił dobrnęła do obozu Buszmenów.

Opadła na ziemię kompletnie wyczerpana przy małym ognisku rozpalonym z drzewa wyrzuconego przez morze i H'ani podeszła do niej, szczebiocząc i wydając mlaskające odgłosy, by napić ją jak ptak pisklęta. Woda była ciepła i miała cierpki smak śliny, ale Centaine wydała się najwspanialszym płynem, jaki piła w życiu. Także tym razem stara kobieta odsunęła się, gdy Centaine nie zaspokoiliła jeszcze w pełni pragnienia.

Dziewczyna z trudem oderwała wzrok od skórzanej torby ze strusimi jajami i rozejrzała się za starym mężczyzną.

W końcu go zobaczyła. Z pasa wodorostów morskich falujących na zielonej wodzie wystawała jedynie jego głowa. O'wa był zupełnie nagi, poza przepaską z koralików na szyi i biodrach,

uzbrojony w dzidę H'ani. Gdy Centaine przyglądała mu się, znieruchomiał nagle, naprężony niczym pies myśliwski i zaraz z potężnym zamachem cisnął włócznię w morze. Powierzchnia wody eksplodowała, kiedy O'wa rzucił się na jakieś duże i silne stworzenie, H'ani klaskała w ręce i zachęcała męża okrzykami. Wreszcie starzec wyciągnął na plażę wijące się i opierające zwierzę.

Mimo zmęczenia i osłabienia Centaine podniosła się na kolana i aż wykrzyknęła ze zdziwienia. Poznała upolowaną zwierzynę — homar był zawsze jej ulubioną potrawą, ale tym razem zaczęła podejrzewać, że zawodzą ją zmysły, gdyż ten był tak duży, że O'wa miał kłopoty z podniesieniem go. Potężny, opancerzony ogon ciągnął się po piachu, a długie, grube wąsy, za które O'wa trzymał ofiarę, sięgały mężczyźnie ponad głowę. H'ani zbiegła na plażę z kamieniem wielkości jej głowy i razem z mężem zatłukli olbrzymiego skorupiaka.

Zanim się ściemniło, O'wa upolował jeszcze dwa okazy, a każdy z nich był niemal tak wielki jak pierwszy. H'ani w tym czasie wygrzebała płytki dół w ziemi i wyłożyła go liśćmi wodorostów.

Kiedy oboje Buszmeni byli zajęci przygotowywaniem dołu, Centaine obejrzała upolowane zwierzęta. Natychmiast spostrzegła, że nie są uzbrojone w szczypcy jak homary i że raczej należą do tej samej rodziny co śródziemnomorskie langusty, które jadła u wujka w Lyonie. Jednak te były wręcz gigantyczne. Ich wąsy miały długość ramion Centaine, a u podstawy były grube jak jej kciuki. Skorupiaki wydawały się bardzo stare, a do ich skorup poprzywierały pąkle jak do skał.

O'wa i H'ani ułożyli zwierzęta na liściach, przykryli cienką warstwą piasku i nasunęli na nie pływające gałęzie. Strzelające w górę płomienie oświetlały pomarańczową skórę obojga, gdy krzątali się przy pracy, rozmawiając ze sobą wesoło. Kiedy wreszcie uporali się ze wszystkim, O'wa podskoczył w górę i śpiewając ciekim falsetem, rozpoczął pełen szurania nogami taniec wokół ogniska. H'ani wyklaskiwała mu rytm i mruczała pod nosem, kołysząc się przy tym na boki. Centaine przyglądała się, jak stary mężczyzna tańczy, zastanawiając się, skąd bierze na to siły, i starając się dociec, jaki może być cel tego podrygiwania i jakie znaczenie mają słowa pieśni wykrzykiwane w noc.

— Pozdrawiam was, duchy czerwonych zwierząt z morza. Poświęcam wam ten taniec — śpiewał O'wa, podnosząc tak wysoko nogi, że jego odsłonięte pośladki trzęsły się niczym galareta. — Dedykuję wam ten taniec i oddaję wam szacunek, gdyż zginęłyście, abyśmy mogli żyć...

H'ani punktowała jego śpiew przenikliwymi okrzykami.

O'wa, zręczny i sprytny myśliwy, nigdy nie zabił żadnego zwierzęcia, nie składając jednocześnie podzięków ofierze, która padła łupem jego strzał czy czarów, bez względu na to, jak małe było zwierzę czczone tańcem i śpiewem. Będąc samemu niedużą istotą, potrafił pojąć znaczenie innych małych stworzeń i wiedział, że pokrytego łuskami mrówkojada powinno się szanować nawet bardziej niż potężnego lwa, i że modliszka jest więcej warta niż słoń, gdyż w każdym z tych stworzeń zamieszkiwała część boskiej istoty, którą wielbił.

O'wa nie uważał się za bardziej wartościowego niż którekolwiek ze zwierząt, nie uzurpował sobie do nich żadnych praw innych niż wynikających z konieczności utrzymania się przy życiu. Dziękował więc duchom swoich ofiar za podarowanie mu życia i kiedy taniec się zakończył, wokół ogniska była wydeptana równa ścieżka.

O'wa i H'ani rozkopali popiół i piach i odsłonili trzy olbrzymie langusty, które nabrały purpurowego koloru i dymiły na podłożu z liści. Oboje zanurzyli w nie palce i śmiejąc się z radości, rozłamywali pokryte łuskami ogony, wydobywając z nich białe mięso.

H'ani skinęła na Centaine, która przysunęła się do ogniska i przykucnęła obok Buszmenów. W nogach langust znajdowały się kawałki mięsa długości jej palca, a tułów wypełniały żółte wątróbki, w czasie pieczenia zgęstniały. Sanowie używali ich jako przyprawy do mięsa.

Centaine nie pamiętała, kiedy ostatni raz jedzenie tak bardzo jej kowało. Używając noża, pocięła mięso z ogona na małe kawałki.

H'ani uśmiechała się do niej nad ogniskiem i z pełnymi ustami mówiła:

- Nam! Nam!

Centaine przysłuchiwała się uważniej jej wymowie i powtórzyła to Iowo z takim samym akcentem jak stara kobieta: Nam!

H'ani zachichotała wesoło.

- Słyszałeś, O'wa? To dziecko powiedziało „dobre!”

O'wa mruknął tylko, nie spuszczać oczu z noża. Czuł, że nie może oderwać od niego wzroku. Ostrze cięło mięso tak równo i z taką łatwością, że na jego brzegach pozostawał połysk. Jak ostry musi być len nóż, myślał O'wa i doskonałość noża zepsuła mu apetyt.

Kiedy Centaine miała już do tego stopnia pełny brzuch, że zaczął jej boleć, położyła się przy ognisku. H'ani wykopała dla niej mały dołek na biodro. Teraz było o wiele lepiej i Centaine ułożyła się wygodnie, ale stara kobieta najwyraźniej chciała ją jeszcze czegoś nauczyć.

— Nie możesz kłaść głowy na ziemi, Dziecko Nam — wyjaśniła dziewczynie. — Musisz ją trzymać w górze, o tak. — H'ani, podparłszy się na łokciu, złożyła głowę na ramieniu. Pozycja wydawała się wyjątkowo niewygodna i Centaine uśmiechnęła się i leżała na wznak.

— Zostaw ją — mruknął niechętnie O'wa. — Kiedy skorpion wejdzie jej w nocy do ucha, sama się nauczy.

— Masz rację, dosyć się już nauczyła jak na jeden dzień — zgodziła się z nim żona. — Słyszałeś, jak powiedziała „Nam”? To jej pierwsze słowo i nazwę ją Nam. Dziecko Nam — powtórzyła.

O'wa chrząknął coś tylko i odszedł na bok, żeby się załatwić. Rozumiał zainteresowanie, jakim jego żona obdarzała tę obcą i jej nie narodzone dziecko, ale czekała ich długa i ciężka droga i dziewczyna była zawadą. Chodziło także o nóż — kiedy sobie o nim przypomniał, znów poczuł złość.

Centaine obudziła się z krzykiem na ustach. Męczył ją okropny koszmar: widziała Michaela, aie nie w płonącym samolocie, tylko na Nuage'u. Ciało ukochanego było spalone na węgiel, włosy płonęły mu niczym pochodnia. Galopujący Nuage był poraniony przez pociski, jego śnieżnobiałe boki spływały krwią, a z brzucha zwisały mu wnętrzności.

— Centaine, tam jest moja gwiazda. — Michael wskazywał przed siebie ręką, czarną niczym osmalony patyk. — Dlaczego nie podążasz za nią?

— Nie mogę, Michael! — krzyczała Centaine. — Naprawdę nie mogę.

Pogalopował pomiędzy wydmnami na południe, nie oglądając się za siebie i Centaine zawołała za nim:

— Michael, poczekaj na mnie!

Wciąż krzyczała rozpaczliwie, gdy potrząsnęły nią ostrożnie czyjeś ręce i obudziła się.

— Uspokój się, Dziecko Nam — wyszeptła H'ani łagodnie. — W twojej głowie zagościły demony snu, ale teraz już odleciały, zobacz, już ich nie ma.

Centaine nie przestawała płakać i trząść się na całym ciele. Stara kobieta położyła się obok niej, nakryła je obie ciepłą skórą, przytuliła mocno rozdygotaną dziewczynę i zaczęła głaskać ją po włosach. Po chwili Centaine opanowała się. Ciało starej Buszmenki pachniało dymem z ogniska, zwierzęcą skórą i ziołami, ale zapach nie był przykry i czując przyjemne ciepło, Centaine szybko zasnęła. Tym razem nie nawiedziły jej żadne zmary.

H'ani nie mogła zasnąć. Jako stara kobieta nie potrzebowała tyle snu co młodzi. Czuła jednak wewnętrzny spokój i zdawała sobie sprawę, jak bardzo od wielu miesięcy brakowało jej kontaktu cielesnego z drugą osobą. H'ani już jako dziecko nauczyła się, jak ważna jest bliskość innego

człowieka. Niemowlę Buszmenów wychowywało się na plecach matki, a dorośli utrzymywali bliski kontakt cielesny z innymi członkami plemienia. H'ani przypomniawszy sobie stare plemienne powiedzenie: „Samotna zebra łatwo padnie łupem lwa”. Członkowie klanu byli tak bardzo związani ze sobą, że tworzyli jakby jedną rodzinę.

Wspominając dawne czasy, H'ani poczuła ogromny smutek, który obciążył jej piersi zgryzotą zbyt trudną do zniesienia. W klanie O'wa i H'ani było dziewiętnaście osób: ich trzech synów z żonami i jedenaścioro wnucząt. Najmłodsze z wnucząt było jeszcze niemowlęciem przy piersi, a najstarsza dziewczynka miała po raz pierwszy okres, kiedy przyszła choroba.

Była to plaga, o jakiej nie słyszeli najstarsi członkowie klanu czy plemienia Sanów; tak szybka i okrutna, że H'ani do tej pory nie potrafiła tego pojąć ani się z tym pogodzić. Choroba z początku objawiła się zapaleniem gardła, które błyskawicznie przemieniło się w gorączkę. Skóra chorego aż parzyła przy dotyku, a pragnienie było silniejsze niż na pustyni Kalahari, którą Buszmeni nazywali „Wielką Suszą”.

Wtedy umarły dzieci, zaledwie w dzień czy dwa po pojawieniu się pierwszych objawów, a dorośli byli tak osłabieni chorobą, że nie mieli sił pochować maleństw i ich ciała rozkładały się szybko na słońcu.

Gorączka szybko minęła i klan uwierzył, że choroba przeminęła. Pochowano zmarłe dzieci, ale pozostali przy życiu byli jeszcze zbyt słabi, żeby zatańczyć i zaśpiewać ich duchom, które wyruszyły w podróż do innego świata.

Okazało się, że choroba zmieniła jedynie postać i nie zamierza oszczędzić nikogo z klanu. Przyszła nowa gorączka, a wraz z nią płuca chorych wypełniła woda i dorośli umierali dławiąc się własnymi wymiocinami.

Umarli wszyscy członkowie klanu poza O'wa i H'ani — nawet oni byli tak bliscy śmierci, że minęło wiele dni, zanim wrócili do sił i mogli w pełni zrozumieć stratę. Kiedy dwoje starszków odzyskało siły, zatańczyli dla duchów zmarłych, a H'ani płakała za dziećmi, których już nigdy nie miała nosić na biodrze ani usypiać swoimi bajkami.

Po tym wszystkim zaczęli wspólnie zastanawiać się nad przyczyną i znaczeniem przeżytej tragedii. Prowadzili nieustające, pełne bólu rozmowy przy ognisku, aż wreszcie O'wa stwierdził:

— Kiedy będziemy, mieć już siłę na podjęcie podróży — a wiesz, H'ani, jak ciężka czeka nas droga — udamy się do Źródła Wszelkiego Życia, gdyż tylko tam będziemy mogli pojąć znaczenie tego, co nam się wydarzyło, i dowiedzieć się, jak przeprosić rozgniewane duchy, które nas tak ciężko pokarały.

Teraz H'ani uświadomiła sobie, że tuli do siebie ciało młodej dziewczyny i smutek staruszki zelżał nieco. Poczowała, jak w jej bezpłodnym, wyniszczonym przez chorobę ciele budzi się instynkt macierzyński.

Może gniew duchów został już złagodzony, kiedy podjęliśmy tę podróż, pomyślała z nadzieją. Może duchy dadzą mi jeszcze raz w życiu usłyszeć płacz nowo narodzonego dziecka.

O świcie H'ani otworzyła jeden z rogów, które miała zawieszane na przepasce biodrowej, i silnie pachnącą maścią nasmarowała poparzone policzki, nos i wargi Centaine, a także wtarła nieco maści w siniaki i zadrapania na jej nogach i rękach, przemawiając cały czas łagodnym głosem. Następnie odmierzyła dziewczynie jej dzienną porcję wody. Centaine zatrzymała ostatni łyk w ustach, jakby to było jakieś szlachetne wino, gdy nagle dwójka Buszmenów podniosła się z ziemi i bez dalszych ceremonii ruszyła szybkim i równym krokiem na północ.

Centaine poderwała się na równe nogi i nie tracąc czasu na próby przekonania staruszków, porwała swój kij, poprawiła płócienny kaptur na głowie i podążyła za nimi. Już po pierwszym

kilometrże zauważyła, ile sił dodało jej jedzenie i picie. Z początku miała parę Buszmenów w zasięgu wzroku. Widziała, jak H'ani bada piasek włócznią, podnosi ż ziemi małża i podaje go mężowi, by po chwili wyszukać następną muszlę i zjeść w biegu jej zawartość.

Centaine zastrugała nożem koniec własnego kija i spróbowała naśladować starą kobietę, grzebiąc ostrym końcem w piasku. Szybko zorientowała się, że małże znajdują się w zagłębieniach plaży i H'ani musi znać jakiś sposób na ich odnajdowanie. Szukanie metodą na chybił trafił nie przynosiło żadnych rezultatów. Centaine ograniczyła się do miejsc, które H'ani oznaczyła dla niej dzidą i z przyjemnością wysysała sok z muszli, podążając za parą Buszmenów.

Mimo wysiłków musiała wkrótce zwolnić kroku i postaci opiekunów zaczęły się coraz bardziej oddalać, by w końcu zupełnie zniknąć jej z oczu. W południe Centaine wlokła się już krok za krokiem i czuła, że wkrótce musi odpocząć. Kiedy zdecydowała się zatrzymać, spojrzła przed siebie i w oddali rozpoznała skały, na których mieściła się kolonia fok.

Wyglądało na to, że H'ani potrafi wyczuć dokładny kres sił dziewczyny, gdyż dwójka Buszmenów czekała na nią w jaskini na cyplu. H'ani uśmiechnęła się i zaczęła szczebiotać radośnie, gdy Centaine ostatkiem sił wdrapała się na skałę i padła na ziemię przy ognisku.

H'ani podała Centaine porcję wody, prowadząc jednocześnie ożywioną dyskusję z mężem. Centaine przysłuchiwała się z zainteresowaniem rozmowie staruszków i zauważyła, że za każdym razem, gdy Buszmenka wskazywała na nią, używała słowa nam. Gesty, w jakie obfitowała dyskusja, były tak wymowne, że Centaine bez trudu pojęła, iż H'ani chce zostać na noc w tym miejscu ze względu na Centaine, podczas gdy O'wa zamierzał iść dalej.

Zwracając się do swojego męża, H'ani wydobywała z siebie zawsze ten sam dźwięk, przypominający całowanie z kłaśnięciem języka. W pewnej chwili Centaine przerwała im rozmowę i wskazując na małego Buszmena powiedziała:

— O'wa!

Dyskutująca para spojrzła na nią ze zdumieniem i zaraz zaczęli śmiać się z radości, przyklaskując jej wspaniałemu osiągnięciu.

— O'wa!

H'ani szturchnęła męża palcem w żebra i wybuchnęła śmiechem.

— O'wa!

Stary Buszmen poklepał się po piersiach i pokiwał energicznie głową. Tak jak Centaine oczekiwała, dyskusja urwała się na chwilę. Kicily minęło pierwsze podekscytowanie, Centaine wskazała na starą I obiełę.

- H'ani? — wymówiła wyraźnie trudny dźwięk.

Za trzecim razem Centaine udało się mlasnąć we właściwy sposób i H'ani zdawała się nie posiadać z rozkoszy.

— Centaine.

Centaine dotknęła własnych piersi, ale wywołało to jedynie krzykliwe protesty i machanie dłońmi.

— Dziecko Nam!

H'ani poklepała ją delikatnie po ramieniu i Centaine przystała bez oporu na nowe imię.

— Dziecko Nam — zgodziła się.

— Tak więc, czciogodny dziadku — H'ani zwróciła się zdecydowanie do męża — Dziecko Nam może być brzydkie, ale uczy się szybko i jest w ciąży. Zostaniemy tu na noc i ruszymy jutro rano. Nie ma co dłużej się kłócić.

Mrucząc pod nosem, O'wa wyszedł ze schronienia. Kiedy wrócił przed zachodem słońca, niósł

na ramieniu niedużą fokę. Centaine zdążyła na tyle wypocząć, że przyłączyła się do składania podziękowań, klaszcząc w dłonie i naśladując przejmujące okrzyki H'ani, podczas gdy O'wa tańczył wokół nich i piekącego się na ognisku mięsa.

Maść, którą H'ani posmarowała rany Centaine, okazała się wyjątkowo skuteczna i szybko przyniosła efekty. Poparzenia i bąble na twarzy zdążyły już przyschnąć, a delikatna, jasna skóra ściemniała na słońcu do koloru drzewa tekowego. Centaine nadal jednak szczytywała włosy palcami na twarz, żeby jak najbardziej osłonić ją przed palącymi promieniami.

Z każdym dniem przybywało jej sił od ciężkiej pracy, jaką stanowił całodniowy marszobieg, dzięki bogatej w proteiny diecie składającej się z mięsa morskich zwierząt. Wkrótce potrafiła wytrzymać tempo nadawane przez O'wa i nie wlokła się już z tyłu za parą Buszmenów. Ustały także dyskusje na temat wczesnych postojów. Nadażenie za parą staruszków stało się dla Centaine niemal sprawą honorową.

— Ja ci pokażę, ty stary diable — mruzczała pod nosem, świadoma dziwnej niechęci, jaką czuł do niej O'wa.

Była pewna, że to jej osłabienie, bezradność i opóźnianie marszu wywoływały te niechętnie uczucia.

Pewnego dnia, gdy mieli wyruszyć o świcie w drogę, Centaine, mimo protestów starej kobiety, wzięła połowę strusich jajek z wodą z jej torby i ułożyła je w swoim płóciennym zawiniątku. Gdy tylko H'ani zorientowała się w jej intencjach, nie tylko zgodziła się na podział ładunku, ale zaczęła docinać mężowi:

— Dziecko Nam niesie swój ciężar, jak przystało na kobietę Sanów — powiedziała z dumą.

Kiedy wyczerpała już swój repertuar drobnych złośliwości, zajęła się nauką Centaine: wskazywała dzidą przedmioty i nie ustawała, aż Centaine powtórzyła poprawnie słowo lub pokazała, że zrozumiała lekcję.

Z początku dziewczyna chciała jedynie sprawić przyjemność staruszce, ale szybko zaczęła również cieszyć się każdym nowym odkryciem. Dni marszu mijały jej teraz szybciej, w miarę jak stawała się coraz silniejsza i coraz więcej pojmowała z otaczającego ją świata.

Okazało się, że pustynia, którą dziewczyna uważała za całkowicie martwą, jest pełna życia cudownie zaadaptowanego do tych trudnych warunków. Wodorosty i podwodne rafy były schronieniem dla langust i innych morskich stworzeń. Czasami, po odpływie, znajdowali w płytkich, otoczonych skałami jeziorzyskach uwięzione stada ryb, dużych i grubych, o metalicznych, lśniących łuskach i lekko zielonkawym mięsie, które po upieczeniu na węglach smakowało lepiej niż karp.

Jednego dnia natrafili na kolonię pingwinów. Zamieszkiwały one kamienisty cypel połączony z lądem rafą, po której można było przejść na skały. Centaine wciąż nie potrafiła opanować lęku przed rekinami. Tysiące czarno-białych ptaków ulokowało się na płaskiej skale i starało się sykami i piskami odstraszyć Buszmenów zbierających do worka duże, zielonkawe jaja. Upieczone w piasku pod ogniskiem pingwinie jaja o przezroczystych, galaretowych białkach i jasnych żółtkach smakowały wybornie, ale były tak sycące, że Centaine mogła zjeść tylko jedno na raz. Zapas jaj wystarczył im na wiele dni.

Przesuwające się wydmy o ostrych krawędziach, z których obsuwały się lawiny piachu, były domem dla żyjących w piasku jaszczurek i jadowitych węży, które polowały na jaszczurki. Buszmeni łapali jaszczurki i węże, by upiec je w całości nad ogniskiem i kiedy Centaine pokonała wstręt do jadowitych gadów, przekonała się że w smaku przypominają kurczaka.

W miarę jak posuwali się na północ, wydmy przestały ciągnąć się nieprzerwaną ścianą i coraz częściej poprzecinane były dolinami. Doliny miały podłoże z twardej ziemi, równie puste i jałowej

jak piasek. H'ani zaprowadziła Centaine pomiędzy skały i pokazała jej roślinę, która do złudzenia przypominała kamień. Kiedy pogrzebały ziemi, pod małymi, szarymi listkami znalazły napęczniały bulwiasty korzeń wielkości piłki nożnej.

Centaine przyglądała się, jak H'ani rozcina kawałek korzenia kamiennym nożem, podnosi skrawki do góry i palcem wskazującym kciukiem wyciska niczym krowie wymię przy dojeniu. Mleczny sok ściekał jej po palcach do otwartych ust, a kiedy wycisnęła ostatnią i ople, otarła sobie twarz i ręce wilgotnymi ścinkami, uśmiechając się płomiennie z radości.

Centaine szybko zrobiła to samo. Sok miał gorzki smak chininy, ile przełamawszy wstręt, dziewczyna przekonała się, że lepiej zaspokaja pragnienie niż woda. Kiedy otarła mokrą miazgą twarz i ręce, skóra wysuszona przez słońce, wiatr i sól zdawała się odżywać i nabrała dawnej jędrności. Po raz pierwszy od czasu zatopienia okrętu Centaine poczuła własne ciało.

Tego wieczora, kiedy obie kobiety siedziały przy ognisku, czekając, aż będzie gotowa potrawa ze skałoczepów pociętych na małe kawałki, Centaine ułamała kawałek patyka i zaczęła nim czyścić sobie zęby. Następnie przetrła je jeszcze raz palcem wskazującym umoczonym w kryształkach soli, które zdrapała ze skał. H'ani przyglądała jej się ze zrozumieniem i kiedy zjadły wieczorny posiłek, usiadła za Centaine i przemawiając do niej cicho, zaczęła rozplątywać końcem patyka potargane włosy i układać je na nowo w loki.

Centaine obudziła się, gdy było jeszcze ciemno, z przekonaniem, że w nocy zaszła jakaś istotna zmiana w jej otoczeniu. Mimo że wieczorem do ogniska dołożono drewna, płomień wydawał się dziwnie zduszony, a podekscytowane głosy H'ani i O'wa brzmiały jak stłumione, jakby dochodziły z daleka. Powietrze było zimne i wilgotne i dopiero po dłuższej chwili Centaine zorientowała się, że w nocy znad morza nadciągnęła gęsta mgła i otoczyła ich obozowisko.

H'ani aż podskakiwała z niecierpliwości.

— Chodź, Dziecko Nam, szybko.

Słownik języka buszmeńskiego Centaine składał się już z jakichś stu najważniejszych słów. Dziewczyna prędko podniosła się z ziemi.

— Weź. Nieś.

H'ani wskazała płócienny worek ze strusimi jajami, porwała własną torbę i zniknęła we mgle. Centaine musiała biec, żeby nie stracić jej z oczu, gdyż perłowa mgła zakrywała całą plażę.

W dolince pomiędzy wydmami Buszmenka opadła na kolana.

— Spójrz, Dziecko Nam.

Schwyciła Centaine za rękę i pociągnęła ją na ziemię, pokazując pustynną roślinę o liściach przylegających płasko do ziemi. Gładki, gruby naskórek pokrywający liście przypominające kamienie, upodobił się do podłoża.

— H'ani, woda! — wykrzyknęła uradowana Ceątaine.

— Woda, Dziecko Nam! — zachichotała wesoło H'ani.

Mgła skropliła się na gładkiej powierzchni i rosa spłynęła po liściach do zagłębienia, w miejsce, gdzie krótkie łodyżki znikają w ziemi. Roślina była idealnie przystosowana do zbierania wody i Centaine zrozumiała teraz, w jaki sposób podziemny korzeń uzupełniał zapas wilgoci w czasie mgły.

— Szybko! — poleciła H'ani. — Słońce przyjdzie wkrótce. Ustawiła jedno z pustych jaj na ziemi i wyjęła zatyczkę. Garstką zwierzęcej sierści wytarła malutką sadzawkę na dnie rośliny i wycisnęła ostrożnie wodę do jajka. Po tym pokazie wręczyła Centaine drugą garść sierści.

— Pracuj! — rozkazała.

Przechodząc od jednej rośliny do drugiej, Centaine zbierała wodę tak samo sprawnie jak stara kobieta, słuchając jej wesołego gadania, z którego rozumiała zaledwie kilka słów.

— To prawdziwe błogosławieństwo. To łaskawe duchy zesłały nam wodny dym znad morza. Teraz podróż do Źródła Wszelkiego Życia nie będzie już tak ciężka. Bez wodnego dymu mogliśmy wszyscy zginąć. Duchy ułatwiły nam drogę — może twoje dziecko narodzi się w Źródle Wszelkiego Życia. Cóż to byłoby za wspaniały dar! Wtedy twoje dziecko byłoby już na całe życie specjalnie naznaczone przez duchy. Twój syn stałby się najdzielniejszym myśliwym, najlepszym śpiewakiem, najzręczniejszym tancerzem i najszcześniejszym człowiekiem z całego klanu.

Centaine niewiele z tego rozumiała, ale śmiała się ze starą kobietą, czując prawdziwą radość i lekkość w sercu. Dźwięk własnego śmiechu z początku ją zdziwił, tyle już minęło czasu, odkąd ostatni raz się śmiała. Odpowiedziała starej kobiecie po francusku.

— H'ani, zaczynałam już nienawidzić ten okrutny ład. Po tym, gdy tak bardzo czekałam, żeby go ujrzeć, po tych wszystkich cudach, które mi opowiadał Michael i jakie wyczytałam w książkach, Afryka okazała się wroga, okrutną i złośliwa.

Słyszając ton jej głosu H'ani zastygła z kłębkami sierści nad jajkiem i niepewnie spojrzała dziewczynie w twarz.

— To pierwszy raz, kiedy się roześmiałam, od czasu, gdy jestem w Afryce. — Centaine znowu wybuchnęła śmiechem i H'ani zachichotała z ulgą, wracając do pracy. — Dzisiaj Afryka po raz pierwszy pokazała mi, że potrafi być łagodna. — Centaine podniosła nasiąkniętą sierść do ust i wysssała z niej zimną wodę. — To jest upccjalny dzień, H'ani, dla mnie i mojego dziecka.

Kiedy wszystkie jajka były napełnione po brzegi wodą, obie kobiety zbierały rosę, aż całkowicie zaspokoily pragnienie. Dopiero wtedy Centaine rozejrzała się wokoło i zaczęła doceniać, jak wiele znaczy mgła dla mieszkańców pustyni.

Z głębokich mrowisk pod piaskiem wybiegły na powierzchnię czerwone mrówki. Robotnice biegały od rośliny do rośliny, wysysając rosę, aż ich brzuchy napęczniały, jakby zaraz miały popękać. Przy wejściu do mrowiska zgromadziły się mrówki, które wyprawiały w świat królowe wraz ze świtą. Małe mrówki wznosiły się grupami w wilgotne powietrze na białych, kruchych skrzydełkach. Większość / nich miała zginąć na pustyni, ale nieliczne przetrwają i założą nowe mrowiska.

Pustynne jaszczurki zeszyły z wydm i zrobiły sobie ucztę z krzątających się w pośpiechu mrówek. Po twardej ziemi doliny skakały na nieproporcjonalnie wyrosniętych tylnych nogach małe, czerwone gryzonie niczym miniaturowe kangury.

— H'ani, co to takiego?

Centaine wypatrzyła owada wielkości szarańczy, który stał na głowie. Rosa skraplała się srebrnymi kropelkami na jego lśniącym pancerzu i wolno spływała szczelinami ciała do rozwartego, haczykowatego dzioba.

— Smaczne jedzenie — stwierdziła H'ani, wkładając owada do ust i żując go z widoczną przyjemnością.

Centaine roześmiała się.

— Jesteś kochana i taka śmieszna. — Z zaciekawieniem podglądała sekrety pustynnego życia. — Jakim czarującym kontynentem jest Afryka. Dopiero teraz zaczynam pojmwować, co Michael starał się mi powiedzieć.

Z prawdziwie afrykańską szybkością, która nie zaskakiwała już tak Centaine, pogoda zmieniła się w jednej chwili. Zasłony mgły opadły, wyrzało słońce i już po kilku minutach mieniące się w promieniach krople rosy wyparowały z powierzchni liści. Mrówki pochowały się pod ziemią zasypując za sobą wejścia do mrowiska. Jaszczurki uciekły na wydmy zostawiając na piasku białe skrzydełka pożartych mrówek, które zaraz wiatr uniósł w powietrze.

Jaszczurki, nieruchawe na zimnej mgle, z początku ogrzewały się na nasłonecznionych stokach

wydm, ale wkrótce upał stał się trudny do zniesienia i zwierzęta pochowały się w cieniu. W południe, kiedy słońce prażyło z całą siłą, jaszczurki znikły pod piaskiem i wcisnęły się w chłodne szczeliny.

H'ani i Centaine założyły worki z jajami na plecy i lekko zgięte pod ciężarem zebranej wody wróciły na plażę. O'wa był już w obozie i piekł nad ogniskiem kilka tłustych jaszczurek, a na skale spoczywał worek wypełniony czerwonymi pustynnymi skoczkami.

— Mężu, jakim jesteś wspaniałym żywicielem. — H'ani położyła worek z pojemnikami na skale, żeby lepiej pochwalić męża. — Z pewnością nigdy żaden myśliwy nie dorównałby twoim zdolnościom!

O'wa pysznił się pochlebstwami żony niczym paw i stara kobieta ukradkiem odwróciła głowę i mrugnęła porozumiewawczo do Centaine.

Oni wszyscy są jak mali chłopcy, mówiło jej uśmiechnięte spojrzenie. Od ośmiu do osiemdziesięciu lat pozostają zawsze dziećmi.

Centaine śmiała się, klaskała w dłonie i chwaliła O'wa.

— O'wa dobry! O'wa sprytny!

Stary mężczyzna pochylił głowę, a na jego twarzy zagościła poważna i dumna mina.

Księżyc szykował się za cztery, pięć dni do pełni i w nocy było tak jasno, że pod wydmami spoczywały purpurowe cienie. Poranna mgła poruszyła całą trójkę tak bardzo, że nikt nie mógł zasnąć i Centaine przysłuchiwała się rozmowie starych Busz-menów, starając się od czasu do czasu włączyć do dyskusji.

Udało jej się już opanować cztery podstawowe młaśnięcia języka Sanów i gardłowy dźwięk, który przypominał odgłos, jaki wydaje duszony człowiek. W dalszym ciągu miała jednak kłopoty ze zrozumieniem różnic w tonacji. Różnice te były zupełnie niesłyszalne dla ucha Europejczyka i dopiero w ciągu ostatnich dni Centaine zdała sobie sprawę z ich istnienia. Wcześniej dziwiła się, kiedy H'ani zdawała się powtarzać te same słowa i denerwowała się, gdy Centaine nie zauważała różnic w wymowie. Zupełnie nieoczekiwanie, jakby ktoś otworzył jej uszy, Centaine usłyszała wyraźnie pięć różnych modulacji: wysoką, średnią, niską, wznoszącą się i opadającą, które nie tylko zmieniały znaczenie słowa, ale także jego stosunek do reszty zdania.

Próby nadażenia za mówiącymi były trudne i Centaine siedziała blisko H'ani, żeby cały czas obserwować jej usta, gdy nagle jęknęła głośno i schwyciła się za brzuch.

- Poruszyło się! — W głosie Centaine słychać było radosne linienie. — Poruszyło się, moje dziecko się poruszyło! Hani pojęła natychmiast, co się stało, schyliła się, podniosła płócienną spódnice Centaine i poklepała dziewczynę po brzuchu. Głęboko w jej ciele dziecko znowu kopnęło gwałtownie.

— Aj! Aj! — wykrzyknęła przenikliwie zachwycona H'ani. — Kopie jak dzika zebra! — Z jej skośnych oczu pociekły łzy i ości i spływając po pomarszczonej skórze policzków, lśniły niczym diamenty w świetle ogniska i księżyca. — Jaki silny! Taki dzielny i silny! Zobacz sam, dziadku!

O'wa nie mógł odmówić takiemu zaproszeniu. Centaine klęcząc przy ognisku z sukienką zadartą ponad nagi brzuch, nie czuła wcale wstydu przy dotyku ręki małego Buszmena.

— To jest wyjątkowa okazja — powiedział uroczyście O'wa. — zatańczę, żeby uczcić ten moment.

Wstał i zaczął tańczyć przy świetle księżyca dla nie narodzonego dziecka Centaine.

Księżyc zanurzył się w ciemnym, śpiącym morzu, ale niebo nad lądem nabierało szybko koloru dojrzałej poma-i;ńczy. Po przebudzeniu Centaine tylko kilka sekund leżała nieruchomo. Zdziwiło ją, że dwójka Buszmenów śpi jeszcze przy wygasłym ognisku. Wstała jednak szybko, wiedząc, że

podróż rozpocznie się, zanim wstanie słońce.

W bezpiecznej odległości od obozu załatwiła się, zrzuciła z siebie porwane ubranie i wbiegła do morza. Zimna woda pozbawiła dziewczynę na chwilę oddechu, ale zaraz wzięła się do szorowania ciała żółtym piaskiem i obmywała się w zielonych falach. Potem naciągnęła na siebie płócienne ubranie i wróciła do obozowiska. Dwójka starszków leżała nieruchomo w skórzanych derkach i Centaine ogarnęła już panika, gdy nagle H'ani zakaszła przez sen i poruszyła się.

Przynajmniej żyją — Centaine uśmiechnęła się do siebie i zebrała swoje rzeczy, dumna, że to ona pierwsza wstała tego ranka, gdyż zazwyczaj stara kobieta musiała ją budzić. H'ani znowu się poruszyła i wymamrotała coś sennie.

— Czekaj, odpoczywaj, śpij — wyłowiła kilka słów Centaine.

H'ani ułożyła się na ziemi i naciągnęła skórę na głowę. Centaine nie posiadała się ze zdziwienia. Dołożyła patyków do ognia, rozdmuchała żar i siedziała cierpliwie.

Wenus, gwiazda poranna, wisiała nad samymi szczytami wydm, ale wraz z przybywającym światłem wstającego słońca zbladła i znikła z nieba. Dwójka Sanów nie zamierzała się obudzić i Centaine poczuła irytację na nieoczekiwaną beczynność. Nabrała już tyle sił, że z niecierpliwością oczekiwała całodziennego wędrowki.

Dopiero gdy słońce wzniosło się nad wydmy, H'ani usiadła, czknęła i podrapała się po głowie.

— Idziemy? — Centaine użyła wznoszącej się intonacji, żeby nadać słowu formę pytającą.

— Nie, nie. — H'ani zaprzeczyła pomagając sobie machnięciami dłońmi. — Czekaj — noc — księżyc — iść tam.

H'ani kilka razy wskazała w stronę wydm.

— Pójdziemy w głąb lądu? — zapytała Centaine, nie będąc pewna, czy dobrze zrozumiała.

— Pójdziemy w ląd — potwierdziła H'ani i Centaine poczuła dreszcze.

A więc w końcu mieli opuścić brzeg morza.

— Pójdziemy teraz? — dopytywała się niecierpliwie. Dwukrotnie w ciągu ostatnich kilku dni, kiedy rozbili na plaży obóz, Centaine wdrapywała się na szczyt najbliższej wydmy i długo spoglądała w głąb lądu. Jednego razu miała wrażenie, że dostrzega zarys niebieskich gór na tle wieczornego nieba, i czuła, jak rodzi się w niej pragnienie poznania wnętrza tego tajemniczego kontynentu.

— Pójdziemy teraz? — powtórzyła, a O'wa, który przykucnął przy ognisku, roześmiał się drwiąco.

— Małpka chce spotkać leoparda — powiedział — ale jak będzie krzyżeć, gdy go w końcu zobaczy!

H'ani uciszyła go i zwróciła się do Centaine:

— Teraz odpoczywamy. Dzisiejszej nocy rozpoczniemy najtrudniejszą część naszej podróży. Dziś w nocy, Dziecko Nam, czy rozumiesz, co do ciebie mówię? W nocy księżyc oświetli nam drogę. Musimy iść nocą, gdyż żaden mężczyzna ani kobieta nie przejdzie przez śpiewające piaski w blasku słońca. W nocy. Teraz odpocznij.

— Dziś w nocy — powtórzyła Centaine. — Teraz odpocząć. Opuściła jednak obóz i wspięła się po usuwającym się spod nóg piasku na szczyt pierwszej wydmy. Sześćdziesiąt metrów niżej siedzące przy ognisku dwie postacie zdawały się nic nie znaczącymi plamkami wśród morza piasków. Centaine spojrzała w stronę lądu i stwierdziła, że wydma, na którą się wdrapała, jest zaledwie częścią pasma olbrzymich gór piaskowych.

W słonecznych promieniach pagórki przybierały kolory od cytrynowo-żółtego, przez złoty i pomarańczowy aż po purpurowo-brązowy i ciemny song de boeuf. Centaine zdawało się, że dostrzega za łańcuchem wydm zarys gór o skalistych szczytach. Kiedy patrzyła na pustynię, horyzont

stał się mlecznoniebieski, zaczął drzeć i rozplýwać mi; a Centaine poczuła napierający żar pustyni. Był to zaledwie ilelikatny podmuch gorąca, ale cofnęła się jak od rozgrzanego pieca. Wydmy zniknęły za falującymi zasłonami rozpalonego powietrza.

Centaine odwróciła się i zeszła na plażę. Zauważyła, że ani H'ani, ani O'wa nigdy nie są zupełnie bezczynni. Stary mężczyzna ostrzył groty do strzał z kości zwierząt, a jego żona układała kolejny naszyjnik. Wybierała koraliki z połamanych muszelek, przedziurawiała je kościaną igłą i nawlekała pomiędzy dwoma kamykami na kawałek jelita.

Przyglądając się pracującej kobiecie, Centaine przypomniała sobie nagle Annę. Wstała szybko z ziemi i znowu opuściła obóz. H'ani oderwała się na chwilę od roboty.

— Dziecko Nam jest nieszczęśliwe — powiedziała.

— W jaskach jest woda, a żołądek ma napełniony jedzeniem — mruknął O'wa, nie przestając ostrzyć grotów. — Nie ma powodu być nieszczęśliwa.

— Tęskni za własnym klanem — szepnęła H'ani.

Stary mężczyzna nic nie odpowiedział. Oboje rozumieli te uczucia i w bolesnej ciszy wspominali zmarłych bliskich, których zostawili w płytkich grobach w buszu.

— Jestem już silna — powiedziała do siebie Centaine. — Nauczyłam się, jak przeżyć na pustyni. Nie muszę już iść z nimi, mogłabym zawrócić i sama podążyć na południe.

Stała niezdecydowana wyobrażając sobie, jak by to wyglądało. Zdecydowało jedno słowo: „sama”.

— Samotna — powtórzyła na głos. — Gdyby tylko Anna żyła, gdybym tylko miała dokąd się udać, wtedy mogłabym spróbować. — Usiadła ciężko na plaży i objęła nogi rękami. — Nie mam dokąd wracać. Muszę iść naprzód. Będę żyć z dnia na dzień jak zwierzę, jak dzika z dzikusami. — Spojrzała na porwane szmaty, które nie zakrywały jej ciała. — Muszę iść naprzód, a nawet nie wiem dokąd. — Czowała, że nachodzi ją rozpacz grożąca odebraniem całej dotychczasowej odwagi. Musiała ją zwalczać jak żywego wroga. — Nie poddam się — mruknęła zawzięcie. — Po prostu się nie poddam, a kiedy to się skończy, nigdy już nie będę musiała niczego pragnąć. Nigdy nie będę spragniona, głodna, nie będę musiała nosić szmat i śmierdzących skór, — Spojrzała na swoje dłonie: paznokcie miała czarne od brudu i połamane. Zacisnęła dłonie w pięść. — Nigdy więcej. Mojemu synowi i mnie nigdy nie będzie niczego brakować. Przysięgam.

Zmierzchało już, gdy wróciła do obozowiska pod wydrami. H'ani spojrzała na nią i rozpromieniła się niczym stara małpka. Centaine poczuła przyływ uczucia do tej obcej kobiety.

— Kochana H'ani — szepnęła. — Tylko ty jedna mi zostałeś. Stara kobieta wstała z ziemi i podeszła do niej z naszyjnikiem z muszelek w dłoniach, Wspięła się na palce, założyła Centaine naszyjnik przez głowę i ułożyła jej na piersiach, paplając wesoło, bardzo zadowolona ze swojego dzieła.

— H'ani, jest piękny — powiedziała ochryłym głosem Centaine. — Dziękuję, dziękuję ci bardzo. — Nagle do oczu napłynęły jej łzy i rozplakała się. — A ja nazwałam cię dzikuską! Proszę, wybac mi. Ty i Anna jesteście najbardziej kochanymi, najdroższymi mi osobami na świecie.

Uklękła na ziemi i przytuliła z całych sił malutką staruszkę, przyciskając twarz do zwiędłych policzków H'ani.

— Czemu ona płacze? — zapytał siedzący przy ogniu O'wa.

— Ponieważ jest szczęśliwa.

— To jest wyjątkowo głupi powód — zawyrokował O'wa. — Myślę, że ta kobieta jest trochę zwariowana.

Wstał i potrząsając głową, zaczął czynić ostatnie przygotowania do podróży.

Centaine zauważyła, że dwójka starych ludzi zachowuje się wyjątkowo poważnie w czasie sprawdzania bagaży i ubrań. H'ani podeszła do Centaine i obejrzała wiązania torby, następnie uklękła i poprawiła płócienne buty na nogach dziewczyny.

— Co się stało?

Owa dziwna powaga sprawiła, że Centaine czuła się niepewnie. H'ani zrozumiała pytanie, ale nie trudziła się wyjaśnianiem niczego. Kazała Centaine iść za sobą i obie stanęły za O'wa.

O'wa podniósł głos.

— Duchu Księżycu, podaruj nam światło w nocy, żebyśmy mogli znaleźć drogę. — Wymówił te słowa łamiącym się falsetem, który tak podobał się duchom, i wykonał kilka posuwistych tanecznych kroków na piasku. — Duchu Wielkiego Słońca, śpij dobrze, a kiedy jutro wstaniesz, nie złość się, żeby twój gniew nie spalił nas na popiół wśród śpiewających wydm. Kiedy przejdziemy pustynię i dotrzemy do studni, zaśpiewamy i zatańczymy ci w podzięce.

O'wa zakończył dziękczynny taniec kilkoma podskokami i tupnięciami niewielkich stóp. To powinno na razie wystarczyć, wraz z obietnicą uiszczenia całej zapłaty, gdy duchy ze swojej strony dotrzymają warunków umowy.

— Chodźmy, babciu — powiedział do żony. — Pilnuj, żeby Dziecko Nam nie zostało z tyłu. Wiesz dobrze, że nie będziemy mogli nią wrócić, jeśli się zgubi.

Po tych słowach ruszył szybkim, chybotliwym truchtem w górę plaży w stronę wejścia do doliny. Księżyc wznosił się nad ciemniejący horyzont i rozpoczął wędrówkę po gwiazdnym niebie.

Podróż nocą wydawała się Centaine wyjątkowo dziwna. Pustynia stała się bardziej tajemnicza, zalane srebrnym światłem, a osłonięte purowymi cieniami wydmy wydawały się wyższe i groźniejsze. Doliny pomiędzy nimi przypominały zamarte, milczące kaniony, i zasypane gwiazdami Mlecznej Drogi i rozjaśnione księżycem niebo było tak jasne i wisiało tak nisko, że Centaine nie dowierzała własnym niżom. Miała wrażenie, że gdyby wspięła się na palce i wyciągnęła rękę, mogłaby zerwać garść gwiazd niczym kiść winogron z drzewa.

Długo po tym, jak stracili z oczu ocean, czuli jeszcze jego obecność. Suchy szelest stóp na piasku przypominał szum fal uderzających miękko o złoty brzeg, a powietrze było chłodne od zielonych wód.

Księżyc sięgał już zenitu, gdy Centaine odniosła nagle wrażenie, że wpada w falę gorąca. Po chłodnym nadmorskim powietrzu żar pustyni zdawał się tworzyć ścianę nie do przebycia. Centaine zachłysnęła się ze zdziwienia, a H'ani, nie zwalniając kroku, mruknęła pod nosem:

— Zaczyna się.

Szybko jednak minęli pierwszą przeszkodę, za którą powietrze było tak zimne, że Centaine przeszły dreszcze i szczerzej okryła się płóciennym ubraniem.

Dolina wiała się zakrętami i kiedy minęli krawędź wysokiej wydmy, na której cienie spoczywały niczym czarne siniaki, pustynia znowu tchnęła na nich żarem.

— Nie zostawaj z tyłu, Dziecko Nam.

Jednak gorące powietrze było ciężkie i zwarte i Centaine czuła się, jakby brodziła w napierającej zewsząd lawie. O północy było bardziej gorąco niż w łaźni w Mort Homme, gdy piec był wypełniony dębowymi szczapami. Przy każdym oddechu czuła, jak gorące powietrze przenika do wnętrza jej ciała, by zaraz uciec, kradnąc wilgoć niczym złodziej.

Podczas nocy zatrzymali się tylko raz, i to na krótko, żeby napić się wody. O'wa i H'ani przyglądali się Centaine, kiedy podnosiła jajko do ust, ale nie potrzebowali więcej jej napominać ani pilnować.

Kiedy horyzont zaczął się przejaśniać, O'wa zwolnił nieco kroku i raz czy dwa zatrzymał się i

uważnie przyjrzał się wydmom. Było jasne, że szuka miejsca, w którym mogliby przeczekać upał dnia. Zatrzymali się wreszcie u podnóża wysokiej i stromej wydmy.

Wokoło nie było nic, co nadawałoby się do rozpalenia ogniska i H'ani zaproponowała Centaine kawałek suszonej ryby owiniętej w wodorosty, ale dziewczyna była zbyt zmęczona i rozgrzana, żeby móc cokolwiek przełknąć. Zresztą bała się, że jedzenie zaostrzy jej pragnienie w ciągu dnia, Wypiła swoją porcję wody, podniosła się z ziemi i oddaliła się na stronę. Gdy tylko przykucnęła, H'ani krzyknęła na nią ostro i podbiegła.

— Nie! — powtórzyła.

Centaine spojrzała zdziwiona i zaambarasowana. H'ani wyjęła z torby pustą tykwę, której używała jako naczynia, i podała ją dziewczynie.

— Weź to...

Centaine nie wiedziała, co ma robić z naczyniem, aż zniecierpliwiona H'ani wyrwała jej tykwę z rąk i trzymając ją pomiędzy nogami, załatwiła się szybko.

— Zrób tu.

Ponownie podała naczynie Centaine.

— H'ani, nie mogę, nie przy was — zaprotestowała wstydliwie Centaine.

— O'wa, chodź tutaj! — zawołała H'ani. — Pokaż temu dziecku. Stary Buszmen podszedł do nich i głośno zademonstrował sposób użycia tykwy.

Mimo całego zmieszania Centaine poczuła ukłucie zazdrości. O ile prościej, pomyślała.

— No, rób!

H'ani po raz trzeci wręczyła jej naczynie i Centaine poddała się. Odwróciła się wstydliwie i słysząc głośne zachęty Buszmenów, dodała cienkim strumykiem swoją porcję moczu do tykwy. H'ani z triumfalną miną zabrała dziwny nocnik.

— Pośpiesz się, Dziecko Nam — skinęła na Centaine. — Słońce wkrótce wstanie.

Pokazała Centaine, jak wykopać płytki dołek w ziemi, w którym miała przeczekać dzienny skwar.

Promienie słońca padły na krawędź wydmy wznoszącej się po przeciwległej stronie wąwozu i fala ciepła odbiła się od niej jak od polerowanego brązu. Wszyscy ułożyli się w wykopanych rowach.

Słońce wznosiło się szybko i pas cienia stopniowo malał. Żar wypełnił wąwóz srebrnymi mirażami i zdawało się, że wydmy tańczą w płomieniach słońca. Niedługo później piaski zaczęły śpiewać. Wydmy wydawały niski, przejmujący, wibrujący dźwięk i odnosiło się wrażenie, że cała pustynia jest jednym gigantycznym instrumentem. Dźwięk narastał, by zaraz ścichnąć, umilknąć i znów się odezwać.

- Piaski śpiewają — powiedziała H'ani i Centaine zrozumiała ją.

Przyłożyła ucho do ziemi i słuchała tej dziwnej, przejmującej muzyki.

Upał się wzmagał i idąc za przykładem Sanów, Centaine nakryła głowę płóciennym szalem. Było zbyt gorąco, żeby mogła zasnąć, ale ogarnęło ją przytłaczające otępienie i stawiała czoło falom gorącego powietrza jak gdyby znajdowała się na wzburzonym morzu.

Zrobiło się jeszcze goręcej i kiedy słońce stanęło w zenicie, cień zniknął i zdawało się, że nie ma żadnej kryjówki przed palącymi promieniami. Centaine leżała i dyszała jak zmęczone zwierzę. Przy każdym szybkim, płytkim oddechu czuła, jak żar pali ją w gardło i pozbawia sił jej ciało.

Nie może być już gorzej, powiedziała sobie w duchu. To zaraz się skończy i zrobi się chłodniej.

Myliła się. Upał ciągle się wzmagał i pustynia syczała jak torturowane zwierzę. Centaine bała się podnieść powieki, żeby żar nie spalił jej oczu.

Usłyszała, jak stara kobieta wstaje z ziemi. Podniosła rąbek szala zobaczyła, że H'ani miesza

mocz z tykwy z piaskiem. H'ani podeszła z naczyniem do Centaine i zaczęła ją okładać mokrym piaskiem.

Centaine aż jęknęła z ulgi przy chłodnym dotyku piachu. Zanim płyn zdążył wyschnąć w promieniach słońca, H'ani zagrzebała ją w suchym piasku po szyję, jak to robią dzieci w czasie zabawy na plaży.

— Dzięki, H'ani — wyszeptała Centaine, a stara kobieta pośpieszyła do swojego męża.

Obłożona mokrą breją i ochronną warstwą suchego piasku Centaine przetrwała najgorętsze godziny upalnego dnia. Z prawdziwie afrykańską szybkością temperatura zaczęła spadać i dziewczyna poczuła powiew chłodniejszego powietrza na policzku. Słońce przeistoczyło się z oślepiająco białej kuli w żółty jak masło krąg.

Po zachodzie słońca podnieśli się z dołów i otrząsnęli z piasku. Po kolei wypili porcje wody, ale Centaine znowu nie mogła zmusić się do jedzenia, potem zaś O'wa poprowadził je przez pustynię.

Nocna wędrówka tym razem nie przyniosła fascynującego, tajemniczego nastroju i obsiany gwiazdami nieboskłon stracił cały swój urok. Centaine spoglądała na księżyc jedynie po to, żeby zorientować się, jak długo trwa już męczący marsz.

Ziemia pod ich stopami wyraźnie stwardniała. Piasek, w którym przy każdym kroku grzęzły nogi, ustąpił miejsca twardym skrawkom miki, tak zwanym „różom pustyni”, których ostre krawędzie przecinały płócienne sandały Centaine. Zatrzymała się na chwilę, żeby porządnie je zawiązać. Wkrótce minęli równinę, przeszli po grzbiecie niskiej wydmy i z jej szczytu ujrzeli następną dolinę otwierającą się przed nimi.

O'wa ani przez chwilę nie wahał się nad wyborem drogi. Centaine wiedziała, że wędrujące wydmy zmieniają kształty i przemieszczają się wraz z wiatrem, ale mały Buszmen poruszał się wśród nich jak doświadczony sternik na morzu.

Milczenie pustyni wypełniało uszy Centaine niczym płynny wosk, ogłuszając ją szumem nicości niczym morska muszla przyłożona do ucha.

Czy te piaski nigdy się nie skończą? — zapytywała sama siebie. Czy na tym kontynencie są tylko wydmy?

O świcie zatrzymali się na dzienny wypoczynek i wykopali rowy, w których mieli spędzić najgorętsze godziny dnia. W południe Centaine skryła się pod warstwą mokrego od moczu piachu i leżąc nieruchomo czuła, jak dziecko porusza się gwałtowniej niż zazwyczaj, jakby wraz z nią walczyło z upałem i pragnieniem.

— Spokojnie, moje kochanie — szepnęła do syna. — Oszczędzaj siły. Musimy się nauczyć, jak żyć na tej ziemi, tak aby nigdy więcej nie musieć niczego pragnąć. Nigdy więcej.

Tego wieczora, kiedy podniosła się z piasku, Centaine zjadła odrobinę suszonej ryby, raczej ze względu na dziecko niż na siebie. Tak jak się obawiała, pragnienie szybko stało się wręcz nieznośne, ale za to nabrała sił, żeby znieść następną długą noc.

Nie traciła sił na rozmowy. Cała trójka oszczędzała siły i wilgoć, nie wykonując żadnych niepotrzebnych gestów ani nie odzywając się do siebie. Kiedy Centaine spojrzała na rozjaśniające się światłem gwiazd niebo, dojrzała gwiazdę Michaela oddzieloną od jej własnej przez Gwiazdę Południa.

Niech to się skończy, poprosiła w myślach gwiazdę Michaela. Niech to się skończy jak najszybciej, gdyż nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

Pustynia nie miała jednak zamiaru się kończyć i Centaine doznała wrażenia, że noce stają się coraz dłuższe, piasek coraz głębszy trudniejszy do przebycia, a upał w ciągu dnia coraz bardziej nieznośny, gdy promienie słońca uderzały w wędrujących z siłą młotów kowalskich spadających na rozgrzany metal. Straciła rachubę dni i nocy, które zlały się w jej pamięci w jeden nieprzerwany ciąg nieznośnego upału i pragnienia. Ile to już dni: pięć, sześć, a może siedem? — zastanawiała się w

myślach i policzyła puste jajka-butelki. Chyba sześć dni, zdecydowała. Zostały tylko dwa jaja z wodą.

Centaine i H'ani umieściły po jednej pełnej butelce w swych tobołkach, rozdzielając resztę ciężarów sprawiedliwie pomiędzy siebie, zjadły ostatnie kawałki suszonej ryby i wstały, by zmierzyć się oczekującą je nocną wędrówką. Jednak tym razem nie wyruszyli natychmiast w drogę.

O'wa spoglądał przez chwilę na wschód, odwracając się na boki, jakby gdyby czegoś nasłuchiwał i po raz pierwszy dziewczyna wyczuła lekki cień niepewności w tym, jak kręcił głową, otoczoną wieńcem strzał niby koroną. Potem zaczął łagodnie śpiewać; po chwili Centaine zrozumiała, że zwracał się do duchów specjalnym, przeznaczonym dla nich tonem.

— Duchu wielkiej Gwiazdy Lwa — O'wa wpatrywał się w Syriusza, lśniącego w konstelacji Psa Wielkiego. — Tylko ty możesz dostrzec nas tutaj, gdyż inne duchy unikają krainy śpiewających piasków. Jesteśmy sami, a wędrówka okazała się trudniejsza, niż zapamiętałem ją z czasów, gdy byłem młody. Nasza ścieżka zniknęła w mrokach nocy, ale ty, wielki duchu Lwiej Gwiazdy, masz bystry wzrok sępa i możesz ją odnaleźć. Poprowadź nas więc, błagam. Wskaż nam drogę przez pustynię.

Potem wziął jajko z torby H'ani, wyjął zatyczkę i wylał trochę wody na piasek. Utworzyły się małe, okrągłe wgłębienia, a Centaine wydała krótki, gardłowy jęk i padła na kolana.

— Spójrz, duchu wielkiej Gwiazdy Lwa, dzielimy się z tobą wodą — zaśpiewał O'wa i zamknął butelkę.

Centaine nadal wpatrywała się w wilgotne krążki na piasku i jęknęła znowu.

— Spokojnie, Dziecko Nam — szepnęła do niej H'ani. — Aby otrzymać specjalne dobrodziejstwo, trzeba czasami poświęcić coś najcenniejszego.

Ujęła Centaine za rękę i łagodnie pomogła dziewczynie wstać, po czym podążyły za O'wa przez nie kończące się piaski.

Ogłuszona martwą ciszą, przytłoczona fizycznym znużeniem i umęczona pragnieniem Centaine zmusiła się do marszu, tracąc poczucie czasu, odległości i kierunku. Nie widziała nic poza dwiema biegnącymi przed nią figurkami, które w świetle księżyca przypominały nocne zjawy.

Zatrzymali się tak gwałtownie, że Centaine wpadła na H'ani i przewróciłaby się na ziemię, gdyby stara kobieta jej nie podtrzymała. Ostrożnie pociągnęła dziewczynę na piasek.

— Co... — zaczęła Centaine, ale H'ani położyła dłoń na jej ustach.

O'wa położył się obok nich i kiedy Centaine przestała ciężko dyszeć, wskazał coś za grzbietem wydmy, na której spoczywali.

Sześćdziesiąt metrów poniżej zaczynała się równina zalana miękką srebrną poświatą księżycową. Równina ciągnęła się jak okiem sięgnąć, płaska, bez końca i Centaine poczuła przypływ nadziei na myśl, że wydmy wreszcie się skończyły. Na równinie stał las porozrzucanych martwych drzew. Trupioszare pnie w świetle księżyca wznosiły ku obojętnemu niebu powykręcane, uschnięte gałęzie, niczym kalecy zebracy ręce. Niesamowita scena wzbudziła w Centaine przesądny lęk, kiedy zaś coś dużego i bezkształtnego poruszyło się pomiędzy drzewami niczym mitologiczny potwór, Centaine zadrżała i przytuliła się do H'ani.

Dwójka Buszmenów aż drżała z podniecenia niczym dwa psy myśliwskie na smyczy. H'ani potrząsnęła lekko ręką Centaine i wskazała coś w milczeniu. Kiedy oczy dziewczyny dostosowały się do rozproszonego światła, zobaczyła, że pomiędzy drzewami znajduje się więcej owych sylwetek, nieruchomych niczym wielkie głazy. Naliczyła pięć sztuk.

Leżący na boku O'wa naciągnął swój niewielki łuk myśliwski i kiedy sprawdził napięcie cięciwy, wybrał dwie strzały ze skórzanej opaski na głowie, dał znak H'ani i ześliznął się z krawędzi

wydmy. Gdy tylko zniknął z linii horyzontu, poderwał się na równe nogi i skrył się pomiędzy cieniami rzucanymi przez ukształtowane przez wiatr zbocze.

Obie kobiety leżały na szczycie wydmy, nieruchome i milczące niczym cienie. Centaine uczyła się zwierzęcej cierpliwości, jakiej wymagało życie na dzikim pustkowiu. Niebo na horyzoncie zaczęło rozjaśniać się od nadchodzącego świtu i teraz mogła lepiej widzieć zwierzęta ukryte pomiędzy drzewami na równinie.

Były to duże antylopy; cztery z nich leżały nieruchomo na ziemi, podczas gdy największa i najsilniej zbudowana stała w lekkim oddaleniu. Centaine pewna była, że to byk — przywódca stada, gdyż w kłębie był tak wysoki jak jej ukochany Nuage, a na głowie miał wspaniałe rogi, proste i długie, które wyglądały bardzo groźnie. Centaine przypomniał się nagle arras La Dame la Licorne z muzeum w Cluny, do którego ojciec zabrał ją w dwunaste urodziny.

Światła przybywało z każdą chwilą i byk nabrał pięknego morskiego koloru. Na jego pysku widniały ciemne pasy ułożone w kształt nim, jakby kiedyś nosił uzdę, ale antylopa poruszała się tak injnje, że trudno było podejrzewać, aby kiedykolwiek mogła przebywać w niewoli.

Przywódca stada zwrócił głowę w stronę Centaine, nastawił uszy i niepewnie pomachał gęstym ogonem, przypominającym koński. H'ani położyła rękę na ramieniu dziewczyny i obie kobiety przylgnęły do ziemi. Stojąc nieruchomo niczym wykuty z marmuru, byk patrzył w ich kierunku przez długie minuty, ale żadna z kobiet nie zrobiła najmniejszego ruchu i wreszcie antylopa zniżyła głowę i zaczęła kopać sypką ziemię ostrymi, czarnymi kopytami.

— O, tak! Szukaj w ziemi słodkiego korzenia, wielki i wspaniały byku — prosił O'wa cichutko antylopę. — Nie podnoś głowy, cudowny przywódco wszystkich antylop o długich rogach, pożywiaj się korzeniem, a ja zatańczę ci taki taniec dziękczynny, że wszystkie duchy antylop będą ci zazdrościć!

O'wa był oddalony o pięćdziesiąt metrów od antylopy, znacznie poza zasięgiem małego łuku. Godzinę temu opuścił cień rzucany przez wydnię i w tym czasie nie posunął się do przodu więcej niż o pięćset kroków.

Przez równinę biegł płytki rów, niewielkie zagłębienie wysokości dłoni. Mimo słabego światła O'wa wypatrzył je bezbłędnie wprawnym okiem myśliwego i wpełzł do niego niczym pustynny wąż. Zaczął czołgać się na brzuchu w stronę antylopy wolnymi, zwinnymi poruszeniami ciała, modląc się w myślach do ducha Lwiej Gwiazdy, który przywiódł go do zwierzyny.

W pewnej chwili byk podniósł gwałtownie głowę i zaczął się podejrzliwie rozglądać, nastawiając uszy.

Nie bój się, wspaniały byku, błagał go w duchu O'wa. Powąchaj, jak pięknie pachnie bulwa, i niechaj spokój zagości w twoim sercu.

Mijały minuty. Nagle antylopa prychnęła cicho przez nozdrza i opuściła głowę. Cztery samice, które z niepokojem przyglądały się przywódcy, uspokoiły się i ponownie zaczęły żuć pokarm.

O'wa znowu zaczął pełznąć do przodu, schowany za krawędzią, z twarzą przy samej ziemi, tak żeby jego głowa nie wystawała na powierzchnię. Przesuwał się do przodu po miękkiej ziemi tylko ruchami bioder, kolan i stóp.

Byk wykopał z ziemi bulwę i zajadał ją głośno, trzymając korzeń pomiędzy przednimi kopytami, a O'wa powolnymi, cierpliwymi ruchami zmniejszał odległość pomiędzy nimi.

Pożywiaj się, dobry byku, gdyż bez ciebie trzy osoby i nie narodzone dziecko umrą, zanim wstanie jutrzejsze słońce. Nie odchodź, wielki byku, zostań jeszcze trochę, jeszcze jedną, małą chwilkę.

O'wa znajdował się już tak blisko, jak tylko ośmielił się podejść, ale odległość była wciąż zbyt

wielka, żeby oddać celny strzał. Antylopa miała grubą skórę, pokrytą gęstą sierścią, strzały zaś wykonane z cienkiej trzciny, z kościanymi grotami, nie były tak ostre jak żelazne.

Duchu Lwiej Gwiazdy, nie odwracaj się teraz od nas, modlił się O'wa. Podniósł do góry lewą rękę, tak że jego malutka, jasna dłoń była zwrócona do antylopy.

Przez minutę nic się nie działo i nagle byk zauważył dłoń, która zdawała się wystawać prosto z ziemi. Podniósł łeb i z zaciekawieniem spojrział na rękę. Wydawała się zbyt mała, żeby mogła być groźna.

Po następnej minucie O'wa pomachał zachęcająco palcami na byka, a ten dmuchnął przez nozdrza, wysunął pysk i wciągając głęboko powietrze, próbował coś wywachać. O'wa ustawił się jednak pod wiatr, a za sobą miał zwodnicze światło zbliżającego się świtu.

Przez chwilę jeszcze trzymał dłoń w górze i zaraz schował ją za skalnym występem. Byk zrobił kilka kroków w tę stronę i zamarł — kolejnych kilka kroków i znowu stanął, wyciągając szyję i patrząc ciekawie na zagłębienie, w którym leżał rozplaszczony O'wa. Wreszcie ciekawość zwyciężyła i byk znalazł się w zasięgu strzał O'wa.

Jednym płynnym ruchem, niczym atakujący wąż, O'wa przetoczył się na bok, odciągnął cięciwę do policzka i wypuścił strzałę. Niewielka strzała bzyknęła w powietrzu i z wyraźnym kłaśnięciem ugodziła antylopę w pokryty ciemnymi pasami pysk, tuż pod trąbkowatym uchem.

Raniony byk stanął na tylnych nogach, obrócił się i rzucił do ucieczki. W jednej chwili jego harem zerwał się z ziemi i w pełnym galopie pognął za uciekającym przywódcą, machając gęstymi ogonami i zostawiając za sobą bladą smugę pyłu wiszącą w powietrzu.

Byk potrząsał głową, starając się zgubić zwisającą mu z policzka strzałę, i w biegu ocierał łbem o uszkie drzewa.

— Wbij się głęboko! — O'wa poderwał się na równe nogi i podskakując wysoko, krzyczał na całe gardło. — Trzymaj się, strzało, niech trucizna O'wa dotrze do samego serca. Zanieś ją szybko, mała strzało.

Obie kobiety zbiegły z wydmy do niego.

— Och, jaki z ciebie przebiegły myśliwy — pochwaliła H'ani męża. Centaine, której od biegu brakowało tchu, czuła rozczarowanie, gdyż stado zdążyło już zniknąć w szarym świetle świtu.

— Uciekły? — zapytała H'ani.

— Poczekaj — uspokoiła ją stara kobieta. — Wkrótce podążymy za nimi. Patrz, teraz O'wa robi czary.

Stary mężczyzna odłożył łuk, zostawiając sobie jedynie dwie strzały, które umocował za przepaską na głowie pod tym samym kątem, co rogi antylopy. Przyłożył ręce do głowy, tak że wyglądały jak uszy byka, i zmienił całą swoją postawę i nachylenie szyi. Wydmuchiwał powietrze przez nos i kopał nogą ziemię, a Centaine miała wrażenie, że Buszmen przeobraża się w antylopę. Naśladownictwo było tak wierne, że oczarowana zaklaskała w dłonie.

O'wa odtworzył całą pantomimę, w której byk spostrzegał dłoń, zbliżał się do niej ostrożnie i zostawał ugodzony strzałą. Scena była sportretowana tak idealnie, że Centaine miała wrażenie deja vu.

O'wa pogalopował tym samym krokiem co byk, zarzucając charakterystycznie głową, ale zaraz zaczął słabnąć i chwiać się na nogach. Dyszał ciężko, a głowa ciążyła mu widocznie i Centaine poczuła współczucie dla rannego zwierzęcia. Przypomnił jej się Nuage i do oczu napłynęły jej łzy, ale obok H'ani klaskała w dłonie i wydawała z siebie radosne okrzyki.

— Umrzyj, byku, którego szanujemy! Umrzyj, żebyśmy mogli przeżyć!

O'wa zatoczył koło, skłaniając ciężką głowę ku ziemi, wreszcie upadł na piasek i odtworzył

ostatnie konwulsje zwierzęcia, gdy trucizna przedostała się do krwi.

Jego gra była tak przekonująca, że Centaine widziała raną antylopę, a nie małego Buszmena. Ani przez chwilę nie wątpiła w skuteczność magii sympatycznej, którą O'wa zaczarował swoją ofiarę.

— Ach! — zawołała H'ani. — Padł już. Wielki byk już nie żyje! I Centaine uwierzyła jej od razu.

Wypili swoje porcje wody, a następnie O'wa ułamał prostą gałąź z uschniętego drzewa i zaostrzył jeden koniec tak, żeby pasował do grotu z kości bawołu, który nosił w torbie. Przymocował jelitem grot i zważył w rękę ciężką broń.

— Pora ruszać za bykiem — oznajmił i poprowadził je przez równinę.

Okazało się, że pierwsze wrażenie Centaine było prawidłowe. Zostawili za sobą krainę wydm, ale rozciągająca się przed nimi równina była równie nieprzyjazna, jak piaskowa pustynia, a dziwne kształty martwego lasu nadawały jej surrealistyczny, niesamowity wygląd. Centaine zastanawiała się, kiedy las mógł umrzeć, i zadygotała na myśl, że drzewa mogą stać od tysiąca lat, zakonserwowane w suchym powietrzu pustyni niczym mumie faraonów.

O'wa podążał za stadem antylop i nawet na pokrytych kamieniami płaszczyznach, na których Centaine nie dostrzegła żadnych śladów, mały Buszmen bezbłędnie kierował się w stronę, w której zniknęły zwierzęta. Zatrzymał się tylko raz, żeby podnieść z ziemi drzewce strzały, które leżało obok uschniętego drzewa w miejscu, gdzie byk otarł pysk o gałąź. O'wa pokazał ułamany kawałek obu kobietom.

— Zobaczcie, grot utkwiał w ciele.

W strzale istotnie brakowało grotu. O'wa specjalnie wykonał strzały z dwóch części, z bardziej łamliwą trzcina przy grocie, tak żeby reszta mogła łatwo odpaść.

Z każdą chwilą przybywało dnia i biegnąca przed Centaine H'ani wskazała na coś dzidą. Z początku dziewczyna nie wiedziała, na co ma patrzeć, ale po chwili zobaczyła małą, wysuszoną roślinę pnącą o brązowych listkach, która rosła przy samej ziemi. Była to pierwsza żywa roślina od czasu, gdy opuścili brzeg morza.

Wiedząc, czego ma szukać, Centaine szybko wypatrzyła inne rośliny — małe, wyschnięte i niepozorne, ale poznała już na tyle pustynię, że domyślała się, co może znajdować się pod ziemią. Widok pierwszych kępek srebrzystej trawy pustynnej podniósł ją na duchu. Wydmy pozostały w tyle, a ziemia przed nimi budziła się do życia.

Lekki poranny wiatr, który pomógł O'wa przy podchodzeniu antylopy, utrzymał się przez cały ranek i kiedy słońce wstało, jego promienie nie były tak uciążliwe. Zachowanie Buszmenów stało się teraz swobodniejsze i nawet bez zapewnień H'ani: „Już dobrze, jedzenie i picie wkrótce”, Centaine wiedziała, że pokonali najgorszą część drogi. Podczas biegu musiała przymykać oczy i osłaniać je dłonią, gdyż od płytek miki i kamyków odbijały się oślepiające białe promienie, niebo zaś gorzało od rozproszonego światła, w którym rozmył się horyzont, a wszystkie przedmioty zmieniały kształty i masę.

Daleko przed nimi Centaine dostrzegła niewyraźny kształt leżący na ziemi, a dalej cztery samice, które lojalnie pozostały przy martwym byku. Opuściły martwego przywódcę stada dopiero wówczas, gdy ludzie zbliżyli się na odległość kilometra, i pogalopowały wystraszone w migoczące światło poranka.

Byk leżał w pozycji, w jakiej przedstawił go O'wa w swoim magicznym tańcu; dyszał ciężko, osłabiony trucizną, głowa jego spoczywała na ziemi, a ciężkie, proste rogi kołysały się na boki. Oczy zwierzęcia były mokre od łez, a ocieniające je długie rzęsy wywijały się do góry jak u pięknej kobiety. Byk próbował wstać, aby bronić się przed człowiekiem, nachylając ostre rogi, którymi mógłby przebić dorosłego lwa, i zataczał nimi groźne łuki, zanim wyczerpany opadł nit ziemię.

O'wa, sprawiający wrażenie jeszcze mniejszego i słabszego przy dużym zwierzęciu, ostrożnie obszedł z wzniesioną włócznią antylopę, czekając na dogodny moment, żeby zadać ostateczny cios, ale byk obracał swoje na wpół sparaliżowane ciało tak, żeby zawsze mieć go przed sobą. Z rany pod uchem wystawał koniec ostrza, a piękne Nalo-czarne wzory na pysku umazane były zakrzepłą krwią.

Centaine ponownie przypomniał się Nuage i postanowiła jak najszybciej zakończyć cierpienia zwierzęcia. Odłożyła torbę, zdjęła spódnicę i trzymając ją przed sobą niczym matador kapek, obesła byka z drugiej strony.

— Przygotuj się, O'wa!

Byk obrócił się na dźwięk głosu, a Centaine podrażniła go spódnicą i antylopa ruszyła do ataku z nastawionymi rogami, ciągnąc za sobą tylną część ciała i waląc wściekle kopytami w ziemię. Centaine zręcznie uskoczyła jej z drogi.

Wykorzystując nieuwagę byka O'wa rzucił się do przodu i wbił z całej siły włócznię w gardło zwierzęcia, wciskając kościany grot i poszerzając ranę, żeby natrafić na główną arterię. Z rany trysnęła jasna krew, mieniając się czerwono w promieniach słońca i O'wa odskoczył od antylopy. Stał kilka kroków obok, patrząc, jak zwierzę zdycha.

— Dzięki ci, wielki byku. Dziękuję ci, że pozwoliłeś nam żyć.

Razem przewrócili antylopę na grzbiet i kiedy O'wa szykował się do rozcięcia jej brzucha kamiennym nożem, Centaine otworzyła scyzoryk i podała myśliwemu.

O'wa zawahał się. Nigdy jeszcze nie miał w rękach tak wspaniałej broni. Bał się, że jeśli dotknie noża, przylgnie mu do palców i nigdy nie będzie mógł go oddać.

— Weź, O'wa — nalegała Centaine.

Kiedy stary Buszmen nie mógł przełamać wewnętrznego oporu, Centaine intuicyjnie pojęła prawdziwą przyczynę jego dziwnego antagonizmu. On chce mieć ten nóż, pragnie go z całej duszy. Omal nie roześmiała się na głos, ale udało jej się opanować.

— Weź, O'wa.

Myśliwy ostrożnie wyciągnął rękę i wziął scyzoryk z jej palców. Obrócił go z podziwem w dłoni, pogłaskał stal i wypróbował ostrość noża na kciuku.

— Aj! Aj! — wykrzyknął, gdy ostrze przecięło mu skórę i na palcu pojawiła się kropelka krwi. — Co za broń. Spójrz, H'ani! — Pokazał jej z dumą skaleczenie. — Zobacz, jaki ostry!

— Mój głupiutki mężu, myśliwy rozcina upolowaną zwierzynę, a nie własne palce!

O'wa zaśmiał się radośnie z dowcipu i pochylił się nad antylopą. Objął moszną zwierzęcia, odciągnął ją i jednym pociągnięciem noża odciął od tułowia.

— Aj! Jaki ostry!

Odłożył moszną na bok. Jądra, upieczone nad ogniem były delikatnym przysmakiem, a miękka skóra świetnie się nadawała na woreczek na groty do strzał i inne skarby.

Zaczynając od rany pomiędzy tylnymi nogami, O'wa zrobił płytkie nacięcie biegnące przez całe ciało zwierzęcia. Nachylając ostrze tak, żeby nie przeciąć jamy brzusznej i prowadząc nóż palcem wskazującym wsuniętym pod skórę, rozciął ją aż po samą szyję. Następnie zrobił koliste nacięcia wokół głowy i kończyn i rozciął nogi od wewnątrz aż po pierwsze, podłużne nacięcie. Podczas gdy kobiety ciągnęły za końce luźnej skóry, która schodząc trzeszczała niczym rwący się papier, O'wa wpychał pięści pomiędzy białą błonę oddzielającą skórę od niebieskawych, prążkowanych mięśni. Udało im się ściągnąć skórę w jednym kawałku i rozpostarli ją na ziemi, sierścią do dołu.

Następnie O'wa otworzył jamę brzuszną z wprawą doświadczonego chirurga, wyjął ciężkie wnętrzności i rozłożył je na gorącej skórze.

H'ani pobiegła szukać bladej, delikatnej trawy pustynnej. Musiała przejść spory kawałek, gdyż

kępki trawy były porozrzucane i rzadkie. Wróciła szybko i ułożyła trawę wokół tykwy, nad którą O'wa przeciął śliską ściankę pierwszego żołądka i wyjął z niego dwie garści zawartości. Z nie przetrawionej paszy ściekała woda, zanim jeszcze O'wa zaczął ją wyciskać.

Wykorzystując trawę jako sito, O'wa napełnił naczynie z tykwy płynem i podniósł je oburącz do ust. Wypił głęboki łyk, zamykając przy tym ekstatycznie oczy, a kiedy odjął naczynie od warg, beknął głośno i z radosnym uśmiechem przekazał tykwę żonie. H'ani piła równie głośno jak mąż i zakończyła takim samym beknieniem i radosnym okrzykiem, ocierając usta wierzchem dłoni, zanim podała naczynie Centaine.

Centaine przyjrzała się krytycznie blademu brązowozielonemu płynowi. To tylko sok z roślin, pocieszyła się w myślach. Nie został jeszcze przeżuty ani zmieszany z sokami żołądkowymi... Podniosła tykwę do ust.

Picie przyszło jej łatwiej, niż się spodziewała, a napój smakował jak rosół z ziołami i trawą, lekko gorzkawy od bulwy. Oddała puste naczynie O'wa i kiedy starzec wyciskał resztę zawartości pierwszego żołądka, Centaine przypomniała sobie długi stół w Mort Homme, zastawiony srebrem, kryształami i porcelaną z Sevres. Wspomniła, iak Anna poprawiała kwiaty, sprawdzała, czy turbot jest świeży oraz i temperaturę wina i kolor różowych filetów łososia. Roześmiała się na cios. Jak bardzo się zmieniła od czasu opuszczenia Mort Homme!

Dwójka Sanów, którzy zupełnie inaczej odebrali jej śmiech, roześmiała się wraz z nią i ponownie wypili po kolei sok z roślin, później jeszcze po jednej porcji.

— Spójrz tylko na to dziecko — powiedziała H'ani do męża. — bałam się o nią na ziemi śpiewających piasków, ale teraz rozkwita niczym pustynny kwiat po deszczu. Jest silna i odważna jak lew — widziałeś, jak pomogła ci przy zabijaniu byka, zwracając na siebie jego uwagę? — H'ani skinęła głową, zachichotała i beknęła. — Urodzi wspaniałego syna, zapamiętaj słowa starej H'ani, prawdziwie wspaniałego syna.

O'wa, któremu brzuch napęczniał od wody, uśmiechnął się i miał właśnie zgodzić się z opinią żony, gdy jego wzrok padł na leżący na ziemi nóż. Uśmiech natychmiast znikł z jego twarzy.

— Głupia, stara kobieto, paplesz niczym bezmyślna perliczka, a tu mięso się psuje.

O'wa porwał z ziemi nóż. Zazdrość była tak obca naturze Buszmena, że czuł się bardzo nieszczęśliwy i nie domyślał się nawet w pełni powodów swoich gwałtownych uczuć. Myśl o tym, że musi zwrócić dziewczynie ten cudowny przedmiot, napełniła go czarnym gniewem, jakiego nigdy jeszcze nie zaznał. Zmarszczył brwi i zaczął mrużyć coś pod nosem, przebierając wnętrzości antylopy, tnąc je na kawałki i zjadając śliskie paski jelit na surowo.

Zbliżało się już południe, gdy zebrali gałęzie z jednego z martwych drzew i ułożyli ognisko. Ogień rozpalili się tak gwałtownie, że mięso w jednej chwili pociemniało i wyschło.

Było zbyt gorąco, żeby mogli jeść. H'ani i Centaine rozpostarły wilgotną jeszcze skórę na wysokich gałęziach i ukryły się w jej cieniu, ochładzając się zawartością drugiego żołądka zabitej antylopy.

O zachodzie słońca O'wa wyjął patyczki do rozpalania ognia i zaczął je cierpliwie pocierać, by wydobyć iskrę, ale Centaine niecierpliwie wyjęła kulkę suchych wiórków z jego rąk. Do tej pory była zbyt onieśmielona przez małego Buszmena i przejęta poczuciem swej nieprzydatności, żeby odważyć się zaprezentować własne umiejętności. Teraz, po przekroczeniu wydm i udziale w polowaniu na antylopę, zebrała się na odwagę. Wyjęła z torby hubkę, krzemień i nóż. Sanowie w milczeniu przyglądali się jej poczynaniom.

Wykrzesła snop iskier na hubkę i szybko nachyliła się, żeby rozdmuchać mały ogieniek. Buszmeni zakrzyknęli ze zdziwienia i cofnęli się w zabobonnym lęku. Dopiero gdy ognisko rozpałiło

się równym ogniem, przysunęli się do dziewczyny i z podziwem spoglądali na krzemień i nóż. Dzięki wskazówkom Centaine O'wa zdołał wkrótce wykrzesać iskry z krzemienia i ogarnęła go spontaniczna, dziecięca radość z własnego osiągnięcia.

Gdy tylko chłodne nocne powietrze przyniosło ulgę po upale dnia, Buszmeni przygotowali potrawę z flaków, nerek i wątroby owiniętych w płaty białego tłuszczu. Podczas gdy kobiety pilnowały piekącej się kolacji, O'wa odtąńczył podziękowanie dla ducha antylopy, jak to wcześniej obiecał. Skakał przy tym tak wysoko, jak wtedy, gdy był jeszcze młody, i śpiewał tak długo, aż wreszcie głos go zupełnie zawiódł. Zmęczony przykucnął przy ognisku i zaczął jeść.

Dwójka Buszmenów jadła tak łapczywie, że tłuszcz spływał im po brodach na piersi; jedli tak długo, aż ich brzuchy sterczały napięte niczym balony, zwisając pomiędzy kolanami; jedli jeszcze długo po tym, jak Centaine była już zupełnie syta.

Centaine co chwilę była przekonana, że już zwalniamy tempo, gdy szczęki staruszków poruszały się coraz wolniej i mrugali ospale oczami niczym zbudzone sowy. O'wa położył obie ręce na wypukłym brzuchu, przetoczył się na jeden pośladek i z wykrzywioną twarzą wysiłał się i zmagał, aż zdołał wydobyć z siebie ogłuszające pierdnięcie. Po drugiej stronie ogniska H'ani zawtórowała mu równie głośno. Roześmiali się głośno i włożyli sobie następne kawały pieczonego mięsa do ust.

Zasypiając z żołądkiem pełnym mięsa, Centaine pojęła, że ta orgia jest naturalną reakcją ludzi przyzwyczajonych do głodowania, którzy nieoczekiwanie zdobyli ogromną ilość mięsa, którego w żaden sposób nie mogli przechować. Kiedy obudziła się o świcie, Buszmeni wciąż się pożywiali.

Przez cały dzień Sanowie leżeli w cieniu skóry i chrapali ciężko, ale o zachodzie słońca rozpalili ognisko i znowu wzięli się do jedzenia. Resztki, które zostały z upolowanej antylopy, wydawały już z siebie przykry zapach, ale to zdawało się jedynie pobudzać ich apetyt.

Kiedy O'wa podniósł się ciężko z ziemi i poczłapał na stronę, Centaine zobaczyła, że jego pośladki, zapadnięte i pomarszczone po przebyciu wydm, są teraz pulchne i okrągłe.

— Zupełnie jak garb wielbłąda — zachichotała, a H'ani od-inmicdziała jej śmiechem, podając kawałek upieczonego na złoty kolor tłuszczu z brzucha.

Następny dzień także spędzili na spaniu, niczym para pytonów mwiacych olbrzymi posiłek. Wieczorem, gdy zapakowali suszone mięso do toreb, O'wa poprowadził ich przez zalaną światłem księżycą pustynię. Na głowie niósł zwiniętą skórę antylopy.

Z wolna równina, którą maszerowali, zaczęła zmieniać swój charakter. Pomiędzy kępami suchej, rzadkiej trawy pojawiały się małe, cierniste krzaki nie sięgające Centaine nawet do kolan. W czasie marszu O'wa zatrzymał się, by pokazać im wysoki kształt przypominający ducha, który przebiegł przed nimi szybkim krokiem w ciemnościach. Ciemne ciało zwierzęcia otaczał postrzępiony biały pióropuszczyk i dopiero gdy znikło w mroku, Centaine uświadomiła sobie, że to struś.

O świcie O'wa rozpostarł skórę antylopy i w jej cieniu przeczekali gorący dzień. Wieczorem wypili ostatnie krople wody. Buszmeni milczeli cały czas i mieli poważne miny. Bez wody śmierć musiała przyjść w ciągu najbliższych godzin.

Następnego ranka O'wa stał przez długi czas, przyglądając się niebu, a następnie zaczął zataczać półkole wokół obozu, niczym pies myśliwski szukający zapachu zwierzyny. Podnosił wysoko głowę, obracając ją na wszystkie strony i wciągał powietrze przez nos.

— Co O'wa robi? — zapytała Centaine.

— Wącha. — H'ani pociągnęła nosem również. — Wącha wodę.

Centaine nie wierzyła własnym uszom.

— H'ani, to przecież niemożliwe.

— Tak! Tak! Poczekaj, zobaczysz. O'wa wreszcie podjął decyzję.

— Chodźcie!

Skinął na kobiety i obie porwały pakunki, by pośpieszyć za nim. Po godzinie marszobiegu Centaine była pewna, że jeśli O'wa się pomylił, to czeka ją śmierć. Opróżnili już wszystkie pojemniki, w okropnym upałe wraz z potem uciekała z jej ciała wilgoć i zanim słońce stanie w zenicie, będzie już po niej.

O'wa puścił się przed siebie sprintem, który Sanowie nazywają „rogi” — szybkim krokiem myśliwego widzącego o świcie rogi ściganej zwierzyny. Objuczone ciężarami kobiety nie miały szans za nim nadążyć.

Godzinę później dostrzegły O'wa daleko przed sobą i kiedy wreszcie zbliżyły się do niego, uśmiechnął się szeroko i wskazując ręką, oznajmił:

— O'wa przyprowadził was bezbłędnie do wodopoju słonia z jednym kłem.

Nazwa tego miejsca ginęła w mrokach historii Buszmenów. O'wa pysznił się jak paw, sprowadzając kobiety łagodnym stokiem na dno dawnego koryta rzeki.

Centaine zaraz zorientowała się, że rzeka kompletnie wyschła i dno wypełnia jedynie sypki piasek, suchy jak na pustyni. Poczowała, że opuszcza ją cała nadzieja.

Wijące się serpentynami koryto, które przecinało kamienistą równinę, miało szerokość około stu kroków i mimo że nie było w nim ani kropli wody, oba brzegi porastała roślinność gęściejsza niż na równinie. Krzaki sięgały tu do pasa, a miejscami wyrastały wysokie, szarozielone krzewy. Buszmeni rozmawiali z ożywieniem i H'ani podążała za mężem, dumnie kroczącym po rzeczonym piasku.

Centaine usiadła na ziemi, wzięła w ręce garść jasnego, pomarańczowego piachu i z rozczarowaniem przepuściła go pomiędzy palcami. Dopiero teraz zauważyła, że dno pokrywają ślady kopyt antylop, a piasek jest miejscami usypany w pagórki, jakby bawiły się tu dzieci, budując zamki. O'wa oglądał uważnie jeden z takich kopczyków i Centaine wstała ciężko z ziemi i powlokła się do piaskowej góry, żeby zobaczyć, co w niej znalazł. Antylopy musiały w tym miejscu głęboko grzebać w ziemi, ale do dziury nasypało się piachu, który wypełnił ją niemal po brzegi. O'wa skinął głową z mądrą miną i zwrócił się do H'ani:

— To jest dobre miejsce. Tutaj zbudujemy naszą studnię. Weź dziecko i pokaż jej, jak zbudować szałas.

Centaine była tak spragniona i umęczona upałem, że kręciło jej się w głowie i czuła się chora. Zdjęła jednak z pleców torbę i powlokła się za H'ani na brzeg rzeki ścinać giętkie witki kolczastych gałęzi krzaków.

Wkrótce obie kobiety wzniosły dwa prymitywne szałasy, ustawiając wysokie gałązki w koło i zginając je na górze, żeby naszły na siebie. Przykryły jedną konstrukcję śmierdzącą skórą antylopy, a drugą gałęziami. Szałasy nie miały ścian bocznych, a za podłogę służył rzeczny piasek, ale Centaine z ulgą usiadła w cieniu i przyglądała się pracy O'wa.

Buszmen zdjął zatrute strzały z opaski na głowie, trzymając je ostrożnie w dłoniach, gdyż nawet najmniejsze zadrapanie niechybnie spowodziłoby śmierć. Zdjął groty, owinał je w kawałek nie wyprawionej skóry i schował do woreczka przy pasie.

Następnie zaczął łączyć drzewce strzał z trzciny w jedną rurkę, sklejjąc krótkie odcinki żywicą z akacji. Powstała z tego rurka wyższa niż on sam.

— Pomóż mi, kwiatuszku mojego życia — przypochebiał się H'ani i zaczęli razem kopać ziemię rękami.

Aby zapobiec obsypywaniu się piachu do otworu, Buszmeni u skopali lejkowaty dół zwężający się ku dołowi. Wkrótce w otworze zniknęła najpierw głowa, a później ramiona O'wa i na zewnątrz zaczęły wylatywać garście ciemniejszej, wilgotnej ziemi. O'wa nie przestawał kopać, tak że w końcu

H'ani trzymała go za nogi, a jego całe ciało było zanurzone w studni. Z otworu zaczęły dobiegać tłumione okrzyki i H'ani podała mężowi długą trzcinę.

Zaklinowany do góry nogami w otworze, O'wa umieścił ostrożnie otwarty koniec rurki w podłożu i zabezpieczył ją małymi gałązkami i liśćmi, żeby do środka nie przedostał się brud. Obie kobiety musiały i ciągnąć Buszmena za nogi, żeby wydostać go z otworu. O'wa wyłonił się na powierzchnię oblepiony piachem, a H'ani oczyściła mu uszy i otrzepała piach z włosów i rzęs.

Bardzo ostrożnie O'wa zasypał studnię, uważając, żeby nie poruszyć filtra i trzciny. Na koniec uklepał piasek wokół krótkiego końca rurki wystającego na powierzchnię.

Gdy O'wa był zajęty wykańczaniem studni, H'ani urwała cienką gałązkę z krzaka, odcięła kolce i odarła ją z kory. Centaine w tym czasie otworzyła jajka i ustawiła je przy studni.

O'wa położył się brzuchem na ziemi i wziął do ust trzciniową rurkę. H'ani przykucnęła obok niego z krótką gałązką w dłoni i rzędem butelek w zasięgu ręki.

— Jestem gotowa, myśliwy mojego serca! — powiedziała mu słodko, a stary mężczyzna zaczął ssać.

Ukryta w cieniu szałas Centaine przyglądała się, jak O'wa zamienia się w ludzki miech; jego pierś nabrzmiwała, powiększając się niemal dwukrotnie przy każdym potężnym wdechu i rytmicznie opadała. Centaine czuła opór ciężkiego ładunku wody w rurce. O'wa zamknął powieki i jego twarz, ciemnobrązowa z wysiłku, znikła pod siatką napęczniałych zmarszczek. Jego ciało pulsowało; pęczniał niczym ropucha, kurcząc się i znowu nadymając, podnosząc wolno ciężki ładunek wody.

W pewnej chwili starzec wydał z siebie miauczący dźwięk, nie przerywając rytmicznego ssania, a H'ani nachyliła się i ostrożnie włożyła mu koniec patyczka w usta. Z warg O'wa wypłynęła lśniąca w słońcu kropla wody i spłynęła po gałązce; na chwilę zawisała na końcu witki i spadła do podsuniętego jaja.

— Dobra woda, śpiewaku mojego serca — zachęcała męża H'ani. — Dobra, słodka woda!

Z ust mężczyzny zaczął płynąć nieprzerwany, cienki srebrzysty strumyczek. Wysilek O'wa, który podnosił wodę z głębokości prawie dwóch metrów, był ogromny. Centaine patrzyła z podziwem i zdumieniem, jak napełniał jedno jajko za drugim, nie ustając w pracy ani na chwilę.

H'ani przykucnęła tuż obok, zachęcając O'wa do wysiłku, poprawiała patyczek i podstawiła puste pojemniki, pocieszając go i chwając i nagle Centaine doznała potężnego uczucia empatii do dwójki starych ludzi. Uświadomiła sobie, jak wspólna radość, ból i ciężka praca ukształtowała związek tak trwałe, że zdawali się jedną istotą. Widziała, jak trudne lata życia obdarzyły ich poczuciem humoru, wzajemną czułością i prostą mądrością, a zwłaszcza prawdziwą miłością. Czuła zazdrość, jednak bez urazy.

Gdybym tylko mogła kiedyś związać się z innym człowiekiem tak mocno, jak ci dwoje są związani ze sobą! — pomyślała w duchu. W tej właśnie chwili zdała sobie sprawę, że kocha tę dwójkę starych ludzi.

W końcu O'wa odtoczył się od rurki i legł na ziemi, dysząc ciężko i trzęsąc się jak wyczerpany maratończyk. H'ani podeszła z jedną z butelek do Centaine.

— Pij, Dziecko Nam — zaoferowała jajko dziewczynie. Niemal niechętnie, świadoma, ile wysiłku kosztowało wydobycie każdej kropli, Centaine napiła się wody.

Piła wolno i oszczędnie i zaraz oddała jajko.

— Dobra woda, H'ani — powiedziała.

Woda miała smak ziemi i śliny starego człowieka, ale Centaine doskonale pojęła, że definicja „dobrej wody” obejmuje każdy płyn, który utrzymuje ludzi przy życiu na pustyni.

Wstała i podeszła do leżącego Buszmena.

— Dobra woda, O'wa.

Uklęka obok i zobaczyła, jak wyczerpał go olbrzymi wysięk. Starzec uśmiechnął się i pokiwał głową, zbyt słaby, żeby podnieść się z ziemi.

— Dobra woda, Dziecko Nam — potwierdził.

Centaine odwiązała linkę, na której miała zawieszony nóż. Przez chwilę trzymała go w dłoniach. Już raz ocalił jej życie. Mógłby się jeszcze przydać, gdyby go zatrzymała.

— Weź, O'wa — podała scyzoryk Buszmenowi. — Nóż dla O'wa. Stary patrzył w oszołomieniu na nóż i jego ciemna, nabrzmiała twarz zbladła, a silne wzruszenie wymazało wszelkie uczucia z oczu.

— Weź, O'wa — powtórzyła Centaine.

— To za dużo — wyszeptał, patrząc na nóż rozszerzonymi oczyma. podarek był bezcenny.

Centaine ujęła Buszmena za nadgarstek i odwróciła rękę dłonią do góry. Położyła na niej nóż i zamknęła chude palce. Siedząc w gorących promieniach słońca, O'wa wzdychał równie ciężko, jak kiedy wyciągał wodę ze studni. Z kącika oka wypłynęła mu łza i potoczyła się po liczku.

— Czemu płaczesz, głupiutki staruszku? — zapytała H'ani.

— Płacę z radości, jaką dał mi prezent.

O'wa starał się zachować godny ton, ale głos mu się załamał.

— To głupi powód, żeby płakać — stwierdziła H'ani i figlarnie mrugnęła okiem, zakrywając śmiejące się usta wąską i zgrabną małą dłonią.

Podążali korytem wyschniętej rzeki na wschód, ale teraz mieli jedzenie i świeżą wodę pod ziemią i nie musieli się spieszyć jak przedtem, w czasie nocnych wędrówek na wydmach.

Ruszali w drogę wczesnym rankiem i szli, dopóki południowy upał nie zmusił ich do postoju, a po odpoczynku wędrowali od późnego popołudnia aż długo po zachodzie słońca. Tempo marszu było teraz znacznie wolniejsze, gdyż jednocześnie zbierali pożywienie i polowali.

H'ani wycięła dla Centaine specjalny, prosty kij, którego ostry koniec zahartowała nad ogniem i nauczyła dziewczynę posługiwania się nowym narzędziem. Już po kilku dniach Centaine potrafiła rozpoznać te miejsca na powierzchni ziemi, w których ukryte były bulwy jadalnych roślin. Szybko się przekonała, że chociaż O'wa tak doskonale potrafi orientować się na pustyni i w buszu, a jego zdolności myśliwskie wydają się wprost magiczne, to życie klanu opierało się na tym, co potrafiły zebrać kobiety. W ciągu długich dni, gdy brakowało zwierzyny łownej, żywili się roślinami i bulwami, które obie kobiety przynosiły do obozu.

Mimo że Centaine uczyła się szybko i miała wzrok sokoli, nie śmiała nawet marzyć o dorównaniu starej kobiecie w jej wrodzonych zdolnościach percepcyjnych. H'ani potrafiła wyszukać głęboko w ziemi jadalne rośliny i owady, które nie zostawiały na powierzchni żadnych śladów życia. Kopała przy tym twardą ziemię z taką pewnością, że wokoło latały tylko ciężkie grudy.

— Jak to robisz? — zapytała kiedyś Centaine.

Jej znajomość języka Buszmenów rozwijała się każdego dnia, gdy słuchała monologów H'ani i odpowiadała na pytania.

— Tak samo jak O'wa mógł znaleźć wodę z daleka — wyjaśniła H'ani. — Czuje się je po zapachu, Dziecko Nam. Wąchaj! Posłuż się swoim nosem.

— Żartujesz sobie ze mnie, czcigodna babciu! — odparła z niedowierzaniem Centaine, ale kiedy przyglądała się starej kobiecie, ta zachowywała się, jakby rzeczywiście wywąchiwała ukryte w mrowiskach głęboko pod ziemią termyty, których białe jajka składały się na kaszkę o nieprzyjemnym zapachu, ale bardzo pożywną.

Zupełnie jak Kaiser Wilhelm, zastanawiała się w myślach Centaine i zawołała na Buszmenkę: —

Cherche! — tak jak razem z Anną wołały na wielkiego knura, który wyszukiwał dla nich trufle. — Cherche, H'ani!

Stara kobieta śmiała się radośnie z dowcipu, którego nie rozumiała, by zaraz, zupełnie przypadkiem, dokonać prawdziwie cudownego odkrycia.

Tego popołudnia obie zostały w tyle za O'wa, który udał się na poszukiwanie strusich gniazd. Buszmen pamiętał je z czasów ostatniej, podróży przez te tereny przed wielu laty.

Kobiety zajęte były szukaniem korzeni i ożywioną dyskusją.

— Nie, nie! Dziecko Nam, nie wolno ci wykopywać dwóch korzeni z tego samego miejsca. Musisz jeden zostawić i przejść do następnego miejsca, przecież uczyłam cię już tego! — zbeształa H'ani Centaine.

— Dlaczego? — Centaine wyprostowała się i odgarnęła gęste loki z czoła zostawiając brudną plamę od dłoni na czole.

— Jeden musisz zawsze zostawić dla dzieci.

— Co ty pleciesz, H'ani? Tu nie ma żadnych dzieci.

— Ale będą... — H'ani znacząco wskazała na jej brzuch. — Będą dzieci. Jeśli nic im nie zostawimy, co o nas powiedzą, gdy będą głodne?

— Ale tych roślin jest tak wiele! — sprzeciwiła się zirytowana Centaine.

— Kiedy O'wa znajdzie gniazdo strusie, zawsze zostawi w nim kilka jajek. Gdy znajdziesz dwie bulwy, zostaw jedną z nich, a twój syn będzie silny i zdrowy i z radością powtórzy twoje imię swoim dzieciom.

H'ani przerwała wykład i podbiegła do pustego, kamienistego kawałka ziemi na brzegu wyschniętej rzeki. Pochyliła się nad ziemią i głęboko wciągała powietrze.

— Cherche, H'ani!

Centaine roześmiała się i H'ani odpowiedziała jej śmiechem, kopiąc szybko. Ukłęknęła i wydobywała coś z dziury w ziemi.

— Jeszcze tego nie widziałaś, Dziecko Nam. Powąchaj. Smakuje bardzo dobrze.

Podawała jej ubrudzony ziemią korzeń, przypominający ziemniak, i kiedy Centaine powąchała go ostrożnie, otworzyła szeroko oczy Mamiona znanym zapachem. Otarła szybko korzeń z brudu i ugryzła im

— H'ani, moje kochanie! — zawołała. — To trufle! Prawdziwe trufle. Mają inny kolor i kształt, ale w smaku są takie same jak trufle moim kraju!

O'wa znalazł miejsce gniazdowania strusi i Centaine zbiła jajko u połowie skorupy, zmieszała je z pokrojonymi truflami i usmażyła olbrzymi omelette aux tjuffes na płaskim kamieniu włożonym do ognia.

Mimo jej brudnych rąk, od których omlet stał się lekko szary, piasku i kawałków skorupki zgrzytających pomiędzy zębami, wszyscy zajadali potrawę z wielkim apetytem.

Dopiero kiedy Centaine położyła się spać w prymitywnym szałasie z gałęzi, smak truflి wywołał w niej tęsknotę za domem. Schowała i warz w ramię i rozplakała się.

— Och, Anno, dałabym wszystko, absolutnie wszystko, żeby zobaczyć jeszcze kiedyś twoją brzydką, kochaną twarz.

W miarę jak podążali wzdłuż wyschniętej rzeki i mijały długie tygodnie, dziecko Centaine stawało się coraz silniejsze.

Dzięki skromnej, lecz pożywej diecie i codziennemu wysiłkowi fizycznemu, na który składały się marsze, zbieranie jedzenia, kopanie w ziemi i noszenie ciężarów, dziecko nie rosło zbyt duże i Centaine nosiła je, wysoko. Jej piersi napęczniały i kiedy czasami w samotności obmywała ciało

ostrym sokiem podziemnych bulw, spoglądała na nie z dumą i podziwiała różowe sutki sterczące ostro ku górze.

— Tak bardzo bym chciała, żebyś mogła mnie teraz zobaczyć, Anno — mruknęła cicho. — Nie powiedziałaś, że wyglądam jak chłopak. Pewnie jednak narzekałaś na moje nogi, zbyt długie, chude i umięśnione. Och, Anno, tak chciałabym wiedzieć, gdzie teraz jesteś.

Pewnego ranka o świcie, kiedy wędrowali już przez wiele godzin, Centaine zatrzymała się na szczycie niewielkiego wzniesienia i wolno rozejrzała się wokoło.

Powietrze było jeszcze chłodne i przejrzyste po nocy i w oddali widziała linię horyzontu. W upale dnia stanie się on opałowy, półprzezroczysty, a ostre słońce pozbawi krajobraz kolorów. Fale rozgrzanego powietrza tworzące złudne obrazy zamkną się wokoło deformując kształty przedmiotów, tak że najzwyklejsze skały przeobrażą się w drgające potwory.

Teraz jednak wszystko było wyraźne i w naturalnych barwach. Falującą równinę pokrywała blada, srebrzysta trawa, na której rosły drzewa, żywe drzewa, a nie wyschłe mumie, które napotkali za wydmiami.

Stateczne cierniste akacje były porozrzucane po całym stepie. Ich masywne pnie, pokryte szorstką niczym skóra krokodyla korą, nie pasowały do parasolowatych koron utkanych z delikatnych, zielonkawosrebrzystych liści. Na najbliższym drzewie kolonia wyjątkowo społecznych tkaczy założyła wspólne gniazdo wielkości stogu siana. | Każde z pokoleń małych, ciemnobrązowych ptaszków rozbudowywało gniazdo, dopóki pewnego dnia jego ciężar nie okaże się zbyt duży dla *j drzewa i nie przełamie na pół wielkiego pnia. Centaine widziała już takie gniazda leżące na ziemi pod połamanymi akacjami, przymocowane do gałęzi i śmierdzące od rozkładających się szczątków setek piskląt i rozbitych jajek.

Za rzadkim lasem akacji z równiny wyrastały gwałtownie wysokie wzgórza, afrykańskie kopce ukształtowane przez wiatr i ostre słońce w niemal geometryczne wzory. Promienie wczesnego słońca malowały żywe kolory sepii, brązu i czerwieni na ich skalnych ścianach, a szczyty porastały przedpotopowe drzewa kokerboom o mięsistych pniach i palmiastych koronach. Centaine zatrzymała się i oparta na kiju przyglądała się w zachwycie majestatycznej scenerii. Na szarej od pyłu równinie pasły się stada delikatnych południowoafrykańskich gazeli. Były to blade niczym dym, zlewające się z tłem zwierzęta, małe zwinne, o wykrzywionych rogach. Pasy czekoladowej czerwieni odcinały ich cynamonowe grzbiety od śnieżnobiałych brzuchów.

Stojące najbliżej gazy zwęszyły ludzką obecność i wpadłs/y w popłoch, zaczęły w charakterystyczny sposób podskakiwać, alarmując stado o niebezpieczeństwie. Spuściwszy głowy, tak że ich pyski niemal dotykały kopyt, odbijały się na sztywnych nogach wysoko w górę i opadały na ziemię. Jednocześnie po grzbietach spłynęły im białe, nastroszone grzywy.

—H'ani, spójrz na nie! — zawołała Centaine. — Jakie piękne!

Pozostałe gazy szybko poszły w ślad pierwszych i po chwili na iirpie podskakiwały setki zwierząt, śmigając w powietrzu białymi grzywami.

O'wa upuścił na ziemię swoje rzeczy, zniżył głowę i naśladowując doskonale gazy, zaczął podskakiwać na sztywnych nogach w górę, machając dłońmi za plecami. Wydawało się, że stary Buszmen przemienił się w małą gazy i obie kobiety tak się uśmieły z pokazu, że usiadły ii. i ziemi i uściskały się z radości. Wesoły nastrój trwał jeszcze długo po tym, jak rzędy pagórków zniknęły za falami miraży, a południowe słońce spowodowało nieznośny skwar.

W czasie długich południowych postojów O'wa zaczął odłączać się od kobiet i Centaine przyzwyczała się widzieć małą postać starca siedzącego ze skrzyżowanymi nogami pod ciernistą akacją i skrobiącego scyzorykiem skórę upolowanej antylopy. Podczas dziennych marszów O'wa

nosił starannie zwiniętą skórę na głowie. Kiedy pewnego razu Centaine zbliżyła się do niego w czasie tej pracy, żeby się przyjrzeć, O'wa tak ostro zareagował, że dziewczyna musiała go uspokajać.

— Nie miałam nic złego na myśli, czcigodny dziadku.

Jednak podrażniło to jej ciekawość. Stary Buszmen był prawdziwym artystą i uwielbiał chwalić się swoimi dziełami. Nie protestował, kiedy Centaine przyglądała się, jak rozcina miękką, żółtą korę drzewa kokerboom, zwija ją w kołczan na strzały i ozdabia wzorami ptaków i zwierząt wypalonymi węgielkami z ogniska.

O'wa pokazał jej także, jak ostrzy się na płaskim kamieniu groty z twardej białej kości i Centaine była zdumiona ostrością ich krawędzi. Zabrał ją nawet ze sobą, kiedy udawał się na poszukiwanie specjalnych robaków, z których przygotowywał truciznę do strzał. Trucizna taka potrafiła w ciągu kilku godzin pozbawić życia najsilniejsze zwierzę czy człowieka. Centaine pomogła mu kopać ziemię pod pewnym gatunkiem krzaków i wydobywać stamtąd małe, brązowe kulki, w środku których zamknięte były tłuste, białe poczwarki żuka diaphidia.

Obchodząc się z nimi z największą ostrożnością, gdyż nawet najmniejsza kropla ich soku powodowała niechybną śmierć w męczarniach, jeśli tylko dostała się do krwi przez zadrapanie skóry, O'wa rozgniółł je na masę, którą zageścił sokiem z sansewierii i wtarł w kościane groty. Włókna sansewierii, zwinięte w cienką linkę, posłużyły do przymocowania groty do drzewca strzały.

Stary Buszmen pozwolił również Centaine przyglądać się, jak wycina z drzewa prymitywny flet, na którym akompaniuje sobie do tańca. Nie przeszkadzało mu też, gdy dziewczyna przypatruje się, jak rzeźbi dekoracje na ciężkiej włóczni, którą potrafił strącić w locie kuropatwę czy niebieskogłowe jaszczurki z najwyższych gałęzi akacji — kiedy jednak pracował nad skórą, odsuwał się na bezpieczną odległość i żądał, żeby zostawiono go samego.

Rzeka piachu, wzdłuż której podążali tak wiele dni, zaczęła więc się coraz ciaśniej szyć serpentynami niczym umierający w konwulsjach wąż i skończyła się gwałtownie suchą niecką tak szeroką, że drzewa na drugim brzegu widoczne były jako cienka, ciemna linia na horyzoncie. Dno niecki było białe od kryształków soli. Odbijające się od nich promienie stojącego w zenicie słońca oślepiały, jeśli się patrzyło pod nogi, a nisko wiszące nad ziemią niebo stało się bladospęzyste. Buszmeni nazywali nieckę „wielkim białym miejscem”.

Na stromych brzegach rozlewiska zbudowali mocniejsze i bardziej wytrzymałe szałaszy niż kiedykolwiek dotąd, obóz nabrał trwalszego charakteru, a dwójka Sanów podjęła codzienne czynności, w których jednak Centaine wyczuła element oczekiwania na coś.

— H'ani, dlaczego tu się zatrzymaliśmy?

Każdy pusty dzień powodował, że Centaine robiła się coraz bardziej niecierpliwa i niespokojna.

— Czekamy, aż będziemy mogli przejść — odpowiedziała jej stara kobieta.

— Przejść, dokąd? Gdzie idziemy? — nalegała Centaine, ale H'ani wskazała jedynie szerokim łukiem na wschód i posłużyła się nazwą, którą Centaine mogła jedynie przetłumaczyć jako: „miejsce, w którym nic nie może umrzeć”.

Dziecko Centaine rosło coraz szybciej i brzuch jej stawał się coraz bardziej wypukły. Czasami miała kłopoty z oddychaniem i było jej bardzo niewygodnie, gdy musiała leżeć na gołej ziemi. Uwiła sobie małe gniazdko z miękkiej trawy stepowej, które bardzo rozbawiło dwójkę starych ludzi. Dla nich ziemia była naturalnym łóżkiem, a własne ramiona służyły im jako poduszki.

Centaine leżała na materacu z trawy i próbowała liczyć dni i miesiące, które minęły od czasu rozstania się z Michaeliem, ale czas się w jej pamięci i miała jedynie pewność, że zbliża się moment rozwiązania. H'ani potwierdziła jej domysły, badając wprawnymi, doświadczonymi palcami jej brzuch.

- Dziecko jest wysoko i walczy, żeby się wydobyć. Będiesz mieć syna. Dziecko Nam — stwierdziła i zabrała z sobą Centaine na step, żeby poszukać ziół potrzebnych do porodu.

W przeciwieństwie do ludzi z epoki kamienia łupanego Buszmeni orientowali się w znaczeniu stosunku płciowego, widząc w nim wstęp wiodący długą drogą do narodzin dziecka.

— Gdzie jest ojciec twojego syna, Dziecko Nam? — zapytała H'ani i kiedy dojrzała łzy w oczach Centaine, sama odpowiedziała sobie na to pytanie. — Zginął w północnych krajach na końcu świata, prawda?

— Skąd wiedziałaś, że przybywam z północy? — zapytała ciekawie Centaine, odsuwając od siebie bolesne wspomnienie o Michaelu.

— Jesteś taka duża, większa niż którykolwiek z Sanów żyjących na pustyni — wyjaśniła H'ani. — Musisz przybywać z bogatej ziemi, gdzie życie płynie łatwo, jest dużo deszczów i mnóstwo jedzenia. — Dla starej kobiety woda stanowiła podstawę życia. — Wiatry sprowadzające chmury deszczowe wieją z północy, więc i ty musisz przybywać z północy.

Zaintrygowana tą logiką Centaine uśmiechnęła się.

— A skąd wiesz, że pochodzę z daleka?

— Twoja skóra jest blada, nie taka ciemna od słońca jak skóra Sanów. Tu jest środek świata, słońce stoi prosto nad głową i nigdy nie udaje się na północ czy południe, a na wschodzie i zachodzie zniża się tak bardzo, że niszczy wszystko na ziemi. Musisz pochodzić z daleka, gdzie słońce nie jest tak silne, żeby opalić skórę.

— H'ani, czy wiesz coś o innych ludziach podobnych do mnie, wysokich i z białą skórą? Widziałaś kiedyś kogoś podobnego do mnie? — zapytała ożywiona Centaine i kiedy spostrzegła, jak stara kobieta odwraca niechętnie wzrok, schwyciła ją za ramię. — Powiedz mi, mądra babciu, czy widziałaś kiedyś moich ludzi? Gdzie oni żyją i jak daleko stąd? Czy mogłabym dotrzeć do nich? Proszę, powiedz mi.

Spojrzenie H'ani zachmurzyło się; w jej oczach nie było już zrozumienia; podłubała w nosie i uważnie przyglądała się brudnemu palcowi.

— H'ani, powiedz mi.

Centaine potrząsnęła ją za ramię.

— Słyszałam, jak starzy ludzie mówili o nich — przyznała niechętnie H'ani — ale sama nigdy nie widziałam takich ludzi i nie wiem, gdzie mogą żyć. — Centaine poznała, że Buszmenka kłamie. H'ani zaczęła szybko mówić z jakąś dziwną zawziętością: — Są groźni niczym lwy i zdradzieccy niczym skorpiony, Sanowie kryją się przed nimi...

Zdenerwowana staruszka poderwała się z ziemi, schwyciła torbę oraz kij i uciekła z obozu, by wrócić dopiero po zachodzie słońca.

Tej nocy, gdy Centaine zasnęła na materacu z trawy, H'ani szepnęła do O'wa:

— Dziecko Nam tęskni za swoimi.

— Widziałem, jak spoglądała ze smutkiem w oczach na południe — przyznał O'wa.

— Ile dni trzeba iść, żeby dotrzeć do ziemi białych olbrzymów? — zapytała niechętnie H'ani. — Jak długo musiałaby podróżować do własnego klanu?

— Mniej niż jeden księżyc — mruknął cicho O'wa i przez długi czas siedzieli w milczeniu, patrząc na niebieskawe płomyki unoszące się z ogniska.

— Chcę usłyszeć krzyk dziecka, zanim umrę — powiedziała w końcu H'ani.

O'wa skinął głową. Oboje zwrócili stare twarze na wschód. Poprzez nieprzeniknione ciemności patrzyli na Źródło Wszelkiego Życia.

Pewnego dnia H'ani zobaczyła, jak Centaine klęczy na ziemi i modli się.

— Do, kogo mówisz, Dziecko Nam? — zapytała zaciekawiona. Centaine nie wiedziała, co odpowiedzieć, gdyż język Sanów, tak bogaty w słownictwo służące do opisywania materialnych aspektów świata pustyni, był jednocześnie bardzo ubogi w abstrakcyjne pojęcia. Po długiej dyskusji, która rozciągnęła się na wiele dni, kiedy obie kobiety szukały wspólnie pożywienia lub były zajęte gotowaniem, Centaine zdołała przedstawić H'ani pojęcie boskości. H'ani z powątpiewaniem kiwała głową, mruzczała pod nosem i marszczyła brwi, rozważając nowe informacje.

— Więc mówisz do duchów? — zapytała wreszcie. — Ale przecież większość duchów mieszka w gwiazdach i kiedy mówisz cicho, nie mogą cię usłyszeć. Trzeba tańczyć, śpiewać głośno i gwizdać, żeby zwrócić ich uwagę, v- H'ani zniżyła głos. — Nawet wtedy nie ma pewności, że cię wysłuchają, gdyż przekonałam się, że duchy gwiazd są zmienne i zapominalskie. — H'ani rozejrzała się wokoło jak inspiratorka. — Z mojego doświadczenia wynika, że Modliszka i Eland są godniejsze zaufania.

— Modliszka i Eland? — Centaine starała się nie roześmiać.

— Modliszka to mały owad z dużymi oczyma i kończynami jak u człowieka, Eland zaś to duże zwierzę, dużo większe od zwykłej antylopy, z podgardlem tak tłustym, że sięga do ziemi. — Buszmeni uwielbiali zwierzęcy tłuszcz nie mniej niż miód. — Ma skrzycone rogi, które zawadzają o niebo. Jeśli będziemy mieć szczęście, to znajdziemy Modliszkę i Elanda w miejscu, do którego się udajemy. Tymczasem możesz mówić do gwiazd, Dziecko Nam, gdyż gwiazdy są piękne, ale lepiej zaufać Modliszce i Elandowi.

H'ani wyjaśniła w tak przystępny sposób religię Buszmenów i kiedy u-1 nocy siedzieli przy ognisku, pokazała Centaine konstelację Oriona.

— To jest stado niebiańskich zebra, Dziecko Nam, a to niezdarny myśliwy — H'ani wskazała na gwiazdę Aldebarana — wysłany na polowanie przez siedem żon — przesunęła szczupły palec w stronę Plejad — żeby przyniósł do obozu mięso. Zobacz, jak daleko wypuścił strzałę i jak upadła u stóp Gwiazdy Lwa. — Syriusz, najjaśniejsza ze stałych gwiazd na niebie, miał rzeczywiście w sobie coś lwiego i królewskiego. — Teraz myśliwy boi się zabrać strzałę i nie może wrócić do swoich siedmiu żon. Siedzi więc zawsze w tym samym miejscu i drży ze strachu, jak to mężczyźni.

H'ani zaśmiała się kpiąco i dźgnęła kościstym palcem męża między zebra.

Ponieważ Buszmeni okazali się miłośnikami gwiazd, Centaine poczuła do nich jeszcze większą sympatię. Pokazała im gwiazdę Michaela i swoją.

— Ależ, Dziecko Nam — zaprotestował O'wa — jak gwiazda może należeć do ciebie? Jest własnością wszystkich i niczyją, tak jak cień drzewa akacjowego, woda w studni na pustyni czy ziemia, po której idziemy. To wszystko nie należy do nikogo, a jednocześnie jest Własnością wszystkich. Nikt nie jest właścicielem antylopy, ale jeśli potrzebujemy, to możemy wziąć jej tłuszcz. Bulwy nie należą do nikogo, ale możemy je zbierać, jeśli zostawimy trochę dla dzieci. Jak możesz mówić, że gwiazda należy tylko do ciebie?

Był to wyraz filozofii, która okazała się tragedią jego ludu. Zanegowanie istnienia prywatnej własności skazało ich na bezlitosne prześladowania, masakry, niewolnictwo i wygnanie na dzikie tereny pustyni, na których nikt inny nie potrafił żyć.

Monotonne dni oczekiwania przemijały im na dyskusjach, zbieraniu roślin i polowaniu. Pewnego wieczora dwójka Buszmenów zaczęła nagle okazywać dziwne podniecenie. Z wyczekującymi minami spoglądali na północ, gdzie ciemniejące niebo przybrało czysty, niebieski kolor niczym jajka czapli.

Centaine dopiero po kilku minutach odkryła, co tak bardzo poruszyło jej opiekunów. Na horyzoncie pojawiła się chmura. Wysunęła się zza widnokręgu niczym palec gigantycznej ręki i kiedy Centaine przyglądała się jej w napięciu, chmura zaczęła się rozrastać, spłaszczona u góry niczym

kowadło, i po równinie przetoczył się stłumiony grzmot przypominający odległe warczenie lwa. Wkrótce potężna chmura wznosiła się majestatycznie nad światem, lśniąc odbitym światłem zachodzącego słońca i oświetlona cudownymi rozbłyskami nadciągającej burzy.

Tej nocy O'wa tańczył, grał na flecie i śpiewał pieśni dziękczynne duchom chmury, aż zupełnie opadł z sił i musiał usiąść na ziemi. Rankiem jednak czoło chmury zniknęło.

Tymczasem niebo straciło swój czysty, niebieski kolor i pojawiły się na nim wąskie smugi chmur pierzastych. Także w powietrzu czuło się nadciągającą burzę — było przesiąknięte elektrycznością, od której Centaine odczuwała mrowienie w skórze. Żar lejący się z nieba stał się ciężki i duszny, jeszcze trudniej szy do zniesienia niż suche, upalne tchnienie pustyni. Zza horyzontu na północy wyłaniały się chmury burzowe, wznosząc skłębione czupryny wysoko ku niebu.

Każdego dnia chmury były coraz wyższe i liczniejsze. Zbierały się na północy niczym legion gigantów i maszerowały wolno na południe, ziemię zaś przykrywała warstwa parnego powietrza, pozbawiając sił omdlałą równinę.

— Niech w końcu zacznie padać — szeptała każdego dnia Centaine, czując, jak pot spływa jej po czole, a dziecko cięży niczym olbrzymi głaz.

W nocy O'wa tańczył i śpiewał dla duchów.

— Duchu Chmury, spójrz, jak ziemia czeka na ciebie niczym krowa antylopy oczekująca z drzeniem na byka. Zejdź do nas z wysoka, Duchu Chmury, którego czcimy ze wszystkich sił, i napełnij ożywczą wodą ziemię, twoją żonę. Posiądź swoją kochankę, by z twego nasienia powstało nowe życie.

Kiedy H'ani zawtórowała mężowi wysokim trelem, Centaine przyłączyła się do nich, wydając dzikie okrzyki.

Następnego ranka chmury rozciągały się od jednego krańca nieba do drugiego i słońce nie wyjrzało zza gęstej powłoki. Niskie chmury wiły się wisieć nad samą ziemią. Potężny piorun rozerwał ich kłębiaste brzuchy i uderzył w równinę z siłą, od której wszystko drżało się pod stopami ludzi. Kropla deszczu trafiła Centaine w środek czoła i wydawała się tak ciężka, że dziewczyna krzyknęła wystraszona i cofnęła się o krok. Chmury rozwarły się gwałtownie i spadł z nich deszcz gęsty niczym chmiara szarańczy. Krople uderzały o ziemię i toczyły się po niej w postaci małych kulek błota. Porastające stromy brzeg niecki cierniste krzaki uginały gałęzie pod naporem ulewy, jakby siadały na nich chmary niewidzialnych ptaków.

Deszcz bębnił o skórę Centaine, a jedna z kropli ugodziła ją w oko i oślepiła na chwilę. Dziewczyna zamrugła powiekami i roześmiała widząc jak O'wa i H'ani biegających po niecce. Zrzucili z siebie skąpe ubranie i tańczyli zupełnie nadzy w ulewnym deszczu. Duże krople rozbijały się srebrnymi fontannami na ich pomarszczonej skórze i Buszmeni śmiali się radośnie jak dzieci.

Centaine zdarła z siebie płócienną spódnicę, odrzuciła szal i stała nago z szeroko rozpostartymi ramionami i twarzą wzniesioną ku córce. Deszcz chłostał ją po całym ciele i długie, ciemne włosy przylgnęły jej do twarzy i ramion. Centaine odgarnęła loki obiema rękami i otworzyła szeroko usta, zachłystując się strumieniami wody.

Miała wrażenie, że stoi pod wodospadem. Strugi wody wypełniały jej usta szybciej, niż zdążyła przełykać. Odległy brzeg niecki zniknął za niebieską zasłoną deszczu, a ziemia przemieniła się w żółty muł.

Krople deszczu były zimne i Centaine dostała gęsiej skórki na ramionach, a sutki jej stwardniały i pociemniały. Śmiała się jednak radośnie i tańczyła z Buszmenami, a powietrzem wstrząsały grzmoty, jakby ktoś przetaczał głazy po blaszanym dachu nieba.

Ziemia zniknęła pod warstwą srebrnej wody. Niecka wypełniła się deszczówką po kostki i pod

stopami Centaine czuła grząski muł. Deszcz wrócił im siły — tańczyli, i śpiewali w ekstazie, aż nagle O'wa zatrzymał się w pół kroku i z nachyloną głową zaczął czegoś nasłuchiwać.

Centaine nie słyszała nic przez nieustające grzmoty i ogłuszający szum deszczu, ale zareagowała natychmiast na ostrzegawczy krzyk O'wa. Rzucili się biegiem w stronę brzegu, ślizgając się na mule. Żółtawa woda sięgała już do kolan. Na brzegu Centaine usłyszała wreszcie dźwięk, który zaalarmował O'wa — cichy szum przypominający szelest gałęzi kołysanych wiatrem.

— Rzeka. — O'wa wskazał za siebie przez grubą zasłonę srebrnych potoków deszczu. — Rzeka ożyła.

Rzeka nadciągała niby monstrualny żółty pyton sunący piaszczystym korytem, rozlewając się z łoskotem od brzegu do brzegu i niosąc w wartkim nurcie ciała utopionych zwierząt i połamane gałęzie. Potok wpadł do niecki i rozlał się zwartymi falami po mulistej powierzchni, rozwalając kruche ściany brzegów, wirując wokół nóg uciekinierów i próbując pociągnąć ich ze sobą.

Porwali rzeczy i brodząc w wodzie, wspięli się na wyższy teren, trzymając się za ręce, żeby nie dać się pochłonąć żywiołowi. Deszczowe chmury sprowadziły wcześniejszy zmrok i zrobiło się bardzo zimno. Nie było mowy o rozpaleniu ognia i cała trójka tuliła się do siebie w poszukiwaniu ciepła.

Deszcz padał nieprzerwanie przez całą noc.

Szarym i ponurym rankiem krajobraz przedstawiał olbrzymie, lśniące jezioro, z którego wystawały na powierzchnię jedynie wysepki wyżej położonego gruntu i akacje przypominające grzbiety wielorybów.

— Czy ten deszcz nigdy się nie skończy? — wyszeptała Centaine. Nie mogła opanować szcękania zębami, zimno zdawało się przenikać w głąb jej ciała, gdyż dziecko kopało silnie w brzuch.

— Niech to się wreszcie skończy.

Buszmeni znosili chłód i deszcz ze stoicką powagą, jaką wykazywali we wszelkich przeciwnościach życiowych. Ulewa nie tylko nie słabła, ale wydawało się, że przybiera na sile, tak że krajobraz zupełnie zniknął za szklistymi kurtynami wody.

Nagle deszcz ustał. Bez żadnego uprzedzenia, nie słabnąc do ostatniej chwili — w jednej sekundzie na ziemię spływał potok wody, a w następnej było już po wszystkim. Gruba warstwa niskich chmur rozdarła się i rozsunała niczym skórka obieranej pomarańczy, odsłaniając przemyty błękit nieba. Skrzące się promienie słońca wyłocily ziemię, ponownie zdumiewając Centaine gwałtownością zmian, jakie przechodził ten dziki kontynent.

Do południa spragniona ziemia wypila wody, które ją zalały w nocy. Morze deszczówki znikło pod powierzchnią bez najmniejszego śladu. Jedynie w niecce utrzymała się siarczana, żółtawa woda rozciągająca się od brzegu do brzegu. Ziemia jednak została obmyta i odzyskała naturalne, czyste kolory. Z drzew i krzewów zniknęły grube warstwy szarego pyłu i Centaine zobaczyła prawdziwą zieleń, jakiej nawet nie przeczuwała na tym spalonym słońcem kontynencie. Wilgotna ziemia rozkwitła wszelkimi odcieniami czerwieni, oranżu i ochry, a zewsząd dochodziły ich wesołe śpiewy skowronków.

Rozłożyli swój skromny dobytek na słońcu i kiedy schnące na słońcu ubrania parowały obficie, O'wa zaczął tańczyć ekstatycznie.

— Duchy chmur otworzyły nam drogę. Wypełniły studnie wodą. H'ani, mój pustynny kwiatuszku, przygotuj się do drogi, gdyż uszemy jutro przed świtem.

Pierwszego dnia marszu weszli na zupełnie nowy teren, tak odmienny od poprzedniego, że Centaine nie dowierzała własnym oczom. Odwieczne wydmy połączyły się w ciąg łagodnie

falujących równin, które teraz rozkwitły życiem.

Wzdłuż krawędzi wyżej położonych terenów, gdzie wydmy zostały spłaszczone przez czas, rosły wysokie zagajniki drzew mopani i tal kaaat przeplatane nieprzeniknionym gąszczem trzcin. Miejscami nad lasem wznosiły się gigantyczne srebrne terminalie i trzydziestometrowe baobaby.

W dolinach pola złocistych traw i ogromne akacje o spłaszczonych koronach nadawały krajobrazowi wygląd zadbanego parku. Także lataj, w najniższych depresjach, deszczówka pozostała w płytkich studniach i cała równina tętniła życiem.

Pomiędzy żółtymi trawami pojawiły się pierwsze, delikatne zielone pędy. Całe ogrody dzikich kwiatów, stokrotek, obrazkowców, gladioli i pięćdziesięciu innych gatunków, których Centaine nigdy w życiu nie widziała, wyrastały niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, oszłamiając ją swoim pięknem i niezliczoną ilością barw, a także skłaniając cło refleksji nad bujnością tego ładu. Centaine namiętnie zbierała kwiaty i plotła z nich wieńce dla siebie i H'ani. Stara kobieta pyszniła się nimi niczym panna młoda.

— Gdybym tylko miała lustro, pokazałabym ci, jak pięknie wyglądasz. — Centaine uściskała starowinkę.

Także niebo nad Afryką wypełniło się życiem. Przelatywały po nim stada ptaków auelea, grubych niczym miodne pszczoły, z poszycia lasów wylatywały dzierzby o rubinowych piersiach, w powietrzu unosiły się stepówki i kuropatwy tłuste jak ptactwo domowe, a na przepelnionych studniach pływały dzikie kaczki, przechadzały się długonogie szczudłaki i chude, niebieskie czaple.

— Wszystko jest takie piękne — zachwycała się Centaine.

Każdy dzień wydawał się teraz niedzielnym spacerkiem po męczarniach na wydmach i wszędzie, gdzie rozbijali się obozem, czekał ich luksus w postaci czystej wody, niezliczone ilości jadalnych owoców i orzechów oraz zwierzęta, na które polował O'wa.

Pewnego wieczoru O'wa wspiał się wysoko na spuchnięte konary monstrualnego baobabu i wykurzył stamtąd pszczoły zamieszkujące pusty pień od czasów jego pradziadka. Zsunął się na dół z grubymi plastrami ociekającymi ciemnym miodem o zapachu żółtych kwiatów akacji.

Każdego dnia napotykali nowe gatunki zwierząt: szablrorogie antylopy, czarne niczym noc, z długimi, zakrzywionymi rogami, które niemal ocierały im się o grzbiet, a także bawoły ze spuszczoneymi łbami obciążonymi masywnymi, wygiętymi rogami, przypominające w zapachu bydło domowe.

— Przybyły tutaj wzdłuż wielkiej rzeki i moczarów — wyjaśnił O'wa. — Podążają za wodą i kiedy wyschnie, wrócą na północ.

W nocy Centaine obudził nowy dźwięk, o wiele bardziej przerażający niż szczekanie szakala czy maniakalne wycie i jęki stada hien. Ogłuszający ryk szybko narastał, osiągając niesamowite crescendo i cichnąc w szeregu gardłowych pomruków. Centaine wygramoliła się ze swojego szałas i pobiegła do H'ani.

— Co to było, babciu? Ten dźwięk przemienia żołądek w wodę! Centaine drżała na całym ciele i stara kobieta przytuliła ją do siebie.

— Nawet najdzielniejszy mężczyzna drży ze strachu, gdy pierwszy raz usłyszy ryk lwa — pocieszyła dziewczynę. — Nie bój się jednak, Dziecko Nam, gdyż O'wa zrobił czary, które nas ochronią. Tej nocy lew znajdzie sobie inną ofiarę.

Jednak noc spędzili bliżej ogniska, dokładając cały czas gałęzi do ognia. Było jasne, że H'ani nie ufa bardziej magicznym zaklęciom męża niż Centaine.

Stado lwów krążyło przez całą noc wokół obozowiska, trzymając się na granicy światła i Centaine dostrzegała jedynie od czasu do czasu jaśniejsze plamy przesuwające się pomiędzy

ciemnymi krzakami. Przed świtem ryki zwierząt ucichły, gdy lwy oddaliły się na wschód, i O'wa z ulgą pokazał Centaine ślady wielkich łap odcisniętych w miękkiej ziemi.

Dziewiątego ranka od czasu opuszczenia „wielkiego, białego miejsca” szli przez otwarty las mopani w kierunku wodopoju, gdy przed nimi rozległ się ogłuszający trzask niczym wystrzał z działa i wszyscy zamarli.

— H'ani, co to takiego?

Ta jednak dała dziewczynie znak, żeby zachowała ciszę i Centaine stała w milczeniu. Po chwili dobiegły ją trzaski miażdżonego poszycia i głośnie trąbienie, czyste niczym głos trąbki.

O'wa szybko sprawdził wiatr, jak zawsze przed rozpoczęciem polowania, i poprowadził je szerokim zakolem przez las. Zatrzymali się pod rozpościerającymi się zielonymi gałęziami wysokiego drzewa, a mężczyzna złożył na ziemi łuk i swoje rzeczy.

— Chodź!

Dał znak Centaine i niczym zwinna małpka zaczął wdrapywać się na drzewo. Nie zważając na wystający brzuch, podążyła za nim i kiedy 11 utarła do rozgałęzienia górnych gałęzi, miała widok na całą dolinę i wodopój.

— Słonie!

Od razu rozpoznała wielkie, szare zwierzęta. Stado schodziło z przeciwległego zbocza doliny ku wodopojowi, maszerując ociężałym, zamaszystym krokiem, kołysząc głowami i wachlując uszami, wyciągały trąby ku słodkiej wodzie.

Stado składało się z długonogich starych samic o poszarpanych uszach i kłykciach kręgosłupa wystających przez skórę na wychudłych grzbietach, młodych samców z żółtymi kłami, podrostków bez wykształconych kłów i maluchów, które musiały biec, żeby nadążyć za matkami. Na ich czele maszerował majestatycznie przywódca stada.

Stary słoń miał ponad trzy metry w kłębie, był cały pokryty bliznami i szary. Gruba, luźna skóra zwisała mu wokół kostek i pomiędzy tylnymi nogami. Olbrzymie uszy rozpościerały się niczym żagle na statku, a ciemne kły były prawie dwukrotnie dłuższe niż siekacze mniejszych samców w stadzie.

Słoń wydawał się stary, a jednocześnie wiecznie młody, potężny i chropowaty; otaczała go majestatyczna i tajemnicza aura, która dla Centaine stanowiła istotę tego kontynentu.

Lothar De La Rey przeciął trop stada słoń trzeciego dnia po opuszczeniu obozu nad rzeką Cuene. Lothar i jego tropiciele z plemienia Ovambo oglądali uważnie trop, rozchodząc się na boki i okrążając wydeptane w ziemi ślady niczym psy gończe. Kiedy zebrali się wszyscy razem, Lothar skinął na przodownika.

— Mów, Hendrick.

Ovambo był wzrostu Lothara, ale znacznie szerszy w ramionach. Skórę miał ciemną i gładką jak topiona czekolada.

— Dobre stado — zawyrokował. — Czterdzieści krów, wiele cieląt i osiem młodych byków.

Na głowie nosił dumnie ciemny turban wojownika, na muskularnej piersi zwisały mu sznury szklanych paciorków, ale miał także na sobie spodnie do jazdy konnej i pasy amunicji przewieszane przez jedno ramię.

— Przywódca stada jest tak stary, że podeszwy stóp ma całkiem gładkie, tak stary, że nie może już przeżuwać jedzenia i w jego odchodach pełno jest kory i gałązek. Stąpa ciężko przednimi nogami, gdyż obciążają go wielkie kły. To byk, za którym warto podążać — stwierdził Hendrick, przełożył mauzera do prawej ręki i podniósł wyczekującym gestem.

— Ślad jest już zatarty przez wiatr — zauważył cicho Lothar — i porysowany przez owady i przepiórki. Ma już trzy dni.

— Stado pożywia się. — Hendrick rozpostarł szeroko ramiona. — Słonie rozeszły się i idą wolno, małe opóźniają tempo wędrówki.

— Będziemy musieli odesłać konie — nalegał Lothar. — Nie możemy ryzykować, że stracimy je przez tse-tse. Czy dogonimy słonie pieszo?

Lothar odwiązał z szyi szarfę i otarł nią w zamyśleniu twarz. Potrzebował tej kości słoniowej. Przyjechał na północ nad rzekę Cuene, jak tylko jego ludzie przesłali mu wiadomość o deszczach. Był pewien, że świeża roślinność i woda powierzchniowa zwabią stada przez rzekę biegnącą wzdłuż granicy z kolonią portugalską.

— Piechotą możemy dogonić je w dwa dni — obiecał Hendrick, ale Ovambo był niepoprawnym optymistą i Lothar zażartował sobie z niego.

— A każdej nocy znajdziemy dziesięć ślicznych dziewcząt Herero, czekających na nas z dzbankami piwa na głowie.

Hendrick odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się głębokim, gardłowym śmiechem.

— Trzy dni — poprawił się, chichocząc wesoło — i może tylko jedna dziewczyna Herero, ale za to bardzo piękna i usłużna.

Lothar jeszcze przez chwilę rozważał ich szansę. Stary byk był świetnym okazem, a młodsze miały pewnie też niezłe kły. Nawet samice zapewnią mu po dziesięć kilo kości słoniowej, a kilogram wart był dwadzieścia dwa szylingi i sześć pensów.

Miał ze sobą dwunastu najlepszych ludzi, chociaż dwóch będzie musiał odesłać z końmi. Wciąż dysponował jednak wystarczającą liczbą strzelców, żeby wykonać tę robotę. Jeśli tylko uda im się zbliżyć do stada, mają szansę zastrzelić każde zwierzę, które ma kły.

Lothar De La Rey był bowiem bankrutem. Stracił majątek rodzinny, został ogłoszony zdrajcą i wyjęty spod prawa za to, że kontynuował walkę po kapitulacji pułkownika Frankego. Za jego głowę wyznaczono nagrodę. To była najprawdopodobniej ostatnia szansa podreperowania finansów. Znał Anglików na tyle dobrze, żeby oczekiwać, iż zaraz po zakończeniu wojny wezmą się do uporządkowania administracji zdobytych terytoriów. Wkrótce nawet w najbardziej oddalonych zakątkach kraju pojawią się komisarze i oficerowie nadzorujący przestrzeganie brytyjskiego prawa i zwracający szczególną uwagę na kłusowników kości słoniowej. Stare, dobre dni swobodnego polowania wydawały się policzone. To mogła być ostatnia wyprawa.

— Odeślijcie konie! — rozkazał. — Ruszamy w pościg!

Lothar nosił lekkie skórzane buty myśliwskie. Jego ludzie byli zahartowani przez długie lata wojny i teraz lekko biegli po śladach, zmieniając się często na czele szeregu, żeby pozwolić wypocząć towarzyszom.

Późnym wieczorem wkroczyli na teren opanowany przez muchy i małe, natarczywe tse-tse wyleciały chmarami z lasu, by siadać na spoconych ludzkich karkach i wbijać trąbki do wysysania krwi głęboko w ciało myśliwych. Mężczyźni wycięli liściaste witki z zarośli i wzajemnie spędzali sobie tse-tse z pleców, nie przerywając biegu. Przed zmrokiem pokonali odległość, jaką stado przemierzyło w dwa dni. Trop był tak świeży, że mrówkojady nie zdążyły jeszcze wykopać malutkich kanalików-pułapek w śladach stóp słoni.

Noc zmusiła myśliwych do rozbicia obozu. Mężczyźni leżeli na ziemi i spali mocnym snem niczym strudzone psy gończe. Kiedy księżyc wzniosł się nad szczytami wysokich drzew, Lothar poderwał ludzi celnymi kopniakami z ziemi. Światło księżycy sprzyjało podjęciu pościgu za stadem, odciski stóp były obrysowane smugami cienia, a rany po płatach kory zerwanych przez słonie z drzew odbijały mdłe światło niczym lustro i umożliwiały szybkie podążanie za zwierzętami. Wraz z pierwszymi promieniami wstającego słońca myśliwi przyspieszyli kroku.

W godzinę po świcie minęli terytorium opanowane przez muchy tse-tse. Obszary, na których żyły te małe, krwiożercze owady, były ściśle określone i granicę, dzielącą teren, na którym roiły się chmary tse-tse od miejsca, gdzie nie było już ani jednej muchy, można było przebiec stoma krokami. Po napastliwych owadach pozostały im jedynie piekące bąble na karkach.

Dwie godziny przed południem dotarli do wodopoju w dolince ukrytej w lesie. Ód stada dzieliło ich już tylko kilka godzin biegu.

— Pijcie szybko — rozkazał Lothar i wszedł po kolana do brudnej wody, którą słonie zmaciły tak, że przybrała kolor café au lait. Nabrał wody do kapelusza i polał nią spoconą głowę. Gęste, złote loki spłynęły mu na twarz i Lothar prychnął z ulgą. Woda była kwaśna od soli z moczu słoni — wielkie zwierzęta zawsze opróżniały pęcherz przy kontakcie z zimną wodą — ale myśliwi pili ją szybko i napełniali butelki.

— Szybciej — pogonił ich Lothar, nie podnosząc głosu, gdyż wszelkie dźwięki niosą się w buszu daleko, a stado było już bardzo blisko.

— Baas! — zasygnalizował Hendrick i Lothar podszedł do brzegu, brnąc po kolana w wodzie.

— O co chodzi?

Potężny Ovambo w milczeniu wskazał na ziemię. W sztywnej, żółtej glinie odbite były wyraźne ślady, tak świeże, że nachodziły na ślady słoni i woda jeszcze nie do końca wypełniła zagłębienia.

— Ludzie! — zawołał Lothar. — Po odejściu stada byli tutaj ludzie!

— Sanowie, a nie ludzie — poprawił go szorstko Hendrick. — Ci mali, żółci mordercy bydła. — Ovambo byli pasterzami, a bydło stanowiło ich największy skarb i miłość. — Te psy pustynne, które, ucinają wymiona naszym najlepszym krowom.

Był to tradycyjny rewanz Buszmenów za popełniane na nich zbrodnie.

— Są tylko kilka minut przed nami. Możemy ich dogonić w ciągu godziny.

— Odgłos strzałów spłoszyłby stado.

Lothar podzielał nienawiść Ovambo do Buszmenów. Niebezpieczni złoczyńcy, złodzieje bydła i mordercy. Wujek Lothara zginął w czasie jednego z polowań na Buszmenów pięćdziesiąt lat temu, ugodzony malutką strzałą z kościanym grotem, która przebiła pancerz z nie wyprawionej skóry. Historia rodzinna zanotowała każdy szczegół jego śmierci w męczarniach.

Nawet Anglicy, ze swoim chorobliwym sentymentalizmem wobec czarnej rasy, nie widzieli miejsca dla Buszmenów. Rozkazy założonej przez Cecila Rhodesa słynnej Brytyjskiej Południowoafrykańskiej Policji mówiły, że każdy San czy dziki pies napotkany przez patrol powinien być na miejscu zastrzelony. Nie czyniono rozróżnienia pomiędzy tymi stworzeniami.

Lothar czuł się rozdarty pomiędzy możliwością wypełnienia przyjemnego obywatelskiego obowiązku, jakim było podążenie za grupą Buszmenów i wystrzelanie ich do nogi, a pilnowaniem własnych interesów.

— Kość słoniowa — zdecydował. — Kość słoniowa jest ważniejsza niż zabicie kilku szympansów.

— Baas, tutaj!

Hendrick obszedł wodopój i zatrzymał się w jednym miejscu. Ton jego głosu zaalarmował Lothara. Podbiegł do wielkiego Ovambo i przykucnął na ziemi, żeby lepiej przyjrzeć się nowym odciskom.

— To nie San! — wyszeptał Hendrick. — Za wielkie.

— Ale to kobieta — odparł Lothar. Wąskie ślady i małe odciski palców wskazywały wyraźnie na kobietę. — Młoda. — Ślady palców nił były się wyraźniej niż pięty; musiała to być młoda osoba o energicznym kroku. — To niemożliwe!

Hendrick uklęknął na ziemi obok swojego pana i nie dotykając odcisków, obrysował palcem wgłębienie pomiędzy piętą a palcami.

Lothar usiadł na ziemi i odrzucił z czoła wilgotne loki.

Tubylcy, którzy od urodzenia chodzili na bosaka, zostawiali wyraźnie płaskie odciski.

— Ona nosiła buty — stwierdził cicho Hendrick.

— Biała kobieta? To niemożliwe! — powtórzył Lothar. — Tutaj, wędrująca w towarzystwie dzikich Sanów? Na miłość boską, jesteśmy setki kilometrów od cywilizacji!

— A jednak jest to młoda, biała dziewczyna; pewnie uprowadzona przez Sanów — potwierdził Hendrick i Lothar zmarszczył brwi.

Tradycja rycerskości wobec kobiet była częścią jego wychowania, jedną z podstaw wyznania protestanckiego. Jako żołnierz i myśliwy Lothar potrafił odczytywać znaki na ziemi, jakby widział osobę czy zwierzę, które je zostawiło. W jego umyśle powstał obraz młodej dziewczyny, szczupłej, o długich nogach, delikatnie zbudowanej, ale silnej i dumnej, która poruszała się zdecydowanym krokiem, stąpając z palców. Pewnie jest także odważna i zdeterminowana. W buszu nie było miejsca dla słabeuszy, więc dziewczyna z jego marzeń tryskała zdrowiem. Przypatrując się jej oczyma wyobraźni, Lothar poczuł dziwną pustkę w duszy.

— Musimy odnaleźć tę dziewczynę — powiedział cicho. — Musimy ją ocalić przed Sanami.

Hendrick spojrzał na niebo, wyjął zza pasa tykwę z tabaką i wysypał odrobinę czerwonego proszku na dłoń.

— Wiatr nam nie sprzyja. — Skinął ręką w stronę, w którą biegły ślady. — Idą z wiatrem. Nie uda nam się ich zaskoczyć.

— Zawsze jest sto powodów, żebyśmy nie robili tego, na co nie masz ochoty. — Lothar przecesał mokre włosy palcami i przewiązał je skórzaną przepaską z tyłu głowy. — Ścigamy Sanów, a nie zwierzęta. Wiatr nie ma tu żadnego znaczenia.

— Sanowie to zwierzęta. — Hendrick zatkał palcem jedno nozdrze i wciągnął drugie tabakę. — Przy tym wietrze zwąchają nas z odległości trzech kilometrów i usłyszą, zanim ich jeszcze zobaczymy.

Otrzeptał dłoń i zdmuchnął resztki tabaki z górnej wargi.

— To czysta fantazja! — prychnął pogardliwie Lothar. — Tym razem przesadziłeś, największy oszuście z całego plemienia Ovambo. — Jego ton stał się znowu autorytatywny. — Dostyc tych pogaduszek, ruszamy za białą dziewczyną. Poprowadź pościg.

Z rozwidlenia gałęzi na wysokim drzewie Centaine z rosnącą przyjemnością obserwowała stado słońi przy wodopoju. Kiedy opanowała strach wywołany ich wielkością i monumentalną brzydota, zauważyła związki łączące zwierzęta w grupie. Swoim zachowaniem słońie przypominały jej ludzi.

Przewodnik stada okazał się wyjątkowo kapryśny i po jego ruchach można było poznać, że bołą go artretyczne stawy. Stado traktowało go z szacunkiem i zostawiło jedną część wodopoju wyłącznie dla przywódcy. Stary byk pił głośno wodę, wpuszczając jej strumienie do gardła. Następnie położył się w mule i chrząkając z ulgą zaczął nabierać trąbą błoto i polewać sobie zakurzoną głowę. Muł ściekał mu po głowie i słoń zamknął z zachwyty oczy.

Po drugiej stronie stawu piły wodę i kapały się młodsze samce oraz krowy. Zwierzęta polewały się po bokach i pomiędzy przednimi nogami wodą zmieszaną z mułem, podnosiły głowy i wepchnąwszy trąby głęboko w gardło, posyłały szumiące strumienie wody do opasyłych brzuchów. Kiedy wreszcie zaspokoili pragnienie, stały spokojnie ze splecionymi w miłosnych uściskach trąbami i z radością przyglądały się cielętom harcującym pomiędzy ich nogami i pod brzuchami.

Jedno z małych cieląt, niewiele większe od świni i równie tłusciutkie, usiłowało precyzyjnie się

pod pnem zwalonego drzewa i utknęło w mule. Komicznie spanikowany malec wydał alarmujący pisk, na który zareagował każdy słoń w stadzie, przeistaczając się w mgnieniu oka z sympatycznego olbrzyma w dyszącego zemstą potwora. Zwierzęta wpadły do wodopoju, i zaczęły kopać potężnymi nogami wodę, która tryskała strumieniami piany spod ich stóp.

— Myślą, że to krokodyl porwał małe — szepnął O'wa.

— Biedny krokodyl! — odszepnęła Centaine.

Matka wyciągnęła cielaka spod drzewa, malec zaś smyrnął pomiędzy jej nogami i histerycznie przyszał się do wymienia. Rozwścieczone stado szybko się uspokoiło, ale widać było, że zwierzęta są zawiedzione, iż ominęła je przyjemność rozerwania znieprawionego krokodyla na strzępy.

Kiedy przewodnik podniósł się wreszcie z błotnej kąpieli i ociekając mazią, ruszył w stronę lasu, krowy zgarnęły potomstwo, wyganiając je z jeziora kłapnięciami trąb i stado posłusznie podążyło za starym iriarchą. Długo po tym, jak zwierzęta zniknęły w lesie, Centaine szala trzask łamanych gałęzi i bulgotanie wody w ich olbrzymich brzuchach. Centaine i O'wa zsunęli się z drzewa, uśmiechając się z radości.

— Maleństwa były takie nieposłuszne — powiedziała Centaine do H'ani. — Zupełnie jak dzieci.

— Nazywamy je dużymi ludźmi — odparła H'ani — gdyż są mądre i kochane jak Sanowie.

Zeszli nad brzeg jeziora i dziewczyna z zainteresowaniem przyglądała się wysokim, żółtym kopcom odchodów pozostawionych przez słonie. W parujących odchodach grzebały ptaki, szukając nie strawionych orzechów i nasion.

— Anna byłaby zadowolona, gdyby miała taki nawóz do ogródka warzywnego... — Zatrzymała się w pół zdania. — Nie powinnam tyle myśleć o przeszłości.

Nachyliła się, żeby obmyć twarz, gdyż nawet mulista woda stanowiła przyjemną ochłodę podczas dziennego upału, gdy nagle O'wa zamarł w miejscu i obrócił głowę na północ w kierunku, skąd przyszły słonie, nasłuchując czegoś z natężeniem.

— Co się dzieje, czcigodny dziadku?

H'ani od razu zwróciła uwagę na zachowanie męża. O'wa przez chwilę nic nie odpowiedział, ale w jego oczach krył się niepokój, a usta drżały nerwowo.

— Wiatr coś przyniósł, dźwięk, zapach, nie jestem pewien — szepnął. Jego głos stał się nagle zdecydowany. — Niebezpieczeństwo. Blisko. Musimy uciekać.

H'ani poderwała się z ziemi i schwyciła torbę z jajkami z wodą. Nigdy nie wątpiła w intuicję męża, która tyle razy ocaliła im życie.

— Dziecko Nam! — zawołała cicho nagłym tonem. — Szybko!

— H'ani... — Centaine ze zdziwieniem obróciła się do niej. Weszła już po kolana do mętnej wody. — Jest tak gorąco, chciałam..

— Grozi nam niebezpieczeństwo, wielkie niebezpieczeństwo. Dwójka Sanów obróciła się w miejscu niczym spłoszone ptaki i rzuciła biegiem w stronę lasu. Centaine wiedziała, że za parę chwil zostanie sama w buszu, a perspektywa samotności wciąż wywoływała w niej dreszcze. Wybiegła z jeziora, porwała torbę i kij i ruszyła za Buszmenami ubierając się w biegu.

O'wa okrążył szybko las, wybierając kierunek, w którym wiał wiatr. Sanowie, podobnie jak bawoły i słonie, zawsze uciekali z wiatrem, żeby czuć zapach ścigających ich ludzi.

Mężczyzna zatrzymał się i zaczekał, aż dziewczyna do nich dołączy.

— O'wa, co się stało? — zapytała Centaine, dysząc ciężko.

— Niebezpieczeństwo. Śmiertelne niebezpieczeństwo. Poruszenie starych ludzi było wyraźne i zaraźliwe. Centaine nie nauczyła się jeszcze, o co ma pytać w podobnej sytuacji.

— Co mam robić?

— Zacieraj ślady, jak cię uczyłem — rozkazał O'wa.

Centaine przypomniała sobie cierpliwe instrukcje, jak ma ukrywać i zacierać ślady, żeby zgubić prześladowców. Była to jedna z ważniejszych umiejętności, od których zależało życie Buszmenów.

— Najpierw H'ani, a ty za nią. — O'wa w pełni panował nad sytuacją. — Podążaj za nią. Czyń to, co ona. Ja będę szedł za wami i poprawiał wasze błędy.

Stara kobieta była szybka i zwinna niczym mała, brązowa kuropatwa. Przemykała przez las, unikając wydeptanych przez zwierzęta ścieżek i otwartych przestrzeni, na których ich ślady byłyby łatwe do zauważenia. Nurkowała pod ciernistymi krzakami, w miejscach, gdzie prześladowcy nie podejrzewaliby nawet, że człowiek może się precyzyjnie, stąpała po kępach trawy i biegła po zwałonych pniach, zmieniając długość kroku i kierunek na twardszym terenie i wykorzystując każdą sztuczkę, jakiej się nauczyła w pełnym niebezpieczeństwie życia.

Centaine podążała za nią, ale nie była tak zwinna i miejscami zostawiała ślad stóp na ziemi, strącała liście z mijanych krzaków i poruszała żdźbła trawy. O'wa biegł tuż za nią, zacierając zostawione przez dziewczynę znaki kępą trawy, schylał się, żeby podnieść z ziemi zerwany liść i delikatnie poprawiał zgięte żdźbła trawy, które mogły wskazać kierunek ich ucieczki.

O'wa kierował H'ani gwizdami i piskami naśladującymi krzyki ptaków, a stara Buszmenka reagowała na nie natychmiast, skręcając w lewo lub w prawo, przyspieszając kroku lub zatrzymując się w miejscu na kilka sekund, żeby dać mężowi czas na powąchanie wiatru i wsłuchanie się w dobiegające z lasu odgłosy, i znowu mknęła przed siebie na otrzymany sygnał.

Przed nimi otwarła się polana, szeroka na kilometr, porośnięta rzadkimi akacjami o spłaszczonych koronach. Za polaną ciągnęło się niskie wzgórze gęsto porośnięte drzewami i zaroślami dzikich hebanów, ku którym kierował się O'wa.

Starzec wiedział, że wzgórze to składa się z twardych, nierównych skał, na których żaden człowiek nie odnajdzie ich tropu. Jeśli tylko zdołają dotrzeć do wzniesienia, będą bezpieczni, ale dzieliła ich od niegoszeroka przecinka, na której stanowili łatwy cel, zwłaszcza jeśli prześladowcy są uzbrojeni w dym, który zabija na odległość.

O'wa zatrzymał się na kilka cennych sekund, żeby powąchać powietrze. Trudno było ocenić odległość nieprzyjemnego odoru niesionego przez lekki wiatr, zapachu karbolowego mydła i tabaki, nie pranych, wełnianych ubrań i skarpet oraz stęchłego smrodu tłuszczu zwierzęcego, którym Ovambo nacierali ciała. Wiedział jednak, że musi zaryzykować wyjście na otwartą przestrzeń.

Nawet najbardziej usilne zacieranie śladów nie mogło naprawić wszystkich błędów popełnianych przez Centaine. Starania O'wa mogły icztylnie opóźnić pościg, ale stary Buszmen zdawał sobie sprawę, że Ovambo potrafią czytać w miękkiej ziemi nie gorzej od niego. Jedyne na twardym gruncie mieli szansę zgubić prześladowców. Gwizdnął cicho, naśladując gwizd dzierzby i H'ani posłusznie wybiegła na polankę, przemyskając pomiędzy niską, żółtą trawą.

— Biegnij, mój ptaszku — zawołał O'wa. — Jeśli złapią nas na polanie, to po nas.

— Zwąchali nas. — Hendrick obejrzał się na Lothara. — Zobacz, jak zacierają ślady. Na skraju lasu wydawało się, że uciekinierom wyrosły skrzydła i odlecieli w nieznaną. Zniknęły wszelkie znaki. Hendrick dał znak pozostałym tropicielom i mężczyźni rozbiegli się na wszystkie strony. Szli teraz w długiej linii, szukając tropu. Jeden z tropicieli na prawym skrzydle gwizdnął cicho i wskazał ręką nowy kierunek.

— Uciekają z wiatrem — mruknął Hendrick do Lothara, który biegł dziesięć kroków od niego. — Powiniennem się domyślić.

Linia tropicieli obróciła się i ruszyła we wskazanym kierunku. Mężczyzna z lewej strony wydał gwizd i potwierdził kierunek ucieczki falującym ruchem ręki. Wszyscy przyspieszyli kroku,

przechodząc do truchtu.

Lothar zauważył przed sobą drobną różnicę w kolorze na pozornie nie poruszonej ziemi, skrawek piasku nie większy niż ludzka stopa, o jaśniejszym kolorze. Nachylił się, żeby lepiej przyjrzeć się ziemi. Odcisk stopy został dokładnie zatarty. Lothar gwizdnął cicho i dał im znak, żeby biegli dalej.

— Wierzysz teraz, że Sanowie mają węch jak słonie? — zapytał Hendrick biegnącego obok białego.

— Wierzę tylko w to, co mogę zobaczyć na własne oczy. — Lothar wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Dopiero jak zobaczę Busz-mena wachającego ziemię, uwierzę ci.

Hendrick zachichotał, ale jego oczy pozostały zimne i wcale niewesołe.

— Będą mieli zatrute strzały — ostrzegł.

— Nie pozwólmy im zbliżyć się do nas za bardzo — odparł Lothar. — Strzelajcie, jak tylko ich zobaczycie, ale uważajcie na białą kobietę. Własnoręcznie zabiję tego, kto ją zrani. Powtórz to pozostałym.

Rozkaz Lothara został przekazany wzdłuż linii.

— Strzelajcie do Sanów, ale uważajcie bardzo na białą kobietę.

Dwukrotnie zgubili trop. Musieli wracać do ostatniego wypatrzonego śladu, obszukać teren i ruszyć w nowym kierunku. Sanowie oddalali się z każdym przymusowym postojem i Lothar coraz bardziej się niepokoił.

— Oddalają się od nas! — zawołał do Hendricka. — Pobiegnę w tym kierunku. Podążajcie po śladach na wypadek, gdyby znowu skręcili.

— Uważaj na siebie! — zawołał za nim Hendrick. — Mogli zastawić pułapkę. Strzeż się strzał.

Lothar zignorował ostrzeżenie i puścił się pędem przez las, nie zwracając uwagi na ślady i kierując się prosto przed siebie w nadziei, że wypłoszy Buszmenów z ukrycia lub tak będzie na nich naciskać, że zostawią brankę, aby uratować własne skóry. Nie zważał na ciernie, które darły mu ubranie. Nurkował pod nisko wiszącymi gałęziami drzew i przeskakiwał zwalone pnie, gnając co sił w nogach.

Nagle wypadł z lasu na otwartą przestrzeń i zatrzymał się, dysząc ciężko i czując, jak strugi potu spływają mu do oczu i przesiakają przez koszulę na plecach.

Jego uwagę zwrócił ruch po drugiej stronie polany, tuż pod zarośniętym lasem wzgórzem. Nad kołyszącą się na wietrze żółtą trawą poruszały się małe, czarne plamki. Lothar cofnął się do najbliższego drzewa i wspiał się zrećnie na niższe gałęzie.

Wciągając głęboko powietrze, żeby uregulować oddech, wyjął z torby myśliwskiej mały teleskop i rozciągnął go na pełną długość. Ręce mu drżały i miał kłopoty z nakierowaniem lunety, ale udało mu się przebiec wzrokiem skraj polany.

W okrągłej soczewce pojawiły się trzy ludzkie postacie. Uciekinierzy biegli rozciągnięci w szereg, zbliżając się szybko do zwartej linii drzew. Jedyne ich głowy i ramiona wystawały ponad trawę. Jedna sylwetka była znacznie wyższa od pozostałych.

Lothar przyglądał się im przez kilka sekund, zanim dotarli do linii drzew. Dwójka Buszmenów zniknęła natychmiast w lesie, ale wyższy człowiek zatrzymał się na chwilę, wstąpił na pień zwalonego drzewa i obejrzał się w stronę Lothara.

Była to dziewczyna. Długie, czarne włosy miała splecione w dwa yrubie warkocze opadające na ramiona. Lothar mógł dostrzec przez lunetę wyraz jej twarzy, wylękniony i jednocześnie nieustraszony z natury. Zarys podbródka i czoła był arystokratyczny, usta pełne i zdecydowane, ciemne oczy, dumne i inteligentne. Jej skóra nabrała głębokiego odcienia miodu, tak iż przez chwilę Lothar podejrzewał, że to Mulatka. Dziewczyna przełożyła torbę z jednego ramienia na drugie i na

chwilę rozsunął się szorstki materiał osłaniający jej ciało.

Lothar dostrzegł skrawek białej skóry, nie tkniętej przez słońce, delikatny kształt pełnej, młodej piersi z jędrnym, różowym sutkiem i poczuł, jak nogi mu miękną, wcale nie z wysiłku. Na chwilę wstrzymał oddech i zaraz odetchnął głęboko, wypełniając płuca powietrzem.

Dziewczyna odwróciła głowę, ukazując na chwilę profil i Lothar miał pewność, że jeszcze nigdy w życiu nie widział piękniejszej kobiety. Całym ciałem i duszą pragnął tej nieznanym. Dziewczyna odwróciła się, zeskoczyła zwinnie z pnia i zniknęła w lesie. Jeszcze przez chwilę gałęzie pierwszych drzew kołysały się niespokojnie.

Lothar czuł się jak ślepiec, któremu na kilka sekund pokazano cud widzenia, by zaraz znowu wtrącić go w ciemność. Patrzył w stronę, gdzie zniknęła dziewczyna, tak porażony jej nieobecnością, że przez długie sekundy nie mógł ruszyć się z miejsca. Wreszcie zeskoczył z drzewa, potoczył się na kolana i szybko, już w biegu, zerwał się z ziemi.

Gwizdnął krótko i natychmiast usłyszał odpowiedź Hendricka z lasu. Nie czekając na swoich ludzi, puścił się sprintem przez polanę. Czuł jednak, że nogi mu ciążyą, jakby były z ołowiu. Dopadł miejsca, w którym dziewczyna zatrzymała się, by spojrzeć za siebie, i znalazł zwalone drzewo, na którym stała. Na miękkim piasku, w miejscu, gdzie zeskoczyła z pnia, widniały odbite wyraźnie ślady jej stóp, ale kilka kroków dalej nikły na skalistym podłożu wzgórza. Ziemia była tu twarda niczym marmur, miejscami popękana i nierówna, i Lothar wiedział, że uciekający nie zostawią na niej żadnych śladów. Nie tracił też czasu na szukanie, ale przedarł się przez gęsty las na szczyt wzgórza, mając nadzieję, że dostrzeże stamtąd jakiś ruch.

Ze wszystkich stron otaczały go drzewa i nawet kiedy wspinał się na szczyt olbrzymiego baobabu, w dole rozciągał się aż po horyzont nieprzerwany dach lasu, szary i nieprzyjazny.

Lothar zsunął się na ziemię i wrócił po śladach na skraj polany. Tropiciele z plemienia Ovambo czekali już na niego.

— Zgubiliśmy ich na twardym gruncie — przywitał go Hendrick.

— Rozciągnijcie się w linię, musimy ich znaleźć — rozkazał Lothar.

— Już próbowałem, trop się urywa.

— Nie zrezygnuję. Będziemy szukać. Nie pozwolę im tak łatwo się wymknąć.

— Widziałeś ich.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie; Hendrick obserwował uważnie twarz swojego pana.

— Tak.

— To była biała dziewczyna — nalegał Hendrick. — Widziałeś dziewczynę, czy tak?

— Nie możemy zostawić jej na pustyni. — Lothar odwrócił wzrok. Nie chciał, żeby Hendrick dostrzegł pustkę w jego duszy. — Musimy ją odnaleźć.

— Spróbujemy jeszcze raz — zgodził się wielki Ovambo, a na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech. — Ta dziewczyna jest piękna, prawda?

— Tak — mruknął cicho Lothar, nie patrząc mu w oczy. — Jest piękna. — Otrząsnął się jak po przebudzeniu z tajemniczego snu. Zarys jego szczęki znowu nabrał ostrości. — Wyślij ludzi na wzgórze — rozkazał.

Szukali tropu niczym sfora psów myśliwskich, przeglądając każdy centymetr twardej, żółtej skały, nachylając się co chwila nad ziemią i poruszając się wolno do przodu w rozciągniętej linii. Udało im się natrafić tylko na jeden ślad.

Na jednej z niskich gałęzi drzewa, przy szczytce wzgórza, na poziomie ramienia Lothara wisiał ludzki włos. Musiał zostać wyszarpanięty, gdy dziewczyna nachyliła się, przechodząc pod gałęzią. Włos wił się łagodnie, długi jak ramię Lothara i lśniący w słońcu niczym nitka czarnego jedwabiu.

Lothar owinał go wokół palca i kiedy nikt na niego nie patrzył, otworzył medalion na złotym łańcuszku, który miał zawieszony na szyi. Medalion krył miniaturowy portret jego matki. Lothar schował do niego zwinięty włos i zatrzasnął wieczko.

Kazał swoim ludziom szukać śladów aż do zmierzchu, a rankiem zapędził ich do roboty, gdy tylko zrobiło się dostatecznie jasno, żeby zobaczyć ziemię pod nogami. Podzielił grupę na dwa oddziały. Hendrick zaprowadził jeden na wschodni stok zbocza, a Lothar z resztą ludzi przeszukiwali zachodnią stronę w miejscu, gdzie twarda skała przechodziła w piaski pustyni Kalahari. Miał nadzieję, że znajdzie miejsce, w którym uciekinierzy opuścili wzgórze.

Cztery dni później w dalszym ciągu nie udało im się natrafić na trop i dwóch Ovambo uciekło. Wymknęli się w nocy, zabierając ze sobą strzelby.

— Stracimy ich wszystkich — ostrzegł go cicho Hendrick. — Ludzie mówią, że to czyste szaleństwo. Nie potrafią tego zrozumieć. Straciliśmy już stado słoni i nie widać żadnych zysków z tej wyprawy. Trop urwał się. Sanowie i ta kobieta uciekli nam, nie odnajdziesz ich już.

Hendrick miał rację — to stało się już obsesją Lothara. Jedno jedyne spojrzenie na tę kobietę doprowadziło go do zupełnego szaleństwa. Lothar westchnął i wolno obrócił się od wzgórze.

— Masz rację. — Podniósł głos, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. Tropiciele szli dotąd za nim z ponurymi minami. — Rezygnujemy z pościgu. Trop się urwał. Wracamy.

Jego słowa miały cudowny skutek. Ludzie zaczęli maszerować z większą energią, a w ich oczach zabłyśły żywe iskry.

Lothar został na wzgórzu, gdy grupa zaczęła schodzić ze zbocza. Patrzył ponad lasem na wschód, w stronę tajemniczego kraju, gdzie niewielu białych ludzi odważyło się zapuścić. Jego palce dotknęły medalionu na szyi.

Dokąd uciekałaś? Czy schroniłaś się na pustyni Kalahari? Dlaczego nie zaczekałaś na mnie? Dlaczego uciekałaś? Nie umiał dać odpowiedzi na te pytania. Wsunął medalion za koszulę.

— Jeśli kiedyś jeszcze przetnę twój ślad, ślicznotko, nie uciekniesz ode mnie tak łatwo. Następnym razem podążę za tobą nawet na kraniec ziemi — wyszeptał.

Odwrócił się i zaczął schodzić w dół zbocza.

O'wa podążał na południe, w kierunku, w którym ciągnęło się wzgórze, trzymając się tuż poniżej krawędzi szczytu i zmuszając kobiety do najszybszego biegu, do jakiego były zdolne przy dużym obciążeniu, poruszając się po nierównym terenie. Nie pozwolił im nawet na chwilę odpoczynku, chociaż Centaine była już porządnie zmęczona i prosiła go o krótki postój.

Po południu zatrzymał się wreszcie i kobiety wyciągnęły się na twardej skale zupełnie wyczerpane. Sam O'wa zbiegł do podnóża góry, szukając miejsca, w którym mogliby zejść ze skalistego wzgórze na piaszczysty teren. W połowie drogi na dół zatrzymał się i zaczął uważnie wachać powietrze. Wyczuł słaby zapach psującej się padliny i podążając za nim, dotarł do resztek zebry. Ze śladów O'wa zorientował się, że stado lwów dopadło samca zebry, gdy ten przemykał się szczytem wzgórze, i ściągnęło go na dół. Padlina leżała w tym miejscu od kilku tygodni i zostały z niej wyschnięte strzępy skóry i mięsa, a pomiędzy skałami wały się pogryzione kości.

O'wa przeszukał teren i znalazł nietknięte cztery kopyta zebry. Hieny jeszcze nie zdążyły dobrać się do nich i pogryźć na miazgę. Myśliwy odciął nożem ostre kopyta od kości śródstopia i wrócił biegiem do kobiet. Kiedy sprowadził je na sam dół po zboczu, ukląkł przed Centaine.

— Przeprowadzę Dziecko Nam i wrócę po ciebie — powiedział H'ani, przywiązując kopyta do stóp dziewczyny splecionymi włóknami sansewerii.

— Musimy się pośpieszyć, dziadku, mogą być niedaleko za nami. H'ani niespokojnie powąchała wiatr i nadstawiła ucha, wsłuchując

się uważnie w odgłosy lasu.

— Kim oni są? — Centaine opanowała już nie tylko oddech, ale także pierwszy strach i powróciła jej zdolność krytycznego myślenia. — Kto nas ściga? Nikogo nie widziałam ani nie słyszałam. O'wa, czy to tacy ludzie jak ja? Czy to biali?

H'ani wtrąciła się, zanim O'wa zdążył odpowiedzieć.

— To Murzyni, wielcy, czarni ludzie z północy, nie twoi ludzie. Mimo że O'wa i H'ani widzieli białego mężczyznę na skraju polany, gdy obejrzel się za siebie na szczycie wzgórza, w kilku słowach uzgodnili, że zatrzymają Dziecko Nam przy sobie.

— Jesteś pewna, H'ani? — Centaine stąpała na wysokich kopytach zebry niczym mała dziewczynka w butach na wysokich obcasach. — Czy nie byli biali jak ja?

Przyszła jej do głowy przerażająca myśl, że może ucieka przed swoimi wybawicielami.

— Nie! Nie! — zaprzeczyła staruszka, machając gwałtownie rękami, wyraźnie zdenerwowana. Brakowało jeszcze tylko kilku dni do narodzin dziecka i zobaczyć jeszcze raz ów cud, była to jedyna rzecz, na której H'ani zależało w życiu. — Oni nie są biali jak ty. — Pomyślała o najgorszych stworach z mitologii Sanów. — To czarne olbrzymy, które żywią się ludzkim mięsem.

— Kanibale! — Centaine była zaszokowana.

— Tak! Tak! Właśnie dlatego nas ścigają. Wytną dziecko z twego brzucha i...

— O'wa, uciekajmy! — jęknęła przerażona dziewczyna. — Pośpiesz się!

O'wa, z drugą parą kopyt na nogach, sprowadził Centaine po zboczach, idąc krok w krok za nią i tak odbijając ślady, by wyglądało, że to zebra opuściła wzgórze i powędrowała w stronę lasu.

Kilometr od skalistego wzgórza O'wa ukrył Centaine w kępie ciernistych krzaków, zdjął kopyta z jej stóp, obrócił parę kopyt na własnych nogach i wrócił po śladach do H'ani. Dwójka Sanów jeszcze raz przeszła po pierwszym śladzie i kiedy dotarli do kryjówki, w której czekała Centaine, zrzucili kopyta i ruszyli na wschód.

O'wa kontynuował wędrówkę przez całą noc, a rano, kiedy zmęczone kobiety posnęły kamiennym snem, cofnął się spory kawałek, żeby sprawdzić, czy ich prześladowcy nie przejrzel podstępnie z kopytami zebry. Mimo że nie znalazł żadnych śladów pościgu, przez następne trzy noce utrzymywał ostre tempo marszu, zabraniając rozpalania ognia i wykorzystując wszelkie sposoby, żeby zatrzeć i zgubić ich trop.

Dopiero trzeciego dnia był na tyle pewny siebie, że oznajmił:

— Możemy rozpaść ogień.

Następnie tańczył przy migotliwym świetle ogniska i głośnym śpiewem dziękował duchom, w tym także Modliszce i Antylopie Eland, gdyż — jak poważnie wyjaśnił Centaine — nie było pewne, który przyniósł mu z wiatrem ostrzegawczy zapach, a następnie podłożył zwłoki zebry, pomagając w ucieczce. — Dlatego trzeba podziękować im wszystkim.

O'wa tańczył, aż na niebie pojawił się księżyc, a następnego ranka spał do samego świtu. Mogli wreszcie powrócić do spokojnego marszu przez równinę i zatrzymali się nawet na odpoczynek, gdy rano O'wa odkrył kolonię skoczków.

— To ostatni raz, kiedy możemy polować. Duchy nalegają, żeby żaden mężczyzna z plemienia Sanów nie zabijał jakichkolwiek żywych stworzeń w odległości pięciu dni marszu od „Źródła Wszelkiego Życia” — wytłumaczył Centaine, wybierając z zarośli długie witki. Oczyszczył je z liści i związał razem w mocny i giętki dziesięciometrowy pręt. Na końcu ostatniej witki pozostawił boczną gałązkę rosnącą pod ostrym kątem do witki, następnie zaostrił koniec tego prymitywnego haka i zahartował nad ogniem. Przez dłuższy czas badał uważnie jamy królików, zanim wybrał najbardziej odpowiadającą jego celom.

Gdy obie kobiety przykucnęły na ziemi obok, O'wa wsunął długi pręt do jamy i niczym kominiarz zaczął go zręcznie wciskać głębiej do otworu, pokonując skręty, aż prawie cała witka zniknęła w środku.

Nagle pręt podskoczył silnie w jego dłoniach i O'wa szarpnął do j tyłu niczym wędkarz zacinający rybę.

— Królik kopie pręt tylnymi nogami, żeby wypchnąć go z nory — mruknął O'wa, wpychając zaostrzoną witkę jeszcze głębiej i prowokując królika do kolejnego kopnięcia.

Tym razem, gdy szarpnął do tyłu, pręt jakby nabrał życia w jego dłoniach, drżąc i wijąc się na wszystkie strony.

— Zahaczył się! — Z całej siły pchnął witkę, wbijając mocniej hak w stopy zwierzęcia. — Kop, H'ani. Kop, Dziecko Nam!

Obie kobiety zaatakowały miękką ziemię grubymi kijami, szybko posuwając się w głąb nory. W miarę jak zbliżały się do ukrytej pod ziemią jamy, zduszone piski królika stawały się głośniejsze. Wreszcie O'wa wyciągnął pokryte gęstym futrem zwierzątko. Królik był wielkości dużego domowego kota, cały żółty, i skakał dziko na silnych tylnych nogach, aż H'ani jednym ciosem dzidy pozbawiła go życia.

Przed zapadnięciem zmroku złapali jeszcze dwa króliki i kiedy już podziękowali im pokornie, z apetytem zajadali się słodkim, delikatnym mięsem przypieczonym nad ogniskiem. Był to ich ostatni mięsny posiłek na długi czas.

Rankiem, kiedy rozpoczęli ostatni etap podróży, zerwał się suchy, gorący wiatr, który mocno wiał im w oczy.

Mimo że O'wa nie mógł już teraz polować, Kalahari oferowała im bogactwo rzadkich roślin rosnących na powierzchni i w glebie. Kobiety przyrządzały sałatki z kwiatów oraz z zielonych roślin liściastych, zbierały korzenie i bulwy, owoce i bogate w proteiny orzechy. Wypełnione czystą wodą jeziora nie były nigdy oddalone o więcej niż dzień marszu. Jedynie gorący wiatr, który niósł ze sobą tumany piachu, utrudniał marsz, zmuszając ich do zakrywania twarzy skórzanymi przepaskami, gdy przeciwstawiali mu się przy każdym kroku.

Mieszane stada tłustych zebra i brzydkich, niebieskawych gnu o skłębionych grzywach i chudych nogach stały w szerokich dolinach czy na zarośniętych trawą polanach, wystawiając zady na gwałtowne porywy gorącego wicheru. Wiatr porywał delikatny niczym talk pył z powierzchni dolinek i tumanami rzucał w niebo, tak że czerwona kula słońca nikła za tą zasłoną, a horyzont kurczył się ze wszystkich stron. Drobną kurz pokrywał cienką warstwą powierzchnię jezior, zatykał nozdrza trójce wędrowców i zgrzytał pomiędzy zębami. W kącikach oczu tworzyły im się wilgotne paciorki z kurzu, a wiatr tak wysuszał skórę, że H'ani i Centaine musiały piec nasiona dzikiej śliwy i wyciskać olej, którym smarowali sobie skórę na twarzy i na podszwach stóp.

Z każdym dniem marszu starzy ludzie zdawali się nabierać sił, byli coraz aktywniejsi i bardziej podekscytowani. Centaine odnosiła wrażenie, że wysuszający silny wiatr nie przeszkadza Buszmenom. Ich krok stał się bardziej energiczny i bez przerwy rozmawiali ze sobą podczas marszu, podczas gdy ona sama opadała z sił i zostawała daleko w tyle, jak na początku wyprawy.

Piątego wieczora po przekroczeniu wzgórza Centaine dotarła do rozbitego przez Sanów obozu na skraju kolejnej doliny. Położyła się ciężko na gołej ziemi, zbyt zgrzana i zmęczona, żeby nazbierać trawy na legowisko.

Kiedy H'ani przyniosła jedzenie, Centaine odepchnęła je z rozdrażnieniem.

— Nie chcę tego. Nic nie chcę. Nienawidzę tego kraju! Nienawidzę upału i pyłu.

— Już wkrótce dotrzemy do Źródła Wszelkiego Życia — pocieszyła ją H'ani. - Tam urodzi się

twoje dziecko.

Centaine obróciła się do niej plecami.

— Zostaw mnie. Zostaw mnie samą.

Obudziły ją okrzyki staruszków. Centaine podniosła się z ziemią czując się gruba, brudna i niewyspana, mimo że spała tak długo, iż słońce oświetlało już korony drzew po drugiej stronie dolinki. Zauważyła, że w nocy wiatr ucichł i większość pyłu opadła już na ziemię. Reszta kurzu wiszącego w powietrzu przemieniła świt w kalejdoskop kwiecistych kolorów.

— Dziecko Nam, czy widzisz?! — zawołała H'ani i z radości wywiodła przenikliwy trel niczym kos.

Centaine wyprostowała się wolno i przyjrzała się uważniej scenerii, którą poprzedniego wieczoru skrywała zasłona pyłu.

Za doliną wyrastała z pustyni samotna, wielka, sklepiona góra, o stromych zboczach i symetrycznie zaokrąglonym szczycie. Ozdobiona płomienną czerwiecią i złoceniami świtu przypominała bezgłowego, gigantycznego potwora. Miejscami góra była zupełnie naga, same rude skały i gładkie ściany, gdzie indziej zaś porastał ją gęsty las. Drzewa, znacznie wyższe i potężniejsze niż na równinie, okalały szczyt i wyrastały na stromych stokach. Dziwne, czerwone światło przesączające się przez pył i cisza afrykańskiego świtu nadawały górze majestatyczny i spokojny wygląd.

Patrząc na to, Centaine czuła, jak wszelkie jej urazy i żale znikają.

— Źródło Wszelkiego Życia! — H'ani opanowała wzruszenie i wymówiła nazwę szeptem. — Do tego właśnie miejsca odbyliśmy tak długą i trudną podróż, żeby ostatni raz nasycić oczy jego widokiem.

O'wa, który w milczeniu przyglądał się górze, skinął głową.

— Tutaj pogodzimy się wreszcie z duchami wszystkich naszych ludzi.

Centaine czuła ten sam głęboko religijny podziw, jaki ogarnął ją, gdy po raz pierwszy znalazła się w katedrze w Arras, trzymając ojca za rękę, i spoglądała na kolorowe witraże jarzące się światłem wśród mroków głównej nawy. Wiedziała, że stoi oto przed świętym miejscem i wolno opadła na kolana, zaciskając dłonie na obrzmiałym brzuchu.

Góra była dalej, niż to się mogło z początku wydawać przy bladoczerwonym świetle świtu. Maszerując w jej kierunku, mieli wrażenie, że odsuwa się raczej od nich niż przybliża. W miarę jak zmieniało się światło, zmieniał się także charakter góry. Wydawała się teraz bardziej niedostępna i surowa, a nagie skalne ściany błyszczały w słońcu niczym krokodylę łuski. O'wa śpiewał, biegnąc na czele:

*Spójrzcie, duchy wszystkich Sanów,
przybywamy do waszego sekretnego miejsca
z czystymi rękami nie splamionymi krwią.
Spójrzcie, duchy Antylopy i Modliszki,
przybywamy do was
z radosnymi sercami i pieśniami, które was ucieszają...*

Góra znowu zmieniła swój wygląd, drgając i chwiejąc się we wzmagającym się upale. Nie przypominała już masywnej skały, ale marszczyła się niczym powierzchnia wody i falowała niczym dym na wietrze. W końcu oderwała się od ziemi i uniosła w powietrze, jak gdyby płynąc na migotliwym, srebrnym obłoku.

*O, góro-ptaku,
która fruniesz po niebie,*

przynosimy ci pochwały.

*O, góro-słoni, większa niż
jakikolwiek zwierzę na ziemi czy niebie,
czcimy cię z całej mocy.*

Tak śpiewał O'wa. W miarę jak słońce mijało zenit i powietrze ochładzało się, Góra Wszelkiego Życia osiadła na ziemi.

Dotarli do pokrytego piargami podnóża, zavalonego luźnymi skałami i kamieniami aż po same zbocza i zatrzymali się, żeby spojrzeć na strzelający w niebo szczyt. Skały były zabarwione lichenem na kolor siarczanożółty i zielony, a małe skalne króliki-góralki poplamiły kamienie odchodami wyciekającymi z ich nerek niczym łzy z oczu słońca.

Na skalnej półce sto metrów nad ziemią stała niewielka antylopa. Obecność ludzi wystraszyła zwierzę, które z bekiem przypominającym dźwięk dziecięcej piszczałki wystrzeliło w górę, skacząc z jednej niewidzialnej z ziemi półki na drugą. Zwinne niczym gienza zwierzę po chwili zniknęło za krawędzią skalną.

Wspięli się po stromym osypisku aż do podstawy góry. Gładka, przyjemnie chłodna skała pochylała się nad nimi pod łagodnym kątem niczym sklepienie olbrzymiej katedry.

— Nie gniewajcie się, o duchy, że przybywamy do waszego tajemnego miejsca — prosiła szeptem H'ani, a po jej pomarszczonych policzkach ściekały łzy. — Przychodzimy do was w pokorze, o dobre duchy. Przychodzimy dowiedzieć się, czym was obraziliśmy i jak możemy to naprawić.

O'wa wziął żonę za rękę i stali niczym dwójka małych dzieci przed nagą skałą.

— Przyszliśmy, żeby dla was śpiewać i tańczyć — szepnął O'wa. — Przyszliśmy, żeby zawrzeć pokój i dzięki wam połączyć się z naszymi dziećmi, które zmarły od gorączki daleko stąd.

Scena ta emanowała takim dziecięcym przejęciem, że Centaine poczuła się zawstydzona. Odsunęła się od dwójki starych ludzi i ruszyła na przechadzkę pod skalnym nawisem wokół góry. Zatrzymała się nagle i w oczarowaniu wpatrywała się w skałę zwisającą nad jej głową.

— Zwierzęta — szepnęła.

Po ramionach przeszły ją ciarki przesadnego lęku, gdyż ściany góry ozdobione były malowidłami przedstawiającymi dziwaczne zwierzęta. Dziecięca prostota formy nadawała portretom tajemnicze piękno, pomimo to Centaine zaczęła dostrzegać uderzające podobieństwo do poznanych form życia tego kontynentu. Rozpoznała masywne kształty słoni o potężnych kłach i uzbrojonych w rogi nosorożców, sylwetki gnu i dużych południowoafrykańskich antylop z rogami w kształcie księżyców, które maszerowały w zbitych stadach po gładkiej skale.

— Ludzie — wyszeptwała, odnajdując wysmukłe, kanciaste wizerunki ludzi biegnących za dziką zwierzyną. Bajeczne postacie, świadectwo tego, jak Sanowie widzą samych siebie, uzbrojone były w łuki i ozdobione koronami ze strzał. Mężczyźni ukazywali nieproporcjonalnie duże penisy w stanie erekcji, a kobiety szczyły się potężnymi piersiami i pośladkami, atrybutami kobiecej piękności.

Malowidła wznosiły się tak wysoko, że artyści musieli zapewne budować platformy jak Michał Anioł, żeby dosięgnąć skały. Perspektywa wydawała się jeszcze prymitywna, ludzkie postacie były większe od ściganych nosorożców, ale to jedynie dodawało uroku obrazom i Centaine zapomniała o całym świecie, oglądając w zachwycie coraz to nowe sceny. Wreszcie ukucnęła na ziemi i podziwiała strumień antylop, namalowanych ochrą i czerwienią, z uwidocznionymi podgardlami i zgarbionymi grzbietami. Zwierzęta oddano tak wspaniale, że można było łatwo odgadnąć ich specjalne znaczenie w mitologii Sanów.

H'ani odnalazła dziewczynę u podstawy skały i przykucnęła obok.

— Kto namalował to wszystko? — zapytała Gentaine.

— Duchy Sanów, dawno, dawno temu.

— To nie ludzie malowali?

— Nie, nie! Ludzie tak nie potrafią. Te rysunki wykonały duchy. Tak więc umiejętności twórców zostały zapomniane. Centaine poczuła zawód. Miała nadzieję, że stara kobieta jest także malarką i że

będzie mogła przyjrzeć się jej pracy.

— Dawno temu — powtórzyła H'ani. — Jeszcze przed moim ojcem i dziadkiem.

Centaine przełknęła rozczarowanie i znowu zachwycała się wspaniałymi obrazami.

Wieczór zbliżał się szybko, ale dopóki starczyło im światła, maszerowali wokół podstawy góry, z odchylonymi do tyłu głowami przyglądając się ściennej galerii. Miejscami skała poodpadała lub deszcze i wiatry poniszczyły freski, ale w osłoniętych zakątkach i pod skalnymi nawisami farba wydawała się tak świeża, a kolory tak czyste, jakby malowidła ukończono zaledwie przed kilku godzinami.

W ostatnich promieniach słońca znaleźli kryjówkę, z której kiedyś korzystali już ludzie, gdyż w palenisku leżały warstwy popiołów, ściany były czarne od sadzy, a w kącie spoczywała sterta suchego drzewa do ogniska.

— Jutro przekonamy się, czy duchy są wciąż rozgniewane czy też pozwolą nam przejść — ostrzegła H'ani Centaine. — Wyruszymy bardzo wcześnie, gdyż musimy dotrzeć do tajemnego przejścia, zanim wstanie słońce, kiedy jest jeszcze zimno. Strażnicy stają się niespokojni i niebezpieczni przy dużym upale.

— Co to za miejsce? — dopytywała się Centaine, ale stara kobieta znowu zaczęła robić uniki.

Z roztargnieniem powtarzała jedynie słowo, które w języku Sanów miało kilka znaczeń: „kryjówka”, „bezpieczne miejsce” czy „pochwa”. Nic więcej nie chciała powiedzieć.

Tak jak uprzedzała H'ani, następnego ranka wyruszyli na długo przed świtem. Starzy ludzie zachowywali się niecierpliwie i nerwowo i — jak podejrzewała Centaine — obawiali się czegoś.

Niebo zaczynało szarzeć, gdy nagle ścieżka ominęła ostry zakręt i otwarła się przed nimi wąska kotlina o stromych, klinowatych danach. Dno kotliny porastała tak gęsta roślinność, że jak domyśliła się Centaine, miejsce to musiało obfitować w świeżą wodę. Ścieżka nikła pomiędzy roślinami, po których nikt nie stąpił od miesięcy, i może nawet od lat. Troje przybyłych musiało prześlizgiwać się pod plecionymi gałęziami i przeskakiwać zwalone konary i chaszczę. Wysoko na skałach Centaine wypatrzyła wielkie, postrzępione gniazda sępów. Brzydkie ptaki o nagich, różowych łbach przykucnęły na krawędziach swych siedzib i przyglądały się przechodzącym.

— Źródło Wszelkiego Życia. — H'ani spostrzegła zainteresowanie, jakim Centaine przyglądała się wysiadującym jajka ptakom. — Każde stworzenie, które urodzi się w tym miejscu, zostanie pobłogosławione przez ciuchy. Nawet ptaki wiedzą o tym.

Dolina zwężała się i wysokie ściany zamknęły się nad nimi, zasłaniając niebo. Ścieżka urwała się nagle przed skałą w ciasnym kącie kotliny.

O'wa stanął przed ścianą i zaczął śpiewać ochryłym głosem pieśń przeznaczoną dla duchów:

— Chcemy wejść do waszego tajemnego schronienia, o duchy wszelkich stworzeń, duchy naszego klanu. Otwórzcie nam przejście. — Rozłożył ramiona w błagalnym geście. — Prosimy, by strażnicy tego miejsca pozwolili nam przejść swobodnie.

Starzec opuścił ramiona, ruszył w stronę mrocznej skały i zniknął w ciemnościach. Centaine odetchnęła nerwowo i ruszyła za nim, ale ITani ją powstrzymała dotknięciem dłoni.

— Dziecko Nam, grozi nam teraz wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli strażnicy nie zechcą nas przepuścić, wszyscy zginiemy. Nie biegnij, nie machaj rękami. Idź wolno, ale zdecydowanie i błagaj cały czas o błogosławieństwo duchów.

H'ani puściła jej rękę i wsunęła się pomiędzy skały.

Centaine zawahała się. Przez chwilę chciała zawrócić, ale w końcu przeważała ciekawość i ciągle silny lęk przed samotnością. Podeszła wolno do ściany, w której zniknęła H'ani. Zauważyła pęknięcie w skale, pionową szczelinę dostatecznie szeroką, żeby mogła ją pomieścić, jeśli obróci się

bokiem.

Zaczerpnęła powietrza i wsunęła się do środka.

Za wąskim portalem zatrzymała się na chwilę, aby jej oczy przywykły do panującego wewnątrz mroku. Znajdowała się w długim, ciemnym tunelu. Była to naturalna rozpadlina w skale, gdyż ściany nie zostały tknięte żadnym narzędziem, a wysoko nad głową dziewczyny otwierały się następne tunele. Słyszała szelest stóp dwójki Sanów na kamienistym podłożu, ale dobiegał ją też inny odgłos — niski szum przypominający dochodzący z daleka szmer fal.

— Dziecko Nam, idź za nami i nie zostawaj w tyle — dobiegł ją szept H'ani.

Centaine ruszyła wolnym krokiem, wpatrując się w cienie i starając się zlokalizować źródło owego głębokiego, wibrującego szmeru.

W mroku nad głową dostrzegła dziwne nawisy na skałach, niczym płaty huby na martwym drzewie czy liczne skrzydła motyli. Zwisały tak nisko, że musiała schylać głowę, żeby przejść pod nimi. Nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Jaskinia stanowiła olbrzymi ul, a dziwne struktury przypominające skrzydła były plastrami miodu, tak olbrzymimi, że mieściły setki litrów słodkiej substancji. W mętnym świetle Centaine dostrzegła także błyszczące owady kłębiące się na powierzchni plastrów. Przypomniała sobie, co Michael opowiadał jej o afrykańskich pszczołach.

„Są o wiele większe i ciemniejsze niż wasze — chwalił się — i tak złośliwe, że widziałem kiedyś, jak zabiły wielkiego bawołu”.

Wstrzymując oddech i czując, jak skóra ją swędzi z obawy przed użądleniem, podążała za nikiącymi w mroku Buszmenami, powstrzymując z całej siły chęć ucieczki. Chmary groźnych pszczół unosiły się zaledwie centymetry nad jej głową i ich zjadliwe bzyczenie narastało gniewnie, ogłuszając ją zupełnie.

— Tędy, Dziecko Nam. Nie okazuj lęku, gdyż mali skrzydlaci ludzie potrafią wyczuć strach — zawołała cicho H'ani i w tej chwili pszczoła usiadła Centaine na policzku.

Dziewczyna instynktownie podniosła rękę, żeby ją odpędzić i powstrzymała się w ostatniej chwili. Pszczoła przeszła po policzku na górną wargę, a druga usadowiła się na podniesionej ręce Centaine.

Dziewczyna przyglądała się jej w przerażeniu. Owad był olbrzymi, czarny niczym smoła, z ciemnozłotymi pręgami na brzuchu. Przezroczyste skrzydełka miał złożone niczym ostre nożyce, a oczy rzucały jasne skry w słabym świetle.

— Proszę, malutka pszczołko, proszę... — szepnęła Centaine, a owad wygiął grzbiet i z jego napęczniałego brzucha wysunęła się ciemnoczerwona igła żądła. — Proszę, pozwól przejść mnie i mojemu dziecku!

Pszczoła wygięła odwłok i koniec ostrego żądła dotknął delikatnej skóry w zagłębieniu łokcia dziewczyny. Centaine napięła mięśnie — wiedziała, że bólowi użądlenia będzie towarzyszył słodki zapach jadu, który podrażni chmary owadów nad jej głową. Wyobraziła sobie, jak leży na ziemi przykryta żywym dywanem pszczół i umiera najokropniejszą śmiercią.

— Proszę — szepnęła. — Pozwól mojemu dziecku urodzić się w waszym tajemnym miejscu, a będziemy was czcić do końca naszych dni.

Pszczoła schowała pulsujące żądło i wykonała skomplikowany taniec na jej przedramieniu — zawracała, skręcała i kilkakrotnie przechodziła tę samą drogę. Wreszcie owad odleciał, ukryty w srebrnej mgiełce skrzydełek.

Centaine szła wolno naprzód i daleko przed sobą dojrzała złocistą poświatę. Pszczoła na jej twarzy przeniosła się na usta i Centaine nie mogła mówić, ale modliła się w duszy:

— Chociaż idę przez cienistą dolinę śmierci, proszę, mała pszczołko, pozwól mi przejść ze względu na moje dziecko.

Pszczoła pofrunęła z ostrym bzykaniem i mimo że skóra, podrażniona nóżkami owada, swędziała, Centaine trzymała ręce z dala od ciała i maszerowała odmierzonymi krokami. Zdawało jej się, że idzie całą wieczność. Wreszcie dotarła do końca tunelu, wyszła przez niski portal na słońce i poczuła, jak nogi uginają się pod nią w reakcji na strach. Upadłaby, gdyby O'wa jej nie podtrzymał.

— Jesteś już bezpieczna. Strażnicy pozwolili nam wejść do tajemnego miejsca!

Słowa te podniosły dziewczynę na duchu i mimo że wciąż drżała silnie i ciężko dyszała, rozejrzała się wokoło.

Jaskinia zaprowadziła ich do ukrytej wewnątrz góry niecki, idealnie okrągłej niczym wykuty w skale amfiteatr. Strome ściany, wysokie na setki metrów, miały czarny, diabelski połysk, jakby wypaliły je płomień gigantycznego pieca, ale nad głowami przybyłych rozpościerało się czyste niebo.

Niecka miała niecałe dwa kilometry średnicy. O tej porze dnia promienie słońca nie dotarły jeszcze do jej wnętrza i zagajniki delikatnych drzew porastających dno kotliny otaczał chłodny cień, a liście były wilgotne od rosy. Drzewa przypominały Centaine oliwki, z delikatnymi, bladymi liśćmi i kiściami żółtawoczerwonych owoców na rozłożystych gałęziach. Dno kotliny było wgłębione na kształt płytkiej misy i kiedy Centaine podążała za H'ani pomiędzy drzewami, stąpała po zalegających ziemię owocach.

H'ani podniosła jeden z nich z ziemi i podała Centaine.

— Mongongo — bardzo smaczne.

Centaine ugryzła owoc i krzyknęła z bólu i zdziwienia, gdy jej zęby wbiły się boleśnie w twardą pestkę ukrytą tuż pod powierzchnią miąższu. Owoce, przypominający cierpkim smakiem daktyle, był całkiem smaczny, choć może nie tak słodki.

Z gałęzi nad ich głowami stado tłustych zielonych gołębi wzbiło się z trzepotem w powietrze, a Centaine uświadomiła sobie, że w dolinie musi być wiele ptaków i małych zwierząt, które przybywały tu o świcie, żeby pożywiać się opadłymi owocami.

— Źródło Wszelkiego Życia — wyszeptwała, oczarowana dziwną pięknnością miejsca, kontrastem pomiędzy nagimi, czarnymi ścianami i zielonym dnem kotliny.

O'wa prowadził je stromą, wijącą się ścieżką, która schodziła na samo dno i Centaine dostrzegła pomiędzy drzewami małe wzniesienie czarnej, wulkanicznej skały. Stożkowaty wzgórek był idealnie symetryczny i wyrastał w samym centrum amfiteatru, niczym guz w środku tarczy. Podobnie jak cała kotlina, był gęsto zarośnięty wysoką trawą i drzewami wspinającymi się pomiędzy czarnymi, wulkanicznymi głazami. Na drzewach skryło się stado koczokodanów południowoafrykańskich o czarnych pyskach, które gaworzyły z zaciekawieniem i wysuwały pyski, robiąc groźne miny, gdy ludzie zbliżyli się do pagórka.

Kiedy Centaine i H'ani dotarły do wzgórza, O'wa stał przed ciemnym otworem, który wyglądał jak wejście do kopalni. Centaine zajrzała staremu mężczyźnie przez ramię i stwierdziła, że dno jaskini schodzi w dół pod łagodnym kątem. Przepchnęła się przed O'wa, żeby lepiej obejrzyć tajemniczy tunel, ale stary Buszmen powstrzymał ją.

— Nie śpiesz się, Dziecko Nam, musimy przygotować się w odpowiedni sposób.

Odsunął ją delikatnie od jamy.

Nie opodal wznosił się stary obóz Sanów schowany pod wystającymi skałami. Pokryte słomą dachy szałasów zapadły się ze starości. O'wa spalił je doszczętnie, gdyż w opuszczonych szałasach leżały się pluskwy i znajdowały schronienie węże. Obie kobiety odbudowały prymitywny obóz ze

świeżych gałęzi i trawy.

— Jestem głodna.

Centaine przypomniała sobie, że nic nie jadła od poprzedniego dnia.

— Chodź.

H'ani poprowadziła ją do zagajnika i wypełniły obie torby owocami mongongo. W obozie H'ani pokazała Centaine, jak obierać miąższ i rozgniatać twarde pestki pomiędzy dwoma płaskimi kamieniami. Jądra przypominały z wyglądu suszone migdały i smakowały jak orzechy włoskie. Kobiety podjadały okruchy, żeby zabić głód.

— Będziemy je jedli przyrządzone na wiele sposobów — obiecała H'ani. — Można je piec z liśćmi, gotować jak chleb kukurydziany i za każdym razem smakują inaczej. To będzie nasze jedyne pożywienie, gdyż w tym miejscu nie wolno zabijać żadnych stworzeń.

Kiedy przygotowały obiad, O'wa wrócił do obozu z garścią świeżo wykopanych korzeni. Usiadł na boku i zaczął je przygotowywać, skrobiąc i krojąc swoim ukochanym scyzorykiem.

Skończyli jeść przed zachodem słońca i Centaine. stwierdziła, że posiłek z orzechów był nie tylko bardzo smaczny, ale i pożywny. Z pełnym żołądkiem poczuła, jak odzywa się zmęczenie po wyczerpujących wydarzeniach tego dnia i ledwo zdołała dojść do swego szałas.

Obudziła się odświeżona i z uczuciem dziwnego podniecenia. Sanowie krzatali się przy ognisku i kiedy tylko Centaine przykucnęła obok nich, ó'wa, sztywny od nerwowego oczekiwania i ważności swojej roli, oznajmił:

— Musimy się przygotować, żeby zejść do najtajniejszego ze wszystkich miejsc. Czcigodna babciu, czy zgadzasz się na oczyszczenie? — Było to wyraźnie formalne pytanie.

— Zgadzam się, czcigodny dziadku.

H'ani delikatnie klasnęła w dłonie, potwierdzając swoje słowa.

— Dziecko Nam, czy zgadzasz się na oczyszczenie?

— Zgadzam się, czcigodny dziadku.

Centaine klasnęła w dłonie jak stara kobieta, a O'wa skinął głową. Z woreczka przy pasku wyjął nieduży róg. Jego ostry koniec został przewiercony na wylot; O'wa napełnił róg posiekаныmi korzeniami i ziołami, które zebrał poprzedniego wieczoru.

Wyjął z ogniska żarzący się węgielek i podrzucając go w palcach, żeby się nie poparzyć, włożył do rogu. Dmuchał ostrożnie na żar i z rogu wypłynęła cienka smuga niebieskawego dymu.

Kiedy fajka paliła się równo, O'wa wstał z ziemi i stanął za siedzącymi w kucki kobietami. Włożył ostry koniec rogu do ust, zaciągnął się mocno i wydmuchnął kłęb dymu nad ich głowami. Dym był mocny, wyjątkowo nieprzyjemny i Centaine poczuła drapanie w gardle. Zaczęła już protestować i podnosić się z ziemi, gdy H'ani schwyciła ją za rękę i powstrzymała. O'wa nie przestawał wydmuchiwać nad nimi kwaśnego dymu i po chwili mocny zapach przestał już tak drażnić Centaine. Rozluźniła się i oparła o H'ani, a stara kobieta otoczyła ją ramieniem. Z wołna Centaine zaczęła czuć się wręcz niewypowiedzianie wspaniale. Była lekka niczym ptaszek i miała wrażenie, że jej ciało może unieść się w powietrze wraz z wirującymi obłoczkami dymu.

— Och, H'ani, czuję się tak wspaniale — szepnęła.

Powietrze wokół niej stało się krystalicznie czyste, a jej wzrok wyostrzył się tak, że widziała wyraźnie każdą szczelinę i pęknięcie w otaczających ich skałach. Zagajniki drzew wyglądały, jak gdyby zrobione były z zielonych kryształków, a promienie słoneczne odbijały się od nich z nieziemskim blaskiem.

Centaine uświadomiła sobie, że O'wa klęczy przed nią i uśmiechnęła się do niego sennie. Podawał jej coś, trzymając przedmiot w obu rękach.

— To dla dziecka — powiedział. Głos zdawał się dobiegać z daleka i do uszu dziewczyny docierało tylko jego echo. — To mata do rodzenia. Ojciec dziecka powinien ją wykonać własnoręcznie; ale było to niemożliwe. Weź ją, Dziecko Nam, i urodź na niej dzielnego syna.

O'wa nachylił się i złożył jej matę na kolanach. Centaine wpatrywała się w nią przez kilka sekund, zanim się domyśliła, że to skóra antylopy, którą O'wa wyprawiał tak długo po kryjomu. Rozłożyła ją z przesadną ostrożnością. Skóra została tak oskrobana i wyprawiona, że w dotyku przypominała najdelikatniejszy materiał. Pogłaskała ją i miała wrażenie, że dotyka atlasu.

— Dziękuję ci, czciogodny dziadku.

Własny głos także dobiegał z daleka i wydawał się obcy w jej uszach.

— To dla dziecka — powtórzył Buszmen i zaciągnął się fajką z rogu.

— Tak, to dla dziecka.

Potwierdziła Centaine, czując, jak jej głowa unosi się swobodnie nad ciałem.

O'wa delikatnie wypuścił obłok dymu prosto w twarz Centaine i nie starała się go unikać.

Nachyliła się, żeby spojrzeć starcowi w oczy. Jego źrenice skurczyły się do wielkości czarnych punkcików, a tęczęwki miały kolor ciemnego bursztynu, poprzecinane wachlarzem czarnych prążków. Oczy te wydawały się ją hipnotyzować.

— Ze względu na dziecko, niech pokój tego miejsca wejdzie do twojej duszy — powiedział przez dym O'wa i Centaine poczuła, że jego słowa się spełniają.

— Spokój — mruknęła, a w samym środku jej jestestwa wszystko stało się cudownie nieruchome i monumentalnie spokojne.

Czas, przestrzeń i białe światło dnia zmieszały się i zlały w jedno. Siedziała w centrum wszechświata, uśmiechając się pogodnie. Z daleka dochodził ją śpiew O'wa; kołysała się w rytm melodii, czując każde uderzenie serca i pulsowanie krwi w żyłach. Wyczuła, jak dziecko leży Heboko w jej brzuchu, zwinięte w modlitewnej pozycji i nieoczekiwanie, i choć to niewiarygodne, poczuła bicie małego serca niczym trzepotanie się uwięzionego ptaszka. Cud tego zdarzenia przeniknął ją do szpiku kości.

— Przybyliśmy tutaj, żeby się oczyścić — śpiewał O'wa. — Przyszliśmy tu, żeby zmyć z siebie wszelką obrazę i dokonać pokuty...

Szczupła dłoń H'ani wśliznęła się pomiędzy palce Centaine niczym małe zwierzątko i dziewczyna odwróciła się z uśmiechem do kochanej, pomarszczonej twarzy.

— Już czas, Dziecko Nam.

Centaine zarzuciła skórę antylopy na ramiona. Wstanie nie wymagało żadnego Wysiłku — unosiła się nad ziemią, przytrzymywana delikatną rączką H'ani.

Podeszli do otworu w pagórku i mimo że wewnątrz panowała ciemność, Centaine szła uśmiechnięta, nie czując szorstkich wulkanicznych skał pod stopami. Przejście prowadziło w dół pod łagodnym kątem, dalej biegło przez chwilę równoległe do powierzchni i otwierało się na jaskinię. Obie kobiety zeszły za O'wa na sam dół grotu.

Przez wejście i małe otwory w kopułowym sklepieniu przedostawało się do środka mętne światło. Powietrze było ciepłe, wilgotne i parne. Obłoki gęstej mgły unosiły się łagodnie nad powierzchnią okrągłego jeziora, które wypełniało jaskinię po brzegi. Powierzchnia sadzawki kipiała i bulgotała, a wokół czuć było mocno siarkę. Woda miała mętny, zielony kolor.

O'wa zrzucił opaskę biodrową na skalną podłogę i wszedł do sadzawki. Przy brzegu woda sięgała mu do kolan i podnosiła się, w miarę jak posuwał się dalej, aż wreszcie jedynie jego głowa wystawała ponad powierzchnię. H'ani, także naga, podążyła za mężem i Centaine, idąc za ich przykładem, odłożyła na bok skórę antylopy i zdjęła płócienną spódnicę.

Woda wypływająca z monolitycznego podłoża i twarząca podziemne cieplice była gorąca, wręcz parzyła skórę, ale Centaine nie czuła żadnego bólu. Zanurzyła się po pas i uklękła na szorstkim dnie z kamyków i żwiru, tak że woda podeszła jej pod brodę. Żar przenikał jej ciało, strumienie wody wirowały wokoło i otaczały unoszącymi się z dna pęcherzami siarkowego powietrza.

Usłyszała, jak O'wa nuci cicho, ale otoczyły ją ze wszystkich stron chmury gęstej pary i nic nie widziała.

— Pragniemy dokonać pokuty — śpiewał O'wa. — Chcemy, żeby nam wybaczone obrazę duchów...

Centaine dostrzegła kształt wyłaniający się z obłoków pary — ciemną, bezcielesną zjawę.

— Kim jesteś? — zapytała cicho, a zjawa przybrała wyraźniejsze kształty i Centaine rozpoznała oczy — ciało było wciąż niewyraźne — starego marynarza, którego rzuciła na pożarcie rekinowi. — Proszę — wyszeptała — wybac mi. Zrobiłam to dla mojego dziecka. Przebac mi to, co uczyniłam.

Wydawało jej się, że na chwilę ciemne oczy rozbłysły światłem zrozumienia i zaraz duch zniknął, a na jego miejsce pojawiły się inne twory pamięci i wyobraźni.

— Och, tatusiu, gdybym tylko była silniejsza. Gdyby tylko udało mi się zastąpić mamę...

Z parnej mgły dobiegły ją głosy Sanów, witających okrzykami własne wspomnienia i duchy. O'wa znowu polował z synami, a H'ani widziała swoje dzieci i wnuki i z płaczem mówiła im o swej miłości i żalu.

— Och, Michael — jego oczy były tak cudownie niebieskie — zawsze będę cię kochać. Dam naszemu synowi twoje imię. Obiecuję ci to, kochanie, będzie nosić twoje imię.

Nie miała pojęcia, jak długo pozostawała w wodzie, ale z wolna zjawy zaczęły znikać. Centaine poczuła, że H'ani bierze ją za rękę i prowadzi ku brzegowi. Gorąca kąpiel pozbawiła dziewczynę siły, jej ciało było całe czerwone, woda wymyła wszystek brud z porów skóry. Centaine czuła, jak uginają się pod nią kolana.

H'ani narzuciła na nią skórę antylopy i pomogła wyjść z tunelu. Na dworze zapadła już noc, a księżyc świecił tak jasno, że przed stopami dziewczyny kładły się głębokie cienie. H'ani zaprowadziła ją do prymitywnego szałas i ułożyła na pościeli z trawy.

— Duchy nam wybaczyły — szepnęła. — Są zadowolone, że odbyliśmy tę podróż. Wysłały moje dzieci, żeby mi to przekazały. Możesz spać spokojnie, Dziecko Nam, klątwa została z nas zdjeta. Nic nam nie grozi w tym miejscu.

Centaine obudziła się nie wiedząc, co się z nią dzieje ani gdzie się znajduje. Przez chwilę wyobrażała sobie, że leży w swoim łóżku w pałacyku w Mort Homme, a obok niej siedzi Anna.

Minęło kilka sekund, zanim uświadomiła sobie, że spoczywa na trawie ułożonej na twardej ziemi. Dotarł do niej zapach skóry, którą była okryta, i w tej samej chwili poczuła silny skurcz. Miała wrażenie, że jakaś potężna dłoń zacisnęła się na jej podbrzuszu, a silne pazury wbijają się w ciało, gniotąc wnętrzności. Jęknęła głośno z bólu i zwinęła się wpół na pościeli, trzymając się kurczowo za brzuch.

Wraz z bólem wróciła świadomość — umysł Centaine był czysty po halucynacjach poprzedniego dnia. Instynktownie zdała sobie sprawę z tego, że kąpiel w gorącej wodzie i nasycony narkotykiem dym, który wdychała wcześniej, przyspieszyły poród.

— H'ani! — zawołała, a stara kobieta natychmiast wyłoniła się z półmroku. — Zaczęło się! H'ani pomogła jej podnieść się z ziemi. Nie zapomniała też o macie ze skóry antylopy.

— Chodź — szepnęła. — Musimy znaleźć miejsce, gdzie będziemy same.

H'ani musiała wcześniej wybrać odpowiednie miejsce, gdyż zaprowadziła Centaine prosto do płytkiego zagłębienia w ziemi, nie opodal obozu, od którego owa kotlinka była osłonięta niedużym

zagajnikiem.

Rozłożyła skórę na ziemi pod pniem dużego drzewa mongongo i posadziła Centaine. Następnie uklękła, zdjęła z niej poszarpaną płócienną spódnicę i sprawnymi, silnymi palcami zbadała jej podbrzusze. Kiedy skończyła, zakołysała się na piętach.

— Już wkrótce, Dziecko Nam. Teraz już niedługo. Uśmiechnęła się radośnie, ale Centaine nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż schwycił ją kolejny silny skurcz.

— Dziecko się niecierpliwi! — pokiwała głową H'ani.

Skurcz minął i Centaine leżała zmęczona na ziemi, dysząc ciężko. Udało jej się złapać kilka pośpiesznych oddechów, gdy znowu się wyprężyła.

— Och, H'ani, weź mnie za rękę, proszę! Proszę!

Coś pękło w niej gdzieś głęboko w środku, a spod jej brzucha trysnął strumień gorącego płynu i ściekł po nogach.

— Już blisko, bardzo blisko — zapewniła H'ani, a Centaine wydała zduszony krzyk bólu. — Teraz...

H'ani pociągnęła ją za rękę do pozycji siedzącej, ale Centaine ciężko opadła na skórę.

— Zbliża się, H'ani.

— Wstań! — krzyknęła na nią staruszka. — Musisz mu pomóc. Wstawaj! Nie pomożesz dziecku, jeśli będziesz leżeć na plecach!

Zmusiła Centaine, by przykucnęła z szeroko rozstawionymi kolanami, w naturalnej pozycji do wypróżnienia.

— Trzymaj się drzewa — poleciała. — Tak właśnie! Naprowadziła jej ręce na pień drzewa. Centaine jęknęła głośno i przycisnęła czoło do szorstkiej kory.

— Teraz!

H'ani przykucnęła za nią i otoczyła ciało Centaine szczupłymi, silnymi ramionami.

— H'ani...! — Jęk Centaine przeszedł nagle w krzyk.

— Tak! Pomogę ci go wypchnąć.

Gdy zacisnęła ręce na brzuchu dziewczyny, Centaine instynktownie zaczęła przeć.

— Przyj, Dziecko Nam! Mocniej! Przyj! — nalegała H'ani, wyczuwając, jak mięśnie brzucha zaciskają się w twarde węzły.

Centaine czuła, jak coś blokuje się w jej ciele i z całej siły przywarła do drzewa, wypychając dziecko w dół i jęcząc z bólu. Przeszkoda ustąpiła, przesunęła się nieco do przodu i znowu zatrzymała się w pół drogi.

— H'ani — jęknęła.

Szczupłe ramiona zaczęły przeć także, a stara kobieta stękała za jej plecami z wysiłku. H'ani przywarła do wygiętych pleców Centaine i dziewczyna czuła, jak nabiera sił od tego pomarszczonego, starego, nagiego ciała, jakby przepływał pomiędzy nimi prąd elektryczny.

— Jeszcze, Dziecko Nam — stęknęła H'ani. — Jest już tak blisko. Teraz! Przyj, Dziecko Nam, przyj z całych sił.

Centaine parła w dół wszystkimi siłami i całą wolą. Szczęki miała zaciśnięte tak kurczowo, że bała się, iż połamie sobie zęby, a załzawione oczy wychodziły jej niemal z oczodołów. Poczwała, jak coś w niej pęka, przenika ją kłujący ból, ale mimo bólu zdołała jeszcze raz naprzec resztką sił. Przeszkoda znowu się poruszyła, posunęła się gwałtownie w dół i coś olbrzymiego, niewiarygodnie ciężkiego wyśliznęło się z ciała Centaine, a ręka H'ani znalazła się pomiędzy jej pośladkami, żeby złapać i ochronić nowe życie.

Ból odpłynął, zniknął bez śladu i Centaine przykucnęła cała rozdygotana i złana potem jak przy

wysokiej gorączce, ale pusta, w cudowny sposób pusta, jakby wypłynęły z niej trzewia.

H'ani zwolniła uścisk i Centaine przywarła do drzewa, łapiąc z trudem oddech.

Pomiędzy jej nogami poruszyło się coś rozgrzanego, wilgotnego i śliskiego. Centaine odsunęła się ciężko od drzewa i spojrzała w dół.

Z jej krocza zwisała mięsista, lśniąca pępowina, w którą zaplątany był noworodek leżący w kałuży krwawych płynów na skórze antylopy.

Noworodek wydawał się drobniutki i Centaine była aż zdziwiona, że jest tak maleńki, ale jego nóżki i rączki prostowały się i kurczyły nieustannie w spazmatycznych gestach kopania i chwytania. Nie widziała buzi maleństwa, lecz nieduża, zgrabna główka była pokryta gęstymi, czarnymi kędziorkami posklejanymi na czaszce.

H'ani sięgnęła od tyłu i zabrała noworodka, a Centaine poczuła, jakby próbowano ograbić ją z czegoś najcenniejszego, była jednak zbyt osłabiona, żeby zaprotestować. Pępowina naciągnęła się, gdy H'ani obracała maleństwo, i nieoczekiwanie Centaine posłyszała wściekły wrzask swojego dziecka. Ten głos chwycił ją za serce.

Protestującym krzykiem zawtórował śmiech H'ani, Centaine nigdy wcześniej nie słyszała tak ogromnej radości w głosie starej Buszmenki.

— Och, posłuchaj go tylko, Dziecko Nam. Ryczy niczym małe lwiątko!

Centaine obróciła się niezdarnie do tyłu, powstrzymywana przez zwisającą pępowinę łączącą ją z noworodkiem. Malec wił się w rękach H'ani, śliski i nieoczekiwanie silny, z czerwoną od gniewu twarzą. Opuchnięte oczy miał zamknięte, ale bezzębne, różowe usta były szeroko otwarte i oznajmiały całemu światu niezadowolenie przenikliwym piskiem.

— Czy to chłopiec, H'ani? — zapytała Centaine, dysząc ciężko.

— Och, tak — roześmiała się H'ani. — To chłopiec, pod każdym względem.

Końcem palca połaskotała jego malutki członek, który sterczał sztywno, jakby i on wyrażał gniew maleństwa. Dotyk palca starej kobiety wywołał silny strumyk moczu.

— Spójrz, spójrz! — H'ani aż się dusiła od radosnego śmiechu. — On sika na świat. Bądźcie świadkami, duchy tego miejsca, że dzisiaj urodziło się nam wspaniałe lwiątko.

Podsunęła wykrzywioną, czerwoną twarzą do Centaine.

— Oczyszć mu usta i oczy — poleciła i Centaine, niczym kocica, instynktownie wiedziała, co ma zrobić. Wylizała śluz z opuchniętych oczu, nosa i ust.

H'ani znowu zabrała od niej dziecko, trzymając je z widoczną wprawą. Przewięzała pępowinę miękkimi, białymi włóknami z wewnętrznej warstwy kory drzewa i jednym cięciem kamiennego noża oddzieliła matkę od syna. Następnie obłożyła koniec pępowiny leczniczymi liśćmi dzikiej pigwy i przywiązała go do brzucha noworodka wąskim paskiem skóry.

Siedząc na macie ze skóry antylopy w kałuży płynów, Centaine przyglądała się każdemu ruchowi Buszmenki z błyszczącymi oczami.

— Gotowe! — Usatysfakcjonowana H'ani skinęła głową. — Teraz możesz dać mu piersi.

Położyła dziecko na kolanach Centaine.

Centaine i jej synowi wystarczyła tylko ogólna wskazówka. H'ani ścisnęła pierś Centaine i przytknęła usta noworodka do wilgotnego sutka, a malec przyssał się do niego niczym żarłoczna pijawka, cmokając rytmicznie. Centaine zdziwiły współczulne skurcze w brzuchu, jakie wywołało ssanie maleństwa, ale zaraz o nich zapomniała, oglądając z nie ukrywanym podziwem swoje dzieło.

Ostrożnie otworzyła zaciśniętą piąstkę syna i podziwiała idealnie ukształtowane paluszki i perłowe paznokcie, nie większe niż ziarenka ryżu. Kiedy w pewnej chwili noworodek chwycił ją za palec w zadziwiająco silnym uścisku, Centaine poczuła, jakby ścisnął ją za serce. Pogłaskała jego

wilgotne, ciemne włosy, które szybko schły na słońcu i zwijały się w bujne loki. Ze strachem wpatrywała się w pulsowanie pod cienką powłoką okrywającą wierzchołek czaszki.

Malec przestał ssać i leżał cicho w jej ramionach, tak że mogła odsunąć go od piersi i przyjrzeć się twarzy maleństwa. Jej synek uśmiechał się! Gdyby nie opuchnięte powieki, jego buzia byłaby niemal całkowicie ukształtowana w przeciwieństwie do rozplaszczonych twarzyczek innych noworodków, które Centaine widziała. Miał szerokie, wypukłe czoło i duży nos. Centaine pomyślała o Michaelu — nie, ten nos był o wiele bardziej arogancki od nosa Michaela — i wtedy przypomniał jej się generał Sean Courteney.

— No właśnie! — zachichotała głośno. — Prawdziwy Cour-teneyowski nos.

Noworodek zeszywniał, jednocześnie głośno beknął i wypuścił wiatry, a z kącika ust wypłynęło mu kilka kropli mleka. Po chwili zaczął szukać piersi, mlaskając natarczywie i obracając sztywno głowę na boki. Centaine przełożyła go na drugie ramię i wsunęła sutek do otwartych usteczek.

Kłęcząca przed nią H'ani włożyła ręce pomiędzy jej rozwarte uda. Centaine skrzywiła się z bólu i zagryzła wargi, gdy wypadło z niej łożysko, które H'ani owinęła w szerokie liście begonii, obwiązała sznurkiem z kory i z zawiniątkiem w rękach zniknęła w zagajniku.

Kiedy wróciła, dziecko spało na kolanach Centaine — z rozrzuconymi nogami i brzuszkiem napęczniałym od mleka jak mały balonik.

— Jeśli pozwolisz, to przyprowadzę O'wa — zasugerowała H'ani. — Na pewno usłyszał krzyki.

— Och, tak, przyprowadź go tu szybko.

Centaine zapomniała o starym Buszmenie i teraz ucieszyła się na myśl, że będzie mogła zaprezentować mu swoje cudowne osiągnięcie.

O'wa podszedł nieśmiało i przykucnął w pewnym oddaleniu, wahaniem, normalnym u mężczyzny stykającego się z kobietą ijemnicą porodu.

— Zbliź się, czcigodny dziadku — zachęciła go Centaine, a O'wa przysunął się trochę, spoglądając poważnie na śpiącego noworodka. — I o o nim myślisz? — zapytała Centaine. — Czy zostanie myśliwym? czy będzie równie dzielny i zręczny, jak O'wa?

Staruszek mlasnął kilka razy językiem, jak to robił zawsze, gdy brakowało mu słów, a jego twarz zniknęła pod siatką przecinających się zmarszczek, niczym u przejętego pekińczyka. Nagle dziecko kopnęło silnie nogą i zapłakało przez sen. Stary mężczyzna nie mógł powstrzymać się od chichotu.

— Nie myślałem, że jeszcze kiedyś ujrzę coś tak wspaniałego — wysapał i ostrożnie ujął różową stopkę chłopca w rękę.

Noworodek znowu kopnął zamasyżycie i tym razem O'wa nie mógł się powstrzymać. Wyskoczył w górę i zaczął tańczyć. Szurając nogami i przytupując, okrążał matkę siedzącą ze śpiącym dzieckiem na skórze antylopy. H'ani wytrzymała spokojnie trzy okrążenia, ale przy czwartym sama zerwała się z ziemi i podążyła w podskokach za mężem. Z rękami na biodrach wyskakiwała w górę, gdy skakał O'wa, kręciła wystającymi pośladkami i wykonując skomplikowany rytuał przytupów i szurnięć nogami, śpiewała refren do pochwalnej pieśni O'wa.

*Jego strzały sięgną do gwiazd,
a kiedy ludzie będą wymawiać jego imię,
usłyszą je nawet...*

A H'ani wtórowała mu:

*...I znajdzie dobrą wodę,
gdziekolwiek się uda, znajdzie dobrą wodę.*

O'wa wydał z siebie przenikliwy pisk, podskoczył i zatrząsł ramionami.

Jego jasne oko wypatrzy każdą zwierzynę,

kiedy inni będą ślepi.

Bez trudu odnajdzie trop na skalistym gruncie...

...I znajdzie dobrą wodę,

w każdym obozie znajdzie dobrą wodę...

...Najpiękniejsze dziewczęta będą się do niego uśmiechać

i wślizgiwać się nocą do jego szałasów...

A H'ani powtarzała piskliwym głosem:

...I znajdzie dobrą wodę,

gdziekolwiek się uda, znajdzie dobrą wodę.

Para starszków błogosławiła jej dziecko, obdarzając je wszystkimi skarbami ich plemienia, i Centaine czuła, jak serce jej się ściska z miłości do obojga i do różowego maleństwa śpiącego jej na kolanach.

Kiedy wreszcie Buszmeni opadli z sił, przykucnęli oboje przed Centaine.

— Jako pradziadkowie dziecka chcielibyśmy nadać mu imię — wyjaśniła nieśmiało H'ani. — Czy zgodzisz się na to?

— Mówcie, czcigodni dziadkowie, jakie imię chcielibyście mu nadać.

H'ani spojrzała na męża i ten skinął głową.

— Nazwalibyśmy go: Shasa.

Do oczu Centaine napłynęły łzy, gdy uświadomiła sobie, jak wielki spotkał ją zaszczyt. Nadali mu imię dającego życie, najcenniejszego elementu ich świata.

— Shasa — „Dobra Woda”.

Centaine zamrużyła powiekami przez łzy i uśmiechnęła się do nich.

— Nazywam to dziecko Michel Shasa de Thiry Courteney — oznajmiła cicho, starszowie zaś po kolei dotknęli jego oczu i ust przekazując swoje błogosławieństwo.

Siarkowe, mineralizowane wody podziemnego jeziora miały wyjątkowe właściwości. Każdego południa i wieczora Centaine kąpała się w gorącej sadzawce i ze zdumieniem patrzyła, jak błyskawicznie goją się rany porodowe. Oczywiście, miała znakomitą kondycję fizyczną, bez grama tłuszczu na ciele, czego owocem było szczupłe, silne ciało Shasy i łatwość, z jaką go urodziła. Co więcej, Sanowie traktowali poród jako normalny proces i H'ani ani nie pozwalała, żeby Centaine traktowała siebie jak inwalidkę, ani sama jej nie rozpieszczała.

Młode, elastyczne i wygimnastykowane mięśnie szybko odzyskały i sprężystość. Skóra dziewczyny, nie rozciągnięta nadmiernie w czasie ciąży, nie pomarszczyła się na brzuchu, który szybko przybrał imalny płaski kształt. Jedyne piersi napęczniały jej od mleka, Shasa rósł niczym jeden z pustynnych kwiatów po deszczu.

No i było także podziemne jezioro z wodami o leczniczych właściwościach.

— To dziwne — stwierdziła kiedyś H'ani — matki pijące tę wodę wychowują dzieci o kościach twardych jak skała i zębach lśniących niczym kość słoniowa. To jedno z błogosławieństw duchów strzegących tego miejsca.

W południe promienie słoneczne przenikały przez dużą szczelinę w sklepieniu jaskini i Centaine z prawdziwą radością kąpała się w kolumnie białego światła przesączającego się przez gęste obłoki pary, przesuwając się, żeby zawsze pozostawać w jego magicznym kręgu.

Leżała nieruchomo w gorącej, zielonkawej wodzie, słuchając, jak Shasa porusza się i mruczy przez sen. Owijała synka w skórę antylopy i kładła na skalnej półce na brzegu jeziora, gdzie mogła

go łatwo pilnować.

Dno jeziora zalegały pokłady żwiru i kamyków. Centaine wybierała je całymi garściami i z przyjemnością przyglądała się pod światło pięknym kolorom i dziwnym kształtom. Wynajdywała pocięte żyłkami agaty, tak wygładzone przez wodę, że w dotyku przypominały jajka jaskółek, niebieskawe kamyki z czerwonymi, różowymi czy żółtymi prążkami, jaspisy i krwawniki mieniące się wszystkimi odcieniami burgunda, lśniące czarne onyksy i złotawe tygrysy oka z kolorowymi, opalizującymi pręgami.

— Zrobię z nich naszyjnik dla H'ani. Podziękuję jej w ten sposób za Shasę!

Zaczęła zbierać najładniejsze kamienie o najbardziej niezwykłych kształtach.

— Potrzebuję jakiegoś odpowiedniego kamienia na środek naszyjnika — zdecydowała i zaczęła wydobywać pełne garście kamyków, obmywać w zielonej wodzie i oglądać w promieniach słońca.

Wreszcie znalazła to, czego szukała. Był to bezbarwny kamień, czysty jak woda, ale kiedy padły na niego promienie słońca, budziła się w nim tęcza, wewnętrzny ogień płonący czystymi kolorami. Centaine spędziła całą godzinę w wodzie, obracając wolno kamień w palcach, wpatrując się z zachwytem w grę iskier i podziwiała, jak od ścianek odbijają się strumienie światła. Kamień nie był duży — wielkością przypominał dojrzwały owoc figi — ale symetryczny jak kryształ i świetnie pasował na centralną ozdobę naszyjnika.

Centaine zaprojektowała naszyjnik z największą starannością, spędzając wiele godzin z Shasą przy pierśi na układaniu zebranych okazów we wzór, który najbardziej by jej odpowiadał. Nie była jednak do końca zadowolona ze swojego dzieła, gdyż przy bezbarwnym kryształ, tak regularnym i skrzącym się ogniem, wszystkie pozostałe kamienie wyglądały nieciekawie i pospolicie.

Kiedy już ułożyła wzór, zabrała się do nawleknięcia kamyków na sznurek i od razu napotkała poważne problemy techniczne. Kilka kamieni było na tyle miękkich, że cierpliwą pracą zdołała w nich wywiercić dziurki, poświęcając na to wiele kościanych świdrów. Inne, zbyt kruche, pękały przy nacisku, a jeszcze inne okazały się za twarde. W szczególności centralny kryształ opierał się wszelkim wysiłkom i na jego powierzchni nie udało się zrobić nawet małej ryski, mimo że Centaine połamała kilkanaście kościanych igieł.

Centaine poprosiła O'wa o pomoc i kiedy stary Buszmen zorientował się w jej zamierzeniach, zapałał chłopięcym entuzjazmem. Eksperymentowali wspólnie i musieli się pogodzić z kilkoma niepowodzeniami, zanim udało im się wypracować metodę przyklejania twardszych kamieni żywicą z akacji do sznurka z włókien sansiewerii. Centaine zaczęła składać naszyjnik i omal nie doprowadziła starego mężczyzny do rozpacz, gdyż zmarnowała przy tym pięćdziesiąt długości szpagatu.

— Ten jest za gruby — stwierdzała lub mówiła: — Ten nie jest dostatecznie mocny.

O'wa, który zawsze był perfekcjonistą, gdy pracował nad własnymi narzędziami, z całą powagą poświęcił się problemowi naszyjnika.

Kiedy ozdoba była wreszcie ukończona, radość i satysfakcja O'wa nie mogły być większe, niż gdyby to on sam wymyślił, zaplanował i wykonał prezent. Prezent zresztą bardziej przypominał pektorał niż naszyjnik; cienki sznurek oplatał szyję i opadał na pierśi z kamieniami ułożonymi niczym pancerz, z wielkim kryształem w środku i otaczającymi go agatami, jaspisami i beryłami.

Nawet Centaine była zachwycona swoim dziełem.

— Wypadło lepiej niż oczekiwałam — pochwaliła się O'wa, mówiąc po francusku i obracając naszyjnik w rękach, żeby podziwiać grę światła na kamieniach. — Nie jest może tak piękny jak od monsieur Cartiera — przypomniła sobie ślubny prezent ojca dla matki: naszyjnik, który pozwolił założyć córce na urodziny — ale wcale nie taki zły, jak na pierwszą pracę prostej dziewczyny z

buszu.

Urządzili małą ceremonię wręczania podarunku. H'ani siedziała, promieniejąc z radości niczym chochlik bursztynowego koloru, gdy

Centaine dziękowała jej za opiekę i za to, że była najlepszą położną ud wszystkim Sanów. Jednak kiedy założyła staruszcze naszyjnik, lal się on za duży i za ciężki na jej małym, pomarszczonym ciele. - Ha, staruszk, jesteś taki dumny z tego swojego noża, ale nie m się on nawet równać z tym — oznajmiła H'ani mężowi, głaszcząc ilością kamyki. — To jest prawdziwy dar. Tylko spójrz! Noszę na księżyc i gwiazdy!

H'ani nigdy nie zdejmowała naszyjnika. Obijał się o jej chude obojczyki, gdy kopała ziemię kijem czy zbierała owoce mongongo, gdy kucąła przed ogniskiem, kamienie rzucały błyski spomiędzy suszonych piersi. Nawet w nocy, gdy spała z głową złożoną na ramieniu, Centaine widziała naszyjnik błyszczący jej na piersiach i miała wrażenie, że kamyki przygniatają malutkie, stare ciało do ziemi.

Kiedy praca nad naszyjnikiem dobiegła końca, a Centaine w pełni odzyskała siły po porodzie, dni zaczęły jej się coraz bardziej dłużyć, wysokie zaś ściany okalające kotlinę przytłaczały ją niczym mury więzienne.

Codziennie czynności nie wypełniały dziewczynie całego czasu. Większą część dnia Shasa spał na jej biodrze lub przywiązany do pleców, gdy zbierała owoce w zagajniku lub pomagała H'ani nosić drzewo na ogień. Wróciły comiesięczne okresy i Centaine kipiała od nadmiaru energii.

Często miewała stany depresyjne, gdy irytowała ją nawet niewinna paplanina H'ani, i wtedy oddalała się z Shasą od starych Buszmenów. Mimo że niemowlak najczęściej spał smacznie, Centaine opowiadała mu po francusku lub angielsku o jego ojcu, o pałacyku w Mort Homme, o Nuage'u, Annie i generale Courteneyu. Imiona i wspomnienia te wywoływały głęboką melancholię i tęsknotę nie wiadomo za czym. Czasami w nocy, kiedy nie mogła zasnąć, leżała na pościeli z trawy i wsłuchiwała się w muzykę rozbrzmiewającą w jej pamięci — nuty z Aidy oraz pieśni śpiewane przez wieśniaków na polach Mort Homme w czasie vendange.

Mijały miesiące i nastawały kolejne pory roku. Drzewa mongongo zakwitły, następnie ich gałęzie obsypały się owocami, pewnego dnia zaś Shasa podniósł się na kolana i rączki i przy głośnym aplauzie wszystkich zebranych wyruszył na czworakach, by zwiedzać kotlinę. Jednak nastroje Centaine zmieniały się gwałtowniej niż pory roku; zachwyty, jaki wywoływał w niej syn, i radość, którą czerpała z obecności starych Buszmenów, przeplatały się z czarną rozpaczą, kiedy czuła się niczym więzień.

Oni przyszli tutaj, żeby umrzeć, uświadomiła sobie, widząc, jak dwójka Sanów pogodziła się z codziennymi obowiązkami. Ale ja nie chcę umierać. Chcę żyć, żyć!

H'ani przypatrywała jej się ze zrozumieniem i kiedy uświadomiła sobie, że nadszedł już czas, oznajmiła O'wa:

— Jutro Dziecko Nam i ja wyjdziemy z doliny.

— Dlaczego, kobieto?

O'wa był wyraźnie zaskoczony tym dziwnym pomysłem. Był całkowicie zadowolony z życia i nie zamierzał opuszczać kotliny.

— Potrzebujemy lekarstw i zmiany pożywienia.

— To nie jest dostateczny powód, żeby ryzykować przechodzenie przez chroniony przez strażników tunel.

— Wyjdziemy o świcie, gdy jest jeszcze chłodno i pszczoły są śpiące, wrócimy zaś późnym wieczorem. Zresztą strażnicy już nas zaakceptowali.

O'wa zamierzał jeszcze protestować, ale H'ani szybko mu przerwała:

— To konieczne, czcigodny dziadku, chodzi o sprawy, których mężczyzna nie rozumie.

Jak przewidywała H'ani, Centaine była podniecona i uradowana perspektywą wycieczki i obudziła Buszmenkę na długo przed umówioną godziną. Obie kobiety prześliznęły się bezszelestnie przez tunel z pszczołami. Centaine wybiegła na otwartą przestrzeń pustyni z Shasą na plecach i workiem przerzuconym przez ramię niczym uczennica zwolniona z nudnych lekcji. Jej pogodny nastrój trwał cały poranek; gawędziła beztrudnie z H'ani, gdy wędrowały przez las, szukając korzeni potrzebnych Buszmenom.

Gdy nastał południowy upał, znalazły schronienie w cieniu akacji i kiedy Centaine karmiła syna, H'ani zwinęła się na ziemi niczym żółty kot i zasnęła. Shasa najadł się w końcu do syta, a Centaine oparła się o pień drzewa, by uciąć sobie drzemkę.

Obudził ją stukot kopyt i parskanie zwierząt. Centaine otworzyła oczy, ale nie wykonała najmniejszego ruchu, który mógłby zdradzić jej obecność. Pasące się na równinie stado zebra zbliżyło się do śpiących, nie spostrzegając ludzi w wysokiej trawie i nie czując ich zapachu dzięki sprzyjającemu wiatrowi.

W stadzie było co najmniej sto zwierząt. Nowo narodzone źrebięta o zbyt cienkich nogach jak na ich duże korpusy i z rozmazanymi czekoladowymi pasami, które nie przybrały jeszcze wyraźnych wzorów, trzymały się blisko matek i przyglądały się otaczającemu światu dużymi, ciemnymi i rozumnymi oczami. Starsze, szybkie i pewne siebie, ganiały się pomiędzy drzewami. Klacze, gładkie i lśniące, z postawionymi grzywami i czujnymi uszami, niektóre z nich z pękatymi brzuchami i ciemnymi wymionami napęczniałymi od mleka, pały się spokojnie wśród wysokiej trawy. Pomiędzy nimi przechadzały się silne ogiery z potężnymi zadami i dumnie wygiętymi szyjami, prowokując się wzajemnie i obwąchując samice. Ogiery przypominały Centaine Nuage'a. Ledwie śmiejąc oddychać, leżała oparta o drzewo i z prawdziwą przyjemnością przyglądała się zebrom. Stado zbliżało się coraz bardziej do drzewa i gdyby Centaine wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć jednego z przebiegających obok źrebiąt. Z tak bliskiej odległości widziała, że zwierzęta różnią się od siebie, a ich pasiaste wzory były równie indywidualne, jak linie papilarne u ludzi. Ciemne pręgi były okolone jaśniejszymi, pomarańczowokremowymi cieniami, tak że zebry wyglądały jak abstrakcyjne obrazy.

Jeden z ogierów, wspaniałe zwierzę mierzące ponad metr w kłębie i z gęstym ogonem zwisającym do kolan, oddzielił młodą klacz od reszty stada, szczypiąc ją w grzbiet prostymi, żółtymi zębami, a kiedy próbowała się wymknąć, zabiegł jej drogę, spychając w stronę drzewa. W pobliżu akacji ogier zaczął uspokajać klacz, głaszcząc ją pyskiem po karku.

Ta zachnęła się zalotnie, świadoma swojego budzącego pożądanie stanu, wywróciła oczami i ugryzła złośliwie zalotnika w muskularny grzbiet. Ogier odskoczył z rżeniem, ale zaraz wrócił i spróbował wsunąć pysk pod jej ogon, żeby dostać się do nabrzmiatych narządów. Młoda klacz zakwiczała z oburzenia, kopnęła tylnymi nogami tak, że lśniące, czarne kopyta śmignęły ogierowi przed pyskiem i obróciła się do niego przodem, pokazując zęby.

Centaine poczuła, że scena ta podnieciła ją. Odczuwała to samo rosnące napięcie, co młoda klacz, która udawała niechęć, a w rzeczywistości zmuszała krążącego wokół niej kawalera do coraz usilniejszych zalotów. Wreszcie zebra uległa i stała nieruchomo niczym posąg, z podniesionym do góry ogonem, gdy ogier obwąchiwał delikatnie jej zad. Centaine siedziała spięta, oczekując rozwoju wypadków i kiedy ogier wspiał się na swoją wybrankę i zanurzył potężny, czarny penis głęboko w jej ciele, jęknęła cicho i kuczowo zacisnęła kolana.

Tej nocy, leżąc na materacu z trawy nie opodal podziemnego jeziora, Centaine śniła o Michaelu i starej stodole na skraju północnego pola. Obudziła się z poczuciem dojmującego osamotnienia i nieukierunkowanej niechęci, która nie ustąpiła nawet wtedy, gdy podała Shasy pierś.

Nastroje owe powtarzały się, a wysokie skalne ściany zamykały się wokół Centaine i brakowało jej powietrza. Minęły jednak cztery dni, zanim udało jej się namówić H'ani na kolejną eskapadę do lasów otaczających górę.

Wędrując pomiędzy drzewami Centaine rozglądała się za stadami zebra, ale tym razem las wydawał się pusty, a dzika zwierzyna, jaką kobiety napotykały na swojej drodze, zachowywała się nieufnie i na widok ludzi natychmiast kryła się w gąszczu.

— Coś jest nie w porządku — mruknęła H'ani, gdy ułożyły się w cieniu na południowy odpoczynek. — Nie wiem, co to takiego, ale zwierzęta także to rozumieją. Nie czuję się pewnie i uważam, że powinnyśmy wrócić do obozu, żebyśmy mogła porozmawiać z O'wa. On zna się lepiej na tych sprawach ode mnie.

— Och, H'ani, nie wracajmy — poprosiła Centaine. — Zostańmy jeszcze trochę. Czuję się tutaj taka swobodna.

— Nie podoba mi się to, co tu się dzieje — nie ustępowała H'ani.

— Ale pszczoły... — Centaine znalazła wymówkę — ...nie możemy przejść przez tunel przed zachodem słońca.

H'ani mimo że narzekała i marszczyła podejrzliwie brwi, w końcu uległa.

— Pamiętaj jednak, że uprzedzałam, iż coś jest nie w porządku, idzie coś niedobrego...

H'ani wahała co chwilę powietrze i obie nie ucięły sobie tym razem drzemki. Stara kobieta wzięła Shasę od Centaine, gdy ta tylko skończyła go karmić.

— Jak szybko rośnie — szepnęła, a oczy jej przesłonił cień żalii. — Tak bardzo chciałabym go zobaczyć, gdy będzie już duży, silny i wysoki jak drzewo.

— Zobaczysz go, babciu. — Centaine uśmiechnęła się. — Będiesz żyć tak długo, aż Shasa stanie się mężczyzną.

H'ani nie spojrzała na nią.

— Odejdziecie, pewnego dnia oboje odejdziecie stąd. Czuję to. Wrócisz do swoich ludzi. — Jej głos był ochryply z żalu. — Odejdziecie, i kiedy was tu nie stanie, nie będzie już życia dla starej kobiety.

— Nie, babciu. — Centaine wzięła ją za rękę. — Może będziemy musieli pewnego dnia odejść, ale wrócimy do was. Daję ci moje słowo, że wrócimy.

H'ani delikatnie uwolniła swoją małą rączkę z uścisku Centaine i wstała.

— Upał już zelżał.

Skierowały się w stronę góry, idąc w pewnym oddaleniu od siebie, jednak cały czas pozostawały w zasięgu swego wzroku, jeśli nie zasłaniały ich wysokie krzaki. Jak zwykle Centaine przemawiała do piącego na jej biodrze syna po francusku, żeby przyzwyczaić jego ich do wymowy, i aby sama nie zapomniała języka.

Zbliżały się już do pokrytego piargami podnóża góry, gdy Centaine postrzegła świeże ślady pary zebra, których kopyta odbiły się na miękkiej ziemi. Dzięki instrukcjom H'ani Centaine rozwinęła swój zmysł obserwacji, a O'wa nauczył ją odczytywania śladów dzikich zwierząt. W śladach pary zebra było coś dziwnego, co zastanowiło dziewczynę. Oba biegły obok siebie, jakby zwierzęta szły w zaprzęgu. Centaine przełożyła Shasę na drugie biodro i nachyliła się, żeby lepiej obejrzeć dziwny trop.

Wyprostowała się tak gwałtownie, że niemal obudziła dziecko i Shasa zakwilił przez sen. Przez chwilę stała jak sparaliżowana, wpatrując się w ślady kopyt i bojąc się dopuścić do siebie myśl, że oczy ją myliły. Nagły przypływ emocji wstrząsnął nią tak silnie, iż zakołysała się na piętach. Zrozumiała nerwowe zachowanie zwierząt i przeczucie niebezpieczeństwa H'ani. Drżała od silnego

wzruszenia i jednocześnie przejmowały ją uczucia strachu i radości.

— Shasa — szepnęła — to nie są ślady zebr. — Kopyta, które pozostawiły odciski na miękkiej ziemi, były podkute. — To jeźdźcy, Shasa, cywilizowani ludzie na koniach!

Wydawało się to niemożliwe, zwłaszcza tutaj, na dzikim odludziu.

Odruchowo podniosła ręce do płóciennego szala, który nosiła zarzucony na plecy i spod którego wystawały jej nagie piersi. Zakryła się i rozejrzała wstydliwie na boki. Sanowie nauczyli ją traktować nagość jako coś zupełnie naturalnego. Teraz uświadomiwszy sobie, że płócienna spódnica nie zakrywa jej nóg, dziewczyna oblała się rumieńcem.

Cofnęła się o krok od śladów jak od oskarżycielskiego palca.

— Ludzie — cywilizowani ludzie — powtórzyła i w jej myślach pojawił się Michael. Wstyd, ustąpił miejsca tęsknocie. Zbliżyła się ostrożnie do odcisniętych kopyt i uklękła na ziemi, pozerając je wzrokiem i nie śmiejąc dotknąć ręką ziemi, żeby nie okazały się złudzeniem.

Trop wydawał się bardzo świeży. Kiedy Centaine przyglądała się ostrym krawędziom odcisków, z jednej strony piasek osunął się z szelestem do zagłębienia.

— Godzinę temu, Shasa, przejechali tędy nie więcej niż godzinę temu.

Jeźdźcy jechali stępa z prędkością około dziesięciu kilometrów na godzinę.

— Shasa, w odległości dziesięciu kilometrów od nas znajdują się cywilizowani ludzie.

Poderwała się z ziemi i pobiegła kilkadziesiąt kroków wzdłuż linii śladów. Zatrzymała się gwałtownie i znowu uklękła na ziemi. Wcześniej nie zwróciłaby na to uwagi — bez lekcji O'wa była jak ślepa — ale teraz jej wzrok przykuł kawałek metalu, mimo że był nie większy od paznokcia i leżał w kępie suchej trawy.

Podniosła ów przedmiot z ziemi i położyła na dłoni. Był to matowy guzik wojskowy z wytłoczonym herbem; z drugiej strony zwisał kawałek przetartej nitki.

Centaine patrzyła na niego jak na bezcenny klejnot. Herb przedstawiał jednorożca i antylopę strzegących tarczy, a u dołu na wstędze wygrawerowany był napis:

— Ex Unitate Veritas — przeczytała na głos.

Widziała takie same guziki na mundurze generała Córteneya, ale tamte lśniły wypolerowane. „W Jedności Siła” — herb Afryki Południowej.

— To żołnierz, Shasa! Jeden z ludzi generała Córteneya! Usłyszała stłumiony gwizd. To H'ani ją wzywała i Centaine

poderwała się spłoszona z ziemi, niezdecydowana, co ma robić. Instynkt podpowiadał jej, żeby rzucić się biegiem za jeźdźcami i prosić, by zabrali ją do cywilizacji. H'ani ponownie zagwizdała i Centaine spojrzała za siebie.

Wiedziała, jak bardzo Sanowie boją się obcych, gdyż starzy ludzie opowiedzieli jej o okrutnych prześladowaniach.

— H'ani nie może zobaczyć tych śladów.

Ośłoniła dłonią oczy i spojrzała z tęsknotą tam, gdzie zniknęły ślady kopyt, nie dostrzegła jednak żadnego ruchu pomiędzy drzewami.

— Shasa, H'ani będzie chciała nas zatrzymać, a O'wa zrobi wszystko, żebyśmy zostali. Jak możemy ich zostawić? Przecież nie mogą iść z nami, bo znaleźliby się w okropnym niebezpieczeństwie... — Nie mogła zdecydować się, jak postąpić. — Nie możemy przepuścić tej szansy. To może być jedyna...

Ponownie usłyszała gwizd H'ani, tym razem z bliższej odległości. Po chwili dostrzegła pomiędzy drzewami małą figurkę zbliżającą się do nich. W poczuciu winy Centaine zacisnęła dłoń na guziku i schowała go do skórzanej torby.

H'ani nie może spostrzec tych śladów, postanowiła i rozejrzała się szybko po skałach, żeby później móc odnaleźć to miejsce. Odwróciła i pobiegła do starej kobiety, myśląc o tym, jak odwieść ją od dów w stronę ukrytej doliny. Tego wieczora, gdy uporali się z codziennymi pracami obozowymi,

Centaine z trudem ukryła podniecenie, odpowiadając z roztargnieniem pytania H'ani. Gdy tylko zjedli wieczorny posiłek, a krótki afrykański zmierzch ustąpił miejsca nocy, poszła do swojego szałasudała, że kładzie się spać, naciągając skórę antylopy na siebie i Shasę. Mimo że leżała nieruchomo i oddychała miarowo, cała w środku aż kręcała się z niepewności, próbując podjąć trudną decyzję.

Nie miała pojęcia, kim są żołnierze, i była zdecydowana nie narażać Sanów na śmiertelne niebezpieczeństwo, ale była równie zdecydowana podążać wzdłuż śladów za jeźdźcami, którzy nieśli ze sobą perspektywę ratunku i powrotu do cywilizacji. Musiała uciec od bezmyślnej wegetacji, która z czasem uczyniłaby z niej i Shasy dzikusów.

— Musimy zdobyć przewagę, żebyśmy dotarli do żołnierzy, zanim O'wa i H'ani spostrzegą się, że zniknęliśmy. W ten sposób nie będą za nami podążać i nie narażą się na niebezpieczeństwo. Wyruszymy, moje maleństwo, jak tylko wstanie księżyc.

Leżała nieruchomo, udając sen, dopóki nad krawędzią kotliny nie ukazał się półokrągły kształt księżyca. Wtedy wstała cicho z posłania i uważając, żeby nie obudzić Shasy, który mruczał przez sen, zabrała swoją torbę z rzeczami na drogę, dzidę i ruszyła w stronę ścieżki.

Zatrzymała się na skraju skały i spojrzała za siebie. Ogień przygasł już, ale światło księżyca docierało do szałasów starych ludzi. O'wa był ukryty w cieniu, widoczny jako niewyraźny, ciemny kształt, ale Centaine widziała wyraźnie H'ani.

Bursztynowa skóra starej kobiety zdawała się lśnić w poświacie księżyca, a głowa H'ani, oparta na ramieniu, była zwrócona ku Centaine. Na twarzy Buszmenki malowało się zatroskanie oraz przeczucia okropnego bólu i straty, których doświadczy po przebudzeniu. Kamienny naszyjnik obciążał jej starą, wychudłą pierś.

— Żegnaj, babciu — szepnęła Centaine. — Dziękuję za człowieczeństwo i miłość, jaką nam okazałaś. Zawszę będę cię kochać. Wybacz nam, H'ani, ale teraz musimy odejść.

Centaine musiała zebrać całą swą odwagę, żeby przekroczyć zakręt, który zamykał jej widok na obóz. Biegając w stronę tunelu wyjściowego, widziała wszystko rozmazane przez słone łzy, które ściekały jej do ust.

Wyciągając przed sobą ręce, w absolutnych ciemnościach jaskini, znalazła wyjście na zalaną światłem księżyca równinę. Zatrzymała się na chwilę w obawie, że usłyszy za sobą odgłosy bosych stóp na skale, ale dobiegł ją jedynie skowyt szakala na równinie. Ruszyła szybko przed siebie.

Kiedy doszła do skraju równiny, Shasa zapłakał przez sen i Centaine nie zatrzymując się poprawiła przepaskę, żeby mógł dostać się do piersi. Przyssał się żarłocznie, a dziewczyna szeptała do niego, śpiesząc przez mroczny las:

— Nie bój się, moje kochanie. Jesteśmy pierwszy raz sami w nocy, ale jeźdźcy z pewnością rozbili obóz gdzieś niedaleko. Dogonimy ich przed świtem, zanim H'ani i O'wa się obudzą. Nie patrz na te cienie i nie wyobrażaj sobie niczego złego, Shasa...

Mówiła do niego ściszym głosem, dodając jednocześnie sobie odwagi, gdyż noc była tajemnicza i groźna. Dopiero teraz Centaine zrozumiała, jak bardzo przyzwyczyła się polegać na dwójce starych Buszmenów.

— Powinniśmy już natrafić na ślad, Shasa. — Zatrzymała się niepewnie i rozejrzała wokoło: w świetle księżyca wszystko wyglądało inaczej niż za dnia. — Musieliśmy go przegapić.

Zawróciła, przyspieszając nerwowo kroku.

— Jestem pewna, że znajdował się na skraju tej polany. — Nagle odczuła olbrzymią ulgę. — Jest! To księżyc go zasłonił.

Teraz odciski kopyt otaczały głębokie cienie i widać było, jak głęboko stalowe podkowy wbiły się w miękką ziemię. Jak wiele nauczyła się od O'wa i H'ani! Widziała trop tak wyraźnie, że mogła biec wzdłuż niego drobnym truchtem.

Jeźdźcy nie starali się zacierać za sobą śladów i nie było wiatru, który by je zakrył. Żołnierze jechali środkiem polany, wybierając drogi wydeptane przez dzikie zwierzęta i nie popędzali koni na prostych odcinkach. W pewnym miejscu Centaine odczytała ze śladów, że jeden z żołnierzy zsiadł z wierzchowca i kawałek drogi prowadził go za uzdę.

Fakt, że mężczyzna nosił buty, napawał ją radością. Żołnierz miał buty do jazdy konnej, ze średnimi obcasami i wytartymi podeszwami. Nawet przy słabym świetle księżyca Centaine mogła stwierdzić po długości jego kroku i sposobie chodzenia z palców, że mężczyzna jest wysoki, ma długie, wąskie stopy i pewny krok. Zdawało się to potwierdzać wszystkie jej nadzieje.

— Zaczekajcie na nas — szepnęła. — Proszę, sir, niech pan zaczeka na mnie i Shasę.

Szybko zbliżała się do jeźdźców.

— Musimy szukać ogniska, Shasa. Z pewnością rozbili się obozem niedaleko... — urwała nagle. — Tam! Co to było, Shasa? Widziałeś?

Wpatrywała się z natężeniem w las.

— Jestem pewna, że coś widziałam. — Rozejrzała się z lękiem. — znikło! — Przełożyła Shasę na drugie biodro. — Ależ robi się z ciebie ciężka klucha! Nieważne, wkrótce dotrzemy na miejsce.

Ruszyła przed siebie i drzewa zaczęły rzednąć, by zaraz otworzyć się na następną długą polanę. Poświata księżyca kładła się bladym, metalicznym cieniem na niskiej trawie.

Centaine rozejrzała się po polanie, koncentrując się na każdej ciemnej nierówności, wypatrując kształtów koni i ludzi zawiniętych w koce i śpiących przy ognisku, ale dostrzegała jedynie pniaki drzew i mrowiska, a na drugim końcu polany małe stado gnu pasących się ze spuszczonej głowami.

— Nie martw się, Shasa — powiedziała głośno, żeby zagłuszyć własne rozczarowanie. — Jestem pewna, że rozbili obóz pomiędzy drzewami.

Stadko poderwało nagle łby i z parsaniem rzuciło się do panicznej ucieczki, znikając szybko pomiędzy drzewami. Po chwili została po nich jedynie mgiełka kurzu w powietrzu.

— Co je spłoszyło, Shasa? Wiatr wieje w naszym kierunku, więc nie mogły wyczuć zapachu. — Odgłos uciekającego stada ucichł w oddali. — Ktoś musiał je wypłoszyć!

Rozejrzała się uważniej wokół siebie.

— Zaczynam mieć przywidzenia. Nic tam nie ma. Nie możemy wpadać w panikę przy każdym cieniu.

Centaine ruszyła pewnie przed siebie, ale po kilkunastu krokach znowu zatrzymała się ze strachem.

— Czy słyszałeś to, Shasa? Coś za nami idzie. Słyszałam kroki, ale teraz się zatrzymało. Obserwuje nas, czuję to.

W tej chwili niewielka chmura przesłoniła księżyc i zapanowały ciemności.

— Księżyc zaraz znowu się ukaże. — Centaine przycisnęła syna tak mocno, że Shasa głośno zaprotestował. — Przepraszam, moje maleństwo. — Rozluźniła uścisk i chcąc iść dalej, potknęła się na nierównej ziemi. — Żałuję, że udaliśmy się w drogę — nie, to nieprawda. Musieliśmy uciec. Musimy być dzielni, Shasa. Poczekamy, aż wyjdzie księżyc, i ruszymy dalej.

Usiadła na ziemi, żeby odpocząć, i podniosła oczy ku niebu. Księżyc, który prześwitywał blado

przez ciemną chmurę, na chwilę wynurzył się przez szczelinę w gęstym obłoku i zalał równinę srebrnym światłem.

— Shasa! — krzyknęła cienko z przerażenia Centaine.

Na polanie za nimi znajdowało się jakieś zwierzę: potężny, blady cień, niemal tak duży jak koń, ale poruszający się dziwnie miękko i drapieźnie, jakby się skradał. Słyszac krzyk, zwierzę przypadło do ziemi, kryjąc się w trawie.

Centaine poderwała się z ziemi i pognęła biegiem w kierunku drzew, ale zanim zdążyła ich dopaść, księżyc znowu skrył się za chmurą i w ciemnościach wywróciła się na ziemię. Shasa zapłakał głośno u jej piersi.

— Proszę, kochanie, bądź cicho. — Centaine przytuliła go do siebie, ale dziecko wyczuło strach i nie przestawało krzyczeć. — Nie, Shasa. Ściągniesz go na nas.

Centaine nie mogła opanować drżenia. Wielkie, jasne zwierzę kryjące się w ciemnościach otaczała aura niezemskiej grozy i dziewczyna wiedziała już, co to jest. Widziała je już wcześniej.

Przylgnęła do ziemi, starając się osłonić syna własnym ciałem. Nagle w powietrzu rozległ się ryk — grzmot wypełniający noc, jej głowę, niemal jej duszę. Także ten dźwięk słyszała już wcześniej, ale jeszcze nigdy tak blisko.

— Słodki Jezu — wyszeptała drżącymi wargami.

Był to ryk głodnego lwa. Najbardziej przerażający odgłos afrykańskiego buszu.

W tej chwili księżyc wysunął się zza chmur i Centaine zobaczyła lwa. Stał pięćdziesiąt kroków od niej — był olbrzymi, ze sterczącą jaskrawo rudą grzywą okalającą płaski łeb. Długi ogon z czarną kitą na końcu miarowo chłostał boki. Lew wyciągnął szyję, napinając mięśnie karku, otworzył paszczę, tak że w blasku księżycyza zalśniły długie niczym sztylety kły, i ponownie zaryczał.

W przerażającym grzmocie zdawało się mieścić całe okrucieństwo i groźba afrykańskiego kontynentu. Centaine, która czytała wiele opisów podróżników i myśliwych, nie była przygotowana na tę rzeczywistość. Wydawało jej się, że ów ryk miażdży jej piersi, tak iż na chwilę stanęło jej serce i zabrakło tchu w piersi. Czowała, jak przestaje kontrolować swój pęcherz, i wyteżyła wszystkie siły, żeby odzyskać władzę nad własnym ciałem. Leżący pod nią Shasa zapłakał głośno, wrywając jej się z rąk, i to wystarczyło, żeby przerwać paroksyzm lęku.

Lew, wiekowy rudy samotnik odrzucony przez własne stado, był prawie łysy na łopatkach. Zęby i pazury miał już starte ze starości, skórę pokrywały mu blizny. Postradał jedno oko w walkach z młodszymi samcami, które w końcu przegnały go ze stada. Był chory i zagłodzony; spod pokrytej rzadką szczecina skóry wystawały mu żebra. Z głodu trzy dni wcześniej zaatakował nawet jeżozwierza i w szyi oraz w pysku utkwilo mu głęboko kilkanaście trujących kolców. Rany zaczęły już ropieć i sprawiały mu wielki ból. Był tak stary, słaby i niezdecydowany, że stracił dawną pewność siebie i zapach człowieka napełniał go lękiem. Doświadczenia rodziców i jego własne ostrzegały go przed zbliżaniem się do tych dziwnych, wyprostowanych siworzeń. Głębokie ryki były więc przejawem braku pewności siebie i nerwowości. Jeszcze niedawno głód skłoniłby go do szybkiego i cichego ataku. Nawet obecnie szczęki zwierzęcia były dostatecznie silne, żeby rozłupać czaszkę czy kość udową, a jedno uderzenie olbrzymiej łapy mogło zdruzgotać kręgosłup silnemu mężczyźnie. Lew nie zbliżał się jednak do swojej ofiary, okrążając ją ostrożnie z daleka. Możliwe, że gdyby noc była ciemna, bezksiężycowa czy gdyby kiedykolwiek próbował ludzkiego mięsa, zdobyłby się na większą odwagę. Możliwe też, że zaognione rany od kolców sprawiały mu zbyt wielki ból, więc jedynie ryczał w niezdecydowaniu.

Centaine poderwała się z ziemi; zareagowała instynktownie. Widziała kiedyś, jak stary, czarny kot bawił się z myszką w stodole w Mort Homme i jak błyskawicznie reagował na próbę ucieczki

swojej ofiary. Czują, że jeśli zaczną uciekać, ten wielki kot dopadnie jej w jednej chwili.

Krzyknęła najgłośniej, jak potrafiła, i wznosząc zaostrzony kij ponad głowę, ruszyła do ataku. Lew zawrócił w miejscu i zaczął uciekać galopem w przeciwną stronę, ale po przebiegnięciu pięćdziesięciu kroków zatrzymał się, spojrzał w jej stronę i chłuszcząc nerwowo boki ogonem, zaryczał z irytacji.

Nie odwracając się od drapieznika, z Shasą pod jedną ręką i z dzidą w drugiej, Centaine zaczęła się wycofywać. Obejrzała się przez ramię za siebie — najbliższe drzewo rosło w pewnym oddaleniu od lasu. Było proste i grube, z pierwszym rozgałęzieniem wysoko nad ziemią, ale Centaine miała wrażenie, że drzewo to znajduje się na drugim końcu świata.

— Nie wolno nam biec, Shasa — szepnęła i usłyszała, jak bardzo drży jej głos. — Powoli, powolutku.

Strugi potu spływały jej do oczu, a jednocześnie trzęsła się z zimna i przerażenia.

Lew okrążył ją i zbliżył się do lasu, krocząc ze spuszczonego łbem i postawionymi uszami, a Centaine dostrzegła błysk jedyne go oka niczym refleks stalowego ostrza.

— Musimy dostać się do drzewa, Shasa.

Dziecko zapłakało, kopiąc ją w biodro. Lew zatrzymał się, a Centaine usłyszała, jak obwąchuje powietrze.

— O Boże, jaki wielki!

Stopą wpadła w jakiś dołek i omal nie wywróciła się na ziemię. Lew rzucił się do przodu, chrząkając głośno przy każdym oddechu. Centaine znów wrzasnęła dziko i zamierzyła się dzidą.

Lew przerwał atak, ale tym razem nie uciekł, tylko stał w miejscu, spuszczając groźnie olbrzymi, zarośnięty łeb i śmigając długim ogonem. Kiedy Centaine zaczęła się wycofywać, drapieznik ruszył za nią, przypadając nisko do ziemi.

— Drzewo, Shasa, musimy dostać się do drzewa!

Lew znowu zaczął ich czujnie okrążyć i Centaine rzuciła szybkie spojrzenie na niebo. Z północy nadciągała kolejna niewielka chmura, kierując się na księżyc.

— Proszę, niech tylko nie zniknie księżyc! — wyszeptała dziewczyna łamiącym się głosem.

Uświadomiła sobie, jak bardzo życie ich obojga zależy od tego niepewnego, mdłego światła; instynktownie wiedziała, że ciemności ośmieliłyby lwa. Już teraz zataczane przez niego koła były coraz mniejsze. Zbliżał się coraz bardziej do swojej ofiary, wciąż ostrożny i niezdecydowany, ale obserwował ją bacznie i pewnie z wolna zdawał sobie sprawę, że ofiara jest bezbronna. Ostateczny atak mógł nastąpić w każdej chwili.

Coś uderzyło Centaine z tyłu i krzyknęła głośno, z trudem utrzymując równowagę na miękkich nogach. Po chwili zorientowała się, że idąc tyłem, uderzyła plecami o pień drzewa. Oparła się o nie z obawy, że upadnie na ziemię, tak wielkiej doznała ulgi.

Zdjęła z ramienia skórzany worek — ręce jej przy tym drżały tak mocno, że omal go nie upuściła — i wyrzuciła z niego strusie jaja z wodą. Następnie wsunęła do środka Shasę, tak że jedynie głowa wystawała mu na zewnątrz, i zawiesiła worek na plecach. Mały był czerwony na twarzy i darł się wniebogłosy.

— Cicho, proszę, bądź cicho...

Wsunęła kij za pas niczym miecz, podskoczyła, usiłując schwycić się najniższej gałęzi nad głowę, złapała się grubego konara i bosymi stopami wdrapała się po szorstkiej korze. Nigdy by nie uwierzyła, że to się uda, ale desperacja dodała jej sił, gdy pomagając sobie rękami i nogami, wciągnęła siebie oraz ciężki tobołek na grubą gałąź.

Znajdowała się nie więcej niż półtora metra nad ziemią, gdy lew skoczył z gardłowym

pomrukiem na drzewo. Centaine stanęła na gałęzi, schwyciła się kolejnego konara i podciągnęła się wyżej. Kora była szorstka niczym skóra krokodyla i kiedy dziewczyna dotarła do rozgałęzienia na wysokości dziesięciu metrów, pozdzierała sobie skórę z palców oraz poduszek dłoni.

Lew wyczuł krew i wydawało się, że ten zapach przyprawia go szaleństwo. Zaryczał potężnie, a potem zaczął krążyć wokół pnia, hitrzymując się, żeby obwąchać porzucone przez Centaine jajka wydając głośnie ryki.

— Shasa, jesteśmy bezpieczni.

Przykucnąwszy na konarze z Shasą na kolanach, Centaine płakała ulgą, spoglądając przez gęste liście na muskularny grzbiet starego lwa. Widziała go teraz wyraźniej w szarym świetle nadciągającego pnia. Lew był jaskraworudy i w przeciwieństwie do tego, co czytała w książkach o Afryce, nie miał czarnej grzywy, lecz płomiennie czerwoną.

— O'wa nazywał je czerwonymi diabłami — przypomniała sobie, przyciskając syna do piersi i usiłując uciszyć jego gniewny wrzask. — Kiedy wstanie dzień?

Spojrzała z niepokojem na wschód i zobaczyła, że niebo różowi się już od pierwszych promieni wstającego słońca.

— Wkrótce będzie jasno, Shasa — powiedziała synowi. — Wtedy ta bestia odejdzie...

Pod drzewem lew stanął na tylnych nogach i opierając się o pień, spoglądał na nią groźnie.

— Ma tylko jedno oko!

Czarny, pusty oczodół nadawał drugiemu, złotożółtemu oku jeszcze bardziej morderczy charakter i Centaine poczuła dreszcze.

Lew szarpał przednimi łapami korę, wydając z siebie serię ogłuszających ryków, a spod jego pazurów wylatywały grube płaty, odsłaniając ociekające żywicą rany w pniu drzewa.

— Precz stąd! — krzyknęła Centaine, lew zaś zebrał się na tylnych nogach i wyskoczył w górę, zaczepiając się wszystkimi czterema łapami o konar. — Nie! Precz!

Czytała u Levaillanta i słyszała od Michaela, że lwy nie chodzą po drzewach, ale ten wdrapywał się pewnie do góry. Wciągnął się na główną gałąź trzy metry nad ziemią i stał tam, spoglądając na dziewczynę.

— Shasa! — Centaine uświadomiła sobie, że swą ucieczką nie powstrzymała lwa i że mogą zginąć. — Shasa, musimy cię ocalić!

Stanęła w rozwidleniu drzewa, trzymając się bocznej odnogi.

— Jest!

Złamana gałąź rosła pod kątem i resztką sił Centaine podniosła torbę z Shasą i zawiesiła ją tam.

— Żegnaj, moje kochanie — powiedziała, dysząc ciężko. — Może H'ani cię tu znajdzie.

Shasa wyrywał się i kopał tak, że torba kołysała się gwałtownie. Centaine przykucnęła na konarze i wyjęła zza pasa swoją dzidę.

— Bądź cicho, Shasa, proszę, nie ruszaj się. — Nie spojrzała na niego zajęta obserwowaniem bestii. — Jeśli będziesz cicho, to może j lew cię nie zauważy, może zadowolony się mną.

Drapieżnik stanął na tylnych łapach, opierając się przednimi o wyższą gałąź i zaryczał. Centaine czuła teraz smród z jego zainfekowanych ran i śmiertelny odór zgnilizny w jego oddechu. Olbrzymie zwierzę wybiło się prosto do góry.

Drażąc pazurami korę i chwytając się drzewa wszystkimi czterema łapami, lew wskoczył konwulsyjnym rzutem ciała na następną gałąź, a stamtąd na rozwidlenie. Z odrzuconą do tyłu głową wbił jedyne oko w Centaine i ruszył na dziewczynę z otwartym pyskiem, rycząc potężnie.

Centaine krzyknęła w panice i z całych sił wbiła ostry koniec włóczni w różową paszczkę. Poczuła, jak ostrze przebija miękką błonę gardła, a z pyska zwierzęcia trysnął purpurowy strumień

krwi. Lew zacisnął zęby na kiju i jednym ruchem zarośniętego łba wyrwał jej go z rąk. Włócznia poleciała na ziemię. Z krwią ściekającą po mordzie, wydalając różowy obłoczek przy każdym ryku, lew sięgnął potężną łapą po Centaine. Poderwała do góry nogi, ale nie była dostatecznie szybka i jeden z żółtych, zakrzywionych pazurów, niemal tak długi jak palec u ręki, wbił się w jej ciało powyżej kostki. Potężne szarpnięcie pociągnęło dziewczynę w dół.

Czując, że spada, Centaine objęła obiema rękami grubą gałąź i zaparła się ze wszystkich sił. Jej całe ciało zdawało się pękać, jakby rozrywane na kole tortur. Niewiarygodna siła, z jaką lew ciągnął ją za nogę, spowodowała, że kolano i staw biodrowy zaczęły z chrzęstem ustępować. Dziewczyna poczuła potężną falę bólu przebiegającą przez kręgosłup do głowy, jakby gdzieś w czaszce rozerwała jej się oślepiająca raca.

Pazury lwa wbijały się coraz głębiej w jej ciało i Centaine czuła, że ręce nie wytrzymują okropnego ciężaru. Centymetr po centymetrze osuwała się w dół.

— Opiekuj się moim dzieckiem — jęknęła głośno. — Proszę, Boże, opiekuj się moim dzieckiem.

Garrick był absolutnie przekonany, że to kolejna bezsensowna wyprawa, choć, oczywiście, nie był aż tak naiwny, żeby wypowiedzieć to na głos. Nawet sama myśl wywołała w nim poczucie winy i kątem oka spojrzał na kobietę, którą kochał.

Anna opanowała już dobrze angielski i straciła nieco na wadze w ciągu osiemnastu miesięcy spędzonych wspólnie z Garrickiem. Była to zresztą jedyna rzecz, jaką Garry pragnąłby zmienić w swoim życiu, gdyby tylko było to możliwe. Nie ustawał też w wysiłkach i wręcz zmuszał ukochaną do jedzenia. Naprzeciw hotelu Kaiserhof w Windoek, gdzie miał stały apartament, znajdowała się niemiecka ciastkarnia sklep ze słodyczami. Garry nigdy nie mijał tego miejsca, żeby nie kupić pudełka przepysznych ciasteczek polewanych mleczną czekoladą (ciasteczka z wiśniami „Black Forest” były największym przysmakiem), które zanosił Annie do pokoju. Kiedy kroił mięso podczas obiadu, zawsze przeznaczał najsoczystsze kawałki dla Anny i nakładał je na lalerz, zanim zdążyła zaprotestować. Mimo tych wysiłków Anna nie przestawała tracić na wadze.

Winę za to ponosił ich tryb życia. Nie spędzali dostatecznie dużo czasu w apartamencie, a zbyt wiele uganiali się po buszu, tak jak w tej chwili. Gdy tylko zdążył trochę podkarmić ukochaną, już wyruszali w kolejną wyprawę, objijając się po bezdrożach w otwartym fiacie, który zastąpił model „T” forda. Kiedy drogi kończyły się, przesiadali się na konie i muły. Wjeżdżali na pasma górskie, prześlizgiwali się przez kaniony i zapuszczali na pustynię, kierując się zasłyszonymi plotkami, a często celowymi błędnymi informacjami.

„Dwójka starych wariatów” — Die twee on onbeskoffers — taki przydomek nadano im w całym kraju i Garry był w perwersyjny sposób dumny z faktu, że zdobył to miano sporym nakładem kosztów. Kiedy pewnego razu podliczył wszystkie wydatki na nieustające poszukiwania, w pierwszej chwili nie posiadał się ze zdumienia, ale zaraz nawiedziła go myśl: A na kogo mogę jeszcze wydawać pieniądze, jeśli nie na Annę? Po chwili zastanowienia przyszła następna myśl: Co jeszcze mi pozostało poza Anną?

Po tym odkryciu rzucił się bez dalszego zastanawiania w to czyste szaleństwo.

Oczywiście, czasami budził się w nocy i kiedy zaczynał myśleć jasno o tym wszystkim, uświadamiał sobie, że nie ma wnuka, a żona jego syna utonęła osiemnaście miesięcy temu w lodowatych wodach Atlantyku, zabierając ze sobą ostatni ślad po Michaelu. Nachodził go wtedy okropny smutek i Garry wsuwał się do łóżka Anny, a ona, jakby czując przez sen jego zagubienie, odwracała się i przytulała go do siebie.

Rankiem budził się odświeżony, z nowymi siłami, odgradzony od logicznych argumentów i całkowicie nawrócony, gotowy do stawienia czoła nowej fantastycznej przygodzie.

Garry zamówił w drukarni w Kapsztadzie pięć tysięcy plakatów, które rozwieszono na każdym posterunku policji, sądzie, poczcie i stacji kolejowej w Afryce Południowo-Zachodniej. Gdziekolwiek się udawali, na tylnym siedzeniu fiata czy w podręcznych torbach mieli rulon plakatów, które przyklejali na pustych ścianach mijanych sklepów lub barów, przybijali do drzew na skrzyżowaniach dróg głęboko w buszu i przekupywali bawiące się przy drodze czarne, białe i brązowe dzieci garściami cukierków, żeby zabrały plakaty do domów bądź szałasów i pokazały rodzicom.

L 5000 NAGRODA L 5000

Za informację prowadzącą do odnalezienia Centaine de Thiry Courteney, rozbitka z okrętu PROTEA CASTLE, barbarzyńsko storpedowanego przez NIEMIECKĄ ŁÓDŻ PODWODNĄ 28 sierpnia 1917 roku na północ od wybrzeża SWAKOPMUND.

Pani Courteney została wyrzucona na brzeg i może znajdować się pod opieką dzikich TUBYLCÓW lub przebywać samotnie w BUSZU.

Każdą informację o miejscu jej pobytu należy kierować do niżej podpisanego do HOTELU KAISERHOF W WINDHOEK.

Pułkownik G.C.Courteney

Pięć tysięcy funtów było olbrzymią sumą, odpowiadającą dwudziestoletnim zarobkom przeciętnie zarabiającego człowieka. Za takie pieniądze można było kupić ranczo z bydłem oraz owcami i ustawić się na całe życie, toteż znalazło się wielu chętnych do wyłudzenia tej lub choćby mniejszej sumy od Garry'ego mglistymi opowieściami, wymyślnymi historiami czy w końcu zwykłymi kłamstwami.

W apartamencie hotelu Kaiserhof Garry i Anna wysłuchiwali pełnych nadziei ludzi, którzy w życiu nie wystawili nosa z miasta, a teraz byli gotowi poprowadzić ekspedycję na pustynię. Jedni twierdzili, że wiedzą, gdzie dokładnie znajduje się dziewczyna lub tylko ją widzieli i potrzebowali jedynie tysiąca funtów, żeby ją sprowadzić. Przychodzili spirytyści i jasnowidze, którzy byli w ciągłym kontakcie z Centaine na innej planecie, a nawet jeden jegomość, który zaoferował się sprzedać własną córkę, po przystępnej cenie, na miejsce zaginionej dziewczyny.

Garry przyjmował ich wszystkich z otwartymi rękami. Wysłuchiwał opowiadań, sprawdzał teorie i informacje, siadał przy stoliku ze spirytystami, a nawet podążył za jednym z nich, który kierował się obrączką Centaine zawieszoną na nitce, w pięćsetkilometrową podróż przez pustynię. Spotkał kilkanaście młodych dam, o najróżniejszych kolorach skóry, od białego aż po cafe au lait, które twierdziły, że są Centaine de Thiry Courteney lub były gotowe zrobić dla niego wszystko, co mogła zrobić zaginiona dziewczyna. Niektóre zaczynały niegrzecznie podnosić głos, gdy odmówiono skorzystania z ich usług i Anna osobiście musiała wyrzucać oszustki z pokoju.

Nic dziwnego, że traci na wadze, powiedział sobie w myślach Garry i nachylił się, żeby poklepać siedzącą z tyłu kochankę. Przypomniała mu się pewna bezwstydną modlitwa:

Dzięki ci, Panie, za twe hojne dary

Lecz o jeszcze trochę się upraszamy.

Uśmiechnął się do Anny i stwierdził z przekonaniem:

— Wkrótce będziemy na miejscu. Skinęła głową i odpowiedziała:

— Tym razem ją znajdziemy. Czuję to!

— Tak — zgodził się posłusznie Garry. — Tym razem będzie inaczej.

Był całkowicie o tym przekonany, gdyż jeszcze żadna z ich dotychczasowych wypraw nie zaczęła się równie tajemniczo.

Jeden z plakatów przyszedł pocztą, złożony i zalakowany woskiem ze stemplem pocztowym z Usakos, stacji kolejki wąskotorowej w połowie drogi pomiędzy Windhoek a wybrzeżem, sprzed czterech dni. Na przesyłce nie było znaczka i Garry sam musiał uiścić opłatę pocztową. Adres napisano śmiałą, zdecydowaną ręką, a pismo było wyraźnie niemieckie. Gdy Garry złamał pieczęć i rozłożył plakat, znalazł jedynie lakoniczne zaproszenie na spotkanie i ręcznie narysowaną mapę na samym dole kartonu. Zaproszenie nie było podpisane.

Garry natychmiast zatelegrafował do naczelnika poczty w Usakos, pewny, że w tak małej miejscowości urzędnik będzie pamiętała każdą osobę nadającą przesyłkę. I rzeczywiście, pamiętała paczkę i sposób jej doręczenia: przesyłka została podrzucona w nocy na schody urzędu i nikt nie widział jej nadawcy.

Zapewne zgodnie z intencją autora okoliczności te zaintrygowały Garry'ego i Annę, którzy z niecierpliwością czekali na owo spotkanie. Na miejsce spotkania została wyznaczona pustynna Kamas Hochtland, dwieście kilometrów od Windhoek. Pokonanie okropnych dróg zajęło im trzy dni i nocę przespane na twardej ziemi obok fiata, ale po zagubieniu się z tuzin razy na bezdrożach i zmieniwszy tyleż samo przebitych dętek, zbliżali się wreszcie do wyznaczonego celu.

Z bezchmurnego nieba lał się okropny żar, a lekki wiatr wzbijał tumany czerwonego pyłu. Samochód podskakiwał ciężko na wyboistej drodze. Wydawało się, że Anna nie czuje upału, pyłu i

trudów podróży przez pustynię i Garry, rzucając jej zakochane, pełne podziwu spojrzenia, o mały włos, a byłby przegapił następny ostry zakręt. Przednie koła wozu wpadły w poślizg na żwirze i fiat zakołysał się nad rozwierającą się z przodu przepaścią. Garry skręcił gwałtownie kierownicę i kiedy wpadli w głębokie koleiny, zaciągnął ręczny hamulec. Stali na krawędzi głębokiego kanionu, który przecinał równinę niczym zagłębienie po ciosie siekierą. Ścieżka prowadziła na sam dół ostrymi skrętami przypominającymi rannego węża. Kilkaset metrów pod nimi rzeka wiła się wąską wstążką, błyszcząc w jaskrawych promieniach słońca pomiędzy pomarańczowymi skalnymi ścianami.

— To jest właśnie to miejsce — powiedział Garry. — Nie podoba mi się. Tam, na dole, będziemy całkowicie zdani na łaskę bandytów czy morderców.

— Mijnheer, i tak już się spóźniliśmy na spotkanie...

— Wcale nie wiem, czy uda nam się stąd wrócić. Bóg jeden wie, że nikt nas tu nie znajdzie. Pewnie tylko nasze kości.

— Jedźmy już, mijnheer, później możemy porozmawiać.

Garry wziął głęboki wdech. Czasami boleśnie odczuwał skutki związania się z kobietą o tak silnej woli. Zwolnił hamulec, fiat zaczął wolno zjeżdżać wąską drogą i teraz nie było już odwrotu.

Zjazd okazał się koszmarny: stopień nachylenia ścieżki był tak duży, że z hamulców unosił się dym, a zakręty tak ciasne, że Garry musiał wycofywać samochód i ponownie kierować go między strome ściany. Czterdzieści minut później wyjechali na dno wąwozu. Wznoszące się nad nimi skały sterczały, proste i wysokie, zasłaniając słońce. Znajdowali się w cieniu, ale powietrze było nieznośnie duszne i gorące. Z góry nie dobiegał najmniejszy powiew wiatru, przy każdym oddechu zasychało im w gardłach.

Po obu stronach rzeki ciągnęły się wąskie plaże porośnięte ciernistymi krzakami. Garry zjechał z drogi i gdy wysiedli zeszywniali z samochodu, musieli otrzepać z siebie grubą warstwę czerwonego pyłu. Płytki strumień płynął leniwie po kamienistym podłożu, a mętna woda miała zatruty żółty kolor jak ścieki z fabryki chemicznej.

— Wygląda na to, że jesteśmy tu sami. — Garry zlustrował oba brzegi i skalne ściany. — Nigdzie nie widać naszego przyjaciela.

— Poczekamy. — Anna uprzedziła niechybną propozycję.

— Oczywiście, mevrou. — Garry zdjął kapelusz i otarł czoło bawełnianą chustą zasłaniającą mu szyję. — Napijemy się herbaty?

Anna wzięła czajnik i zeszła nad brzeg. Spróbowała podejrzliwie rzecznej wody i napełniła nią naczynie. Gdy wróciła, Garry zdążył już rozpaść nieduży ogień z suchych gałęzi ciernistych zarośli pomiędzy ilwoma kamieniami z piaskowca. Nastawiwszy czajnik, przyniósł z samochodu koc i butelkę wódki. Nalał dwie duże porcje alkoholu do kubków, nasypał do każdego po czubatej łyżeczce cukru i zalał to gorącą herbatą. Garry przekonał się, że wódka, podobnie jak czekoladki, wpływa uspokajająco na Annę i nigdy nie zapomniał zabrać ze sobą butelki na wyprawę. Może jednak ta wyprawa nie pójdzie na marne, pomyślał z nadzieją, dolał jeszcze jedną porcję alkoholu do kubka Anny i podał jej parujący napój.

Zanim zdążył dojść do ogniska, zatrzymał się gwałtownie i krzyknął, upuszczając kubek i oblewając sobie buty gorącym płynem. Stał przez chwilę nieruchomo, wpatrując się rozszerzonymi ze strachu oczami w zarośla za Anną i podniósł ręce wysoko nad głowę. Kobieta obejrzała się za siebie, w jednej chwili poderwała się z kamienia i schwyciła grubą gałąź z ogniska. Garry szybko przysunął się do Anny, na wpół chowając się za jej szerokimi plecami.

— Precz! — wrzasnęła. — Ostrzegam was, rozwałę łeb pierwszemu...

Byli otoczeni. Banda podkrađła się do nich przez gęste zarośla.

— O Boże, wiedziałem, że to pułapka! — jęknął Garry. W życiu jeszcze nie widział równie niebezpiecznych bandytów. — Nie mamy pieniędzy ani nic, co można by ukraść...

Ilu ich było? — zastanawiał się desperacko. Trzech — nie, jeden był za drzewem — czterech bandziorów. Ich przywódcą był purpurowoczarny olbrzym z pasami amunicji przewieszonymi przez pierś i mauzerem w rękę. Jego twarz o szerokich, afrykańskich rysach okalała gęsta, kręcona broda niczym grzywa lwa ludojada.

Grupa bandytów składająca się z wojowników z plemion Khosa, Ovambo i Hotentotów była uzbrojona po zęby. Każdy z nich miał inne i zupełnie nie pasujące części wojskowego i cywilnego stroju, znoszone, miejscami połatane i postrzępione. Niektórzy chodzili boso, a inni nosili rozdeptane obuwie, zupełnie bezkształtne od długich marszów. Jedyne broń była w doskonałym stanie, lśniła od smaru, i trzymali ją z uczuciem, z jakim ojciec bierze na ręce nowo narodzonego syna.

Garry'emu przypominał się pistolet służbowy, który miał w skrytce w samochodzie, ale szybko zrezygnował z bezsensownego pomysłu.

— Nie róbcie nam nic złego — prosił, chowając się za Annę. Nagle, ku swojemu całkowitemu zaskoczeniu, został przez nią opuszczony, kiedy rzuciła się do ataku. Wywijając płonąca głownią niczym siekierą ruszyła prosto na olbrzymiego Murzyna.

— Precz, świnię! — ryknęła po flamandzku. — Won stąd, ty kurewski pomiole z Hadesu!

Zupełnie zaskoczona banda rozsypała się w popłochu, starając się uniknąć śmigającego nad ich głowami drąga.

— Jak śmiecie, wy śmierzące dranie spłodzone przez zasyfione kurwy...

Wciąż jeszcze drżąc w szoku, Garry patrzył oniemiały na Annę. Strach walczył w nim z podziwem dla nie znanych dotąd możliwości kochanki. Garry słyszał w swoim życiu kilku ludzi sławnych z umiejętności przeklinania: w czasie rebelii Zulusów znany był pewien sierżant major, na którego popisy podczas parad przybywali ludzie z odległości wielu kilometrów. Jednak w porównaniu z Anną ów człowiek okazywał się niedzielnym kaznodzieją. Garry mógłby pobierać opłaty za jej występy. I co ważniejsze, jej sprawność we władaniu językiem dorównywała zdolności obchodzenia się z drągiem.

Anna trafiła jednego z Hotentotów w plecy i bandzior potoczył się z dymiącą na grzbiecie koszulą w krzaki, wyjąc z bólu niczym potępieniec. Dwóch innych, nie chcąc spotkać się z gniewem kobiety, zeskoczyło z wysokiego brzegu do rzeki i skryło się w żółtawej wodzie. Na placu boju został jedynie potężny Ovambo, wyjątkowo szybki i zwinny jak na tak dużego mężczyznę. Z łatwością unikał potężnych ciosów drąga, tańcząc zręcznie za najbliższym drzewem i nie pozwalając zbliżyć się Annie. Wreszcie ta zatrzymała się i cała czerwona na twarzy, dysząc ciężko, zawołała:

— Wyjdź, ty czarna mordko, ty żółto brzucha, pozbawiona jaj parodio pawiana.

Garry z podziwem zauważył, jak zręcznie wplotła barwy do swej metafory.

— Wyjdź tu, żebym mogła cię zabić. Ovambo ostrożnie cofnął się poza zasięg pałki.

— Nie! Nie! Nie przyszliśmy tu, żeby z wami walczyć, ale żeby was zaprowadzić... — odpowiedział w afrikaans Ovambo.

Anna wolno zniżyła drąg.

— Czy to ty napisałeś list? Tamten potrząsnął przecząco głową.

— Mam was zabrać do człowieka, który go napisał.

Ovambo rozkazał dwóm swoim ludziom, żeby zostali na straży samochodu, a sam poprowadził resztę wzdłuż rzeki. Chwilami oba brzegi ciągnęły się wąską plażą, ale w innych miejscach kanion zmniejszał się tak bardzo, że woda sięgała skał, a ścieżka stawała się stroma i mógł nią przejść tylko jeden człowiek.

Skalne gardziele strzeżone były przez partyzantów. Garry widział jedynie ich głowy i błyszczące lufy wystające zza skał. Zorientował się, że miejsce spotkania wybrano z dużą zręcznością. Nikt nie przeszedłby tej drogi nie zauważony, a nawet cała armia nie mogłaby ich stąd uratować. Byli całkowicie zdani na łaskę tych dzikich ludzi. Garry zadygotał z zimna, mimo że w kanionie panowało nieznośne gorąco.

Będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli wyjdziemy z tego z życiem, pomyślał, a na głos powiedział:

— Boli mnie noga. Czy nie moglibyśmy chwilę odpocząć?

Nikt nawet na niego nie spojrział i kuśtykał dalej, starając się nadażyć za innymi i trzymać tak blisko Anny, jak to tylko możliwe.

Zupełnie nieoczekiwanie, kiedy Garry stracił już wszelką nadzieję, ich przewodnik okrążył potężny monolit żółtego piaskowca i wyszli na osłonięty przez skały obóz. Mimo zmęczenia Garry zauważył, że w skalnej ścianie z tyłu biegła stroma ścieżka, stanowiąca zapasową drogę ucieczki na wypadek niespodziewanego ataku.

Pomyśleli o wszystkim. Dotknął ramienia Anny i wskazał na ścieżkę, ale uwaga kobiety zwrócona była na mężczyznę, który wyłonił się z ocienionej jaskini.

Mężczyzna był młody, mógłby być synem Garricka, ale w jego obecności Garry czuł się dziwnie skrępowany. Tamten nie odezwał się ani słowem, stał nieruchomo i przyglądał się im kocim wzrokiem, a Garry miał wrażenie, że patrzy na swoje dokładne przeciwieństwo.

Złote włosy sięgały obcemu do ramion, spłowiały od słońca, a jednak błyszczące jak czysty jedwab. Ich słoneczna jasność kontrastowała z ciemną opalenizną twarzy. Jej rysy musiały być niegdyś szlachetne niemal jak u pięknej dziewczyny, ale życie wypaliło z nich wszelką miękkość. Mężczyzna był wysoki, ale ani niezdarny, ani nazbyt potężnie rozbudowany w ramionach, szczupły i silnie umięśniony. Miał na sobie jedynie spodnie do jazdy konnej i buty. Włosy na piersiach lśniły mu niczym miedziane druciki. Na szyi zawieszony miał złoty medalionik na łańcuszku — coś, czego żaden Anglik nigdy nie odważyłby się zrobić. Garry usiłował zachować postawę wyższości, ale przy spokojnym, nieruchomym spojrzeniu mężczyzny było to niezwykle trudne.

— Pułkownik Courteney — powiedział tamten, zupełnie zaskakując Garry'ego.

Mimo akcentu był to głos wykształconego i kulturalnego człowieka, a w uśmiechu oschła linia ust mężczyzny stała się przyjaźnie miękka.

— Proszę się nie obawiać. To pan jest pułkownikiem Courteneyem, czy tak?

— Tak — odpowiedział z wysiłkiem Garry. — Jestem pułkownik Courteney. Czy to pan napisał ten list?

Garry wyjął plakat z kieszeni na piersi, ale kiedy spróbował go rozwinąć, ręce drżały mu tak bardzo, że naddał papier w rogu. Tamten przyglądać się temu z delikatnym, kpiącym uśmieszkiem. Skinął głową.

— Tak, to ja posłałem po was.

— Czy wie pan, gdzie możemy znaleźć zaginioną dziewczynę? — spytała Anna, przysuwając się o krok do nieznanego.

— Może.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Czy widział ją pan? — nie ustępowała Anna.

— Wszystko po kolei.

— Chce pan pieniędzy... — Garry niepotrzebnie podniósł głos. — Nie wziąłem ze sobą nawet jednego suwerena. Może być pan tego pewien. Jeśli pańskim zamiarem jest okradzenie nas, to nie

mamy przy sobie nic wartościowego.

— Pułkownik — mężczyzna uśmiechnął się i był to tak czarujący uśmiech, młodzieńczy i tryskający zdrowiem, że nieprzychylnie nastawienie Anny zaczęło błyskawicznie topnieć — mój nos podpowiada mi, że to nieprawda. — Powąchał teatralnie. — Ma pan coś niezmiernie cennego — hawana! — Znowu powąchał. — Bez wątpienia, hawana! Pułkownik, muszę pana ostrzec, że zabiłbym dla cygara tej marki.

Garry pośpiesznie cofnął się o krok, zanim zorientował się, że to żart. Ze słabym uśmiechem wyjął cygarnicę z tylnej kieszeni spodni.

Mężczyzna o złotych włosach przyjrzał się z miną znawcy czarnemu cygaru.

— „Romeo y Julieta”! — mruknął z szacunkiem i ponownie obwąchał cygaro. — Powiew raj.

Odgryzł koniuszek i zapalił zapalkę, pocierając ją o podeszwę buta. Zapalił cygaro i zaciągnął się głęboko, zamykając oczy jak w ekstazie. Kiedy ponownie je otworzył, ukłonił się lekko Annie.

— Najmocniej panią przepraszam, ale minęło wiele czasu, prawie dwa lata, od kiedy ostatni raz paliłem dobre cygaro.

— W porządku. — Garry odzyskał część odwagi. — Zna pan moje nazwisko i pali pan moje cygaro, może zechciałby się pan przedstawić.

— Proszę mi wybaczyć. — Wyprostował się i stuknął obcasami z niemieckim animuszem. — Jestem Lothar De La Rey, na pańskie usługi.

— Dobry Boże! — Garry w jednej chwili utracił całą odwagę. — Wiem, kim pan jest. Wyznaczono nagrodę za pańską głowę. Powieszają pana, jeśli wpadnie w pan ręce policji. Jest pan poszukiwanym przestępcą i wyrzutkiem społeczeństwa.

— Mój drogi pułkowniku, wolę myśleć o sobie jako o żołnierzu i patriocie.

— Żołnierze nie walczą po kapitulacji. Pułkownik Frankę poddał się już cztery lata temu...

— Nie uznaję prawa pułkownika Frankiego do kapitulacji — przerwał mu z pogardą Lothar. — Byłem żołnierzem cesarza i cesarskich Niemiec.

— Nawet Niemcy ogłosiły kapitulację trzy miesiące temu.

— Zgadza się — potwierdził Lothar. — Od tego czasu nie podjąłem żadnej akcji wojskowej.

— Ale nadal znajduje się pan w polu — zauważył z pogardą Garry. — Wciąż jest pan uzbrojony i...

— Nie oddałem się w ręce władz z powodu, który był pan łaskawy wymienić: jeślibym to zrobił, wasi ludzie kazaliby mnie powiesić.

Jakby pod wpływem badawczego spojrzenia Garry'ego Lothar uświadomił sobie, że jest na wpół nagi i sięgnął po mundur. Świeżo uprany, wisiał na gałęzi ciernistego krzaka przed wejściem do jaskini. Kiedy naciągnął go na siebie, w słońcu zalśniły miedziane guziki i oczy Garry'ego niebezpiecznie się zwężyły.

— Niech pana diabli, sir, pańska bezczelność przekracza wszelkie granice. To jest brytyjski mundur. Nosi pan nasze wojskowe ubranie! To już jest wystarczający powód, żeby pana rozstrzelać!

— Czy wolałby pan, żebym chodził nago, pułkowniku? Musi być oczywiste, nawet dla pana, że znajdujemy się w niezmiernie trudnej sytuacji. Noszenie brytyjskiego munduru nie sprawia mi żadnej przyjemności. Niestety, nie mam innego wyboru.

— Obraża pan mundur, w którym zginął mój syn.

— Nie czerpię przyjemności ze śmierci pańskiego syna ani z noszenia tych szmat.

— To już szczyt bezczelności...

Garry już się szykował do wymierzenia tamtemu silnego policzka, gdy Anna wcisnęła się niecierpliwie przed niego.

— Mijnheer De La Rey, czy widział pan moją małą dziewczynkę?

Garry opanował się, gdyż Lothar De La Rey obrócił się do Anny, a na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia.

— Tak, widziałem dziewczynę, widziałem w buszu młodą dziewczynę, ale nie wiem, czy to ta, której szukacie.

— Czy mógłby nas pan do niej zaprowadzić? — zapytał Garry i rysy Lothara znowu stężały, kiedy spojrzał na niego.

— Mogę spróbować ją znaleźć, ale pod pewnymi warunkami.

— Pieniądze — stwierdził wzgardliwie Garry.

— Dlaczego bogaci ludzie nie potrafią myśleć o niczym innym tylko o swoich pieniądzach? —

Lothar zaciągnął się cygarem i delikatnie wypuścił dym, rozkoszując się jego smakiem. —

Oczywiście, pułkowniku, będę potrzebował pieniędzy. - Skinął głową. — Nie muszę jednak mieć pięciu tysięcy. Potrzebny będzie tysiąc funtów na wyekwipowanie ekspedycji, która mogłaby ruszyć na pustynię, gdzie ostatnio widziałem dziewczynę. Będziemy potrzebowali dobrych koni — nasze już do niczego się nie nadają — i wozów na wodę. Muszę także opłacić moich ludzi. Tysiąc funtów w zupełności wystarczy na pokrycie tych wydatków.

— Co jeszcze? — zapytał niecierpliwie Garry. — Musi być jeszcze inna cena.

— Tak. — Lothar skinął głową. — Jest. Jestem zmęczony życiem w cieniu szubienicy.

— Chce pan amnestii za swoje zbrodnie! — Garry patrzył na niego z niedowierzaniem. — Skąd panu przyszło do głowy, że leży to w zasięgu moich możliwości?

— Pułkowniku, jest pan wpływowym człowiekiem. Osobisty przyjaciel Smutsa i Bothy, a pański brat to generał i minister w gabinecie Bothy...

— Nie zamierzam zmieniać biegu sprawiedliwości.

— Pułkowniku, jako żołnierz nigdy nie uchybiłem nakazom honoru i walczyłem do samego końca, tak jak pańscy przyjaciele Smuts i Botha walczyli kiedyś na innej wojnie. Nie jestem kryminalistą ani mordercą. Straciłem ojca, matkę, żonę i syna — zapłaciłem za porażkę najwyższą cenę. Teraz chcę mieć prawo żyć jak każdy normalny człowiek — a pan chce odnaleźć tę dziewczynę.

— Nie zgadzam się. Jest pan wrogiem! — zawołał z przekonaniem Garry.

— Znajdzie pan dziewczynę i będzie pan wolnym człowiekiem — wtrąciła się spokojnie Anna.

— Pułkownik Courteney załatwi tę kwestię. Daję panu na to moje słowo.

Lothar spojrzał na nią i przeniósł wzrok na Garry'ego. Uśmiechnął się promiennie, zaczynając rozumieć, kto tu dowodzi.

— Więc jak, pułkowniku, umowa stoi?

— Skąd mam wiedzieć, kim jest ta dziewczyna? Może to wcale nie moja córka? — Garry starał się niezręcznie wycofać z poprzedniej deklaracji. — Czy zgodzi się pan na próbę?

Lothar wzruszył ramionami.

— Jak pan sobie życzy. Garry obrócił się do Anny.

— Pokaż mu zdjęcia — powiedział. — Niech wybierze.

Anna i Garry wymyślili test, który pozwalał im odróżnić oszustów i złodziei od osób posiadających informacje o Centaine. Anna otworzyła przepastną torbę podróżną przewieszoną przez ramię i wyjęła z niej grubą kopertę. W środku znajdowały się zdjęcia formatu karty pocztowej. Podała je Lotharowi.

Lothar spojrzał uważnie na zdjęcie pierwszej dziewczyny, młodej i ładnej, ubranej w suknię z aksamitu i kapelusz ze strusimi piórami, spod którego spadały jej na ramiona kręcone loki. Pokręcił głową i wsunął pierwszć zdjęcie na spód pliku. Szybko przejrzał pozostałe. Na wszystkich

znajdowały się młode i ładne dziewczęta. Oddał plik fotografii Annie.

— Nie — powiedział. — Przykro mi, że trudziłem was tą całą drogą. Nie ma tu zdjęcia dziewczyny, którą widziałem. — Obejrzał się przez ramię na wielkiego Ovambo. — Hendrick, odprowadź ich do samochodu.

— Niech pan poczeka, mijnheer. — Anna schowała kopertę ze zdjęciami i wyjęła z niej drugą, cieńszą. — Są jeszcze inne.

— Jesteście ostrożni. — Lothar uśmiechnął się z uznaniem.

— Wielu ludzi próbowało nas oszukać. Pięć tysięcy funtów to majątek — stwierdził Garry, ale gospodarz nie spojrzął nawet na niego.

Przewrócił dwa zdjęcia i zatrzymał się przy trzecim.

— To ona.

Centaine de Thiry, ubrana w białą suknię do komunii, uśmiechała się do niego z fotografii.

— Jest teraz starsza i jej włosy... — Lothar pokazał ruchem dłoni skłębione loki — ale to te oczy. Tak, to ona.

Ani Garry, ani Anna nie mogli przez chwilę wydobyć z siebie głosu. Przez półtora roku czekali na tę chwilę, a kiedy w końcu przyszła, nie wierzyli, że to prawda.

— Muszę usiąść! — powiedziała słabym głosem Anna i Garry pomógł jej usiąść na pniu drzewa przy wejściu do jaskini.

Kiedy zajmował się kochanką, Lothar wyjął złoty medalion zza koszuli i otworzył wieczko. Ze środka wydobył zwinięty czarny włos i podał Annie; wzięła go do ręki z obawą i nagle mocno przycisnęła do ust. Zamknęła oczy i dwie grube łzy spłynęły jej spod powiek po czerwonych policzkach.

— To tylko jeden włos. Może należeć do każdego. Skąd wiesz, że to Centaine? — zapytał wyraźnie skrępowany Garry.

— Och, ty głuptasie — szepnęła ochryple Anna. — Czesalam te włosy tysiące razy. Czy myślisz, że nie poznałabym ich zawsze i wszędzie?

— Ile czasu będzie pan potrzebować? — zapytał któryś już z kolei raz Garry i Lothar zmarszczył brwi z poirytowaniem.

— Na wszystko, co święte, ile razy mam panu powtarzać, że nie wiem?

Cała trójka siedziała przy ognisku rozpalonym przy wejściu do jaskini. Rozmawiali już od kilku godzin i na skrawku nieba widocznym pomiędzy ścianami kanionu pokazały się już gwiazdy.

— Wyjaśniłem panu, gdzie i w jakich okolicznościach widziałem dziewczynę. Czy muszę to jeszcze raz powtarzać, nic pan nie zrozumiał?

Anna podniosła rękę, żeby go ułagodzić.

— Jesteśmy bardzo niespokojni i zadajemy głupie pytania. Proszę nam wybaczyć.

— No, dobrze. — Lothar zapalił niedopałek cygara gałązką wyjętą z ogniska. — Dziewczyna znajdowała się w niewoli u dzikich Sanów. Są przebiegli i niebezpieczni jak zwierzęta. Zauważyli, że ich ścigam, i z łatwością zatarli za sobą ślady, abym nie mógł ich znaleźć. Mogą to zrobić jeszcze raz, jeśli uda mi się odnaleźć trop. Obszar, który musimy przeszukać, jest olbrzymi, wielkości Belgii. Minał już rok od chwili, gdy widziałem dziewczynę. Mogła w tym czasie umrzeć na jakąś chorobę lub paść ofiarą tych krwiożerczych żółtych małp.

— Niech pan nawet nie waży się tak myśleć, mijnheer — poprosiła Anna i Lothar podniósł w górę obie ręce.

— Nie mam pojęcia, ile to zajmie — powiedział. — Kilka miesięcy, rok? Skąd mogę wiedzieć, ile czasu to zajmie?

— Powinniśmy pojechać z panem — mruknął Garry. — Powinien nam pan pozwolić wziąć udział w tej wyprawie, a przynajmniej powiedzieć, gdzie pan widział Centaine.

— Pułkowniku, nie chciał mi pan zaufać, w porządku. Teraz ja nie ufam panu. Jak tylko dziewczyna znajdzie się w pańskich rękach, nie będę panu do niczego potrzebny.

Lothar wyjął niedopałek z ust i przyjrzał mu się z żalem. Nie zostało już nic do palenia — ze smutkiem wyrzucił go do ogniska.

— Pułkowniku Courteney, kiedy znajdzie dziewczynę, dokonamy wymiany — dla mnie amnestia, a dla pana córka.

— Zgadzą się, mijnheer. — Anna szybko dotknęła łokcia Garricka. — Dostarczymy panu tysiąc funtów tak szybko, jak to tylko możliwe. Kiedy znajdzie pan Centaine, przyśle nam pan wiadomość: imię jej białego ogiera. Tylko ona może je panu podać i wtedy będziemy mieli pewność, że nie próbuje nas pan oszukać. W zamian będzie czekać na pana orzeczenie o amnestii. Lothar wyciągnął rękę nad ogniskiem.

— Pułkowniku, zgadza się pan?

Garry zawahał się na chwilę, ale Anna szturchnęła go tak mocno między żebra, że chrząknął i uścisnął podaną mu rękę.

— Zgoda.

— Jeszcze jedna prośba, mijnheer De La Rey. Przygotuję paczkę dla Centaine. Będzie potrzebować ubrania i różnych kobiecych rzeczy. Dostarczymy ją panu wraz z pieniędzmi. Czy odda ją pan Centaine, kiedy ją pan spotka? — zapytała Anna.

— Jeśli ją odnajdę. — Lothar skinął głową.

— Kiedy ją pan znajdzie — poprawiła go stanowczo Anna.

Lothar potrzebował pięciu tygodni na wyszukowanie wyprawy i dotarcie do wodopoju przy rzece Cunene, gdzie ostatnio widział Centaine.

W małym, płytkim jeziorku po tyłu miesiącach pustynnych upałów wciąż znajdowała się woda i Lothar zastanawiał się, jak poprzednio, czy przypadkiem wodopoje nie są zasilane podziemnymi strumieniami z płynących na północy rzek. Woda oznaczała zwiększone szansę na spenetrowanie terenów położonych dalej na wschód, w kierunku, w którym uciekła dwójka Sanów z branką.

Kiedy jego ludzie byli zajęci uzupełnianiem zapasów wody, on sam obszedł jeziorko i, co było już zupełnie niewiarygodne, odnalazł ślad stopy dziewczyny odbity w miękkiej glinie.

Uklęknął przy śladzie i obrysował palcem kształt wąskiej, zgrabnej stopy. Odcisk został wypalony przez słońce niczym twarda cegła. Mimo że grunt wokoło był rozdeptany kopytami bawołów, nosorożców i słoni, ten jeden odcisk pozostał nienaruszony.

— To omen — powiedział sobie Lothar i zaśmiał się cynicznie. — Nigdy nie wierzyłem w żadne znaki, czemu miałbym teraz w nie wierzyć? — Jednak wieczorem, kiedy zebrał swoich ludzi wokół ogniska, nie opuszczał go pogodny optymizm.

Oprócz służby obozowej i woźniców Lothar wziął ze sobą czterech uzbrojonych jeźdźców, którzy mieli pomóc w poszukiwaniach. Wszyscy czterej byli z nim od pierwszych dni powstania. Razem walczyli, dzielili się zdobycznymi butelkami whisky z Cape, wełnianym kocem w mroźną pustynną noc czy resztkami tytoniu fajkowego. Lothar kochał ich na swój sposób, ale żadnemu z nich nie dowierzał.

W grupie tej znajdował się Swart Hendrick, czyli „Czarny Hendrick”, potężny Murzyn z plemienia Ovambo, i Klein Boy, czyli „Mały Chłopiec”, jego nieślubny syn z kobietą z plemienia Herero. Trzecim był Vark Jan — „Świński Jan”, pomarszczony, mały Murzyn z plemienia Khosa. W jego żyłach płynęła krew Nama i Bergdama, a nawet prawdziwych Buszmenów, gdyż babka Vark

Jana pochodziła z plemienia Buszmenów i została schwytana i wzięta do niewoli w czasie jednej z wypraw burskich przeciwko Sanom jeszcze w poprzednim wieku. Czwartym uczestnikiem wyprawy nazywał się Vuil Lippe i był bondelswartskim Hotentotem o pełnych, czerwonych ustach i wyjątkowo sprośnym języku, od którego wziął przydomek „Brodne Usta”.

Moja sfora myśliwska, pomyślał Lothar i uśmiechnął się na wpół z uczuciem, a na wpół z odrazą. Określenie „wyrzutek społeczny” wydawało się idealnie do nich pasować, gdyż ludzie ci przekroczyli normy plemienne i cywilizacyjne. Lothar przyglądał się uważnie twarzom oświetlonym płomieniami z ogniska. Jeśli wyczują we mnie pierwszą oznakę słabości, rzucą się i rozerwą mnie na strzępy niczym na wpół oswojone wilki, pomyślał.

— W porządku, synowie wielkiej hieny, słuchajcie mnie uważnie. Szukamy Sanów, tych małych, żółtych morderców. — Oczy zebranych zabłyśły w świetle ogniska. — Mamy znaleźć białą dziewczynę, która jest ich branką. Ten, kto natrafi na ich ślad, dostanie sto złotych suwerenów. Polowanie przeprowadzimy w następujący sposób... — Lothar wygładził piasek przed sobą i narysował plan końcem patyka. — Wozy będą jechać wzdłuż linii wodopojów, tutaj i tu, a my się rozdzielimy, w ten sposób. Dzięki temu będziemy mogli przeczesać pas o szerokości jakichś stu kilometrów.

Ruszyli więc na wschód i po dziesięciu dniach natrafili na ślad małej grupki Buszmenów. Lothar ściągnął skrzydła i wspólnie podążyli po śladach przypominających dziecięce stopy.

Po drodze zachowali wszelkie środki ostrożności, badając teren przed sobą lunetą Lothara i omijając miejsca, w których wróg mógł przyszykować zasadzkę. Sama myśl o malutkiej, zatrutej strzale wbijającej się w ciało przyprawiała Lothara o dreszcze. Kule i ciosy bagnetem były dlań chlebem powszednim, ale straszne trucizny spreparowane przez tych żółtych Pigmejów odbierały mu całe męstwo i z każdym nerwowym kilometrem pościgu nienawidził małych wrogów coraz bardziej.

Po śladach Lothar dowiedział się, że klan składa się z ośmiu Sanów: dwóch mężczyzn i dwóch kobiet, najpewniej ich żon. Było jeszcze czworo dzieci: dwoje wciąż przy piersi, a dwoje umiających już chodzić.

— Dzieci opóźnią ich ucieczkę — stwierdził Vark Jan. — Nie zdołają długo utrzymać tego tempa.

— Chcę dostać ich żywych — ostrzegł ich Lothar. — Muszę dowiedzieć się o dziewczynie. Babka Vark Jana nauczyła go języka Sanów i mógł przepytać ich.

— Złap jednego, a już ja go zmuszę do mówienia, możesz być tego pewny.

Uśmiechnął się zarozumiale.

Sanowie polowali i zbierali żywność po drodze, oddział Lothara zbliżał się do nich szybko. Byli już tylko o godzinę drogi od Buszmenów, gdy ci zwiertzyli obecność obcych, jak to czynią zwierzęta.

Lothar obejrzał miejsce, gdzie przeciwnik zorientował się, że jest ścigany. Trop zniknął.

— Zacierają ślady — mruknął ze złością. — Z koni i szukać — rozkazał swoim ludziom.

— Wzięli dzieci na ręce. — Vark Jan przykucnął na ziemi, badając ślad. — Dzieci są za małe, żeby zacierać ślady. Niosą je kobiety, ale długo nie wytrzymają przy takim obciążeniu.

Na pozór trop urywał się nagle i ziemia wydawała się nietknięta, nawet dla doświadczonego oka Lothara. Jednak Sanowie pozostawiali ślady, które Vark Jan i Swart Hendrick umieli odnaleźć.

Pościg zwolnił, jako że teraz ludzie Lothara musieli poruszać się niemal na czworakach, nisko przy ziemi, ale nadal podążali za uciekającymi. Po czterech godzinach Swart Hendrick pokiwał głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Kobiety męczą się szybko. Zostawiają wyraźniejsze ślady i idą coraz wolniej. Zbliżamy się do nich.

Daleko w przodzie kobiety Sanów, obciążone dziećmi oglądały się w popłochu za siebie i z cicha pojękiwały. Na horyzoncie ukazały się wielkie konie ścigających ich białych, powiększone mirażem pustyni, tak że wydawały się olbrzymimi potworami. Jednak nawet widok wroga nie mógł już pobudzić kobiet do szybszego kroku.

— Będę musiał postąpić jak siewka — zdecydował najstarszy z Buszmenów.

Miał na myśli to, w jaki sposób ów ptak udaje rannego, żeby odciągnąć drapieżnika od gniazda.

— Jeśli uda mi się zwabić ich w pułapkę, może zdołam zamęczyć konie, aż padną z pragnienia — powiedział swojemu klanowi. — Kiedy dotrzecie do najbliższego wodopoju, napijecie się i napełnicie butelki, a potem...

Podał żonie zamknięty róg, nie chcąc wymawiać okropnych słów. Zatrucie wody było czynem tak desperackim, że żadne z nich wolało o tym nie mówić.

— Jeśli uda wam się zabić konie, będziecie bezpieczni — powiedział myśliwy. — Postaram się dać wam na to czas.

Stary myśliwy podszedł szybko do dzieci i dotknął ich oczu i ust w geście błogosławieństwa i pożegnania. Dzieci przyglądały mu się poważnie. Kiedy zbliżył się do żony, która urodziła mu dwóch synów, ta jęknęła głośno. Buszmen uspokoił ją spojrzeniem mówiącym wyraźnie: „Nie okazuj strachu wobec dzieci”.

Zrzuciwszy z siebie ubranie i skózaną torbę, stary San podszedł do młodszego towarzysza.

— Bądź ojcem dla moich synów. — Podał mu torbę i odstąpił o krok. — Idźcie już!

Podczas gdy klan szybko się oddalał, stary mężczyzna zawiązał cięciwę na łuku i ostrożnie zdjął skózaną przepaskę, w której miał schowane strzały. Jego rodzina znikła już za horyzontem i Buszmen ruszył w przeciwnym kierunku na spotkanie swoich prześladowców.

Lothar z trudem znosił wolne tempo pościgu. Wiedział, że ofiary są zaledwie godzinę drogi przed nimi, ale ponownie zgubili ślad i musieli się rozproszyć, żeby go odnaleźć. Znajdowali się na otwartym terenie, na płaskiej równinie, która ciągnęła się aż po horyzont. Miejscami rosły niewielkie kępki niskich krzaków i wydawało się, że pod wpływem upału unoszą się z drżeniem nad ziemią i tańczą w okularze teleskopu. Z odległości większej niż kilometr nie mogło być mowy o tym, by wypatrzeć ludzką postać na tym terenie.

Konie były już niemal wyczerpane i Lothar wiedział, że wkrótce trzeba będzie je napoić. W ciągu godziny będzie musiał odwołać pościg i wrócić do wozów po wodę. Podniósł do oczu lunetę, ale dziki okrzyk zmusił go do spojrzenia na bok. Swart Hendrick wskazywał na lewo. Jadący na lewej flance Vuil Lippe walczył z koniem, usiłując poskromić rozszalałe zwierzę. Wierzchowiec stawał dęba i kroczył na tylnych nogach, ciągnąc mężczyznę za sobą w tumanie kurzu.

Lothar słyszał, że koń reaguje na świeży zapach dzikiego Buszmena jak na odór lwa, ale nigdy w to nie wierzył. Vuil Lippe nie mógł poradzić sobie ze zwierzęciem. Trzymany za wodze rumak szarpnął dziko i pociągnął swego pana przez niskie krzewy i pokrytą pustynnym pyłem ziemię.

Zupełnie nieoczekiwanie z ziemi podniosła się postać ludzka. Małutki, nagi człowieczek stał zaledwie dwadzieścia kroków za wleczonym po ziemi jeźdźcem. Buszmen musiał leżeć schowany za kępką zarośli, gdzie nawet zając nie mógłby się ukryć.

Lothar patrzył z bezsilnością i przerażeniem, jak żółty człowieczek naciąga łuk. Zobaczył lecącą strzałę, niczym pyłek kurzu niesiony przez wiatr, i w jednej chwili nagi Buszmen obrócił się i biegiem zaczął oddalać się od jeźdźców.

Ludzie Lothara krzyczeli i walczyli z końmi, usiłując ich dosiąść, ale wszystkie wierzchowce ogarnęła panika i kręciły się dziko w kole. Lothar pierwszy ujarzmił konia. Nie dotykając strzemion, wskoczył na siodło, zawrócił wierzchowca i pognął galopem wzdłuż linii jeźdźców.

Biegnący Buszmen zniknął już pomiędzy zniekształconymi przez miraż krzakami. Kołyszący się krok małego człowieczka był niewiarygodnie szybki. Mężczyzna, w kierunku którego poleciała strzała, puścił wodze i podniósł się z ziemi. Stał z szeroko rozstawionymi nogami, lekko się chwiejąc.

— Wszystko w porządku? — zawołał doń w pędzie Lothar i wtedy dostrzegł strzałę.

Krótkie drzewce zwisało z policzka Lippe'a, ale grot głęboko utkwiał w ciele. Mężczyzna patrzył ze zdumieniem na nadjeżdżającego. Lothar zeskoczył w biegu z konia i schwycił tamtego za ramiona.

— Już po mnie — powiedział cicho Lippe, opuszczając z przygnębieniem ręce po bokach. Lothar schwycił strzałę i spróbował wyciągnąć ją z rany. Policzek Lippe'a rozciągnął się; mężczyzna zawył z bólu i zaczął się wyrywać. Zacisnąwszy zęby, Lothar szarpnął ponownie, ale krucha strzała pękła z trzaskiem, a grot pozostał w ranie.

Lothar schwycił tamtego za tłuste czarne włosy, odciągnął mu głowę do tyłu i obejrzał zranienie.

— Stój spokojnie, do cholery.

Z rany wystawał kawałek kości pokryty czarną, gumowatą mazią.

— Mleczko wilczomleczka.

Ojciec Lothara posiadał sporą kolekcję afrykańskiego rękodzieła i Lothar widział już broń Sanów. Rozpoznał truciznę, rozcieńczone; mleczko z korzenia jednej z rzadkich odmian euforbii. Kiedy przyglądał się ranie, trucizna rozprzestrzeniała się szybko pod skórą, zabarwiając ją na kolor purpurowolawendowy. Rozpuszczała się niczym kryształki nadmanganianu potasu i podążała z krwią niesioną przez cienkie naczynia krwionośne.

— Ile mi zostało?

Przerażone oczy Lippe'a wpatrywały się błagalnie w Lothara.

Mleczko wyglądało na świeże, nic nie straciło ze swojej zabójczej mocy, ale Vuil Lippe był silnym mężczyzną i jego ciało zamierzało walczyć z trucizną do końca. Konanie może potrwać kilka godzin, ciągnących się w cierpieniu w nieskończoność.

— Czy możesz ją wyciąć? — prosił Lippe.

— Trucizna zaszła już za daleko, wykrwawiłbyś się na śmierć.

— Wypał ją!

— Ból cię zabije.

Lothar pomógł rannemu usiąść; podjechał do nich Hendrick.

— Dwóch ludzi zostanie tutaj — rozkazał Lothar. — Hendrick, pojedziesz ze mną po tę dziką świnię.

Pognali zmęczone konie i po dwudziestu minutach zobaczyli przed sobą biegnącego Buszmena. Mały mężczyzna zdawał się tańczyć w falach rozgrzanego powietrza i co chwila zniknął, a Lothar poczuł, jak ogarnia go mordercza wściekłość. Była to zapiekła nienawiść, którą człowiek odczuwa w stosunku do wszystkiego, czego się w głębi duszy obawia.

— Zajedź go od prawej! — Dał znak ręką Hendrickowi. — Odetnij go, jeśli spróbuje skrócić.

Pognali konie, zbliżając się szybko do uciekającego.

Przygotuję ci taką śmierć, że zatrze ona grozę śmierci mojego towarzysza, obiecał ponuro Lothar i odwiązał zrolowany koc z łęku siodła.

Gruba, wełniana derka, na której sypiał, powinna osłonić go przed strzałami. Zrzucił ją na plecy i zawiązał końce osłaniając usta i nos. Naciągnął głębiej na czoło kapelusz z szerokim rondem, zostawiając tylko odsłonięte oczy.

Biegnący Buszmen znajdował się dwieście metrów przed nimi. Był zupełnie nagi, miał tylko mały łuk w rękę i koronę ze strzał powtykanych za skórzaną opaskę na głowie. Szczupłe ciało lśniło od

potu i miało kolor bursztynu. Pod słońce wydawało się niemal przezroczyste. Buszmen biegł lekko jak gazela, a jego małe, zgrabne nogi zdawały się śmigać nad ziemią.

Rozległ się huk wystrzału i kula z mauzera wbiła fontannę piasku tuż za biegnącym niczym wyrzucona przez wieloryba struga wody. Buszmen odskoczył i w niewiarygodny sposób jeszcze bardziej przyspieszył, oddalając się od galopujących jeźdźców. Lothar spojrzał z ukosa na Hendricka, który właśnie puścił wodze i obiema rękami ładował broń.

— Nie strzelaj! — ryknął gniewnie. — Chcę go dostać żywcem!

Hendrick posłusznie opuścił karabin. Przez następny kilometr

Buszmen utrzymywał szaleńcze tempo biegu, jednak z wolna zaczynał słabnąć. Znowu zbliżyli się do niego.

Lothar widział, jak nogi uciekającego przy każdym kroku wyginają się na boki w kostkach, ale wierzchołek był już też u kresu sił. Z pyska ściekała mu piana i pot tryskał na buty jeźdźca, które ten wbijał w boki konia.

Pięćdziesiąt metrów w przodzie wyczerpany Buszmen zatrzymał się w miejscu i obrócił w stronę prześladowców. Jego pierś pracowała ciężko niczym miech, a z małej bródki ściekała strużka potu. Jednak oczy nie straciły nic z gniewnej zaciętości, gdy stary mężczyzna nakładał strzałę na łuk.

— No dalej, ty mały diable! — wrzasnął Lothar, starając się ściągnąć uwagę tamtego na siebie i osłonić konia. Podstęp się udał.

Buszmen jednym ruchem poderwał łuk do góry, napiął cięciwę i błyskawicznie wypuścił strzałę niczym snop światła. Nieduża strzała ugodziła Lothara w gardło, ale gruby wełniany koc powstrzymał kościany grot i spadła na ziemię, odbijając się od buta Lothara.

Buszmen desperacko szykował następną strzałę, gdy Lothar wychylił się z siodła niczym gracz w polo i zamachnąwszy się spuścił karabin na głowę starca. Lufa ugodziła Buszmena w skroń i mężczyzna osunął się nieprzytomny na ziemię.

Lothar opanował konia i zeskoczył z siodła, ale Hendrick dopadł leżącego pierwszy i właśnie zamierzał się do potężnego ciosu kolbą w bezwładną głowę. Lothar schwycił go za ramiona i odciągnął z taką siłą, że Ovambo potknął się, omal nie padając na ziemię.

— Mówiłem ci, że chcę go żywego! — warknął. Przyklęknął przy nieprzytomnym Buszmenie. Z ucha mężczyzny wypływała cienka strużka krwi — Lothar z niepokojem namacał tętnicę szyjną. Wyczuł słaby puls i odetchnął z ulgą. Podniósł z ziemi mały łuk, z nienawiścią połamał go na kawałki, a następnie rozciął nożem myśliwskim skórzaną przepaskę opasającą głowę Buszmena, odłamał ostrożnie jeden po drugim zatrute groty i wyrzucił je najdalej jak mógł.

Odwróciwszy starego mężczyznę na brzuch, zawołał do Hendricka, żeby podał mu skórzany rzemień z siodła. Skrępował jeńca, mocno zdziwiony doskonałą muskulaturą ciała oraz zgrabnymi stopami i małymi dłońmi. Zawiązał rzemień na łokciach, nadgarstkach, kolanach i kostach, zaciągając pętle tak mocno, że więzy wpiły się głęboko w bursztynową skórę.

Następnie podniósł wciąż nieprzytomnego Buszmena z ziemi jedną ręką, jakby podnosił lalkę, i zarzucił go w poprzek siodła. Nagły ruch ocucił starego, który podniósł głowę i otworzył oczy koloru świeżego miodu, o żółtawych, jakby zadymionych białkach. Lothar miał wrażenie, że patrzy w ślepią pojmanemu leopardowi. Były tak srogie, że instynktownie cofnął się o krok od skrępowanego ciała.

— To są zwierzęta — orzekł, a Hendrick potwierdził skinieniem głowy.

— Są gorsi od zwierząt. Przebiegli niczym ludzie, choć nie mają w sobie nic ludzkiego.

Lothar wziął wyczerpanego konia za uzdę i poprowadził wolno do pozostałych ludzi, pilnujących Lippe'a.

Towarzysze zawinęli rannego w szary koc i położyli na owczej skórze. Najwidoczniej czekali,

żeby Lothar nim się zajął, ale ten nie chciał nic zrobić, wiedząc dobrze, że dla tamtego nie ma już żadnego ratunku. Odwlekał chwilę oględzin rannego. Ściągnął wolno pojmanego Buszmena z siodła i rzucił na ziemię. Żółtawe ciało starego mężczyzny zwinęło się na piasku. Lothar przywiązał konia i niechętnie zbliżył się do grupki mężczyzn stojących wokół okrytego kocem towarzysza.

Na pierwszy rzut oka było widać, że trucizna działa bardzo szybko. Jedna strona twarzy Lippe'a była groteskowo wyдутa i pocięta ciemnofioletowymi liniami. Opuchlizna zakryła oko niczym dojrzałe, czarne winogrono lśniące w słońcu. Drugie oko było szeroko otwarte, ale źrenica skurczyła się do wielkości małego punkciku. Ranny nie zareagował, gdy Lothar nachylił się nad nim — najprawdopodobniej stracił już wzrok. Oddychał z największą trudnością, walcząc o każdy oddech i wydymając sparaliżowane przez truciznę płuca.

Lothar położył dłoń na czole rannego — zimna, wilgotna skóra przypominała mu gada. Miał świadomość, że Hendrick i pozostali rejestrują każdy jego ruch. Widzieli nieraz, jak przewiązywał rany postrzałowe, składał złamane nogi, wyrywał zepsute zęby i dokonywał drobniejszych operacji. Teraz także oczekiwali, że pomoże umierającemu, a ich zaufanie w połączeniu z własną bezsilnością doprowadzało Lothara do szału.

Nagle Lippe wydał zduszony jęk i zaczął się rzucać niczym epileptyk. Otwarte oko wywróciło się do środka, ukazując przekrwione białko, a całym ciałem wstrząsały agonialne drgawki.

— Konwulsje — stwierdził Lothar. — Zupełnie jak po ukąszeniu żmii. To już nie potrwa długo.

Umierający zacisnął kurczowo szczęki i pomiędzy zęby dostał się opuchnięty, siny język. Zgrzytając zębami, Lippe gryzł język na strzępy, podczas gdy Lothar desperacko usiłował otworzyć mu siłą usta. Gorąca krew tryskała strumieniem umierającemu do gardła i spływała do na wpół sparaliżowanych płuc, Vuil dławił się nią i z bolesnym rżeniem wypluwał przez zaciśnięte zęby.

Nagle nieprzytomny mężczyzna wyprężył się kurczowo i spod koca rozległ się wstrętny dźwięk, gdy ciało się wypróżniło. Zapach kału w rozpalonym powietrzu przyprawiał wszystkich o mdłości. Kiedy po długich męczarniach przyszła w końcu śmierć, silni, zahartowani w bojach mężczyźni poczuli się wyczerpani i byli w jak najgorszych nastrojach.

Wykopali na pustyni płytki grób, w którym złożyli zawinięte w zabrudzony koc ciało zmarłego towarzysza. Szybko zasypali mogiłę, jakby chcieli się pozbyć własnego wstrętu i strachu.

Jeden z ludzi rozpalił nieduże ognisko z suchych gałązek i ugotował nad nim w menażce kawę, a Lothar przyniósł z siodła pół butelki whisky. Sącząc kawę z whisky i podając sobie butelkę w kole, wszyscy unikali spoglądania w stronę, gdzie leżał nagi jeniec.

Pili w milczeniu, siedząc w kucki wokół ogniska. Wreszcie Vark Jan, na wpół Hotentot i Khosa, który mówił językiem Sanów, wytrząsnął fusy z kubka w ogień i wstał z ziemi.

Podszedł do jeńca i podniósł go za związane od tyłu nadgarstki, odciągając Buszmenowi ręce daleko od ciała. Przyniósł więźnia do ogniska jak paczkę i wyjął z ognia rozpaloną gałąź. Trzymając Sana jedną ręką, dotknął rozpalonym końcem jego nagiego penisa. Buszmen stęknął i zaczął się więc z bólu, a na gładkiej skórze prącia pojawił wielki bąbel niczym nagi ślimak.

Zebrani przy ognisku wybuchnęli śmiechem, a w ich głosach czuło się wyraźnie nienawiść, strach przed okropną śmiercią od trucizny i żal po zmarłym towarzyszu. Lothar słyszał także pragnienie zemsty i sadystyczną potrzebę zadania najgorszego bólu, jaki tylko mogli wymyślić.

Okrutny śmiech wstrząsnął także Lotharem, który poczuł, jak pękają w nim ludzkie zasady postępowania i do głosu dochodzi taka sama zwierzęca żądza. Wysiłkiem woli stłumił ją w sobie i wstał z ziemi. Wiedział, że nie jest w stanie zapobiec temu, co się ma stać, tak jak nie mógłby powstrzymać stada głodnych lwów od rozszarpania swojej ofiary; jeśli tylko by spróbował, ci ludzie zwróciliby się również przeciw niemu.

Odwrócił wzrok od oszalałych z przerażenia oczu starego człowieka. Mężczyzna wiedział, że czeka go śmierć, ale nawet on nie mógł się domyślać, w jak okropny sposób zostanie zamordowany. Lothar przyjrzał się twarzom swoich ludzi i poczuł się zbrukany tym, co w nich ujrzał. Ich rysy zdawały się rozpluwać, jakby patrzył na nie przez brudne okno zasmarowane żądzą.

Lothar pomyślał, że kiedy Buszmen zostanie już przez nich zgwałcony, najpewniej z ulgą przyjmie oczekującą go śmierć.

— Dobra. — Lothar starał się zachować obojętny wyraz twarzy, ale jego głos był ochrypły z odrazy. — Wracam do wozów. San jest wasz, ale muszę wiedzieć, czy widział białą dziewczynę lub może o niej słyszał. Musi odpowiedzieć na to jedno pytanie — to wszystko.

Lothar podszedł do konia i wskoczył na siodło. Odjechał w stronę wozów, nie oglądając się za siebie. Tylko raz, daleko z tyłu, dobiegł go jęk agonii, tak pełen bólu, że przeszły go ciarki, ale głos zaraz ucichł i zgubił się w szumie pustynnego wiatru.

Dużo później, kiedy tamci wrócili do wozów, Lothar leżał na łóżku przy otwartym z boku furgonie i czytał Goethego w świetle lampy. Książka była stara, poplamiona i miejscami porwana, ale setki razy pomogła mu już odnaleźć samego siebie, gdy sens istnienia stawał pod znakiem zapytania.

Śmiech powracających miał rubaszne, usatysfakcjonowane brzmienie, niczym śmiech ludzi, którzy dobrze sobie podjedli i popili. Swart Hendrick podszedł do wozu chwiejnym krokiem, jakby był pijany, a przód jego spodni pokrywały szerniałe plamy krwi.

— Sam nie widział białej dziewczyny, ale za to słyszał jakąś dziwną i niewyjaśnioną historię, którą opowiadają sobie przy ognisku spotykający się na pustyni Buszmeni. Mówią, że jest jakaś kobieta i dziecko z odległej krainy, którzy żyją z dwójką starych Sanów.

Lothar podniósł się na łokciu. Przypomniawszy sobie parę starych Buszmenów, których widział z dziewczyną.

— Gdzie? Czy powiedział, gdzie można ich znaleźć? — zapytał niecierpliwie.

— Jest takie miejsce, ukryte na pustyni Kalahari, które jest święte dla wszystkich Sanów.

Wskazał nam kierunek...

— Gdzie, Hendrick, do diabła? Gdzie to jest?

— Daleko stąd, piętnaście dni drogi.

— Co to za miejsce? Jak można je poznać?

— Tego nie powiedział — odparł ze smutkiem Hendrick. — Jego chęć przeżycia nie była aż tak wielka, jak sądziliśmy. Umarł, zanim zdążył nam to wyjawić.

— Jutro z rana ruszymy w tym kierunku — polecił Lothar.

— Są jeszcze Sanowie, których zgubiliśmy dzisiaj. Jeśli weźmiemy świeże konie, możemy schwytać ich jeszcze przed świtem. Są z nimi kobiety i...

— Nie! — warknął na niego Lothar. — Ruszamy do tego świętego miejsca na pustyni.

Kiedy wielka, łysa góra wyłoniła się zza horyzontu, Lothar był z początku przekonany, że to pustynna fatamorgana.

W żadnych ustnych przekazach plemion zamieszkujących owe tereny nie wspomiano o istnieniu tego miejsca. Także jedyni biali ludzie, którzy zapuścili się na te niegościnne obszary — Livingstone i Oswell, odkrywcy jeziora Ngami, oraz Anderson z Galtonem szukający zwierzyny łownej — nie napisali ani słowa o wielkiej górze.

Ponieważ zbliżał się wieczór, światło było niepewne, a zachód słońca, skryty za tumanami kurzu i teatralnie sztuczny, powiększał wrażenie iluzji, Lothar nie dowierzał za bardzo swoim oczom.

Jednak przy pierwszym brzasku ciemny kształt góry znajdował się dokładnie w tym samym

miejscu, co poprzedniego dnia, i wyraźnie odcinał się od nieba, które o świcie przybrało barwę macicy perłowej. Podjeżdżając do góry miało się wrażenie, że wznosi się ona coraz wyżej nad równiną, a w końcu odrywa się od ziemi i płynie ku niebu na migotliwym obłoku.

Gdy dotarli do wysokich skalnych ścian, Lothar nie miał żadnych wątpliwości, że odnalazł święte miejsce Sanów, o którym wspominał ich jeniec przed śmiercią. Jego przekonanie przerodziło się w pewność, kiedy wdrapał się po zasypanym piargami zboczu i odkrył wspaniałe malowidła ukryte pod skalnymi nawisami.

To na pewno to miejsce, ale jest bardzo rozległe, uświadomił sobie Lothar. Jeśli ukryli tę dziewczynę gdzieś tutaj, możemy jej nigdy nie znaleźć. Musi tu być tyle jaskiń, dolin i zakamarków, że możemy szukać do końca życia.

Podzielił swój oddział i wysłał ludzi, żeby przeszukali najbliższe stoki. Zostawił wozy w cieniu zagajnika pod opieką Hendricka, któremu jeszcze ufał najbardziej z całej grupy, a sam ruszył z zapasowym koniem na objazd góry.

Po dwóch dniach podróży, w czasie której robił notatki i szkicował kształt góry, pomagając sobie kompasem, mógł już ocenić, że ma ona jakieś pięćdziesiąt kilometrów długości i około dziesięciu szerokości. Było to długie pasmo gnejsu poprzecinanego warstwami piaskowca.

Objechawszy wysunięty najdalej na wschód kraniec, Lothar odczytał z kompasu, że wraca w kierunku obozu. Podróż przeciągała się, gdyż za każdym razem, kiedy odkrył w skalnych ścianach jakiś interesujący punkt, szczelinę czy ciąg jaskiń, pętał konie i wspinał się, żeby dokładnie zbadać to miejsce.

W jednym miejscu natrafił na mały strumień czystej wody, który wydobywał się spod skał i spływał do naturalnej niecki. Napełnił wodą manierki, rozebrał się i przeparał znoszone ubranie. Na koniec wykapał się w zimnej wodzie i odświeżony ruszył w dalszą drogę.

W kilku miejscach odnalazł skalne malowidła Sanów pokrywające gładkie ściany i zatrzymał się przy freskach, podziwiając dokładność, z jaką artysta przedstawił kształty antylop i bawołów, tak że nawet wprawne oko myśliwego nie znalazło żadnych uchybień. Wszystkie obrazy zostały wykonane bardzo dawno temu i Lothar nie znalazł żadnych świeżych śladów obecności ludzi.

Las porastający równinę rozciągającą się przed górą obfitował w dziką zwierzynę i Lothar nie miał kłopotów ze zdobyciem świeżego mięsa każdego dnia, polując na młode gazy czy antylopy. Trzeciego wieczora ustrzelił jagnię impali i przyrządził sobie kebab z wątróbki, nerek i flaczków, nadziewając podroby na zieloną gałąź i przypiekając je nad ogniskiem.

Zapach krwi przyciągnął do obozu niepożądane towarzystwo i Lothar spędził noc przy koniach, ze strzelbą w ręku, słuchając ryków i pochrząkiwania głodnego lwa kręcącego się poza zasięgiem światła. Rankiem obejrzał uważnie ślady pozostawione przez lwa i stwierdził, że to duży, starzejący się samiec, który ciężko kuleje z powodu rany w łapie.

— Niebezpieczna bestia — mruknął do siebie, mając nadzieję, że zwierzę się oddaliło.

Jednak kiedy wieczorem słońce chowało się już za horyzontem, konie zaczęły parskać i rzeć niespokojnie, a Lothar przekonał się, że jego nadzieje były płonne. Lew musiał podążać za nim w bezpiecznej odległości, by ośmielony nadchodzącą ciemnością ponownie zbliżyć się do obozu.

Kolejna nieprzespana noc. Lothar z rezygnacją dołożył dREW do ognia. Szykując się do całonocnego czuwania, naciągnął na siebie wełniany płaszcz i znalazł nowy powód do irytacji — brakowało jednego z guzików. Lodowaty chłód nocy będzie dotkliwszy przy nie dopiętym płaszczu.

Godziny wlokły się w nieskończoność, gdy wreszcie po północy lew zmęczył się bieganiem wokół obozu i odszedł. Zwierzę wydało szereg głębokich pomruków na zarośniętych trawą bagnach kilometr dalej, a potem zapadła martwa cisza.

Lothar sprawdził pęta koni, położył się przy ognisku i owinał w koc, nie zdejmując ubrania i butów. Po kilku minutach zapadł już w mocny sen.

Obudził się jeszcze szybciej, niż zasnął, i stwierdził, że siedzi na ziemi z karabinem w dłoniach, a głowę wypełnia mu ogłuszający ryk rozzłoszczonego lwa.

Ogień przygasł już i z ogniska został biały popiół, ale na tle blednącego nieba rysowały się ciemne wierzchołki drzew. Lothar zrzucił z siebie koc i poderwał się na równe nogi. Konie stały z postawionymi uszami, nieruchome ze strachu, patrząc się w stronę srebrzystej polany, którą można było dostrzec pomiędzy drzewami.

Lew zaryczał ponownie i Lothar ocenił, że jest w odległości mniejszej niż kilometr, dokładnie w stronie, w którą spoglądały konie. W nocy ryk lwa rozchodzi się tak daleko, że ktoś niedoświadczony mógłby sądzić, iż bestia znajduje się znacznie bliżej i nie byłby w stanie wskazać właściwego kierunku.

Kolejny ogłuszający ryk wypełnił las. Lothar jeszcze nie słyszał, żeby jakikolwiek lew zachowywał się w ten sposób, tak długo i z taką siłą okazując swój gniew i frustrację. Nagle ze zdziwienia poderwał głowę do góry. W chwili ciszy pomiędzy rykami dobiegł go znajomy dźwięk — krzyk oszalałego z przerażenia człowieka.

Lothar zareagował niemal automatycznie. Schwycił swego ulubionego konia myśliwskiego za uzdę i wskoczył mu na goły grzbiet. Wbił pięty w boki rumaka, zmuszając go do galopu i kolanami i rękami zwrócił łeb wierzchowca w stronę polany. Niemal rozpląszczył się na końskiej szyi, schylając głowę przed niskimi gałęziami, ale kiedy tylko wypadli z lasu, wyprostował się i zaczął w pośpiechu rozglądać się wokoło.

W ciągu kilku minut, jakie minęły od jego nagłego przebudzenia, zdążyło się już rozjaśnić i niebo na wschodzie gorzało płomiennymi barwami. W niedużej odległości od lasu stało samotne drzewo otoczone niską, suchą trawą. Wysoko na konarach znajdowało się coś ciemnego i niewyraźnego, co gwałtownie poruszało gałęziami drzewa.

Lothar pognął konia w tamtą stronę, słysząc, jak coraz częściej ryki rozwścieczonego zwierzęcia uzupełnia wysoki krzyk człowieka. Dopiero teraz widział wyraźniej, co się dzieje w koronie drzewa, ale tym bardziej było mu trudno uwierzyć własnym oczom.

— Dobry Boże! — zawołał zdumiony, gdyż jeszcze nigdy nie słyszał o lwie chodzącym po drzewach.

Wysoko na rozchwianej gałęzi stał potężny, rudy lew, trzymając się konara tylnymi łapami, a przednią sięgał po znajdującą się tuż ponad nim ludzką postać.

— Ija! Ija! — Lothar poganiał konia łokciami i piętami zmuszając go do jak najszybszego biegu. Gdy znalazł się pod drzewem, zeskoczył w pędzie z konia, wyhamowując własnymi nogami. Błyskawicznie podbiegł do pnia, z głową odrzuconą do tyłu i strzelbą wzniesioną do piersi, próbując oddać czysty strzał do stojącego w górze drapieżnika.

Lew i jego ofiara tworzyli jedną grupę na tle nieba i strzał z dołu mógł trafić równie dobrze zwierzę, co i człowieka. Poniżej wyrastały przeplatające się gałęzie, które mogły odbić kulę.

Lothar przesuwał się w bok, aż wreszcie znalazł szczelinę pomiędzy liśćmi i gałęziami i przyszykował się do strzału, mierząc prosto w górę, ale wciąż ociążał się z pociągnięciem za spust. Lew schwycił swoją ofiarę i ściągał ją w dół, a krzyki człowieka stały się tak przeraźliwie żalosne, że nie można już było dłużej czekać.

Wycelował w kręgosłup, u podstawy ogona zwierzęcia, możliwie jak najdalej od wijącego się człowieka, który kurczowo zaciskał obie ręce na grubej gałęzi. Strzelił i ciężka kula z mauzera trafiła lwa w kręgosłup na wysokości zadu, przeorała krzyż, roztrzaskując kręgi i rozrywając nerwy nóg, by

wylecieć pośrodku grzbietu.

Tylne łapy lwa skurczyły się spazmatycznie, długie, żółte pazury schowały się odruchowo w poduszkach łap i zwierzę straciło oparcie na konarze, nie mogąc ustać na sparaliżowanych nogach. Potężny lew zaczął z rykiem osuwać się w dół, objając się o niższe gałęzie i wyginając grzbiet, żeby wygryźć palącą ranę ostrymi kłami.

Jego ofiara ześlizgiwała się wraz z nim; pazury przednich łap wciąż wbijały się głęboko w nogi człowieka i potrzasały jego drobnym ciałem. Oba splątane ciała spadły wreszcie na trawę z łoskotem, od którego zdrząła ziemia. Lothar odskoczył na bok przed lwem, ale zaraz szybko podbiegł do bestii.

Tylne łapy zwierzęcia były rozrzucone niczym nogi żaby i wielkie cielsko na wpół przykrywało człowieka. Lew podniósł się na przednich łapach, przyszpilony do ziemi sparaliżowanym zadem, i pełznąc w stronę Lothara, rozwarł pysk i zaryczał. Lothar poczuł wstrętny odór zgnilizny i śmierci, a twarz i nagie ramiona opryskała mu gorąca ślina.

Mężczyzna wepchnął lufę mauzera pomiędzy przerażające szczęki i niemal nie celując wystrzelił z drugiej lufy. Kula przebiła podniebienie, rozerwała czaszkę i wyleciała z drugiej strony łba w fontannie krwi oraz mózgu. Przez ułamek sekundy lew stał na sztywnych łapach, z jego płuc uleciało ze świstem powietrze, a potem runął wolno na bok.

Lothar rzucił karabin, przyklęknął na ziemi przed drgającym żółtym cielskiem i spróbował wyciągnąć człowieka za szczupłe, opalone nogi, które wraz z wąskimi, chłopięcymi biodrami osłoniętymi porwaną płócienną przepaską wystawały spod martwego zwierzęcia.

Poderwał się z ziemi i schwyciwszy lwa za gruby ogon, szarpnął do siebie z całych sił. Owłosione cielsko przesunęło się z wolna odsłaniając leżące pod spodem ciało. Była to kobieta. Lothar pochylił się i uniósł ją z ziemi. Osłonięta gęstymi, czarnymi lokami głowa opadła bezwładnie na bok, Lothar podtrzymał kobietę za szyję, jak trzyma się niemowlę, i przyjrzał się bladej twarzy.

Miał przed sobą dziewczynę ze zdjęcia, którą dawno temu widział przez teleskop i która od tego czasu śniła mu się po nocach, ale teraz nie było w niej śladu życia.

Długie, ciemne rzęsy zakrywały oczy, na gładkiej, opalanej twarzy nie rysowały się żadne uczucia, a silne, szerokie usta rozchyliły się lekko, ukazując drobne, równe, białe zęby. Po miękkich wargach ściekała kącikiem ust strużka śliny.

— Nie! — zawołał z mocą Lothar. — Nie możesz umrzeć! To niemożliwe, nie po tym wszystkim. Ja... — Urwał nagle.

Spomiędzy gęstych loków ukazał się czerwony wąż krwi i zaczął spływać po szerokim czole w stronę zamkniętego oka. Lothar zerwał bawełnianą chustę z szyi i zebrał krew, ale ta napływała szybciej, niż zdążył wycierać. Rozsunął gęste włosy i znalazł rozcięcie na czubku głowy — wąską, lecz głęboką ranę od uderzenia o gałąź. Pomiędzy rozciętą skórą prześwitywała biała czaszka. Ścisnął brzegi rany razem, przyłożył do nich chusteczkę i przywiązał ją szarfą.

Oparł nieprzytomną na ramieniu i ostrożnie posadził na ziemi. Spod luźnej skóry okrywającej wiotkie ciało dziewczyny wysunęła się jedna pierś i Lothar poczuł silny, niemal bluźnierczy szok, tak była biała, delikatna i pięknie ukształtowana. W poczuciu winy zakrył ją szybko i skoncentrował się na poharatanej nodze.

Rany były przerażające; głębokie, równoległe rozcięcia biegnące wzdłuż lewej łydki i kończące się na pięcie. Lothar ułożył troskliwie dziewczynę i lekko uniósł jej lewą stopę, bojąc się panicznie, że z rany tryśnie fontanna tętniczej krwi, ale po łydce ściekał jedynie wolno ciemny strumień żylny i mężczyzna odetchnął z ulgą.

— Dzięki ci, Boże.

Zdjął z siebie płaszcz i podłożył pod zranioną nogę, żeby ochronić ją przed brudem. Następnie ściągnął przez głowę koszulę. Prał ją ostatnio dwa dni temu w górskim potoku, była już więc brudna i przesiąknięta zapachem potu.

Nic innego nie ma. Porwał koszulę na pasy i zaczął przewiązywać rany. Wiedział, że największe niebezpieczeństwo stanowi infekcja. Zarazki, jakie nosili padlinożercy, w tym także lwy, na pazurach i kłach, były równie zabójcze, jak trucizna strzał Buszmenów. Szczególnie pazury lwa, schowane głęboko w grubych workach skórnych, kryły w sobie resztki zgniłego mięsa i zakrzepłej krwi, niemal pewne źródło gangreny.

— Musimy cię zanieść do obozu, Centaine.

Po raz pierwszy użył jej imienia i poczuł jakąś ciepłą satysfakcję, która zaraz znikła, gdy dotknął skóry kobiety i poczuł bijący z niej chłód śmierci.

Namacał puls na nadgarstku i z przerażeniem stwierdził, że jest bardzo słaby i nierówny. Podłożywszy rękę pod ramiona, podniósł ranną i owinał w płaszcz, a następnie rozejrzał się za swoim koniem. Wierzchowiec pasł się spokojnie na skraju polany. Nagi do pasa, drżąc od porannego chłodu, Lothar pobiegł i przyprowadził go do drzewa.

Kiedy nachylił się nad nieprzytomną dziewczyną, nagle znieruchomiał zaszokowany.

Nad jego głową rozległ się głos, od którego przebiegły go ciarki i który obudził w nim najgłębsze uczucia. Był to głośny płacz opuszczonego niemowlęcia. Lothar wyprostował się i zaczął przeszukiwać wzrokiem koronę drzewa. Na górnych gałęziach wisiało zawiniątko, które kołysało się niebezpiecznie na boki,

„Kobieta i dziecko” — przypomniał sobie słowa umierającego Buszmena.

Oparł głowę dziewczyny o ciepłe jeszcze ciało lwa, a sam podszedł do pnia, podskoczył i chwycił się najniższej gałęzi. Podciągnął się na rękach do góry i przełożył jedną nogę przez konar. Szybko wspiął się do skórzanego zawiniątka zawieszzonego na ułamanej gałęzi. Zdjął torbę z gałęzi i rozsunął na tyle, by móc zajrzeć do środka.

Patrzyła na niego mała, oburzona twarzyczka, ale na widok obcego człowieka niemowlę zaczerwieniło się i zaczęło jeszcze głośniejsze krzyczeć ze strachu.

Wspomnienie nieżyjącego syna wróciło do Lothara tak gwałtownie i z taką siłą, że zachwiał się na gałęzi. Przycisnął do siebie mocniej zawiniątko z płaczącym dzieckiem i uśmiechnął się z bólem.

— Masz silny głos jak na takiego małego mężczyznę — szepnął ochryplym głosem.

Nie przyszło mu nawet do głowy, że może trzymać dziewczynkę — taki arogancki gniew mógł okazywać jedynie mężczyzna.

Okazało się, że łatwiej będzie przesunąć obóz do drzewa, niż zanieść Centaine przez las do obozu. Lothar zabrał ze sobą dziecko, ale zdążył wrócić pod drzewo w ciągu dwudziestu minut. Przez całą drogę niepokoił się o nieprzytomną dziewczynę i podjechawszy na objuczonym koniu do pnia mopani z ulgą stwierdził, że nic się jej nie stało. Centaine nie odzyskała przytomności, a chłopiec na rękach Lothara narobił pod siebie i darł się, jakby umierał z głodu.

Lothar wytarł małą, różową pupkę dziecka kępką suchej trawy, wspominając, jak robił to samo swojemu synowi, potem zaś ułożył chłopca pod płaszczem tak, żeby mógł się dostać do piersi matki.

Następnie powiesił nad małym ogniskiem menażkę z wodą i wrzucił do niej zakrzywioną, grubą igłę i kłębek białej, bawełnianej nici z zestawu przyborów do szycia, żeby je wysterylizować. Umył dokładnie ręce karbolowym mydłem, opłukał je gorącą wodą, nalał do kubka ukropu i zaczął myć głębokie rany na łydce dziewczyny. Woda parzyła go w dłonie, ale Lothar wtarł mydliny palcem aż do dna każdej rany, nalał do nich wody i kilka razy przepłukał.

Centaine jęczała z bólu i słabo rzucała się na boki, ale Lothar przytrzymał ją siłą i zawzięcie

czyścił zabrudzone skaleczenia. W końcu, wcale nie usatysfakcjonowany swoją pracą, ale pewien, że jeśli nie przestanie czyścić ran, to nieodwracalnie uszkodzi delikatną tkankę ciała, poszedł do siodła i wyjął z bocznej sakwy butelkę po whisky, którą woził ze sobą od czterech lat. Dostał ją w prezencie od niemieckiego lekarza z misji protestanckiej, który wyleczył go z ran odniesionych w czasie kampanii przeciwko inwazji Smutsa i Bothy. „Pewnego dnia może panu ocalić życie”, powiedział lekarz, wręczając mu butelkę. Odręczny napis na etykiecie dawno już się zatarał i Lothar z trudem przypominał sobie, że lekarstwo nazywa się acriflavin. Ciemny, żółtobrazowy płyn zdążył przez lata wyparować do połowy.

Nalał lekarstwa obficie do ran i rozprowadził palcem, żeby dotarło do każdego zakamarka. Resztką płynu przemył rozciętą głowę Centaine.

Wyjął igłę i nitkę z gotującej się wody, ułożył sobie nogę dziewczyny na kolanie i wziął głęboki oddech.

— Dzięki Bogu, że jesteś nieprzytomna.

Złączył poszarpane brzegi skóry i zaczął je zszywać mocną nitką.

Pozszywanie wszystkich ran na łydce zajęło mu dwie godziny i chociaż efekt bardziej przypominał pracę rybaka łatającego żagle niż chirurga, szwy trzymały się mocno. Obwiązał nogę dziewczyny podartą na pasy czystą koszulą, ale cały czas zdawał sobie sprawę, że mimo jego najlepszych wysiłków infekcja jest niemal pewna. Zajął się rozcięciem na głowie, gdzie trzy szwy wystarczyły, aby zamknąć ranę. Po skończonej pracy dało o sobie znać nerwowe napięcie ostatnich godzin i Lothar poczuł, że jest zupełnie wyczerpany.

Z wysiłkiem zabrał się do przygotowywania noszy. Ściągnął skórę z olbrzymiego lwa i jeszcze mokrą rozciągnął pomiędzy dwoma giętkimi i długimi pędami mopani, włosiem do góry. Ostry zapach drapieznika zaniepokoił konie, które zaczęły nerwowo przestępować z nogi na nogę, ale Lothar uspokoił je, przymocował końce noszy do siodła jucznego konia i bardzo ostrożnie ułożył owiniętą w płaszcz Centaine, przywiązując ją do bocznych żerdzi paskami kory.

Niosąc śpiące dziecko w torbie na plecach i prowadząc jucznego konia z noszami za uzdę, Lothar ruszył marszowym krokiem w stronę obozowiska. Według jego obliczeń czekał go cały dzień marszu i mimo że minęło już południe, nie mógł przyspieszyć kroku z obawy o stan Centaine.

Niedługo przed zachodem słońca malec obudził się i zaczął wyć jak głodny wilk. Lothar spętał konie i zaniósł go do matki. Po kilku minutach chłopiec znowu płakał ze zdenerwowania, kopiąc dziko pod płaszczem i Lothar musiał podjąć trudną decyzję.

To dla dziecka, zresztą nigdy się o tym nie dowie, zdecydował.

Odsłonił poję grubego płaszcza i przez chwilę zawahał się, zanim ośmielił się naruszyć intymność dziewczyny.

— Proszę, wybac mi — przeprosił nieprzytomną i wziął jej pierś w rękę.

Ciężar, ciepło i aksamitna gładkość skóry przyprawiły go o ból w lędźwiach. Zaszokowany starał się opanować swoje odczucia i zaczął ugniatać i wyciskać pełną pierś, a Shasa mlaskał zaciekłe u jego boku. W końcu Lothar usiadł na piętach i zakrył nagie ciało dziewczyny.

— No i co my teraz zrobimy, kolego? Twoja matka straciła pokarm. — Wziął małego na rękę. — Nie, przyjacielu, u mnie też nie masz czego szukać. Musimy rozbić obóz, żebym mógł udać się po zakupy.

Wyciął naręcze ciernistych krzaków i otoczył nimi prowizoryczny obóz, by uniemożliwić hienom i innym drapieżnikom dostanie się do wewnątrz. W środku rozpałił duże ognisko.

— Będiesz musiał mi towarzyszyć, mały — powiedział do rozżłoszczonego chłopca, przywiązał go sobie do pleców i dosiadł konia.

Za następnym blokiem skalnym znalazł stado zebra pasących się na łące. Posługując się koniem jak tarczą, zbliżył się na odległość strzału do stada i wybrał młodą samicę ze źrebakiem przy piersi. Trafił ją czysto w łeb i zebra padła na ziemię w miejscu, w którym stała. Kiedy Lothar zbliżył się do niej, źrebak uciekł kilka kroków, ale zaraz wrócił do matki.

— Przykro mi, stary — powiedział Lothar.

Źrebak nie miał żadnych szans na przeżycie i kula w głowę tylko skróciła jego męczarnie.

Lothar ukląkł przy martwej zebrze i podniósł jej tylną nogę, odsłaniając pękate wymiona. Udało mu się udoić pół menażki ciepłego, tłustego mleka, gęstego niczym śmietana. Lothar rozcieńczył je równą ilością ciepłej wody i zanurzył w tak przygotowanym posiłku kawałek zwiniętej szmatki urwanej z koszuli.

Malec pluł mlekiem, kopał dziko i z płaczem odwracał głowę, ale Lothar był nieustępliwy.

— To jedyna pozycja w naszym menu.

W pewnej chwili chłopiec opanował nową sztuczkę — mleko wciąż ściekało mu po brodzie, ale część spływała do gardła i teraz krzyczał niecierpliwie za każdym razem, gdy mężczyzna wyjmował mu szmatkę z ust, żeby nasaczyć ją mlekiem.

Tej nocy Lothar spał z dzieckiem przytulonym do piersi i obudził się przed świtem, gdy malec upomniał się o śniadanie. Z wczorajszego posiłku zostało mu jeszcze mleko zebry. Kiedy nakarmił chłopca i umył go w ciepłej wodzie, słońce dawno już wstało. Lothar postawił małego na ziemi, ten zaś z okrzykami radości ruszył na kolanach i rękach ku koniom.

Lothar poczuł w piersiach ucisk, jakiego nie odczuwał od śmierci syna. Posadził 'chłopca na grzbiecie konia. Malec kopał radośnie i śmiał się głośno, a zdziwiony koń obrócił do tyłu łeb i z postawionymi uszami obwąchał dziecko.

— Zrobimy z ciebie jeźdźca, zanim jeszcze nauczysz się chodzić — roześmiał się Lothar.

Kiedy jednak podszedł do leżącej na noszach Centaine i spróbował ją ostrożnie obudzić, zaniepokoił się poważnie. Dziewczyna była cały czas nieprzytomna, chociaż jęczała cicho i rzucała się na prymitywnym pośłaniu, gdy Lothar dotknął jej nogi. Łydka była opuchnięta i posiniaczona, a na szwach zaschła skorupa krwi.

— Dobry Boże, ale to okropnie wygląda — szepnął Lothar, ale kiedy szukał śladów gangreny na udzie, nie znalazł żadnych.

Czekała go jednak mało przyjemna niespodzianka. Centaine potrzebowała tej samej pomocy, co jej syn. Lothar rozebrał ją szybko. Płócienna spódniczka i płaszcz były jej jedynym ubraniem. Spróbował nie zwracać uwagi na ciało dziewczyny i postępować jak lekarz.

Nie było to jednak takie łatwe. Do tego czasu Lothar opierał swoje sądy na temat kobiecego piękna na podstawie pulchnych, rubensowskich kształtów matki, a później żony Amelii. Teraz przekonał się, że dawne wartości uległy gwałtownej zmianie. Leżąca przed nim naga dziewczyna była szczupła, na jej wklęsłym brzuchu widziało się wyraźnie zarysowany każdy mięsień. Skóra, mimo że nie tknięta przez słońce, miał kolor raczej kremowy niż mlecznobiały. Włosy pomiędzy udami były grube, czarne i kręcone, a nie blade i rzadkie jak u Amelii. Centaine miała nogi długie i szczupłe, w przeciwieństwie do krągłych i pulchnych nóg, z dołeczkami przy kolanach, jego żony. To ciało było jędrne i nie ugięło się pod dotknięciem palców Lothara, a w miejscach, gdzie promienie słoneczne padały na nogi i ręce, skóra miała kolor naoliwionego teku.

Lothar starał się nie myśleć o tym wszystkim, obracając dziewczynę delikatnie na brzuch, ale kiedy zobaczył, że jej pośladki są krągłe, twarde i białe jak para strusich jaj, coś ścisnęło go w żołądku i ręce drżały mu silnie, kiedy skończył ją wycierać.

Czynność ta nie budziła obrzydzenia i była równie naturalna jak podcieranie dziecka. Owinął

dziewczynę w płaszcz i przykucnął obok noszy, żeby przyjrzeć się jej twarzy.

Także i w tym wypadku piękno znaczyło coś innego niż dotąd sądził. Gęste, skręcone w loki i zmierzwione włosy przypominały włosy Murzynek, czarne rzęsy były za długie, broda za bardzo wysunięta i mocno zarysowana, a cała twarz zbyt pewna siebie i świadcząca o silnym charakterze, żeby można ją porównywać z kobietą uległością znaną dotąd Lotharowi. Mimo że twarz nieprzytomnej dziewczyny wydawała się rozluźniona, potrafił odczytać w jej rysach ślady wielkiego cierpienia i ciężkiego życia, może równie twardego jak jego własne. Położył dłoń na policzku Centaine i poczuł, jak w jakiś tajemniczy, wręcz fatalistyczny sposób ulega wpływowi tej dziewczyny, jakby to pierwsze spojrzenie przed wieloma miesiącami zadecydowało o jego losie. Otrząsnął się ze złością z nostalgicznego nastroju, czując, jak śmieszny jest jego sentymentalizm.

— Nie wiem nic o tobie ani ty o mnie.

Obejrzał się do tyłu i z poczuciem winy zobaczył, że pozostawiony samemu sobie chłopiec wpełzł pod kopyta koni. Śmiejąc się beztrudno, usiłował schwytać je za nozdrza. Zaciekawione wierzchowce wyciągały głowy i obwąchiwały malucha.

Prowadząc jucznego konia za uzdę i z dzieckiem na plecach, Lothar dotarł do wozów późnym popołudniem tego dnia.

Swart Hendrick i służący obozowi wybiegli zaintrygowani na spotkanie dowódcy, a ten bezzwłocznie zaczął wydawać rozkazy.

— Chcę mieć szałas dla kobiety obok mojego. Okryjcie dach trawą, żeby w środku było chłodno, i powieście po bokach brezent, żeby był jakiś przewiew. Ma być gotowy przed zmierzchem.

Lothar zaniósł Centaine do własnego szałasu i obmył w ciepłej wodzie, zanim przebrał chorą w jedną z długich koszul nocnych przysłanych przez Annę Stok.

Centaine była wciąż nieprzytomna, ale na chwilę otworzyła oczy. Źrenice nie potrafiły się skoncentrować na niczym i pozostawały zamglone. Wymamrotała po francusku coś, czego Lothar nie rozumiał.

— Jesteś bezpieczna — powiedział jej. — Jesteś wśród przyjaciół. Źrenice reagowały na światło, co było dobrym znakiem, ale powieki zatrzepotały, zaraz opadły i Centaine znowu zapadła w odrętwienie czy głęboki sen, z którego Lothar nie chciał jej budzić.

Mając podręczną apteczkę, mógł porządnie opatrzyć rany, nacierając je obficie ulubioną maścią na wszelkie bóleści, którą dostał od matki. Owinął nogę dziewczyny czystym bandażem.

Kiedy skończył, dziecko znowu było głodne, o czym nie omieszkało głośno poinformować wszystkich obecnych. Lothar miał w obozie mleczną kozę; posadził sobie małego na kolanach, by nakarmić go rozcieńczonym mlekiem. Spróbował także wlać trochę ciepłej zupy Centaine do ust, ale rzucała nieprzytomnie głową i zakrzuszyła się przy pierwszym łyku, więc musiał zrezygnować z dalszego karmienia. Przeniósł ją do szałasu, który służący wzniesli obok jego schronienia i ułożył na łóżku z poprzeplatanych pasów skóry, zasłanym owczą skórą i czystymi kocami. Położył obok dziecko i w ciągu nocy budził się kilka razy i szedł do nich sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Przed świtem, kiedy w końcu udało mu się zasnąć mocnym snem, ktoś potrząsnął go silnie za ramię.

— Co jest?

Instynktownie sięgnął po strzezbę leżącą u wezglowia łóżka.

— Wstawaj, szybko! — Usłyszał ochryply szept Hendricka tuż przy swoim uchu. — Bydło się niepokoi. Myślałem, że to może lew.

— Co to było? — zapytał zirytowany Lothar. — No dalej, wykrztuś to z siebie, człowieku.

— To nie lew, to coś znacznie gorszego! W pobliżu są dzicy Sanowie. Kręcili się w nocy po

obozie. Jestem pewien, że przyszedli ukraść bydło.

Lothar spuścił nogi na ziemię i zaczął szukać butów.

— Czy Vark Jan i Klein Boy już wrócili? Polowanie byłoby łatwiejsze w większej grupie.

— Jeszcze nie. — Hendrick potrząsnął głową.

— Dobrze, zapolujemy na nich sami. Osiodłaj konie. Nie możemy pozwolić tym małym draniom uciec za daleko.

Kiedy wstał, sprawdził ładunki w mauzerze, naciągnął na siebie płaszcz leżący na łożku i wyszedł z szałasów. Podbiegł do miejsca, w którym Swart Hendrick czekał już z końmi.

O'wa nie odważył się zbliżyć na mniejszą odległość niż dwieście kroków do obozu obcych. Nawet z tej odległości dziwne dźwięki i zapachy niesione przez wiatr budziły w nim niepokój. Uderzenia siekiery o drzewo, brzęczenie wiadra, beczenie owiec — to wszystko płoszyło starca; zapach parafiny i mydła niepokoił go, a głosy mężczyzn mówiących obcym, twardym językiem przerażały bardziej niż syk żmii.

Leżał na ziemi, czując, jak serce tłucze mu się w piersiach, i szeptał do H'ani:

— Dziecko Nam znajduje się teraz ze swoimi ludźmi. Jest dla nas stracona, babciu. Podążać za nią to szaleństwo, to choroba w głowie. Oboje dobrze wiemy, że tamci nas zabijają, jeśli odkryją nasze ślady.

— Dziecko Nam jest ranna. Sam odczytałeś to ze śladu pod drzewem, gdzie leżało ciało lwa odarte ze skóry — szepnęła H'ani. — Widziałeś jej krew na ziemi.

— Ona jest już ze swoimi — powtórzył z uporem starzec. — Zadbają o nią. Nie potrzebuje nas już. Odeszła w nocy i zostawiła nas bez słowa pożegnania.

— Czcigodny dziadku, wiem, że to, co mówisz, to prawda, ale jak mogłabym jeszcze kiedyś się roześmiać, jeśli nie będę wiedziała, czy jest ciężko ranna? Jak mogłabym kiedykolwiek spać spokojnie, jeśli nie zobaczę małego Shasy leżącego bezpiecznie przy jej piersi?

— Ryzykujesz nasze życie, żeby spojrzeć na kogoś, kto nas opuścił. Ci dwoje są dla nas jak martwi, zostaw ich.

— Ryzykuję własne życie, mój mężu, gdyż nie ma ono dla mnie wartości, jeżeli się nie dowiem, czy Dziecko Nam, córka mojego serca, jeśli nie mojego łona, żyje i będzie żyć. Ryzykuję życie, żeby jeszcze raz dotknąć małego Shasy. Nie proszę, żebyś poszedł ze mną.

H'ani podniosła się i zanim O'wa zdążył zaprotestować, znikła w ciemnościach, kierując się w stronę niepozornego płomyka ogniska, które widzieli pomiędzy drzewami. O'wa podniósł się na kolana, ale ponownie opuściła go odwaga i rzucił się na ziemię, zakrywając głowę ręką.

— Głupia kobieto — lamentował cicho. — Czy nie wiesz, że bez ciebie moje serce jest pustynią? Jeśli cię zabijają, umrę sto razy gorzej niż ty.

H'ani podpełzła do obozu, kierując się pod wiatr i obserwując uważnie, w którą stronę unosił się dym znad ogniska. Wiedziała, że jeśli zwąchają ją konie lub bydło, to swym przerażeniem obudzą śpiący obóz. Co kilka kroków zatrzymywała się na dłuższą chwilę i wsłuchiwała się całą duszą w odgłosy nocy, starając się przebić wzrokiem cienie pomiędzy wozami oraz w prymitywnych szałasach i wypatrując wysokich, bardzo czarnych mężczyzn ubranych w dziwne stroje, obwieszonych błyszczącą, metalową bronią.

Wszyscy spali, H'ani widziała owinięte w koce postacie leżące przy ognisku i zapach obcych ciał wywoływał w niej dreszcze lęku. Zmusiła się, żeby ruszyć do przodu, trzymając się za jednym z wozów, który zasłaniał ją od strony ogniska. Dopadła wysokiego tylnego koła i ostrożnie wyjrzała zza niego.

Była pewna, że Dziecko Nam znajduje się w jednym z szałasów, ale jeśli trafi do niewłaściwego,

może przyplącić to życiem. Wybrała pierwszy z brzegu i podczołgała się na kolanach i rękach do wejścia. Wzrok H'ani doskonale spisywał się w ciemnościach, oczy miała niemal równie dobre jak kot, ale w mroku dostrzegała jedynie niewyraźny kształt leżący na wysokiej konstrukcji w końcu szałas. Możliwe, że to człowiek, ale H'ani nie miała żadnej pewności.

Kształt poruszył się, zakaszłał i chrząknął przez sen.

Mężczyzna! Serce jej biło tak mocno, że była pewna, iż mężczyzna musi to usłyszeć. Wycofała się bardzo wolno i podpełzła do drugiego szałas.

Także i tutaj leżała w kącie szałas jakaś postać. H'ani przyczołgała się ze strachem do łóżka i kiedy znajdowała się na wyciągnięcie ręki od niego, znajomy zapach podrażnił jej nos. Rozpoznała mleczny zapach Shasy i woń skóry Centaine, która dla starej kobiety była słodka niczym aromat melona.

Przyklękła przy łóżku i kiedy Shasa wyczuł jej obecność, zaczął kwilić. H'ani dotknęła jego czoła i wsunęła mały palec do ust chłopca. Nauczyła go, żeby, jak dzieci Buszmenów, na ów szczególny znak zachował ciszę, gdyż częstokroć zależało od tego przeżycie całego klanu. Shasa uspokoił się, czując znajomy dotyk i zapach starej kobiety.

H'ani namacała twarz Centaine. Dziecko Nam miało rozpalone policzki i H'ani poznała, że to gorączka. Nachyliła się, by powąchać oddech dziewczyny. Był kwaśny od bólu i choroby, ale H'ani nie wyczuła w nim stęchłego odoru zgnilizny, jaki wywołuje zakażenie. Najchętniej obejrzałaby rany Centaine i przewinęła je po swojemu, ale wiedziała, że to niewykonalne.

Przysunęła usta do ucha dziewczyny i wyszeptała:

— Moje serduszko, mój mały ptaszku, wzywam wszystkie duchy klanu, żeby miały cię w swej opiece. Twój dziadek i ja zatańczymy dla ciebie, żebyś odzyskała siły i zdrowie.

Głos Buszmenki wtargnął głęboko w duszę nieprzytomnej Centaine. W jej umyśle zaczęły tworzyć się znajome obrazy.

— Babciu — mruknęła i uśmiechnęła się do sennych zwidów. — Babciu kochana...

— Jestem z tobą — odparła H'ani. — Zawsze będę z tobą, zawsze i zawsze...

Nie mogła więcej mówić, gdyż w gardle dławili ją łyzy. Jeszcze raz, na pożegnanie dotknęła dziecka i matki, położyła im palce na ustach i zamkniętych oczach, a następnie wstała i wysunęła się z szałas. Nie widziała nic przez łyzy, a ogromny żal stłumił jej rozsądek. H'ani przeszła w pobliżu ogrodzonego ciernistymi krzakami korralu dla koni.

Jeden z wierzchowców parsknął głośno i stuknął nerwowo kilka razy kopytem podrażniony obcym zapachem. Gdy H'ani zniknęła w ciemnościach, przy ognisku obudził się mężczyzna. Usiadł na ziemi, zrzucił z siebie koc i senny poszedł uspokoić konie. W połowie drogi zatrzymał się i nachylił nad śladem małej stopy odbitym na piasku.

H'ani była zdziwiona olbrzymim zmęczeniem, jakie ją ogarnęło w czasie powrotu do ukrytej w górze kotliny. Kiedy podążali wraz z O'wa po śladach Dziecka Nam i Shasy, czuła, że mogłaby tak biec w nieskończoność, jakby znowu była młodą kobietą, którą przepelnia siła i energia. To uczucie wywołała troska o dwie istoty, które kochała równie mocno, jak swojego starego męża. Teraz jednak, gdy rozstała się z nimi na zawsze, wróciła świadomość własnej starości i doskwierała tak bardzo, że zazwyczaj energiczny trucht Buszmenki przemienił się w niemrawe powłóczenie nogami. Czuła się znużona, nogi miała ciężkie i bolał ją krzyż.

Idący przed nią O'wa poruszał się równie wolno i H'ani wiedziała, ile wysiłku kosztuje go każdy krok. W czasie, kiedy słońce uniosło się wolno nad horyzontem, obojgu zaczęło brakować chęci i motywacji istnienia, które umożliwiają przeżycie na pustyni. Jeszcze raz stracili tych, których najbardziej kochali, ale teraz nie znajdowali w sobie siły, żeby podźwignąć się po tym ciosie.

O'wa zatrzymał się nagle i przykucnął na ziemi. H'ani jeszcze nigdy nie widziała go pokonanego i kiedy przykucnęła obok, odwrócił do niej wolno głowę.

— Czcigodna babciu, jestem zmęczony — szepnął cicho. — Chciałbym spać i bardzo długo się nie budzić. Słońce razi mnie w oczy.

Podniósł rękę, żeby osłonić oczy przed ostrymi promieniami.

— Przebyliśmy długą i ciężką drogę, czcigodny dziadku ale pogodziliśmy się z duchami klanu, a Dziecko Nam jest bezpieczne ze swoimi. Możemy trochę odpocząć.

Nagle okropny smutek ścisnął H'ani za gardło, aż nie mogła przełknąć śliny, ale łzy nie napływały do oczu. Było tak, jakby cała wilgoć uciekła z jej starego, pomarszczonego ciała. Nie miała w sobie łez, ale potrzeba płaczu przeszła jej pierś niczym strzała i H'ani zaczęła kołysać się na stopach, wydając ciche jęki, które miały złagodzić ból. Nie usłyszała tętentu nadjeżdżających koni.

Starzec opuścił nagle rękę od twarzy i nadstawił ucha, wsłuchując się w drżenie ziemi. Kiedy H'ani zobaczyła jego wystraszone oczy, umilkła i po chwili także usłyszała złowieszcze odgłosy.

— Odkryli nas — powiedział O'wa i przez chwilę kobiecie brakowało siły woli, żeby podjąć ucieczkę. — Są już blisko.

W głosie męża H'ani wyczuła tę samą rezygnację i to obudziło staruszkę; pomogła mu wstać z ziemi.

— Na otwartym terenie złapią nas, tak jak gepard dopada kulawej antylopy.

Obróciła się i spojrzała na górę: stali na skraju piargów, pomiędzy niskimi krzakami i zwałami skalnymi.

— Gdyby nam się udało dostać na szczyt — powiedziała w zamyśleniu H'ani — to konie nie mogłyby podążyć za nami.

— Góra jest zbyt wysoka i stroma — zaprotestował O'wa.

— Tam jest droga. — Kościstym palcem wskazała na wąską ścieżkę wijącą się zygzakami po nagim skalnym zboczu. — Spójrz, dziadku, duchy góry wskazują nam drogę.

— To są antylopy — mruknął O'wa.

Dwie małe antylopy afrykańskie przypominające giemzy zauważyły jeźdźców w lesie pod górą i rzuciły się do ucieczki po ledwo widocznej ścieżce.

— To nie są żadne górskie duchy — powtórzył O'wa, patrząc, jak zwinne brązowe zwierzęta wskakują na niemal pionową ścianę.

— A ja ci mówię, że to duchy w postaciach antylop. — H'ani pociągnęła męża w stronę góry. — Duchy pokazują nam drogę, którą możemy uciec przed prześladowcami. Pośpiesz się, ty głupi i kłótniwy starcze, nie mamy innej drogi.

Wzięła go za rękę i razem skakali z kamienia na kamień, wspinając się po piargowym zboczu ku podstawie góry.

Zanim jednak tam, dotarli O'wa zaczął zwalniać, trzymając się kurczowo ręki żony. Postękiwał z bólu i coraz bardziej chwiał się na nogach.

— Moja pierś — jęknął głośno i potknął się na nierównym gruncie. — Jakieś zwierzę gryzie mi ciało w piersiach. Czuję jego zęby...! — zawołał i upadł ciężko pomiędzy dwa głazy.

— Nie możemy się zatrzymywać — prosiła H'ani, nachylając się nad nim. — Musimy iść dalej. — Spróbowała go podnieść.

— Boli mnie — wystękał z trudem. — Czuję, jak zęby rozrywają mi serce.

H'ani z wysiłkiem posadziła męża na kamieniu. W tej samej chwili z dołu zbocza dobiegł ich stłumiony okrzyk.

— Dostrzegli nas — powiedziała, patrząc na dwóch jeźdźców wyjeżdżających z lasu. — Przyjdą

tu po nas.

Jeźdźcy zeskoczyli z koni, spętali je i ruszyli w górę zbocza. Jeden był całkiem czarny, a drugi miał głowę, która błyszczała jak słońce odbite w lustrze wody. Wbiegając pod górę, znowu zawołali do siebie, w obcym, twardo brzmiącym języku, który przypominał szczekanie psów trafiających na świeży trop.

Dźwięk ten obudził Q'wa i starzec z pomocą H'ani stanął niepewnie na nogach, trzymając się ręką za pierś. Jego usta zbladły, a oczy przypominały ślepiea śmiertelnie rannej antylopy i to wzbudziło w H'ani większy strach niż krzyki zbliżającej się pogoni.

— Musimy iść dalej.

Na wpół niosąc, a na wpół ciągnąc męża, stara Buszmenka dotarła do podstawy góry.

— Nie dam rady. — Jego głos był tak słaby, że H'ani musiała przyłożyć ucho do ust O'wa. — Nie wejdę tam.

— Dasz radę — zapewniła go stanowczym głosem. — Poprowadzę cię. Stawiaj stopy tam, gdzie ja postawiłam.

Zaczęła się wspinać na skałę, podążając śladem wyznaczonym przez ostre kopyta antylop. Stary mężczyzna podążał za nią z wielkim trudem.

Trzydzieści metrów wyżej natrafili na skalną półkę, która zasłoniła ich przed znajdującymi się na zboczu wrogami. Wdrapywali się wyżej, trzymając się szorstkiej ściany koniuszkami palców i wydawało się, że otwierająca się pod ich stopami przepaść dodała sił O'wa. Wszedł teraz znacznie pewniej. Kiedy w pewnym momencie zawahał się i niebezpiecznie wychylił do tyłu, H'ani schwyciła męża za ramię i przytrzymała, dopóki nie minął mu zawrót głowy.

— Podążaj za mną — poleciła. — Nie spoglądaj w dół, dziadku. Uważaj na moje nogi i stawaj tam, gdzie ja.

Wszedli się coraz wyżej i wyżej i mimo że pod nimi rozpościerała się cała równina, od dołu byli osłonięci przed pościgiem wybrzuszeniem skalnej ściany.

— Jeszcze tylko trochę — pocieszała męża H'ani. — Zobacz, widać już szczyt, jeszcze kawałek i będziemy bezpieczni. Daj mi rękę, pomogę ci.

Wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu pokonać trudny odcinek drogi.

Pod nimi otwierała się przepaść i musieli nad nią przestąpić.

H'ani spojrzała w dół, pod nogi i zobaczyła ścigających ich ludzi, małych z tej odległości i skróconych przez perspektywę. Obaj prześladowcy stali u podnóża góry, dokładnie pod nimi i zdawali się patrzeć na H'ani. Twarz białego mężczyzny świeciła niczym chmura — dziwnie blada i zarazem taka jadowita, pomyślała stara kobieta.

Mężczyzna podniósł do góry ręce i wycelował w H'ani długi kij. H'ani jeszcze nigdy nie widziała strzelby i nie próbowała nawet się ukryć. Wiedziała, że znajduje się poza zasięgiem nawet najpotężniejszego łuku i wychyliła się jeszcze bardziej, żeby lepiej przyjrzeć się wrogowi. Zobaczyła, jak ramiona białego drgnęły i od kija oderwał się biały obłoczek dymu.

H'ani nie usłyszała wystrzału, gdyż kula dotarła przed grzmotem. Był to miękki pocisk z ołowianym czubkiem i trafiwszy ofiarę w podbrzusze, przeorał jelita i żołądek, przebił płuco i wyleciał przez plecy kilka centymetrów od kręgosłupa. Siła uderzenia cisnęła staruszkę na ścianę; martwe ciało zwinęło się miękko i poleciało w dół, koziolukując w powietrzu.

O'wa krzyknął i spróbował schwycić żonę, gdy spadała poza nawis. Otarła mu się o końce palców i nie zdążył jej zatrzymać.

— Moje życie! — zawołał za nią. — Moje małe serduszko!

Ból i żałość były zbyt silne, żeby mógł je wytrzymać. Odepchnął się lekko od ściany i gdy

przekroczył środek ciężkości, zawołał jeszcze:

— Idę za tobą, babciu, do końca naszej drogi.

Poszybował w dół, a drobnym ciałem szarpał górski wiatr, ale O'wa nie wydał już z siebie żadnego głosu.

Lothar De La Rey musiał wspiąć się kilka metrów po skalnej ścianie, żeby znaleźć zwłoki, które wpadły w jakąś szczelinę.

Było to trup starego mężczyzny o skórze pokrytej zmarszczkami i niesamowicie chudego. Upadek roztrzaskał ciało odsłaniając kości czaszki. Wokoło było bardzo mało krwi, jakby słońce i wiatr wysysały ją ze starca, kiedy jeszcze żył.

Szczupłą, niemal dziecięcą talię miał przewiazaną wąską przepaską ze skóry oraz sznurkiem, na którego końcu zwisał scyzoryk. Był to nóż typu marynarskiego, z rękojeścią z rogu i Lothar poczuł zdziwienie znajdując taki przedmiot obok martwego ciała na pustyni Kalahari. Odwiązał sznurek i schował scyzoryk do kieszeni. Przy zwłokach nie było już nic więcej wartościowego czy choćby ciekawego i Lothar z pewnością nie zamierzał tracić czasu na ich pogrzebanie. Zostawił trupa zaklinowanego pomiędzy skałami i zszedł na dół, gdzie czekał na niego Swart Hendrick.

— Co znalazłeś? — zapytał Hendrick.

— Tylko starca, ale miał przy sobie to.

Lothar pokazał mu nóż i Hendrick pokiwał głową, nie okazując zainteresowania znaleziskiem.

— Ja. To straszni złodzieje, zupełnie jak małpy. Pewnie dlatego kręcili się wokół obozu.

— Gdzie upadł ten drugi?

— Spadł do parowu, pomiędzy krzaki. Zejście na dół jest bardzo trudne. Ja bym go zostawił.

— Zostań tu — rozkazał Lothar.

Podszedł do krawędzi głębokiego jaru i spojrzał w dół. Dno było zarośnięte ciernistymi krzakami, a droga na dół rzeczywiście wyglądała na niebezpieczną, ale Lothar czuł perwersyjną ochotę postąpienia odwrotnie niż radził Hendrick.

Zejście na sam dół zajęło mu dwadzieścia minut i drugie tyle potrzebował na znalezienie ciała. Przypominało to usiłowanie odnalezienia w gąszczu zestrzelonej kuropatwy bez dobrego psa myśliwskiego. W końcu rój połyskujących metalicznie much naprowadził go na wystającą spomiędzy zarośli rękę, odwróconą różową dłonią do góry. Lothar wyciągnął trupa za nadgarstek i stwierdził, że jest to kobieta, okropnie stara wiedźma o pomarszczonej skórze i piersiach zwisających na brzuch niczym dwa puste worki po tytoniu.

Mruknął z satysfakcji, gdy zobaczył, że kula weszła dokładnie w miejsce, w które celował. Strzał był niezwykle trudny przy dużej odległości i ostrym kącie. Jego uwagę zwróciła dziwna ozdoba na szyi kobiety.

Lothar nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego w południowej Afryce, mimo że w kolekcji jego ojca znajdowały się masajskie naszyjniki, trochę przypominające tę ozdobę. Jednak naszyjniki Masajów zrobione były z paciorków, a do wykonania tego stara kobieta użyła kolorowych kamieni, które wybrała i ułożyła z zadziwiająco dobrym gustem. Kamyki zostały w sprytny i jednocześnie trwały sposób przymocowane do włókna z kory.

Lothar uświadomił sobie, że tak rzadki naszyjnik musi mieć olbrzymią wartość. Obrócił ciało kobiety na brzuch i rozsypał sznurek oplatający jej szyję. Krew z dziury wylotowej zachlapała wiązanie i splamiła niektóre kamienie, ale Lothar otarł je starannie o spodnie.

Niektóre z kamieni miały naturalne kształty kryształów, podczas gdy inne zostały oszlifowane przez wodę. Stara musiała zebrać je na brzegach wyschniętych rzek. Lothar obrócił ciężki naszyjnik w rękę pod światło i uśmiechnął się, widząc piękną grę kolorów. Owinął naszyjnik w chustkę i

schował do kieszeni.

Ostatnie spojrzenie na trupa przekonało go, że nie znajdzie więcej nic godnego uwagi. Lothar zostawił ciało leżące twarzą do ziemi i podjął trudną wspinaczkę na górę.

Centaine poczuła szorstkość wełnianego materiału okrywającego jej ciało i dotyk ten był dla niej tak obcy, że sprowadził ją na skraj świadomości. Pomyślała, że leży na czymś miękkim, ale wiedziała, że to niemożliwe, podobnie jak światło sączące się przez zielone płótno. Była zbyt zmęczona, żeby zastanawiać się nad tym, i kiedy spróbowała utrzymać otwarte powieki, opadły jej ciężko na oczy. Dopiero teraz zorientowała się, jak bardzo jest słaba. Nie czuła wcale wnętrza swojego ciała, zupełnie jakby była ugotowanym na miękko jajkiem, które zostało zjedzone i pozostała jedynie krucha skorupka. Ta myśl wywołała uśmiech Centaine, ale nawet taki wysiłek był zbyt wielki i chora odpłynęła w głęboki sen.

Kiedy następnym razem odzyskała przytomność, usłyszała cichy śpiew. Leżała z zamkniętymi oczami i nagle stwierdziła, że rozumie słowa. Była to piosenka miłosna o dziewczynie, którą ktoś znał przed wojną. Nucił ją męski głos i Centaine pomyślała sobie, że nigdy nie słyszała bardziej przejmującego śpiewu. Pragnęła, żeby pieśń ciągnęła się jak najdłużej, ale w pewnej chwili urwała się, a mężczyzna roześmiał się głośno.

— No i jak, podobało ci się? — spytał w afrikaans, a dziecięcy głosik odpowiedział mu: ta! ta! tak głośno i wyraźnie, że Centaine otworzyła oczy.

Poznała głos Shasy i wróciła jej nagle świadomość wszystkiego, co zdarzyło się w nocy na drzewie. Pragnęła krzyczeć, wołać o pomoc.

— Moje dziecko, ratujcie moje dziecko!

Zaczęła rzucać głową na boki. Zobaczyła, że znajduje się w szałasie z dachem pokrytym trawą i brezentowymi ścianami. Leżała na łóżku polowym ubrana w długą, bawełnianą koszulę nocną.

— Shasa! — zawołała i spróbowała usiąść; udało jej się tylko na chwilę oderwać głowę od poduszek, a z jej gardła wydostał się jedynie słaby szept. — Shasa! — Tym razem zebrała wszystkie siły. — Shasa! — Udało jej się wydobyć z siebie ochryply skrzek.

Na zewnątrz rozległ się zduszony okrzyk i Centaine usłyszała stuknięcie wywracanego w pośpiechu krzesła. Do szałasu ktoś wbiegł i w środku zrobiło się ciemniej. Centaine obróciła głowę w tę stronę.

U wejścia stał mężczyzna — na biodrze trzymał Shasę.

Mężczyzna był wysoki, dobrze zbudowany, ale stał pod słońce i Centaine nie mogła dostrzec jego twarzy.

— Więc nasza Śpiąca Królowna się obudziła — powiedział obcy głębokim, przejmującym głosem. — Nareszcie.

Z dzieckiem na ręku podszedł do łóżka i nachylił się nad Centaine.

— Martwiliśmy się o panią — stwierdził delikatnie i Centaine miała wrażenie, że patrzy na najpiękniejszą twarz świata. Mężczyzna miał złote włosy i żółte niczym u leoparda oczy. Siedzący na jego biodrze Shasa zaczął wyrywać się do matki.

— Mama!

— Moje kochanie!

Podniosła jedną rękę, a obcy zdjął małego z biodra i posadził obok na łóżku.

Następnie otoczył Centaine ramieniem i pomógł jej się podnieść tak, żeby wsparła się plecami o tył łóżka. Mężczyzna miał silne, mocno opalone ręce, ale jego palce były zgrabne niczym palce pianisty.

— Kim pan jest?

Głos Centaine nie wznosił się ponad zachrypnięty szept; pod oczami miała ciemnofioletowe sińce.

— Nazywam się Lothar De La Rey — odpowiedział.

Shasa zacisnął dłoń w pięstkę i z radości uderzył matkę w ramię.

— Ostrożnie! — Lothar schwycił malca za rękę, zanim ten znowu dał wyraz swojemu uczuciu. -

— Twoja mamusia nie ma jeszcze siły na takie czułości.

Centaine zobaczyła, że wyraz twarzy Lothara złagodniał, gdy odzywał się do dziecka.

— Co mi się stało? — zapytała. — Gdzie jestem?

— Została pani zaatakowana i poraniona przez lwa. Kiedy go zastrzeliłem, spadła pani z drzewa. Skinęła głową.

— Tak, to pamiętam, ale potem...

— Przeżyła pani wstrząs, a później dostała gorączki od ran pazurów lwa.

— Jak długo? — wyszeptała.

— Sześć dni, ale najgorsze już minęło. Pani noga jest jeszcze bardzo opuchnięta, mevrou

Courteney.

Centaine poruszyła się zaskoczona.

— To moje nazwisko. Skąd pan je zna?

— Wiem, że nazywa się pani Centaine Courteney i jest pani rozbitkiem z okrętu „Protea Castle”.

— Skąd pan to wie?

— Zostałem wysłany przez pani teścia, żeby panią odnaleźć.

— Mojego teścia?

— Pułkownika Courteneya i tę kobietę, Annę Stok.

— Annę? Anna żyje?

Centaine schwyciła kurczowo za rękę mówiącego.

— Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości! — roześmiał się Lothar. — Jest wyjątkowo żywa.

— To cudowna wiadomość! Byłam pewna, że utonęła... Centaine urwała, gdy uświadomiła sobie, że trzyma obcego mężczyznę za rękę. Puściła go i oparła się o zagłówek.

— Proszę mi powiedzieć — szepnęła. — Niech pan mi wszystko opowie. Jak czuje się Anna? Skąd pan wiedział, gdzie mnie szukać? Gdzie ona teraz jest? Kiedy ją zobaczę?

Lothar znowu się roześmiał. Centaine zobaczyła, że ma śnieżnobiałe zęby.

— Ile pytań! — Przysunął stołek do łóżka. — Od czego mam zacząć?

— Od Anny, proszę mi wszystko o niej powiedzieć.

Lothar opowiadał, a Centaine siedziała zasłuchana, wpatrując się w jego twarz i zadając kolejne pytania, gdy tylko na chwilę zamilkł. Odsuwała od siebie zmęczenie, żeby jak najdłużej słuchać tego głosu i oddawać się radości z uzyskanych radosnych informacji o prawdziwym świecie, z którego na tak długo została wykluczona. Wreszcie miała możliwość porozmawiania z kimś takim samym jak ona i spoglądała na białego, cywilizowanego człowieka.

Dzień zbliżał się ku końcowi i wieczorny półmrok wypełnił mały szałas, kiedy Shasa upomniał się głośno o jedzenie i Lothar przerwał opowiadanie.

— Jest głodny.

— Nakarmię go, jeśli zostawi nas pan na chwilę samych, mijnheer.

— Nie. — Lothar pokręcił głową. — Straciła pani mleko. Centaine drgnęła, jakby ktoś wymierzył jej policzek, i popatrzyła na mężczyznę ze zdumieniem. W jej głowie kłębiły się myśli. Tak zasłuchana się w opowiadanie swego wybawcy, że nie pomyślała nawet o tym, iż w obozie nie

na drugiej kobiety, a ona przez sześć dni była nieprzytomna i w tym czasie ktoś musiał się nią opiekować, przemywać, przebierać, karmić i opatrywać rany. Dopiero bezpośrednie słowa Lothara objawiły tę prawdę i Centaine poczuła, jak czerwieni się ze wstydu. Paliły ją policzki — te zgrabne opalone palce musiały dotykać jej w miejscach, w których tylko jeden mężczyzna wcześniej jej dotykał. Nie wiedziała, gdzie ma podziąć wzrok, gdy uświadomiła sobie, co te żółte oczy musiały widzieć. Nagle zalała ją fala tak gorącego podniecenia, że obróciła głowę, aby ten obcy nie spostrzegł jej zmieszania. Wydawało się, że Lothar nie zwraca uwagi na jej zachowanie.

— Chodź do mnie, żołnierzyku, pokażemy mamie nową sztuczkę. Posadził Shasę na kolanach i zaczął go karmić łyżką. Malec podskakiwał radośnie, na widok zbliżającej się łyżki wykrzykiwał: — Ham! Ham! — i rzucał się z otwartą buzią na jedzenie.

— Lubi pana — stwierdziła Centaine.

— Jesteśmy przyjaciółmi — przyznał Lothar i starł mokrą szmatką grubą warstwę mleka z czoła, brody i uszu chłopca.

— Potrafi się pan obchodzić z dziećmi — szepnęła Centaine i spostrzegła silny ból w jego złotych oczach.

— Kiedyś miałem syna — odparł Lothar, posadził Shasę na łóżku, wziął pustą miskę i skierował się do wyjścia.

— Gdzie jest pański syn?! — zawołała za nim słabo. Mężczyzna zatrzymał się na chwilę i obrócił do niej wolno.

— Mój syn nie żyje — odpowiedział cicho.

Centaine była dojrzała do miłości. Długa samotność przekształciła się w tak silne pragnienie, że nic nie mogło go zaspokoić, nawet nie kończące się rozmowy w szalasiu, kiedy Shasa siedział pomiędzy nimi i potrafili przegadać najgorętsze godziny dnia.

Najczęściej rozmawiali na tematy, które dla Centaine były najdroższe: muzyki i książek. Mimo że Lothar wyżej cenił Goethego od Hugo i Wagnera od Verdiego, różnica zdań czyniła dyskusje przyjemniejszymi i głębszymi. Centaine przekonała się, że Lothar ma znacznie lepsze wykształcenie i większą wiedzę od niej, ale nie czuła o to urazy. Z tym większą radością wsłuchiwała się w jego głos. Po mlaskającym, chrząkającym języku Sanów rytm i intonacja mowy Lothara były dla niej jak czysta muzyka.

— Niech pan dla mnie zaśpiewa — poprosiła, gdy wyczerpali na chwilę temat. — Shasa i ja każemy panu zaśpiewać.

— Uniżony sługa szanownej pani! — uśmiechnął się Lothar; uklonił się żartobliwie i zaczął śpiewać, zapominając o całym świecie.

„Zabierz kurczaki, a kwoka sama podąży za tobą”. — Centaine nieraz słyszała, jak Anna powtarza to stare przysłowie, ale dopiero teraz, gdy przyglądała się, jak Lothar wozi Shasę na barana po obozie, zrozumiała kryjącą się w tym stwierdzeniu prawdę, gdyż jej wzrok i serce podążały za tymi dwoma.

Z początku czuła urazę, słysząc, jak Shasa wita Lothara głośnymi okrzykami: „Ta! Ta!” Te słowa powinny być zarezerwowane dla Michaela. Z bólem przypomniała sobie, że Michael spoczywa na cmentarzu w Mort Homme.

Później mogła się już swobodnie śmiać, kiedy Shasa podjął pierwsze próby samodzielnego chodzenia i równie szybko je zakończył, lądując na siedzeniu. Szukając pocieszenia, Shasa z głośnym płaczem pobiegł na czworakach do Lothara. Właśnie to czułe podejście do dziecka rozbudziło w Centaine miłość do Lothara i palące pożądanie. Poznała, że pod przystojną i delikatną powłoką kryje się twardy i groźny mężczyzna. Nawet jego ludzie, którzy także sprawiali wrażenie silnych, czuli

respekt przed swoim dowódcą i zawsze okazywali mu szacunek.

Kiedy pewnego razu miała okazję stać się świadkiem jego okropnego gniewu, przeraził ją nie mniej niż człowieka, przeciwko któremu był skierowany. Vark Jan, pomarszczony, żółtawy Murzyn Khoisa, założył niedbale siodło na ulubionego konia myśliwskiego Lothara i ten przy szybkiej jeździe poranił zwierzęciu grzbiet do krwi. Lothar powalił winnego na ziemię jednym uderzeniem pięści, rozciął mu kurtkę i koszulę na grzbiecie potężnymi razami sjamboka — półtorametrowego bata ze skóry hipopotama — i zostawił nieprzytomnego mężczyznę w kałuży krwi.

Gwałtowność tego czynu, który widziała wyraźnie ze swojego łóżka, poraziła Centaine do szpiku kości. Później jednak, kiedy została sama, strach i obrzydzenie minęły, zostało jedynie wzbudzające dreszcze podniecenie i dziwny ucisk w żołądku.

Jest taki niebezpieczny, pomyślała. Równie groźny i okrutny jak dziki drapieżnik. Przeszły ją ciarki i odpędziły sen. Leżała na łóżku i wsłuchiwała się w równomierny oddech Lothara śpiącego w sąsiednim szałasie. Zaczęła myśleć o tym, jak ją rozbierał i dotykał jej, gdy była nieprzytomna. Poczowała mrowienie na samą myśl o jego zgrabnych rękach i zarumieniła się w ciemnościach.

Następnego dnia Lothar znowu był czuły i delikatny, trzymając ostrożnie jej nogę na kolanach, gdy rozcinał szwy i wyciągał nitki z opuchniętej, zaczerwienionej łydki. Na skórze pozostały czarne punkty i mężczyzna nachylił się, żeby powąchać gojące się miejsca.

— Rana jest czysta. To zaczerwienienie bierze się stąd, że pani ciało usiłuje pozbyć się szwów. Teraz będzie goić się szybciej.

Miał rację. Po dwóch dniach mogła wstawać już z łóżka wspierając się na kulach zrobionych przez Lothara. Z początku nie oddalała się zbyt od szałasu.

— Nogi się pode mną uginają — poskarżyła się wybawcy. — Jestem równie słaba jak Shasa.

— Szybko pani odzyska siły. — Lothar otoczył ją ramieniem i pragnęła, żeby zabrał rękę i nie spostrzegł, jak mocno drży jej ciało pod jego dotykiem.

Zatrzymali się przy koniach; Centaine poklepała zwierzęta po pyskach, głaszcząc ich delikatne nozdrza i wdychając nostalgiczny koński zapach.

— Chciałabym znowu jeździć konno — powiedziała Lotharowi.

— Anna Stok powiedziała mi, że jest pani doświadczoną amazonką i miała pani kiedyś rumaka, białego ogiera.

— Nuage. — Na wspomnienie konia łzy napłynęły jej do oczu i przycisnęła twarz do szyi konia myśliwskiego Lothara, żeby je ukryć. — Moja biała Chmurka, był taki piękny, taki silny i szybki.

— Nuage. — Lothar wziął ją za ramię. — Piękne imię. Będzie pani wkrótce mogła jeździć. Czeka nas długa podróż do pani ojca i Anny Stok.

Po raz pierwszy Centaine uświadomiła sobie, że ta piękna przygoda musi się kiedyś skończyć. Odsunęła się od konia i spojrzała na mężczyznę obok. Nie chciała, żeby ich znajomość się zakończyła, nie chciała, żeby ją opuścił, co mogło się stać tak szybko.

— Jestem zmęczona — powiedziała. — Nie sądzę, żebym miała już dość siły, by wyruszyć w podróż.

Tego wieczora, kiedy Centaine siedziała na łóżku z książką w ręku udając, że czyta, a w rzeczywistości spoglądając na Lothara spod spuszczonej powiek, ten nieoczekiwanie spojrzał na nią i uśmiechnął się z taką pewnością siebie, że zaczerwieniła się i szybko odwróciła wzrok.

— Piszę list do pułkownika Courteneya — powiedział, siadając przy składanym podróżnym biurku z piórem w ręku. — Jutro wyślę posłańca do Windhoek, ale będzie potrzebował dwóch tygodni, żeby tam dotrzeć i wrócić do nas. Ustalę z pułkownikiem miejsce i czas spotkania. Sądzę, że dziewiętnasty przyszłego miesiąca będzie najodpowiedniejszą datą.

Centaine chciała spytać: „Tak szybko?“, ale powstrzymała się w ostatniej chwili i w milczeniu skinęła głową.

— Jestem pewny, że czeka pani z niecierpliwością na chwilę połączenia z rodziną, ale nie sądzę, żeby nam się udało dotrzeć do umówionego miejsca wcześniej.

— Rozumiem.

— Z przyjemnością jednak wyślę pani listy przez umyślnego.

— Och, to by było wspaniale. Kochana Anna, musi się o mnie bardzo niepokoić.

Lothar podniósł się od biurka.

— Zechce pani tu usiąść i skorzystać z moich przyborów do pisania, pani Courteney. Ja w tym czasie dopilnuję, żeby Shasa zjadł obiad.

Po napisaniu wstępu: „Moja Kochana Anno“ Centaine ze zdziwieniem stwierdziła, że nie wie, co dalej pisać. Wszystko, co przychodziło jej do głowy, wydawało się mało ważne. „Dziękuję Bogu, że udało Ci się przeżyć tę okropną noc i zapewniam Cię, że myślałam o Tobie każdego dnia od naszego gwałtownego rozstania...“ — zupełnie-jakby pękła tama trzymająca odpowiednie słowa i pióro samo biegało po papierze.

— Będziemy potrzebować jucznego konia, żeby zawieźć tę epistołę. Lothar stał za jej plecami i Centaine dopiero teraz zauważyła, że zdążyła zapisać kilkanaście kartek drobnym pismem.

— Mam jej jeszcze tyle do powiedzenia, ale będzie to musiało poczekać do naszego spotkania.

Centaine złożyła kartki i zapieczętowała je woskiem ze srebrnego puzderka przymocowanego do biurka. Lothar przytrzymał jej świeczkę.

— Jakie to dziwne uczucie — szepnęła Centaine. — Niemal zapomniałam, jak się trzyma pióro. Tyle czasu minęło, od kiedy pisałam ostatni list.

— Nigdy nie powiedziała mi pani, co się przydarzyło, jak pani zdołała uratować się z tonącego okrętu, w jaki sposób dała pani sobie sama radę, jak zdołała pani przebyć tyle setek kilometrów...

— Nie chcę o tym mówić — przerwała mu szybko. Na chwilę ujrzała małe, bursztynowe twarzyczki o sercowatych kształtach — niesamowicie pomarszczone. Odsunęła od siebie poczucie winy, że tak bezwzględnie opuściła dwójkę starych, kochających ją ludzi. — Nie chcę o tym nawet myśleć. Bardzo proszę, żeby pan nigdy więcej nie poruszał tego tematu. — Przybrała surowy ton.

— Oczywiście, pani Courteney. — Mężczyzna zabrał z biurka dwa zapieczętowane listy. — Przepraszam, przekażę je Vark Janowi. Wyruszy jutro przed świtem.

Lothar wydawał się nieprzyjemnie poruszony, wręcz niechętny po jej uwadze.

Centaine zobaczyła, jak podchodzi do ogniska służących i dobiegły ją stamtąd stłumione głosy.

Kiedy wrócił do szafasu, Centaine udawała, że jest pochłonięta lekturą, mając nadzieję, że Lothar jej przerwie, ale on usiadł przy biurku i otworzył swój dziennik. Zapisywanie wieczorem codziennych zdarzeń było rytuałem, o którym nigdy nie zapominał. Centaine siedziała, słuchając skrzypienia pióra po papierze, i czuła się urażona, że Lothar traci czas na cokolwiek innego poza nią.

Zostało nam tak mało czasu, pomyślała, a on tak go marnuje. Zamknęła głośno książkę, ale mężczyzna nie oderwał wzroku od notatnika.

— O czym pan pisze? — zapytała ciekawie.

— Wie pani, o czym piszę, gdyż mówiliśmy już na ten temat, pani Courteney.

— Czy opisuje pan wszystko w swoim dzienniku?

— Prawie wszystko.

— Czy pisał pan także o mnie?

Odłożył pióro i spojrzał na nią, a Centaine zaczerwieniła się pod bezpośrednim spojrzeniem jego złotych oczu, ale zdecydowała się nie przeproszać.

— Patrzył pan na rzeczy, których nie powinien pan widzieć — stwierdziła nagle.

— Tak — potwierdził Lothar.

Żeby ukryć pomieszenie, Centaine spytała:

— Co pan o mnie napisał w swoim sławetnym dzienniku?

— Tym razem to pani jest ciekawska — ofuknął ją, zamknął dziennik, schował go do szuflady i wstał. — Przepraszam, ale muszę teraz obejść obóz.

Centaine przekonała się, że nie może traktować Lothara tak, jak traktowała ojca czy nawet Michaela Courteneya. Był dumny i nie pozwalał, żeby ktoś naruszał jego prywatność. Centaine rozumiała, że przez całe życie walczył, żeby być wyłącznym panem siebie, i nie zamierzał pozwolić, aby wykorzystala jego uczucia do niej i do Shasy. Nie był to mężczyzna, którego ktokolwiek mógłby wykorzystać.

Następnego ranka zaszokował dziewczynę oficjalny sposób zachowania Lothara, ale w miarę upływu czasu zaczęło jej to działać na nerwy. Dostał malutkiego prztyczka, a obraża się i dąsa jak dziecko — powiedziała sobie Centaine. Dobrze, zobaczymy, kto dłużej wytrzyma.

Jednak następnego dnia gniew zniknął, a wróciło poczucie samotności. Centaine czuła się wyjątkowo nieszczęśliwa. Brakowało jej uśmiechu tego mężczyzny, wspólnych długich dyskusji, jego głosu, kiedy śmiał się lub śpiewał.

Patrzyła, jak Shasa kręci się po obozie, trzymając Lothara za rękę i prowadząc z nim rozmowę w swym dzieciennym języku, który tylko oni dwaj rozumieli. Centaine poczuła nagłą zazdrość o syna.

— Nakarmię dziś Shasę — powiedziała chłodno swemu wybawcy. — Czas, żebym podjęła swoje obowiązki. Nie musi pan więcej poświęcać własnego czasu.

— Oczywiście, pani Courteney.

W głębi duszy chciała krzyknąć: „Przepraszam, jest mi tak przykro”, ale duma rozdzielała ich niczym pasmo gór.

Przez cały wieczór Centaine nasłuchiwała odgłosu końskich kopyt. Z oddali dobiegały stłumione strzały, ale Lothar wrócił po zmierzchu, kiedy ona i Shasa leżeli już w łóżkach. Centaine słyszała, jak mężczyźni zdejmują z konia upolowane antylopy i rozpinają je na kołkach do poćwiartowania. Lothar siedział do późna przy ognisku i wybuchy śmiechu dobiegały do szałas, w którym Centaine bezskutecznie próbowała usnąć.

W końcu usłyszała, jak podchodzi do swojego szałas. Wsłuchiwała się w chlupot wody z wiadra, gdy Lothar mył się przed wejściem, szelest zdejmowanego ubrania i skrzypienie pasów materaca, gdy położył się spać.

Obudził ją płacz Shasy i od razu wiedziała, że jej synka coś musi boleć. Zsunęła nogi z łóżka i po ciemku, rozspana, sięgnęła do niego ręką. W szałasie Lothara zapaliła się zapałka i po chwili rozbłysł płomień lampy.

— Ciiii! Cichutko, kochanie.

Przytuliła synka do piersi, wystraszona tym, jaki jest rozgorączkowany.

— Czy mogę wejść? — zapytał Lothar od wejścia.

— Tak.

Pochylił się, wszedł do namiotu i postawił lampę na stole.

— Shasa jest chory.

Lothar wziął od niej dziecko na ręce. Miał na sobie jedynie spodnie, był boso, jego długie włosy zmierzwiły się w czasie snu.

Lothar dotknął rozpalonego policzka chłopca i wsunął mu palec do ust. Shasa zakrztusił się przy następnym ryku i ugryzł silnie palec.

— Kolejny ząb — uśmiechnął się mężczyzna. — Wyczułem go dziś rano.

Podał jej Shasę, ten zaś natychmiast wybuchnął płaczem.

— Zaraz wrócę, żołnierzyku.

Centaine usłyszała, jak Lothar szuka czegoś w apteczce przymocowanej do podłogi wozu. Wrócił z małą butelką w rękach i Centaine skrzywiła się, czując zapach olejku goździkowego, gdy otworzył korek.

— Zaraz wyleczymy bolący ząbek, prawda? — Lothar pomasaował palcem dziąsło dziecka i Shasa zaczął ssać jego palec. — Co za dzielny żołnierzyk!

Położył małego do łóżka i po kilku minutach chłopiec zasnął. Lothar zabrał lampę ze stołu.

— Dobranoc, pani Courteney — powiedział cicho, kierując się do wyjścia.

— Lothar! — To imię zaskoczyło ją równie silnie, jak i jego. — Proszę — szepnęła. — Tak długo byłam sama. Proszę, bądź dla mnie dobry.

Wyciągnęła ręce i Lothar usiadł na brzegu łóżka przy niej.

— Och, Lothar... — Głos jej się załamywał, ochrypli z pożądania. Objęła mężczyznę za szyję. — Kochaj mnie — szepnęła — proszę cię, kochaj mnie.

Jego usta płonęły, jakby miał gorączkę, a silne ramiona objęły Centaine tak mocno, że zabrakło jej oddechu.

— Byłem dla ciebie okrutny — powiedział miękko i usłyszała, jak głos mu drży — ale tylko dlatego, że tak bardzo chciałem cię przytulić, ponieważ paliła mnie miłość do ciebie...

— Och, Lothar, trzymaj mnie mocno i kochaj, i nigdy, przenigdy już mnie nie opuszczaj.

Następne dni były wynagrodzeniem za wszystkie długie miesiące samotności i trudów życia. Centaine miała wrażenie, że los zgromadził dla niej wszelkie rozkosze, których tak długo jej odmawiał.

Budziła się każdego ranka przed świtem i z zamkniętymi oczami przesuwała dłonią po łóżku w obawie, że Lothar mógł zniknąć w ciągu nocy, ale zawsze znajdowała go obok. Czasami udawał, że jest pogrążony w głębokim śnie i wtedy Centaine próbowała otworzyć palcem zaciśnięte powieki, a on wywracał oczy, tak że Widać było tylko białka. Centaine chichotała radośnie i wsuwała mu język głęboko do ucha, gdyż była to jedyna tortura, której nie mógł wytrzymać. Na ramionach występowała mu wtedy gęsia skórka i nagle rzucał się na nią niczym lew, a jej śmiech przemieniał się w spazmy i jęki rozkoszy.

W chłodzie poranka wyruszali razem na konną przejażdżkę z Shasą siedzącym na siodle przed Lotharem. W ciągu pierwszych dni prowadzili konie stępa i nie oddalali się zbyt od obozu. Jednak w miarę jak Centaine odzyskiwała siły, wypuszczali się coraz dalej, a w drodze powrotnej ścigali się przez ostatni kilometr, co koń wyskoczy, i Shasa, trzymany pewną ręką mężczyzny, piszczał z radości, gdy wpadali galopem do obozu, zarumienieni z wysiłku i wygłodniali.

Upalne pustynne południa spędzali najczęściej w cieniu szałasów, siedząc z dala od siebie i dotykając się jedynie, kiedy Lothar podawał Centaine książkę czy brał od niej dziecko. Nieustannie jednak pieścili się wzrokiem i głosem, aż ich pożądanie stawało się zmysłową torturą.

Kiedy upał mijał, Lothar siadł na konie i jechali do pokrytych piargami stoków góry. Spętawszy konie, wspinali się z Shasą siedzącym na ramionach mężczyzny do jednej z wąskich dolin o niemal pionowych ścianach. Poniżej skalnych malowideł Sanów Lothar odkrył jedno ze źródeł ciepłych ukryte pomiędzy gęstą roślinnością. Woda tryskała spod skał i spływała do małego, kolistego stawu.

W czasie pierwszej kąpieli Centaine musiała namawiać Lothara, żeby zdjął z siebie ubranie. Ona sama z radością zrzuciła długą spódnicę, a także irytujące bawełniane halki i ciesząc się nagością, do której przyzwyczaiała ją pustynia, ochlapywała mężczyznę strumieniami wody i pokpiwała z niego, aż

wreszcie dzielnie ściągnął spodnie i pośpiesznie zanurzył się w sadzawce.

— Jesteś bezwstydną — powiedział jej, tylko na wpół żartując.

Obecność Shasy ograniczała ich swobodę. Dotykali się jednak ukradkiem pod taflą zielonkawej wody, doprowadzając się wzajemnie do nieznośnego pożądania i wreszcie Lothar sięgał po nią z ową determinacją na twarzy, którą Centaine tak dobrze rozpoznawała. Wyrwała mu się wtedy z dziewczęcym piskiem i wyskakiwała ze stawu, ślizgając się na długich, mokrych nogach, a jej pośladki przybierały kolor ciemnoróżowy od gorącej wody.

— Ostatni w obozie nie dostanie kolacji!

Dopiero kiedy Centaine ułożyła Shasę w jego łóżeczku i zgasiła lampę, wślizgiwała się bezszelestnie do szałasów Lothara. Zawsze czekał na nią, napięty od tych ukradkowych pieszczoł i wymykania się przez cały dzień. Rzucali się wtedy na siebie z takim zapamiętaniem, jakby byli wrogami splecionymi śmiertelnym uściskiem w walce o życie.

Później długo leżeli w ciemnościach, trzymając się w ramionach i rozmawiali cicho, żeby nie zbudzić Shasy, planując przyszłość. Ich wzajemne obietnice sięgały tak daleko naprzód, jakby stali u wejścia do rajów.

Centaine zdawało się, że Vark Jana nie było zaledwie kilka dni, gdy pewnego popołudnia wpadł galopem do obozu na zmęczonym koniu.

Przywiózł ze sobą kilka listów, zapakowanych w płócienny worek i zalakowanych. Jeden z listów, pojedyncza strona, był dla Lothara i ten przeczytał go od razu.

Mam przyjemność poinformować Pana, że w moim posiadaniu znajduje się amnestia wystawiona na Pana nazwisko i podpisana przez Prokuratora Królewskiego Przyłądka Dobrej Nadziei i ministra sprawiedliwości Unii Południowej Afryki.

Gratuluję Panu sukcesu i z niecierpliwością czekam na chwilę spotkania w wyznaczonym przez Pana miejscu, gdzie będę miał zaszczyt wręczyć Panu wyżej wymieniony dokument.

Z wyrazami szacunku

GARRICK COURTENAY (Pułkownik)

Pozostałe listy były dla Centaine. Jeden z nich pochodził także od Garricka Courteneya, który witał Centaine i Shasę w rodzinie i zapewniał ich o swojej miłości i radości.

Z najniezwyklejszego człowieka na świecie, oddanego jedynie żalowi, uczyniliście mnie w mgnieniu oka najszczęśliwszym ojcem i dziadkiem. Pragnę jak najszybciej Was uściskać, oby ten dzień już nadszedł.

Twój kochający teść GARRICK COURTENAY

Ostatni, znacznie grubszy niż dwa pozostałe razem wzięte, był zapisany nierównym i trudnym do odczytania pismem Anny Stok. Centaine przeczytała Lotharowi podekscytowanym głosem urywki z tego listu, na przemian śmiejąc się i popłakując z rozrzewnienia. Kiedy doszła do końca, złożyła ostrożnie oba arkusiki.

— Tak bardzo pragnę ich zobaczyć, a jednocześnie nie chcę, żeby ktokolwiek przeszkadzał naszemu szczęściu. Chciałabym już jechać i jednocześnie chciałabym tu zostać na zawsze z tobą. Czy to nie zwariowane?

— Oczywiście — roześmiał się Lothar. — Zupełnie zwariowane. Wyruszamy dziś po zachodzie słońca.

Podróżowali nocami, żeby uniknąć męczących upałów, jakie dzień przynosił nad pustynię.

Ułożywszy Shasę w łóżeczku, w którym usypiał mocnym snem, ukołysany jednostajnym ruchem wozu, Centaine jechała strzemię w strzemię z Lotharem na przedzie konwoju. Jasne włosy mężczyzny

lśniły w mętnym świetle księżyca, a cienie nocy łagodziły ślady cierpienia i ciężkiego życia na jego twarzy tak, że Centaine z trudem odrywała wzrok od ukochanego.

Każdego ranka przed świtem rozbijali obóz na pustyni. Jeśli nie udało się znaleźć wodopoju, poili konie i zwierzęta wodą z wiader i kładli się w cieniu brezentowych przykryć wozów, żeby przeczekać najgorętsze godziny dnia.

Późnym popołudniem, kiedy służący byli zajęci zwijaniem obozu do dalszej drogi, Lothar wyruszał na polowanie. Z początku Centaine towarzyszyła mu w tych krótkich wyprawach, nie chcąc rozstać się z kochankiem nawet na chwilę. Jednak pewnego wieczoru Lothar, zmylony zwodnym półmrokiem, oddał bardzo słaby strzał i kula z mauzera rozorwała brzuch pięknej małej antylopy.

Zwierzę uciekało z zadziwiającą siłą przed końmi, płacząc się we własnych wnętrznościach zwisających z olbrzymiej rany. Nawet kiedy antylopa w końcu padła wyczerpana na ziemię, podniosła łeb i przyglądała się wystraszonymi wielkimi ślepiami, jak Lothar zsiada z konia i wyjmując długi nóż myśliwski. Po tym zdarzeniu Centaine wołała zostawać w obozie.

Tego wieczoru była również sama, gdy z północy nadleciał zimny, przenikający przez ubranie wiatr. Centaine wdrapała się do wozu, żeby znaleźć dla Shasy jakąś ciepłą kurteczkę.

Wnętrze furgonu było zastawione sprzętem obozowym spakowanym do nocnej jazdy. Torba podróżna, w której znajdowały się ubrania przysłane przez Annę, stała z tyłu i Centaine musiała wejść na duży drewniany, żółty kufer, żeby jej dosięgnąć. Długa spódnica zaplątała się jej pomiędzy nogami, Centaine straciła równowagę i schwyciła się najbliższej podpory, żeby nie upaść.

Jej ręka spoczęła na mosiężnej rączce składanego biurka Lothara, które było przymocowane do łóżka. Kiedy Centaine wyprostowała się na kufrze, wspierając się na biurku, górna szuflada wysunęła się o centymetr.

Zapomniał zamknąć biurko, pomyślała Centaine. Muszę mu o tym powiedzieć. Zamknęła szufladę, przesunęła się na kolanach po kufrze w stronę tylnej ściany wozu, wyciągnęła torbę z ubraniami i już miała się wycofać, gdy wzrok jej padł na szufladę. Zatrzymała się w pół drogi i z natężeniem spoglądała na biurko.

Ciekawość była tak silna, że Centaine czuła, jak swędzą ją ręce. W szufladzie leżał schowany dziennik Lothara.

Co za okropny pomysł — zganiła się w myślach, ale jej ręka, jakby z własnej woli, niepewnie spoczęła na rączce szuflady.

Co on mógł ó mnie napisać? Wolno wysunęła szufladę i wzrok jej spoczął na grubym brulionie oprawionym w skórę. Czy naprawdę chce to wiedzieć? Już miała zamknąć znowu szufladę, gdy nieoczekiwanie ciekawość przeważała. Przeczytam tylko to, co napisał o mnie — obiecała sobie w myślach.

Przysunęła się szybko do brezentowej zasłony i wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. Swart Hendrick przechodził właśnie obok wozu, prowadząc woły do zaprzęgu.

— Czy pan już wrócił? — zapytała go Centaine.

— Nie, proszę pani, nie słyszeliśmy jeszcze strzałów. Dzisiaj pewnie wróci późno.

— Zawołaj mnie, kiedy zobaczysz, że nadjeżdża — poleciła mu i wsunęła się z powrotem do środka.

Przykucnęła na podłodze z ciężkim dziennikiem w ręku i z ulgą stwierdziła, że w większości pisany jest w afrikaans, z fragmentami po niemiecku. Przekartkowała strony, aż znalazła dzień, kiedy Lothar uratował ją przed lwem. Był to najdłuższy zapis w całym dzienniku i liczył ponad cztery strony.

Lothar opisał dokładnie atak lwa, jak zestrzelił go z drzewa i jak powrócił z nieprzytomną

Centaine do obozu. Wspomnił także o Shasie i Centaine uśmiechnęła się, czytając o swoim synku.

Dzielny chłopak, mniej więcej w tym samym wieku co Manfred, kiedy go widziałem ostatni raz. Polubiłem go od pierwszego wejrzenia.

Z uśmiechem na twarzy Centaine przebiegła wzrokiem stronę, szukając opisu samej siebie i jej uwagę zwrócił jeden paragraf.

Nie mam żadnych wątpliwości, że to właśnie ta kobieta, chociaż wygląda zupełnie inaczej niż na fotografii i tak, jak została w mojej pamięci. Włosy ma gęste i skłębione jak u dziewcząt z plemienia Nama, a twarz wychudłą i brązową niczym małpka... — Centaine aż dech zaparło na taką obrazę — ...jednak kiedy otworzyła na chwilę oczy, były tak wielkie i piękne, że myślałem, iż serce mi pęknie.

Z lekka udobruchana Centaine szybko przewracała strony, nasłuchując cały czas jak złodziej odgłosu kopyt konia Lothara. Jej wzrok zatrzymał się na słowie Boesmanne napisanym równym, gotyckim pismem. „Buszmen” — poczuła, jak serce drgnęło jej w piersiach, i zaczęła czytać z zainteresowaniem.

Buszmeni kręcili się w nocy wokół obozu. Hendrick odkrył ich ślady przy zagrodzie z koźmi. Ruszyliśmy za nimi wraz z pierwszym światłem dziennym. Trudne polowanie...

Słowo jag zastanowiło Centaine. Polowanie? — nic z tego nie rozumiała. To słowo odnosiło się wyłącznie do polowania na dzikie zwierzęta. Czytała coraz szybciej. .

Odnaleźliśmy trop dwójki Buszmenów, ale niemal udało im się wymknąć, gdyż wdrapali się na skalną ścianę ze zwinnością pawianów. Nie mogliśmy za nimi podążyć i zgubilibyśmy ich niechybnie, gdyby nie przeważała w nich ciekawość, dokładnie jak u małp. Jedno z nich zatrzymało się przed samym szczytem skały i wychyliło się, żeby spojrzeć na nas. Bardzo trudny strzał z takiej odległości i pod takim kątem...

Centaine czuła, jak z twarzy odpływa jej cała krew. Nie mogła uwierzyć w to, co czyta. Każde słowo huczało jej w mózgu niczym echo odbijające się od pustych ścian jaskini.

Udało mi się jednak dobrze wycelować i strąciłem jedno z nich. Wtedy byłem świadkiem wyjątkowo ciekawego zdarzenia. Okazało się, że nie muszę marnować kolejnej kuli, gdyż drugi Buszmen rzucił się w dół z samego szczytu skały. Z dołu wyglądało to, jakby świadomie odepchnął się od ściany, ale nie wierzę w to; zwierzęta nie są zdolne do samobójstwa. Najprawdopodobniej w panice stracił oparcie pod nogami. Oba ciała spadły w trudno dostępne szczeliny, byłem jednak zdecydowany obejrzeć je z bliska. Wspinaczka okazała się trudna i niebezpieczna, ale ryzyko się opłacało. Pierwsze ciało, wyjątkowo starego mężczyzny, który spadł ze ściany, było zupełnie zwyczajne, poza składanym nożem zrobionym przez Josepha Rodgersa z Sheffield, przyczepionym na sznurku do pasa Buszmena.

Centaine zaczęła kręcić głową na boki. — Nie! — szepnęła z przerażeniem. — Nie!

Najpewniej ukradł go z jakiegoś innego obozu. Stary rzezimieszek zakradł się do nas w nocy w poszukiwaniu podobnego łupu.

Centaine zobaczyła malutkiego O'wa, ze łzami radości ściekającymi mu po policzkach, siedzącego w kucki w promieniach słońca na ziemi, z nożem w ręku.

— Na wszystko, co najświętsze, nie! — jęknęła przez zaciśnięte gardło, ale jej oczy nieubłaganie podążały za okrutnymi słowami.

Drugie ciało okazało się znacznie bardziej interesujące. Była to kobieta i jeśli to tylko możliwe, jeszcze starsza i bardziej pomarszczona niż mężczyzna. Na szyi miała zawieszoną zupełnie niezwykłą ozdobę...

Dziennik wysunął się z rąk Centaine. Zakryła twarz obiema rękami.

— H'ani! — zawołała w języku Sanów. — Moja babuniu, moja kochana, czcigodna babciu, przysłaś do nas. A on cię zastrzelił!

Kołysała się na boki, zawodząc głośno, jak to robili przejęci bólem Sanowie.

Nagle rzuciła się z nienawiścią na biurko. Wyszarpnęła szufladę, rozrzucając po podłodze luźne kartki, pióra i kawałki wosku.

— Naszyjnik — zaszlochała. — Naszyjnik! Muszę mieć pewność! Schwyciła za drzwiczki jednej z mniejszych zamykanych półek i mocno szarpnęła. Były zamknięte na klucz. Centaine porwała rączkę lewarka do wozów, metalowym końcem rozbiła mały zamek i wyłamała drzwiczki. W środku znajdowała się fotografia pulchnej blondynki z dzieckiem na kolanach, oprawiona w srebro, i plik listów przewiązanych jedwabną wstążką.

Centaine wyrzuciła je na podłogę i rozbiła następne drzwiczki. Tu znalazła pistolet Luger w drewnianej kaburze oraz paczkę amunicji. Cisnęła go na listy i na dnie ujrzała pudełko po cygarach. Uniosła wieczko. Pudełko kryło jakiś przedmiot owinięty w kraciatą chustkę i kiedy Centaine podniosła zawiniątko drżącymi dłońmi, ze środka wysunął się naszyjnik H'ani. Centaine patrzyła na niego szeroko olwartymi oczami, jak gdyby leżał przed nią jadowity wąż. Schowała ręce za plecy i mamrotała nieprzytomnie:

— H'ani, moja babuniu...

Przycisnęła ręce do ust, żeby opanować drżenie. Następnie wolno podniosła naszyjnik i trzymała na wyciągnięcie ręki przed oczami.

— Zamordował cię — szepnęła i nagle zebrało jej się na wymioty, gdy zobaczyła ciemne plamy krwi na lśniących kamieniach. — Zastrzelił cię jak zwierzę.

Przycisnęła naszyjnik do piersi i zaczęła jęczeć, kołysząc się na boki i zaciskając mocno powieki, żeby powstrzymać łzy. Siedziała tak, aż usłyszała nagle tętent konia i krzyki służby witającej Lothara.

Wstała z podłogi i musiała się przytrzymać bocznej ściany, tak silnego zawrotu głowy doznała. Jej ból był przytłaczający niczym żałoba, ale kiedy usłyszała głos wołający:

— Hendrick, weź ode mnie konia! Gdzie jest pani? — żal zniknął. Nadal drżały jej mocno ręce, ale oczy paliły ją już nie od łez, lecz od śmiertelnej nienawiści.

Schwyciła lugera i wyciągnęła go z drewnianej kabury. Odciągnęła zsuwnicę, patrząc, jak srebrzysty pocisk wskakuje do komory. Schowała pistolet do kieszeni spódnicy i podeszła do wyjścia.

Kiedy zeskoczyła na ziemię, Lothar ruszył jej na spotkanie, a twarz jaśniała mu od radości na widok dziewczyny.

— Centaine... — Zatrzymał się, widząc wyraz jej twarzy. — Centaine, czy coś jest nie w porządku?

Wyciągnęła ku niemu naszyjnik i kamyki zaślniły odbitym światłem w jej drżących palcach. Nie

mogła wykrztusić z siebie ani słowa. Twarz Lothara pociemniała, jego oczy zabłyśły z wściekłości.

— Otworzyłaś mój sekretarzyk!

— Zabiłaś ją!

— Kogo? — Lothar był szczerze zdziwiony. — Ach, tę Buszmenkę...

— H'ani!

— Nie rozumiem.

— Moją kochaną babunię! Lothar był wyraźnie zaniepokojony.

— Coś jest nie w porządku, pozwól...

Zrobił krok w stronę dziewczyny, ale Centaine cofnęła się z krzykiem.

— Nie zbliżaj się do mnie, nie dotykaj mnie! Nigdy więcej! Sięgnęła po pistolet do kieszeni.

— Centaine, uspokój się.

Zatrzymał się w pół kroku na widok broni w jej rękach.

— Oszalałaś? — Patrzył na nią ze zdumieniem. — Oddaj mi to! Zrobił krok do przodu.

— Ty morderco, ty potworze! Zamordowałeś ją!

Podniosła broń obiema rękami, a naszyjnik oplatał rękojeść. Lufa lugera zataczała pijane koła.

— Zamordowałeś moją małą H'ani! Nienawidzę cię!

— Centaine!

Lothar wyciągnął rękę, żeby zabrać pistolet. Z lufy wytrysnął obłoczek bladego dymu i broń kopnęła mocno Centaine w rękę, podrzucając jej dłonie ponad głowę. Strzał rozległ się niczym trzaśnięcie biczem, ogłuszając dziewczynę na chwilę.

Ciało mężczyzny zostało odrzucone do tyłu i jednocześnie obróciło się w bok na piętach. Złote loki zafalowały jak żyto ugięte przez silny powiew wiatru; Lothar opadł na kolana i runął twarzą w piach.

Centaine opuściła rękę z pistoletem i oparła się ciężko o wóz, gdy Hendrick rzucił się i wyszarpnął jej lugera z dłoni.

— Nienawidzę cię! — zawołała do Lothara. — Zdechnij, do diabła, i niech cię piekło pochłonie!

Centaine jechała z opuszczonymi wodzami, pozwalając koniowi wybrać drogę. Trzymała Shasę na biodrze przywiązanego w pasie, żeby nie spadł na ziemię. Głowę małego złożyła w zagłębieniu łokcia i chłopiec spał spokojnie ukołysany spokojnym krokiem konia.

Silny, zimny wiatr od pięciu dni nieustannie chłostał pustynię i niesione przez wiatr piaski szumiały na nagiej ziemi niczym fale morskie na plaży, a okrągłe kępy zielska wyrwanego przez wiatr toczyły się po równinie niczym piłki. Małe stada antylop stały zwrócone tyłem do wiatru z ogonami podkulonymi pomiędzy nogami.

Centaine owinęła sobie chustę na głowie niczym turban i zarzuciła na plecy gruby pled, żeby osłonić siebie i Shasę. Siedziała skulona w siodle, a lodowaty wiatr porywał brzegi koca i targał końską grzywę. Dziewczyna zmrużyła powieki przed niesionym przez wiatr piaskiem i nagle dojrzała Palec Boga.

Był jeszcze daleko przed nimi, ledwo widoczny przez szare od kurzu powietrze, ale nawet z odległości prawie dziesięciu kilometrów widziała ostry szczyt skalnego słupa wzbijający się ku zasłoniętemu przez niskie chmury niebu. To był właśnie powód, dla którego Lothar De La Rey wybrał to miejsce na spotkanie. Skała miała zupełnie wyjątkowy kształt i nie można jej było pomylić z żadną inną.

Centaine ściągnęła wodze i zmusiła konia do truchtu. Shasa zapłakał przez sen, protestując przeciwko zmianie tempa, ale Centaine wyprostowała się pewnie w siodle, starając się odgonić od siebie smutek i nienawiść, które ciążyły jej na sercu niczym dwa potężne głązy.

Z wolna zarys Palca Boga stawał się coraz wyraźniejszy na tle mętnego, żółtawego nieba. Wysoki na ponad pięćdziesiąt metrów wąski słup skalny rozszerzał się ku górze niczym osłonięty kapturem łeb kobry. Patrząc na skałę, Centaine czuła ten sam zabobonny strach, który musiał ogarniać także Hotentotów, skoro nadali skale nazwę Mukurob.

Promyk światła odbity od jakiegoś metalu u podstawy skalnego bloku przyciągnął wzrok Centaine. Osłoniła oczy ręką koca i zaczęła wpatrywać się bacznie w półmrok.

— Shasa — szepnęła. — Oni tam są! Czekają na nas. Przynagliła znużonego konia do cwału i uniosła się w strzemionach. W cieniu skały stał zaparkowany samochód, a za nim wznosił się nieduży zielony namiot. Przed namiotem paliło się ognisko, znad którego wiatr unosił nikły, niebieskawy obłoczek dymu i porywał go nad pustynię.

Centaine zerwała turban z głowy i zaczęła nim machać niczym sztandarem.

— Hej! — krzyczała co sił w płucach. — Hej! Jestem tu!

Dwie małe figurki podniosły się od ogniska, patrząc w jej stronę.

Centaine krzyczała i machała chustą w pełnym galopie i jedna z postaci rzuciła się biegiem w jej stronę. Była to potężnie zbudowana kobieta w długiej spódnicy. Biegnąc trzymała spódnicę ponad kolanami, brnąc ciężko przez sypki piasek, a jej twarz była purpurowa z wysiłku i emocji.

— Anna! — krzyknęła Centaine. — Och, Anno!

Po szerokiej, czerwonej twarzy ściekały strumyki łez i Anna zatrzymała się przed nadbiegającym koniem, puściła spódniczki i wyciągnęła ręce ku Centaine.

— Moje dziecko! — zapłakała, a Centaine zeskoczyła z siodła i trzymając Shasę przy piersi rzuciła się w otwarte ramiona.

Stały obie, tuląc się z całych sił, usiłując mówić jedna przez drugą, zupełnie bez składu, i śmiały się przez łzy, aż wreszcie ściśnięty przez nie Shasa wydał jęk protestu.

Anna porwała go od Centaine i przytuliła do siebie.

— Chłopiec — to chłopiec.

— Michael — Centaine płakała ze szczęścia. — Nazwałam go Michael Shasa. — Shasa zawył radośnie i sięgnął obiema rękami po tę wspaniałą twarz, wielką i czerwoną jak dojrzały do jedzenia owoc.

— Michael! — zapłakała Anna, zasypując go pocałunkami. Shasa, który doskonale znał się na całowaniu, otworzył szeroko usta i obślinił Annie całą brodę. Tuląc Shasę do piersi, Anna pociągnęła Centaine za rękę w stronę ogniska.

Na ich spotkanie wyszedł wysoki mężczyzna o szerokich ramionach. Rzadkie, siwiejące włosy opadały mu do tyłu, odsłaniając wysokie czoło, łagodne oczy krótkowidza były odrobinę mniej błękitne niż oczy Michaela, a nos, równie potężny jak nochal generała Seana Courteneya, robił wrażenie, jakby sam wstydził się swej długości.

— Jestem ojcem Michaela — przedstawił się nieśmiało, a Centaine miała wrażenie, że patrzy na wyblakłą fotografię narzeczonego.

Ogarnęło ją poczucie winy, gdyż nie dotrzymała obietnicy danej ukochanemu. Na chwilę oczami wyobraźni ujrzała jego poskręcane ciało w kokpicie płonącego samolotu i obolała od żalu i poczucia winy rzuciła się Garrickowi na szyję.

— Tatusiu! — zawołała.

Wstydliva rezerwa Garry'ego w jednej chwili zniknęła i przytulił dziewczynę do siebie, łkając głośno.

— Już straciłem nadzieję... — Nie mógł nic więcej wykrztusić. Widok łez pobudził Annę do szlochów. Tego już było za dużo dla Shasy. Wydał z siebie żalony pisk i wszyscy czworo stali pod

Palcem Boga, zanosząc się od płaczu.

Zdawało się, że wozy płyną ku nim przez potoki piachu i kurzu, kołysząc się na nierównym gruncie. Patrząc na zbliżający się tabor, Anna mruknęła:

— Powinniśmy być dozgonnie wdzięczni temu człowiekowi... Oparła się o tylne siedzenie fiata, trzymając Shasę na kolanach.

Centaine siedziała tuż obok niej.

— Zostanie sowicie wynagrodzony.

Garry stał z jedną nogą opartą o podłogę samochodu. W rękę trzymał zwinięty w rulon dokument obwiązany czerwoną wstążką. Poklepał nim sztuczną nogę.

— Ile byś mu zapłacił, to i tak będzie za mało — stwierdziła Anna, przytulając do siebie Shasę.

— Ten człowiek to przestępca i wyrzutek społeczeństwa. — Garry nachmurzył się. — Sprzeciwia się to mojemu...

— Tatusiu, proszę, zapłać wszystko, co mu się należy — poprosiła ncho Centaine — i pozwól mu odejść. Nie chcę go więcej widzieć na oczy.

Mały, półnagi chłopiec z plemienia Nama, prowadzący zaprzęg wołów, zatrzymał je przenikliwym gwizdem i Lothar De La Rey zsiadł wolno z pierwszego furgonu, krzywiąc się z bólu.

Kiedy stanął na ziemi, zatrzymał się na chwilę, opierając się przy lym o wóz. Jedną rękę miał przewiazaną na temblaku. Spod ciemnej opalenizny na twarzy prześwitywała trupia bladość. Oczy miał silnie podkrążone, w kącikach ust widać było ból, a szczękę skryła gęsta, krótka, jasna broda.

— Jest ranny — zauważyła Anna. — Co mu się stało? Centaine w milczeniu odwróciła głowę w drugą stronę.

Lothar zebrał siły i ruszył na spotkanie Garry'ego. W połowie drogi pomiędzy wozami a fiatem wymienili uściski. Lothar podał niezgrabnie zdrową lewą rękę.

Rozmawiali stłumionymi głosami i Centaine nie mogła dosłyszeć ani słowa. Garry podał mu dokument, Lothar rozwiązał wstążkę zębami i rozpostarł papier na kolanie, trzymając go zdrową ręką. Pochylił się, żeby przeczytać tekst.

Po minucie wyprostował się i pozwolił, by dokument zwinął się z powrotem w rulon. Skinął Garry'emu głową i powiedział coś. Na jego twarzy nie rysowały się żadne uczucia, a Garry niepewnie szurnął nogą i zrobił gest, jakby jeszcze raz chciał mu uściśnąć dłoń, ale szybko opuścił rękę, gdyż Lothar nie zwrócił nań uwagi.

Patrząc na Centaine, obszedł Garry'ego i ruszył w stronę samochodu. Ta natychmiast porwała Shasę z kolan Anny, przytuliła do siebie i wbiła się w kąt auta, patrząc na Lothara z nienawiścią i zasłaniając się Shasą. Mężczyzna, zatrzymał się, podniósł rękę w proszącym geście, ale szybko ją opuścił, gdy wyraz twarzy dziewczyny nie uległ zmianie.

Garry ze zdziwieniem spoglądał to na jedno, to na drugie.

— Tatusiu, czy możemy już jechać? — zapytała ostrym głosem Centaine.

— Oczywiście, kochanie.

Pułkownik podszedł do samochodu i nachylił się nad korbą, żeby uruchomić silnik. Gdy silnik wystrzelił, Garry podbiegł do siedzenia kierowcy i ustawił dźwignię zapłonu.

— Czy nie chcesz nic powiedzieć temu człowiekowi? — zapytał Centaine, kiedy zaś przecząco pokręciła głową, zajął miejsce za kierownicą. Samochód szarpnął i ruszył z miejsca.

Centaine tylko raz się obejrzała za siebie, gdy przejechali już ponad kilometr wyboistą drogą. Lothar De La Rey stał pod potężnym skalnym słupem, malutki i samotny z tej odległości, i patrzył za nimi.

Zielone pola Zululandu tak bardzo kontrastowały z martwością Kalahari i przerażającymi wydymami

Pustyni Namibijskiej, że Centaine z truciem mogła uwierzyć, iż wciąż jest na tym samym kontynencie. Przypomniała sobie, że znajdują się po drugiej stronie Afryki, dwa tysiące kilometrów od Palca Boga.

Garry Courteney zatrzymał fiata na szczycie wysokiej skarpy górującej nad rzeczką Baboon Stroom, zgasił silnik i pomógł obu kobietom wysiąść.

Wziął Shasę od Centaine i doprowadził obie na skraj urwiska.

— Tam — pokazał palcem. — To jest Theunis Kraal, gdzie urodziliśmy się Sean i ja, a później Michael.

Dom stał u stóp skarpy, otoczony ogrodami. Nawet z tej odległości Centaine mogła dostrzec, że ogrody są zarośnięte niczym tropikalna dżungla. Wysokie palmy i kwitnące drzewa oplatała siatka purpurowych pnączy, a małe stawy rybne były zielone od glonów.

— Oczywiście cały dom został odbudowany po pożarze. — Garry zawahał się na moment i jego niebieskie oczy przesłonił cień, gdyż w tym pożarze zginęła matka Michaela. — Przez ostatnie lata rozbudowałem go — dodał szybko.

Centaine uśmiechnęła się, gdyż budowla przypominała jej starą kobietę, która narzuciła na siebie kilkanaście najróżniejszych i zupełnie nie pasujących części stroju. Greckie kolumny i georgiańskie dachówki z czerwonej cegły kłóciły się z białymi, ozdobionymi zakrętami szczytami w stylu holenderskim. Poskręcane nadstawki kominów tłoczyły się z zakończonymi blankami przyporami i kamiennymi wieżyczkami. Za domem ciągnęły się aż po horyzont zielone pola trzciny cukrowej, która falowała na wietrze niczym wzburzona lekką bryzą powierzchnia morza.

— Tam dalej jest Lion Kop. — Garry obrócił się ku zachodowi, gdzie skarpa schodziła łagodnie ku Ladyburgowi, otaczając go zalesionym naturalnym amfiteatrem. — Wszystko to ziemia Seana, tam, od mojej granicy. Tak daleko, jak wzrokiem sięgnąć. Razem z Seanem posiadamy całą skarpe. Tam jest ich dom, Lion Kop, widać stąd tylko dach pomiędzy drzewami.

— Jak tu pięknie — szepnęła Centaine. — Ojejku, tam są góry! Widać ich ośnieżone szczyty!

— To góry Drakensberg, prawie dwieście kilometrów stąd.

— A to? — Centaine wskazała ponad dachami miasteczka, cukrownią i tartakiem na elegancką, białą posiadłość leżącą na zboczu doliny. — Czy to także posiadłość Courteneyów?

— Tak. — Wyraz twarzy Garry'ego uległ zmianie. — Dirka Courteneya. To syn Seana.

— Nie wiedziałam, że generał ma syna.

— On też czasami wolałby o tym nie wiedzieć — mruknął Garry i szybko zmienił temat. — Chodźmy, zbliża się pora obiadu i jeśli listonosz doręczył mój telegram, służba powinna nas oczekiwać.

— Mijnheer, ile ma pan ogrodów? — spytała Anna.

Fiat zjeżdżał krętą drogą do Theunis Kraal i Anna przyglądała się dzikiej roślinności ze zmarszczonymi brwiami.

— Chyba cztery, a może pięć.

— Wygląda na to, że nie są odpowiednio wykorzystane — powiedziała kobieta z naganą w głosie.

Centaine uśmiechnęła się na myśl, że od tej pory ogrody z pewnością będą zarabiały na swoje utrzymanie. Jej uwagę zwróciła inna część gospodarstwa.

— Spójrzcie!

Poderwała się z miejsca, trzymając się jedną ręką przedniego siedzenia, a drugą przytrzymując kapelusz na głowie. Po przeciwnej stronie białego płotu biegnącego wzdłuż drogi dojazdowej stado zrzebiąt wystraszyło się warkotu samochodu i rzuciło się do ucieczki przez porośniętą soczystą trawą

wygon. Ich krótkie grzywy powiewały na wietrze, zwierzęta wyrzucały wysoko kopyta, a promienie słońca odbijały się od lśniącej sierści.

— Do twoich obowiązków, kochanie, będzie także należało pilnowanie, aby konie miały odpowiednią ilość ruchu. — Garry obrócił się od kierownicy i posłał uśmiech Centaine. — Będziemy musieli wybrać także kucyka dla małego Michela.

— Nie ma jeszcze dwóch lat — zaprotestowała Anna.

— Nigdy za wcześnie, mewou. — Garry posłał także i jej promienny uśmiech, który przybrał lubieżny odcień. — Lub za późno.

Mimo że Anna wciąż marszczyła groźnie brwi, wyraz jej oczu wyraźnie zmiękł.

— No! Widzę, że służba jednak nas oczekuje! — wykrzyknął Garry i zatrzymał samochód przed podwójnymi drzwiami z drzewa tokowego. Służba zgrupowała się według starszeństwa, poczynając od zuluskiego kucharza w wysokim białym czepcu aż po stojących na końcu chłopców stajennych, ogrodników i parobków. Wszyscy klaskali z szacunkiem w dłonie i uśmiechali się promiennie, pokazując białe zęby. Shasa zaczął podskakiwać na kolanach Centaine i wydał z siebie okrzyk zachwyty.

— Ach, Bayete — roześmiał się kucharz i złożył Shasie królewski salut. — Pozdrawiamy cię, mały wodzu, i życzymy, żebyś urósł równie wysoki i silny jak twój ojciec.

Weszli do Theunis Kraal i Garry z dumą zaczął im pokazywać przepastne pokoje w ich artystycznym nieładzie. Mimo że Anna przesuwiała ręką po powierzchni każdego mijanego mebla i krzywiła się, kiedy na palcu zostawał jej kurz, Theunis Kraal cechowała ciepła i przyjazna atmosfera, od wielkopańskich salonów obwieszonych trofeami myśliwskimi, aż po bibliotekę, gdzie więcej kosztownych, choć porządnie zakurzonych książek spoczywało na podłodze i biurku niż na półkach. Centaine poczuła się tu od razu jak u siebie.

— Jak dobrze będzie znowu mieć wokół siebie młodych ludzi, piękne dziewczęta i małego chłopca — zachwycał się Garry. — Ten dom potrzebuje, żeby ktoś go ożywił.

— Nie zaszkodzi mu także, jak się go trochę posprząta — mruknęła Anna, ale Garry znajdował się już w połowie schodów, wyraźnie odmłodzony przez radość.

— Chodźcie, pokażę wam wasze pokoje.

Garry wybrał dla Anny pokój położony tuż obok swojej sypialni i mimo że Centaine nie zauważyła żadnego związku, Anna spuściła oczy i wyglądała jak przesadnie skromny buldog, gdy zobaczyła dyskretne drzwiczki łączące oba pomieszczenia.

— A tu będzie twój, kochanie. — Garry poprowadził Centaine wzdłuż galerii do olbrzymiego, słonecznego pokoju z drzwiami balkonowymi otwierającymi się na szeroki taras nad ogrodami.

— Jest piękny!

Centaine zaczęła klaskać w dłonie z radości i wybiegła na taras.

— Oczywiście trzeba będzie go odnowić, ale to już sama wybierzesz kolory, dywany i zasłony, jakie ci odpowiadają. Chodźmy teraz do pokoju małego Michela.

Gdy Garry otworzył drzwi naprzeciw pokoju Centaine, wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Centaine weszła do środka i od razu zrozumiała dlaczego.

Wszędzie wokoło czuło się obecność Michaela. Uśmiechał się do niej z oprawionych fotografii wiszących na ścianie: Michael w stroju do rugby stojący z założonymi na piersiach rękami pomiędzy czternastoma innymi młodymi graczami, Michael w białym ubraniu do krykieta, z kijem w ręku, Michael ze strzelbą i trofeum w postaci kilkunastu kuropatw. Z twarzy Centaine odpłynęła krew.

— Pomyślałem, że Michel mógłby dostać pokój po ojcu — bąknął przeproszającym tonem Garry. — Oczywiście, kochanie, jeśli się nie zgadzasz, to jest jeszcze piętnaście innych do wyboru.

Centaine wolno przeniosła wzrok ze strzelb w stojaku na stojące w kącie wędki i kije do krykieta, na książki poukładane na półkach nad biurkiem, tweedowe kurtki i nieprzemakalne płaszcze wiszące na kołkach.

— Zgadzą się. — Skinęła głową. — To będzie pokój Shasy i zostawimy wszystko tak, jak jest.

— Dziękuję. — Garry uśmiechnął się uszczęśliwiony. — Bardzo się cieszę, że się zgadzasz.

Wybiegł z pokoju i zaczął wykrzykiwać rozkazy służbie w języku zulu.

Centaine wolno ruszyła przez pokój, przesuając palcami po łóżku, na którym spał Michael, zatrzymując się na chwilę, żeby przyłożyć szorstki tweedowy materiał kurtki do policzka i wyobrażając sobie, że czuje jeszcze zapach jego ciała. Podeszła do biurka i powiodła palcami po wyżłobionych w dębowym blacie inicjałach „MC”. Zdjęła z półki książkę Jock of the Bushveld, otworzyła ją na stronie tytułowej i na okładce znalazła napis: „Ta książka została skradziona Michaelowi Courteneyowi”. Zamknęła szybko książkę i wyszła z pokoju.

Na korytarzu panowało niewielkie zamieszanie. Garry kierował dwoma zuluskimi służącymi, którzy uginali się pod ciężarem dziecięcego łóżeczka. Wysokie boki i masywna mahoniowa konstrukcja mogłyby pomieścić wyrosniętego lwa.

— To było łóżko Michaela. Chyba będzie nadawać się także dla jego syna, co o tym sądzisz, kochanie?

Zanim Centaine zdążyła odpowiedzieć, na dole zadzwonił telefon.

— Pokaż im, gdzie mają je postawić — zawołał Garry zbiegając po schodach.

Nie było go prawie przez pół godziny i Centaine co chwila dobiegał przenikliwy dzwonek telefonu. Kiedy Garry wrócił, aż gotował się ze złości.

— Ten przekłęty telefon nie przestaje dzwonić. Wszyscy chcą cię poznać, kochanie. Stałaś się bardzo sławna. Kolejny dziennikarz chce przeprowadzić z tobą wywiad...

— Mam nadzieję, że powiedziałeś mu „nie” w moim imieniu, tatusiu.

Wyglądało na to, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy każdy dziennikarz w Afryce Południowej marzył o rozmowie z Centaine. Historia dziewczyny i dziecka uratowanych z afrykańskiej dziczy zainteresowała wszystkie gazety od Johannesburga i Sydney aż po Londyn i Nowy Jork.

— Posłałem go do wszystkich diabłów — zapewnił ją Garry. — Jest jednak jeszcze ktoś, kto chciałby cię zobaczyć.

— Kto taki?

— Mój brat, generał Courteney. On i jego żona przyjechali ze swojego domu w Durbanie do Lion Kop i zapraszają nas jutro na obiad. Przyjąłem zaproszenie w twoim imieniu. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

— Och tak, jak najbardziej!

Anna kategorycznie odmówiła wzięcia udziału w wizycie w Lion Kop.

— Mam tu wystarczająco dużo pracy! — oświadczyła.

Służba w Theunis Kraal zdążyła jej już nadać przydomek: Checha — „pospiesz się” — od pierwszych słów w języku zulu, jakich Anna się nauczyła. Wszyscy też szybko nabrali dla niej szacunku zabarwionego strachem.

Tak więc Garry i Centaine z Shasą siedzącym pomiędzy nimi na przednim siedzeniu pojechali serpentyną wijącą się przez skarpe do Lion Kop. Kiedy zatrzymali się przed rozległymi zabudowaniami o uroczych, krytych słomą dachach, z frontowych schodów zbiegła, lekko kuśtykając, znajoma, krzepka postać. Sean wziął Centaine za obie ręce.

— Mam wrażenie, jakbyś zmartwychwstała — powiedział miękko. — Żadne słowa nie potrafią wyrazić tego, co czuję. — Obrócił się, żeby wziąć Shasę z ramion Garry'ego. — Więc to jest syn

Michaela!

Shasa zaszczebiotał radośnie i złapał obiema rączkami generała za gęstą brodę.

Ruth Courteney, żona Seana, która była w wieku pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką, kiedy kobieta znajduje się u szczytu piękności i elegancji, ucałowała Centaine w policzek i powiedziała miękko:

— Michael był dla nas kimś bardzo szczególnym i chcielibyśmy, żebyś zajęła jego miejsce w naszych sercach.

Za nią stała młoda dziewczyna i Centaine rozpoznała w niej tę, którą widziała na zdjęciu u generała we Francji. Storm Courteney była jeszcze piękniejsza niż na fotografii, miała różową cerę i lśniące żydowskie oczy matki, ale jej delikatne usta były odęte, nadając jej lekko nadąsaną minę rozpieszczonego dziecka. Przywitała Centaine po francusku.

— Comment vas-tu, chérie?— Jej akcent był okropny. Dziewczęta spojrzały sobie w oczy, od razu czując do siebie silną niechęć.

Za Storm stał wysoki i szczupły młody mężczyzna o poważnym wyrazie twarzy i delikatnym spojrzeniu. Mark Anders był sekretarzem generała i Centaine polubiła go od pierwszego spojrzenia, tak jak instynktownie znieubiła córkę generała.

General Sean Courteney wziął Centaine pod jedno ramię, żonę pod drugie i wprowadził je do domu.

Mimo że domy obu braci były oddalone o zaledwie kilka kilometrów, równie dobrze mogły znajdować się na przeciwnych krańcach świata. Żółta podłoga w Lion Kop lśniła od wosku, na ścianach wisiały obrazy utrzymane w pastelowych kolorach — Centaine rozpoznała marzycielskie sceny z Tahiti namalowane przez Paula Gauguina — i wszędzie stały olbrzymie wazony pełne świeżych kwiatów.

— Garry i ja musimy was przeprosić na kilka minut. Mark zajmie się wami w tym czasie.

Sean zaprowadził Garry'ego do swojego gabinetu, a sekretarz podał paniom po kieliszku likieru.

— Byłem z generałem we Francji — Mark zwrócił się do Centaine, podając jej kieliszek — i pamiętam całkiem dobrze wioskę Mort Homme. Mieliśmy tam kwaterę, kiedy objeżdżaliśmy linie.

— Och, jak to miło spotkać kogoś, kto pamięta moje rodzinne strony! — zawołała Centaine i impulsywnie dotknęła jego ramienia.

Storm Courteney, siedząca po drugiej stronie salonu w niedbalej pozie na pokrytej jedwabiem sofie, posłała dziewczynie tak nienawistne spojrzenie, że Centaine ucieszyła się w głębi duszy.

Alors, chérie! Więc tak się mają sprawy! Obróciła się do Marka Andersa i patrząc mu prosto w oczy, zapytała swoim najbardziej gardłowym francuskim:

— Czy pamięta pan także chateau, za kościołem, na północ od wioski?

W ustach Centaine zabrzmiało to jak zaproszenie do zakazanych rozkoszy, ale Ruth Courteney zorientowała się szybko, co się święci i zręcznie interweniowała.

— Centaine, proszę, usiądź koło mnie — poleciła. — Chcę usłyszeć o twoich niewiarygodnych przygodach.

Tak więc Centaine musiała powtórzyć po raz pięćdziesiąty starannie przygotowaną okrojoną wersję swej wędrówki przez pustynię po storpedowaniu i zatonięciu okrętu.

— Niesamowite! — przerwał jej w pewnym momencie Mark Anders. — Miałem okazję podziwiać malowidła Buszmenów w jaskiniach gór Drakensberg, niektóre z nich są naprawdę wspaniałe, ale nie miałem pojęcia, że w tym kraju znajdują się jeszcze żywi Buszmeni. Sześćdziesiąt lat temu przepędzono ich z tych gór — zawsze uważałem, że to podstępne i niebezpieczne dzikusy — i byłem pewien, że wszyscy wyginęli.

Siedząca na sofie Storm wzdrygnęła się sztucznie.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, cherie, jak mogłaś znieść dotyk tych małych, żółtych potworów. Chybabym umarła, gdyby który się do mnie zbliżył!

— Bien sur, cherie, nie przypadłoby ci także do gustu jedzenie żywych jaszczurek i szarańczy? — zapytała słodkim tonem Centaine i Storm zbladła.

Sean Courteney wszedł głośno do pokoju i przerwał im rozmowę.

— Jak dobrze widzieć, że należysz już do naszej rodziny, Centaine. Jestem pewien, że ty i Storm zostanieie przyjaciółkami, co?

— Niewątpliwie, tato — mruknęła Storm, a Centaine roześmiała się tylko.

— Pańska córka jest taka słodziutka. Czuję, że już ją kocham.

Centaine bezbłędnie wybrała jeden przymiotnik: „słodziutka”, który wywołał wściekłe rumieńce na policzkach tamtej.

— Świetnie! Świetnie! Kochanie, czy obiad już podany?

Ruth wstała z fotela i wzięwszy męża pod ramię, zaprowadziła ich na wewnętrzny dziedziniec, gdzie w cieniu krzewów jacaranda ustawiono stół. Przesączające się przez listowie i kwiaty światło miało kolor fioletowo-zielony, jakby znajdowali się w podwodnej grocie.

Zuluscy służący, którzy stali wokół stołu, na znak Seana wynieśli Shasę do kuchni niczym małego księcia. Widać było, że są zachwyceni małym chłopcem, tak samo jak on ich czarnymi, uśmiechniętymi twarzami.

— Zepsują go, jeśli im na to pozwolisz — ostrzegła Ruth Centaine. — Zulusi kochają małych chłopców jeszcze bardziej niż swoje bydło. Moja droga, może usiądziesz przy generale.

Podczas obiadu Sean uczynił z Centaine centrum zainteresowania. Siedząca przy końcu stołu Storm przybrała znudzoną i wyniosłą minę.

— Moja droga, chcę usłyszeć o twoich przygodach.

— Jezu, tatusiu, już raz przez to przeszliśmy — jęknęła Storm, wywracając oczami.

— Zachowuj się grzecznie — ostrzegł ją Sean i zwrócił się do Centaine. — Zacznij od dnia, kiedy cię widziałem ostatni raz, i nie u szczaj niczego. Najmniejszego szczegółu, dobrze?

Przez cały obiad Garry milczał i zachowywał się jak nieobecny, co ntrastowało z jego entuzjastycznym nastrojem w ciągu ostatnich tygodni. Pierwszy wstał szybko od stołu, kiedy po kawie Sean zwrócił mi; do zebranych przy stole:

— Muszę was przeprosić na minutę. Garry i ja zabieramy Centaine na małą pogawędkę.

Ściany gabinetu generała wyłożono mahoniową boazerią, książki stojące na półkach były oprawione w miękką cielecą skórę, a wyściełane lotcie zostały obite na brązowo. Na podłodze leżały orientalne dywany, i w rogu biurka stała mała, brązowa rzeźba Antona Van Wouwa przedstawiająca buszmeńskiego myśliwego z łukiem w jednym ręku, drugą ręką zaś osłaniającego oczy, gdy rozglądał się za zwierzyną. Rzeźba tak bardzo przypominała O'wa, że Centaine wstrzymała oddech.

Z cygarem w ręku Sean wskazał jej fotel naprzeciw swojego biurka. Centaine czuła się przytłoczona olbrzymim meblem. Garry zajął miejsce obok niej.

— Rozmawiałem z Garrym — powiedział Sean bez żadnych wstępów. — Powiedziałem mu o okolicznościach śmierci Michaela przed waszym ślubem.

Usiadł za biurkiem i w zamyśleniu potarł obrączkę na palcu.

— Wszyscy wiemy, że w każdym sensie, poza legalnym, Michael był twoim mężem i naturalnym ojcem Michela. Jednak oficjalnie Michel jest... — szukał przez chwilę odpowiedniego słowa — Michel jest dzieckiem nielegalnym. W oczach prawa jest bękartem.

Słowo to zaszokowało Centaine. Patrzyła szeroko otwartymi oczami na Seana przez kłęby niebieskawego dymu.

— Nie możemy na to pozwolić. — Garry przerwał wreszcie nieprzyjemną ciszę. — To mój wnuczek. Zwyczajnie nie możemy na to pozwolić.

— Garry ma rację — potwierdził Sean. — Nie możemy na to pozwolić.

— Za twoją zgodą, kochanie — Garry mówił prawie szeptem — chciałbym zaadoptować Michela. — Centaine zwróciła wolno głowę w jego stronę i Garry pośpiesznie dodał: — To by była tylko formalna adopcja, taki prawny wybieg, żeby zagwarantować mu odpowiedni status w świecie. Można to załatwić bardzo dyskretnie i fakt ten w żaden sposób nie wpłynie na wasze wzajemne stosunki. Nadal byłabyś jego matką i sprawowała nad nim opiekę, a ja mógłbym zostać jego opiekunem i zrobić wszystko, czego nie może zrobić dla niego naturalny ojciec. — Centaine skrzywiła się z bólu i Garry zaczął ją uspokajać. — Przykro mi, kochanie, ale musimy o tym porozmawiać. Jak Sean już powiedział, zgodziliśmy się, że jesteś wdową po Michaelu. Chcemy, żebyś używała naszego nazwiska i będziemy cię traktować, jakby wasz ślub odbył się rzeczywiście — urwał i nerwowo odkaszał. — Nikt o tym nigdy się nie dowie, poza osobami znajdującymi się w tym pokoju i Anną. Czy zgodzisz się na adopcję ze względu na dziecko?

Centaine wstała i podeszła do Garry'ego. Uklękła przed nim i położyła mu głowę na kolanach.

— Dziękuję — szepnęła. — Jesteś najdelikatniejszym człowiekiem na świecie. Teraz naprawdę zająłeś miejsce mojego ojca.

Następne miesiące były najszcześniejszym okresem w życiu Centaine; bezpieczne i pełne słońca, wynagradzały jej wszystkie minione przejścia. Dnie wypełniał radosny śmiech Shasy, życzliwa, choć nieśmiała bliskość Garry'ego i bardziej wyraźna, pierwszoplanowa obecność Anny.

Każdego ranka przed śniadaniem i po południu Centaine jeździła konno. W przejażdżkach często towarzyszył jej Garry i kiedy wspinali się leśnymi ścieżkami na skarpe czy zatrzymywali konie przy jezioru pod wodospadem, zabawiał ją opowieściami o dzieciństwie Michaela i historiami rodzinnymi.

Resztę dnia Centaine spędzała na wybieraniu zasłon i tapet, nadzorowaniu malarzy odnawiających dom, konsultowaniu się z Anną co do sposobu przemeblowania Theunis Kraal i zabawie z Shasą. Musiała też coraz bardziej uważać, żeby zuluscy służący nie rozpuścili do reszty chłopca. Garry uczył jej również trudnej sztuki prowadzenia wielkiego fiata. W wolnych chwilach Centaine rozpatrywała jeszcze napływające obficie każdego dnia zaproszenia. Niepostrzeżenie przejęła zarządzanie Theunis Kraal w swoje ręce, tak samo jak to miało miejsce z pałacykiem w Mort Homme.

Wieczorem Centaine przychodziła z Shasą na herbatę do gabinetu Garry'ego, w którym ów spędzał większą część czasu. Garry zakładał okulary w złotych oprawkach i czytał im rozdziały swej książki, napisane tego dnia.

— Och, jak to wspaniale mieć taki dar! — zawołała raz Centaine i Garry odłożył rękopis.

— Naprawdę podziwiasz ludzi, którzy potrafią pisać? — zapytał.

— Jesteście zupełnie wyjątkowi.

— Nonsens, kochanie, jesteśmy zupełnie zwyczajnymi ludźmi, na tyle próżnymi, żeby wierzyć, iż inni ludzie zechcą wysłuchać tego, co

Miny do powiedzenia.

— Chciałabym umieć pisać.

— Umiesz pisać. Masz wspaniały styl.

— Miałam na myśli prawdziwe pisanie.

— Potrafisz pisać. Weź sobie blok papieru i spróbuj coś napisać, jeśli tylko chcesz.

— Ale... — patrzyła na niego oszołomiona — ale o czym miałabym pisać?

— Opisz wszystko, co ci się przydarzyło na pustyni. To byłby bardzo dobry początek.

Centaine potrzebowała trzech dni, żeby przyzwycząć się do tego pomysłu. Wreszcie kazała służbie wynieść stolik na balkon i usiadła przy nim z piórem w rękę, z plikiem czystego papieru przed sobą i z duszą na ramieniu. Lęk nie opuszczał jej przez następne dni, gdy wyciągała pierwszą czystą stronę, ale szybko zniknął, w miarę jak rzędy stów zapełniały kartki.

Przyniosła na balkon ulubione przedmioty, żeby towarzyszyły jej przy pisaniu. Na wyłożoną kafelkami podłogę położyła dywanik, na stoliku ustawiła porcelanową wazę, którą Anna codziennie wypełniała świeżymi kwiatami, przed sobą zaś umieściła składany nóż O'wa, którym temperowała ołówki.

Z prawej strony miała pudełko na biżuterię, wyściełane aksamitem, a w środku spoczywał naszyjnik H'ani. Ilekroć brakowało jej inspiracji, odkładała ołówek i brała do rąk ciężki naszyjnik. Pocierała palcami lśniące kamyki niczym różaniec, a ich chłodny dotyk uspokajał ją i dodawał sił.

Każdego popołudnia od obiadu aż do wieczornej herbaty u Garry'ego pisała przy stoliku na balkonie, a Shasa spał obok w łóżeczku lub kręcił się przy jej nogach.

Już po kilku dniach Centaine wiedziała, że nigdy nie będzie mogła nikomu pokazać swojego pamiętnika. Pisząc nie potrafiła niczego ukrywać, unikała też wszelkich dwuznaczności. Zarówno szczegóły dotyczące miłości z Michaeliem, jak też smak zepsutej ryby, którą znalazła na plaży, musiałyby zaszokować każdego czytelnika.

— Piszę dla samej siebie — zdecydowała.

Pod koniec każdego dnia pracy, kiedy odkładała zapisane kartki na pudełko z naszyjnikiem, czuła przejmującą satysfakcję i radość ze swojego osiągnięcia.

Tylko czasami pełni szczęścia przesłaniały drobne chmury.

Zdarzało się, że we śnie zbliżała się do progów świadomości i instynktownie sięgała po zwinne ciało mężczyzny, który powinien być obok niej, pragnąc poczuć na sobie jego gładkie, silne mięśnie i długie, jedwabiste włosy, które pachniały słodką pustynną trawą. Centaine budziła się wtedy i leżąc w ciemności, czuła do samej siebie odrazę za te zdradzieckie pragnienia i pałący wstyd, że tak łatwo zapomniała o Michaelu, O'wa i małej H'ani.

Pewnego ranka Garry posłał po Centaine i gdy usiadła przed jego biurkiem, wręczył jej paczkę.

— To przyszło wraz z listem od prawnika z Paryża.

— Co to jest, tatusiu?

— Mój francuski nie jest najlepszy, ale jak zrozumiałem, list powiadamia o sprzedaży majątku twojego ojca w celu spłacenia wierzycieli.

— O Boże, biedny tata.

— Byli przekonani, że zginęłaś podczas wojny, kochanie, tak więc francuski sąd zarządził sprzedaż majątku.

— Tak, rozumiem.

— Prawnik przeczytał w paryskiej gazecie o twoim uratowaniu i napisał do mnie list, w którym wyjaśnia całą sytuację. Niestety, długi księcia de Thiry były spore, a jak dobrze wiesz, pałacyk wraz z całą zawartością został zniszczony ogniem artyleryjskim. Prawnik przysłał rozliczenie — po spłaceniu długów i odliczeniu opłat prawnych, w tym także wcale niebagatelnego wynagrodzenia dla tego człowieka, z majątku zostało bardzo niewiele.

W Centaine odezwały się dawne instynkty posiadaczki.

— Ile zostało, tato? — zapytała zdecydowanym tonem.

— Niecałe dwa tysiące funtów szterlingów. Prawnik przysłał czek bankowy, kiedy otrzyma od nas podpisane i potwierdzone prawnie oświadczenie. Na szczęście mam także uprawnienia rejentalne, więc możemy przeprowadzić całą sprawę bardzo dyskretnie.

Kiedy Centaine otrzymała w końcu czek, złożyła pieniądze na trzy procent w banku w Ladyburgu, poświęcając tylko niewielką część na zaspokojenie swojej nowej pasji szybkości. Za sto dwadzieścia funtów kupiła sobie model „T” fordą, lśniącego od mosiądzu i czarnego lakieru. Kiedy Centaine po raz pierwszy wjechała na drogę dojazdową do Theunis Kraal z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, cała służba wyległa przed dom podziwiać samochód. Nawet Garry wyszedł ze swojej biblioteki w okularach w złotych oprawkach zsuniętych na czoło i po raz pierwszy zbeształ Centaine.

— Moja droga, powinnaś się skonsultować ze mną, zanim zdecydujesz się coś kupić. Nie pozwolę, żebyś uszczuplała swoje oszczędności. Jestem twoim opiekunem, a poza tym — Garry przybrał ponurą minę — zamierzałem kupić ci samochód w prezencie na urodziny. Popsułaś mi plany.

— Tatusiu, proszę, wybacz mi. Dałeś nam już tak wiele i bardzo cię za to kochamy.

Mówiła prawdę. Pokochała tego delikatnego człowieka równie mocno, jak niegdyś własnego ojca, a nawet jeszcze bardziej, gdyż jej wtYiicia opierały się na rosnącym szacunku i uznaniu jego zdolności i ukrytych zalet. Potrafiła także docenić hart ducha Garricka wobec okrutnego losu, który pozbawił go nogi, syna, żony i dopiero w tak późnym wieku podarował mu kochającą rodzinę.

Garry z kolei traktował Centaine jak panią domu. Pewnego wieczora siedzieli razem, omawiając listę gości zaproszonych na obiad.

— Muszę cię ostrzec przed tym Robinsonem. Przyznam się, że długo się zastanawiałem, zanim wpisałem go na listę.

Centaine, która właśnie zastanawiała się nad czymś zupełnie innym i nie słuchała jego słów, poruszyła się.

— Przepraszam, tatusiu. Nie usłyszałam, co mówiłeś. Chyba się rozmarzyłam.

— Popatrz, popatrz. — Garry posłał jej uśmiech. — A ja myślałem, że jestem jedynym marzycielem w rodzinie. Ostrzegałem cię przed naszym gościem.

Garry lubił organizować dwa razy w miesiącu prośzone obiady, na które zawsze zapraszał najwyżej dziesięć osób, nie więcej.

— Lubię słyszeć, co mówią ludzie przy stole — wyjaśnił kiedyś Centaine. — Nie cierpię, jak omija mnie dobra historia, opowiedziana przez osobę siedzącą na drugim końcu.

Garry miał wyborny smak i jedną z najlepiej zaopatrzonych piwniczek w kraju. Udało mu się podkupić zuluskiego kucharza od klubu właścicieli ziemskich w Durbanie i wiele osób pragnęło otrzymać zaproszenie na obiad, mimo że wizyta wiązała się z długą jazdą pociągiem i spędzeniem nocy w Theunis Kraal.

— Ten Joseph Robinson może sobie posiadać tytuł barona, co najczęściej jedynie oznacza drania, który jest zbyt sprytny, żeby przyłapano go na oszustwie, może mieć większy majątek niż stary Cecil John Rhodes — należą do niego Kopalnie Złota Robinsona i Bank Robinsona — ale jest z pewnością największym skąpcem, jakiego spotkałem. Potrafi wydać dziesięć tysięcy funtów na obraz i odmówić pensa umierającemu z głodu żebrakowi. Jest także najbardziej bezczelnym, chciwym i bezlitosnym człowiekiem, jakiego poznałem w życiu. Kiedy premier próbował przyznać mu godność para, w całym kraju powstał taki krzyk oburzenia, że musiał szybko wycofać się z tego.

— Jeśli to taki okropny człowiek, to czemu go zapraszasz? Garry westchnął dramatycznie.

— Cena, jaką muszę zapłacić za swoją sztukę, moja droga. Mam zamiar wycisnąć z tego

człowieka kilka faktów, których potrzebuję do książki. To jedyny człowiek, który może mi je podać.

— Czy chcesz, żebym go oczarowała?

— Och nie, nie! Nie musimy się posuwać aż tak daleko, ale mogłabyś chyba włożyć ładną sukienkę.

Centaine wybrała sukienkę z żółtej tafty ze stanikiem wyszywanym perełkami. Sukienka odsłaniała jej ramiona, z których nie zesła jeszcze pustynna opalenizna. Jak zawsze Anna pomagała jej uczesać włosy i przebrać się do obiadu.

Centaine weszła do pokoju z własnej łazienki, która była jednym z najbardziej cenionych luksusów w jej nowym życiu, owinięta w szlafrok narzucony na mokre ciało i z ręcznikiem zawiązanym w turban na głowie. Idąc do toaletki, zostawiała mokre ślady na dębowej posadzce.

Anna, która przyszywała z tyłu do sukni haczyk i pętelkę, odgryzła nitkę i mruknęła:

— Poszerzyłam o całe trzy centymetry. Trochę za dużo tych wymyślnych obiadów, moja panno.

Ułożyła ostrożnie suknię na łóżku i podeszła do dziewczyny.

— Dlaczego nigdy nie usiądziesz z nami do stołu? — zapytała z wyrzutem Centaine. — Nie jesteś przecież służącą.

Centaine musiałaby być ślepa, żeby nie spostrzec specjalnego związku łączącego Annę z Garrym. Jak dotąd nie znalazła jeszcze okazji, żeby przedyskutować tę sprawę, chciała jednak mieć swój udział w radości Anny, skoro sama nie mogła cieszyć się własnym szczęściem.

Anna wzięła szczotkę oprawioną w srebro i zaatakowała długie loki Centaine z taką pasją, że pociągnęła jej głowę do tyłu.

— Chcesz, żebym traciła czas słuchając tych elegancików, gęgających jak gęsi! — Anna naśladowała bełkotliwą wymowę angielskiego tak udatnie, że Centaine roześmiała się wesoło. — Nie, dzięki. Nie rozumiem ani słowa z tych wydumanych rozmów, a stara Anna lepiej się czuje i jest bardziej przydatna w kuchni, gdzie może mieć oko na tych uśmiechniętych czarnych oszustów.

— Tata Garry bardzo by chciał, żebyś przyłączyła się do naszego towarzystwa, mówił mi o tym wiele razy. Myślę, że on cię bardzo lubi.

Anna zacisnęła usta i pociągnęła nosem.

— Dostyc tych bzdur, moja panno — powiedziała stanowczo, odłożyła szczotkę i założyła na włosy Centaine żółtą siateczkę, która zdobiła bujne loki żółtymi cekinami. — Pas mai! — Cofnęła się krok i z krytyczną aprobatą pokiwała głową. — Teraz sukienka.

Anna podeszła do łóżka po suknię, a Centaine zrzuciła z siebie w|;ifraczek i stanęła nago przed lustrem.

— Ta blizna na nodze ładnie się zagoiła, ale wciąż jesteś tak okropnie brązowa — zaczęła narzekać Anna.

Umilkła nagle i stała z suknią w rękach, marszcząc brwi i przypadając się w zamyśleniu ciału dziewczyny.

— Centaine! — Jej głos stał się ostry. — Kiedy ostatni raz miałaś miesiączkę?

Dziewczyna szybko nachyliła się, porwała z ziemi szlafrok i okryła się nim obronnie.

— Byłam chora. Miałam wstrząs mózgu i infekcję.

— Kiedy ostatni raz miałaś miesiączkę? — Anna była nieubłagana.

— Nic nie rozumiesz, byłam chora. Pamiętasz, jak miałam zapalenie płuc to też...

— Nie miałaś jej od czasu powrotu z pustyni! — Anna odpowiedziała na swoje pytanie. — Od kiedy byłaś z tym Niemcem, tym niemiecko-afrykanerskim mieszzańcem.

Rzuciła suknię na łóżko i zerwała z Centaine szlafrok.

— Nie, Anno, byłam tylko chora.

Centaine drżała na całym ciele z obawy. Do tej chwili nie dopuszczała do siebie myśli o okropnej możliwości, którą przedstawiła jej opiekunka.

Anna położyła swoją dużą, spracowaną dłoń na brzuchu Centaine i ta cofnęła się przed jej dotykiem.

— Nigdy mu nie dowierzałam. Miał takie kocie oczy, żółte włosy i wypchane spodnie — rzuciła wściekle Anna. — Teraz rozumiem, czemu nie chciałaś z nim mówić i czemu traktowałaś go jak wroga, a nie jak zbawcę.

— Anno, przedtem też mi się zdarzało, że nie miałam okresu. To może być...

— Zgwałcił cię, moje biedactwo! Wykorzystał cię! Nie mogłaś mu się oprzeć. Czy mam rację?

Centaine zobaczyła nagle wyjście z sytuacji i z całej duszy zapragnęła z niego skorzystać.

— Wziął cię siłą, kochanie, czy tak? Powiedz starej Annie.

— Nie, Anno. Do niczego mnie nie zmuszał.

— Pozwoliłaś mu? Chcesz powiedzieć, że sama mu się oddałaś? — spytała Anna z groźną miną.

— Byłam taka samotna. — Centaine opadła na stołek i skryła twarz w dłoniach. — Nie widziałam białego człowieka przez prawie dwa lata, a on był taki delikatny i piękny, i zawdzięczałam mu życie. Czy nie rozumiesz, Anno? Powiedz, że mnie rozumiesz!

Anna objęła ją swoimi potężnymi ramionami, a Centaine wcisnęła twarz w jej wielkie, miękkie piersi. Milczały przez dłuższą chwilę, zbyt wzburzone, żeby mówić.

— Nie możesz mieć tego dziecka — powiedziała w końcu Anna. — Musimy się go pozbyć.

Te słowa tak zaszokowały Centaine, że znowu zaczęła drżeć i nie chciała dopuścić do siebie przerażającej myśli.

— Nie możemy wprowadzić następnego bękarta do Theunis Kraal. Nie znieśliby tego. Zgodzili się na jednego, ale mijnheer i generał nie przyjmą następnego. Ze względu na nas wszystkich, na rodzinę Michaela i Shasę, na wszystkich, których kochasz, musisz się go pozbyć.

— Anno, nie mogę tego zrobić.

— Czy kochasz jeszcze mężczyznę, który ci to zrobił?

— Już nie. Nienawidzę go — szepnęła zawzięcie. — O Boże, jak bardzo go nienawidzę!

— Więc pozbądź się jego bękarta, zanim zniszczy Shasę i nas wszystkich.

Dla Centaine ten obiad był koszmarem. Siedziała przy końcu długiego stołu i uśmiechała się beztrosko, chociaż oczy paliły ją ze wstydu, a dziecko w brzuchu było dla niej niczym jadowita zmija, zwinięta i gotowa do ataku.

Wysoki, starszy mężczyzna miał wyjątkowo ostry, nieprzyjemny głos i w swoim monologu zwracał się niemal wyłącznie do Centaine. Miał łysą głowę opaloną przez słońce na kolor jaja siewki, a oczy jego były martwe jak oczy marmurowego posągu. Centaine nie potrafiła skoncentrować się na tym, co mówi ten człowiek i w końcu jego opowieść stała się dla niej zupełnie niezrozumiała, jakby przemawiał w obcym języku. Myśli dziewczyny krążyły nieustannie wokół nowego niebezpieczeństwa, które zagrażało życiu jej i jej syna.

Wiedziała, że Anna ma rację. Ani generał, ani Garry Courteney nie znieśliby jeszcze jednego bękarta w Theunis Kraal. Nawet gdyby byli w stanie przebaczyć jej przewinienie, a Centaine nie wierzyła w możliwość takiego cudu, nawet wtedy nie mogliby pogodzić się ze skiindalem i hańbą, nie tylko wobec pamięci Michaela, ale wobec całej nuziny. To było niemożliwe. Wyjście zaproponowane przez Annę wydawało się jedynym ratunkiem.

Centaine podskoczyła na krześle i omal nie krzyknęła głośno. Pod siołem mężczyzna położył rękę na jej udzie.

— Przepraszam na chwilę, tatusiu. — W pośpiechu odsunęła krzesło, a Garry rzucił jej

zatroskane spojrzenie. — Muszę na chwilę wyjść.

Uciekła do kuchni, Anna zaś zobaczyła zrozpaczony wzrok dziewczyny i wybiegła jej na spotkanie. Zaprowadziła ją do spiżarni i zamknęła drzwi na klucz.

— Anno, obejmij mnie, taka jestem przerażona — i jeszcze ten okropny człowiek... — Centaine wzdrygnęła się.

Anna przytuliła ją do siebie i po chwili uspokojona Centaine szepnęła:

— Masz rację, Anno. Musimy się tego pozbyć.

— Jutro o tym porozmawiamy — powiedziała jej delikatnie piastunka. — Przemyj oczy zimną wodą i wracaj do salonu, zanim coś sobie pomyślą.

Reakcja Centaine okazała się skuteczna, gdyż łysawy magnat diamentowy nie spojrział już na nią, kiedy zajęła swoje miejsce. Był teraz zajęty sąsiadką z drugiej strony, ale wszyscy zebrani przy stole słuchali jego słów z szacunkiem należnym jednemu z najbogatszych ludzi na świecie.

— To były czasy — wzdychał diamentowy potentat. — Cały kraj stał otworem i niech mnie kule biją, jeśli pod każdym kamieniem nie kryła się fortuna. Barnato rozpoczął handel z jednym pudełkiem cygar, wyjątkowo zresztą wstrętnych, a kiedy Rhodes go wykupywał, wystawił mu czek na trzy miliony funtów. Największy czek, jaki widziałem w swoim życiu, choć sam wystawiłem kilka całkiem niezłych...

— A jak pan rozpoczął, sir Joseph?

— Z pięcioma funtami w kieszeni i umiejętnością odróżnienia prawdziwego diamentu od shlentera. Tak zaczynałem.

— A jak pan to robił, sir Joseph? Jak się poznaje diament?

— Najszybciej można go poznać, zanurzając w wodzie, moja droga. Jeśli będzie mokry, to schlenter. Jeśli wyjmie go pani i będzie suchy, to jest to diament.

Centaine puściła te słowa mimo uszu, gdyż była wciąż zamyślona, a Garry dawał jej właśnie znaki, że pora zaprosić panie do salonu.

Jednak słowa Robinsona musiały utkwic w jej podświadomości, gdyż następnego popołudnia, kiedy siedziała na balkonie i spoglądała nie widzącym wzrokiem na zalane słońcem trawniki, zabawiając się jak zwykle naszyjnikiem H'ani, niemal nieświadomie sięgnęła nagle po kryształową karafkę i napełniła szklankę wodą.

Wzięła ze stołu naszyjnik i wolno zanurzyła w naczyniu. Po kilku sekundach wyjęła go i zaczęła przyglądać mu się z roztargnieniem. Kolorowe kamienie lśniły od wody. Nagle serce dziewczyny zaczęło bić mocniej. Biały kamień, wielki kryształ umieszczony pośrodku naszyjnika, był suchy!

Zanurzyła jeszcze raz naszyjnik w szklance i zaraz go wyciągnęła. Ręce zaczęły jej drżeć silnie. Wszystkie kropelki wody ściekały z kamienia niczym ze śnieżnobiałej piersi łabędzia. Suchy kryształ lśnił jeszcze mocniej niż otaczające go mokre bryłki.

Centaine z niepokojem obejrzała się wokoło, ale Shasa spał smacznie w swoim łóżeczku, ssąc kciuk, a w południowym upale trawniki były zupełnie wyludnione. Po raz trzeci zanurzyła naszyjnik w wodzie i kiedy znowu wyjęła suchy kamień, szepnęła cicho:

— H'ani, moja kochana babuniu, czy ocalisz nas jeszcze raz? Czy to możliwe, że cały czas czuwasz nad nami?

Centaine nie mogła udać się do lekarza domowego Courteneyów w Ladyburgu, więc razem z Anną zaplanowały podróż do Durbanu, portu morskiego i zarazem stolicy prowincji Natal.

Pretekstem do wyprawy była odwieczna kobieca wymówka — zakupy.

Panie miały nadzieję, że uda im się pojechać we dwie, ale Garry nie chciał o tym nawet słyszeć.

— Chcecie mnie zostawić? Obie zamęczałyście mnie, żebyśmy sobie sprawił nowy garnitur. A

zatem to świetna okazja do odwiedzenia mojego krawca, a przy tym mogę zabrać kilka czepków czy innych ozdóbek dla moich dwóch dam.

Tak więc zorganizowali rodzinną wyprawę z Shasą i jego dwoma zuluskimi nianiami. Potrzebowali fiata i forda, żeby przebyć wygodnie liczącą ponad dwieście kilometrów drogę na wybrzeże. Zajechali do hotelu Majestic i Garry wziął dwa apartamenty z oknami wychodzącymi na Ocean Indyjski.

Anna i Centaine musiały użyć całego kobiecego sprytu, żeby zdobyć kilka godzin dla siebie, ale w końcu udało im się zostawić Garry'ego. Anna dyskretnie zasięgnęła języka i zdobyła adres lekarza w Point Road. Odwiedziły go pod przybranymi nazwiskami i doktor stwierdził to, co obie panie dobrze już wiedziały.

— Moja siostrzenica jest wdową od dwóch lat — wyjaśniła ,i,roźnie Anna. — Nie może sobie pozwolić na skandal.

— Przykro mi, proszę pani. Nie mogę w żaden sposób wam pomóc — odparł sztywno lekarz, ale kiedy Centaine zapłaciła mu gwineę za wizytę, mruknął cicho: — Wypiszę pani receptę.

I na kawałku papieru zapisał im nazwisko i adres. Na ulicy Anna wzięła Centaine za ramię.

— Mamy godzinę do spotkania z mijnheerem w hotelu. Pójdziemy tam teraz i poczynimy odpowiednie przygotowania.

— Nie, Anno. — Centaine zatrzymała się. — Muszę o tym jeszcze pomyśleć. Chcę na chwilę zostać sama.

— Nie ma nad czym się zastanawiać — mruknęła niechętnie Anna.

— Zostaw mnie, Anno. Wróć przed obiadem. Jutro pójdziemy. Anna знаła dobrze ten ton i wyraz twarzy. Rozłożyła ręce i wdrapała się do czekającej rikszy. Kiedy zuluski riksiarz ciągnął ją w dwukołowym, wysokim powoziku, zawołała:

— Myśl sobie, ile chcesz, ale jutro zrobimy to po mojemu. Centaine pomachała jej i uśmiechała się, dopóki riksiarz nie skręcił w West Street, a następnie zawróciła i pośpieszyła w stronę portu.

W drodze do lekarza zauważyła sklep: M. NAIDOO. JUBILER.

Sklep był nieduży, ale czysty i porządnie urządzony. W szklanych gablotach wystawiono tanią biżuterię. Kiedy weszła do środka, z tylnej części sklepu wyłonił się gruby, ciemnoskóry Hindus w białym, tropikalnym garniturze.

— Dobry wieczór, witam szanowną panią. Jestem Moonsamy Naidoo, na usługi szanownej pani.

Hindus miał uprzejmą twarz i gęste, falujące włosy, tak natłuszczone olejem kokosowym, że lśniły niczym węgiel.

— Chciałabym obejrzeć pańską biżuterię.

Centaine nachyliła się nad gablotą i zaczęła oglądać srebrne bransoletki.

— Oczywiście prezent dla ukochanego, szanowna pani. To wszystko są wyroby z czystego srebra, zrobione ręcznie przez najznakomitszych mistrzów jubilerskich.

Centaine nie odpowiedziała. Zdawała sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje, i starała się ocenić sprzedawcę. Hindus robił dokładnie to samo. Spojrzał na rękawiczki i buty klientki — najwidoczniejsze oznaki pozycji kobiety.

— Oczywiście te bransoletki to tylko drobiazgi. Czy szanowna pani chciałaby zobaczyć coś cenniejszego lub droższego?

— Czy prowadzi pan także... brylanty?

— Brylanty, szanowna pani? — Jego brązowa, pulchna twarz rozciągnęła się w uśmiechu. — Pokażę pani brylant godny króla czy królowej.

— Ja też mogę panu taki pokazać — powiedziała cicho Centaine i położyła wielki, biały kryształ

na szklanej ladzie.

Hindus zakrzuszył się z wrażenia i zamachał rękami jak pingwin.

— Słodka pani! — wystękał. — Proszę to schować, błagam panią. Niech pani ukryje to przed moim wzrokiem!

Centaine wrzuciła diament do torebki i obróciła się do drzwi, ale jubiler znalazł się tam przed nią.

— Jedną chwileczkę, piękna pani.

Ściągnął żaluzje na okna i szklane drzwi, przekręcił klucz w drzwiach i stanął przed Centaine.

— Wyznaczono okropne kary. — Głos drżał mu ze strachu. — Dziesięć lat okropnego więzienia, a ja nie jestem zdrowym człowiekiem. Więźniowie są brzydki i okrutni, dobra pani. Ryzyko jest ogromne...

— Nie będę więcej pana kłopotać. Proszę otworzyć drzwi.

— Proszę, dobra pani, proszę pójść za mną.

Wycofał się ku zasłonie z paciorków, kłaniając się cały czas Centaine w pas i wylewnymi gestami zapraszał ją do środka.

Jego biuro było małe i wypełniało je przykryte szkłem biurko, tak że dwie osoby mieściły się z trudem. Znajdowało się tu tylko jedno wysokie okno. Powietrze było nieświeże i przesiąknięte zapachem curry.

— Szlachetna pani, czy mogę jeszcze raz zobaczyć ten przedmiot? Centaine położyła kryształ na biurku, a Hindus włożył do oka jubilerskie szkło powiększające, podniósł kamień i obrócił go do światła.

— Czy mogę zapytać, gdzie łaskawa pani to zdobyła?

— Nie.

Hindus obrócił wolno kryształ pod szkłem powiększającym i położył go na szalce jubilerskiej wagi stojącej w rogu biurka. Wążąc kamień, mruczał pod nosem:

— NKD, nielegalne kupowanie diamentów. Policja jest bardzo surowa.

Zadowolony z ciężaru kamienia jubiler otworzył szufladę i wyjął tani przyrząd do cięcia szkła, przypominający kształtem pióro, na którego końcu umocowano okruch czarnego, przemysłowego diamentu.

— Co pan chce zrobić? — zapytała podejrzliwie Centaine.

— To jedyny prawdziwy test, proszę szanownej pani — wyjaśnił Hihiler. — Diament zarysuje każdy inny przedmiot poza drugim diamentem.

Aby udowodnić te słowa, przejechał diamentem po szkłe przykrywającym blat biurka. Ostry zgrzyt wywołał u Centaine dreszcze, ale na szkłe pozostał wyraźny, głęboki ślad. Jubiler spojrzał na nią pytająco i kiedy skinęła przyzwalająco głową, położył kamień na stole i przejechał po nim diamentem.

Ostrze prześliznęło się po ścianie kryształu, jakby była naoliwiona, nie zostawiając najmniejszego śladu.

Na brodzie Hindusa pojawiła się kropla potu i spadła na szklany blat. Nie zważając na to, jubiler przyłożył mocniej ostrze do powierzchni kamienia i spróbował go naciąć. Diament prześliznął się bezszelestnie po wielkim kryształach.

Jubilerowi zaczęły drżeć ręce i tym razem użył całej siły ramienia i barku próbując zarysować kamień. Drewniana rękojeść diamentu złamała się w połowie z suchym trzaskiem, ale biały kryształ pozostał nienaruszony. Patrzyli na niego w milczeniu, aż wreszcie Centaine zapytała cicho:

— Ile?

— Rzyko jest ogromne, dobra pani, a ja jestem wyjątkowo uczciwym człowiekiem.

— Ile?

— Tysiąc funtów — szepnął.

— Pięć — odparła Centaine.

— Słodka, dobra pani, cieszę się nieskazitelną reputacją. Gdyby mnie przyłapano na NKD...

— Pięć — powtórzyła Centaine.

— Dwa — jęknął jubiler i Centaine sięgnęła po kamień.

— Trzy — poprawił się szybko i Centaine cofnęła rękę.

— Cztery — powiedziała zdecydowanie.

— Trzy i pół, najszlachetniejsza pani, to moja ostatnia oferta. Trzy i pół tysiąca funtów.

— Zgoda — powiedziała Centaine. — Czy ma pan pieniądze?

— Nie trzymam tak olbrzymich sum przy sobie, łaskawa pani.

— Wrócę jutro o tej samej porze. Przyniosę diament, proszę przygotować pieniądze.

— Nie pojmuję tego. — Garry załamywał ręce w rozpacz. — Chyba moglibyśmy ci towarzyszyć w tej wyprawie?

— Nie, tatusiu. Tę sprawę muszę załatwić sama.

— Przynajmniej jedno z nas, Anna lub ja? Nie mogę cię tak puścić samej.

— Anna musi zostać tutaj i opiekować się Shasą.

— W takim razie ja pojedę z tobą. Będiesz potrzebować mężczyzny...

— Nie, tatusiu. Proszę cię, żebyś mnie zrozumiał. Muszę zrobić to sama. Nikt nie może mi towarzyszyć.

— Centaine, wiesz dobrze, jak bardzo cię pokochałem. Chyba mam jakieś prawo... prawo wiedzieć, gdzie się udajesz i co zamierzasz zrobić?

— Tatusiu, bardzo cię kocham i szanuję, ale nie mogę ci tego powiedzieć. Tak mi przykro. To by zniszczyło cały sens wyprawy. Możesz myśleć o tym jako o pielgrzymce którą zobowiązałam się odbyć. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Garry wstał od biurka, podszedł do wysokiego okna i stanął przed nim w promieniach słońca z rękami założonymi na plecach.

— Jak długo cię nie będzie?

— Nie jestem pewną — odpowiedziała cicho Centaine. — Nie wiem, ile czasu mi to zajmie, kilka miesięcy, może znacznie dłużej. — Garry opuścił głowę z rezygnacją.

Kiedy wrócił do biurka, był smutny, ale pogodził się z jej wyjazdem.

— Jak ci mogę pomóc? — zapytał.

— Wystarczy, jak będziesz się opiekował Shasą, kiedy mnie tu nie będzie, i wybaczysz mi, że nie mogłam wtajemniczyć cię w swoje plany.

— Potrzebujesz pieniędzy?

— Nie, wiesz dobrze, że mam swój spadek.

— W takim razie listy polecające? Pozwolisz mi pomóc sobie przynajmniej w ten sposób?

— Listy bardzo by mi się przydały, dziękuję.

Z Anną nie poszło jej tak łatwo. Domyślała się, co Centaine chce zrobić, i była rozwścieczona i uparta.

— Nie pozwolę ci wyjechać. Ściągniesz katastrofę na siebie i nas wszystkich. Dostyc tego szaleństwa. Pozbądź się tego w sposób, który ci wskazałam i będzie po sprawie.

— Nie, Anno, nie mogę zabić mojego dziecka, nie możesz mnie do tego zmusić...

— Zabraniam ci wyjeżdżać.

— Nie. — Centaine podeszła do niej i pocałowała ją w policzek. — Wiesz dobrze, że nie możesz mnie zatrzymać. Przytul mnie tylko do siebie... i opiekuj się Shasą, gdy wyjadę.

— Powiedz mi przynajmniej, gdzie będziesz.

— Żadnych więcej pytań, Anno. Obiecuj mi, że nie będziesz róbowała mnie śledzić i nie pozwolisz tacie pojechać za mną. Wiesz dobrze, co by znalazł, gdyby postanowił mnie śledzić.

— Och, ty uparta, zła dziewucho! — Anna przycisnęła ją do siebie i tak mocno, że Centaine zabrakło tchu. — Jeśli nie wrócisz, to złamiesz serce starej Annie.

— Nawet nie waż się tak myśleć, mój kochany głuptasie.

Pustynia pachniała niczym krzemień uderzany o stal, suchym, przesiąkniętym spalenizną zapachem, który Centaine wyczuwała przez silniejszy odór dymu z lokomotywy. Koła stuknęły rytmicznie na łączeniach szyn i wagon kołysał się w takt tej jednostajnej muzyki.

Siedziała w jednoosobowym przedziale na wykładanych zieloną skórą siedzeniach i wyglądała przez okno. Aż po horyzont ciągnęła się płaska, żółta równina, a na niebie nad nią można było dostrzec zarys zbliżających się niebieskawych gór. Na równinie pasły się stada antylop i kiedy z lokomotywy uleciał nagle ze świstem strumień pary, zwierzęta jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przemieniły się w białe, cyfrowe obłoki, uciekając w stronę horyzontu. Znajdujące się bliżej torów kolejowych wyskakiwały wysoko w powietrze i Centaine z bólem przypomniała sobie O'wa naśladowanego sztywne podskakiwanie antylop. Ból szybko minął i zostało jedynie przyjemne wspomnienie. Centaine z uśmiechem przyglądała się mijanym zwierzętom.

Olbrzymie przestrzenie spalone przez słońce przyciągały jej duszę niczym magnes żelazo i Centaine zdała sobie sprawę ze szczególnego podekscytowania, jakiego doświadcza podróżnik zbliżający się do domu po długiej nieobecności.

Kiedy późnym popołudniem równina przybrała kolor fiołkoro-żowy, zapadający zmierzch jednocześnie podkreślił krajobraz, tak że zza zasłony rozgrzanego powietrza i jaskrawego południowego słońca wyłoniły się niskie, falujące pagórki. Centaine patrzyła na ten surowy i majestatyczny widok z poczuciem prawdziwej radości.

O zachodzie słońca zarzuciła płaszcz na ramiona i wyszła na tylny pomost ostatniego wagonu. Słońce ukryło się za horyzontem w potoku mglistej czerwieni i oranżu, a purpurową zasłonę nocnego nieba przebiły jaskrawe diamenty gwiazd. Centaine odnalazła dwie tak dobrze znane gwiazdy: Michaela i jej, oddzielone od siebie Obłokiem Magellana.

Nie spojrzalam na nocne niebo od czasu opuszczenia tej dzikiej ziemi, pomyślała i nagle zielone pola Francji i falujące łanami zboża pagórki Zululandu wydały się jej tylko jałowym i nieprzyjemnym wspomnieniem. To jest miejsce, do którego należę. Pustynia jest moim domem, pomyślała.

Prawnik Garry'ego Courteneya oczekiwał Centaine na dworcu w Windhoek. Dziewczyna powiadomiła go telegraficznie o swoim przyjeździe, zanim opuściła Kapsztad. Prawnik nazywał się Abraham Abrahams i był eleganckim, niedużym mężczyzną o spiczastych uszach i czujnych oczach. Bardzo przypominał małego lisa pustynnego. Odsunął list polecający od Garricka, który podała mu Centaine.

— Droga pani Courteney, wszyscy tutaj wiemy, kim pani jest. Pani niewiarygodne przygody podbiły serca wszystkich mieszkańców tych stron. Mogę powiedzieć, że jest pani żywą legendą i czuję się zaszczycony, iż mogę pani pomóc.

Zawiózł Centaine do hotelu Kaiserhof i gdy upewnił się, że niczego jej nie brakuje, zostawił ją samą na kilka godzin, żeby mogła wziąć kąpiel i odpocząć.

— Pył z parowozu przedostaje się wszędzie. Zatyka nawet pory w skórze.

Kiedy wrócił i usiedli razem w hallu przy herbacie, zapytał otwarcie:

— Czym w takim razie mogę pani służyć, droga pani Courteney?

— Przygotowałam długą listę spraw. — Podała mu ją. — Jak pan widzi, pierwszy punkt to odnalezienie pewnego człowieka.

— To akurat nie będzie trudne — odparł prawnik. — Człowiek ten jest dobrze znany w tych stronach, niemal równie dobrze jak pani.

Wyraźny w skale trakt był nierówny, a pocięta wybuchami nawierzchnia wydawała się ostrą niczym brzytwa. Wzdłuż drogi pracowały zastępy czarnych robotników, rozebranych do pasa i lśniących od potu. Potężnymi młotami rozbijali większe głazy i wyrównywali nawierzchnię. Kiedy Centaine mijala ich w zakurzonej fordzie Abrahama Abrahamsa, podskakując na wybojach, robotnicy prostowali grzbiety i opierając się na młotach, przyglądali kobiecie w samochodzie. Kiedy Centaine wykrzykiwała pytanie, szczerzyli w uśmiechu białe zęby i pokazywali przed siebie.

Wijająca się wokół góry droga stawała się coraz bardziej stroma, zakręty tak ostre, że Centaine musiała w pewnym momencie iwrócić. W końcu nie mogła jechać już dalej. W jej kierunku biegł nirny brygadzysta, machając czerwoną flagą nad głową.

— Pasop, panienko! Niech pani uważa! Właśnie mają wysadzać Ladunki.

Zaparkowała samochód na końcu drogi pod tablicą głoszącą:

Przedsiębiorstwo budowlane De La R'cy Budowa dróg i inżynieria cywilna

Centaine wysiadła z samochodu, żeby wyprostować zmęczone Dgi. Miała na sobie bryczesy, długie buty i męską koszulę. Brygadzysta patrzył z szeroko otwartymi oczami na jej nogi, aż wreszcie zwrócił na nią ostro uwagę:

— Dostyc tego. Niech pan wraca do swoich zajęć albo pański szef dowie się o tym.

Zdjęła szal z głowy i rozpuściła włosy. Następnie zanurzyła i hustkę w brezentowym pojemniku na wodę wiszącym z boku lorda i starła kurz z twarzy. Miejsce to było oddalone o prawie sto kilometrów od Windhoek i Centaine wyruszyła przed świtem. Wzięła wiklinowy koszyk z tylnego siedzenia i postawiła obok siebie. Kucharz hotelowy zapakował jej kanapki z szynką i jajka oraz butelkę zimnej, słodkiej herbaty. Centaine poczuła nagle, że jest głodna.

Jedząc patrzyła na otwartą równinę rozciągającą się daleko pod nią. Zapomniała zupełnie, jak pięknie potrafi lśnić w słońcu trawa — niczym złota wełniana nitka. Nagle przed oczyma stanęły jej długie, lasne włosy, które miały ten sam odcień w słońcu i mimo woli poczuła, iak żar zalewa jej uda, a sutki twardnieją.

W chwilę później zawstydzila się swej słabości i powiedziała twardo do siebie: Nienawidzę go. Nienawidzę też tego, co we mnie zostawił.

Zupełnie jakby czytając te myśli, gdzieś głęboko w niej poruszyło się dziecko i nienawiść zachwiała się jak płomyk świecy na wietrze.

Muszę być silniejsza, powiedziała sobie Centaine. Nie wolno mi się wahać, to dla Shasy.

Z tyłu dobiegł przenikliwy gwizd, po którym zapadła pełna wyczekiwania cisza.

Centaine wstała i osłoniła ręką oczy, podświadomie napinając mięśnie w oczekiwaniu na wybuch.

Nagle ziemia podskoczyła jej pod stopami, a fala uderzeniowa eksplozji poraziła bębenki w uszach. Kolumna pyłu wystrzeliła wysoko w niebo nad pustynią i Centaine miała wrażenie, że ktoś przeciął górę gigantyczną siekierą. Płaty szaroniebieskiego łupku oderwały się od zbocza i poleciały potężną lawiną w dolinę. Echo wybuchu odbijało się od kotlin, aż wreszcie ucichło, a wiatr rozwiął słup pyłu.

Centaine stała przy wozie, patrząc na zbocze góry, i po chwili dostrzegła postać jeźdźca na krawędzi szczytu. Mężczyzna zjeżdżał w dół, koń sam sprawnie wybierał drogę na nierównym

gruncie. Jeździec był wysoki, szczupły i gibki niczym młode drzewo.

— Gdyby tylko nie był taki piękny — szepnęła Centaine. Jeździec zdjął z głowy kapelusz z szerokim rondem ozdobiony strusim piórem i otrzepał kurz ze spodni. Długie, jasne loki błyskały w słońcu jak latarnia morska i Centaine poczuła, że jej nogi robią się miękkie w kolanach. U podnóża góry, sto kroków od Centaine, mężczyzna przełożył nogę nad szyją konia, zeskoczył zwinnie na ziemię i rzucił lejce czarnemu brygadziście.

Murzyn powiedział coś do niego i wskazał na Centaine czekającą przy samochodzie. Lothar skinął głową i ruszył szybkim krokiem w jej stronę. W połowie drogi zatrzymał się gwałtownie i spojrzał z niedowierzaniem. Nawet z tej odległości Centaine dostrzegła, jak jego oczy rozbłysły niczym szafiry i mężczyzna rzucił się ku niej biegiem.

Centaine nie poruszyła się. Stała sztywno przy fordzie, patrząc na niego obcym wzrokiem, i dziesięć kroków od niej Lothar dostrzegł ten wyraz twarzy. Zatrzymał się w pół kroku.

— Centaine. Nie wierzyłem, że jeszcze cię kiedyś ujrzę, najdroższa. Podszedł do niej.

— Nie dotykaj mnie — ostrzegła go zimnym tonem, dusząc w sobie paralizujący lęk. — Ostrzegałam cię kiedyś: nie waż się nigdy mnie dotykać.

— Więc po co tu przyjechałaś? — zapytał gniewnie. — Czy nie wystarczy, że pamięć o tobie dręczy mnie przez te wszystkie samotne miesiące? Czy musisz jeszcze pojawiać się tutaj i torturować mnie swoim widokiem?

— Przyjechałam zawrzeć z tobą umowę. — Centaine odzyskała kontrolę nad sobą i głos jej był lodowaty. — Chcę ci zaproponować wymianę.

— Czy ty będziesz częścią tej umowy? Jeśli tak, to zgadzam się, zanim przedstawiś warunki.

— Nie. — Pokręciła przecząco głową. — Wolałabym umrzeć. Jego szczęki zacisnęły się gniewnie, chociaż niebieskie oczy wciąż były pełne bólu i pragnienia.

— Nie znasz litości.

— Jeśli tak, to musiałam nauczyć się tego od ciebie!

— Podaj swoje warunki.

— Zabierzesz mnie do tego miejsca na pustyni, gdzie mnie znalazłeś. Zapewnisz transport, ludzi i wszystko, co jest potrzebne, żebym mogła dotrzeć do góry i przeżyć tam rok.

— Dlaczego chcesz tam jechać?

— To nie twoja sprawa.

— Mylisz się, to moja sprawa. Do czego mnie potrzebujesz?

— Sama mogłabym szukać tego miejsca przez całe życie i nigdy bym go nie znalazła.

— Racja. — Skinął głową. — Jednak to, o co prosisz, nie jest lanie. Mój cały majątek jest w tym przedsiębiorstwie. Nie mam nawet szylinga w kieszeni.

— Potrzebuję tylko twoich usług — odparła Centaine. — Sama zapłacę za wozy, sprzęt i ludzi.

— W takim razie jest to możliwe do wykonania. Co chcesz mi zaproponować w zamian?

— W zamian — Centaine położyła rękę na brzuchu — dam ci bękarta, którego mi zrobiłeś.

Lothar patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Centaine... — Na jego twarzy pojawił się z wolna szczęśliwy uśmiech. — Dziecko! Będziesz miała dziecko!

Odruchowo zbliżył się do dziewczyny.

— Nie podchodź do mnie! — ostrzegła go. — To nie jest nasze dziecko, tylko twoje. Ja go nie wezmę. Kiedy się urodzi, nie chcę go nawet widzieć. Zabierzesz je ode mnie i zrobisz z nim, co będziesz chciał. Ja go nie chcę. Nienawidzę go, tak jak nienawidzę mężczyzny, który mi je zrobił!

Podróż wozami Lothara ze Studni Wszelkiego Życia do Palca Boga na spotkanie z Garrym zajęła

im kilka tygodni. Ich powrót do pasma górskiego trwał zaledwie osiem dni i trwałby jeszcze krócej, gdyby nie trzeba było torować drogi samochodom przez skaliste kotliny i wyschnięte koryta rzek. Lothar dwukrotnie musiał wysadzać skały dynamitem, żeby przejechać samochodami.

Ich konwój składał się z forda i dwóch ciężarówek, które Centaine kupiła w Windhoek. Lothar wziął sześciu służących obozowych spośród robotników budowlanych, dwóch kierowców ciężarówek oraz Hendricka, potężnego Ovambo, jako osobistą ochronę dla Centaine.

— Nie dowierzam temu człowiekowi — zaprotestowała Centaine. — Jest niczym lew ludojad.

— Możesz mu spokojnie zaufać — zapewnił ją Lothar. — Wie dobrze, że jeśli zawiedzie cię w czymkolwiek, to zabije go bardzo, bardzo powoli. — Powiedział to w obecności Murzyna, a Swart Hendrick uśmiechnął się wesoło.

— On mówi prawdę, panienko. Zabił już tak innych.

Lothar jechał w pierwszej ciężarówce wraz z Hendrickiem i robotnikami budowlanymi. Kiedy podróżowali przez las, robotnicy biegli przed konwojem, wycinając gałęzie i torując drogę, a gdy las się kończył, wskakiwali na tył auta i konwój nabierał szybkości. Za nimi jechała druga ciężarówka obładowana sprzętem i prowiantem, a całość zamykała Centaine siedząca za kierownicą forda.

Każdej nocy Centaine kazała rozbijać swój namiot z dala od reszty obozu. Jadała w nim posiłki samotnie i spała z naładowaną strzelbą obok łóżka. Lothar zdawał się akceptować warunki umowy. Zachowywał się niezwykle dumnie i odzywał się jedynie wtedy, gdy sprawy dotyczyły przejazdu.

Pewnego ranka, kiedy zatrzymali się nieoczekiwanie na równej drodze, Centaine wyskoczyła niecierpliwie z forda i pobięła na czoło konwoju. Prowadząca ciężarówka najechała na króliczą norę i złamała pióro resoru. De La Rey z kierowcą naprawiali uszkodzenie i Lothar rozebrał się do pasa. Stał tyłem i nie słyszał, jak dziewczyna zbliżyła się do wozu.

Centaine zatrzymała się gwałtownie na widok białej skóry mężczyzny i napinających się pod nią mięśni, gdy Lothar podnosił ciężarówkę lewarkiem, i patrzyła zafascynowana na brzydką bliznę po ranie wylotowej. Jak blisko płuc musiała przejść kula! Poczowała skruchę i zapominając o gniewnych słowach, które jeszcze przed chwilą cisnęły jej się na usta, wróciła w milczeniu do samochodu.

Kiedy wreszcie ósmego dnia góra pojawiła się na horyzoncie, płynąc na błyszczącej fali drgającego powietrza niczym olbrzymia arka z pomarańczowego kamienia, Centaine zatrzymała samochód i wdrapała się na maskę forda. Na ten widok poczuła, jak wracają wspomnienia i sprzeczne emocje. Radowała myślą o powrocie do domu i jednocześnie przytłaczał ją żal niepewność.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Lothara. Centaine nawet nie zauważyła kiedy podszedł do niej od czoła kolumny.

— Nie powiedziałaś mi, gdzie dokładnie mam cię zawieźć.

— Do drzewa z lwem — odparła. — Tam, gdzie mnie znalazłeś.

Na korze wciąż widniały ślady potężnych pazurów, a w trawie lśniły porozrzucane kości zwierzęcia, białe niczym gwiazdy i błyszczące w słońcu.

Lothar i jego ludzie przez dwa dni wznosili stały obóz dla Centaine. Wokół drzewa wybudowali palisadę z młodych mopani, którą od zewnętrznej strony wzmocniono ciernistymi krzakami, broniącymi dostępu drapieżnikom. Przy ścianie Lothar wykopał osłoniętą latrynę połączoną z palisadą tunelem z cienkich pali i gałęzi krzaków. W środku palisady, w cieniu drzewa, ustawił namiot i przygotował osłonięte palenisko przed wejściem. Wejścia do prywatnego obozu Centaine strzegła ciężka brama, przy której stanęła budka wartownicza.

— Swart Hendrick będzie spał w budce, żebyś zawsze miała go pod ręką — wyjaśnił Lothar Centaine.

Na skraju lasu, dwieście kroków od obozu Centaine, zbudowano większy ostrokół dla służby i robotników. Skończywszy pracę, Lothar wrócił do Centaine.

— Wszystko jest gotowe. Ta skinęła tylko głową.

— W porządku, dopełniłeś swojej części umowy — zgodziła się. — Wróc za trzy miesiące, a ja dopełnię mojej.

Lothar wyjechał w ciągu godziny drugą ciężarówką, zabierając ze sobą jedynie kierowcę i tyle benzyny i wody, żeby mógł dotrzeć do Windhoek.

Kiedy auto zniknęło pomiędzy drzewami, Centaine zawołała Hendricka.

— Wstajemy jutro o trzeciej rano. Weźmiesz czterech ludzi. Dopilnuj, żeby zabrali ze sobą koce, garnki i prowiant na dziesięć dni.

Księżyc rozjaśniał swoim blaskiem drogę, gdy Centaine poprowadziła grupę robotników przez wąwóz wiodący do jaskini z pszczołami. Gdy dotarli do ciemnego wejścia, Centaine wyjaśniła, dokąd idą, a Swart Hendrick przetłumaczył jej słowa tym, którzy nie znali afrikaans.

— Jeśli zachowacie spokój i nie będziecie próbowali uciekać, nic wam nie grozi.

Kiedy robotnicy usłyszeli bzyczenie owadów niosące się po całej jaskini, rzucili bagaże, cofnęli się wystraszeni zbili w milczącą grupę.

— Swart Hendrick, powiedz im, jaki mają wybór — poleciła Centaine. — Albo pójdą za mną, albo ich zastrzelisz, jednego po drugim.

Hendrick przetłumaczył jej słowa tak sugestywnie i tak zdecydowanie zdjął karabin z ramienia, że robotnicy w pośpiechu podnieśli bagaże i stanęli za Centaine. Przejście przez tunel było jak zawsze denerwujące, ale szybko znaleźli się po drugiej stronie i kiedy wyszli na ukrytą kotlinę, zobaczyli zagajnik drzew mongongo i wysokie skalne ściany wysrebrzone światłem księżyca.

— Czekaj nas ciężka praca i pozostaniemy tutaj, aż wszystko zostanie zrobione do końca. W ten sposób będziecie musieli przejść przez tunel jeszcze tylko raz, gdy będziemy opuszczać kotlinę:

Abraham Abrahams poinstruował Centaine, jak ma wyznaczyć teren na przyszłą kopalnię. Napisał jej wzory formularzy do wypełnienia i pokazał, jak dokonać pomiarów i oznaczyć teren. Nauczył ją, jak zmierzyć każdą działkę po przekątnej taśmą mierniczą i co zrobić, żeby działki lekko nachodziły na siebie, tak aby nie pozostał nawet skrawek wolnej ziemi, który mógłby stanowić punkt zaczepienia dla ewentualnego konkurenta.

Wyznaczanie terenu było ciężką i monotonną pracą w tym upale. Mimo pomocy Hendricka i czterech robotników Centaine musiała sama wykonać wszystkie pomiary, wypełnić formularze określające prawo własności i przyczepić je do palików, które robotnicy powbijali na rogach działek.

Wieczorem każdego dnia schodziła zmęczona do podziemnego jeziora, by zmyć z siebie pot i odzyskać siły w gorącej, siarczanej kąpieli, która cudownie wyciągała ból z mięśni grzbietu. Cięża dawała znać o sobie. Centaine była tym razem grubsza i jej brzuch wydawał się twardszy i cięższy, niż wtedy, gdy nosiła Shasę. Dziecko zupełnie jakby wyczuwało jej uczucia i odpowiadało złośliwością. Centaine miała bóle krzyża i pod koniec dziewiątego dnia wiedziała, że bez odpoczynku dłużej nie pociągnie.

Dno kotliny pokrywały teraz przecinające się linie graniczne działek, z których każda oznaczona była palikiem wbitym w kopczyk kamieni. Robotnicy przywykli już do pracy w ciężkich warunkach pustynnych i robota szybciej posuwała się do przodu.

— Jeszcze tylko jeden dzień — obiecała sobie Centaine — i będę mogła odpocząć.

Wieczorem dziesiątego dnia praca została ukończona. Centaine zliczyła już każdy metr dna kotliny.

— Pakujemy się — poleciała Hendrickowi. — Dziś w nocy opuszamy kotlinę. — Kiedy odwrócił się, zawołała za nim. — Dobra hola, Hendrick, jesteś silny jak lew i możesz być pewny, że będę i obie pamiętać w dniu wypłaty.

Ciężka praca zbliżyła ich do siebie — Hendrick uśmiechnął się do Centaine.

— Gdybym miał dziesięć żon tak silnych jak panienka i które potrafiłyby tak dobrze pracować, to mógłbym cały dzień siedzieć w cieniu i pić piwo.

— To najpiękniejszy komplement, jaki słyszałam w życiu — odpowiedziała Centaine po francusku i znalazła dosyć siły, żeby roześmiać się krótkim, zdyszczanym śmiechem.

Po powrocie do obozu pod Drzewem Lwa, jak nazwała to miejsce Centaine, dziewczyna odpoczywała jeden dzień, a następnego ranka ustawiła stół w cieniu mopani i wzięła się do wypełniania formularzy przyznających prawo własności działek. Uyla to równie monotonna i wyczerpująca praca, jak mierzenie terenu, gdyż trzeba było wypisać czterysta szesnaście zgłoszeń i każda cyfra musiała być dokładnie przepisana z jej podręcznego notatnika i naniesiona na mapę. Abraham Abrahams wyjaśnił dziewczynie, jak bardzo ważna jest tu precyzja, gdyż każda działka będzie sprawdzona przez inspektora kopalnianego i jego mierniczych i najdrobniejszy błąd może spowodować utratę prawa własności do całego terenu.

Minęło kolejne pięć dni, zanim Centaine złożyła ostatni formularz na stercie dokumentów, owinęła je wszystkie w brązowy papier pakowy i zabezpieczyła woskiem. Do paczki dołączyła list.

Drogi Panie Abrahams, proszę przedłożyć załączone zgłoszenia w urzędzie górniczym! w moim imieniu i złożyć otrzymane tytuły własności na moim koncie w banku Standard w Windhoek jako mój pełnomocnik.

Będę wdzięczna, jeśli zechciałby Pan poszukać dla mnie najlepszego niezależnego konsultanta górniczego. Proszę z nim zawrzeć kontrakt na zbadanie i wycenienie własności wymienionej w zgłoszeniach i przysłać go samochodem, który do Pana wysyłam.

Proszę także o zrobienie zakupów według wypisanej przeze mnie listy i przysłanie ich tym samym wozem. Na zakup towarów zechce Pan podjąć pieniądze z mojego konta.

Mam jeszcze jedną wielką prośbę do Pana. Gdyby zechciał Pan zatelegrafować do pułkownika Garricka Courteneya w Theunis Kraal i nie wspominając o, miejscu mojego pobytu, dowiedzieć się o zdrowie mojego syna Michela i mojej przyjaciółki Anny Stok. Proszę im przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia ode mnie, zapewnić o mojej miłości i poinformować, że czuję się świetnie i z utęsknieniem czekam na chwilę, kiedy znenu się zobaczymy.

Przesyłam Panu serdeczne pozdrowienia

Centaine de Thiry Courteney

Podana paczkę oraz list kierowcy i ciężarówka wyruszyła wczesnym rankiem do Windhoek. Ponieważ droga została już porządnie wypalona przez słońce, a trudniejsze miejsca wyrównano dynamitem w czasie pierwszego przejazdu, ciężarówka wróciła po ośmiu dniach. W kabinie kierowcy siedział starszy, wysoki mężczyzna.

— Pozwoli pani, że się przedstawię, pani Courteney. Nazywam się Rupert Twentymann-Jones.

Mężczyzna ów bardziej przypominał Centaine przedsiębiorcę pogrzebowego niż eksperta górniczego. Nosił czarną kurtkę z alpaki z wysokim kołnierzem, a także czarny, skórzany krawat. Włosy miał czarne i rzadkie, a bokobrody, dla kontrastu, gęste i białe niczym kłęby bawełny. Czubek nosa i koniuszki uszu znaczyły mu blizny po wrzodach od tropikalnego słońca i wyglądało to, jakby

poobgryzały go myszy. Miał ciężkie wory pod oczami niczym basset i równie smutną minę jak ów brzydki pies.

— Bardzo mi miło, panie Jones.

— Doktor Twentymann-Jones — poprawił ją ponuro. — Podwójne, jak lufy w strzelbie. Mam dla pani list od pana Abrahamsa.

Wręczył jej papier, jak gdyby był to nakaz eksmisji.

— Dziękuję, doktorze Twentymann-Jones. Proszę się poczęstować herbatą, a ja szybko przeczytam list.

Pisał jej w liście Abraham Abrahams:

Niech Pani nie da się zwieść żalosnemu wyglądowi tego człowieka. Był asystentem doktora Merensky'ego, który odkrył tarasy diamentowe na Spiergebied. Obecnie doktor Twentymann-Jones udziela konsultacji dyrektorom Zjednoczonych Kopalni De Beersów. Jeśli potrzebny Pani dodatkowy dowód jego pozycji, to proszę rozważyć fakt, że jego opłata uwzględniona w kontrakcie wynosi tysiąc dwieście gwinei.

Pułkownik Courteney zapewnił mnie, że zarówno pani Anna Stok, jak i Pani syn Michel są zdrowi i cali. Cała trójka przesyła najserdeczniejsze życzenia i z niecierpliwością czeka na Pani powrót.

Wysyłam towary, o które Pani prosiła i po ich zakupie i uregulowaniu z góry honorarium doktora Twentymanna-Jonesa na Pani koncie pozostało sześć funtów ndcnaście szylingów i sześć pensów. Akty własności zostały złożone w sejfie wskazanego przez Panią banku.

Centaine złożyła uważnie list. Z jej spadku i pieniędzy uzyskanych a- sprzedaży diamentu H'ani pozostało niewiele więcej niż sześć Unitów. Nie mogła nawet opłacić powrotu do Theunis Kraal, chyba żeby sprzedawały samochody.

Jednak Twentymann-Jones otrzymał pełne wynagrodzenie i mieli dosyć zapasów, żeby przeżyć na pustyni następne trzy miesiące.

Spojrzała na inżyniera, który siedział na brezentowym krześle i popijał herbatę.

— Tysiąc dwieście gwinei. Musi pan być niezły.

— Nie, proszę pani. — Twentymann-Jones potrząsnął smutno głową. — Jestem zwyczajnie najlepszy.

Centaine przeprowadziła Twentymanna-Jonesa nocą przez jaskinię z pszczołami i kiedy wyszli na ukrytą w górze kotlinę, inżynier usiadł ciężko na skale i otarł chusteczką pot z czoła.

— Nie podoba mi się to, proszę pani. Trzeba będzie coś zrobić z tymi okropnymi owadami.

Obawiam się, że będziemy musieli ich się pozbyć.

— Nie. — Odpowiedź Centaine była szybka i ostateczna, - Chcę pozostawić to miejsce i żyjące w nim stworzenia w nienaruszonym stanie, dopóki...

— Dopóki?

— Dopóki nie przekonamy się, że ich usunięcie jest konieczne.

— Nie znoszę pszczół. Okropnie puchnę od ich użądleń. Zwrócę różnicę z wypłaconej mi sumy i proszę poszukać innego konsultanta.

Podniósł się z kamienia.

— Niech pan poczeka! — Centaine powstrzymała go. — Zbadałam skały w tym miejscu. Do szczytu prowadzi droga, którą można przejść do kotliny. Trzeba by jednak zamontować na górze system kołowrotek...

— To by bardzo skomplikowało całe przedsięwzięcie.

— Proszę, doktorze Twentyma-Jones, bez pana pomocy... Inżynier chrząknął niezobowiązująco kilka razy i z latarnią w ręku ruszył na dół, a z nadejściem świtu rozpoczął wstępne oględziny terenu.

Przez cały dzień Centaine siedziała w cieniu drzewa i co jakiś czas dostrzegała chudą postać, kroczącą w tę i w tamtą stronę z głową zwieszoną na piersi. Co jakiś czas doktor zatrzymywał się i schylał, żeby podnieść kawałek skały czy garść ziemi i znowu znikał pomiędzy drzewami i skałami.

Było już późne popołudnie, gdy wrócił.

— No i? — zapytała niecierpliwie Centaine.

— Jeśli pyta pani o moje zdanie, to jest na to jeszcze zbyt wcześnie. Minie kilka miesięcy, zanim...

— Miesiące?! — wykrzyknęła zdziwiona.

— Oczywiście... — Twentyma-Jones spostrzegł wyraz jej twarzy i zniżył głos. — Nie zapłaciła mi pani tych wszystkich pieniędzy za zgadywanie. Muszę otworzyć ten teren i zobaczyć, co jest pod spodem. To wymaga czasu i ciężkiej pracy. Będę potrzebować wszystkich pani robotników i tych, których zabrałem ze sobą.

— Nie pomyślałam o tym.

— Pani Courteney, co pani spodziewa się znaleźć w tym miejscu? — zapytał delikatnie inżynier.

Centaine wzięła głęboki oddech i skrzyżowała palce za plecami, żeby odegnać zło, jak ją nauczyła Anna.

— Diamenty — powiedziała i zaraz się wystraszyła, że wymawiając to słowo, ściągnie na siebie pecha.

— Diamenty! — powtórzył za nią Twentyma-Jones, jakby usłyszał wiadomość o śmierci swojego ojca. — Zobaczmy. — Wyraz jego twarzy był wyjątkowo żalony. — Zobaczmy!

— Kiedy zaczynamy?

— My, pani Courteney? Pani nie będzie wolno wchodzić na ten teren. Nigdy nie pozwalałam, żeby ktoś mnie obserwował przy pracy.

— Ale... — zaprotestowała Centaine — czy nie mogę chociaż popatrzeć?

— To jest zasada, której nie zmieniam dla nikogo, pani Courteney. Będzie pani musiała uzbroić się w cierpliwość.

Centaine nie miała wstępu do kotliny i spędzając czas w obozie pod drzewem, czuła, że dni upływają niesłychanie wolno. Z obozu widziała, jak robotnicy zatrudnieni przez Twentymana-Jonesa wspinają się na skałę obciążeni sprzętem i znikają za krawędzią szczytu.

Po miesiącu czekania sama wdrapała się na górę. Wspinaczka była trudna i niebezpieczna i Centaine przez całą drogę na górę czuła, jak na szczyt, gdyż Centaine nosiła cięży jej dziecko. Ze szczytu miała jednak tak wspaniałą widok i ciiinnącą się po horyzont równinę, że zapomniała o wysiłku. Kiedy spoglądała w dół na ukrytą w górze kotlinę, miała wrażenie, że zagłąda i wnętrza ziemi.

System wyciągów i lin opadających z krawędzi szczytu w dół był lej wysokości równie wąty, co nitki pajęczyny i Centaine zadrżała i myśl, że miałyby wsiąść do płóciennego wiadra i spuścić się w tę przepaść. Daleko w dole dostrzegła malutkie figurki robotników przypominających mrówki oraz usypane przez nich zwały ziemi wybranej z szybów. Udało jej się nawet rozpoznać Twentymana-Jonesa który chodził sztywnym krokiem pomiędzy otworami w ziemi.

Centaine posłała mu w brezentowym wiadrze kartkę z pytaniem:

Czy znalazł pan już coś?

Po godzinie nadeszła tą samą drogą odpowiedź:

Cierpliwość jest irdną z największych cnót.

To był ostatni raz, gdy Centaine mogła wejść dziecko rosło jej w brzuchu niczym złośliwy guz. Shasę z radością, ale ta ciąża dała jej tylko ból, niewygodę i złe samopoczucie. Dziewczyna nie potrafiła znaleźć pociechy nawet w książkach, które ze sobą zabrała, gdyż z trudem koncentrowała się na czytanych tekstach. Co chwila oczy jej bezwiednie wznosiły się ku szczytowi góry, jakby spodziewała się zobaczyć tam chudą postać inżyniera.

W miarę jak lato osiągało listopadową pełnię, dni stawały się coraz bardziej upalne i Centaine nie mogła spać po nocach. Leżała na łóżku przez całą noc i o świcie wychodziła z namiotu spocona, wyczerpana, przygnębiona i bardzo samotna. Jadła też o wiele za dużo, gdyż tylko jedzenie potrafiło zabić nudę gorących dni. Bardzo zasmakowały jej pieczone nerki i Swart Hendrick musiał codziennie udawać się na polowanie, żeby przynieść jej świeże mięso.

Brzuch jej napęczniał i dziecko robiło się coraz większe, tak że siadając, musiała rozchyłać kolana. Była też umęczona jego niespokojnym zachowaniem, kopaniem i przewracaniem się na wszystkie strony niczym ryba rzucająca się na końcu żyłki.

— Uspokój się, ty mały potworze — jęczała Centaine. — O Boże, jak chętnie bym się tego pozbyła.

Wreszcie pewnego popołudnia, gdy Centaine zupełnie już straciła nadzieję, doktor Twentyman-Jones zszedł ze szczytu. Swart Hendrick dostrzegł go na górskiej ścieżce i przybiegł do namiotu z wiadomością, żeby Centaine zdążyła wstać z łóżka, obmyć twarz i zmienić przepocone ubranie.

Kiedy inżynier wszedł do obozu, Centaine siedziała przy stoliku, za którym ukryła swój wielki brzuch, i nie wstała na powitanie.

— Oto pani raport, madame.

Twentyman-Jones położył przed nią gruby skoroszyt. Rozwiązała tasemki i otworzyła teczkę. W środku znajdowały się strony zapisane drobnym, pedantycznym pismem i słowa, których nigdy dotąd nie widziała. Przewracała wolno kolejne strony, Twentyman-Jones zaś przyglądał jej się z żalną miną. W pewnej chwili pokręcił głową i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki i głośno wyczyścił nos.

Wreszcie Centaine podniosła wzrok znad raportu i spojrzała na niego.

— Przykro mi — szepnęła — ale nic z tego nie rozumiem. Czy może mi pan to wytłumaczyć?

— Będę się streszczał, madam. Wykopałem czterdzieści sześć otworów poszukiwawczych, każdy na głębokość piętnastu metrów z dwumetrowym odstępem pomiędzy szymbami.

— Rozumiem — skinęła głową. — Ale co pan znalazł?

— Odkryłem, że pod całą kotliną jest warstwa żółtego gruntu sięgająca na głębokość jedenastu metrów.

Centaine poczuła, że kręci się jej w głowie i robi słabo. Ów „żółty grunt” brzmiał tak złowieszczo. Twentyman-Jones ponownie wytarł nos. Było jasne, że nie chce wypowiedzieć ostatecznego werdyktu, który pogrzebie jej wszystkie nadzieje i plany.

— Proszę mówić dalej — szepnęła.

— Poniżej tej warstwy natrafiliśmy na... — zawiódł go głos i miał minę, jakby bardzo jej współczuł — ...na niebieski grunt.

Centaine podniosła rękę do ust i przez chwilę myślała, że zemdleje.

„Niebieski grunt” — to brzmiało jeszcze groźniej niż żółty. Dziecko poruszyło się w brzuchu Centaine i poczuła, że zalewa ją rozpacz niczym czarna lawa.

Wszystko na nic, pomyślała i przestała słuchać, co mówi Twentyman-Jones.

— Jest to oczywiście klasyczne podłużne skupienie rudy w żyłę, podwójnie złożona brekcja z twardą, nieprzeziąkalną formacją niebieskiego łupku na dole.

— Tak więc nie ma tam diamentów — stwierdziła ze smutkiem Centaine i Twentymann-Jones wytrzeszczył ze zdumieniem oczy.

— Diamentów? Oszacowałem przybliżoną wartość dwudziestu sześciu karatów na sto ładunków, proszę szanownej pani.

— W dalszym ciągu nie rozumiem. — Potrząsnęła bezradnie głową. — Co to znaczy? Co to jest sto ładunków?

— Sto ładunków to w przybliżeniu osiemdziesiąt ton ziemi. A co oznacza dwadzieścia sześć karatów? Madame, Jagersfontein szacuje się na jedenaście karatów na sto ładunków, nawet Wesselton produkuje tylko szesnaście karatów na ładunków, a to są dwie najbogatsze kopalnie diamentów na świecie. Ta posiadłość jest niemal dwukrotnie bogatsza.

- Więc jednak są tu diamenty? — Patrzyła na niego szeroko owartymi oczami.

Twentymann-Jones wyjął z kieszeni alpakowej kurtki plik małych kopert przewiązanych sznurkiem i położył je na skorowidzu.

- Proszę, żeby ich pani nie pomieszała, pani Courteney, kamienie z każdego szybu są w oddzielnych kopertach i dokładnie oznaczone.

Zdrętwiałymi palcami Centaine rozwiązała sznurek, otworzyła pierwszą kopertę i wysypała jej zawartość na dłoń. Niektóre z kamyków były wielkości kryształków cukru, a jeden wielkości dojrzałego groszku.

— Diamenty? — zapytała jeszcze raz, żeby się upewnić.

— Tak, proszę pani, i to na ogół bardzo dobrej jakości. Patrzyła tępych wzrokiem na małą stertę kamyków w dłoni — były ciemne, małe i zupełnie zwyczajne.

— Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale chciałem pani zadać pytanie. Oczywiście może pani nie odpowiadać.

Skinęła głową.

— Czy jest pani członkiem syndykatu, czy ma pani partnerów w tym przedsięwzięciu?

Pokręciła przecząco głową.

— Chce pani powiedzieć, że jest pani jedyną właścicielką tej posiadłości, że sama pani odkryła tę kotlinę i nabyła akt własności?

Ponownie pokiwała głową.

— W takim razie — pokręcił żałośnie głową — jest pani w tej chwili jedną z najbogatszych kobiet na świecie, pani Courteney.

Twentymann-Jones pozostał w obozie pod drzewem przez następne trzy dni. Przejrzeli razem cały raport linijka po linijce i ekspert wyjaśnił każdy szczegół, który Centaine nie za dobrze rozumiała. Otworzył poszczególne koperty z próbkami, wyjął z nich szczypcami jubilerskimi bardziej niezwykle lub najbardziej typowe diamenty i wskazał dziewczynie ich cechy.

— Niektóre z nich są takie malutkie — czy mają jakąś wartość? Przesunęła palcem wskazującym po okruchach diamentów.

— Te diamenty przemysłowe to pani środki utrzymania. Pokryją koszty wydobycia. Duże diamenty jubilerskie, jak ten, będą dla pani śmietanką. Jest to śmietanka najlepszej jakości, można powiedzieć: holenderskie masło!

Centaine po raz pierwszy usłyszała dowcip w ustach eksperta, a i tak miał on minę równie ponurą jak zawsze.

Ostatni, dwudziestojednostronicowy rozdział raportu przedstawiał zalecenia co do sposobu wydobycia diamentów.

— Ma pani olbrzymie szczęście, madame, że może pani sama eksploatować ten teren. Wszystkie

inne duże kopalnie diamentów, od Kimberley do Wesselton, zostały zajęte przez setki indywidualnych właścicieli, z których każdy działa niezależnie od wysiłków sąsiadów. W rezultacie powstał jeden wielki chaos. — Potrząsnął smutno głową i szarpnął za bujne bokobrody. — Setki działek, każda wielkości dziesięciu metrów kwadratowych, schodzące w dół pod różnymi kątami, a wokół płatanina drózek, drutów, kołowrotek i wiader. Chaos, istne piekło! Rosnące koszty, ludzie ginący w zasypanych szybach, tysiące dodatkowych robotników, czyste szaleństwo! — Spojrzał na nią smutno. — Natomiast pani, madame, ma okazję zbudować tutaj idealną kopalnię, a ten raport — podał Gentaine teczkę — wyjaśnia dokładnie, jak należy to wykonać. Przeprowadziłem pomiary gruntu i ustawiłem znaki, gdzie powinna pani zacząć. Ma tu pani wyliczone ilości ziemi, jaką trzeba będzie usunąć na każdym etapie prac. Wyznaczyłem nawet pierwszą pochyłą sztolnię i wyjaśniłem, jak powinna pani planować każdą kolejną fazę kopania.

Centaine przerwała mu wykład.

— Doktorze Twentymann-Jones, mówi pan cały czas: „pani”. Chyba nie oczekuje pan, że osobiście podołam tym wszystkim skomplikowanym zadaniom?

— Dobry Boże, oczywiście, że nie! Będzie pani musiała wziąć dobrego inżyniera z doświadczeniem w budownictwie. W dalszej przyszłości zatrudni tu pani wielu inżynierów i setki, może nawet tysiące robotników w... — zawahał się. — Czy ma pani już jakąś nazwę dla tej kopalni? Pewnie Kopalnia Courteneyów?

Centaine pokręciła przecząco głową.

— Kopalnia H'ani — powiedziała.

— Nadzwyczajne. Co to znaczy?

— To imię Buszmenki, która mnie tu przyprowadziła.

— W takim razie bardzo słuszny wybór. Jak mówiłem, będzie pani potrzebować dobrego inżyniera, żeby uporać się ze wstępnymi robotami, które naszkicowałem w raporcie.

— Czy zna pan może kogoś takiego?

— Trudna sprawa — odparł w zamyśleniu. — Większość fachowców jest na stałe zatrudniona przez De Beersów, a z pozostałych jeden, który jest coś wart, został niedawno okaleczony w czasie eksplozji. — Zastanawiał się przez chwilę w milczeniu. — Zaraz, słyszałem o pewnym młodym Afrykanerze, który cieszy się dobrą opinią. Nigdy z nim nie pracowałem, niech to, jak on się nazywa? Ach, tak, pamiętam. De la Rey!

— Nie! — Centaine krzyknęła gwałtownie.

— Przepraszam, madame. Zna go pani?

— Tak. Nie chcę go.

— Jak pani sobie życzy. Spróbuję pomyśleć o kimś innym.

W nocy Centaine przewracała się z boku na bok, starając się ułożyć w najwygodniejszej pozycji, tak żeby nie czuć przygniatającego i ciężaru dziecka i wreszcie zasnąć. Przypomniała jej się propozycja Iwentymanna-Jonesa i kiedy się nad nią zastanowiła, usiadła w ciemnościach.

— Właściwie czemu nie? — zapytała na głos. — I tak musi tu wrócić. Obcy mężczyzna mógłby zobaczyć więcej, niżbym sobie życzyła. — Zaciśnęła ręce na brzuchu. — Będę go potrzebować jedynie w pierwszym stadium budowy. Napiszę list do Abrahama Abrahamsa i poproszę, żeby przysłał Lothara!

Zapaliła lampę i podeszła ciężko do stolika.

Rankiem doktor Twentymann-Jones gotów był do wyjazdu. Cały sprzęt miał już spakowany i załadowany na ciężarówkę, a jego murzyńscy robotnicy siedzieli na tobołkach. Centaine podała mu raport

— Czy będzie pan tak dobry i przekaże ten raport mojemu prawnikowi w Windhoek, razem z tym listem?

— Oczywiście, proszę szanownej pani.

— Zapewne będzie chciał przejrzeć ten raport razem z panem. Poleciałam panu Abrahamsowi ubiegać się o pożyczkę w banku i przypuszczam, że zarząd banku też będzie chciał z panem porozmawiać, żeby poznać wartość tej posiadłości.

— Spodziewałem się tego. — Skinął głową. — Może być pani spokojna, że powiadomię ich o olbrzymiej wartości pani odkrycia.

— Dziękuję panu. W liście do pana Abrahamsa poleciałam mu wypłacić panu z pieniędzy pożyczonych od banku sumę równą pańskiemu wynagrodzeniu.

— To nie było konieczne, madame, ale jestem bardzo wdzięczny.

— Widzi pan, doktorze Twentyman-Jones, kiedyś mogę pragnąć zatrudnić pana jako stałego konsultanta w Kopalni H'ani. Chcę, żeby miał pan o mnie dobrą opinię.

— Nie potrzebuje mi pani za to płacić, pani Courteney. Uważam panią za wyjątkowo dzielną, inteligentną i piękną młodą damę. Pracować dla pani to prawdziwy zaszczyt.

— W takim razie chciałabym pana prosić o jeszcze jedną przysługę.

— Co tylko pani sobie życzy.

— Proszę nie wspominać nikomu o moich osobistych sprawach, które pewnie zwróciły pańską uwagę.

Jego oczy powędrowały w dół jej sukni i szybko wróciły do twarzy.

— Dyskrecja, madame, jest jednym z najważniejszych warunków mojego zawodu. Poza tym nie zrobiłbym nic, co mogłoby skrzywdzić przyjaciela.

— Dobrego przyjaciela, doktorze Twentyman-Jones — zapewniła go Centaine, wyciągając rękę.

— Bardzo dobrego przyjaciela, pani Courteney — potwierdził ekspert, ujmując jej dłoń.

Przez jeden niewiarygodny moment Centaine myślała, że doktor Twentyman-Jones się uśmiechnie. Opanował się jednak i wszedł do oczekującej nań ciężarówki.

Także i tym razem podróż do Windhoek i z powrotem zajęła kierowcy ciężarówki osiem dni. W tym czasie Centaine zastanawiała się ze strachem, czy nie za późno posłała po Lothara. Dziecko było już bardzo duże i z niecierpliwością domagało się uwolnienia. Kiedy wreszcie usłyszała znajomy warkot powracającego samochodu, odetchnęła z ulgą.

Siedząc w cieniu uniesionej płachty namiotu, przyglądała się podjeżdżającym wozom. W pierwszej ciężarówce jechał Lothar De La Rey i mimo że Centaine starała się opanować swoje uczucia, poczuła, że serce bije jej szybciej, gdy zobaczyła, jak mężczyzna wysiada z szoferki. Był wysoki, elegancki i żwawy mimo męczącego upału i długiej podróży.

Na widok drugiego pasażera auta, któremu Lothar pomógł zejść na ziemię, Centaine odczuła szok. Była to zakonnica w habicie benedyktynek.

— Kazałam mu przywieźć pielęgniarkę, a nie siostrę — mruknęła ze złością.

Z tyłu ciężarówki siedziały dwie młode dziewczyny. Obie miały ten sam złotobrzązowy kolor skóry i ładne, okrągłe twarze, tak do siebie podobne, że musiały być siostrami. Każda z nich trzymała na biodrze niemowlę, a spod bawełnianych sukienek można było dostrzec piersi ciężkie od pokarmu.

Mamki, domyśliła się Centaine i na myśl, że te obce, ciemne dziewczyny będą karmiły piersią jej dziecko, poczuła okropny żal. Lothar podszedł do namiotu, zachowując w dalszym ciągu wyniosłą rprzystępną postawę, i wręczył jej pakiet listów, a następnie ilstawił zakonnice.

- Siostra Ameliana ze szpitala Świętej Anny — powiedział. — Ameliana jest moją kuzynką ze strony matki. Jest doświadczoną położną, mówi jedynie po niemiecku. Można na niej całkowicie

polegać.

Hudą kobietę o bladej twarzy otaczał zapach suchych płatków Siostra miała zimne i nieprzychylnie oczy; przyjrzała się Centaine powiedziała coś po niemiecku.

- Siostra chce cię zbadać — przetłumaczył Lothar. — Wrócę później, żeby porozumieć się co do prac, które chcesz zlecić mojemu przedsiębiorstwu.

- Ona mnie nie lubi.

Centaine odwzajemniła siostrze Amelianie wrogie spojrzenie. Lothar .nsahał się na chwilę, zanim odpowiedział.

— Siostra nie akceptuje naszej umowy. Całe swoje życie poświęciła przyjmowaniu porodów i wychowywaniu dzieci i nie rozumie, jak na matka może chcieć oddać własne niemowlę. Ja zresztą także tego nie rozumiem.

— Powiedz jej, że też jej nie lubię, ale przybyła tu wykonać pewne zlecenie, a nie osądzać mnie.

— Centaine... — zaprotestował Lothar.

— Przetłumacz to — nalegała Centaine.

Przez chwilę trwała szybka wymiana zdań po niemiecku i Lothar znowu obrócił się do dziewczyny.

— Siostra mówi, że rozumiecie się znakomicie. Tak będzie najlepiej. Przybyła tu tylko po to, żeby odebrać poród. Co do sądu, to zostawia to naszemu Ojcu w niebie.

— Powiedz jej, że może mnie teraz zbadać.

Kiedy siostra Ameliana skończyła i opuściła namiot, Centaine i przeczytała listy. List od Garry'ego Courteneya donosił jej o wszystkich wydarzeniach w Theunis Kraal, a na dole strony znajdował się odcisk palca Shasy i podpis Garry'ego: „To jest znak Michela Courteneya”. gruby plik kartek od Anny, mimo że zapisany niewyraźnym i trudnym do odczytania pismem, sprawił Centaine szczególną przyjemność. Złamała pieczęć na ostatnim w paczce liście od Abrahama Abrahamsa.

Droga Pani Courteney, Pani list i informacje doktora Twentymana-Jonesa przyprawiły mnie o zawrót głowy. Nie znajduję słów, żeby pogratulować Pani tak wspaniałego osiągnięcia i wyrazić swojej radości z Pani olbrzymiego szczęścia. Nie zamierzam jednak zanudzać Pani swoimi odczuciami i pozwolę' sobie od razu przejść do sedna sprawy.

Doktor Twentyman-Jones i ja przeprowadziliśmy negocjacje z członkami zarządu banku Standard, którzy przeczytali raport i przejrzeni próbki. Bank zgodził się udzielić pani pożyczki w wysokości stu tysięcy funtów na pięć procent rocznie. Suma ta została przelana na Pani konto i może Pani korzystać z niej według własnego uznania. Porozumieliśmy się z bankiem, że jest to tylko wstępna pożyczka i nie będzie żadnych kłopotów z uzyskaniem w przyszłości następnych. Gwarancją pożyczki jest tytuł własności Kopalni H'ani.

Doktor Twentyman-Jones spotkał się także z panem Lotharem De La Reyem i przedstawił mu szczegółowe plany pierwszej fazy budowy kopalni.

Pan De La Rey wynegocjował kontrakt opiewający na sumę pięciu tysięcy funtów. Jako Pani pełnomocnik zaakceptowałem jego warunki i zapłaciłem mu zaliczkę w wysokości tysiąca funtów, za którą otrzymałem pokwitowanie...

Centaine przebiegła wzrokiem resztę listu, uśmiechając się przy komentarzu Abrahamsa:

Wysyłam Pani artykuły, na jakie wyraziła Pani zapotrzebowanie. Muszę się przyznać, że zaintrygował mnie tuzin moskitier, które Pani wyszczególniła w liście. Może któregoś dnia zaspokoi Pani moją ciekawość i wyjaśni, do czego były potrzebne.

Odłożyła listy na stolik, żeby później przeczytać je jeszcze raz, i posłała po Lothara. Przeszedł do namiotu w chwilę później.

— Siostra Ameliana zapewniła mnie, że wszystko jest w porządku, ciąża przebiega bez żadnych komplikacji i wkrótce dojdzie do rozwiązania.

Centaine skinęła głową i wskazała mu krzesło obozowe.

— Nie zdążyłem ci jeszcze pogratulować wspaniałego odkrycia — powiedział siadając. — Doktor Twentymann-Jones ocenia te złoża na minimum trzy miliony funtów szterlingów. Centaine, to jest wręcz niewiarygodne!

Centaine lekko pochyliła głowę i powiedziała stanowczym i spokojnym tonem:

— Ponieważ pracuje pan dla mnie i musimy ustalić pewne formy wzajemnego odnoszenia się do siebie, sądzę, że na przyszłość powinien zwracać się do mnie per „pani Courteney”. Używanie mojego imienia sugeruje bliższą znajomość, która między nami już nie istnieje.

Uśmiech zamarł mu na ustach i znikł. Lothar nie odpowiedział ani słowem

- Przejdźmy teraz do kwestii prac, do których pana zatrudniłam. Chce z panem przedyskutować warunki.

— Chce pani, żebym rozpoczął już teraz, a nie po porodzie?

— Od razu, sir — odparła stanowczo. — Osobiście dopilnuję wyszczenia tunelu prowadzącego do kotliny, co będzie pierwszym etapem budowy. Zaczniemy jutro w nocy.

Wieczorem następnego dnia wszystko było już przygotowane. Ścieżka wiodąca przez dolinę do jaskini musiała zostać oczyszczona z zarośli i poszerzona. Robotnicy Lothara naznaczyli na ręczu drewna mopami i ułożyli je u wejścia do jaskini.

Pszczoły zupełnie jakby wyczuły grożące im niebezpieczeństwo, gdyż w promieniach zachodzącego słońca migotały miriady małych, lśniących złotem owadów, a gorące powietrze uwięzione pomiędzy wysokimi skalnymi ścianami wibrowało od szumu skrzydeł. Owady krążyły nad głowami spoconych robotników i gdyby nie chroniły ich moskitiery, zostaliby wielokrotnie ukąszeni.

W miarę jak nad doliną zapadała noc, roje podrażnionych owadów wróciły do ciemnej jaskini. Centaine odczekała godzinę, aż ul uspokoi się i zapadnie w sen.

— Zapalcie dymniki — rozkazała wreszcie.

Czterech najpewniejszych robotników Lothara pochyliło się nad przygotowanymi pięciokilogramowymi puszkami po wołowinie, z dziurami po bokach, wypełnionymi węglem drzewnym i ziołami. Centaine sama wskazała ludziom, jakie zioła mają zebrać, wykorzystując przepis przekazany jej przez O'wa. Przypomniała sobie starego myśliwego, patrząc, jak Murzyni podpalają węgiel z ziołami i owija ich gęsty dym o ostrym zapachu. Robotnicy wymachiwali puszkami przywiązanymi na końcach krótkiego drutu, żeby lepiej rozpalić węgiel drzewny, i Centaine przypominała sobie ministrantów z kadzielnicami podczas procesji do katedry w Arras w Wielki Piątek.

Kiedy dymniki rozpały się równym ogniem, Lothar wydał rozkaz i czterej robotnicy podeszli do szczeliny w skale. W światłach latarni wyglądali niczym duchy. Do pasa ciała ich osłaniały wysokie buty i skórzane spodnie, a głowy i tułowia okrywały im gęste, białe siatki przeciwko moskitom. Jeden po drugim wsunęli się do wnętrza jaskini, otoczeni gęstym, niebieskawym dymem.

Centaine odczekała jeszcze godzinę, a następnie podążyła z Lo-tharem za nimi.

Wnętrze jaskini wypełniał kwaśny dym i oboje nie widzieli nic na kilka kroków przed sobą. Niebieskawe kłęby przyparwiały Centaine o ból głowy i mdłości. Jednak ogłuszający szum uła opadł do cichego, sennego szmeru. Miliony błyszczących owadów wisały na suficie i plastrach miodu.

Centaine wybiegła z jaskini, zerwała siatkę z głowy i łapczywie łykała chłodne, czyste powietrze,

starając się opanować mdłości. Kiedy odzyskała głos, powiedziała Lotharowi:

— Mogą wnosić drzewo do środka. Powiedz im, żeby uważali na plastry miodu, które zwisają nisko z sufitu.

Nie weszła już więcej do jaskini i stała na uboczu, patrząc, jak mężczyźni wnoszą do środka stopy suchego drewna.

Minęła już północ, gdy Lothar zbliżył się do Centaine.

— Gotowe.

— Niech pan zabierze ludzi i zejdzie z nimi do wejścia do doliny. Poczekaście tam dwie godziny, a następnie wróćcie tutaj.

— Nie rozumiem.

— Chcę zostać sama.

Centaine usiadła na kamieniu i słuchała głosów robotników niknących w ciemnościach. Kiedy zapadła cisza, spojrzała w niebo i zobaczyła gwiazdę O'wa wiszącą nad doliną.

— Duchu wielkiej Lwiej Gwiazdy — szepnęła — czy wybaczysz mi to, co zamierzam zrobić?

Wstała i podeszła do skalnej ściany.

Podniosła lampę nad głowę i w jej żółtawym świetle odnalazła malowidła Buszmenów. Jej ręka drżała i poruszające się cienie powodowały, że wizerunki antylop i modliszek zdawały się pulsować życiem.

— Duchy Antylopy i Modliszki, wybaczcie mi. Strażnicy miejsca, gdzie nic nie może umrzeć, wybaczcie mi moją zbrodnię. Nie robię tego dla siebie, ale żeby zapewnić dobrą wodę dziecku, które urodziło się w tym sekretnym miejscu.

Podeszła wolno do szczeliny w skale, czując, jak bardzo ciąży jej dziecko, żal i poczucie winy.

— Duchy O'wa i H'ani, czy nadal czuwacie nade mną? Czy nie przestaniecie się mną opiekować, kiedy dokonam tego czynu? Czy nadal będziecie kochać Dziecko Nam i Shasę po tej strasznej zdradzie?

Upadła na kolana i modliła się cicho do wszystkich duchów bogów. Nie zauważyła, jak minęły dwie godziny, gdy nagle z blizujących się głosy.

Lothar De La Rey podszedł do niej z kanistrem benzyny prawej ręką.

- Proszę to zrobić! — poleciła Centaine.

Lothar wszedł do jaskini. Dobięł stamtąd odgłos noża przebijających blachę kanistrów i bulgotanie rozlewanej benzyny. Z wąskiej szczeliny wydobywał się ostry, nieprzyjemny zapach czystej benzyny Centaine usłyszała szum milionów pszczoł, które woń paliwa wyrwała otępienia wywołanego dymem.

Lothar wybiegł tyłem z jaskini, wylewając resztki benzyny na podłogę. Odrzucił pusty kanister i podbiegł do Centaine.

- Szybko! — zawołał dysząc ciężko. — Zanim wylecą pszczoły!

Chmary pszczoł wydobywały się z jaskini, śmigając w świetle lampy i siadały na siatkach zakrywających twarze ludzi. Ze skalnych szczelin wylatywały coraz to nowe roje.

Centaine cofnęła się, zamachnęła się latarnią i cisnęła ją ku wejściu jaskini. Latarnia odbiła się od ściany z trzaskiem pękającego szkła stoczyła się w dół po skale. Mały, żółty płomyk zamigotał, nasł i nagle zajęła się od niego benzyna. Wśród przerażającego szumu, od którego pod nogami Centaine zadrżała ziemia, odrzucając wczynę do tyłu, potężny jęzor ognia runął do groty i wypełnił ją lieniami. Jaskinia miała kształt pieca hutniczego. Poryw wiatru ilt do środka i czerwone płomienie wystrzeliły szczelinami w górę, wietlając noc niczym pięćdziesiąt olbrzymich pochodni. Wiatr pdsycił ogień i uciszył oszalały szum owadów ginących w płomieniach. Po kilku sekundach z jaskini dochodził

jedynie trzask i huk ognia.

Stosy suchego drzewa szybko zajęły się ogniem i Centaine poczuła wydobywające się przez szczeliny fale żaru skacząc ku jej twarzy jak wściekłe potwory. Cofała się, nie mogąc jednocześnie oderwać wzroku od przerażającego zniszczenia. Z grotty zaczęły dobiegać nowe, iic odgłosy, miękki stukot jakichś olbrzymich kształtów uderzające o kamienną posadzkę, jakby z sufitu jaskini spadały żywe istoty.

Centaine nie wiedziała, co to może być, dopóki nie zobaczyła wstęgi płynu wypełzającej wolno ze szczeliny.

- Miód! — wyszeptała. — Plastry miodu się topią!

Potężne plastry, owoce pracy miliardów pszczół przez całe wieki, stapały się w żarze i opadały ze sklepienia jaskini w płomienie. Strumyczek stopionego miodu i wosku zamienił się w rzekę parującej lawy, która z sykiem wypływała z rozgrzanego pieca. Powietrze stało się gęste od gorącego, słodkiego zapachu palącego się miodu i Centaine musiała uciekać przed złotym strumieniem.

— O Boże — wyszeptała. — Boże, wybacz mi to, co zrobiłam!

Stała przed płonąca góra przez całą noc. Rankiem skały były czarne od sadzy, a dno doliny pokrywała gruba warstwa czarnego, lepkiego karmelu.

Kiedy Centaine wróciła wymęczona do obozu pod drzewem, siostra Ameliana już na nią czekała. Pomogła dziewczynie położyć się do łóżka i zmyła z niej czarną, słodką sadzę.

Godzinę po południu Centaine dostała boli porodowych.

— Ty krzyknałeś — szepnęła triumfalnie kobieta — nie ja! Opadła na łóżko, czując, jak odpływają z niej wszystkie siły i cała nienawiść, tak że zostało jedynie puste, obolałe ciało.

Była to raczej walka na śmierć i życie niż poród. Centaine i dziecko walczyli ze sobą przez resztę upalnego popołudnia i większą część nocy.

— Nie będę krzyczeć — mruknęła Centaine przez zaciśnięte zęby. — Nie zmusisz mnie do krzyku, niech cię diabli!

Ból nadchodził falami, które przywodziły jej na myśl wysokie fale oceanu rozbijające się na pustych piaskach afrykańskiego wybrzeża. Centaine wznosiła się i opadała w głębokie, przeszywające cierpienie. Za każdym razem, kiedy ból zdawał się osiągać szczyt, starała się ukucnąć, tak jak uczyła ją H'ani, ale siostra Ameliana przytrzymywała swą położnicę w pozycji leżącej i dziecko nie chciało przesunąć się niżej.

— Nienawidzę cię — warknęła do zakonnicy Centaine, gdy palący pot zalewał jej oczy i oślepił ją. — Nienawidzę cię i tej istoty we mnie.

Dziecko jak gdyby wyczuwało jej nienawiść i starało się rozerwać ciało matki na strzępy, obracając się tak, żeby uniemożliwić wypchnięcie go.

— Precz! — syknęła Centaine. — Wyjdź ze mnie!

Tak bardzo pragnęła poczuć szczupłe, silne ramiona H'ani otaczające jej brzuch i dzielące z nią wysiłek.

W pewnej chwili Lothar zapytał przez drzwi namiotu:

— Co się dzieje, siostrze?

— To okropny widok. Ona walczy jak wojownik, a nie jak matka — odparła zakonnica.

Dwie godziny przed świtem Centaine udało się potężnym pchnięciem, które zdawało się przecinać jej kręgosłup i rozrywać stawy biodrowe, wyprzeć głowę dziecka, wielką i okrągłą niczym piłka. Minutę później krzyk noworodka przeszył noc.

Kiedy Centaine obudziła się, Lothar stał w nogach jej łóżka. Świt przebłyskiwał przez płótno

namiotu za min i Centaine widziała jedynie ciemną sylwetkę mężczyzny.

— To chłopiec — powiedział z radością Lothar. — Masz chłopca.

— Nie — stęknęła Centaine. — On nie jest mój. Jest tylko twój. Syn, pomyślała, chłopiec, część mnie, część mojego ciała, moja krew.

— Będzie miał złote włosy — dodał Lothar.

— Nie chcę go widzieć. Taka była umowa.

Tak więc jego włosy będą lśniły w słońcu, powiedziała sobie w duchu. Czy będzie równie piękny jak jego ojciec?

— Dam mu na imię Manfred, po moim pierworodnym.

— Nazwij go, jak ci się podoba — szepnęła — i zabierz go stąd.

Manfred, mój synku, poczuła, jak serce jej pęka.

— Jest teraz przy piersi niańki. Może go tu przynieść, jeśli chcesz go zobaczyć?

— Nie chcę. Nigdy nie chcę go widzieć. Taka była umowa. Zabierz go!

Jej nabrzmiałe piersi prosiły bólem, żeby nakarmiła dziecko.

— Dobrze. — Lothar stał w milczeniu, czekając, że może Centaine leszcze coś powie, ale odwróciła tylko głowę. — Siostra Ameliana zabierze go ze sobą. Są już gotowi do drogi.

— Powiedz jej, żeby stąd wyjechała i zabrała ze sobą twojego bękartą.

Centaine nie widziała twarzy Lothara, gdy ten odwrócił się i wyszedł z namiotu, a po kilku minutach usłyszała warkot ciężarówki, która wyruszała do Windhoek. Niedługo potem terkot ucichł i zapadła cisza.

Centaine leżała na łóżku, patrząc na wschód słońca przez zielone ściany namiotu. Głęboko wdychała spalone powietrze pustyni, które tak kochała, ale teraz wmieszał się w nie słodki zapach krwi, krwi po narodzinach jej syna, a może krwi małej, starej Buszmenki, której kości bieleły w słońcu pustyni Kalahari? Obraz krwi H'ani na skałach przemienił się w jej wyobraźni w bulgoczące potoki stopionego miodu wyciekającego ze świętego miejsca Buszmenów i znowu poczuła w nozdrzach ciężki, duszący zapach karmelu.

Zdawało jej się, że widzi małą twarzyczkę H'ani, która spogląda na nią ze smutkiem.

— To dla dziecka — szepnęła Centaine. — Dla Shasy.

Twarz w dymie znikła i Centaine zobaczyła swego pierworodnego.

— Shasa, moje dziecko, żebyś zawsze znalazł dobrą wodę.

I ten obraz rozmazał się, a czarne włosy niemowlęcia stały się lśniaco złote.

— Także i ty, mój malutki. Tobie też życzę dobrej wody. Teraz widziała twarz Lothara, a może Michaela — Centaine nie była pewna.

- Jestem taka samotna! — zawołała w głębi swej duszy. Nie chcę być samotna.

Przypomniała sobie słowa: „W tej chwili, pani Courteney, jest pani jedną z najbogatszych kobiet na świecie”.

Oddałabym wszystko, każdy diament z Kopalni H'ani, za prawo kochania tego mężczyzny i posiadania obu moich synów, moich dzieci, przy sobie. Z gniewem odpędziła od siebie te myśli.

— To tylko sentymentalne fantazje słabej i tchórzliwej kobiety. Jesteś chora i zmęczona. Teraz zaśniesz — powiedziała sobie twardo. — A jutro... — zamknęła oczy — ...jutro znowu będziesz dzielna!

Saga rodu Courteneyów

GDY POLUJE LEW

Południowa Afryka, rok 1870. Bliźniacy Sean i Garrick Courteney dorastają w zgodzie mimo odmiennych charakterów i zainteresowań. Pozostają w przyjaźni nawet po spowodowanym przez Seana, tragicznym wypadku, który Garrick przypłaca kalectwem. Dopiero wojna zuluska przydziela im różne role. Zarzewiem waśni, przeradzającej się w śmiertelną nienawiść staje się kłamstwo narzeczonej Seana, poślubionej przez brata. Sean zostawia rodzinną farmę w rękach Garricka i wyrusza na poszukiwanie fortuny i szczęścia. Po kilku latach należy do najbogatszych ludzi w Johannesburgu, ale próbując uwolnić się od niewygodnego współnika traci cały majątek i po raz kolejny musi zaczynać wszystko od początku.

ODGŁOS GROMU

Rok 1899, Sean Courteney po długich latach spędzonych w buszu dociera z synem Dirkiem do Pretorii. Trwa wojna domowa. Sean wstępuje do armii brytyjskiej, walczy z Burami, z nienawidzącym go bratem, a także z kapryśnym losem, który chce odebrać mu ukochaną kobietę. Po wojnie nie ustaje w poszukiwaniach Ruth. Wrogość i zazdrość rodziny wywołuje dramatyczne konflikty.

BRAMA CHAKI

Dobiega końca I wojna światowa. Generał Sean Courteney powraca z Frontu Zachodniego do Afryki Południowej w glorii chwały, by dalej pomnażać fortunę i ponownie objąć obowiązki ministra. Do ojczyzny przybywa również walczący w okopach Flandrii Mark Anders. Od pierwszego wejrzenia zakochuje się w córce generała, której postępowanie i wybory niszczą życie obu mężczyzn — ojca i Marka. Pozbawiony majątku, zagarniętego w niejasnych okolicznościach przez Dirka Courteneya, naturalnego syna Seana wychowywanego przez Garricka, Anders postanawia odzyskać swoje dziedzictwo.

Saga rodu Courteneyów

PRAWO MIECZA

Wychowywani oddzielnie, nieświadomi łączących ich więzów krwi, synowie tej samej matki, Centaine de Thiry, Manfred De La Rey i Shasa Courteney, spotykają się jako kilkunastoletni chłopcy i natychmiast czują tło siebie nienawiść. Uwikłani w burzliwe wydarzenia dwudziestolecia międzywojennego—od kopalni diamentów i złota po gabinety czołowych polityków, w Niemczech za panowania Hitlera, w podbijanej przez Mussoliniego Abisynii i na pustkowiach Kalahari—toczą bezpardonową walkę, w której każdy próbuje przechwycić władzę w Afryce Południowej.

PŁOMIENIE GNIEWU

Rok 1952. Imperium Courteneyów, rządzone twardą ręką syna Michae-la, Shasy, zaczyna ingerować we wszystkie dziedziny życia białych i czarnych mieszkańców Afryki Południowej. Solidarność rodzinną rozbijają synowie Shasy. On zaś upokorzony przez córkę i zdradzony przez żonę, która wiąże się z czarnym przywódcą afrykańskiego ruchu wyzwolenczego, poświęca się działalności politycznej. Szerzące się w kraju zamieszki zapowiadają rewolucję.

PORA UMIERAMIA

Nadeszły lata siedemdziesiąte. Do Zimbabwe na ostatnie polowanie przyjeżdża śmiertelnie chory, bogaty Amerykanin Riccardo Monterro z piękną córką Claudią. Ich przewodnikiem zostaje syn Shasy Courteneya, Sean. W pościgu za słoniem przekraczają granicę z ogarniętą wojną domową Mozambikiem. Sean, weteran wojny domowej, nie tylko znajduje okazję do następnej walki, spotyka też swoją wielką miłość. W konfrontacji z nowym światem wpojone Claudii amerykańskie zasady tracą na wartości.

Saga rodu Ballantyne'ów

LOT SOKOŁA

Afryka, druga połowa XIX wieku. Do krainy dzieciństwa powraca rodzeństwo Ballantyne'ów: Robyn — misjonarka, jedna z pierwszych w Anglii kobiet, które zostały lekarkami, i Zouga — oficer armii brytyjskiej w Indiach. Pragną odnaleźć ojca, który zniknął przed laty, uciekając przed zemstą handlarzy niewolników. Podczas podróży w głąb niezbadanego kontynentu, rozdartego wojną i dręczonego epidemią, osobiste przeżycia Ballantyne'ów nieoczekiwanie zmieniają bieg afrykańskiej historii...

TWARDZI LUDZIE

Wiek Imperium Brytyjskiego to wiek podbojów, krwi, a także nieograniczonych możliwości i wielkich celów. W ślad za pionierami do Afryki Południowej podążą Zouga Ballantyne, Marzenia zaczyna realizować od matactw w niebezpiecznych kopalniach diamentów, kończy zaś jako bogacz, na żyznych równinach kraju Matabelów. Ale kończy dopiero wtedy, gdy król i dumny naród wojowników zapłaci swoją krwawą cenę...

Saga rodu Ballantyne'ów

PŁACZ ANIOŁA

Na początku nowego wieku osadnicy, a wśród nich syn Zougi Ballantyne'a, Ralph, wytyczyli swoje działki w Rodezji i założyli farmy na ziemi, którą uznali za własną. Odwieczni i prawowici władcy tych terenów, wojowniczy Matabelowie, nie mogą się pogodzić z ekspansją Anglików. Przygotowują wielkie powstanie, które pozostawi wieczne Mi/ny w pamięci ich przeciwników — i tragiczny spadek przyszłym pokoleniom.

LAMPART POLUJE W CIEMNOŚCI

Craig Mellow jest jednym z rodu Ballantyne'ów. Opuścił Rodezję, zanim jeszcze zaczął myśleć o niej jako o swojej ojczyźnie. Pobyt w Nowym Jorku, kariera powieściopisarska, nagrody i bogactwo nie potrafią stłumić tęsknoty za opuszczonym krajem. Pretekstem do powrotu staje się książka o Afryce przodków Craiga, pełnej wojen i konfliktów, ilustrowana zdjęciami pięknej i zakochanej w Mellowie Sally-Ann Jay. Ale historia lubi się powtarzać. Pisarz zostaje wplątany w krwawy konflikt między Matabelami a Shona, sprowokowany przez żądnego władzy fanatyka. Mellow musi podjąć bezpardonową walkę, by jego kraj nie stoczył się w nowy wiek ciemności.